

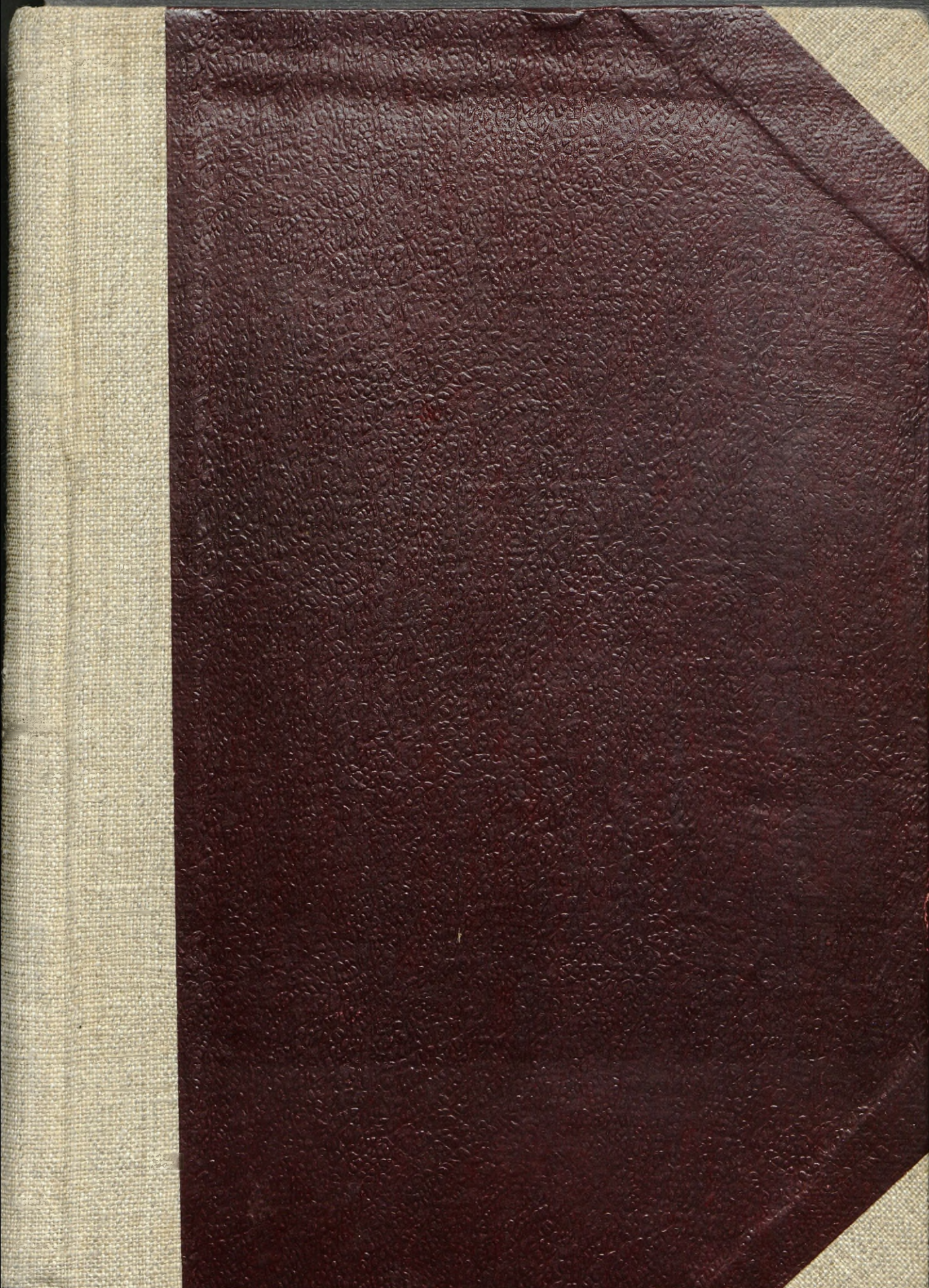


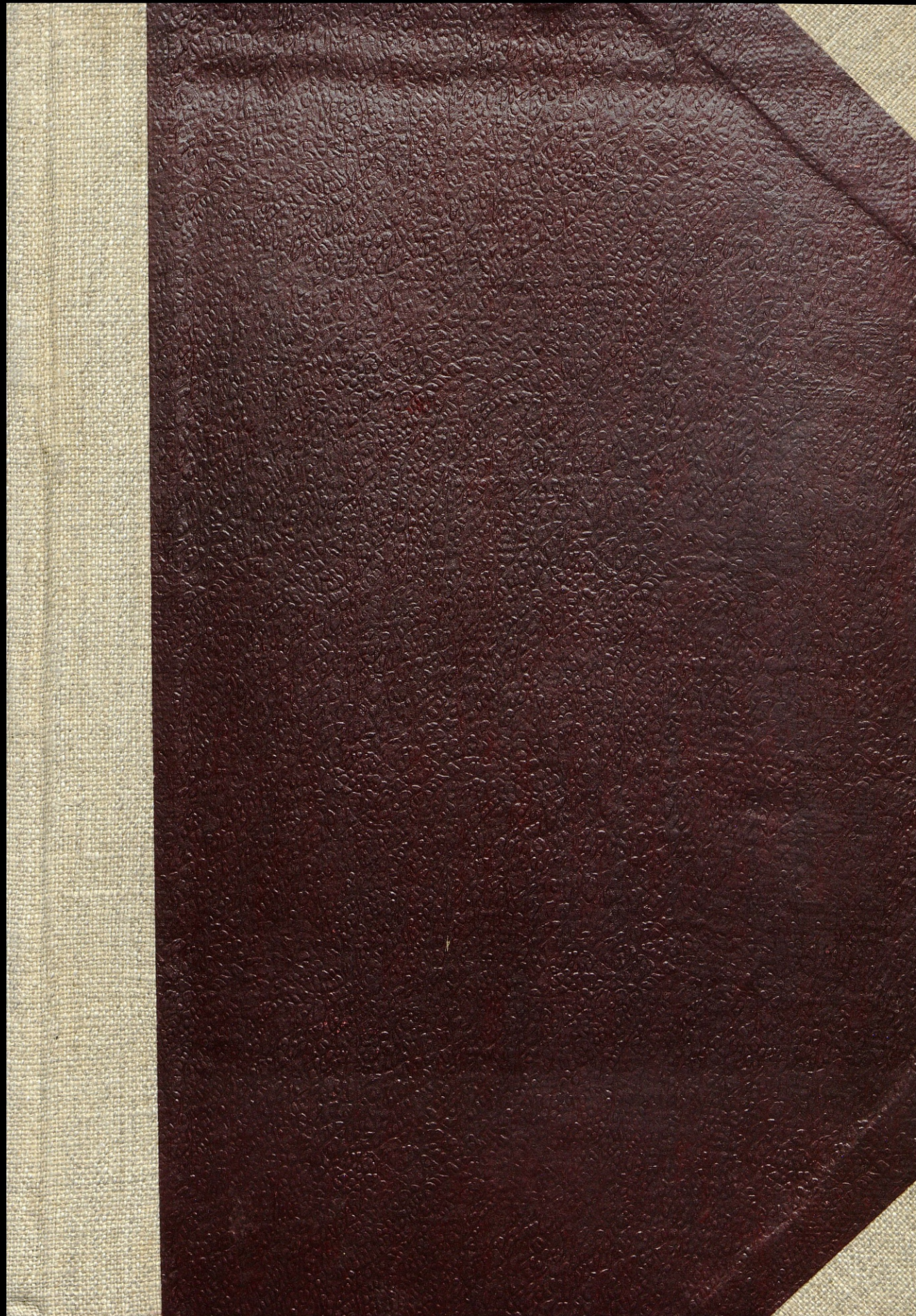
Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





SZLAKIEM I BRYGADY

POMORSKI

WACŁAW LIPIŃSKI
(SOCHA)

SZLAKIEM I BRYGADY

DZIENNIK ŻOŁNIERSKI

(WYDANIE DRUGIE)

Z PRZEDMOWĄ JULJUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO

WARSZAWA 1928

NAKŁADEM TOW. WYDAWNICZEGO „POLSKA ZJEDNOCZONA”

OKŁADKA WEDŁUG RZEŻBY PROJEKTOWANEJ NA POMNIK WYMARSZU LEGJONISTÓW
Z KRAKOWSKICH „OLEANDRÓW” P. T. „CZWÓRKA” — DŁUTA PROF. JANA RASZKI,
DYREKTORA PAŃSTWOWEJ SZKOŁY I RZEMYSŁU ARTYSTYCZNEGO W KRAKOWIE.



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

Wszelkie prawa przedruku i przekładu
zastrzeżone.

Copyright by
WACŁAW LIPIŃSKI
Warsaw 1928.

33089 / 2



1955 D 7/135

Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona”, Warszawa, Nowolipie 2.

DOMORSKI

WODZOWI
I TOWARZYSZOM BRONI
POŚWIĘCA
AUTOR

PRZEDMOWA.

Wierzyliśmy w to zawsze, — nie wiedzieliśmy jednak dokładnie o tem nigdy!

Wierzyliśmy zawsze chyba, maszerując drogą naszą, pełną trudu i krwi, ciemności i straszliwych blasków ognia, — że przed nami, na końcu całej drogi wznosi się ta oto wielka, niepodległa Ojczyzna!

Nie ogarnialiśmy jednak tej sprawy codziennym, praktycznym rozumem. Możemy sobie dziś otwarcie i szczerze a z wielką dumą powiedzieć, — iż nie mieliśmy nawet czasu na takie spokojne, dobre, mile gospodarskie marzenia praktycznego, codziennego sensu.

Wierzyliśmy, iż pod przemodem najmężniejszego człowieka, żołnierza, który powstał żywcem z najwspanialszych kart tradycji Narodu idziemy drogą walki ku wolności naszej Ojczyzny.

Czyż jednak nie wybuchiemy śmiechem, jakże wstydliwym a jednocześnie jakże twardym, gdyby nam powiedziano, iż kiedyś, wnet już, za lat parę ten oto los żołnierza I-szej Brygady, pisany ręką ówczesnego sierżanta tej Brygady, dziś majora Wojska Polskiego, doczeka wnet drugiego wydania a drukowany będzie w wielkiej księgarni wojskowej a potem czytać będą tę książkę w tak wielu rozmaitych pulkach, baterjach, dywizjonach i u Podhalan, w górach wysokich i pośród marynarzy na płaskim brzegu piaszczystym, znoszącym wdzięcznie bogactwo polskiej ziemi ruchomym drogom wody?!

Jakżeto więc?!

Czy przypuszczaliście, doskonali koledzy tej jedynej na świecie brygady, drżący w kiepskich drelichach o świcie na rynku je-

drzejorskim, wy, kadrowcy maszerujący bez butów długą szosą na Kielce i wy, ów pluton, który pierwszy strzelał się na śmierć pod Czarkową i tych pięć bataljonów, wyprężonych w nieustępliwym boju łowczowieckim i my wszyscy, którzyśmy gonili naprzód na Przepiórów i Włostów pod Konarami i znów cała Brygada, niby jedyna kłamra polskiej woli, rzucona w marsz tysiąca brygad od Konar pięknych i kwitnących aż po rozstrzelany Czar-torysk!

I owe młode kompanje bohaterów, biegnące pod dowództwem Lisa-Kuli na wzgórki Kamieniuchy i raz jeszcze cała Brygada, przez cztery doby w kołodziejskim boju, pod Kostjuchnowką patrząca śmierci w oczy!

Czy przypuszczaliśmy, iż tak rozrośnie się to dzieło męstwa, krwi, miłości i najtwardszej odwagi, — choć każdy z nas wierzył w nie ślepo?

Poruszam tę sprawę wiary, przewidywań i trzeźwego rozumu, gdyż sądzę, że w tem właśnie zjawisku, leży niespożyta siła I-ej Brygady Piłsudskiego.

Wierzyć, jak wierzył żołnierz tej Brygady, działać zaś tak mocno i nieustannie, iż na gospodarskie plany praktycznej codzienności nie staje prawie czasu...

Pamiętnik, książka żołnierska, djarjusz majora Wacława Lipińskiego odsłania czytelnikowi tę właśnie niezwykłą cnotę wiary, pod której skrzydłem szła I-sza Brygada. Pamiętnik ten odsłania właśnie najcenniejsze rysy tej jedności moralnej, siły, tego młodzieńczego w naszych dziejach oblicza, któremu na imię — I-sza Brygada.

Bo, gdy powiemy, — konfederacja barska, — widzicie płomiennego szlachcica, pół rycerza, przyczem jeszcze półpanka. Gdy powiemy — Kościuszko, — widzicie kubrak Naczelnika na wskroś przebudzony kozacką spisą. Gdy usłyszycie datę, — rok 1830-31-wszy, — widzisz piechotę w olszynie, piechotę najmężniejszą, pozbawioną dowództwa.

A gdy ci mówią, — rok 1863-ci słyszysz jęk bezporadnego prawnie męczeństwa.

Lecz, gdy ci rzeknę — wojna światowa w Polsce, rok 1914-ty

i szesnasty, przed wzrokiem twoim staje żołnierz młodziutki, szary, a ognisty, mądry a lekkomyślny; dzięki wódzowi swemu, pośród przewagi tysięcy brygad wrogich, pewny swego zwycięstwa.

Rysy twarzy tego młodocianego żołnierza uwypukla Wacław Lipiński najcenniejszemi sztrychami. Odtwarza bowiem to, co jest na wojnie najcenniejsze, najbardziej pełne męstwa i ofiary: Jako były szary szeregowiec, kapral wreszcie sierżant odtwarza, dzień za dniem, — zgłoskami ran i krwi — los szeregowca.

Winniśmy czytać tę książkę i uczyć się opisanego w niej charakteru I-szej Brygady, gdyż zasadnicze cechy tego oddziału wojskowego, — to części składowe zwycięstwa nad niewolą, egoizmem, przemocą i lenistwem.

Winniśmy poznać do gruntu los szeregowca tej Brygady, gdyż los ów właśnie, to wielki, dobroczynny wkład bohaterstwa, z którego rośnie dziś w Europie dumna i tak szczęśliwa nasza wolność.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI,

Warszawa, 30.X. 1928 r.

OD AUTORA^{*)}.

Pamiętnik ten, który w dniu 6 sierpnia, w trzynastą rocznicę wymarszu Kadrówki z Krakowa — oddaję w ręce czytelników — jest dziennikiem żołnierskim. Jak łatwo z kolejności dat i miejscowości można się przekonać, pisany jest z dnia na dzień, natychmiast po marszu czy bitwie, nieraz pisany wprost w okopie.

Stanowi to, śmiem sądzić, jego zaletę ale też i wadę. Zaletę — bowiem zachowana została bezpośredniość wrażeń, bezpośredniość opisu. Wadę — gdyż pisząc podczas walk, czy też wkrótce po ich zakończeniu — mogłem oddać tylko to, co bezpośrednio w polu mego widzenia się działo, co bezpośrednio tyczyło się oddziału, w którym pełniłem służbę. Stąd płynie brak wielu wiadomości, stąd wypływa brak opisu tych działań, które inne części I Brygady przeprowadzały.

Tę jednak wadę — pocieszam się — zawierają w sobie wszystkie dzienniki czy notatki żołnierskie. Żołnierz bowiem jest skromnym aktorem wielkich chwil, nigdy nie może wzrokiem swym ogarnąć tego, co ogarnąć może niższy czy wyższy oficer, ów czy inny dowódca, mający możność zbierania wrażeń czy wiadomości z wielu naraz stron. Natomiast żołnierz, piszący swój dziennik, może nieraz — zwłaszcza gdy przeżycia jego odnoszą się do chwil wielkich i świętych — dać w swych notatkach bardzo wiele. Może ułatwić poznanie, może ułatwić zgłębienie najbardziej istotnego zjawiska wojny, jakim jest w pierwszym rzędzie dusza żołnierza.

^{*)} Przedmowa do wydania pierwszego.

144

Nie do mnie należy sąd, czy ten dziennik odpowie pod tym względem wymaganiom. Chciałbym zaznaczyć tylko, że jeśli — zwłaszcza w początkowych okresach — zbyt pobieżnie traktuję w swym dzienniku przeżywane chwile, to przyczyna tego nie trudna jest do odgadnięcia. W wielkie tryby wojny wyszedłem wprost ze szkolnej ławki, niemal jako dziecko i to nie z wielkiem do wojny przygotowaniem. Nie rozumiałem jej wtedy jeszcze, nie zdawałem sobie sprawy w dostatecznej mierze z tych olbrzymich przemian i zjawisk, jakie się wokół w blaskach wojny dokonywały. Dopiero długa, nieprzerwana ani na jeden dzień służba w Brygadzie, służba pod okiem i ręką Wodza, przepalając świętym płomieniem młode dusze żołnierskie i niezmazany na nich kładąc stygmat — pozwoliła i mnie głębiej wnikać w to, co w brygadowym świetle i w ówczesnej Polsce się działo. Rozszerzy się naówczas owo żołnierskie „pole widzenia“, nabiorą żywszych, pełniejszych barw i wyrazu przeżywane chwile — i to odbija się na kartkach tego dziennika.

Czy przyczyni się on do rozszerzenia wiadomości o legjonowym trudzie i ciężkim nieraz znoju, w jakim wraz z Wodzem szukaliśmy dróg do Polski — tego nie wiem. Wiem tylko, że niejeden z towarzyszków broni, przerzucając kartki tej książki, przemierzając z nimi niezapomniany szlak I Brygady, odczuje raz jeszcze tę wielką i radosną dumę, iż miał szczęście i zaszczyt niezmierny służyć w I Brygadzie.

Mjr. dr. WACŁAW LIPIŃSKI.

Warszawa, 24 VII 1927 r.

PIERWSZE BLYSKAWICE.

26 lipiec roku 1914 — na wsi. Od kilku dni jesteśmy pod silnem wrażeniem ostatnich wypadków, które spadły na cichą wieś jak grom. Sytuacja w polityce Europy poczyną się zatrważająco groźnie zachmurzać. Od chwili zabójstwa arcyksięcia austriackiego zawrzało w całej Europie jak w ulu. Codziennie spadają nowe wiadomości, zwiastujące bliskie uderzenie pioruna z atmosfery przepełnionej elektrycznością.

27 lipiec. — Mam przedsmak wielkich wypadków, i mimo gwałtownego podniecenia — szykuję się powoli i spokojnie.

Nad Europą zawisł kataklizm powszechnej wojny, jakiej od czasów „małego kaprała“ jeszcze nie było. Serbja odmówiła żądaniom Austrii. Wojna nieunikniona. Poseł austriacki wyjechał z Białogrodu. Obydwa państwa, Serbja i Austrija już mobilizują. W starej monarchji Habsburgów stan wyjątkowy. Na teren wojny powołano 9 korpusów, galicyjski jednak został na miejscu. Na giełdach niebywały popłoch i panika...

28 lipiec. — Dzisiaj sytuacja nie uspakaja się, lecz zaostrza. Flota niemiecka i angielska, skoncentrowana w portach, zupełnie gotowa. Marynarze na pierwszy wystrzał armatni mają wracać na pokłady. Poincaré pędzi do Paryża, Wilhelm do Berlina. Rosja stanowczo ma interwenjować w sprawie Serbji. W Paryżu i w Petersburgu demonstracje uliczne przeciwko Niemcom, w Berlinie i Wiedniu przeciwko Francji i Rosji. Włochy spokojne.

29 lipiec. — Rano przed 10-tą wrócił brat z Koluszek i przywiózł alarmujące wiadomości: w Koluszkach nadzwyczajny ruch, wojsko przejeżdża z Warszawy do granicy austriackiej i pruskiej. Mosty i wiadukty obsadzone. Przy wiadukcie 1-szym 14 żołnierzy. Poza tem chłopcy widzieli rano na wiedeńskiej przełożoną piechotę i artylerję. Jednem słowem wojna...

Poruszony jestem temi wiadomościami nadzwyczajnie. Po gazety wybrałem się do Koluszek o 11-ej. Na dworcu mnóstwo oficerów rosyjskich, pysznych, butnych, srogich jak lwy. Pociągami ciągle przejeżdża wojsko, kuchnie polowe, tabory, artylerja. Gazety przyszły dopiero o 1.30. Cokolwiek spokojniej. Anglja i Włochy mają interwenjować.

30 lipiec. — Coraz gorzej! Niemcy odmówiły udziału w interwencji pokojowej, a więc chcą wojny. Belgja podobno powysadzała mosty na granicy Niemiec.

31 lipiec. — Sytuacja pogorszona. Mobilizacja w Łodzi. Wszystkie pociągi na wiedeńskiej¹⁾ wstrzymane, od rana ani jeden pociąg nie przyszedł. Tor kolejowy głuchy i pusty, tylko od czasu do czasu z hukiem przemknie pojedyncza lokomotywa lub z kilkoma zaledwie wagonami. — Wojna!... Szykuję się zwolna i spokojnie. Do obiadu spakowałem wszystko: plecak, Kompas, bieliznę, drobiazgi konieczne w polu. Po południu dostaliśmy dzienniki. Mobilizacja w Łodzi i w Królestwie.

Wieczorem, stojąc przed furta ogrodową, spostrzegłem idącego w Żakowie w pelerynie jakiegoś człowieka, gwizdzącego pobudkę. Za chwilę stanął wyprostowany na baczność skaut Witeczak²⁾, zaszalutował i krótko zameldował, bym z rozkazu Komendy natychmiast jechał do Łodzi z pełnym rynsztunkiem. W pół godziny odjechaliśmy bryczką do Łodzi ostrym kłusem...

W przeciągu dwóch godzin zameldowałem się w Komendzie i otrzymałem rozkaz natychmiastowej jazdy do Warszawy po rozkazy. Pociąg miał odejść 12.15 w nocy. Jurek Szletyński, komendant łódzkiego skautingu, odprowadził mnie na stację, informując o usposobieniu łódzian, głównie robotników. Obydwaj byliśmy podnieceni i rozgorączkowani. Mimo całkowitego duchowego przygotowania do wojny i powstania, wszystko to nam zdawało się okrutnie groźne i straszne...

Do Koluszek wyjechałem po północy i ledwie zdążyłem kupić bilet do Warszawy — pociąg ruszył. Przez całą drogę stałem na platformie w ogromnej ciasnocie. O 5.35 byłem w Warszawie. o 6-tej w Skautowej Komendzie warszawskiej, gdzie przedstawiłem sprawę, prosząc o rozkazy. Odpowiedź będę miał wieczorem i wieczorem też odjadę.

¹⁾ Linja wiedeńska, łącząca Warszawę przez Koluszki i Granicę z Austrią.

²⁾ Zginął w Legionach.

W Warszawie spotkałem skautów, a wśród nich Miłobędzkiego¹⁾, którzy wracali z kursu ze Skolego. Granica już zniesiona, mosty wysadzone, lada godzina wojna zostanie wypowiedziana.

O 11-tej wieczorem po otrzymaniu rozkazów, by narazie robić wywiad wojska rosyjskiego i czekać na rozkaz ostateczny—poszedłem na dworzec Wiedeński. Tam istny obóz. Całe stopy walizek, pościeli i rzeczy na platformach, w salach, wszędzie, gdzie tylko trochę miejsca, gromady ludzi śpią, czekając na pociągi. Kuracjusze, letnicy, inteligencja, robotnicy, wszystko to siedzi zbite na dworcu, po wszystkich kątach, leży na stosach pakunków, oczekując niecierpliwie swych pociągów. Wojna!... Odczuwa się jej złowrogie teńnienie, w pociągu, na ulicy, na dworcu, wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć... Warszawa przedstawia jeden wielki obóz... Samochody przelatują z hukiem i wrzaskiem syren, na rozprażonych słońcem ulicach gromadzą się tłumy wokół ogromnych ogłoszeń, rezerwiści setkami przechodzą przez ulicę z tłumokami i torbami na plecach. Za nimi krzyk, płacz, szlochanie!...

Wśród tego krzyku i gwaru stoją mi w oczach szumiące, senne, spokojne fale zawsze tej samej, na tyle wojen patrzącej Wisły... Fale szumią monotonnie, szelestnie i gwarzą między sobą, pluszcząc o brzeg ciągle, ciągle! To statek z turkotem, ciężkiem stękanie śruby i wielkich kół wznieca burzę wśród fal, jasną za sobą wlokąc smugę, to srebrne rybitwy przenikliwie krzycząc, migają białymi skrzydłami nad wodą.

Pociąg odjeżdża o 12-tej. Zająłem jakieś miejsce, ułokowałem się dość wygodnie. Wokół hałas, krzyk. Obok jakaś gromadka austriackich poddanych, z humorem i wesołością jedzie do c. k. armji. Pociąg wreszcie ruszył. Głowa chyli się na ramiona, oczy przymykają się, sen i zmęczenie ogarniają coraz silniej. Od czasu do czasu budzi mnie gwar w wagonie, głośniejszy monotonny turkot kół...

1 sierpień. — Dzisiaj ogłoszono wojnę. Pierwszy krok rozpoczęły Niemcy. A więc stało się...

7 sierpień. Łódź. — Co dzień budzi nas wieść o nowej wojnie. Już rano o 6-ej słysząc na ulicach wywrzaskujących z uciechą chłopaków z depeszami i dodatkami nadzwyczajnymi. Anglja wypowiedziała wojnę Niemcom. Bitwa morska podobno już się rozpoczęła na wodach morza Północnego.

¹⁾ Obecnie por. rez.

A tymczasem Niemcy rzucili całą swą potężną armję na nie-
szczęśliwą Belgję i niezmordowanie, zaciekle bombardują jej
twierdze. Belgowie bronią się dzielnie i z brawurą. Tak donoszą
telegramy rosyjskie, wrogie Niemcom. Nie może być jednak tak
dobrze z Belgami, gdyż mimo świetnej obrony Niemcy zdobyli
forty skrzydłowe Leodjum.

A tymczasem, nawet nad nasze spodziewanie, jak na krwa-
wą ironję — mobilizacja w Królestwie udaje się świetnie...

8 sierpień. — Porządnie jestem zmęczony tem ciąglem polity-
kowaniem — i czekaniem, a tymczasem warszawski rozkaz każe
siedzieć na miejscu... Razby wreszcie wyjść już w pole i roze-
wrzeć szeroko ramiona...

9 sierpień. — Zaczynamy wreszcie cośnecoś robić, aby dać
znać żandarmom, że żyjemy i jesteśmy.

Dzisiaj dostałem rozkaz, by zgromadzić chłopców w połu-
dnie w kościele. Mieliśmy zaryczeć. Zrobiłem, co mogłem, lecz
chłopców mało się zebrało. Wreszcie po Baranku Bożym zaczę-
liśmy i to odrazu jak najgłośniej. W kościele uczynił się nagły
rumor. Setki twarzy obróciły się ku nam i publiczność z groźnym
przestrachem poczęła tłumnie zbliżać się w stronę wyjścia. Or-
ganista uderzył z całych sił w organy, chcąc nas zagłuszyć. Prze-
de mną wyskakiwał jakiś stary jegomość, chcą mnie widocznie
wstrzymać, lecz ja mu w samą twarz ryczałem, niby tur w litew-
skim borze... Prześpiewaliśmy tylko jedną strofkę, bowiem ko-
ściół za chwilę opustoszał.

Wychodziliśmy z kościoła wśród groźnych szeptów o prow-
kacji niemieckiej i żydowskiej...

10 sierpień. — Znów huraganowe wieści... Niemców (wedle
depsz petersbuskich) piorą Francuzi, Belgowie i Anglicy na lą-
dzie i na morzu. Naodwrot Austriacy prą na Królestwo, zajęli
Jędrzejów. Prusacy spalili Kalisz... Jaroński w Dumie wygłosił
poddanie, ohydą mowę. Głosił ten poseł „narodu“, iż dzięki
orężowi rosyjskiemu Polska się zjednoczy.

14 sierpień. — Wiadomości o armji rosyjskiej są narazie do-
skonale. Anarchja całkowita. W Mińsku Mazowieckim kilka ty-
sięcy ludzi zebranych do wojska nie wie co ze sobą robić. W War-
szawie lekki ruch. Dostaliśmy znów rozkaz, by czekać i zbroić
się!

W Łodzi dzieją się okropne sceny, choć miasto na oko spo-
kojne. Dzisiaj wysyłają wszystkich poddanych austriackich
i pruskich w głąb Rosji. Dzieci, kobiety, starców — ślą wszyst-

kich. Cała ulica idąca do dworca zatłoczona taborem obozujących ludzi. Poza tem „car batiuszka” kokietuje nas! Naczelny Wódz wydał odezwe, że armja rosyjska bierze pod opiekę wszystkich Polaków — a ich krzywdzicieli — rozstrzeliwać mają, w myśl onych cudownych rozkazów, z miejsca.

Rosja z tej, Prusak z tamtej strony starają nam się przypodobać i pozyskać.

16 sierpień. — Car wydał odezwe do Polaków. — „Wydobądźcie swój miecz i brońcie Słowiańszczyzny. Chwila Waszego odrodzenia się zbliża”. Ściskaliśmy pięści czytając ją. Ordynarne, całkiem nie skautowe klątwy cisnęły się na usta...

17 sierpień. — Dostaliśmy wreszcie znak życia w postaci kilku odezwe, które wśród entuzjazmu, rozgorączkowaniami oczyma czytaliśmy na zbiorce. Odezwa Komendy Związku Strzelckiego Okręgu Kujawskiego i Zjednoczonych Stronnictw Niepodległościowych... Nareszcie jakiś znak niepodległego życia z pośród tej spodłonej, nędznej, niewolniczej atmosfery, jaka nas wokół otacza...

O 4-ej po południu przyszła wiadomość, że Niemcy w Lutomiersku. Wyszedłem na miasto! Ruch spory. Galopem przeciąga podjazd kozacki, pędzą dorożki napelnione uciekającą policją. Moskale wyrrywają co tchu!... Niemcy jakoś nie przyszli, choć w mieście ni psa moskiewskiego nie ujrzysz...

Pod wieczór mieliśmy dwie godziny ostrej musztry karabinowej... Władamy bronią już dość dobrze! Na strzelców czekamy z godziny na godzinę...

18 sierpień. — Dzień cichy, spokojny... Wydaje się jakgdyby ciągle było jakieś święto! Ulice spokojne, ruch mały! Nie widać mas robotniczych, nie słychać syren fabrycznych, i łoskotu maszyn, tego nieustannego szumu fabrycznego miasta!

20 sierpień. — Z dnia na dzień coraz więcej wrażeń!... Tłoczą się one ze wszystkich stron, co godzina spadają, wieściami nieprawdopodobnemi, niezwykle mi nowinami...

W dniu dzisiejszym skończył Związek Niepodległościowy druk odezwe, które należało rozlepić. Rozlepiliśmy je w ciągu wieczora, napastowani srodze przez lojalną milicję miejską.

22 sierpień. — Do południa ćwiczenia. Po południu przymaszrowali Prusacy. Na głównej ulicy miasta stoi pułk trzybataljonowy. Żołnierze, przeważnie Polacy — w szarym mundurze, w długich spodniach, wyglądają na okrutnie pomordowanych. Jakiś stary landszturm... W pewnej chwili na rynku zagrano po-

budkę. Żołnierze szybko zaczęli kłaść ciężkie, duże, kwadratowe tornistry, cielącą powleczone skórą; na każdym tornistrze płaszcz, płótno namiotowe, łopatka, para trzewików zapasowych. Ciężki strój uzupełnia hełm, okryty pokrowcem.

Zabrzmiała krótka, chrapliwa komenda dowódcy bataljonu, zupełnie niezrozumiała, podana, jak urywane szczekanie brytana. Wmieg zaskoczyli czwórkami, równo jak uciał trzasnął broń...

Za chwilę ruszyli, a głuchy tupot tysiąca nóg zamierał powoli w cichej ulicy, wypełnionej ciekawym tłumem ludzkich głów...

25 sierpień. — Dzisiaj wysyłamy Władka Łęckiego¹⁾ i Grabowskiego²⁾ do Krakowa po wiadomości i rozkazy. Konkretnego nic nie wiemy, a bez szczegółowych wiadomości nie uda nam się zebrać więcej chłopaków w pole.

25 sierpień. — Do południa zwykle ćwiczenia w lokalu na ulicy Nawrot, w którym pomieszciliśmy jakoś musztrę całej kompanji. Po wyjściu z lokalu natknąłem się na szwadrony kawalerji rosyjskiej, idącej na zachód. Żołnierze okurzeni, snać dużą drogę zrobili, lecz w dobrym humorze. Miasto, ulica wita ich życzliwie, nawet radośnie. Poza tem tłumy stoją godzinami w nadziei, że między wojskiem znajdą swych bliskich i żołdatom rzucają kwiaty, papierosy, chleb, kiełbasę w ogromnej obfitości. Przez pół godziny przeciągała kawalerja, baterje artylerji, tabory.

27 sierpień. — O strzelcach i o Piłsudskim przychodzą rzadkie wiadomości i to przeważnie złe, napastliwe. Natrząsa się z nich plotka, że obdarowała ich Austrija jakimiś starymi skałkowymi karabinami, jednostrzałowymi. Poza tem na odmianę biją Moskale Austrjaków, co jeszcze pogarsza sytuację.

31 sierpień. — „Nasza“ policja dzisiaj powróciła. Skończyła się „milicyjna niepodległość“... Szpicli moc.

1 wrzesień. — Z Warszawy nadchodzą hiobowe wieści! Wszyscy objęci rusofilskim szałem, zapatrzeni w Rosję, wypierają się strzelców.

Przegadałem dzisiaj z chłopcami kilka godzin, głównie o polityce, wojnie, strzelcach, drużynach idących z pieśnią powstańczą na ustach! Chłopcy rwą się!...

Moskale znów zwiali — Łódź bezpańska!...

5 wrzesień. — Nowe wiadomości! Żuławski, Daniłowski, Sieroszewski ze strzelcami; Sieroszewski podobno już zabity, Dani-

¹⁾ Obecnie kapitan piech.

²⁾ Obecnie por. kawalerji.

łowski w niewoli. Poza tem uporeczywe plotki o samobójstwie Tetmajera...

Ponoć kto żyw, ruszył za Piłsudskim: profesorowie, doktorzy, akademicy, wszyscy, wszyscy poszli w pole, sądząc, że tutaj przyjmie ich Królestwo, jako wybawców. Zrzucili podobno czarno-żółte opaski, które im Austrija narzuciła. Już staje z jednej strony Moskal — z drugiej Austriak!

4 wrzesień. — Lwów padł.

10 wrzesień. — Dostaliśmy dzisiaj dwa numery „Wiadomości Wojennych“ ulotnego pisemka niepodległościowego.

W armji rosyjskiej dzieją się straszne rzeczy. To samo, co podczas kampanji japońskiej. Bezład, dezorganizacja, złodziejstwo.

Dowiedziałem się wreszcie szczegółów bitwy pod Kielcami — 10 strzelców zabitych, 30 rannych — 200 kozuniów sprzątnięto.

24 wrzesień. — Dzisiaj rozpoczynamy t. zw. Kurs Szkoły Podchorążych Związku Strzeleckiego, do którego cały nasz łódzki skauting ostatecznie wcielono.

7 październik. — Dnie mijają bez zmiany; codziennie, po kilka godzin ćwiczymy w Szkole Podchorążych; oczekujemy momentu zbliżenia się strzelców.

8 październik. — Gruchnęła wieść, że Prusacy i Austriacy w mieście, a może nareszcie i strzelcy..

Na Piotrkowskiej ulicy ogromny ruch. Jak okiem sięgnąć bieleją płótna wojskowych faborów, piechota, ułani, rowerzyści...

Gwar, ścisk. Milicja pracuje w pocie czoła, rozpędzając niezbyt grzecznie tłum! Tabory pruskie zaprzężone w świetne, ogromne konie. Żołnierze przeważnie starzy, widocznie landszturm, w pikielhaubach okrągłych, wysokich. Konnica świetna. Ułani w pełnych mundurach, z pysznemi karabinami. Rozkwaterowało się ich około 12-tu tysięcy, w tem bardzo dużo Polaków.

12 październik. — W południe gruchnęła wieść, iż strzelcy są w Łodzi. Wypadłem natychmiast i na Piotrkowskiej spotkałem pierwszych trzech strzelców, doskonale prezentujących się w swych szaro-niebieskich mundurach z maciejówkami. Pognałem do naszego lokalu, gdzie zastałem wszystkich prawie chłopców samorzutnie zebranych, czekających na rozkazy.

Wieczorem byliśmy już wszyscy zameldowani w wojsku polskiem.

W domu „coniebądz” piekło! Ojciec klnie, schował mi plecak — lecz matka i siostry taką uczyniły awanturę, że plecak dostał.

Dzisiaj w nocy mam pełnić wartę pod kwaterą, która się mieści w gmachu pogimnazjalnym przy ul. Mikołajewskiej 44. O 9-tej miała być zbiórka. Chłopcy zeszli i poszedłem pełnić wartę. Mieliśmy do rozporządzenia jeden mundur i karabin.

W nocy przyjechał komendant Boerner¹⁾ i dwu oficerów.

25 październik. — Dzisiaj po południu P. O. N. (Polska Organizacja Niepodległościowa), która wnet ze strzelcami zjechała, zwołała wiec, na którym mówili Daniłowski, Kaden-Bandrowski, Żuławski, prof. Tokarz, i to pono z dużym powodzeniem. Cóż to jednak nas obchodzi? Dostałem dzisiaj karabin i gwizdźkę na wszystko!!!

26 październik. — Noc, 12 godzina. — Siedzę w kwaterze wart, jako komendant warty. Od rana dzień się zapowiadał spokojnie, pracowaliśmy w intendenturze, pakując wszystko na wozy. To nas jednak uderzyło i poczęliśmy mówić o odwrocie. Ciągnęła a bliska kanonada, wysadzanie mostów na Łódzkiej stacji dopełniały swego. Po obiedzie byliśmy już pewni, że wyruszymy. Nareszcie o siódmej Jurek Szletyński kazał się szykować i znosić broń. Jest nas w oddziale przy Ryszardzie Trojanowskim²⁾ 16-tu. Z oficerów jest w oddziale prócz „Rysia” jeszcze dwóch: Nałęcz-Korzeniowski³⁾ i Pannenko⁴⁾. Mamy 4 manlichery i 12 werndli. Ja dostałem pyszny, krótki manlicher. Jutro wychodzimy jako straż przednia i prawdopodobnie zetkniemy się z Moskalami. W domu wyprawiają mnie i ekwipują gorączkowo. Ojciec już się z losem pogodził, a matula i takby mnie wypchnęła w pole, choćbym nie chciał iść...

27 październik. — Przedostatni dzień w Łodzi!... Bataljon strzelców, który przed kilkoma dniami przemaszerował, wyruszył już do Częstochowy. Choć przeciągała moc Prusaków (przeważnie artylerja) w stronę Warszawy, pesymistycznie jesteśmy nastroszeni! Z radością Łódź byśmy opuszczali, lecz nigdy uciekali! Co chwila przerywa ciszę miasta przeraźliwy huk wysadzanych mostów kolejowych...

¹⁾ Obecnie płk. saperów.

²⁾ Obecnie gen. brygady.

³⁾ Obecnie mjr. szt. gen.

⁴⁾ Obecnie por. rezerwy.

WYMARSZ.

28 październik. *Lódź — Pabjanice.* — Dzisiaj wyruszamy! Wpadłem do Banku Państwa, gdzie była główna kwatera strzelców. Wszystko spakowane i gotowe do drogi. Cieszymy się, że nareszcie wyruszamy, lecz i martwimy się, że uciekamy. A uciekamy napewno! — Po południu już nie wychodziłem. Wreszcie o 4-tej naznaczono zbiórkę. Po odśpiewaniu „Roty“, ruszyliśmy. Tabory naprzód, my ostatni. Wyruszyliśmy o 4-ej 45 po południu. Nikt nas nie odprowadzał, nikt nam do bram miasta nie towarzyszył, prócz kilkunastu skautek i najbliższych rodzin...

Zaraz po wyruszeniu poznałem trud wojskowego marszu. Karabin niemożliwie mię uciskał. futro pod płaszczem strasznie grzało. Gdy wychodziliśmy z miasta, nastał zmierzch, powoli zapadała cicha, jesienna noc. Do Pabjanic szliśmy przeszło godzinę. Ja ledwo szedłem, strasznie wyczerpany. Ciężki plecak, karabin i futro dobijały mię. Mimo żeśmy szli wesolo, bywały chwile, iż bałem się, że padnę. Pierwszy wojenny marsz okrutnie dał mi się we znaki...

29 październik. *Pabjanice — Łask — Sieradz.* — Wesolo jedziemy po błotnistej drodze na trzęsącej furze. W Łasku krótki postój i obiad. Pełno wszędzie Niemców. Nami nawet pies kulawy się nie interesuje. Jak narazie, dobry początek, z żołnierką polską...

Z Łasku szosą do Zduńskiej Woli, a stamtąd o zmierzchu, ciągle z wesolą pieśnią, ruszyliśmy dalej. Wiatr dmie silny, powijaliśmy się więc w kocy. Jedziemy szybko. Już Warta głucho szumiąca, została za nami, późno w nocy wjeżdżamy do Sieradza. Długi postój na rynku, gdzie opędzać się musimy przed natrętną ciekawością Niemców, którzy się pytają, czy z „ruskiem“, czy z nimi idziemy, i pakują nam do werndli swe paluchy, dziwiąc się, że lufy takie szerokie...

30 październik. *Sieradz — Złoczów — Wieluń.* — Po śniadaniu ruszyliśmy na Złoczów ku Wieluniowi. Szliśmy kilkanaście kilometrów pieszo, lecz bez plecaków. W Złoczowie postój. Wyruszyliśmy z miasta o 5-ej. Wicher okropny. Siedzimy na wozach, otuleni w kocy, drżąc. Obudziliśmy się dopiero, gdyśmy wjechali do Wielunia. Miasto ciche, spokojne. Dostojnie wygląda rynek, z wysoko strzelającymi wieżycami kościołów.

31 październik. — *Wieluń — Krzepice — Częstochowa.* — O dziewiątej rano ruszamy dalej. Kilka pierwszych kilometrów szliśmy piechotą, potem jak zwykle, siedliśmy na zarekwirowane podwozy i jazda dalej.

Przed Kłobuckiem napotkaliśmy linję kolejki, którą tu Niemcy układają. Wzdłuż szosy, wysadzonej wysokimi topolami, ciągnie się długi, żółty tor kolejowy. Wszędzie szwargot niemiecki, szeregi robotników pracują łopatami obok toru.

Wśród śpiewu dojechalśmy do Częstochowy.

1 listopad. Częstochowa. — Śliczny, słoneczny dzień. Po jeśnennych dniach wichru i chłodu słońce wyjrzało z za chmur. Ciepło rozkoszne! W Częstochowie ruch ogromny. Samochody uwiązają się po ulicach, mnóstwo wszędzie żołnierzy, pruskich, austriackich i naszych strzelców. Wróciliśmy wieczorem do koszar.

Nastrój dla nas naogół obojętny, miejscami przyjazny. Jednakowoż w tej przyjaźni odczuwać się daje nuta politowania, z jaką starsi, spokojniejsi, tchórzliwsi spoglądają na nas. Widać, że nas wcale nie rozumieją, że dalecy są od nas o całe mile.

2 listopad. — W Częstochowie stoją dwa bataljony strzelców — razem z łódzkim, który zaraz za nami przymaszerował. Dzisiaj nastąpić ma rozdział na kompanje i zaraz też wymarsz do pułku, do Komendanta Piłsudskiego. Nas, skautów, wcielono do 4-ej kompanji obywatela Narbutta¹⁾. Jur Szletyński²⁾, jako „Młocki“ został podoficerem za frontem, reszta nas, a więc Adek Goldenberg³⁾ jako „Burski“, Władek Łęcki, obydwaj Chabowscy^{4) 5)}, Edek Pfeiffer⁶⁾, Tosiek Berlach⁷⁾, Romek Gertner⁸⁾, Maniek⁹⁾ i Hirek Pacholscy¹⁰⁾, Tadek Plackowski¹¹⁾, Kasp-rzak¹²⁾, Kubiak¹³⁾, Antek Gruszczyński¹⁴⁾ — wbrew górnym marzeniom — w funkeji i stopniu szeregowców piechoty.

4 listopad. Częstochowa — Olsztyn. — Męczący dzisiaj dzień. Spaliśmy tylko cztery godziny. O 8 rano zbiórka w pełnym rynsztunku i przegląd. Obywatel Narbutt, nasz komendant kompanji, miał do nas krótką przemowę. „Komu łydki drżą — rzekł

¹⁾ Narbutt-Luczyński, obecnie gen. brygady.

²⁾ Jerzy Młocki-Szletyński, zginął w Legjonach, pod Konarami.

³⁾ Arkadiusz Burski-Goldenberg, zginął w Legjonach, pod Kostjuchnowką.

⁴⁾ Zdzisław Chabowski, zginął w Legjonach.

⁵⁾ Zygmunt Chabowski, obecnie kapitan piechoty.

⁶⁾ Obecnie major piechoty.

⁷⁾ Obecnie rtm. kaw.

⁸⁾ Obecnie porucznik rezerwy.

⁹⁾ Marjan Pacholski, obecnie kapitan piechoty.

¹⁰⁾ Hieronim Pacholski, obecnie porucznik rezerwy.

¹¹⁾ Obecnie rtm. kaw.

¹²⁾ Kasprzak-Kasprzycki, zginął w czasie wojny polsko-rosyjskiej, jako podporucznik.

¹³⁾ Obecnie porucznik rezerwy.

¹⁴⁾ Antoni Gruszczyński, zginął w Legjonach pod Urzędowem.

do kompanji — może się cofnąć“. Jakoś nikt się nie cofnął, choć niejednemu pewnie łydki dobrze drżały. Po długiem śniadaniu — zbiórka bataljonu. Sztab z Trojanowskim na przedzie.

Długiemii dwurzędami stanęły kompanje, wyprężone na baczność. Komendanci kompanji zdają raport.

O 12-tej ruszyliśmy przy dźwiękach „Strzelca“, którego echo daleko roznosiło się po polach. Przedefilowaliśmy przez Częstochowę, z zaciekawieniem oglądani przez ludność — lecz i tutaj prócz rodzin wyruszających w pole strzelców — nikt nas nie odprowadzał...

Całe popołudnie maszerowaliśmy do Olsztyna szeroką, piaszczystą, znojną drogą. Obladowani ciężkimi plecakami, wypełnionemi zapasami do świąt Bożego Narodzenia, jako, że wojna ma się do tego czasu skończyć, odczuwamy dotkliwie powolny, z niewprawionemi rekrutami marsz. Narazie obojętnem wydaje się nam pytanie dokąd i poco idziemy. Myśl wytężona pracuje w jednym, jedynym tylko kierunku: jak jeszcze daleko do ruin Olsztyna i czy staniemy tam na kwaterach?

5 listopad. *Olsztyn — Janów — Złoty Potok — Żarki.* — Ciężki mozolny marsz... Ani sposób z nim porównywać owych wycieczkowych marszów, jakie się do tej pory robiło. Ze schyloną głową, przegiętym do ostatniego bólu karkiem, z niemilosierdnie ciężkim plecakiem, z ciężkim werndlem, odparzającym rany, wlecze się człek z zaciśniętymi ustami, kpiąc w duszy z owych „pięknych“ marzeń o wojnie...

W rzeczywistości jakoś ciężiej!...

O 6-tej rano zerwała nas pobudka — i marsz. Na obiad w Janowie, pustem, wylęknionem żydowskiem miasteczku, czekaliśmy trzy czy cztery godziny. — Nim zajechały wozy, nim zwalono z nich na ziemię jakieś przedpotopowe kotły, rozpalono ogień i zagotowano grochówkę — wył w nas głód do szału...

Widzieliśmy w przemarszach prześliczne, czyste, ogromne kuchnie polowe niemieckie, w których obiad gotował się podczas marszu. Patrząc na nasze kotły z epoki jaskiniowej, pocieszaliśmy się, że nie „odrazu Kraków zbudowano“ i pracowicie, z własnej ochoty, przynosiliśmy deski, wydzierane z plotów, byle tylko ten obiad się wreszcie zgotował...

Po raporcie muzyka wyrznęła marsza i w tej chwili — na rozkaz — przerwała. Po chwili rozkaz, by wyjąć zatyczki z karabinów. Zaraz też rozwinęliśmy się w szyk ubezpieczeniowy. Nasz pluton utworzył straż tylną. Po chwili bataljon ruszył.

Posuwamy się ostro po dobrej szosie wśród pysznych lasów i skał Złotego Potoku. Ściemnia się coraz więcej. Idziemy prawie bez przestanku, szybko, w natężeniu nerwów, spodziewając się na pewno przeprawy z Moskalami. Lecz marsz przeszedł spokojnie. O 8-ej byliśmy już w Żarkach i rozkwaterowaliśmy się w jakichś żydowskich chałupinach.

6 listopad. Żarki — Włodowice — Kromolów — Ogrodzieniec. — Marsz znów mieliśmy srodze uciążliwy. Z Żarek wyszliśmy o 9-ej forsownym krokiem na Włodowice i jednym tchem doszliśmy do Kromolowa. Miła drogi po górach i dolach odbiła się na naszych humorach. W Kromolowie nieco odetchnęliśmy.

Jesteśmy zaintrygowani mocno, dokąd pójdziemy. Jedni z oficerów mówią, że na „linję”, inni, że na Kraków, sami jednak, zdaje się, niewiele wiedzą. Wogóle cały ten marsz wygląda dziwnie konspiracyjnie. Idąc jednak tak, jak dotąd — z równym skutkiem możemy wleźć na Kraków, jak na Miechów, t. j. do pułku.

Wieczorem, po przemaszzerowaniu do Kromolowa, \ żydowskiej brudnej miejsciny, jak zresztą wszystkie te, któreśmy po drodze naszej minęli, zacząłem przeprowadzać gruntowną rewizję mego plecaka, by mu cokolwiek ulżyć. Wyjąłem na początek dwie pary ciepłej bielizny, którą dałem jednemu z częstochowskich rekrutów, który był bodajże całkiem „sans“ koszuli.

7 listopad. Ogrodzieniec — Pilica — Ryczów. — Rano wyszliśmy z Ogrodzienia tylko po cienkiej herbatce bez chleba, którego nam dzisiaj nie wydano. Mocno głodni, bośmy w miasteczku nic kupić nie mogli, na 12-tą weszliśmy do Pilicy.

Marsz mieliśmy pyszny, przy nadzwyczajnej pogodzie. Po prawej stronie jasnej, kamienistej drogi, rozciągały się szerokie wzgórza, otulone w siwe mgły. Przechodziliśmy obok strupieszalnych ruin zamku ogrodzienieckiego, drogą zawałoną taborami austriackimi. W samej Pilicy moc Austriaków, taborów, kuchni, kawalerji. Zbiedzone to, zniszczone odwrotem. Kpimy z nich, weselimy się na całego wśród pytań: skąd uciekli, dokąd uciekają i dokąd uciekną? Kupujemy poza tem masami prześliczne, nowe manlichery od przerażonych austriackich taborytów, którzy wyzbywają się „gwerów“ za dwa papierosy — sztuka. Nie też dziwnego, że w pół godziny werndle¹⁾, oraz 90-tki²⁾ poszły z humorem za płot oczekiwać drugiej wojny europejskiej.

¹⁾ Stare karabiny, jednostrzałowe.

²⁾ Karabiny systemu Mannlichera, typu z roku 1890, cięższe od typu z r. 1895.

i drugiego wojska polskiego, a cały bataljon uzbroił się w nowe manlichery.

Po dwu obiadach, gdyż jeden zdolaliśmy zdobyć za 60 kopiejek w jakiejś nędznej, podejrzanej restauracji i po drugim urzędowym z kotła, ruszyliśmy przez wielkie, szerokie piaski na Olkusz. O 6-tej zmordowani marszem po kieleckich wzgórzach, po drogach wytkniętych przez lasy jeszcze przez nieboszczyka Chrobrego i od jego czasów nieuporządkowanych, zaszliśmy do wsi o romantycznej nazwie — Ryczów...

Już na miejscu ponownie zacząłem rewidować swój plecak. Jednemu z kamratów podarowałem kurtkę zapasową, innemu coś z bielizny — a brać skautowa — nawet najsilniejsi, czynią to samo. Zygmunt Chabowski doszedł do przekonania, że wielka, acetylenowa lampa od roweru właściwie na wojnie jest mu niepotrzebna, więc smyrgnął ją za płot, inni wyrzucają mnóstwo gratów, które dźwigali z uporem godnym podziwu. Termosy, pudełka, pudełeczka, kołnierzyki, mankiety, mydelka — wszystko to podzieliło los acetylenowej lampy Zygmunta...

8 listopad. *Ryczów — Ogrodzieniec — Ryczówek — Klucze*. — Maszerowaliśmy cały dzień, od 4,30 rano. Nie mam sił pisać. Jeżeli cała wojna ma polegać na tych straszliwych marszach, to niech ją diabli wezmą. Mam już jej dość...

9 listopad. *Klucze — Chechło — Osień*. — O 11-ej ruszamy uciążliwym marszem na Chechło — Niegonowicze — Osień. Zupełnie się nie orjentujemy dokąd i w jakim celu trwają od kilku dni te marsze i kontrmarsze w słotne jesienne dni, po bagnistych i ciężkich drogach kieleckich.

Komendant dwu bataljonów — Satyr — (właściwe nazwisko Fleszar¹⁾) nikomu nie mówi, tak, że nawet komendant naszego plutonu ob. Kmicie nic a nic nie wie...

Mieliśmy dzisiaj ciężką chwilę. Podczas wymarszu z Chechła natknęliśmy się na jakiś austriacki sztab generalski. Mamy defilować. Orkiestra uderza w trąby, zaczęła grać mazurka Dąbrowskiego, ruszamy mocnym krokiem. Nagle przy dźwiękach mazurka w generalskim sztabie rozpoczyna się krzyk. General gwałtownie macha ręką i z pośród świty wypada na koniu jakiś oficer w stronę orkiestry, która nagle zamilkła...

Chwilowe zamieszanie, po chwili zaczyna grać „Strzelca”. Bataljon maszeruje i w defiladzie spogląda na ów austriacki sztab z tak straszną nienawiścią, jakby za chwilę miał go roznieść na ostrzach bagnetów.

¹⁾ Zmarł w r. 1916.

Gdyśmy wyszli ze wsi — nikt słowem się nie odezwał, tylko niejednemu w oczach paliły się łzy bezsilnego gniewu...

Późnym wieczorem zaszliśmy do zrujnowanej wsi, zajętej przez Austriaków i rozkwaterowaliśmy się w jakiejś szopie pełnej koni.

10 listopad. Osień — Sławków. — Choć spaliliśmy w szopie, dość mocno przewietrzanej, dobrze jednak wypoczęliśmy. Wstaaliśmy o 7-ej i po barszczu — (na odmianę) — marsz na zbiórkę. Tutaj jak zwykle czekamy cierpliwie z pół godziny, wreszcie wyruszamy w stronę Sławkowa. Skręcamy cokolwiek w bok i idziemy jakąś dziwną drogą, wolną od taborów i kolumn austriackich. Gdzieś tylko daleko słychać co chwila głuchoe echo strzałów armatnich. Odwrót widocznie z całego Królestwa...

W południe dochodzimy do Sławkowa w humorach nawet niezłych. Trzyma się naszej paki skautowej jakiś szelmowski, lobuzerski śmiech, który każe drwić i śmiać się z owego odwrotu, choć w głębi duszy ciężko i źle... Jednak się jakoś nie dajemy, nadrabiając humorem...

11 listopad. Sławków — Chechło. — Nocowaliśmy w Sławkowie, o 4 klm odległym zaledwie od granicy. O 10-ej wyruszyliśmy dalej. Sądziłem, że idziemy na Kraków, tymczasem wzięliśmy kierunek wręcz przeciwny, na północ. Znowu wracamy do Chechła, gdzie po męczącym marszu przez rozległe, białe piaszki rozkwaterowaliśmy się dość wygodnie.

13 listopad. Chechło. — Kwaterujemy w Chechle trzeci dzień. Ciągłe ćwiczenia. Widocznie, że prędko połączymy się z pułkiem, z Komendantem Piłsudskim, co oby się stało jak najprędzej, bo już zbrzydło i „nadojadło“ owo włóczenie się po tych okropnych kieleckich drogach, bez celu i kierunku.

14 listopad. Chechło. — Na dworze już zmierzcha. Cicho i spokojnie w okolicy. Podobno linja jest od nas oddalona o 20 klm. lecz huk dział nie słychać.

Nie wiemy nic, jesteście zupełnie odcięci od świata! Podobno Ameryka kategorycznie żąda pokoju, podobno Szwecja wydała wojnę Rosji a Włochy Francji, podobno na zimę ma być zawieszenie broni... podobno, podobno... — wszystko podobno!

Nasz pluton objął podpor. Podolski¹⁾.

15 listopad. Chechło — Krzymopłoty — Załęże. — Przed południem mieliśmy ćwiczenia na „pustyni chłędowskiej“, a później nabożeństwo z racji niedzieli. O drugiej wymarsz. Idziemy na Kwaśniów i Krzymopłoty przez błota i rozlane wody, potoki...

¹⁾ Obecnie kapitan rezerwy.

Wieczorem o 8-ej stajemy za wsią Krzywopłoty, na zboczu jakiejś góry zamkowej, obok młyna, po kostki zanurzeni w wodzie rozlanego szeroko stawu... Czekamy, marznąc, godzinę jedną, drugą... Wodę pod nogami ścina mróz, wokół tworzy się szklisty lód i czepia się nóg. Zimno straszliwe, niesłychane... O 10-ej wreszcie jazda spać na strych młyna, na ostre grochowiny.

P I E R W S Z A B I T W A

16 listopad. Krzywopłoty. — Spaliśmy na strychu. Rano wśród pysznego wschodu słońca, rzucającego różane blaski na biały, zmarznięty staw — usłyszeliśmy pierwsze strzały karabinowe... O niecały kilometr za młynem, w którym stoimy, ciągną się pozycje.

Do młyna przyłazą z okopów żołnierze z VI i IV bataljonu, które już tu stoją od dwóch dni. Patrzymy na nich z zazdrością. Brudni okropnie, zamorusani w glinie i błocie, zmęczeni, ale pokpiwający z nas, że świeżych rekrutów, w nowych niebieskich płaszczach.

Przez cały dzień pękały szrapnele i grały baterje!..

Od rana dzisiaj nie w ustach nie mieliśmy prócz kawałka chleba i dopiero wieczorem zagnano nas o kilometr w tył do taboru na kolację.

17 listopad. Krzywopłoty. — O 6-ej zbiórka i z połówką chleba marsz na górę zamkową. Wilgotno, świeżo. Na górze zamkowej wśród wysokich sosen spędziliśmy cały dzień jako rezerwa.

Już od samego rana armaty poczęły grać, a około południa usłyszeliśmy pierwszy świst karabinowych kul. Po południu trzask ognia karabinowego poczynął gęstnieć, huk armat raz za razem rozrywał powietrze. Wywiązała się bitwa. Od zmierzchu nieprzerwany trzask ognia karabinowego potężniał, krwawą łuną zabłysła palona wieś Załęże... Zbiórka!

Obok nas biegiem przeleciała kompanja Słomki¹⁾, idąca w bój! Czekamy w radosnem podnieceniu... Ochota i zapal przebijają przez szeregi, radość nas poprostu rozpiera. Zapomnieliśmy natychmiast o wszystkich trudach, o całym zmęczeniu, o chłodziei głodzie... Obok nas stoi Narbutt i Rozeń²⁾, oficer artylerji. Kpimy wszyscy „na grandę” ze świstu kul, które co chwila przelatują ze śpiewem świegotem...

¹⁾ Por. Słomka, zginął w Legjonach pod Łowczówkiem.

²⁾ Obecnie gen. brygady.

Lecz w ogień jakoś nie poszliśmy! Po godzinie kompanja Słomki wróciła z Załęża, straciwszy ośmiu ludzi. Idziemy więc spać do swych nor, żłobionych na zboczu góry, by trząść się z zimna przez całą noc.

18 listopad. Krzywopłoty. — Siedzimy w okopach w lasku. Jesteśmy 3-cią linią rezerwy pułkowej. Karabiny maszynowe monotonnie trajkoczą, grzechot karabinowy coraz to potężnieje. Co chwila zawarkocze szrapnel lub gwizdnie kula. Rosyjska artylerja milczy, zato nasze małe, górskie armatki i austriackie baterje co chwila posyłają swych ognistych gońców. Prawdopodobnie będziemy się tłuc. Ciekawym ogromnie wrażenia, gdy będę łupił z manlichera nawprost do Moskali, gdy będę ich brał na muszkę. Wreszcie około 3-ej ruszyliśmy. Dwa plutony pod komendą Narbutta, jeden w rezerwie. Przelatujemy biegiem z góry zamkowej ku laskowi. W lasku odebrał Narbutt rozkazy od bataljonowego Wyrwy¹⁾, który z trzeinką w ręku w okrutnie podartych butach, stał w ogniu na okopie i wydawał dyspozycje.

Rozwinęliśmy się na brzegu lasku i wśród gradu moskiewskich kul, wśród krzyku Narbutta i Ulrycha: naprzód, naprzód. — pod ogniem karabina maszynowego, przelecieliśmy tyraljerką na jakieś wzgórze do gotowych okopów. Dolecieliśmy w kilkanaście minut, pozostawiając kilku rannych, wtem i obywatela Ulrycha²⁾, komendanta 3 plutonu i Nowosielskiego³⁾. Zabitych niema.

W głębokich okopach siedzieliśmy z pół godziny, a później gdy zapadł zmierzch, z powrotem marsz do lasku.

19 listopad. Krzywopłoty — Kwaśniów. — Rano wstajemy z naszych nor okryci śniegiem i rzucamy się łapczywie na gorącą, słodką kawę, którą nam podwieziono z Krzywopłotów w kuchni polowej. Od dwóch dni dostajemy po pół bochenka chleba na „twarz“, i dziwimy się nieustannie, że tak dużo. Podobno mamy stale już dostawać tyle, więc może skończy się już czas żywienia się karpielami i „fasowania“ dwu bochenków chleba na cały pluton...

Wieczorem, po zbiórce posuwamy się do wsi Kwaśniowa.

20 listopad. Kwaśniów. — Spaliśmy w nocy na strychu wśród nadzwyczajnego zimna. Nocleg ten niezem się nie różnił od poprzednich na zamkowej górze, to też prawie oka nie zmru-

¹⁾ Wyrwa-Furgalski, zginął w Legionach.

²⁾ Obecnie pułkownik Szt. Gen.

³⁾ Obecnie por. piechoty.

żyłem. Rano obudziłem się zmarznięty, osłabiony docna. Idziemy podobno na Śląsk. Bataljony VI i IV, do którego mamy być przydzieleni, wycofały się już z walki. W czasie bitwy został ranny Fichna¹⁾, również łódzianin, który prowadził pluton.

21 listopad. *Kwaśniów — Klucze — Bogucin.* — O 10-ej zbiórka i bez śniadania marsz przez Klucze na Olkusz. Szliśmy dość dobrze. Pogoda wspaniała, pod nogami zmarznięta gruda. Za Kluczami, na równym polu mieliśmy defiladę i uroczystość wręczenia medali. Staliśmy w szyku rozwiniętym — dwa bataljony. Brzoza²⁾ dowódca naszej artylerji wystąpił przed front i donośnym głosem pochwalił nas za męstwo pod Krzywopłotami, a potem wręczył trzy medale.

Chwila była uroczysta, to też na okrzyk Brzozy—Niech żyje Niepodległa Polska — odpowiedział tysięczny, ogromny głos: Niech żyje!! Później defilada w prawo przed trzema udekorowanymi wiarusami z VI-go bataljonu. Z jakąż radością salutowaliśmy tym trzem morowcom!³⁾.

Stanęliśmy we wsi Bogucin, odległej o 3 klm. od Olkusza, w dość dobrej kwaterze. Szukam starych strzelców z VI-go bataljonu, by się od nich cośniecoś dowiedzieć o walce w Załężu, na którego pożar myśmy z góry zamkowej patrzyli. Okazuje się, że było tam morowe pranie i prawie walka na bagnety. Straty duże. Nasza kompanja gnała wówczas na górę, aby ściągnąć na siebie ogień rosyjski i żeby w ten sposób VI-ty bataljon mógł się wycofać z Załęża.

Teraz już wszystko rozumiem...

22 listopad. *Bogucin.* — Stoimy dzisiaj w Bogucinie cały dzień. Wiadomości są dobre, Austriacy idą podobno naprzód. Prusacy rozbili Moskali pod Kutnem, zajęli Piotrków i zbliżają się do Łodzi. Kompanja nasza wcielona została do IV bataljonu obywatela Wyrwy.

23 listopad. *Bogucin.* — Szalenie zimny, wietrzny dzień. Niebo bez chmurki ciche i spokojne, zato na ziemi istne piekło! Hula wiatr po zmartwiałych drzewach, po chalupach, przewala się i huczy. Mroźny zimowy dzień. Stoimy w Bogucinie w po-

¹⁾ Obecnie adwokat w Łodzi.

²⁾ Obecnie pułkownik rezerwy.

³⁾ W bitwie pod Krzywopłotami brały udział dwa bataljony: IV — Wyrwy i VI Fleszara, do których wcielono uzupełnienie z ochotników Łodzi, Piotrkowa, Włocławka i Częstochowy. W tych samych dniach, reszta bataljonów Józefa Piłsudskiego, dokonywała swego słynnego przejścia pod Ulina Małą. (Przyp. aut.)

gotowiu alarmowym. Lada chwila możemy wyruszyć, lecz kiedy — niewiadomo. Prześpiwaliśmy cały dzień na głodno!...

Podobno Austriacy chcieli nas zpowrotem cofnąć na linję, lecz im się to nie udało. Sami zaś precz „forikują”. Cały dzień ciągną tabory za taborami, bataljony za bataljonami.

25 listopad. *Bogucin — Sławków — Strzemieszyce*. — Znowuż stanęliśmy w wsi Strzemieszyce i czekamy zmiłowania Boskiego, a może pociągu, którym pono mamy gdzieś pojechać. — Dzień mroźny, lecz spokojny. Niemcy podobno wciąż atakują. — idą na Warszawę.

26 listopad. *Strzemieszyce — Sucha*. — Dzisiaj wyjeżdżamy ze Strzemieszyc, dokąd nie wiemy, lecz prawdopodobnie do Krakowa na połączenie się z Komendantem Piłsudskim. O 4-ej przy zapadającej nocy wyruszyliśmy na dworzec. Kilka godzin czekania w wagonach, a potem jazda.

WŁÓCZĘGA NA PODHALU

27 listopad. *Sucha*. — Noc przeszła szybko. Obudziłem się na stacji w Krakowie. Wokół czytano przy świetle świeczek gazety krakowskie.

Powoli zaczyna się wyjaśniać, więc oblepiliśmy okna, gdy pociąg ruszył i przypatrujemy się cudnym wzgórzom. Podhale. Jesteśmy w Galicji. Nawet nie wiem, kiedy przekroczyliśmy granicę Kongresówki.

O 11-ej stanęliśmy w Suchej. Po krótkim śniadaniu — a jeść teraz dają jakoś obficie — maszerujemy do zamku Braniczkiego, gdzie nocleg na gołych deskach. Nawet nam hrabia słomy nie dał..

Krążą tu złe wieści! Piłsudski jest podobno na linji, maszeruje z pozostałymi bataljonami. Nie tracimy jednak nadziei!.. Dopóki Komendant jest z nami, nie wezmą nas w pacht ni „awstrijcy“ ni niemiaszki..

28 listopada. *Sucha*. — Przed obiadem mieliśmy ćwiczenia, o 2-giej zbiórka i wyruszamy w marszu na „baczność“ przy dźwiękach orkiestry — na dworzec. Zmierzchało się, gdyśmy wyjeżdżali, jakoby na linję. Po 6-ciu jednak godzinach tłuczenia się w wagonie przy cudnej, księżycowej nocy wysiedliśmy w... Suchej i marsz z powrotem na zamek.

30 listopada. *Sucha*. — *Nowy Targ*. — Cudny rozkoszny dzień! W siwych, lekkich oparach kąpią się słońcem oblane

szczyty podhalańskich wzgórz. Stoimy w szerokich, drewnianych szopach dworcowych, czekając na pociąg. Wokół gwar, orkiestra wesoło przygrywa. Jakaś tęskna zaduma chwyta za serce przy piosence: „Być żołnierzem rzecz cacana“.

Mamy jechać do Nowego Targu na dwutygodniowy pobyt na linii. Wyruszamy z ochotą, choć coraz częściej mówią o tem, że stajemy się austriackimi żołnierzami, choć niezadowolenie wzrasta, choć głuche szmery chodzą po kompanji. Nasza paczka nie zważa na to! Wierzymy Piłsudskiemu! Obowiązek swój spełnić musimy, wytrwać do ostatka! Kto wie jeszcze jaka burza się szykuje, jakie losów koleje będziemy przechodzić, jaki obrót weźmie sprawa. P. O. N. podobno rozwiązane, a jesteśmy pod komendą N. K. N. — Głupstwo!

A Moskali wciąż podobno Prusacy piorą i piorą! A niechże, niech piorą i otworzą nam drogę do Warszawy. Już tam pewnie Komendant dobrze kręci, żeby się dostać do Warszawki, choć podobno (takie chodzą wieści) Prusacy nas nie tolerują! Tymczasem z przyjemnością słuchamy orkiestry i śpiewamy: „Może wrócę zdrów i zobaczę wkrótce Łódź“... a ja sobie siadłem na wózku tragarza i na „chybcika“ tymczasem piszę...

Wyjechaliśmy o 2 po poł. i jedziemy na Maków, Jordanów, Chabówkę do Nowego Targu. W wagonie pełno, gwarno i wesoło. Jedziemy doliną obok szosy i wartko płynącej Skawy. Wokół wzgórza i wzgórza, a my wyczekujemy Tatr, lecz szczytów ciągle nie widać. O 8-ej wieczór zajechaliśmy do Nowego Targu. Wieczór mroźny, lecz jasno jest jak za dnia. Błady i poważny księżyc nieci swemi promieniami miliony iskier na śniegu. Mróz siarczysty...

Po kilku minutach, przy dźwiękach naszej orkiestry ruszyliśmy do miasta, po zmarzniętej, oślizgłej drodze. Góralska ludność wita nas z ogromną radością, wszędzie śmiechy i wesele. Czujemy się wreszcie wśród swoich, na polskiej ziemi...

2 grudzień. Nowy Targ. — Stoimy tu już drugi dzień. Boski odpoczynek.

5 grudzień. Nowy Targ — Waksmund — Maniowy. — Spałiśmy dzisiaj na łóżku na nowej kwaterze! Pierwszy raz od wyruszenia z domu! To też z rozkoszą przeciągaliśmy się na wygodnych materacach.

Rano do 12-ej ćwiczenia, które prowadzimy na polu w śniegu po kostki. Po południu — ledwieśmy obiad zjedli, zbiórka alarmowa i o 2-giej wyruszyliśmy. Mieliliśmy stanąć w pierwszej wsi za Nowym Targiem t. j. w Waksmundzie, a tymczasem wsie

za wsią mijamy, godzina za godziną uchodzi, a my wciąż z przegiętymi karkami dźwigamy się w marszu. Wieczór już zapadł, noc nadchodziła chłodna i mroźna, gdyśmy stanęli na nocleg we wsi Maniowy.

4 grudzień. *Maniowy — Krościenko — Szczawnica.* — Ruśzamy po herbatce, nasz pluton jako tylna straż. Fleszar prowadzi marsz, to też pędzimy wściekle po doskonałej zresztą szosie, zaganiając częstych maruderów.

Wokół dolina Dunajca. Wspaniałe wapienne skały Pienin, nagie iglice, przepaściste zbocza stoją ciche, przykryte lekkim płaszczem śniegu, zda się śnią... Za chwilę wznosi się przed nami potężna skała Czorsztynu. — A Dunajec mieni się srebrnymi barwami, toczy się wartko po zboczach skał, szumi ochoczo i wesoło...

Dochodzimy do Szczawnicy, gdzie w jednej chwili obydwaj bataljony wsiąkły w wille, domki, chałupy. Kto żyw w Szczawnicy, młódka czy starsza, chłopak czy gazda wybiegli z jadem, z pełnemi rękoma, ciągnąc na kwaterę. Kobiety starsze pochlipują, młode zęby szczerzą — to też spustoszenie w kolumnie następuje straszne. Nasza paczka pakuje się do pysznej willi, gdzie nas ze wzruszeniem przyjmują gospodarze i co ważniejsza — trzy panienki... Spędzamy tam wieczór i noc na pysznych łózkach, z prawdziwemi śnieżnemi poduszkami i materacami...

5 grudzień. *Szczawnica.* — Z ciężkiem sercem wstawaliśmy rano z miękkich łózek. Po śniadaniu szukanie reszty plutonu, a po komiśnym obiedzie, który został w kotłach, zbiórka po naboje. Dostaliśmy po 200 sztuk. Narbutt zapowiedział, by je cenić, gdyż w tych górach o naboje trudno. Patrole stoją tuż tuż za wsią i włóczą się gęsto po okolicy, wyszukując kozaczków, którzy się tu i ówdze pokazują.

7 grudzień. *Szczawnica — Niżne Łapsy.* — O 5-cj rano wpadł Zygmunt Chabowski z okrzykiem: „zbiórka w pełnym rynsztunku!“ — Wymarsz! Z prawdziwą wściekłością zaczęliśmy się zbierać. W willi zawrzał ruch, gospodarze za chwilę poprosili na śniadanie. Ogólna konsternacja i żal. Panienki mają smutne minki, załamują ręce...

Po wzruszającym pożegnaniu machnęliśmy na zbiórkę.

O 8-cj, gdy już kolumna ruszała, goni nas zdyszana panienka z naszej willi. Przebrana w mundur, uzbrojona. Mimo naszych perswazyj i protestów, „rekrut“ pakuje się do pierwszej czwórki. Nie pomogły żadne namowy, prośby i groźby. Została jako obywatel Adam — i już...

Tymczasem marsz otwierał przed nami najcudowniejszy zakątek polski, wspaniały przełom Dunajca. Szliśmy w milczeniu przez wąską gardziel białych skał, przyczepieni do zboczy, po wąziutkiej drodze, na węgierski Spiż. W zachwycających skrętach, dzikich węzowiskach rwał pod nogami zielony Dunajec. Na nocleg stanęliśmy we wsi spiskiej, Niżne Łapsy.

8 grudzień. *Niżne Łapsy — Czarna Góra — Bukowina.* — Hej ciężkie marsze po górach, dolinach! Plecak ciągnie ku ziemi, głowa chyli się w dół od zdrętwiałego karku, uda z ostatnim wysiłkiem podnoszą ciało wysoko, wysoko, ciągle wgórze...

Idziemy po szerokich wzgórzach, stopniowo się wspinając, to znagła wdół lecąc chybcikiem! Ciężkie farsze, ciężkie, od których dzika pasja w człowieku zbiera na własną niemoc, potoczy zalewa, a odkrytą pierś górski wiatr chłodzi..

Z Niżnich Łapsów idziemy wciąż górami, z częstymi odpoczynkami. Już Tatry czernią się przed nami zboczami skał, sypkimi piargami. Potężnie i groźnie spozierają ośnieżone turnie i jakby tuż tuż, objąć byś je chciał, tylko siwa mgła rozwleczone szeroko u stóp mówi, że daleka do nich jeszcze droga...

O 4-ej stanęliśmy we wsi Bukowinie o kilka kilometrów od Poronina i Zakopanego. Stoimy w czystej chałupie, gdzie młoda góralka gościnnie nas przyjmuje mlekiem, kartoflami, a stary gazda, z pooranem czołem, dopytuje się ciekawie o tę bliską wojnę.

9 grudzień. *Bukowina — Poronin.* — Hej! Co za cudy natury mamy przed sobą! Nocą gwiazdne niebo a takie gwiazdne, że oczy mrużyć trzeba, patrząc na promienne migotanie miliona gwiazd. Rankami krwawe, przepyszne jutrzeńki, na których tle potężne szczyty Tatr jeszcze się ogromniejsze i potężniejsze zdają, swity różane na śniegach, na które patrzysz z cichym zachwytem, dziwujesz się i krzychałbyś z radości, że świat tak piękny, tak wspaniały..

O 10-tej wymaszerowaliśmy z Bukowiny i wciąż wdół serpentynami schodząc, zaszliśmy w południe do Poronina, gdzieśmy stanęli na noc.

10 grudzień. *Poronin.* — Godzina 5-ta po południu. Na dworze ciemno, niebo chmurne, halny wiatr świsze w opłotkach, gra na smukłych smerekach, gna siwe, głębokie chmury, tłucze je po wyniosłych szczytach Tatr. Ciepły, halny wiatr pozganiał śniegi do rowów i dziur, rozkuł bystre potoki i zrudziałym płaszczem pokrył cyrle, hale i szerokie zbocza...

11 grudzień. *Poronin*. — Mamy w Poroninie „garę”. Dzisiaj przy zbiórce śniadaniowej Narbutt odczytał rozkaz o odpoczynku i odpowiednie do tego rozkazy. Będziemy mieli gimnastykę (a jakże!), poza tem wykłady i trochę ćwiczeń.

Pogoda wstrętna, chmury tłuką się po niebie, od gór ciągnie ciepły wiosenny prawie wiatr, rozmiękła ziemia i błoto ślizga się pod nogami.

12 grudzień. *Poronin*. — Niewesołe nadeszły dzisiaj wiadomości. Ponoć Moskałe coraz bardziej prą w Galicji, w Królestwie również źle. Nastroiły nas te wieści pesymistycznie, więc znów rozpoczęły się te długie, wieczorne gawędy, o tem co zrobimy w razie przegranej, gdzie się na emigrację udamy. Ciężkie, smutne myśli wloką się za starym szlakiem emigracyjnym, starymi polskimi drogami żołnierzy — tułaczy...

13 grudzień. *Poronin — Szaflary — Nowy Targ — Ostrowsko*. — O 5-tej rano pobudka i po śniadaniu marsz na Nowy Targ. Idziemy ponoć na linję.

Nad Tatrami wiszą chmury i mgły się czepiają nagich turni. W dolinach wilgoć i ciepło. Orkiestra przygrywa, idziemy szybkim marszem. O 10-tej stanęliśmy w Szaflarach na godzinny postój, a o 1-szej wkraczamy z powrotem do Nowego Targu. Rozradowane twarze patrzą na nas wokół, gospodarze rozpoznają niedawnych swych gości, witając nas serdecznie. Radość jednak była krótka. Po godzinnym postoju pomaszzerowaliśmy dalej...

14 grudzień. *Ostrowsko — Łopuszna — Ochotnica*. — Ciężki mieliśmy dzisiaj marsz. Choć częste były odpoczynki — solidnie zmachani weszliśmy o 4-cj po południu do Ochotnicy.

Rano ruszyliśmy z Ostrowska i z Łopuszna skrzyliśmy na wschód w stronę Limanowej. Idziemy do Kamienicy Dolnej, prawdopodobnie na linję, choć nie wszyscy tak sądzą. Coprawda ludzie są przemęczeni. Od Krzywopłotów wieczne marsze i kontrmarsze, najwyżej jedno, dwudniowe odpoczynki. Połowa ludzi w bataljonie choruje. Podobno Komendant ma na celu trzymanie nas jak najdalej od linii, by zaoszczędzić nasz IV i VI bataljon. A z drugiej strony znowu twierdzą, że idziemy na pewniaka na linję, że pierwszy, trzeci, piąty bataljon są w ogniu i, że my idziemy ich zmienić¹⁾. Nie wiadomo co sądzić. Lecz faktem jest, że z przyjemnością poszlibyśmy już na linję, byle tylko prędzej póki jeszcze zapasy są w plecaku, a na dworze jako tako ciepło i mróz jeszcze nie ścisnął.

¹⁾ W tym czasie, pozostałe bataljony Józefa Piłsudskiego, po przejściu pod Uliną Małą i po krótkim odpoczynku — walczyły pod Marcinkowicami, Limanową i Nowym Sączem. (Przyp. autora)

15 grudzień. Ochotnica — Łącko — Kadcza. — Do południa ponoć mamy stać w Ochotnicy, do której wczoraj po całodziennym marszu przywlekliśmy się, lecz już o 12-ej wpada dyżurny z okrzykiem: alarm! W kilka minut stanęliśmy przy Narbucie. Nadjechał porucznik Rokita¹⁾ z okrzykiem: Komendant i pułk w Nowym Sączu—maszerować! Odpowiedział mu ogromny krzyk radości i w doskonałych, przepysznych humorach ruszyliśmy. Marsz był ciężki, gdyż rwaliśmy mocnym krokiem. O 4-ej postój i obiad na szosie, poczem znów dalej. Noc zapada, godzina za godziną upływa, a my wciąż kilometry za kilometrami zostawiamy za sobą. Stanęliśmy we wsi Kadcza.

16 grudzień. Kadcza — Gołkowice — Podegrodzie. — Dzisiaj przed wymarszem, gdyśmy stali na szosie, od przechodzącego dziadka, niosącego opłatki, dostaliśmy po całej paczce, jednej na pluton. — „Niech tam panom Matka Boska da święta spędzić spokojnie“ — życzył nam dziadus bezzębniemi usty.

W południe stanęliśmy we wsi Podegrodziu.

17 grudzień. Podegrodzie — Nowy Sącz. — Ruszyliśmy po obiedzie do Nowego Sącza i przestrzeń dwunastu km przeszliśmy szparko. Do miasta wchodzimy przy hucznych dźwiękach orkiestry, która rżnie potężnie. Wszystkie balkony wypełnione widzami, witają nas ludziska serdecznie, radośnie! A wiara wycina mocny, równy krok z głową do góry podniesioną, z wysoka, dumnie patrząc na wałęsających się Austrjaków.

18 grudzień. Nowy Sącz. — W Sączu ruch ogromny. Zebrały się tu wszystkie bataljony pułku, to też strzelców moc. Miasto uroczyście się przygotowuje do urzędu nam wilji i świąt.

Sytuacja podobno doskonała. Prusacy piorą „rusków“ strasznie, w Galicji Moskale cofnęli się ponoć za Tarnów i Rzeszów. Oby to była prawda!

Dzisiaj z byłego pułku 1 stworzono teraz dwa, a z nich I Brygadę. 1 pułk pod komendą Śmigłego²⁾, a 2³⁾ — Norwida⁴⁾. Obecnie jesteśmy 1 kompanją I bataljonu 2-go (5-go) pułku! Każdy pułk składa się z trzech bataljonów, bataljon z trzech kompanij, te zaś z trzech plutonów.

20 grudzień. Nowy Sącz — Zbyszyce. — Do obiadu pyszny mieliśmy dzień. Słonecznie, jasno, ciepło! Tłumy strzelców i uła-

¹⁾ Rokita-Maksymowicz, obecnie plk. piechoty.

²⁾ Śmigły-Rydz, obecnie generał dywizji.

³⁾ 2-gi pułk a właściwie 5-y, gdyż taką cyfrę otrzymał on później w ogólnej numeracji pułków legjonowych.

⁴⁾ Norwid-Neugebauer, obecnie generał dywizji.

nów spacerują po ulicach Sącza, flirt i romanse z nadobnymi sączankami niby wiosną. Nastrój doskonały. Krążą pogłoski, że mamy iść do Królestwa i t. d.

Dostaliśmy „Wiadomości Polskie” z Cieszyna i opis bitwy pod Krzywopłotami. Moskale dostają strasznie w skórę, ofensywa ich jest zupełnie złamana. Mieliśmy tutaj zostać podobno na święta, na które uroczyste się Sącz szykował, lecz niedługo trwały nadzieje. O 4-ej zbiórka alarmowa, wydanie żelaznych porcyj i gwałtowny marsz na linję, do późnej nocy w kierunku Tarnowa. Droga trudna do przebycia, gnaliśmy jednak prawie bez odpoczynku. Stanęliśmy wreszcie we wsi Zbyszyce — cały pluton w trzech izbach na słomie. Zmęczeni jesteśmy, jednocześnie zaś uradowani, że mamy choć takie kwatery.

21 grudzień. Zbyszyce—Zakliczyn.—Chłodny wiatr na dworze, a rozkisie błoto chłapie pod nogami... Całe dwa pułki naszej brygady maszerują siwą, głęboką kolumną, rozwleczoną na kilka kilometrów. Gdy od czasu do czasu wzbija się szosa ku górze wśród ciemnej ramy lasów, z jakąż rozkoszą spoglądamy z wyniosłości na siwego, błękitnego węża, na kolumny wojska polskiego ciągnące się przed nami, ciągnące się za nami...

Linja nas ponoć czeka w dużych lasach. Około południa spotkaliśmy Austrjaków, prowadzących kilkuset Moskali. Jeńcy wyglądają okrutnie nędznie. Na kawałek chleba lub suchara rzucają się jak zgłodniałe wilki, to też nie czujemy jakos do nich nienawiści, widząc ich bez broni, zgłodniałych, wynędzniałych...

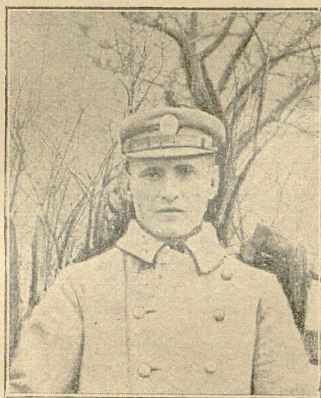
Orkiestra gra. Około 5-tej stajemy w jakiejś wsi, na obiedzie, a potem długi postój na cmentarzu kościelnym. Chłodno, wiatr — a wiara zbiera się grupkami i śpiewa kolędy. Wieczorem stanęliśmy w Zakliczynie.

LAS POD ŁOWCZÓWKIEM.

22 grudzień. Zakliczyn — Lichwin. — Wczesny marsz szosą w kierunku na Tarnów. Gnamy jak wściekli, bezustanku. Ludzie szalenie przemęczeni. Stanęliśmy wreszcie obydwoma pułkami i z szosy, zawalonej austriacką artylerją i konnicą, skrzyliśmy na prawo, na pagórkowate, poszarpane wzgórzami pola i laski. Koło południa usłyszeliśmy daleki stukot karabinów maszynowych.

Idziemy teraz powoli z częstymi przystankami, a o 5-ej po południu — już podzieleni — doszliśmy do brzegu lasu, gdzie stanęliśmy jako rezerwa. I pułk poszedł natychmiast w las, do okopów, w ogień...

Pod wieczór cofnęliśmy się do wsi, zdaje się że Lichwina, w dolinę pod laskiem, na kwatery. Szrapnele poczęły nas już macać a granaty z chichotem ryły potężne wyrwy w czarnej, ciężkiej ziemi. Stanęliśmy w ciasnej izbie, w której razem z góralską rodziną mieści się krowina z cielęciami, lecz ściska się jako tako cały pluton, Bóg wie jak i gdzie rozmieszczony. Wieczorem przyszedł Narbut i Grudziński¹⁾, który objął po Wyrwie nasz bataljon i zajądali z nami morowe pyrki z konserwami. Grudziński ma niesłychanie dobre, pocziwe oczy, które, gdy mówi o czymś niemiłym, przykrem—nabierają stalowego, chłodnego wyrazu, tak przejmującego, jakiego u nikogo jeszcze nie spotykałem...



Kpt. Pękrzyc-Grudziński.

25 grudzień. *Łowczówek*. — O 6-ej rano poderwano nas na nogi i po wypiciu gorącej kawy, okrutnie błotnistą drogą leśną, doszliśmy na przeciwną stronę młodego, dębowego lasu. Karabiny maszynowe już tu tłuką, trzask ognia karabinowego to słabnie, to potężnieje. Po drodze napotkaliśmy wziętych do niewoli przez 1 pułk około stu Moskali w tem kilku oficerów. To śmigły już w nocy atakował.

Nastrój doskonały, idziemy w humorach nadzwyczajnych. W lasu czekamy kilka godzin, bawiąc się rozbijaniem moskiewskich karabinów, wreszcie około 10-ej poszliśmy naprzód, by przedłużyć lewe skrzydło II bataljonu. Po zajęciu grupkami wyrytych już okopów, zostałem natychmiast przez Narbuta wysłany jako podoficer dyżurny z meldunkiem do Grudzińskiego o obsadzeniu przez nas linii. Odchodząc z meldunkiem, stanąłem w pewnem

¹⁾ Zginął w Legionach w czerwcu 1915 roku pod Żernikami.

miejscu, gdzie wyrąb lasu tworzył niby okno, przez które było widać szeroką dolinę, przerżniętą białą wstęgą rzeki i porytą krętymi linjami okopów. Ze wszystkich stron rwał tam ogień karabinowy, niby nieustanne bębnienie deszczu po szybach... W dole, w odległości 800 — 1000 kroków widać pierwszą, jasną linię okopów, gdzie są Moskale. Stąd mają nas, zdaje się, atakować. Nie wytrzymałem i oparłszy manlicher o drzewo wyróżnałem pięć naboii...

Grudzińskiego znalazłem o kilkaset kroków wtyle z rezerwową kompanją. Wypytywał mnie swym dobrym głosem o rozkład pozycji i natychmiast wysłał mnie dalej z meldunkiem, na na drugi koniec lasu do chałupy, gdzie stał Fleszar. Zaszedłem tam po dwugodzinnej coś wędrowce bo całkiem straciłem orientację w tych niezliczonych jarach i parowach leśnych. Zalałem aż całkiem w prawo do 1-go pułku, skąd mnie dopiero skierowano we właściwe miejsce.

Fleszar, skorom mu znękań i spocony, do izby chłopskiej, pełnej ordynansów naszych i austriackich, przyniósł meldunek, kazał mi na mapie pokazać dokładnie naszą pozycję i zatrzymał jako łącznika do Grudzińskiego.

Przez całą noc kilka coś razy z najwyższem zmęczeniem i z wściekłością przenosiłem rozkazy przez ten obłądny, okropny, trzaskający ekrazytówkami las, aż nad ranem wyrwałem się wreszcie do kompanji, która stała już w rezerwie w małym jarze, tuż za wczorajszemi okopami.

24 grudzień. *Lowczówek*. — W lasku nieustanny, przenikliwy trzask pękających nad głowami ekrazytówek. Dowiaduję się po drodze od łącznika, że Zdziech Chabowski zabity został zaraz pod wieczór, w pierwszych godzinach. Oprócz Zdziecha zabitych jest jeszcze trzech: podoficer, zafrontowiec Brzeski (Wyszacki), Kubik i Kapuścik z II plutonu.

W rezerwie chłopcy rozłożeni na mokrej, szeleszczącej zeschłemi liśćmi ziemi — opowiadają o szczegółach wczorajszego dnia. Zdziech Chabowski zginął, wyrwawszy się na ochotnika, by ratować wracającego z patrolu Kapuśnika. Rozszarpany został kulami, gdyż Moskale podsunęli się pod same okopy. Wyszacki dostał w serce, gdy w ciasnym okopie siedział na kolanach Narbutta...

Godzina za godziną mija, powoli się zmierzcha, krwawe blade wieczornej zorzy zalewają, czerwienią młody las. Wieczór wigilijny. Łamiąc się sucharami, bo nie dla wszystkich starczyło opłatków, składamy sobie życzenia, siłąc się na humor i bez-

troskę. Pierwsza wigilja spędzona w polu, daleko od rodzinnego domu...

Zapada wieczór i biały księżyc osrebrza las. Po godzinie wycofują nas i cicho, tajemniczo z bagnetami na broni wychodzimy z lasu. Cisza — tylko coraz zaśpiewa kulka i trzaśnie o drzewo.

W głuchej ciszy doszliśmy do kwatery Fleszara, gdzie za chwilę rozkaz zmieniono. Wracamy do okopów. Błądząc trochę po pagórkach lasu, dochodzimy wreszcie na dawne miejsce. Ledwieśmy stanęli, by zająć rozpoznawane okopy, gdy nagle migotliwa koronka ognia trzasnęła nam w twarz. Salwa Moskali, którzy po chwilowem wycofaniu się naszym — doszli już do okopów i zajęli je.

Zawahała się wiara w pierwszej chwili i zachwiała, ale krzykiem Narbutta poderwana — ruszyła gwałtownie naprzód, wprost na błysk karabinów, bijących w nas o kilkanaście kroków. Z krzykiem zajęliśmy okopy, już opróżnione...

Całą noc bez zmrużenia powiek tkwiliśmy w nieustannym prawie ogniu. Co chwila szmery podnosiły się przed nami i trzeba było kropić co siłą...

W okopie bije obok mnie Weze¹⁾ z III plutonu, a między nami całkiem spokojnie leżał trup moskiewski... Zemocjonowani, czujni, z natężoną uwagą słuchający przedpoła, aniśmy go spostrzegli, dopiero nad ranem w sinym blasku ujrzał go pierwszy Weze, poczem chwalebnie wysilkami wyrzuciliśmy go z okopu wdół do Moskali.

Przez całuteńki dzień uwaga napięta, naprężona. Moskale leżą pod nami na równi pochyłej, o jakie 30 do 40 kroków. Co chwila zrywa się stamtąd gwałtowny trzask ognia, na który my natychmiast odpowiadamy grzechotem manlicherów... W przerwach polujemy na siwe, baranie czapy moskiewskie, co nam tyle łatwiej przychodzi, że jesteśmy na górze, a oni na dole...

Obchodzimy dziś pierwsze święto Bożego Narodzenia. Co jakiś czas, w gruchocie ognia, przy nieco dysharmonijnym okrzyku rannych, których sypie się coraz więcej, śpiewamy kolędy...

Zawodzimy staropolskie „Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj“... składając się z karabinów, na których błyszczące zamki od czasu do czasu kapnie sentymentalna łezka...

Poza tem trzyma się nas dziki upór i gotowiśmy na pazury drzeć się z sybircami, choćby za to, że nam tak piękne święto w kochanym Śączu na nic popsuli...

¹⁾ Zginął w Legionach.

Piszę te słowa w okopie, opierając się o żółtą, trochę grób świeży przypominającą ścianę. gdy tymczasem mój towarzysz uważnie penetruje krzaki przed sobą czy nie wysuwa się stamtąd jaka czapa.. Wiara poza tem na zmianę strzela, śpiewa i czyta. Bowiem w Podegrodziu obrabowaliśmy doszczętnie jakąś bibliotekę szkolną i każdy napchał se do tornistrów lektury od powiastek Teresy Jadwigi począwszy na Słowackim i Wyspiańskim skończywszy. Gdy który ranny i zabity zostawi tornister, wyjmują stamtąd inni książki. Jest tego tak wiele, że wiatr się bawi białymi kartkami i przerzuca je do Moskali. Co te jełopy se pomyślą, gdy im „kawałek“ Sienkiewicza czy Słowackiego wiatr zaniesie?...

O 4-ej chyłkiem, tajemniczo, już o zmroku wycofaliśmy się zupełnie z lasku dzięki Austriakom, którzy zwiali na skrzydłach i samych nas w lasku zostawili. Natychmiast po opuszczeniu przez nas okopów Moskale ruszyli na laszek z okropnym „urra“!

Do późnej nocy błakaliśmy się po różnych dziurach, aż wreszcie stanęliśmy we wsi Wróblewicach.

26 grudzień. *Wróblewice — Zakliczyn.* — Zbudziła nas baba rano że kartofle i woda się warzą. Szybkośmy się ubrali i zjedli po kociołku kartofli z konserwami, popijanemi kubkiem słodkiej, gorącej kawy. Odetchnęliśmy z ulgą, bo już nam wczoraj wieczór głód poczynął kiszki skręcać. Po obiedzie, o 4-ej alarmowa zbiórka i marsz na dół po wertepach na kwatery całym bataljonem. Na dole, we wsi Narbutt miał krótką do nas przemowę, kilka serdecznych słów. Zdjęciem czapek i wzruszeniem głębokiem uczciliśmy poległych pod Łowczówkiem...

Lecz wrażenia na wojnie szybko się zmieniają... Za chwilę rozdano nam gwiazdkę. Pudełko z łakociami na czterech. Radość i śmiech wokół. Idziemy na kwatery do stodół. Ledwieśmy się rozkwaterowali, znowu zbiórka i wymarsz. Bataljon stał z godzinę na górze, czekając widocznie na rozkazy, a nasz pluton miał wyżej placówkę i wedetę. O 8-ej ruszyliśmy naprzód i po dość uciążliwym marszu doszliśmy o 11-ej nocą do Zakliczyna, gdzie po kolacji na rynku — marsz spać na 5 godzin do jakichś niesłychanie brudnych, żydowskich kwater, w których od kilku tygodni stali na zmianę Moskale i Austriacy.

27 grudzień. *Zakliczyn — Lipnica Górna.* — O piątej rano niewyspani, zmęczeni, zarzuciliśmy tornistry i jazda na rynek po herbatę. Do 8-ej staliśmy na rynku, podśpiewując grupkami, gwarząc o bitwie i o dalszych przypuszczalnych losach. Wieści krążą, że idziemy do Krakowa i Królestwa. Może do „niebies-

kiego“ jeżeli na linję pójdziemy, ale zawsze do Królestwa. Wreszcie ruszyliśmy.

Droga podła, błoto po kostki. Tabory austriackie ciągną na przeciw, więc co chwila stajemy. Gdy orkiestra zaczyna smętnie wyciągać, grać naszą 8-kę¹⁾, wzruszenie nas ogarnia potężnie. Żal, tak serdecznie żal tych młodych serc, które bić przestały tam, pod Łowczówkiem, w szumiącym, dębowym lasku.

Tymczasem błoto, sięgające do kostek, czepiające się nóg, gęste, przepaściste — doprowadza nas do prawdziwej rozpacz. O 4-ej doszliśmy do Lipnicy i znowu pod górę, to znów wąwozem do wsi. Co chwila odpada maruder, siada na ziemi zrozpaczony, klnie, nie mogąc iść dalej. Wreszcie stanęliśmy w Lipnicy Górnej.



Leon Berbecki, komendant II pułku (5 p. p. Leg.)

28 grudzień. — *Lipnica Górna*. — Odpoczynek, i to podobno tygodniowy!! Dzisiaj po 12 godzinach snu, czujemy się tak rozbici, że ledwo się trzymamy na nogach! Myślimy tylko o jedzeniu, by się cokolwiek podreperować. Może czekają nas żmudne marsze po błotach Królestwa — trzeba więc sił nieco nabrać.

¹⁾ 8-ka nazwa utworu muzycznego — od Łowczówka stała się ulubioną melodią 1 i 5 p. Do tej melodji dostosowano w 2 lata później słowa, z których powstała pieśń „My pierwsza brygada“.

Dzisiaj objął komendę nad naszym pułkiem kapitan Berbec-ki Leon¹⁾, były oficer rosyjski, który ma za sobą kampanję ja-pońską.

30 grudzień. Lipnica Górna. — Godzina 3-cia po południu. Skończyłem właśnie służbę gońca w bataljonie i wróciłem na naszą kwaterę. Spodziewany napewno wczoraj wymarsz nie doszedł do skutku, gdyż przyjechał Komendant z wymuszonym na Austrjakach odpoczynkiem dla Brygady.

Dzień nam przeszedł na ciągłym fasunku. Poza tem zaszedł ważny fakt: zmieniliśmy komendanta bataljonu. Porucznik Gru-dziński oddał komendę nad bataljonem kapitanowi Sławowi Zwierzyńskiemu, młodzieńkiemu, prawie dziecinnemu oficerowi.



Kpt. Sław-Zwierzyński.

31 grudzień. Kończy się dzisiaj rok 1914, a tymczasem woj-
nie ani nie śni się kończyć, choć wszyscy wybieraliśmy się prze-
cie na nią najwyżej do świąt... Nikt nikogo do szczętu nie rozbił,
ani Niemiaszki rady Moskałom dać nie mogą, ani Francuzy
„Germancom“...

Ano zobaczymy co nam da przyszły rok — a tymczasem na
Sylwestra będziemy se życzyli, aby w Niepodległej...

Mam teraz wrażenie, jakbym niepodległość stokroć lepiej
rozumiał i odczuł, przez to, że mogłem się o nią bić. Żem widział
krew „ich“, żem widział blade twarze naszych chłopców, za-
snute śmiercią pod Krzywopłotami i Łowczówkiem...

¹⁾ Obecnie generał dywizji.

25 luty 1915 roku. Kęty. — Siedzieliśmy w Kętach połowę stycznia i prawie cały luty. Z Lipnicy Murowanej kilkudniowym marszem docięgnęliśmy do tej podgórskiej, malej miejsciny i bataljonami rozłokowaliśmy się po okolicznych wsiach.

Nie pisałem w tym czasie, jak zwykle, z dnia na dzień swego pamiętnika. Wlokły się dni jedne do drugich podobne, jednakie. Ćwiczenia, ćwiczenia i jeszcze raz ćwiczenia — „bawienie się w wojsko“, służba wewnętrzna, regulaminy, warty... Po zaśnieżonych polach tłukło się godzinami musztrę formalną i bojową, a w długie wieczory przy nieświatłej lampie pisało się listy. Konie poczty polowej padały ze znużenia, bowiem „leguny“ rozpisywały się za wszystkie czasy... Za jesienne chłody, błota, za Łaski, Krzywopłoty, Limanowę, Łowczówek, za swoje złe i dobre czasy. Gdy zapadał wieczór, odbywały się okropnie długie „romanse“, jak je nazywaliśmy i każdy jak umiał i mógł, opisywał atramentem czy ołówkiem kopjowym żołnierskie swe przeżycia. A że to wszyscy młodzi chłopcy, niektórzy dzieci poprostu, więc wyplakiwała się dusza za matczyną pieśczętą, za ciepłem domowych rozkoszy, do których jednak żaden, za żadne skarby by jeszcze nie wrócił... Wojna nie skończona do „Niepodległej“ droga jeszcze przed nami długa.

Monotonję zimowych wieczorów przerywała poczta, która nad podziw regularnie przychodziła i spijanie herbat wraz z niezliczoną ilością paczków, jakich w „herbaciarni legjonowej“ za śmieszne halerze można było się najeść za wszystkie niedojedzone czasy... To zacne „ligawki“, kochana opieka kobieca, pamiętała o postoju Brygady w prześwietnych Kętach...

Siedziałem raz z naszą paką skautową przy owych paczkach. Kurzyło się z herbat, z papierosów, biło ciepło z rozpalonego pieca. Śmiech, pogawędka, ruch i gwar...

Rumor się nagle uczynił i scichła sala. Wśród wyprężonych, szarych mundurów przeszedł Komendant i siadł z adjutantem przy stoliku.

Cisza trwała dalej — na chwilę roztrącona suwaniem i stukiem krzeseł. Przerywał ją tylko niski, kochany głos, przekomarzający się ze splonioną i wniebowziętą „ligawką“, a leguny wpiły chciwie swe oczy w twarz Komendanta, zamieniły się całe w słuch, w natężenie, by nie uronić ani jednego słowa, gestu, spojrzenia...

Tygodnie „gary“ w Kętach zleciały jak piorun. Pod koniec coraz częściej i głośniej poczęto mówić o wymarszu, który nastąpić ma wreszcie jutro, 26 lutego.

Wracam więc do pamiątnika, by znów drobnym maczkiem zostawić za sobą historję tego, co już było, co przechodzi...

Zapomniałem zapisać. Po Łowczówku Jurek Szletyński został mianowany sierżantem, Tosiek Berlach kapralem, Adek Goldenberg i ja starszymi żołnierzami. Nasz 1-szy pluton objął podporucznik Stefan Rowecki¹⁾, piotrkowianin, pozatym przydzielony został do naszego plutonu Leszek Pomianowski — inaczej panna Zofja Plewińska, malarka z Krakowa.

NAD WIERNĄ RZEKĄ

26 luty. Kęty — Szczakowa. — Pobudka, choć spodziewaliśmy się jej wcześniej, odbyła się jak zwykle o 7-ej. Wymarsz o 2-ej. I znowu najrozmaitsze przypuszczenia. Jedni twierdzą, że dopiero z Bielska wyjazd pociągiem, inni, że wprost z Kęt. A dokąd — czy do Dukli, gdzie sroży się ofensywa rosyjska, czy na Bukowinę, czy pod Tarnów lub Warszawę — tego nikt nie wie. Podobno pod Warszawę, do Piotrkowa — tak część z uporem zatwardziałem głosi, zaś inni, że nieodwołalnie pod Tarnów, starym szlakiem na Łowczówek.

Przy komendzie pułku postój i krótka przemowa Narbutta do nas. Mówił spokojnie lecz ostro. „W bojach, które nas czekają, zachowujcie się jak polscy żołnierze! Miejcie pogardę śmierci, którą mają nasi wrogowie, Niemcy! Niechaj nikt z was nie myśli o śmierci, gdy idzie w bój. Powinien tylko każdy z was o obowiązku pomiętać, o tem, by cel osiągnąć“.

Zebrał się bataljon i pomaszerowaliśmy na Bielsk. Przed karczmą stanęliśmy, by uzupełnić amunicję, gdy w tem gruchnęła wieść, że jedziemy wprost do Piotrkowa na organizację i, że to tylko nasz bataljon rusza. Radość niesłychana!

O 5-ej byliśmy w Bielsku. Marsz przez miasto wypadł doskonale. Muzyka rżnęła, wiara szła aż ziemia się trzęsła.

Dopiero na peronie dworcowym rozeszła się wiadomość, lecz już na serjo powtarzana, że jedziemy pod Jędrzejów, na linję. I rzeczywiście wiadomość okazała się prawdziwa.

Komendant wpadł na chwilę, przeglądnał wyprężone szeregi, zarządził wymarsz i zniknął.

27 luty. Szczakowa — Jędrzejów — Opatkowice Drewniane nad Nidą. — Rano obudziłem się w Szczakowej. Jeszcze tylko kilka kilometrów do granicy. Zniknęły już śniegi Karpat, rów-

¹⁾ Obecnie podpułkownik Szt. Gen.

niny szerokie, kochane równiny, do których takżeśmy się stęsknili, rozciągają się naokół. Pociąg powoli przechodzi przez most granicznej rzeki, tu już kraj „carski” — Królestwo!

Na stacji w Olkuszu niema już napisów moskiewskich, tam gdzie sześć miesięcy temu był napis tylko rosyjski, obecnie już tylko polski.

Coraz to więcej zbliżamy się do Jędrzejowa. Tam zburzona, spalona stacja, tabory ogromne i wielkie, trajkoczące, ciężarowe samochody naokół.

Po obiedzie wymarsz. Bataljon w czwórkach rusza do miasta, wiara w pysznym nastroju. Nareszcie będziemy się bić w tem kochanem Królestwie, na szerokich równinach, u siebie. Muzyka rżnie, mieszkańcy witają nas ze zdziwieniem, chwilami z radością.

Do 9-ej wieczorem trwał marsz. Przepyszna, jasna noc otoczyła nas swemi skrzydłami. Wiara idzie zcicha, gwarząc, zatapiając wzrok w szerokie, kochane dale. Stanęliśmy we wsi Opatkowicach Drewnianych, na kwaterę dostaliśmy izdebkę małą, ciemną, lecz jakże nam miłą...

Przyszedł rozkaz: „Nie wolno nic rekwirować! Z ludnością obchodzić się jak najgrzeczniej, jak najłagodniej!”

28 lutyl. *Opatkowice Drewniane*. — Powitał nas prawdziwy polski poranek, poranek pól szerokich, osmętniałych dziwnie w szare dni, a radosny, jasny gdy złote, dobre słońce blask roztoczy na ugory, niwy, pola szerokie.

Przywitał nas jeden z tych cudnych wiosennych poranków, kiedy to słońce srebrzy oszroniałe ugory, łamiąc się w tysiącnych iskrach na drobnych kryształach szronu. Powietrze rześwe, chłodne, tak czyste, że mógłbyś świat objąć jednym spojrzeniem.

Wychodzą strzelcy jeden po drugim z chalup, zda się wyciągają ramiona do tych pól szerokich, miedz siwych i cichych drzemiących grusz! Porzuciliśmy wreszcie te góry przekłete, te góry tak pyszne w swym majestacie śnieżnych grani, błyszczących w słońcu szczytów a tak niemiłosiernych, męczących, gdy z plecakiem ciężkim i „gwerem” w garści wspinałeś się wyżej i wyżej...

Pod słońcem sinieją wdali zamglone wzgórza pozycyj moskiewskich, po szarych ugorach wiją się pęgami żółte okopy. Ciekawa pozycja! Od 10-ciu tygodni Moskale i Austriacy siedzą naprzeciwko siebie po obu stronach Nidy, nie czyniąc sobie żadnej szkody.

W powietrzu cicho. Nie dochodzi ni stłumiony zdaleka, ni bliski, ostry, huk dział, nie słyhać przejmującego chichotu granatów i gwizdu szrapneli...

Wiesz zaś prawdziwie polska! Po obu stronach drogi rozsiadły się bielone chaty, zasobne w lata pokoju, karmione urodzającą ziemią pińczowską!

1 marzec. Opatkowice Drewniane. — Brygada nasza zajmuje stanowiska od wsi Chojny do Brylczyzna, nad Nidą. Szeroko się tu rozsiadły błotniste łąki, tworząc o tej porze zaporę dla ataków niepowszednią. W niektórych miejscach okopy moskiewskie oddalone są od nas o 4 prawie klm. a przestrzeń między nimi — to błota i łąki, wśród których leniwie toczy się Nida. Nasz bataljon będzie zajmował skrajne, prawe skrzydło w sąsiedztwie z Austryjakami.

2 marzec. Opatkowice Drewniane. — Cała linja naszych okopów obwiedziona jest tutaj drutem kolczastym, a walk prawdopodobnie większych nie będzie, gdyż Moskale i Austriacy znają obustronne swoje stanowiska, tak, że mogą granatami poniszczyć najlepsze okopy i powybić moc ludzi. Unikają tedy strat starannie.

Jutro o 4-ej popołudniu wymarsz na pozycję. Mamy przemarszować 10 km do wsi Pawłowic lub Brylczyzna.

5 marzec. Opatkowice Dr. — Mierzwin — Grudzyń — Tur — Pawłowice. — Wczesna i szybka wiosna zawiodła, mści się natomiast zima i odrabia nagwałt to, czego nie odrobiła w styczniu i lutym. Mieliśmy w Lipnicy i Kętach dni pięknej wiosny, dni budzącej się natury. Cieszyliśmy się, że najzimniejszą porę przetrwaliliśmy na odpoczynku, a teraz zima powróciła w całej swej srogości, siepie ostrym śniegiem po twarzy, mrozi wszystko zimnym swym podmuchem.

O 4.40 zbiórka, kompanja stanęła w dwurzędzie. Wiara ciepło ubrana, w kominiarkach, szalikach, wesoło gwarzy. Nagwałt dziela fasunek, rozdają chleb, kawę, kakao, cukier. Droga we wsi ciągną kompanje piechoty, jedna za drugą, z cichą piosnką... Witają się znajomi, wołania, pokrzyki wesole, gwar... Wreszcie „kolumną czwórkową w prawo — maszerować“ rozlega się głos Sława i ruszamy na Mierzwin, Grudzyń, Tur do Pawłowic.

Powoli zapada zmrok i obejmuje nas cicha, bezgwiezdna noc, tajemniczo milcząca. Z Dolnego Tura idziemy w kompletnej ciszy i milczeniu. Cicho, bez chrzęstu posuwa się czarny wąż. Jęknie od czasu do czasu nad głowami zabłąkana kula, wokół czernią się okopy, wiją druty kolczaste. Cicho tak, że słyszałbyś bicie serca...

Gdzieś w oddali, wysoko z Pińczowa zamigotał reflektor... Zielone, błyskotliwe, mieniające się promienie, jak oczy bazyliuszka, macać i ślizgać się poczęły po cichych, porżniętych polach... Zamigotał drugi... Gdzieś tam błysnął nagle snop światła.

Zajmujemy wreszcie okopy. Ziemianki i chałupy tuż przed okopami.

Linja jest ubezpieczona w ten sposób, że żołnierze stoją na kwaterach w chałupach i ziemiankach, w nocy rozstawiane są placówki na połowie drogi między rzeką a okopami, przed okopami zaś stoją posterunki alarmowe.

4 marzec. Okopy w Pawłowicach. — Linja prawie że spokojna, tylko od czasu do czasu łupią Moskale. Po południu poszedł patrol z zadaniem dotarcia do Nidy i zbadania jaki jest do niej dostęp. Szedł początkowo równolegle do rzeczki Mierzawy, następnie w lewo i ukazał się nagle Moskałom niczem od nich nie osłonięty. Gruchnął strzał jeden, drugi...

Patrol szybko zbadał dostęp i rwie już prosto do chałup... A za nim trzaskają strzały karabinowe, co chwila gwizdnie kula... Dopadli wreszcie chałup cali i zdrowi.

Za chwilę zagrało rozgłosnie powietrze i pękł szrapnel za chałupami. Bzzzz — bum — drugi, wreszcie trzeci, czwarty. Pękały wszystkie z 500 m za chałupami, nie czyniąc szkody nikomu.

Wieczorem ruch zapanował w kompanji. Dojrzano przez szkła, że Moskale coś zanadto po brzegu się wałęsają, kręcą się podejrzanie. Zgłosiłem się na patrol, dostałem więc Edka Pfeiffera i Antka Gruszczyńskiego, z którymi mam dojść nocą na brzeg Nidy, okopać się i cały dzień następny obserwować Moskali, by zebrać dane co do dostępu nad rzeką z naszej i moskiewskiej strony. Narbutt spokojnie, szczegółowo wyjaśnił jak mamy zachowywać się, poza tem resztę zostawił naszemu sprytowi.

5 marzec. Okopy w Pawłowicach. — O 1-ej po północy poczęliśmy się zbierać, o 2-ej wychodzimy. Odprowadza nas Jur Szleptyński, szepecąc swe uwagi... Noc cicha, dość jasna. Przechodzimy posterunki alarmowe, następnie placówki, na połowie drogi zegnamy się. Jur będzie z chłopcami czekał na lewym brzegu Mierzawy, by w razie czego skoczyć ku nam... Krótkie pożegnanie, uścisk dłoni. Rozchodzimy się w przeciwne strony i po chwili znikamy. Przez wątlą kładkę kierujemy się wprost do domku, gdzie kwateruje komenda bataljonu austriackiego. Zebraliśmy tam potrzebne informacje i pod osłoną plutonu austriackiego posuwamy się cicho, ostrożnie naprzód. Idziemy na przedzie, za nami o jakie 50 m posuwa się czarna linja plutonu.

Nida... Posępne, dziwne wrażenie otchłani ciągnącej ku sobie. Na przeciwnym brzegu o jakieś 20 kroków czernieje pasmo wiklin, gdzie stoją wedety moskiewskie...

Ostrożnie, stąpając jak koty, szukamy miejsca i w wiklinie przy ujściu Mierzawy, szybko, gorączkowo poczynamy kopać

Zostajemy sami. Jeden zostaje na warcie, ukryty w wiklinach, pozostali dwaj kopią. Robota idzie szybko. Łopatki pracują cicho, bezszelestnie. Ziemia mokra, kamieni niema, więc najmniejszego odgłosu kopania nie słychać. Po półgodzinie ściągamy wartę i cicho, bez oddechu prawie lokujemy się w „dekungu“.

Noc coraz bardziej jaśnieje. Cisza — aż w uszach dzwoni, z rosyjskiego brzegu nie słychać nic, cisza zupełna...

Świta... Kuropatwy zaczynają się odzywać to tu, to tam, z wrzaskiem zerwała się kaczka z wiklin, ściągając na to miejsce nasz baczny, ostry wzrok. Dnieje... Wpół do 6-ej.

Do 9-ej rano siedzieliśmy prawie bez ruchu. Wreszcie wzgórze, pozycje rosyjskie zaczęły się wyraziściej, ostrzej rysować. Padł jeden strzał, drugi. — gwizdnęła kulka nad okopem. Nie do nas! Gdyby nas tylko spostrzegli, zostalibyśmy w ciągu kilku minut poprostu rozstrzelani...

Moskle dość gęsto pukają i kule to dalej, to bliżej, to wyżej, to niżej bzykają nad okopem.

Okazuje się, że nasz okop jest doskonały. Zaszyty zupełnie w wiklinach nie rzuca się w oczy, my natomiast widzimy doskonale pozycje rosyjskie.

Godzina za godziną upływa — zaczynamy robotę. Edek i Antek przez lornetki stale obserwują pozycje na brzegu przeciwnym, ja zaś pomieszczam obserwacje w szkicach perspektywnym i topograficznym. Moskale kręcą się po pozycjach, umacniają je solidnie.

Przekąsiliśmy chlebem i odpoczęliśmy w południe. Dzień bez wiatru. Na linji ruch. Goręcej niż zwykle trzaskają karabiny, artylerja pracuje na całym froncie. Nad naszym okopem nieustannie grają kule.

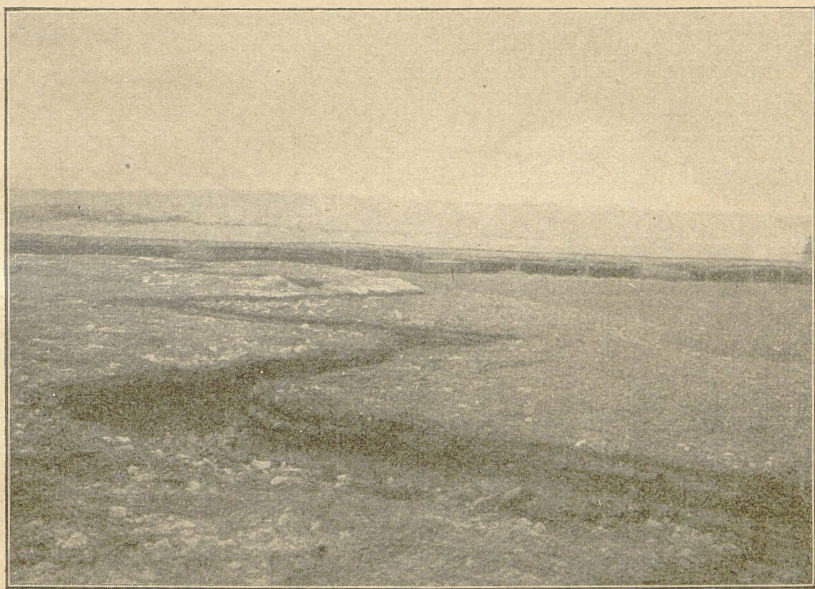
Skończyliśmy robotę, czekamy z upragnieniem zmierzchu. Godziny płyną powoli, poczyną nami trząść zimno. Wreszcie mija 5-ta, 6-ta, zmierzch poczyną zapadać, cisza śmiertelna wokół. Umilkła artylerja i karabiny. Znowu jak rano poczynają się odzywać kuropatwy, znów ta sama kaczka zrywa się z wiklin. Podskakuje zwolna zając, staje tuż nad okopem, śmiesznie ruszając mordką. Zapadł zmierzch... Z bijącym sercem, lisiemi krokami wycofujemy się z nad wikliny. Uszliśmy już nad Mierzawę ze 60

kroków, gdy naraz zatrzymuje nas głos: Stój, kto idzie?... Strzelcy — Jur? Dobra jest — wszystko w porządku!...

Wracamy szybko na pozycję, opowiadając o wywiadzie, poza tem uradowani jesteśmy nadzwyczajnie, że wywiad się udał. Z jaką radością meldowałem Narbuttowi: „Obywatelu poruczniku, melduje posłusznie — rozkaz spełniony!”

6 marzec. *Okopy w Pawłowicach.* — Nie wiem, jak minął dzień, gdyż po patrolu wczorajszym spałem zdaje się, całą dobę...

7 marzec. *Okopy w Pawłowicach.* — Suchy śnieg zaczyna od czasu do czasu, mroźny wiatr hula po polach. Gruda skrzypi pod nogami — zima w całej swej srogości.



Okopy nad Nidą.

Edek Pfeiffer dostał nadzwyczajną misję i jeżeli uda mu się, to okryje siebie i cały nasz pluton skautowski niebywałą chwałą. Mianowicie ma się przedostać do Pińczowa na drugi brzeg i porobić odpowiednie wywiady. Nie wiadomo czy mu się uda, gdyż wyprawa szalenie ryzykowna.

O 8-ej wymarsz na sąsiedni odcinek. W cichości zbierają się plutony. Noc ciemna, bezgwiezdna. Czarny wąz posuwa się naprzód, tajemniczo, ostrożnie. Rozkazy podaje się z ust do ust.

9 marzec. *Okopy w Pawłowicach.* — Dziwnie na pozycji cicho, ani jeden strzał armatni rozgłośnym hukiem nie dzwoni w powietrzu, nie słychać monotonnego popukiwania karabinów...

Po całonocnej służbie śpimy jak zabici...

Wreszcie się wiara wypała i ciemna ziemianka rozbłyskać poczyną migotliwem światłem piecyka... Ciepło miłe, chłopcy wesolo odwalają kawały.

Sław ze sztabem bataljonu ciągle się włości po okopach, zachodzi aż do placówki, wypatruje pozycje moskiewskie, gdyż dziwnem mu się wydaje ta cisza po drugiej stronie Nidy...

Coś trochę po 5-ej wpadł dyżurny z rozkazem, bym natychmiast w rynsztunku polowym zjawił się u komendanta kompanji. W kilka minut byłem gotów — dziwiąc się, co za zadanie mogę mieć za dnia. U Narbutta dowiedziałem się o co chodzi. Jest mianowicie możliwość, że Moskale opuścili swe stanowiska, więc aby się o tem przekonać, mam pójść na brzeg, zobaczyć czy Nida wyłaza, następnie ściągnąć na siebie uwagę, a więc i strzały moskiewskie...

Ruszamy. Pogoda wspaniała, lekki mroźnik szczypie w uszy, słońce rzuca fioletowe cienie.

Ruszyliśmy nawprost placówki Nr. 5. Edek, Posierbowicz i ja... Posuwaliśmy się naprzód zupełnie pewnie, dochodzimy do samej rzeki i posuwamy się wzdłuż koryta. Nida rozlała szeroko i rozlewiska zamarznęte skrzypią pod stopami, nurt główny płynie wartko. Edek zawzięcie lornetuje, jesteśmy najzupełniej pewni, że Moskale pozycję opuścili. Stoimy właśnie nad samym brzegiem, na zakręcie, odlegli o 30 kroków od wiklin przeciwnych, gdy naraz buchnął strzał i zjadliwym świstem rozpruł powietrze pomiędzy naszymi głowami. Rozpadliśmy się piorunującym ruchem i rzuciliśmy się w tył z palcem na cyglu. Buchnął drugi, trzeci strzał... Ze świstem trzasnęła kula w lód, druga gwizdnęła nad uchem.

Cofamy się szybko, coraz to padając w grudy. Nikogo jednak nie widać...

Znowu dwa strzały, cofamy się szybciej i już bez strzału ze strony Moskali dochodzimy do wsi.

Obok kuchni stoi grupka oficerów, śledząca nas dotąd przez szkła. Zdaje meldunek Sławowi. Berbecki śmiejąc się, powiada, iż Pińczowa nie będziemy dzisiaj oglądali. Cała kompanja zaalarmowana strzałami, wszyscy wylegli na okopy patrzeć na nasz wywiad. Ja się ciągle dziwię, że jeszcze się ruszam, że jeszcze żyję — nie mogę sobie zdać sprawy, z jakiej racji nas nie raniłi nawet z tak bliskiej strzelając odległości...

11 marzec. Okopy w Pawłowicach. — Mamy dzisiaj placówkę, cały pluton. Noc zimna i śnieżna, ogromny wiatr. O 10-ej

wyszedłem z Kozaczyńskim i po długich tarapatach, zmarznięci jak lieho dotarliśmy do por. Rybarskiego¹⁾ komendanta 2 kompanji. U nich spokojnie — u nas również. Powróciłem zadowolony, że będę mógł się przespać, lecz krótka nadzieja. Po godzinie Jurek Szletyński budzi mnie, że z rozkazu Roweckiego ciągniemy na patrol. Zły jestem, jak sto djabłów — poprostu przeraża mnie to wściekle zimno na dworze. Włóczyliśmy się w piątkę ze dwie godziny. Rowecki, Tosiek, Poraj-Pstrokoński²⁾, Grabałowski³⁾ i ja.

Na wybrzeżu cisza...

12 marzec. Okopy w Pawłowicach. — Powoli zbliża się noc — około 8-ej zbiera Jurek ośmiu ludzi na patrol — idzie z nami Sław. Z placówki Nr. 3, wprost przed siebie posuwamy się dwuszeregiem. Na czele idzie Sław, Styk-Stachiewicz podporucznik⁴⁾ oraz Edek Pfeiffer i ja... Noc, niezbyt ciemna, szara, dość mglista.

Zaczyna sypać mokry śnieg. Dochodzimy do rzeki, trzech ludzi z Jurkiem idzie w lewo spatrolować krzaki. Sław, Styk i Edek w prawo. Mija kilka minut — nad rzeką zupełna cisza, mgła tylko coraz większa się podnosi, tak, że reflektor moskiewski z trudem przebija ćmę nocną...

Wracamy. Nie uszliśmy nawet 50 kroków, gdy huknęły strzały od naszych pozycji i kule sycząc przeleciały nad głowami... Padliśmy momentalnie i przyrośli do ziemi. Strzały nie milkły jednak, kule świszczą tuż, tuż nad głowami. Cóż u diabła?...

W pierwszej chwili myślałem, że to Moskale, lecz zaczynam się orjentować, że to chyba 2 kompanja. Gdy tylko strzały milkną, posuwamy się naprzód, lecz co chwila świst kul rzuca nas na ziemię. Kołując tak, doszliśmy do placówki Nr. 2 i weszliśmy na pozycję. Strzały okazały się kompanji 2.

Dziwny świst mają nasze kule, wręcz odmienny od świstu kul moskiewskich. Moskiewskie — ostro zakończone — wydają złowrogi, przerażający świst, nasze zaś bardziej buczący brzęk.

14 marzec. Okopy w Pawłowicach. — Pięć miesięcy już bezmała mija od tej ostatniej nocy przed wyjazdem z Łodzi, kiedy byłem komendantem warty. I jak wtenczas, tak i teraz wielka cisza mnie ogarnia i jak wówczas piszę pamiętnik... Jakież to dawne czasy.

¹⁾ Poległ w Legjonach pod Urzędowem.

²⁾ Obecnie kapitan piechoty.

³⁾ Poległ w wojnie polsko-rosyjskiej w r. 1920 jako podporucznik.

⁴⁾ Obecnie pułkownik Szł. Gen.

Od połowy nocy rozprawadzałem posterunki alarmowe, a noc cicha, ciepła przysłała tak nagle, jak nagle zima się dziś skończyła. Wczoraj powiał ciepły wiatr, zwał śniegi z pól, napoił wilgocią ziemię, a dzisiaj już usłyszałem pierwszego skowronka, jak świergotał nad siwą szarą ziemią, pod siwem, szarem niebem.

15 marzec. *Pawłowice — Mierzwin.* — Przeszliśmy dzisiaj do rezerwy, odpoczynek „co cud“...

16—25 marzec. *Mierzwin.* — Przez cały tydzień siedzieliśmy w Mierzwinie w rezerwie. Nie bardzo jednak odpoczywaliśmy jako że ustawicznie nas ganimano do przenoszenia kozłów z drutami na pozycje. Noc w noc mieliśmy ciężką robotę... 19-go poza tem był wielki fest i wielka radość z racji imienin Komendanta. Z każdej kompanji poszły winszować Dziadkowi delegacje...

24 marzec. *Mierzwin — Imielnica.* — Dzisiaj przed wymarszem do Imielnicy, wydzielono nas z kompanji Narbutta do specjalnego plutonu wywiadowczego, który ma objąć Rowecki. Z żalem się rozstajemy z Narbuttem, z 1 kompanją, lecz czujemy, że obowiązkiem naszym jest być w tym właśnie plutonie.

Przemyśl wzięty, padł podobno z głodu. Wściekamy się na to bydło austriackie i spodziewamy się, że w związku z tem zajdzie możliwość opuszczenia linii Nidy. To byłoby okropne!..

25 marzec. *Imielnica.* — Poszliśmy dzisiaj na „spacer“. Pogoda taka przepyszna, słońce tak wspaniale grzeje, że śmiało na spacer można iść. Zaszliśmy do lasu na wzgórze, skąd Austriacy walą ze swych bateryj. Potężne armaty 12 cm. waliły całą baterją, gdyśmy podeszli. Huk piekielny...

Z góry widać doskonale całe Skowronno, ogromną toń błot i srebrną wstęgę Nidy... Stoimy w Imielnicy, przy komendzie bataljonu, w rezerwie.

26 marzec. *Imielnica.* — Po wczorajszym cudnym dniu wróciła znów zima. Wiatr przegania chmury, czasem zacina śnieg. Jurek Szletyński, Adek Goldenberg i ja dostaliśmy dzisiaj nominację: — Jurek na starszego sierżanta, my dwaj na kaprali.

Wieczór nam przeszedł na gwarzeniu o Łowczówku. Gospodarz, u któregośmy stali, z głębokiem przejęciem słuchał opowiadań, pokpiwał razem z nami z Moskali i z prawdziwą sympatją częstował nas kartoflami z barszczem.

1 kwiecień. *Imielnica.* — Wiosna wciąż w całej pełni. W dzień szkicowaliśmy dla Sława trzecią linię okopów — pod wieczór wzięliśmy się łapczywie do gazet. Nic, tylko Przemyśl,

Przemyśl i Przemyśl. Rozpisują się pismaki o bohaterskiej jego obronie, o głodzie, o załodze — ale naprawdę to musiał tam być z tem poddaniem jakiś niezgorszy skandal..

Poza tm wieści chodzą o spodziewanym ataku Moskali, o jakimś wielkim ich „angryfie“. Na święta spodziewamy się gorętszych dni — gdyż front gotuje się od ognia co chwila. Coprawda na odcinkach austriackich — u nas jakoś spokojnie. Rowecki twierdzi, że jeżeli ataku dziś w nocy nie będzie — to wogóle będzie już spokój, a poza tem artylerji jest tak sporo, że nielstwo pod jej ogniem będą mogli Moskale co zrobić.

5 kwiecień. Imielnica. — Jakoś na froncie cisza. Nie myślimy o nim — bo ważniejszy jest dla nas świąteczny „fasunek“. Otrzymaliśmy już dzisiaj „na twarz“ po dwufuntowej strucli, pomarańcze, figi, orzechy i tym podobne cywilne „delikatesy“, które energję naszą pochłonęły w zupełności, w kierunku jak najbardziej niszczycielskim...

4 kwiecień. Imielnica. — O 4.50 rano zbudził nas gospodarz — mieliśmy pójść do kościoła. Za oknem gasł już błądy księżyc, majaczył ledwie, ledwie szary świt. Wiara jednak po innych kwaterach pospała się tak, że tylko alarm mógłby ją do przytomności doprowadzić — więc z kościoła trzeba było zrezygnować.

Do świątecznego śniadania szykujemy się uroczyście. Przybraliśmy stół, rozłożyliśmy wszelakie zapasy, by jak najbardziej zimitować „domową“ Wielkanoc. O 11-ej z rumorem wpadliśmy do chorego na malarię Adka — a później wyrwaliśmy na murawę, by zagrać w „nożną“. Nie zaczęliśmy jeszcze, gdy z chrzęstem i tętentem wpadła na koniach cała oficerska banda bataljonu, by grać w „lisa“. Pierwszy gnał na swym siwku wysmukły Narbutt, za nim w galopadzie, w podskokach i lansadach adjutant bataljonu zadzieżysty Trapszo¹⁾, zatoczył koło zawsze roześmiany Rokita, za nim Rybarski z pocieszną miną wiejskiego bakalarza, Styk, Borek²⁾ i lekarz na swym komicznym Rossynanie, wreszcie ostrym klusem, na wysokiej szkapie zajechał kapitan Sław.

Rozpoczęła się szalona gonitwa. Na krańcu murawy stanął Narbutt z chusteczką na ramieniu i na dany znak wypadła nań hurma koni. Zakręcił koniem raz i drugi, tocząc szerokie koła, rozpuścił siwka i gnał, raz wraz na miejscu zawracając, a boki przelatywali z tętentem inni, wyciągając drapieżne ręce. Zatoczyli wreszcie wspólnie koło i wraz wszyscy ścisnęli go końmi,

1) Obecnie pplk. Szt. Gen.

2) Obecnie major rez.

że musiał Rokicie chustkę oddać. Porwał ją zaraz Trapszo i ha-
sał z nią długo, wykręcając się, jak piskorz z rąk, aż dojechał
go Sław i zdarł chustkę. Znow Trapszo ją porwał a reszta gnała
za nim rozhukanemi końmi, przypierając go do stodół i płotów,
lecz wymykał się ciągle, by za chwilę znów błysnąć gdzieś na
innym końcu.

Wokół murawy zebrala się cała prawie wiara żołnierska.
Oni się bawili dobrze, lecz my jeszcze lepiej, a każda kompanja
stawiała na swego komendanta, wśród krzyków radości i wesela.

Wreszcie skończyli, a Sław zaproponował z nami mecz. Już
Narbutt rozstawia partję, obok żołnierzy stają oficerowie, kapi-
taństwo drużyny obejmuje Maniś Pacholski, biorąc pod kome-
ndę prawdziwego kapitana z trzema gwiazdkami. Zaczęła się gra
wesola, namiętna i zażarta, w której „manszaft“ kopsał się z ofi-
cerami, wzajem się wszyscy rozbijali, jedno się zrobiło wrze-
szcące rojowisko, bawiące się spolem, jak dzieci radośnie i we-
sola, do późnego zmierzchu...

5 *kwiecień. Imielnica.* — Rano zwały się paczki z domów.
Całe tego stopy do bataljonu przywiozły wozy prowiantowe. Od
skautek łódzkich dostaliśmy przepyszne mazurki z lukrowanemi
lilijkami, które sprofanowaliśmy natychmiast, uczciwie dzieląc
mazurkami pluton. Dopiero teraz w całej pełni żołądkowej, od-
czuwaliśmy świąteczny nastrój, którym zresztą nadęci jesteśmy
do nieprzyzwoitości. Ani nam w głowie wojna, front, okopy, Ni-
da — wszystko to przybladło, prawie znikło z naszej świadomo-
ści. Moskale nasz nastrój snadź szanują, bo od trzech dni nie
pada ani jeden strzał z żadnej strony. Jesteśmy im zobowiązani,
oni nam zapewne także — i tak nam święta na froncie prze-
chodzą..

W I O S N A 1915 R O K U

6 *kwiecień. Imielnica.* — Nasz pluton szumnie nazwany „wy-
wiadowczym“, został przydzielony jako I-szy pluton do nowo-
utworzonej 4 kompanji, którą objął podporucznik Styk-Stachie-
wicz. Wściekli jesteśmy, gdyż kompanja marna, złożona prze-
ważnie z byłych taborytów — pociesza nas jednak Rowecki, że
jednak tak samo będziemy pracowali jako wywiadowcy. W kom-
panji oprócz Styka i Roweckiego, jest jeszcze podporucznik Pan-
dor-Furgalski¹⁾ — brat Wyrwy, a sierżantów jest trzech: Jurek
Szletyński, Flojar-Rajchman²⁾ i Rusin³⁾.

¹⁾ Obecnie pplk. Szt. Gen.

²⁾ Obecnie mjr. Szt. Gen.

³⁾ Obecnie mjr. piechoty.

Masę miałem dziś roboty i sporo przytem wrażeń. O jedena-
stej wyszliśmy z Mańkiem, Władkiem i Zygmuntem do lasku
Sobowice-Kwasków, by uzupełnić specjalkę i wykonać wywiad
drugiej i trzeciej linii okopów. Jutro przechodzimy na odcinek
drugiego bataljonu i już zawczasu mamy wykonać tę robotę.
Adek ma prawy punkt, Tosiek Berlach środkowy, ja skrajny,
lewy.

Specjalka okazała się zupełnie zła i musiałem nową mapę
robić. Szliśmy odkrytem wzgórzem, szeroką tyraljerą, notując
teren. Idę spokojnie z teczką w ręku, gdy w tem gwizdnęła tuż,
tuż moskiewska kula. Klęknąłem szybko i zawołałem na Cha-
bowskiego, by wlaźł do okopów. Ledwieśmy weszli — druga
kula. Biec poczęliśmy do domku wdół, a już kule siepią za nami
w chałupę. Cofamy się za chałupami lecz ledwieśmy za nie we-
szli — znów gwizd nad głowami. Padliśmy do rowu przydrożnego,
lecz i tu nas spostrzegli, więc chyłkiem drogą wdół za wzgórek,
gdzie już byliśmy bezpieczni.



Orka wśród okopów.

7 kwiecień. Imielnica — Kwasków. — Dzisiaj wymarsz na
odcinek II bataljonu. Do południa robiłem szkice z wczorajszych
wywiadów wraz z Tośkiem i Adkiem. Wyruszyliśmy o 7-mej
z Imielnicy i na 8-mą byliśmy w chałupie przy lasku..

8 kwiecień. Okopy w Kwaskowie. — Obudziłem się o 12-ej
w południe, wyspany świetnie. Izba zawałona żołnierzami. Śpią
jeden na drugim i obok drugiego z nogami na głowie, z głową
na nogach, różnie, jak się kto w nocy położył. Obok mnie wci-

śnięty ieży Hirek Pacholski. Grabałowski rozłożył ręce szeroko i mruczy przez sen. Wiara śpi...

Około 1-szej zaczęliśmy się ubierać — obiad skromny, kartofle i herbatą. O 6-ej poszliśmy budować ziemiankę. Zmierzch szybko zapadł, gdyż dzień był dżdżysty i chłodny. VI bataljon wysyła silne patrole nad Nidę, wobec czego 4 kompanja ma zachowywać jak najgłębszą ciszę..

Wieczorem zajaśniał reflektor i snopem zimnego światła zalał okopy. Za chwilę mignęły dwa błyski nad naszym laskiem, dwa krótkie huki przerwały ciszę wieczoru i wnet dwa błyski pękających szrapneli lysnęły tuż przy reflektorze. Zgasł. Za chwilę jednak znów błyszczącym okiem szukać ciekawie zaczął przedpola, lecz nowe dwa błyski szrapneli ukazały się przy nim, więc cofnął swą ciekawość do kamery. To „turki“ macają reflektora. „Turkami“ nazywamy dwie baterje armat tureckich, z których ciągle Austriacy walą.

10 kwiecień. Okopy w Kwaskowie. — O 4-ej rano zbudził mnie Papierski, starszy żołnierz, mój zastępca w sekcji. Posturunki należało ściągnąć bowiem już świt jasną pręgą wciskał się między szpary okien, zasłoniętych czarnymi płachtami.

Dzień wstawał jasny, słoneczny, chłodne powietrze biło w twarz, młoda ruń zielonych wzgórz jaskrawiła się na zboczu góry Skowronno. Zielone płaty pól jaśniały na brązowym tle góry, żółte i białe pręgi okopów moskiewskich wily się węzem, oślepiającym blaskiem lśniła się Nida w promieniach wschodzącego słońca... Szliśmy do Sobowie okopami. Pocięta żółtymi rowami zielona ruń, zdeptane bujne życiodajne pędy bezwzględny obcasem żołnierza. Wdali, u stóp falistego wzgórza, ciągnęły chłopskie konie plug, a obok, nieco dalej, dwóch „legunów“ orze artyleryjskimi końmi rolę chłopa, któremu dobytek zabrała wojna... Ta wiosenna orka w obliczu srogiej wojny, wśród pękających szrapneli i świstu kul, sprawia dziwnie radosne i przejmujące wrażenie...

14 kwiecień. Okopy w Kwaskowie. — Spaliśmy w ziemiance. Noc przeszła względnie spokojnie, tylko około północy wedety waliły gęsto, prawdopodobnie do krzaków. Na dworze wichura, deszcz i ciemność kompletna. Moskale walili również i to przeważnie ekrazytówkami, które co chwila pękały rozgłośnie na przedpiersiach okopów.

Obudziliśmy się koło szóstej przerażeni. Deszcz nam kapał przez dach ziemniaki, pomoczył nam koce i dopiero, gdy woda doszła do bielizny, zaczęliśmy nagwałt uciekać z ziemianki do

chałupy, gdzie stała 1 i 3 sekcja. Okopy zalane wodą, w ziemiankach mokro, kapie na nosy. W pierwszej sekcji na noc pozawieszali chłopcy menażki pod dziurami, a rano budząc się uderzali o nie głowami i całą zawartość wylewali sobie na koszule...

Dzień chmurny, chłodny, deszcz mży...

Jurek przyszedł z bataljonu z przepyszными wieściami. Podobno Durski¹⁾ przyjeżdża do nas na przegląd. Dostaje potem „dymę“ a Komendant zabiera pozostałe dwa pułki II Brygady i tworzy dywizję...



Komendant nad Nidą.

16 kwiecień. Okopy w Kmaskowie. — Noc cicha, gwiazdzi-
sta, zaczynają się stosunki „towarzyskie“ w walce pozycyjnej
Szeroko rozlane fale Nidy doskonale przenoszą głos, więc wiara
rozmawia z Moskalami na odległość.

Stoimy na brzegu. Roziskrzone gwiazdy odbijają się w spo-
kojnych blaskach wody. Zdaleka hen, czernieją okopy przeciwne-

¹⁾ Gen. Trzaska-Durski, naówczas komendant Legionów.

go brzegu. Ta przedziwna cisza wieczoru i rozlewny szept nocy, przerywany zostaje nagle rubasznym, dalekiem głosem, wyraźnie odbijającym się od wody.

— Z katoroj gubernji! — woła donośny głos wedety moskiewskiej. — Odpowiadają nasi, zapytując również — po chwili zjawia się propozycja zaśpiewania i cisza wieczorna podaje hen, po wodach, po ugorach, po nocnych cieniach, spokojną, rycerską, poważną pieśń: — „Jak umrzeć nam przyjdzie, to w polu, nie w tajgach Sybiru nam zgnieć, z trudu naszego i znoju. Polska powstanie by żyć”...

Zcichła pieśń a z drugiej strony zrywa się wołanie: — Pojtie pa ruski, pojtie...

Za chwilę powstaje ugoda między dwoma brzegami.

— Zawtra nie budiem strelat! — krzyczą Moskale, na co z całą aprobatą zgadzamy się, obiecując, że i my strzelać nie będziemy. Zawiera się wspólny kontrakt między pozycjami, przedziwny, bo oparty na honorze żołnierza...

Miałem w nocy alarm. Błota wiosenne mają swoją nocną kapekę rodzinną, mają swoje nieuchwytne westchnienia głębokie, mają swe szmery niepokojące, trwożne... Dzikie kaczki niespokojnie trzepoczą się po wodzie, to czajka zawoła rozgłośnie, to bąk zajęczy głucho...

Wedety zdenerwowane wytyżają słuch, ściskają kurczowo karabin gotowy do strzału i gdy kaczka wrzaśnie, dziwnie ludzkim głosem, załopocze skrzydłami po wodzie — stój! kto idzie, — zawoła wedeta i z bezpiecznikiem otwartym, posuwa się naprzód, słysząc chlupanie coraz głośniejsze i wyraźne człapanie nóg...

Błysk i huk... Wedeta nie wytrzymała...

Miałem dzisiaj właśnie ten wypadek. Wystawiłem pojedyncze wedety, lecz coraz to któraś waliła w kaczki, dopiero po wystawieniu podwójnych wedet — nieco się uspokoiło.

17 *kwiecień. Kwasków — Mierzwin.* — Dzień przeszedł spokojnie — według nocnej umowy, ani jeden nie padł strzał — oblana blaskami słońca łśni Nida, lekki wiosenny wiatr przynosi z nad rzeki wesóły gwar ptactwa.

Żołnierze spokojnie chodzą po okopach, poprawiają blindaż, naprawiają ziemianki. Nie słyszać złośliwego wizgu kul — cisza zupełna.

O 10-ej wymarsz do rezerwy. Noc ciemna, choć gwiazdami roziskrzzone niebo. O 12-ej w nocy przyszedliśmy do Mierzwina.

18 — 26 *kwiecień. Mierzwin — Opatkowice Dremniane.* — Znów kilka dni przesiedzieliśmy w rezerwie, początkowo w Mierz-

winie a od przedwczoraj tam, gdzie najpierw przymaszerowaliśmy, t. j. w Opatkowicach Drewnianych. Dnie przeszły dość monotennie. Wygrzewaliśmy się na słońcu i pisaliśmy sążniste listy do domów...

27 *kwiecień. Opatkowice Drewniane — Sobowice.* — Szaloną noc mieliśmy dzisiaj... Już kładąc się spać słyszeliśmy delikatne szmery, daleką grzechotanie karabinów, tak daleką, że zlewała się w cichym wieczorze w delikatny szmer dalekiej wody.

O 5-ej w nocy obudziliśmy się naraz wszyscy...

Przez szpary w stodole widać było jasną, księżycową noc, rozmigotaną bladymi gwiazdami...

Belkowania stodoły lekko drżały, z dachów, z poszycia sypał się pył...

Wszystkie baterje na naszym odcinku były. Przewalały się potężne huki, jakby tysiące wozów dudniło po bruku, trzęsło się powietrze, coraz przeraźliwszym, mocniejszym hukiem przerywane...

To baterje bliższe... Raz... dwa... trzy... cztery — sześć ostrych trzasków przerwało dudnienie, to znów głębsze, dalsze gromy bateryj i znów sześć bliskich z Imielnicy... Bum, bum, bum, bum... cztery razy... To haubice z Imielnicy, a te sześć — to forteczne krakowskie tutaj sprowadzone... Przez chwilę bliższe baterje umilkły, słyhać jeno ciągle dudnienie dalszych, a z tego oddalonego łomotu wylaniał się co chwila szmer, monotonny grzechot karabinów, zlewający się w jeden beznamiętny, nieustanny szmer deszczu po szybach...

Nagle karabin maszynowy zatrajkotał i znów bum, bum — huczały baterje. Rozpętał się wreszcie jeden nieopisany, namiętny łomot. W powietrzu jakby się piekło zmagalo...

Siedzimy na swych słomianych posłaniach, rozmawiając szeptem, lada chwila gotowi na alarm gnać w tę jasną noc, ku rozbłyskującym wstęgami ognia okopom.

Dywersja, czy też atak?... Niepokoiimy się o Adka i Hirka, którzy wyszli wieczorem wezwani przez komendę bataljonu. A łoskot coraz to potężnieje, szaleje coraz bardziej.

Nasuwamy koce na głowę, by jeszcze chwilę przespać przed przypuszczalnym alarmem, lecz próżne wysiłki.

Tak przeszła noc, gdy z gromów ognia doleciał nas radosny, spokojny śpiew skowronka, wzbijającego się ponad łany, wśród blednącej nocy...

Spaliśmy długo i mocno. Rześwy poranny chłód nas obudził, więc wyszliśmy na zalane światłem słońca podwórze...

Wiosenny, przepyszny, radosny dzień zakłócony został przez Jurka, który przyniósł nam wiadomość jakoby pułki karpackie — drugi i trzeci — zostały rozwiązane i wcielone plutonami do armji niemieckiej jako wywiadowcze. Nie może się to nam pomieścić w głowie, to nie może być, tam by się działy straszne rzeczy. Tam są wszak ludzie, którzy wycierpieli całą zimę w Karpatach, którzy się bili na Węgrzech, którzy tyle rozczarowań przenieśli, ci ludzie nie pozwoliliby się rozbroić, nie cofnęliby się przed najrozpaczliwszym czynem. Odsuwam od siebie tą straszną myśl i wierzyć mi się nie chce i myśleć o tem nie mogę...



Kapitan Olszyna-Wileczyński.

Adek Goldenberg z Hirkiem Pacholskim byli wczoraj jako przewodnicy na drugiej stronie mstu dla kompanji V bataljonu. Walili do nich potężnie. Komendant V bataljonu Olszyna-Wileczyński¹⁾ przeszedł na drugą stronę Nidy i dał się na cały głos: „Bataljon w schody, pluton w tylerjery,—strzelać—ogień pojedynczy... To też w jego stronę zwrócili Moskale straszny ogień, a Olszyna miał ze sobą wszystkiego 15 ludzi. Prawdopodobnie ukaże się rosyjski biuletyn o odparciu szalonych ataków z ogromnemi stratami dla wroga. Bądź co bądź dywersja się udała, bo cała nasza linja waliła, baterje miały wybić każda po czterysta pocisków, więc tam moskalikom porządnie było ciepło.

¹⁾ Obecnie general brygady.

Przydzielili do naszego oddziału trzech ludzi z konnego oddziału wywiadowczego Świętopelka ¹⁾). Byli oni tam przed czterema dniami i twierdzą na pewne, że drugi pułk II Brygady jest już w Piotrkowie, a trzeci zjedzie wkrótce. A więc to jest bajka, co mówili o nich. Chwała Bogu...

O 7-ej wymarsz bataljonu na pozycję. Przymaszerowaliśmy do Sobowic. 4 i 2 kompanja do okopów, 5 i 2 do Imielnicy.

28 *kwiecień*. *Okopy w Sobowicach*. — Pluton nasz zajął wieczorem odcinek zajmowany zwykle przez całą kompanję. Z tego powodu wedety i ciągle patrole. Moja sekcja jest dziś służbowa, więc wystawiam wedety. Noc jasna, lecz dość chłodna. Księżyc w pełni rzuca swe srebrne blaski na cichą, pogrążoną we śnie wieś... Adek z Ilirkiem na noc mają znów robotę. W nocy badali bród i brodzili po Nidzie w wodzie po pas. To samo miał robić Tosiek, lecz nie zbadał Nidy samej a jeden z jej rękawów...

Godzina 10. Do kwatery naszej zaszedł Ostoja, sierż. 1 kompanji, by rozpakować plecak. Od niego się dowiadujemy, że 1 kompanję wrócono już z samej Imielnicy, więc prawdopodobnie w nocy będzie dość wesoło, gdyż i kompanji 2 nie pozwolono zająć kwater, lecz przez całą noc musi być w okopach.

O 12-ej ściągnąłem posterunki — zbiórka całego plutonu. Noc szalenie jasna, księżyc w pełni, widno jak w dzień. Na drodze oświetlonej księżycem, zebrał się pluton z karabinami na plecach, z kijami w ręku do przechodzenia brodu. Rowecki biega od plutonu do bataljonu i zpowrotem, idzie z nami kapitan Berbecki, kapitan Sław, podporucznicy Iwanicki, Polkowski ¹⁾ z dwiema sekcjami i Rowecki.

Za chwilę przechodzimy przez koleczaste druty, następnie łąkami do łachy. Łacha szeroka, jasna, Pierwsza dwójka z głośnym pluskiem wpiera się w wodę, za nią wchodzi reszta. Momentalnie woda dostała się do butów, choć w łasze była tylko po kolana.

Spojrzałem w pewnej chwili w bok. Księżyc bajecznie w tysiącach iskier odbijał się w wodzie...

Za łachą przechodzimy jakieś 600 metrów mokrą łąką, następnie zanurzamy się w Nidę. Nie szersza od łachy, lecz głębsza — do pasa. Wspaniale wygląda ta przeprawa. Do pasa zanurzone szeregi z pluskiem wpierają się do wody. Karabiny w górze, szare mundury lekko się odbijają na tafli wody.

¹⁾ Komendant oddziału wywiadowczego I Brygady Świętopelk-Jaworowski, obecnie poseł na Sejm.

¹⁾ Obecnie ppłk. lekarz.

Na drugim brzegu padamy w tyraljerce. Sekcje Polkowskiego zostały między Nidą a łacją — jako rezerwa. Hirek i Adek poszli dalej. Leżymy tak na wilgotnej, mokrej łacie. Na lewo ginie łąka w nocnej pomroce — na prawo oświetlone księżycem bagna. Leniwie się podnoszą tumany mgieł — w migotliwych, iskrzących się wstęgach wody przegląda się księżyc.

Leżeliśmy tak z godzinę, wreszcie po dokładnem zbadaniu wszystkich przejść brodu — wracamy.

5 maj. *Okopy w Sobowicach.* — Mamy dzisiaj 3-go maja. Całą noc zmieniam posterunki alarmowe i wedety. Na dworze zimny wiatr, niemiłosiernie gnie i targa gałęziami topól, bezlitośnie zrywa białe okiście kwiatnych drzew i gna je w dal. Wicher porywa młodziutkie kwiaty i gna je na zieloną dolinę Nidy, by wdusić kwiaty w błoto, pod cuchniącą pokrywą mdłych bajorów...

Wieczór. Słońce zaczyna gorzeć — na drodze w Sobowicach mały ruch, czasem jakieś czako ulańskie błysnie na zielonem tle żywopłotów. Wiara przeważnie leży na kocach i gwarzy wesoło, swobodnie. Ze wzgórza 260 — Imielnica co chwila polatują rozgłośnie, jędrne huki i przedziwna muzyka lecących nad głowami pocisków rozdziera przenikliwym świstem powietrze.

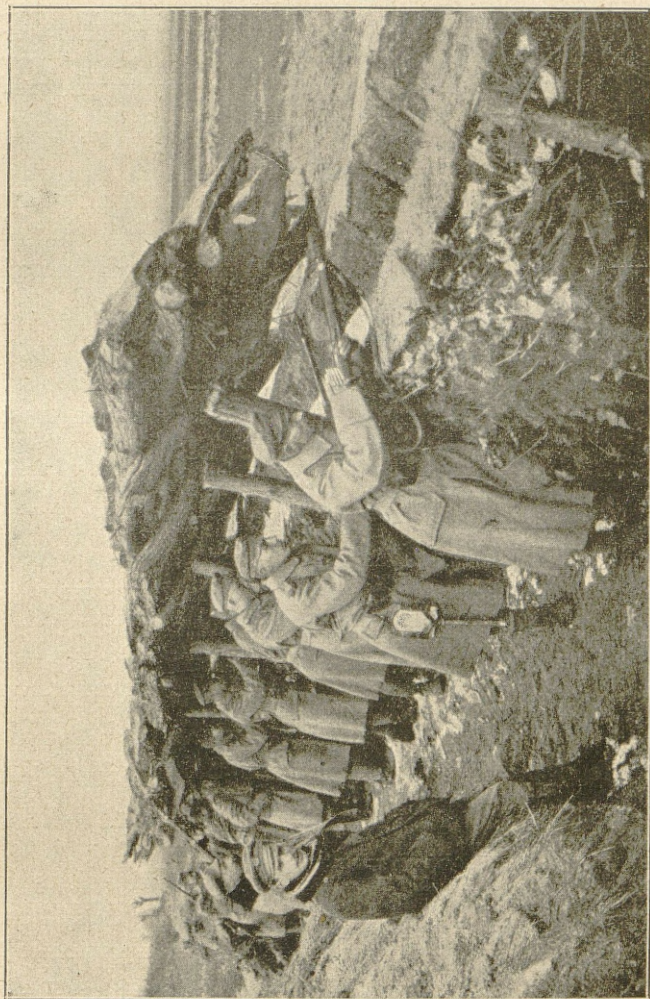
Spodziewamy się wreszcie ataku. Prusacy zajęli Szawle i na froncie zachodnio-galiicyjskim prą naprzód. Ujście Dunajca, Gręboszów — wolne. Ta ciągła, wzmożona walka artyleryjska u nas daje dużo do myślenia. Przedtem tego nie było.

Tymczasem dzień 3-go maja mamy uczcić wypadem. 1 pułk ma uderzyć na Kopernię, my od Sobowic mamy zagarnąć placówkę na grobli od Skowronna. Jurek Szletyński otrzymuje rozkaz, by pluton był w pogotowiu. Sekcja moja, miast iść do ziemianki, zostaje w chałupie. W komendzie bataljonu gorączkowy ruch — szykują się do nowej wyprawy.

O g. 8-ej po zachodzie słońca, zbiórka na drodze. Pluton w rynsztunku patrolowym, humory doskonałe, ochota na patrol zawałjacka.

Nadciąga 2 kompanja Rybarskiego i ruszamy. Noc już zapadła gwiaździsta, ciemne plamy chmur wałęsają się po niebie. Przechodzimy przez łąkę, łacę przed rzeką i następnie przez samą Nidę. Za rzeką długie, mozolne oczekiwanie.

Powoli zaczyna nas rozbierać zimno. Nasz pluton i drugi kompanji naszej leży na łacie najzupełniej mokrej, gęstą, wysoką trawą porosłej, a że noc chłodna i że przy przejściu brodem po szyję zanurzaliśmy się — marzniemy tedy i srodze kłapiemy zębami z przenikliwego zimna.



W okopach nad Nidą.

Moskale co chwila puszczały rakiety, lecz w bok, nas jakoś omijając. Zaczynamy szczełnąć coraz silniej zębami i z trudnością łapać oddechy. Zimno przejmujące, wilgotne zimno przenika nas do kości — czekamy z niecierpliwością, kiedyż wreszcie ruszymy naprzód...

Na prawem skrzydle słyszeć daleki szmer ognia karabinowego. Co pewien czas to na lewo, to na prawo od nas zaczyna rwać gęsty ogień. Podchodzę do Roweckiego, pytam się go, jaki cel wyprawy i czy bataljon i pułk atakował już Kopernię. Odpowiada mi, że już atakował i poprostu bez wystrzału wziął moc jeńców. To rwanie ognia karabinowego, które jak nagle powstało, tak nagle ucichło — to właśnie ich robota.

Nadchodzi wreszcie 12-ta i ruszamy. Wpieramy się znów w jakąś odnogę o gęstym, lepkiem dnie. Przechodzimy ją z bulgoczącym szumem wody i posuwamy się tyraljerką wprzód. Pluton drugi ze Stykiem idzie na lewo od nas, pluton trzeci rozszedł się na łączników.

W pewnej chwili padamy. Ruwecki nasłuchuje — cisza — wtem na odgłos kroków po mokrej łące słyszymy na lewo w tyle od nas przeciągłe, lekko zaniepokojone: „Stój, kto idjot“... Rozlega się zaraz drugie, głośniejsze, zaniepokojone już i odpowiada mu spokojny głos „swai, swai, nie bojsia brat“... Wszystkie zmysły naprężyły się w oczekiwaniu trzeciego zapytania i nagłego strzału. Tymczasem cisza. Tylko głos rozmowy dochodzi donośny i wyraźny. Zdumiewające! Wedeta zamiast pytać się o hasło, rozmawia dalej. Dziwnie w tej naprężonej, bijącej tętnami niespokojnych serc ciszy, rozlega się ta rozmowa...

— A komandih, komandir kakoj — pyta wedeta dalej...

Nagle rozlega się jędrny, silny głos Styka: — Na bagnety chłopcy!

Wściekle „hura!“ rozdarło ciszę nocną. Buchnął strzał i w tej chwili z naszej strony zatrzaśkały karabiny. Wnet siepać poczęły ekrazytówki w powietrzu, z przenikliwym trzaskiem pękając nad głowami. Dusząca cisza nocy zamieniła się w jednej chwili w piekielny trzask, krzyki komendy, wołanie na pomoc rosyjskich wedet, a pośród tego ciągłego huków, trzasku i gwizdu — przedziera się z trudem głos Roweckiego: wtył zwrot — atak na okopy placówki!...

Rozgłośny szum wody otoczył nas, gdyśmy pełnym biegiem przez bagna po kolana biec poczęli, lecz rozgłośniej jeszcze, przeraźliwiej przedziera się przez gęsty i gwałtowny trzask

karabinów i ekrazytówek długie gwizdy Styka, wołające do odwrotu...

Cofamy się więc, co chwila starając się doprowadzić tyraljerę do porządku i z mokrych łąk rzucamy się w wodę. Za chwilę już się wdała artylerja. Gdyśmy przeszli Nidę i cofając się, puścili kilka salw z tyraljerki, poczęli w nas prać szrapnelami. Nerwowym ruchem przejechał po łące reflektor i gorączkowo myszkował po grobli.

A Moskale otworzyli ogień piekielny. Co kilka sekund z łoskotem nadlatywały i pękały nad głowami szrapnele. Z przepysznym błyskiem rozlatywały się, bucząc, okragłe, szrapnelowe kule. Zaraz też i austriacka baterja odezwała się swym jędrnym hukiem. Przedziwny szum żelaznego ptactwa przechodził nad głowami i tryskał słupami ognia granatów, oślepiał błyskami szrapneli, wżerał się w okopy moskiewskie, siepał je, rył górę białego Skowronna...

Rozrzuciliśmy się szeroko sekcjami pod ogniem szrapnelowym i dopiero na zbiorce dowiadujemy się o efekcie wypadu. Mamy dwu jeńców. Humory morowe. Zadowoleni jesteśmy ogromnie, klniemy tylko III pluton, który nam zepsuł całą robotę. Gdyby nie on — zafasowalibyśmy całą placówkę moskiewską...

Takeśmy się bawili w wojnę, tak uświęciliśmy uroczysty dzień 3-go maja.

4 maj. Okopy w Sobowicach. — Po wczorajszej wyprawie spaliśmy przepysznie do południa. Dzień cały przeszedł na komentowaniu wyprawy, opowiadaniu swych wrażeń i t. d. Klniemy przedewszystkiem II i III pluton naszej kompanji. Gdyby nie ten mdły atak i strzelanina bez rozkazu, najpewniej byśmy zafasowali placówkę na grobli. O Moskalach rozprawiamy uragliwie: okazało się z zeznań jeńca, że był on czujką, a gdy usłyszał odgłosy naszego podkradania się, zameldował przez drugiego placówce podoficerskiej. Styk w tym momencie natknął się na nich, kiedy podoficer przyszedł sprawdzić meldunek. Sumasumarum dwóch wziętych, a podoficer został zakłuty. I pułk natomiast pysznie się sprawił. Zaszli Moskałom z tyłu przez lukę między okopami i zafasowali 80 ludzi.

Z komendy bataljonu wyszły nadzwyczajne rozkazy. Amunicję uzupełniają do 180 ładunków, wszystkie rzeczy zbyteczne należy oddać, fasujemy podwójne, żelazne porcje. Jednem słowem rozkazy do pójścia naprzód, do ofensywy. Radość ogromna, gdyż ujście Dunajca wolne, front moskiewski w Zachodniej Ga-

lieji przelamany. Prusacy zajęli Tarnów, 50 tysięcy Moskali zagarnęli do niewoli, na północy zajęli Szawle i gnają ich do Miławy. Zdaje się, że Hindenburg zaczyna kombinować.

Grunt, że idziemy naprzód. Jużemy się stęsknili do tamtej strony wody, do tamtych tak bliskich, a tak niedościgłych pól i łąk lewego brzegu Nidy...

Wieczór. Za chwilę wychodzę z ziemianki z sekcją na pogotowie. Po południu, po morowym obiedzie, robiłem szkice nawprost Sobowie, szkice tylko kultur bez rzeźby, potrzebne Sławowi do opracowania ataku na Skowronno.

Sierżant Ostoja był dzisiaj z moroweni wiadomościami. Tarnów, Dukla, Jasło zajęte — armja Radko-Dmitrjewa najzupełniej rozbita — austriackie dwie armje i jedna pruska idą napród terenem poprostu огоłoconym z Moskali i dochodzą już do Wisłoki. Jednem słowem morowo.

Berbecki, Sław i Rowecki obserwowali przed chwilą przez lornety Skowronno i hen za nim dostrzegli jakieś podejrzane dymy i jak wnioskują, to Moskale wysadzają mosty. Dałby Bóg! Nie chciałbym zdobywać tej góry, wolałbym walić na nich z góry i bić, gnać ciągle...

10 maj. Okopy w Sobowicach. — O 9-ej byłem już w okopach, a o 1-szej zmieniłem placówkę na moście. Zły jestem jak sto djabłów. Placówka ta zwykle liczy 18 ludzi i to dwa razy się zmienia w ciągu nocy, a Rowecki pchnął mnie z 9-ma. Chłód dotkliwy — gwiazdziste niebo jarzy się nad głowami. Cicho szemrze Nida, długimi, drgającymi blaskami przeświecają gwiazdy w wodzie. Cisza — ani jednego strzału nie słyszeć. Wystawiłem pięć wedet, sam z czterema ludźmi siedzę pod blindażem, hałaśliwie naprawianym przez saperów.

O 11-ej Jurek Szletyński poszedł z patrolem na poszukiwanie przejścia przez błota po stronie moskiewskiej, lecz po pewnym czasie cofnął się i rozpoczął poszukiwania na prawo od mostu.

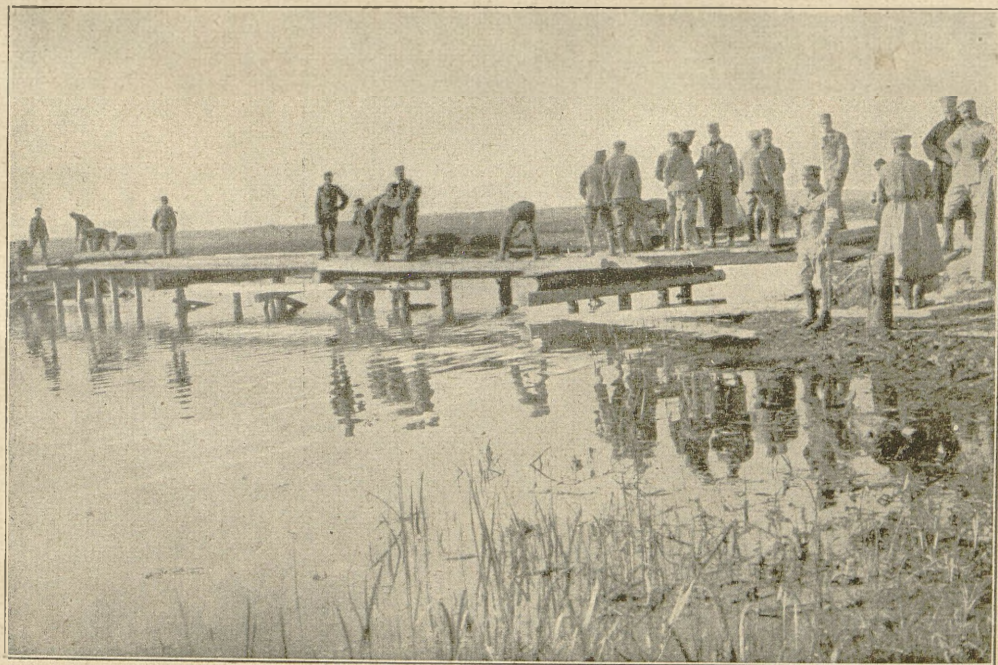
Zmieniam wedety. Gdzieś na prawo poczynają pukać, kilka kul dźwięknęło obok — dalekie! Chyba z Koperni wałą. Po chwili padliśmy, gdyż kule coraz gęściej i ostrzej poczynają gwiżdżeć.

Już o 1-ej, na północno-wschodniej stronie gwiazdy poczęły błędnąć — chłód coraz większy, kłapiemy zębami, jak wilki — od czasu do czasu Moskale pukają, lecz i to milknie coraz bar-

dziej. W ciszy zamierającej nocy wyraźnie słysząc warkot aut na pińczowskiej szosie.

Derkacze poczynają grać coraz gorliwiej na łąkach, czajki kwilą tęsknie, z łąk zwolna podnoszą się białe opary, w których różlega się zawzięte rechotanie żab. O świcie wracamy do ziemianek.

11 maj. Sobowice — Skowronno — Podłęże — Stawiany. — Spaliśmy świetnie do 9-ej, gdy nas zbudził krzyk dyżurnego: wstawać, szykować się do marszu, Moskali niema w Skowronnie!...



Przejście I Brygady przez Nidę.

Nie może być! Porwaliśmy się migiem i wysypaliśmy na okopy. Jak okiem spojrzeć błękitniały one żołnierzami, wypatrującymi za Nidę, na Skowronno, na Pińczów!...

Tam już posuwał się nasz patrol. Sześć niebieskich punktów nurzało się w zieleni łąk, ostrożnie zbliżając się do linii moskiewskich okopów. Niespokojnie patrzymy za nimi, rychło w nich gruchnie salwa. Lecz nie — cisza. Znikają w ruinach, za chwilę wynurzają się i rozdzielają się na dwie strony. Jedna posuwa się

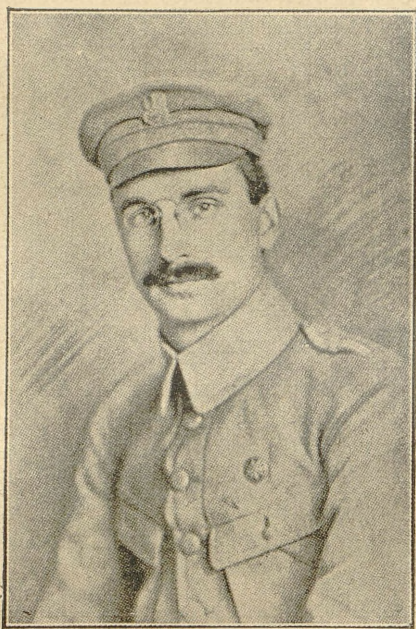
na Skoworonno, druga w górę na białą linię okopów. Gorączka, nateżenie wzrasta.

I tam cisza. Wchodzą na okopy i spokojnie w nich znikają.

Za chwilę już plutony przechodzą bród i po raz pierwszy, w biały dzień, w blasku słonecznym przechodzą rzekę, zajmują ruiny...

O 10-ej wziąłem sekcję i przez narzucone już mostki, groble, przepławiam się do Skowronna.

Wchodzimy do wsi. Przed chałupami ciekawe grupki chłopów, których przyjaźnie witamy. Za chwilę wracam. Zbadałem, czy można dojść suchą do Skowronna, a najprzyjemniejszy wywiad, to świetne mleko w Skowronnie.



Szef sztabu I Brygady Kazimierz Sosnkowski.

W południe przeszły już wszystkie kompanje i bataljony, dźwigając się na wschód. Gonilem je z sekcją, gdyż musiałem zostać przy brodzie, Jurek czekał na nas w ruinach. Tu biwakowała też 1 Narbutta kompanja.

W ruinach leżał trup strzelca, którego dwa dni temu wzięli Moskale. Miał roztrzaskaną czaszkę, ze dwadzieścia kul w pierśsiach, rozpruty brzuch, wyrżnięte genitalja i przebitą bagnetem twarz...

Kompanję dogналиśmy w Stawianach. Pogoda pyszna; ciepło rozkoszne. W Stawianach gwar, ruch, wesele... Wiara rozkupuje mleko, jajka i inne cywilne smakołyki.

Wieś rozrzucona w parowach, chałupy tulą się do zielonych ścian, placówki wysunięte wprzód na Chmielnik.

O 6-ej marsz wtył do Podłęża, wspólnie ze szwadronem kawalerji. Mieliśmy tylko za zadanie wykonać wywiad i zabezpieczyć przejście Brygady.

Noc spokojna, gwiazdzista. Na północy od czasu do czasu toczą się głuche, oddalone grzmoty dział. Jest jednak zimno, siedzimy poowijani w koce.

12 maj. Podłęże — Chomentówek — Szlasków Duży. — Dzień znów pogodny. Wstaliśmy o 7-ej dość wypoczęci, gdyż o 12-ej zmienił mnie Tosiek Berlach i resztę nocy chrapnęliśmy w chałupie.

Kompanja już się zbiera, ruch naokoło gwaru, ulani śmigają z meldunkami, prowiantowcy nagwałt wydają fasunek, dymiące kuchnie gnają do oddziałów.

Stoimy w cieniu olszynek, w świeżym aromacie pól.

O 8-ej marsz na Chomentówek.

Beliniacy ruszyli daleko wprzód. 1 Narbutta i 3 Rokity nuzają się już w białym pyłe na drodze do Szlaskowa. W Chomentówku postój. Czysta, bielona wieś, kompanje rozłożone na drodze grzeją się w skwarze słońca, jest już komenda pułku, podciągają bojowe tabory.

Sanitarjusze mają robotę z nogami piechoty, gdyż chłopcy odzwyczajeni od marszów, puchną na potęgę. Coś koło czwartej ledwieśmy zdążyli uciąć se krótką kąpiel w pysznym stawie, zbiórka i wymarsz do Szlaskowa. Za nami już ciągnie 1 pułk.

Gdy wysforowałem się naprzód z kwatermistrzami, minął nas ostrym kłusem Komendant, szef Sosnkowski i sztabowa zgraja. Co chwila pędem galopują ordynansi.

W Szlaskowie spędziliśmy śliczny wieczór. Kwatery morowe, chłopci nas doskonale przyjmują, znają nas strzelców...

Gdy zapadł wieczór, po szerokiej drodze wiejskiej, wśród zapadającego powoli zmroku, snuje się wiara, rozkoszując się letnim wieczorem.

15 maj. Szlasków Duży — Balice — Bossoniçe — Sieczków. — O 6-ej wymarsz. Idziemy na Suskrajowice, 2 km za Szlaskowem. Stanęliśmy w rozgwarzonym lesie. Mamy przeczekać aż 3 pułk naszej brygady, t. j. V i VI bataljon przejdą.

Na brzegu lasu rozmieścił się barwny sztab: Trojanowski na ogromnym karym koniu, Sław. Berbecki, przejeżdża jak zwykle poważny sztab Brygady. Komendant na swej kasztance, szef Sosnkowski, jakieś austriackie ryby i ordynansi. Powoli skryli się za wzgórek.

Zdybałem gazetę z 11-go. Morowie wiadomości. Szczucin. Dębica zajęte. Mackensen przeszedł już Wisłok. Moskale prawdopodobnie oprą się na Wiśle.

14 maj. *Sieczków — Grzybów — Niemścice.* — Poranek bajeczny — rzeźwy, świeży. W gęstwinach ogrodów zanosi się słowik.



Beliniacy w przedniej straży.

Ruszamy wesoło. Marsz trwał do 1-ej w południe, to też zmachaliśmy się setnie, gdyż gorąco ogromne. Kurz wciska się wszystkimi porami, słońce praży, plecak niemiłosiernie gnie kark. Stanęliśmy we wsi Niemścice o 2 km od Staszowa.

15 maj. *Niemścice — Bogorja — Grzybów.* — I znowu jak codziennie gwałtowny wymasz o 4.50. Wiatr ogromny, tak, że jest dość chłodno. Przeszliśmy rzeczkę Czarną, następnie ślicznym laskiem na szosę do Bogorji. Stajemy dość często — to artylerja Brzozy nas mija, to ulani Beliny migają wśród wawozów, niecąc tumany kurzu. O 4-ej byliśmy w Bogorji, a z Bogorji doliną wśród olszynek i brzóz doszliśmy do Grzybowa.

W JARACH KONAR I KOPRZYWIANKI.

16 maj. Grzybów — Konary — Placzkowice — Garbowice. — Wczesny wymarsz. Szybko pijamy kawę z kuchni, zwijamy płótna, rynsztunek na siebie i marsz naprzód. Kompanja za kompanją wychodzi z Grzybowa, maszerujemy na wschód.

Ze dwa kilometry za wsią stanęliśmy. Słysząc huk armat przed nami, a nawet widać dymki szrapneli. Pytam się Roweckiego — mówi mi, iż to potyczka z kozakami, a po odparciu ich, maszerować mamy dalej wprzód.

Tymczasem ogień artyleryjski nie słabnie. Mamy ochotę pójść i przegnać tę cholotę, gdyż kwatery mamy naznaczone w Lipniku, a przed nami Moskale. Ano, będziemy musieli je zdobywać!...

Postój się przedłuża, więc wysyłamy do pobliskiej wsi Papierskiego. Ostalskiego i Chabowskiego po zakupno prowiantów. Ledwie poszli i zniknęli nam z oczu — marsz i to nie zwyczajny. Gnamy szybko, że pot nam zaczyna zalewać oczy, piersiom oddechu brak. Dźwigamy nadto podwójne rynsztunki, tych mianowicie, którzy poszli po prowiant. A kurz weiska się do oczu nie-miłosiernie, słońce pali.

Przychodzimy wreszcie do wsi Konar i tu na chwilę się zatrzymujemy, aby za moment znowu się poderwać i wzdłuż spadzistego, stromego jaru gnać do Placzkowic...

Szeroka dolina Koprzywianki. Przed nami na zboczu prawem wznosi się las, w którym nikną nasze niebieskie kolumny. Na lewo przed wzgórkami ustawiła się już baterja i działa piorą mocno, jędrnie, jedno przez drugie.

Wchodzimy do wysokopiennego lasu placzkowickiego. Wokół obraz bitwy. Na brzegu lasu kilkunastu ulanów, ordynansi uwiązają się na koniach, piechota milcząc szybko śpieszy naprzód, a za nami bije już rozgłośnie jedna baterja za drugą.

Przeszliśmy tak połowę lasu i padamy w rozwiniętym. Przed nami kompanja Rybarskiego. Przez drogę leśną pełnym galopem przejeżdżają nasi oficerowie artylerji. Konie walą kopytami po twardej ziemi, oficerowie z tętentem, chrzęstem migają przed nami.

A Moskale zaczynają już nas macać. Dźwięknęło powietrze i rzucił nas silny podmuch. Słupem rozdartej darni prysnął granat o jakieś 30 kroków.

Za chwilę podrywamy się i biegiem wpadamy do wsi Placzkowic. Chwila wytechnienia. Siadamy w uliczce w wąwozie. Pierwsza i druga kompanja już się rozwinęła — nasza w rezerwie.

Wnet z za ogrodów i chałup rozniosło się syczące pacanie manlicherów...

Leżymy w ogrodzie godzinę jedną, drugą, już kuchnia podwiozła obiad. Przed nami wzbija się czarny, ciężki słup dymu. To ogień pożera wieś Beradź, którą nasze dwie kompanje i bataljon II atakują, jak również Garbowice i Przepiorów.

O 2-ej porwano nas na nogi. Sekcjami przebiegamy drogę do Garbowic, ścigani ogniem. Granaty biją wzdłuż drogi, ostre poświsty kul gonią każdą sekcję. Z Garbowic rozwijamy się w tyraljerę — kierunek na Kaczyce. Po pierwszym „padnij” — zrywa się wołanie od prawego: kapral Socha do kapitana Berbeckiego. Klnę, zostawiam sekcję i pochylony — wyrwam wtył do wsi, skąd Berbecki ogląda pole bitwy. Mam zrobić natychmiast szkic...

Rozkładam płaszcz, szkicownik i szybko powiększam specjalkę¹⁾. Berbecki tymczasem wydaje dyspozycje. Wyraźnie, spokojnie, ważąc każde słowo dyktuje: o 8-ej wieczorem wszystkie rezerwy ściągnąć do jaru, na południe od Swojkowa i przypuścić szturm na samą wieś...

A więc tak kieruje się bitwą... Tak dyspozycjami skraca się życie setkom ludzi.

Tymczasem skończyłem szkic i gnam do wsi Kaczyce, do kompanji. Idę naprzelaj wprost na północ. Na lewo widać, jak kompanja nasza przebiega sekcjami, jak raz po razu ryją tam ziemię granaty, jak rypią czarnymi słupami. Skonany, dopadam do dolinki, gdzie rozłożeni w tyraljerze, wysapują chłopcy zmęczenie.. Gdzie spojrzeć, wszędzie powoli posuwają się linje tyraljery, zewsząd rwie ogień karabinowy...

Zaledwie wpadłem — porwał Styk kompanję i wąską dolinką, ciasną tyraljerą z chrzęstem biegniemy naprzód ku pierwszej linji. Padamy przed nagle rozwartym wąwozem i wnet Sław przypada, zdaleka wołając radosnym głosem: dwa karabiny maszynowe wzięte, kupa jeńców...

Styk skacze jak dziecko z radości. Lecimy naprzód i dobiegamy do 1 kompanji, skąd już odprowadzają burą gęstwą jeńców. Szybko wymijamy kompanję z której dochodzą radosne głosy zwycięzców i jęki rannych. Z tłumu głosów słyszę: Ostoja²⁾ ciężko ranny w głowę!

Idziemy dwójkami w lewo, w wąwóz. Tam pluton rozsiada się pod ścianą, a ja z sekcją wychodzę na szczyt obserwować pierwszą linję. Austrjacka rezerwa postępowała tuż przed nami

¹⁾ Austrjacka mapa sztabowa 1:75.000 zwana „specjalką”.

²⁾ Ostoja-Helczyński, dr. obecnie radca w Prezydjum Rady Min.

i Moskale zaczęli gęsto kroić szrapnelami, tak, że byliśmy przez kilka minut w potężnym ogniu.

Po jakiejś godzinie (była już chyba 5-a po południu) zeszła się cała kompanja wdół do wąwozu. Za chwilę nadeszła kompanja 1. i 3. Gorączkowo dopytujemy się o nowe szczegóły z ich szturmu. Chrząszcz, łodzianin z 1 kompanji ranny i to dość ciężko.

Karabin maszynowy wziął 11 pluton podporucznika Wąsika. Austriacy darli się jak opętani „Vivat Legjonäry“, patrząc na ich atak.

Czekamy do zmierzchu i nad wąwozem w górze rozrzucamy się w szeroką tyraljerę. Mamy posunąć się do pierwszej austriackiej linii, porwać ją za sobą i wykonać szturm na Swojków.

Zmierzch gęsty ogarnął już ziemię, wokół płoną wsie. Za chwilę podrywamy za sobą linię austriaków i zaczynamy już szybciej posuwać się naprzód.

Za nami cztery wydłużone linje rezerw, groźnie się posuwające w krwawych blaskach płonącej wsi. Raptem lewe skrzydło austriackie zaczyna grzmieć ogniem — odpowiada mu ogień ze wsi, od której jesteśmy oddaleni o 300 — 400 kroków i nagle poprzez szalony ogień dochodzi głos komendy: szturm! Zakowały się tyraljery, pochyliły się bagnety i ogromny straszliwy rozległ się krzyk. Dopadliśmy jednym pędem do parowu przed wsią, w mgnieniu oka przesadziliśmy go i jedną czarną, groźną masą rzuciliśmy się na wieś..

Moskale zwiali...

Za wsią oficerowie nagwałt porządkują tyraljery. Za chwilę już czarny, dyszący rozgorączkowaniem płot tyraljerski szedł naprzód...

Kilkaset kroków za wsią zaczęliśmy się okopywać, a po godzinie wycofaliśmy się, zostawiając wieś Austriakom.

Noc przeszła w mordędze okrutnej. Od 11-ej wieczór do 2-ego rano tulaliśmy się całym bataljonem po jakimś zda się nieskończonym parowie. Naokoło nas, górą, we wszystkich kierunkach, rwał ogień karabinowy. Zbłądziliśmy... Wiara senna i wyczerpana i gdzie tylko złoży się na murawie — chrapie natychmiast.

Jak się później okazało, krążyliśmy w wąwozie, który był w posiadaniu Moskali. Przez całą noc byliśmy między nimi i na ich tyłach...

17 maj. Bitwa pod Włostowem, Kozinkiem i Konarami. — Szarżę zaczęło, gdyśmy się wydostali z wąwozu i przeszli do następnego — tuż koło wsi Kaczyce. Krótki postój, podczas którego

wiara kładzie się pokotem na trawę. Gdyśmy się podnieśli, rozwidniło się zupełnie.

Byliśmy najzupełniej pewni, że idziemy do wsi. Ale gdzie tam! Przeszliśmy kilkaset kroków — w tyraljerę! i okopywać się.

Moskale wyparli w nocy Austriaków ze Swojkowa i bitwa na nowo zawiązana.

Okopujemy się szybko, gdyż dzień robi się coraz większy. O kilka kroków leżą dwa trupy austriackie, do których Grabalowski i Ostalski zaraz skoczyli, by upewnić się, czy nie znajdują czego do jedzenia w ich tornistrach. A jeść nam się chce djabelnie, gdyż od wczoraj od południa nie w ustach nie mieliśmy. Koło 10-ej Kosior, nasz prowiantowy sierżant, przyniósł nam w kowce nieco herbaty.

Próźnujemy dość — tylko od czasu do czasu kropimy w lewo na Swojków. Posuwała się tam na widnokręgu tyraljera, lecz szybko rozbiegła się w rozsypce, skoro tylko granaty austriackie szarpać poczęły jej linję.

Moskale odpowiadają dość gęsto. Gdy my zaczniemy bić — wnet świsty nam nad głowami przelatują.

W pewnej chwili, coś około południa, rozległo się z prawego skrzydła wołanie: sanitariusz, sanitariusz! Wyciągnęliśmy go z rezerwy i gorączkowe pytania szły w prawo. Rowecki ranny! — Psiakrew, że też licho nadało! Na cały pluton akurat w niego trafili... Dostał podobno w nogę, czy też wyżej, w udo.

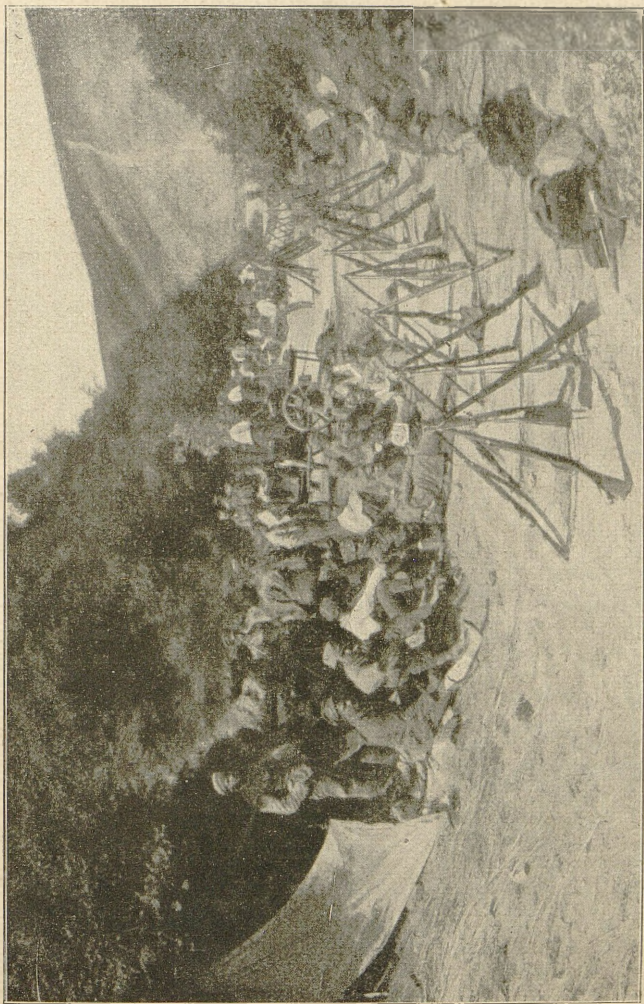
Za chwilę go wynieśli, a o 1-ej w południe zaczęliśmy się po trzech wycofywać. Zbiórka, zajmujemy znów inny wąwóz. Bajeczne te wąwozy! Można mil kilka zrobić, nie wychyliwszy głowy na widnokrąg...

Rowecki leżał tam na noszach, uśmiechał się słabo, choć dość dobrze wyglądał...

W Garbowicach pakujemy się do stodoly, zjadamy szybko obiad i marsz spać na słomę. Przeszkadzały nam trochę szrapnele i granaty, gdyż bili na wieś morowo... Tabory skupiły się pod chałupami, konie niespokojnie strzygły uszami, lecz strażnicy nie ponieśli, padło zaledwie kilka koni.

O 6-ej zbiórka — marsz do Plączkowic drogą, na której walili w nas tak ogniem artyleryjskim, że zdawało się, iż nikt z życiem nie ujdzie, a później ów bajeczny powrót przez las...

Cofamy się! Austriacy nie wytrzymali na swych pozycjach. 8 pułk „pepików“ zwiął, więc i my musimy się cofać. Do lasu ściga nasz cały bataljon i karabiny maszynowe, a ledwieśmy weń weszli już przeraźliwy trzask gałęzi i tysiąckrotnie powtó-



W rezerwie pod Konarami.

rzony huk! Zmacali nas! Za chwilę z chichotem trzaska granat, drugi, trzeci, dwa szrapnele, granat i tak ciągle. To ciężki „kuferek“, to granaty, to szczekające, szumiące szrapnele padały w las. Cofamy się schodami i wreszcie za lasem, gdy prac już przestali — kolumny czwórkowe do Konar i na północ od Konar zaczęliśmy się okopywać.

Zmierzchało już, gdy mię Styk do Sława posłał z meldunkiem. Nie było go w Konarach, a że meldunki były ważne — siadłem na konia Narbutta i pogalopowałem do Domaradzic. Na połowie drogi spotkałem Sława i wróciłem na pozycję.

Pluton nasz wysuwa się cokolwiek naprzód, mając z prawej strony dwór z ogromnym parkiem, a przed sobą wawóz ze wsią Kujawy. Dość długo wodził nas Sierosławski, który dostał nasz pluton po Roweckim, nim zaczęliśmy się okopywać. Chłopcy źli, wściekli... Nie dziwnego. Od wczoraj nic w ustach, pomęczeni ogromnie, niewyspani, nerwy potargane.

Noc cicha, ciepła—przeszła nam na kopaniu okopów. Lekkie chmurki zakrywają gwiazdy, z parku odzywa się ciągle słowik.

18 maj. Okopy pod Konarami. — Przespałem się trochę nad ranem. Banaszczał ugotował w chałupie kawę, kupił trochę jaj, tak, żeśmy się cokolwiek pożywili.

Słońce praży. Wystawiamy na sekcję jednego obserwatora, poza tem okopani jesteśmy na stoku dość szerokiej dolinki. W dole w głębi, wiję się sennie strumień i tonie w zieleni wieś.

Po południu artylerja zaczęła solidniej pracować, a na prawem skrzydle zerwał się ogień karabinowy i trwał bez przerwy do wieczora. U nas Moskałe zaczęli się podsuwać dopiero pod wieczór. Artylerja ich gwałtownie ostrzeliwuje przeciwniegi brzeg lasu, do którego podchodziły linje. Bili dość gęsto, lecz w krzaki i w drzewa, a psa kulawego tam nie było...

Wieczorem idziemy do rezerwy.

19 maj. Konary. — Przebudziłem się cokolwiek wypoczęty, lecz osłabiony. A osłabiony jestem tak, że mi nawet nie chce dźwigać się z barłogu i leżę cały dzień. Niepokoję się tylko tem, że wieczorem możemy pójść na pozycję, a ja będę niewyspany. Spałem tylko 6 godzin, a na 3 doby to za mało. W dzień nie mogę usnąć ani na minutę, a w nocy znowu służba. Pożywiam się tylko jajkami, które mi Banaszczał skupuje. Poza tem wiara wypoczywa w cudownym wawozie, obok złożonej w kozły broni, chroniąc się przed słońcem pod stromym zboczem. Pitraszą, warzą i swarzą się, nie bacząc, że lada chwila ostre słowo alarmu—poderwie wszystkich na nogi i pogna w ostry jazgot kul...

20 maj. Konary. — Poszedłem przed południem z Zygmuntem Chabowskim po jajka i mleko. Gorąco ogromne. Ledwie wróciliśmy, a tu zbiórka. Idziemy na wywiad całym plutonem do lasu kamienieckiego. Cztery sekcje — każda ma swój kierunek. W razie ognia mamy się natychmiast cofać.

Z wawozu wyszliśmy na pagórkowate pole obsiane żytem i posuwamy się w tyraljerze równo i spokojnie. O jakie 400 m. przed domkami, do których mieliśmy dojść, staję i chcę wydać rozkaz zbadania tych domków — gdy w tem pada strzał i kurz podniósł się przed nami. Ledwie Ostalski poleciał z meldunkiem, pada drugi strzał i słyszę spokojny głos Bronka Grabałowskiego: „Jestem ranny, wycofuje się“.

Kładę wobec tego sekcję w żytku, czekając aż się Bronek za małą górkę wycofa, a tymczasem piorą do nas gęsto i celnie. Aż kurzy się wokół piach, tak kule nas macają. Wycofaliśmy się wreszcie pojedynczo i to dość szczęśliwie.

Wieczorem idziemy do okopów. W nocy ciągnęła pukanina, miejscami dość silna. Wieczorem 8 austriacki pułk „pepiczków“ znów zwiął z lasu pod Kozinkiem, częścią oddał się do niewoli. W nocy natychmiast zajęli ich miejsce honwedzi.

21 maj. Okopy pod Konarami. — O 3-ej nad ranem usnąłem w okopie i obudziłem się o 10-ej. Dzień dość chłodny, wiatr przewiewa, sekcja moja ma bardzo ładne okopy na brzegu brzoźowego lasu. Po południu poszedłem do bataljonu, by narysować szkic sytuacyjny. Codziennie mam robić taki szkic, jako załącznik do dziennika bataljonowego. Dowiaduję się w bataljonie przy tej okazji ciekawych i nieciekawych rzeczy.

Dzisiaj powróciłem dość późno z bataljonu — już dwie sekcje wystawiły placówkę, w tem i moja. Jurek pozwolił mi spać, lecz zaledwie godzinę się zdrzemnąłem — poprowadzić musiałem patrol z Rembilasem i Hofmanem.

22 maj. Okopy pod Konarami. — Za okopami naszymi wystrzela niewielki, młody laszek. Są tam trzy chałupki, a jedną z nich zajmuje Styk z telefonistami. Kwatera zwykła, jak na wojnie. Słomy moc, na niej porozkładani telefoniści i dyżurni.

23 maj. Zielone Świątki. — Atak od wsi Kamieniec. — Gorący upalny dzień. Wiara się porozchodziła po kątach, po cieniowych ogrodach. O 12-ej zbiórka w pełnym rynsztunku: marsz do wsi Kujawy.

Podobno Moskale się cofnęli, czy też ma być atak, dość, że idziemy do wsi Kujawy, gdzie będziemy prawdopodobnie rezerwą. Tymczasem minęła nas kompanja 1 z Narbuttem i ruszyliś-

my wąwozem w lewo. Mamy atakować las nawprost wsi Kamiénca.

Przeszliśmy 2 klm. wąwozem, później w prawo front, rząd wprzód i tyraljerka..

Nasz pluton ma na lewo lasek i w nim 99 pulk Austrjaków — na prawo drugi pluton i lasek z kompanją Narbutta. Posuwamy się więc golem polem, nieco falistym z małemi ukryciami. 500 m. przeszliśmy w tyraljerce, gdy pierwsze kule zaczęły świstać. Do pozycyj moskiewskich mamy jeszcze gołego pola 2 klm. Dziwne mi się wydaje, że w biały dzień na takiej przestrzeni robimy atak z jednym plutonem w rezerwie, lecz biegnę dalej. Przebiegamy to do prawego to od lewego sekcjami i to dość wesoło.

Zaczęli nas macać granatami i szrapnelami. Co chwilę, huk pickielny nad głowami, szum szrapneli i trąbienie cylindrów.

Otwieramy wreszcie ogień z celownikiem 800 i zaczynamy śpiewać „Strzelca“. Znów granie pocisków, kurz ziemi i piasku zasypuje nam oczy. samemi granatami w nas kropią, a co nam rypną, to im wyuzdanie śpiewamy „Do lampy, gadaj do lampy“! Dalej „Strzelca“, „Marsyljankę“, a tu kule gwizdzą na wszystkie strony, charatają orne pole i srebrne kłosy żyta. Wśród tego ognia chodzi spokojnie Styk ze spicrutą w rękę i lornetą.

Za chwilę znów nowy transport kuferków z gwizdem szatańskim kropnął nam w pysk. Granat łupnął tuż przede mną, Chabowskim i Mańkiem Pacholskim. Słup ziemi i ognia rypnął nam w twarz. Oślepiiony i ogłuszony — szalenie szybko myślą, skonstantowałem, że otrzymałem dwa silne jak kamieniem uderzenia w lewą rękę: ranny! Zdrętwiała mi łapa, lecz w tej chwili usłyszałem krzyk za sobą. To Sierosławski, nasz chwilowy komendant plutonu, dostał szrapnelem w nogi i krwawi mocno.

Zaczęli się wnet sypać ranni: Papierski, Wojtarowicz, Michałkiewicz..

Robi się ciepło. Poderwaliśmy się jeszcze raz, dopadliśmy młodego żytką i w tej chwili podawanie doniosło, że Styk ranny i że ppor. Świerszcz obejmuje komendę nad kompanją. Oj źle! pomyślałem...

Leżymy w tym żytku trochę za długo, co chwila odzywa się jęk rannego, a z prawej strony podają ciągle, że Świerszcz objął komendę i na tem koniec, żadnego rozkazu. Tosiek Berlach z lewego skrzydła wciąż gorączkowo podaje, że tam mu Moskale obchodzą skrzydło, co robić... Nic, żadnego rozkazu, a tu kule piorą jak sto djabłów. Istne fale kul brzęczących, jazgocących, świegocących kul!!

W pewnej chwili słyszę na prawo głos Zygmunta Chabowskiego: „Słuchaj no Wacek, Jurek zdaje się ranny, czy zabity, zobacz“... Skoczyłem w prawo i aż zmartwiałem...

Jurek Szletyński leżał nawznak, z głową we krwi... — Jurek, Jur.. począłem wołać, co tobie zrobili! Tak nielitościwie rozbili twą głowę, tyle krwi, tyle krwi!!

A on oczy miał otwarte, lecz już nieprzytomne, z jakąś dziwną mądrością patrzące w niebo. Nie poznawał mię. Głuche marmrotanie, miamlenie wyrazów wychodziło mu z ust, na których wnet pojawiła się żółta piana. Umiera!... pomyślałem z rozpaczą...

Począłem ściągać mu z palca skautowy pierścionelek, o który zawsze prosił, by posłać do domu i podając pierścionelek Chabowskiemu ze słowami: „Jurek zabity“ — odgarnąłem mu czapkę. Pełna krwi... Czoło miał czyste i spokojne, tylko przeraźliwie białe... Ostatnia nadzieja błysnęła mi do głowy, że może tylko ranny, może się da uratować! Krzyknąłem do Zygmunta, by został przy Jurku, a sam pobiegłem wtył kilkadziesiąt kroków, po sanitariusza. Wnet jazgotliwy świst kul ścigać mię zaczął. Dopadłem Kostronia: „Kostroń ratuj — Jurek ranny w głowę, trzeba go za wszelką cenę przenieść“! Ale gdzie tam! Ledwieśmy skoczyli kilka kroków naprzód, już nasza linja szła do nas — bezładna, potargana, rozbita...

Świerszcz nakazał odwrót. Za chwilę, gdy zpowrotem uszykowaliśmy się w tyraljerę, komendę nad kompanją objął przysłany przez Sława podporucznik Tunguz...

24 maj. Konary. — Nad ranem, po całonocnej walce w okopach, schodzimy z pozycji. Ciągną żołnierze grupkami, niesłychanie zmordowani wczorajszym atakiem i nocnym ogniem. Moskale widocznie podsunęli duże rezerwy, gdyż ogień był straszny. Bili tylko ekrazytówkami. Ten fosforyczny blask ognia, który szalał nad głowami piekielnym trzaskiem pękających ekrazytówek, żołnierzy regularnej armji dawnoby już zdemoralizował. Prostu ziemia jęczała od tego strasznego trzasku.

Powoli ściągamy do Konar. Dzień cały przeszedł nam na leżeniu w stodole. Wieczorem bierzemy nosze z sanitariuszem i paczką, w dziesięciu, idziemy po Jurka. Droga do wsi Kujawy dość daleka. Idziemy z miejsca, gdzieśmy się rozwinęli w tyraljerę. Linja naszych okopów jest o wiele dalej od wczorajszej, lasek, któryśmy mieli wziąć jest w naszych rękach. Idziemy szeroko. Dochodzimy do żyta, gdzie padł Jurek. Widać szybko, gorączkowo kopane wnętrza.

Jest!! Zachwiałem się, gdy zobaczyłem skurczone ciało Jurka, gdy wtém Władek Łęcki nawpół radosnym, nawpół rozpaczliwym głosem zawołał: żyje!...

Szybko złożyliśy go na nosze. Edek Pfeiffer polecał naprzód do wsi przygotować lekarza. Serce nam biło młotem. Tysiące nadziei przelatywało przez głowę...

W Kujawach już czekał lekarz 1 pułku, dr. Medyński. Natychmiast zaczął mu golić głowę, a Jurek twarz miał czarną, unurzana we krwi. Jęczał cicho. Lekarz nie robił najmniejszej nadziei. Może, może...



Jerzy Młocki-Szletyński.

Słuchaliśmy z zapartym oddechem jego słów...

Zatelefonowałem do Sława, żeśmy Jurka znaleźli. Kazał nam przywieźć wozem, lecz lekarz poradził, byśmy go zanieśli — mniej wytrzęsiemy.

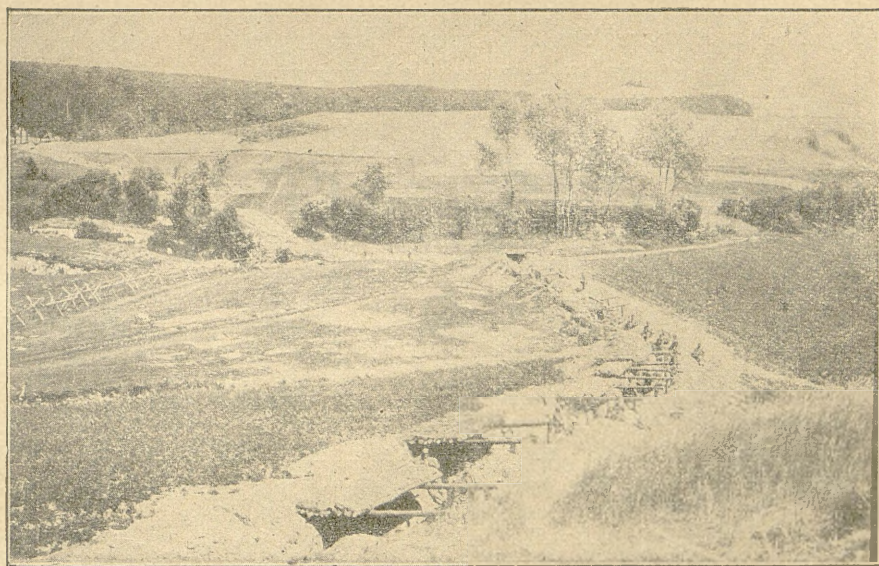
Noc cicha, księżycowa. Niesiemy go po żółtej, wapiennej drodze do Konar. Idziemy w ciszy, powoli, ostrożnie. Jurek oddycha równo, głośno. Nadzieja, nadzieja nam wciąż świta...

25 maj. Konary. — Jurek zmarł o 10 rano. Kopimy mu grób obok grobu dwu sierżantów z 1 pułku. Biały, prosty, brzozyowy krzyż, na nim tablica z deski od ładunków, darnią obłożono grób.

Styk i Sierosławski odjechali już wczoraj do szpitala — obaj na szczęście niezbyt ciężko ranni. Straty w tym nieszczęsnym ataku poniósł nasz pluton, najbardziej wysunięty naprzód — wprost okropne; oprócz Jurka — rannych dwudziestu na ogólną liczbę 44. Z mojej sekcji zostałem ja i Banaszcza. Adek Goldenberg został z trzema...

Dziś pluton nasz objął podporucznik Długosz-Tetera, a na miejsce Jurka zafrontowcem został Ojczulek-Czachowski¹⁾, stary wyga strzelecki, III zaś pluton objął sierżant z 2 kompanji Busse-Guzowski, włoclawianin.

28 maj. Konary. — Od trzech dni zajmujemy linję okopów na brzegu starego, wspaniałego parku. Przed nami nawprost rozciąga się prześliczna dolinka, osłonięta na prawo lasem płaczkowickim, a na lewo biegnąca wąwozem ku wsi Kujawy. Tuż za nami stoi komenda pułku i komenda bataljonu w białym, starym dworze, do zeszej jesieni dziedzicznym rodziny Reklewskich, a od jesieni Majkowskich.



Okopy w Konarach. Na horyzoncie las płaczkowicki.

Dworek stary z końca XVIII w. Wysoki portal, taras i kolumny obrośnięte dzikim bluszczem i winem, od wejścia — wprost oszklonych drzwi — ogromna sala. W sali tej lat temu sto w pamiętnym roku 1809-ym, gdy jeden z panów Reklewskich był kapitanem piechoty w dywizji Sokolnickiego ciągnącej na Sandomierz — był tutaj bal oficerski. Dzisiaj po stu latach rozkwatowali się nowi ludzie — lecz zawsze ci sami. Patrzą na nich ze szczerńiałych ram stare konterfekty...

Za jasną plamą gazonów i okrągłych klombów rozwiera się nagle wysoka, pyszna aleja. Wokół starodrzew, klony, graby,

¹⁾ Obecnie major piechoty.

buki, popiersia, satyry i boginki, fontanny i stare zwaliska, modnych pod koniec XVIII wieku ruin...

Gdy zapadnie noc i blady, cichy księżyc wypłynie z zachmur szepcą cienie w pomrocznych głębiach parku i w majową, rozpachnioną noc odzywa się słowik...

Gwarzyłem dzisiaj długo z kapralem Gorzeckim¹⁾, krakowianinem, historykiem. Od kilku dni jest w komendzie bataljonu i prowadzi jego historję.

50 maj. *Konary*. — Zopowiadał się dzisiejszy dzień spokojnie i cicho jak szereg dotąd spędzonych tu dni w okopach, w pozycyjnych walkach.

Słońce chyliło się już na zachód — godzina 7-ma. Zaszedłem do parku i z porucznikiem Borkiem i Trapszą obserwujemy przez szkła ogromny captiv²⁾, który właśnie ściągano.

Nie minęło kilkanaście sekund, gdy skądś od Klimontowa, cicho szeleszcząc, pruć zaczął powietrze ciężki granat. Głęboki, szumny warkot potężniał, rósł, zaskowyczał wreszcie tuż nad głowai i rypnął straszhwym słupem w drogę za park. Za chwilę drugi „kufer“, trzeci, czwarty...

Wehodzimy do środkowej sali. Na oko wszyscy sobie głośno z kuferków kpią, choć niepokój krąży po twarzach, tem bardziej, że coraz to nowy granat wali w klomby, figury, pod same okna dworu.

Siedziałem na ganku z Gottliebem, urzędowym malarzem pułku, gdy nowy kufer rypnął w klomb, tuż pod sam taras. Trzasnęło nami w drzwi, zewsząd sypie się gruz i szkło. Za chwilę drugi z lewej, trzeci w prawo.

Towarzystwo sztabowe zaczyna się nerwowo kręcić po sali. Gorzecki siada do fortepianu i gra jakąś fanfarę. Macają widocznie we dwór, bo co kilka sekund dziwnie złowrogo pruje powietrze nowy granat — bez uprzedniego huku, bez urwanego łopotu i gwizdu lekkich granatów. Słysząc go, jak powoli się zbliża, jak coraz szybciej gna potężny gwizd — szum, gwizd — jęk pęd powietrza i nagle, brak tchu, zawrót głowy i przeraźliwy, straszhwy trzask rozłupanego na dwoje świata.

Wózki amunicyjne artylerji pakują się gorączkowo. Ordynansi wyprowadzają z krzykiem chrapiące, spłoszone konie, inni nagwałt wytaczają działa...

Po długich kluczeniach raz w tę raz w inną stronę, by mię gdzie kufer nie dopadł, wymanewrowałem się w stronę okopów

¹⁾ Zmarł w r. 1922.

²⁾ Balon obserwacyjny na uwięzi.

naszej kompanji i już z wylotu długiej alei ujrzałem w pewnej chwili jak dwór zatrzęsł się od strasznego ciosu. Wśród przeraźliwego łoskotu rozległ się charakterystyczny, suchy, cierpki trzask rozrywanych desek...

Skoczyłem zpowrotem w tamtą stronę. Nie upłynęło kilka sekund, jak buchnął z drzwi Sław, Rokita, Borek, telefoniści i ordynansi. Twarze zbieleły, pokryci kurzem od stóp do głów. Sław okrwawiony, z porozdzieraną bluzą...

Dwór już się palił. Nagwałt wynoszono kancelarję i rzeczy. Nikt szczęściem nie zginął. Granat wyrzucił nad pokojem Sława, wybuchł na strychu, zwałił mu sufit na głowę, tak, że kapitan zaledwie skoczył w okno i na murawie klombów zemdlął. Chłop ma szczęście, jak mało kto.



Rozdzielanie poczty w starym parku w Konarach.

1 czerwiec. Konary. — Przesunęliśmy się dzisiaj trochę w prawo, lecz ciągle za nami głęboko szumi park. Nawprost ta sama dolinka i wąwóz, ta sama osypana kwieciami łąka.

Napisałem dzisiaj długi list do Stefana Szletyńskiego, brata Jurka o naszym ataku na Kamieniec i śmierci Jura. Jurek wiedział, że zginie, że nie minie go śmierć. Pamiątnik jego kończy

się wieczorem 22-go maja straszmem zdaniem: „Straty coraz większe. Chrząszcz¹⁾ zginął. Kolej na mnie“...

3 czerwiec. Konary. — Przemyśl wzięty! Wieść się rozeszła błyskawicą. Dziś przyszedł z pułku fonogram. Prócz tego wzięto Stryj, więc radość ogromna. Poza tem zmiany w 4 kompanji: pluton nasz objął ostatecznie podporucznik Długosz-Tetera, a kompanję ppor. Tunguz-Zawiślak²⁾).

9 czerwiec. Konary. — Sześć dni nie pisałem dziennika, bowiem nie przerywało codziennej monotonji okopowego siedzenia. Odkładałem pisanie do rezerwy, lecz, że coraz dłużej czekać na nią przychodzi — więc smaruję.

W okopach mam ziemiankę razem z Antkiem Gruszczyńskim. Ziemianka — to poprostu głębszy i szerszy nieco dół, celtą³⁾ namiotu przykryty z wierzchu.

Gorące, upalne dni przechodzą nam jednostajnie. Albo śpimy, albo jemy, albo włóczymy się po wedetach. Piszę śpimy, lecz chrapie właściwie tylko Antek, gdyż ja się nie mogę ze snem uporać. Służba nie ciężka, co druga noc placówka.

Jak kucharz powiada, zaprowadzony ma być w brygadzie żelazny krzyż zasługi. Dostaną go ci najsrożsi — oni stworzą kapitułę, która stanowić będzie o dalszem nadawaniu.

5-go oddawał cały pułk salwami z okopów pożegnanie dla Grudzińskiego. Zginął na patrolu pod Żernikami, na lewo od nas.

W okopach spokój stały od kilku dni. Teraz zapada cichy. letni wieczór. Słońce już zaszło, krwawiąc zachodem. Z jarów podnosi się to głośniejsze to ciszey swarliwy żabi gwar, a z głębokiego, mrocznego parku dochodzi klask, śpiew, pogwizd słowiczy.

10 czerwiec. Konary. — Wczoraj wieczorem wyszliśmy z okopów do wsi Konar, do rezerwy. Kolejka okopowa wypadnie na nas dopiero za 18 dni, a to w sposób następujący: 6 dni w Konarach, 6 dni w małej rezerwie w Kolonji Konarskiej, 6 na pozycji parkowej i dopiero wtedy okopy nad wsią Kujawami.

Mam wrażenie, że już do nich nie wrócimy. Jeśli atak „awstryjców“ będzie szedł dalej w tem tempie, to lada chwila ruszymy naprzód.

Tunguz, który objął naszą kompanję po zranieniu Styka — dostał dzisiaj nominację na porucznika. Poszedłem z Ojczulkiem-Czachowskim złożyć mu gratulację, co miło i z radością przyjął.

1) Łodzianin, padł pod Konarami, w 1 kompanji.

2) Obecnie plk. piechoty.

3) Płótno namiotowe.

Wieczorem — że to szalona okazja — robimy u Tunguza seans spirytystyczny, ściślej spirytusowy. Siedział Długosz, Flojar, Busse i Ojczulek. Ściągnęliśmy po pijanemu Katarzynę Wielką i naciągamy ją na prorocтва. Powiada babsztyl, że mamy być tu jeszcze trzy tygodnie, a później w głębokiej rezerwie w Kieleckiem. 29 lipca Warszawa padnie, nasz bataljon wkracza do niej, przedtem zlekka potłukłszy się z Moskalami pod Żyrardowem. Dwuch ludzi zginie, trzech będzie rannych. Wprowadzi bataljon do Warszawy Narbutt.

Tunguz, Długosz i Flojar jako warszawiaczy zapijali długo w noc tę nowinę, zajechawszy pod koniec daleko poza to miasto stołeczne.

Czytano nam wczoraj rozkaz Komendanta, wydany z okazji ostatnich walk pod Konarami. Okazuje się, iż dlatego nas rozrywano oddziałami, ponieważ Brygada była w rezerwie dywizji. Njwiększe pochwały dostał III bataljon.

Gorzecki czytał mi dzisiaj swój obrazek z bitwy płackowickiej. Bawi się chłop literaturą, nastrojami, poezją. Romantyk najprzedniejszego gatunku. Po południu o 5-ej wywłókł nas Tunguz na ćwiczenia. W Konarach był wielki fest, którego niestety nie widziałem. III bataljon otrzymał sztandar od amerykańkanek.

Poza tem Gorzecki znosi z bataljonu wiadomości, że mamy pójść gdzieś pono na północ, pod Warszawę. A wielogębna fama głosi, że główna prowiantura Brygady fasunek ma dostawać od szwabów. Coś w tem jest — twierdzą kucharze — międląc chochlą w brudnej kawie...

11 czerwiec. Konary. — Całe wieczory spędzam w parku z Gorzeckim. Czyta mi swoje utwory, listy, wspomnienia... Słucham, nie przerywam, zatapiając się całkowicie w marzenia. Ten park, ta wiosna, słowiki, literatura i Gorzecki — każą zapominać o wojnie, okopach, głośzą udrękę niewiadomych losów.

Dzisiaj idziemy całą kompanją na wyprawę do Kamieńca. Moją sekcję wziął Długosz objaśniając dokładnie cały plan. Mamy wyłapać łączników placówek rosyjskich.

O g. 8-ej zbiórka i marsz do lasu kamienieckiego. Tu w domu Grabałowskiego (nazwanego tak od czasu patrolu, w którym był ranny), zebrała się kompanja. Tunguz powydzielał patrole. Adek Goldenberg z dwoma ludźmi wysuwa się naprzód, czyhając na łącznika. W razie gdy łącznik moskiewski się na niego natknie, ma silnie, zdecydowanie zahaltować po rosyjsku i — „ruki wwierch!“... Drugi patrol bierze Antek Gruszczyński, który tu już w czasie dnia patrolował. Długosz i ja z dwiema sekcjami czaimy się nad wąwozem, by w razie czego do nich skoczyć.

Cisza dzwoni w uszach. Posuwamy się ostrożnie głębokim jarem i wsią Kamińcem jak duchy. Żadnego znaku życia. Wąwozy do patrolowania świetne, kręte, kryte zaroślami w górze i w dole.

Zerwał się ostry wiatr i wichrząc gałęziami tłumi nasz krok. Obeszliśmy wszystkie patrole dzwoniąc zębami, bo noc zimna, a potem patrolujemy dwór kamieniecki.

Tam jeszcze nie spali. Wąski pas światła jaśniał przez szpary okiennic.



Por. Kostek-Aleksandrowicz i ppor. Styczński na tle alei parkowej w Konarach¹⁾.

Dwór zaklęty w ciszy, w cieniu potężnych drzew parkowych. Wróciliśmy stamtąd do chałupki. Był tu Berbecki, Sław, z którymi zaszliśmy do Bussego. Busse z Rusinem i dwiema sekcjami osłaniał patrol prawoskrzydłowy.

Zasadzka się jednak nie udała. Nie natknęliśmy się na żadnego łącznika, to też o 1-ej koci marsz z powrotem.

14 czerwiec. Konary. — Sieniawa zdobyta. Przejście przez San z południa i północy wolne. Pod stary Sandomierz, na sławne widły Sanu i Wisły wałą dwa pruskie korpusy.

¹⁾ Dzisiaj z dworu i wspaniałego parku śladu nie ma. Park w roku 1921-ym, po rozparcelowaniu majątku, został wycięty. (Przyp. autora).

Dziś znów wyprawa. O 8-ej zbiórka i marsz do chałupki Grabalowskiego. Adek już od południa tam siedzi i węszy gdzie są moskiewskie placówki. Chodzi o porwanie wedety, gdyż brak wiadomości co u Moskali się dzieje.

Widno zupełnie, choć to już 9-ta wieczór. Za łaskiem, za wawozami byliśmy o 10-ej, gdy patrol już się wysunął. Minęło pół godziny, ciężkich dla mnie jak śmierć, gdyż obawa o Antka dławił mnie jak zmora. Tak jeszcze Jurek mi ciągle majaczy, że truchleję na myśl, iż który z naszej rodziny skautowej znów może paść. O 11-ej wrócili — w żaden sposób nie da się nic zrobić.

Przez resztę nocy miałem placówkę przy domku Grabalowskiego.

17 czerwiec. Konary. — Nad wieczorem przyszły świetne wiadomości... Moskale wieją na łeb na szyję do Lwowa. Zajęte Mościska, Sądowa Wisznia, Jaworów... Podjazdy są o 20 klm. od Lwowa.

Wymarsz, ofensywa, już bliska... Rozdano nam dzisiaj podwójne, żelazne porcje.

21 czerwiec. Konary. — Dzisiaj odmarsz z Kujaw do Kolonji Konarskiej. Czuję się lepiej, nogi już mniej mi dokuczają. Przez ostatnie dwa tygodnie wyłem po nocach z bólu. Reumatyzm wlał mi w nogi i darł w niesłychany sposób. Dopiero teraz odbiły się wszystkie patrole nad Nidą, brodzenie po nocach, moknięcie na zalanych łąkach. To też mimo łykania aspiryny bez miary — nacierpiałem się za wszystkie czasy, szczególnie gdy szara plachta chmur wisiała nad ziemią. Dziś słońce; upał, pogoda, więc bóle jakoś przechodzą.

Austrjacy podchodzą już do samego Lwowa. Gródek, Niemiłów, Cieszanów zajęte. Wielki dzień oswobodzenia Lwowa tuż, tuż. Prawdopodobnie Moskale lada godzina stąd zwieją — klin od Sandomierza już się zwiża.

22 czerwiec. Konary. — Lwów wzięty! Przygotowywano nas powoli nim wiadomość ta dzisiaj nadeszła. O 4-ej fonogram głosił, że padła Rawa Ruska i Żółkiew, a w dwie godziny później telefonował Sław z brygady, że Lwów wzięty!

Radość niesłychana!

Lwowiacy odżyli, ciskają się sobie na szyję, wyją z radości...

Austrjacy na prawo tak bić z uciechy poczęli do mochów, aż ci, sądząc, że to idzie atak, otworzyli piekielny ogień i linje trzęsły się od ognia, jak w najgorętszej bitwie.



W okopach pod Konarami.

Zapada cichy letni wieczór. Wracam z Antkiem z Konar. Doliny, jary przed nami spowija lekka mgła, w którą wsiąkają nieznacznie kontury drzew. Cała dolina Pokrzywianki nuża się w mgłach, w siwych o fioletowym tonie oparach, a co chwila z tego sinawego mroku wystrzela w górę rakietą, siejąc migotliwe, zielonkawe światło. To chłopcy biją na wiwat!

W P O Ś C I G U

25 czerwiec. Wymarsz z Konar. Konary — Kaczyce — Grocholice — Włostów — Niekisiałki Duże. — Gruchnęła rano wiadomość, że okopy puste, że Moskale zwiali. Na linji cisza — ani jednego strzału. Pod białym murem Przepiórowa ukazują się już siwe patrole. Przez okopy od prawego, podają rozkaz do pakowania.

Piorunem się zwija wiara. Gwar, radość, krzyki — znów na przód, znów dalej kawałami zbierać polską ziemię...

O 9-ej rano u Sława odprawa oficerów. W parę minut później zbiórka i marsz w dół do wsi Kujaw, gdzie już rozśpiewane ściągają kompanje.

W dolinie ruch. Wzdłuż rozłożonych na drodze kolumn piechoty przebiegają konni ordynansi, szwadrony kawalerji ostrym klusem giną w tumanach kurzu za wsią. Co chwilę przeciąga jakiś sztab, to pułku, to artylerji, to kawalerji. Za chwilę już zajeżdża Berbecki z Toporczykiem-Bleszyńskim¹⁾, adjutantem swym i „Otyż obywatele!“ rozlega się co chwilę.

Leżymy w cieniu przydrożnych drzew. Słońce jarzy złotem na osłoniętych miejscach, granaty cieniów kładą się na drodze. Rozłożyliśmy się wzdłuż płotków wiejskich, czekając na marsz. Obok leży Sław na krótkiej murawie i na ogromnej mapie wskazuje oficerom kierunek marszu.

O 10-ej wymarsz i przez Kujawy nad Pokrzywianką, przez Kaczyce, okrutnie porujnowane Grocholice dosięgamy Włostowa. Chłopcy z ożywieniem wypatrują swych starych okopów, z ciekawością oglądamy Swojków, widziany za dnia dopiero teraz i ze zdumieniem stwierdzamy, jak daleko naprzód posunęliśmy się po owym swojkowskim szturmie. Znajdujemy nasze okopki, woneczas wśród ciemnej nocy i pożarnych łun ryte naprędce łopatkami o niecały kilometr od Włostowa.

Włostów. Szeroka, duża wieś, cmentarz murem otoczony, a w nim powybijane gęsto strzelnice. Ludność wyległa tłumnie,

¹⁾ Obecnie pułkownik Szt. Gen.

gościnnie wynosząc co było pod ręką. Jakaś gosposia w dyrdy biegnie do chałupy i wynosi wielki garniec mleka dla tych „młodzińskich żołnierzy“! Najbardziej się roztkliwiają kobiety, patrząc na młode nasze twarze. Od chłopów bije twarda niechęć — na szczęście — do Moskali. Nie myślą nas z Austryjakami i świetnie wiedzą cośmy zacz.

Za Włostowem, za bielą palacu Karskich, w zieleni drzew tonącym, krętymi drogami wciśniętymi w jary, w ramiona wąwozów, prze Karwów i Niekisiałki Małe, wśród wesołych pieśni ścigamy do wsi Niekisiałki Duże. Tu nocleg i zasłużony sen.

24 czerwiec. *Niekisiałki Duże — Stodoly — Kunice.* — O 5-ej rano pobudka i kawa... Znów przez wąwozy, jary, jasne, rozświetlone pola dźwigamy się w kurzu i spiekocie, zalani słońcem i zlanii potem.

Postój. Zrzucamy rynsztunki z rozbolałych ramion, bez ducha walimy się na zieloną ruń.

Mija 11, 12, południe wreszcie przechodzi — my ciągle stojmy. Deszcze spadł krótki rześisty, odświeżając nieco powietrze. Bataljon rozłożył się wzdłuż drogi — grupkami wiara zwarła się i gwarzy...

Wiozą rannego. Na chłopskim, prostym wozie leży ułan, podporucznik Dudzieniec. Na żółtem podścielisku słomy bieli się jak opłatek blada twarz, ujęta bandażami głowa.

Skupila się wnet wokół wozu grupka, nowin ciekawa. Pytamy por. Borka, co słyhać? — Ano patrol ułański — 15-tu beliniaków — wpadło wczoraj w zasadzkę: 4-ch zabitych, reszta ranni, dostali się do niewoli, lecz już dzisiaj Austriacy ich odbili.

Jesteśmy w głębokiej rezerwie, przed nami jest 3 pułk, I bataljon 1 pułku a na odcinku III bataljon ze Śmigłym. Postój się przedłuża. Zafasowaliśmy po kuleczku mleka i po kawałku wiejskiego chleba. To Sław nam robi 2-gie śniadanie. Idziemy kilka kilometrów. Stajemy obok drogi, przy wsi Kunice.

Przed nami na widnokręgu widać kościół Bidzin. Wykwitają tam dymki szrapnelowe, za chwilę mija nas artylerja.

I znowu długi postój, przychodzi poczta i gazety. W pewnej chwili przejeżdża Komendant autem. Gromkimi okrzykami wita go nasz pułk. Dziadek był w „Armee Oberkommando“. Spodziewamy się, iż sporo ważnych rzeczy stamtąd przywozi.

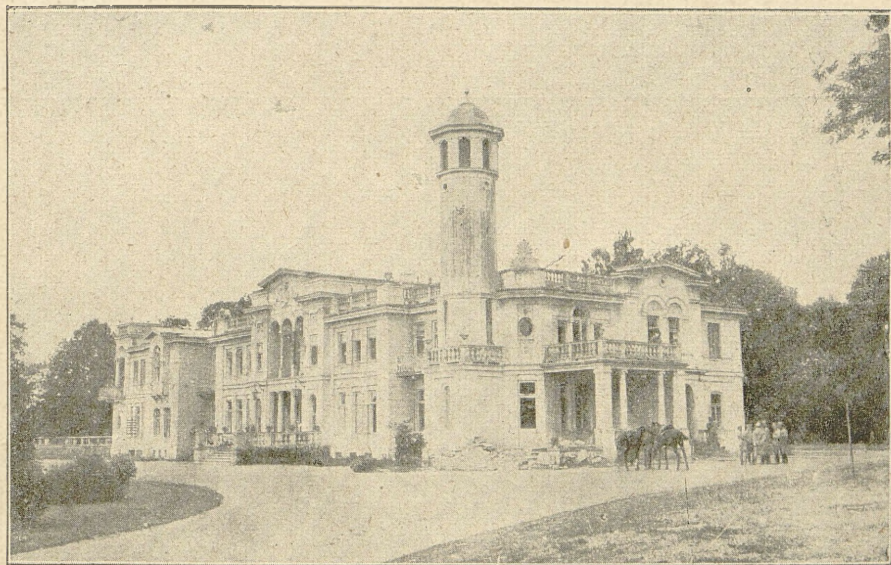
Okolo 6-ej skręcamy w bok i rozkwaterujemy się we wsi Kunice.

25 czerwiec. *Kunice — Bidziny.* — Kwaterna komendy bataljonu. Obszerna, szeroka, czysta izba chłopska. Kilka krzeseł,

dwa stoły. Kapitan Sław rysuje przy stole jakiś szkic, odbiera meldunki.

Na dworze cichy, czerwcowy wieczór. Poprzez koronki drzew czerwienieje po zachodzie niebo. Cisza ogromna i spokój. Narysowałem swój codzienny szkic dla Sława, lecz czekam jeszcze, aż kapitan pójdzie na odprawę i wróci z niej.

Przed godziną weszliśmy do Bidzin, po krótkim wesółym marszu z Kunie.



Włostów, pałac Karskich.

Dziwnie przykre wrażenie uczyniła na nas ta wieś. Ogromna, bogata, wspaniale zagospodarowana, lecz cicha i głucha. Moskale zabrali z sobą całą ludność z żywym dobytkiem. Zostało kilka rodzin i to co najbiedniejszych komorników.

Ziemia, którą już uprzętać ze zbóż należy, została bez opieki, bez opieki zostały zamożne gospodarstwa. Moskale tę przymusową ewakuację zaprowadzili dopiero teraz, przy tym odwrócie. W Kunicach jeszcze tego nie robili. Co będzie, jeśli tak ze wszystkich wsi ludność będą uprowadzali?...

Przez otwarte okna dolatuje śpiew. To wiara zebrała się, by po rosie, w ciszy wieczornej zanucić jak to „mała kulka słońce w skroń“...

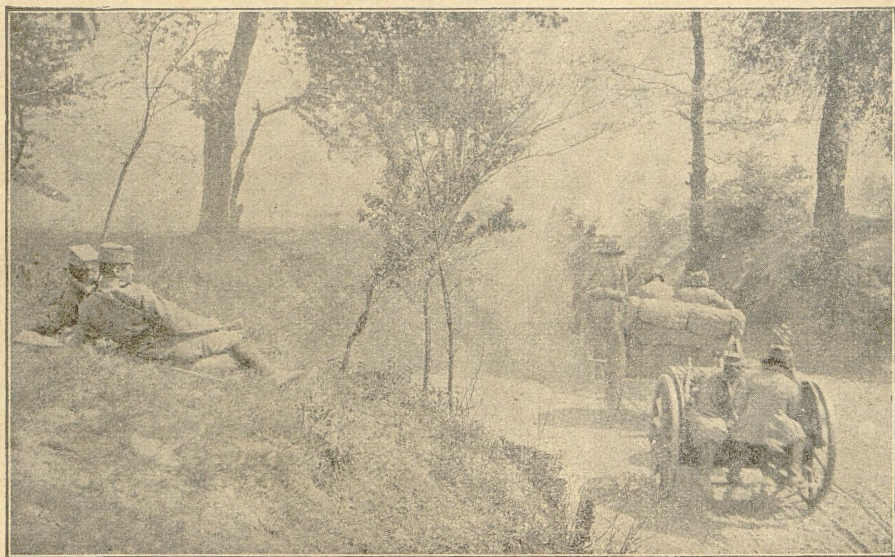
Późnym wieczorem odmarsz do Bidzin.

26 czerwiec. Bidziny — Julianów — Stróże. — Po upalnych marszach śpiemy na kwaterach jak zabici. Z Bidzin odmarsz

o 8-ej. Oddałem plecak na wóz sanitarny, więc idzie mi się doskonale. I dzisiaj jesteśmy rezerwą, lecz już drugą. Z Bidzin maszerujemy w odstępach kompanjami, gdyż dosięgnąć nas może ogień artyleryjski.

Przeszliśmy ze dwa kilometry, stajemy obok Wyszmontowa. O 11-ej ma być atak naszej Brygady i 8 pułku austriackiego, który uzupełniono innemi narodowościami i wzięto powtórna przysięgę. Dzisiaj ma on zmazać swe grzechy z pod Konar.

Artylerja już rozpoczęła swą pracę. Sporo jej jest, grzmiała ostro, rozgłośnie.



Artylerja w marszu na pozycje.

Zbliża się 11-a. Przesuwamy się w lewo i obok wsi Juljanowa, ujętej wokół ramami ogromnych lasów — stajemy. Rozkładamy się w ogromnym, ślicznym, cieniście lesie. Obok na brzegu lśnią złotemi lufami 15-cm haubice, które walą bez przerwy. Jest tu cała tyraljera armat i to ciężkich, a nad lasem wznosi się dumnie „captiv“. Rozpoczyna się ogień karabinowy, lecz słaby, takie sobie pukanie. Nie wygląda na szturm.

Okolo 2-ej maszerujemy tuż do wsi Juljanów. Atak podobno nie był wcale przeprowadzany.

Rozkwaterujemy się we wsi. Ludność tu jest, oparli się Moskalom — nie poszli. Żalą się chłopci na Moskali, którzy grabili a nawet gwałcili kobiety.

O 8-ej wymarsz. Maszerujemy przez wysokopienny las, później przez czworobok pola, zamkniętego ścianą boru. Księżyc majestatycznie wypłynął na jasne niebo gdy weszliśmy na drogę, obok której tai się rozrzuconych kilkanaście chałup. To wieś Stróże.

Zajmujemy pozycję, I i II pluton na ubezpieczenia. Posuwamy się kilkaset kroków żytem i zmieniamy placówki VI bataljonu. Cisza—ani jednego strzału... Wzdłuż drogi zaczynamy się okopywać śpiesznie, szybko, wśród uciekającej z każdą chwilą, krótkiej letniej nocy. Błady księżyc rozświeca drogę i sine, trupie pola. Rozlega się tylko zgrzyt syckiego żwiru i dźwiękliwy szcęk łopatek...

27 czerwiec. Stróże. — W płytkim okopie, wykopanym wspólnie z Antkiem Gruszczyńskim, nakrytym z wierzchu celtą — spałem kamiennym snem, aż póki straszliwy upał nie zlał nas potem jak wodą. Zrzuciliśmy celtę.

Moskale biją zbliżka i dobrze. Co chwila gdy ruszy się kto na okopach gwizdnie kula, zmiatając kłosa żyta. Dzień przeszedł nam na spokojnem leżeniu w okopach. Po południu ranili śmiertelnie jednego ze strzelców naszego III plutonu. Rana śmiertelna. Moskale jakoś mniej wała, więc coraz któryś wybiega ze wsi po wodę, lub słomę.

Okopy gwarzą. W plutonie naszym rozmowa przechodzi z okopu do okopu. Wszyscy mówią o sanitetach, którzy się bali pójść po rannego. Wzięli go wreszcie i nieśli w płótnie namiotowem. Ranny wyglądał strasznie, twarz mu już zupełnie zszarzała — nie wróżyłem mu nic dobrego. Jakoż w godzinę później zmarł.

Zmieniła nas dzisiaj 1 kompanja, myśmy przeszli do rezerwy.

28 czerwiec. Stróże. — Jesteśmy w rezerwie. Wieś nieduża. Przy drodze, pod wysoką ścianą lasu stoją posterunki przy chałupach i studni, pilnując, by wiara się nie kręciła.

Droga jeszcze nie zamaskowana i Moskale łupią. Wczoraj ranili dwu z 3 kompanji. Wieś ewakuowana. Niema żywej duszy z ludności. Kozacy odchodząc grabili mocno, a resztę dopełnił VI bataljon, który pomordował wszystkich drób, na co wiara w naszym bataljonie mocno się oburzała, jako, że dla niej nic nie zostało.

29 czerwiec. Stróże. — Dwa plutony naszej kompanji rozlokowano w stodole. Rozmawiałem dzisiaj z Florjanem dużo o Sławie. Gorzecki mi mówił, że Sław wczoraj był strasznie zły na Trapszę i to, że kuchnia za późno rano nadjechała i moja

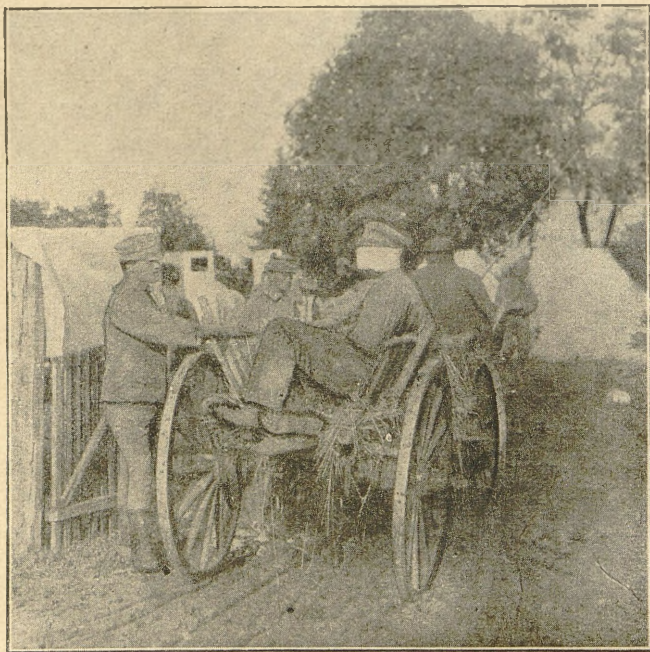
sekcja śniadania nie wzięła. Jak mówi Gorzecki kapitan Sław za żołnierza linjowego dalby się zabić.

Gruchnęła wieść, że podobno Rumunja wypowiedziała wojnę Rosji. Jest to możliwe, choć ja w to nie wierzę. Linja moskiewska znów przełamana. Jednem słowem dobrze jest!...

Noc z 29 na 30 czerwca. — Przez dwa dni staliśmy w rezerwie we wsi, a dzisiaj zmieniamy I kompanję.

Strzelanina spora, gdyż noc dość jasna. Księżyc wypłynął, placówki pukają do siebie a od czasu do czasu zrywa się ostrzejsza strzelanina i gwizd kul rozlega się nad okopami. Mam wrażenie, że Moskale zwieją, gdyż coś za gęsto strzelają.

Usnąłem o 11-ej, a o 1-ej budzi mię Chabowski. Wrócili w tej chwili z roboty saperskiej. Ubieramy się w rynsztunek patrołowy i mamy pójść sprawdzić czy Moskale są jeszcze, gdyż podobno zwiali.



Ranni...

Świta już. Na wschodzie różowy pas wznosi się coraz wyżej, w szarej ciszy poranku poczyną dzwonić skowronek, z pól nadciąga ostry, rzeźwy zapach.

Długosz poszedł ściągać placówkę a tymczasem w chałupie u Tunguza pracuje telefon. Sław nie chce pozwolić na wysłanie

patrolu, gdyż już poszła tam 2 kompanja. Za chwilę telefonuje, że Moskali niema, że 2 kompanja jest już w ich okopach. My wobec tego nie idziemy.



Zakładanie telefonu polowego.

Adek Goldenberg wraca z placówki i szeroko opowiada o swych podejrzeniach, że Moskali niema. Meldował o tem o 1-ej. Do 12-ej waliła do jego wedet placówka, a o 12-ej nagle przestała, choć się on umyślnie prowokująco zachowywał. Wedeta jego paliła papierosy, ziewała głośno, a Moskale nie.

Dzień robi się coraz jaśniejszy. Wylegliśmy na okopy gwarząc. 1. pułk Śmigłego już wyruszył naprzód i wpadł na karki Moskalom.

Ciekawe gdzie się oni teraz zatrzymają?...

Nadjeżdża kuchnia z kawą. Dzień się już zrobił jasny lecz my ciągle zostajemy w okopach. Bataljon widocznie dość późno ruszył, prawdopodobnie nasza kompanja jest w rezerwie.

REDUTA TARŁOWSKA

50 czerwiec. Stróże — Karsy — Bronisławów — Lipowa Wólka — Wola Tarłowska. — Zbiórka na drodze, plutony w rozwiniętym. Czekamy na pozostałe kompanje, tymczasem po „ro-

zejść się“, oblegamy dwu Moskali wziętych do niewoli, których Długosz zasypuje pytaniami. Dorodne, rosłe chłopcy, przytomnie odpowiadają i śmiało. Przedstawiają sytuację rosyjską jako doskonałą, mówią o minimalnych stratach od artylerji austriackiej, a wogóle sprawiają wrażenie jakby umyślnie ich tu zostawiono.

Ruszamy. Upał czerwcowy. Mijamy Karsy, docna spalone przez Moskali, mijamy ich wspaniałe, obronne pozycje. Do południa trwał marsz przez Bronisławów do Lipowej Wólki w potężnym upale.

Postój w Lipowej Wólce, gdzie ustawione obok drogi już pracują nasze legjonowe ósemki. Na stodołę siedzi obserwator połączony z baterją łącznikami, którzy głośno podają cyfry.

Co chwila rozlega się krzyk komendy: „kąt 27 lub 30 — szrapnelem, baterja od prawego ognia“! Podnoszą się ręce kanonierów na znak „gotowe“ i jędrny, gromki huk rozdziera powietrze, za nim drugi i trzeci. Pocisk wylatując z lufy syczy jak wypuszczona gwałtownie para z lokomotywy, później w dźwiękliwy wpada jęk — pęka wreszcie gdzieś w oddali i powraca stłumionym, niskim hukiem..

Spadł rzęsy deszcz. Przez wieś przejeżdżają szwadrony kawalerji, baterje, kolumny amunicyjne, tabory. Po obiedzie, mocno spóźnionym, ruszamy. W powietrzu po burzy rzeźwy chłód. Chmury jeszcze włączają się po niebie rozlazłe i powolne a promień słońca wymykający się chwilami budzi tysiące blasków w ciężkich kroplach deszczu, na chybotliwie drgających liściach drzew...

Ruszamy przez ścieżynę wydeptaną w żytach. Posuwamy się w lewo a potem w las przez Wolę Tarłowską. Deszcz ustał po godzinie — w powietrzu rozchodzi się krzepka, leśna woń czerwonych, śmigłych sosen. Ciepło wieczorne ogarnia i tuli ziemię, powoli zapada zmrok, szrapnele, które dotąd białym puchem i rdzawymi plamami wykwitwały na niebie, poczynają już tylko błyskać, a błysków tych jest coraz więcej — coraz więcej...

Wokół, zewsząd baterje. Jedna przez drugą bije, jedna drugą wspomaga. Obok połowych 8-centymetrówek warczą pociskami 10-ki, 12-ki i 15-ki, smagając straszliwemi ciosami grając echami las...

Od czasu do czasu Moskale odpowiadają salwami armatniami, lecz te giną całkowicie i bezgłośnie w ciągłym, szarpającym huku dział i błysków naszych szrapneli.

Postój. Siadamy na brzegu lasu. Zmordowane leguny drzemią, oparłszy głowy o tornistry i plecaki, kołysankę dział chcąc

gwałtem przespać. Wiatr kołysze wierzchołkami sosen, a wciszy wieczornej, która się gdzieś tai po równinach kłóśnych zbóż, szemrze delikatnie, oddalona pukanina karabinów, tak cicho, jak oddalony bełkot górskiej wody w potoku.

Od czasu do czasu z ostrym świstem przetnie powietrze rosyjski granat lub dźwięcznie nad lasem szrapnel.

Powoli scicha las i cichną działa — zapada noc. Monotonne pukanie, to głuchy warkot karabinów jednak nie ustaje. Zasypiam i już prawie przez sen słyszę głos Tunguza, który wróciwszy przed chwilą z odprawy, opowiada swym tubalnym głosem nadzwyczajne historie. Ponoć dla brygady niema miejsca, gdyż korpus się ścieśnił coś na trzy kilometry, że front gęstnieje nad zwijanymi linjami Moskali. Możliwe jest wobec tego, że nas pchną gdzie indziej...



Obserwatorzy artylerji.

1 lipiec. Tarłów. — Spałem świetnie z Antkiem na słomie pod namiotem. Nad ranem kawa i znów drzemka, aż przebudziło nas palące słońce przedpołudniowe, złocące sosnowy las.

Zacząłem się krzątać koło kawy, lecz nie zdążyłem jej przyrządzić, gdy zbiórka i odmarsz.

Marsz na linję. Długosz i Tunguz opatrują „sztajery”¹⁾, przez kompanję przechodzi zgrzytliwy trzask otwieranych, przepatrywanych zamków.

¹⁾ „Steyer” — pistolet dużego kalibru.

Ruszamy. Z pół kilometra przez las, a potem dalej, do Wólki Tarłowskiej. Słońce praży, a wiara klnie, że znów bitwa wypadnie w południe... Atakować mamy kotę 209, na prawo od pozycji Moskali, którzy tu ponoć zażarty mają stawiać opór.

Kolumna posuwa się wolnym krokiem, później odstępy plutonami. Co chwila siadamy, widocznie przesuwanie się nie idzie łatwo. Od czasu do czasu zajęczy rzewnie zabłąkana, daleka kula.

Artylerja bije ciągle wytrwale i niezmordowanie.

Tak minęły ze dwie godziny. Minęliśmy Tarłowską Wólkę i posuwamy się zgarbieni wzdłuż drogi i okopów, w których rozłożony w rezerwie, spoczywa I bataljon 1 pułku, który pod Śmigłym główny ma na pozycję moskiewskie przeprowadzić atak i szturm.

Droga słabo kryta, a o kilkadziesiąt kroków na lewo, gdzie złoci się żółty splacheć wydmy, rozciąga się pierwsza linja, wśród której rwie i trzaska ogień karabinowy.

Kule poczynają już drzeć ostro i zjadliwie, coraz gniewniej, coraz złośliwiej. Wpadamy biegiem do lasu. Pierwszej sekcji z Adkiem Goldenbergiem udało się cichcem — lecz w moją już wyrznęła krótka, szarpana salwa. Dźwięknęły naraz kule, jak pęknięte, rozpuszczone struny i rozżarte, siepiąc gałęzie drzew, wpadły w las. Każdą już sekcję witła odtąd salwa, lecz jakoś bez szwanku przeprawiła się cała kompanja.

Na brzegu wysokopiennego, sosnowego lasu — żółte, sypkie okopy, śpiesznie ryte łopatkami legunów. Tutaj stajemy jako najbliższa rezerwa.

W pierwszych zaraz okopach rozsiadł się sztab bataljonu i pułku. Telefoniści z nabożeństwem zasłuchani w swe aparaty, adjutanci z ołówkami i mapami w rękę.

Zajmujemy okopy, jesteśmy pierwszą rezerwą Śmigłego. Przed nami dwie kompanje II bataljonu toną w zbożu. Nawprost, na celownik 1800 rozciąga się siny las, na prawo krótka przerwa i strzechy wsi Hermanowa. Od Wisły dzieli nas przestrzeń 3—4 kilometrów.

Okopy pojedyncze, nie połączone, lecz głębokie. Łatwo i bez trudu sypki piach wyrzucały łopatki.

Ogień trwa ciągle. Kule trzaskają po gałęziach sosen ostro i gęsto, a wiara z za drzew i przedpiersi wyciąga ciekawe nosy w stronę, w której bezustanku łomoce ogień.

Głuche, syczące, przytłumione pacanie naszych manlicherów trzęsie linją — czasem na prawo lub na lewo zrywa się zagała ostrzejsza charatanina.

Wiara spokojna, doskonale usposobiona szykuje się na wieczoną zabawę. Gdzieś koło 6-ej, gdy cienie sosen dłużyły się coraz bardziej — podaje Sław od lewego, że Kraśnik wzięty. Podajemy to wnet pierwszej linji i w tej chwili zrywa się stamtąd ogromne, mocne, pełne radości „hura“ i leci wzdłuż rozrzuconej tyraljery — zacięte, burzliwe, brzmiące triumfem.



Major Śmigły-Rydz dowódca 1 p. p. Leg.

W jednej sekundzie zrywa się szalony ogień rosyjski. Z wściekłym, jazgotliwym trzaskiem siepią i szarpią kule las.

Wieczorem o 9-ej Śmigły ma przeprowadzić szutrę na las, gdzie osadziła się reduta Moskali wśród potężnych, szalowanych linii, a wówczas i my uderzyć mamy na prawe skrzydło lasu, spędzić ich stamtąd i rozwinąwszy się w prawo — uderzyć

na kotę¹⁾ 209, która redutę Tarłowa i przejście Wisły odda w nasze ręce.

Powoli zapada mrok. Artylerja nasza już od dwóch godzin miażdży las po przeciwnej stronie.

Ciemny pas lasu zsiniał od dymów. Pociski rzną w jego granatową ścianę, szrapnele raz wraz łyskają krwawym płomieniem, granaty wżerają się w redutę, hucząc i grzmiąc tysięcznym echem...

Niżej, od samego tylko ognia karabinowego sinieje na ciemnym tle zbóż i lasu — leciuchny, powłóczysty pas dymku.

Ściemnia się. Wypiliśmy dopiero co przywiezioną kawę, spakowaliśmy tornistry, ściągnęliśmy mocno rzemienie i czekamy. Za chwilę Sław podaje, by nałożyć bagnety...

Jakaś złowroga, denerwująca cisza unosi się nad jasnymi płatami zbóż, między dwoma — zmiłkłymi naraz — laskami. Artylerja przestała już bić i w gęstniejącym zmroku powoli podnoszą się i ruszają tyraljery pierwszej, atakującej linii...

Jakby otwarły się naraz straszliwe wrota piekieł, tak runął z lasu na wieczorną ciszę, zalew ognia. Już nie trzask, nie łomot, nie gruchotanie — ale jeden przeogromny huragan ogniowego trzasku... Nie, nie, tego nie opisze nikt, nie odda żadne słowo, co to był za ogień...

A u nas w lesie cisza. Wparliśmy się w piach, a po sosnach trzaskają, szarpia, żłą, wściekają się kule... Drą z jakąś dziką, niesamowitą pasją korę drzew, siepią gałęzie, biją w las i grzęzną wreszcie bez tchu i bez siły w jakiejś cicho szumiącej w tem piekle — wysokiej, polskiej sośnie...

Wsluchuję się chciwie w tę karabinową orgję, w ten szalejący pod lasem trzask z coraz większym, silniejszym niepokojem... Nie, 1 pułk nie zdobędzie tego lasu, nie weźmie reduty. W takim ogniu nie przebiegnie nikt tego pola śmierci, falującego srebrnym zbożem.

Ogień słabnie. Patrzę na zegarek i nie mogę pojąć. Atak ruszył o 9-cj, a teraz jest trzy na 10-tą. Trzy kwadranse trwał ten szalony ogień, a nam ten czas w naprężonym oczekiwaniu ataku przeleciał w kilka sekund.

Od tyłu znów poczynają rwać i rznąć w las pociski. Artylerja bije — a więc nie doszli... Jakoś krzyków żadnych nie słychać, nie dolatuje ten potężny, tak dobrze nam znany, leguno-

¹⁾ „Cota“ — wzgórze, którego wysokość oznaczona jest na mapie w metrach.

wy, warjacki wrzask na „hura“, poprzedzający atak na bagnety. Nie przedziera się przez trzaskanie karabinów krzyk rozżartych piersi. Do szturm nie doszło...

Powoli milknie ogień. Od czasu do czasu szarpnie ciszą salwa — poza tem spokój. Od lewego podaje Sław: „bagnet zdejm“...

W milczeniu przeszła do świtu reszta nocy. Wypłynął w pełni księżyc i zalał sinawem, nieziemskim światłem to pole, drżące kłosami żyta, pole walki i śmierci. Szepty się tylko przenoszą przez okopy... ktoś ziewa, ktoś całkiem ordynarnie chrapie.

Wystawiam posterunki przed lasem. Świt tymczasem bieli już gwiazdy i z lewej, od Śmigłego, zrywa się znów gwałtowne gruchotanie ognia. Za chwilę dźwigamy się z okopów i w równej linii wpieramy się w wysokie, sperlone rosą, mokre kłosy żyta.

Rozwijamy się na kotę 209.

Bieleją gwiazdy coraz bardziej, budzący się dzień 2 lipca srebrzy łany zbóż. Kompanja nasza atakować ma wprost na róg lasu, na kolczaste druty. Trzecia z prawej, druga i pierwsza w rezerwie.

Posuwamy się tak w ciszy gęstą, ciasną tyraljerą. I zdało mi się w tej chwili, że te mokre, ociekające rosą, niby krwią, żytnie kłosy wyrosłe na tem polu walki — zmywają z nas, polskich żołnierzy, hańbę dawnych niewolnych lat. Że rozgrzewa nas to pole, ten łan ziemi naszej, zroszonej znów żołnierskim trudem i czerwienią krwi...

Za nami czernieje linja rezerw. Sław swym spokojnym krokiem poprzedza pierwszą linję. Na lewo strzały znikły, przed łańcuch tyraljery wysuwa się cicho i szybko Flojar z patrolem, zaopatrzonym w nożyce do przecinania drutów.

Idziemy coraz szybciej, coraz prędzej. Podrywamy na prawo Austrjaków, którzy już wrzask wiwatów podnieśli na naszą cześć, lecz na ostry, zduszony krzyk zakazu — znikli.

Od posuwających się gęstych linij, w silnem, rozpylonem powietrzu budzącego się dnia, od uważnych, skupionych, czających się tyraljer — bije siła, potęga nieodparta... Przez moment na podniesionej ręce znak — stajemy. Serce rozwała piersi...

Wpadły za chwilę skulone patrole w druty. Wnet chwytają nożyce kolczastą cierń. Nie pada ani jeden moskiewski strzał...

Znagła runęła linja naprzód. W mig odwalamy ogromne konary sosen, które wysuniętemi, nagiemi, rosochatemi chwytami gałęzi drapieżnie nas obejmują.

Moskali niema. Wycofali się na kilka zaledwie minut przed naszym atakiem.

Wnet zbiórka nad okopami, na które patrzymy rozszerzonymi z podziwu oczyma. Takich pozycyj, takich okopów, ganików, przedpiersi — nikt jeszcze chyba nie zdobył i nie wziął. Okopy wspaniałe, głębokie na trzy metry, schodkowane, umacniane sosną i dębem, świetne szrapnelowe daszki, a przed okopami ogromne, stare sosny z wysuniętemi wprzód ramionami gałęzi, oplatanemi kolczastym drutem.



Wacław Sieroszewski.

Na brzegu lasu przy drodze — w kozły broń. Staliśmy tu ze trzy godziny do 6-ej rano. Dopiero wtedy, wpadli spóźnieni ułani. Galopem sadzą wprzód, z siwką Beliny na czele, a wśród nich gromkiem okrzykiem, serdecznem wołaniem piechoty witany, sadzi na koniu, stary Sirko ¹⁾...

¹⁾ Wacław Sieroszewski.

Podobno dla nas miejsca niema. Takie chodzą gadki. Pono cały korpus tak się ścieśnił, że zajmuje odcinek jednego kilometra. My zaś, — do głębokiej rezerwy. Tak spekuluje wiara...

Tymczasem maszerujemy naprzód i po godzinie stajemy we wsi Julianowie. Dzień śliczny, pogodny. Rozłożyliśmy się w lesie, a obok drogę zajęły tabory, działa i jaszczyki. Od czasu do czasu zdaleka dolatuje granat. — łupie gdzieś w las, szukając rezerw i baterji. Moskale są jeszcze przed rzeczką Kamienną, lecz ponoć tylko już tylne strażę. Gros ich sił oparło się za Kamienną.

Mijają godziny. Po południu łapie mię Gorzecki i konspiracyjnie się zwierza, iż przyszedł w tej chwili fonogram z pułku, że Brygada przeprawia się na prawy brzeg Wisły, a armja Dan-kla idzie do Włoch...

Wieczorem, a właściwie w późną noc z 2-go na 3-go — od-marsz na Sulejów i dalej uciążliwym, nocnym marszem do Słupi Nadbrzeżnej.

Co chwila, gdy wydzwigaliśmy się na jaką wyniosłość, wy-teżałem wzrok, czy nie ujrzę gdzie białej, jasnej wstęgi Wisły. Lecz coraz to obejmowały nas wzgórza, sypkie pagórki i suche, żywiczne lasy. Dopiero rano rozwinął się nagle przed nami szmat cichej doliny i Wisła spowita we mgłach. Na pagórkach, piaszczystych wzgórzach rozrzucone domki Słupi Nadbrzeżnej.

5 lipiec. Słupia — Dębno — Lasocin. — Wypiliśmy tylko kawę wśród białych, czystych chałupek i wwaliliśmy się w pełne siasieki stodół. Spaliśmy do południa.

Dzień do południa pogodny, piaszczysty brzeg Wisły usiany legumami, szorującemi się za wszystkie czasy. Wody dość — wystarczy.

Kochane fale smętny miały dziś wygląd. Z jakąż miłością patrzyłem na ten szary, powolny nurt, na szeroki rozrzut fal, na wyniosłe bielejące ściany doliny, na wysokie strzeliste topole nadwiślańskie.

Smutna Wisła dzisiaj. Ściemniałe, zmroczone fale, jękliwie krzyczą czajki i śnieżne rybitwy.

O 3-ej wymarsz wzdłuż doliny Wisły do Dębna. Tam obiad. Mieliliśmy się przeprawić do Rachowa i stać tam trzy dni, a tym-czasem o zmroku maszerujemy w tył — dokąd, nikt nie wie. Pó-żno w noc stanęliśmy w Lasocinie.

4 lipiec. Lasocin — Rachów — Wymysłów. — Przecudna pogoda. Nad niewielkim czystym, rozrzuconym Lasocinem prze-pyszne, lipcowe słońce. Wśród chałup kręca się siwe mundury —

przyjaźnie wszędzie witane. Obywatele Lasocina, zamożni gospodarze — witają nas serdecznie i radośnie. Czujemy się tu dobrze — jak żołnierze we własnym kraju. Mleka, czereśni, razowego chleba, jajek i masła — wbród.

W południe znów marsz. Z zalem opuszczamy gościnny Lasocin. W Dębnie, któryśmy wczoraj opuścili, przeprawa przez ogromny most, rzucony już przez Austriaków, tuż nad spalonym, zwęglonym szkieletem dawnego. Wokół stukot młotków, pracowity gwar saperskiej pracy. Obok chwieje się już gotowy pontonowy most. Na chybotliwe deski pakuje się kolumna.

O zmierzchu, zmordowani potężnie, rozkwaterowaliśmy się po stodółach i sadach Wymysłowa.

Wieczorem wpadłem do komendy bataljonu na nowinki. Nasza bitwa pod Tarłowem Austriakom zaimponowała ponoć nadzwyczajnie. Dzięki ruszeniu tej reduty mógł cały korpus przesunąć się naprzód i zająć przeprawę przez Wisłę. Komendant tak manewrował rezerwami, przesunął je sekcjami przez cały dzień do lasku, że Moskale mieli wrażenie, jakby atakował ich cały korpus. Artylerji nie mieli, a poza tem Komendant kazał 1 pułkowi od południa, co jakąś godzinę ryczeć „hura“. Wia-
ra wrzeszczała, nie wychylając głów z okopów — a Moskale sądzili za każdym razem, że odpierają szturm. To też tak się nerwowo wyczerpali, że nad ranem zwiali... Wyobrażam sobie ile tysięcy ludzi straciłby musieli Austriacy, gdyby normalnie szturmowali tę redutę.

5 lipiec. Wymysłów. — Cicho i spokojnie przeszedł nam dzień w Wymysławie. Rano po śniadaniu poszedłem z Antkiem Gruszczyńskim pobłądzić po lesie. Zwarło się nad nami przepyszne sklepienie zieleni. Słońce zaledwie przeświecało przez gęstą zasłonę, migotliwie jarząc się wśród drżących liści.

Wieczorem, długo w noc, gwarzyliśmy z tutejszemi chłopami. Moskale mają oni wszyscy dość, nie bardzo jednak jeszcze wierzą — żeby ta Polska niepodległa mogła być — lecz dobry czas robi to sam. Uwierzą.

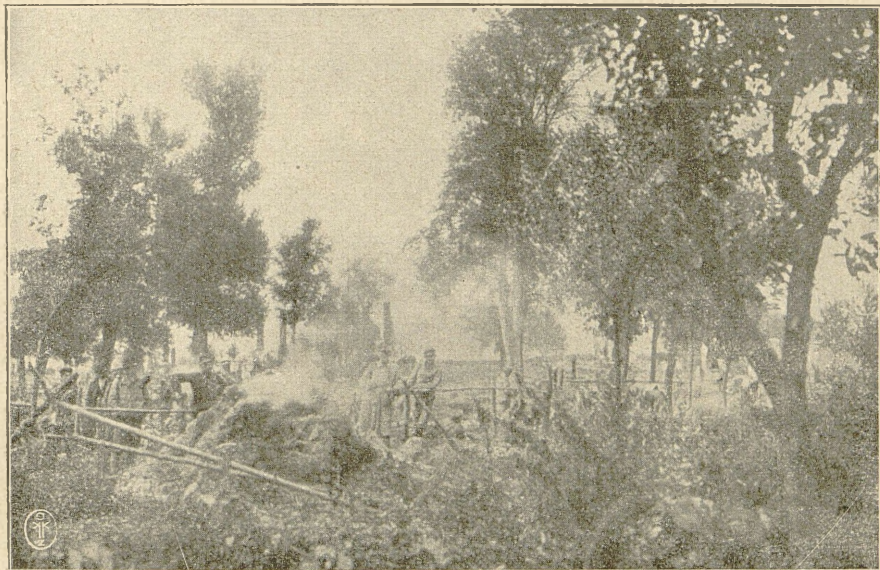
PRZEZ ZGLISZCZA I POPIOŁY.

6 lipiec. Wymysłów — Rachów — Świeciechów — Popów — Rano o 4-ej wymarsz. Niespodziewany trochę, gdyż mieliśmy trzy dni stać w Wymysławie, tymczasem poderwano nas i w skwarne południe maszerujemy przez spalony zupełnie Świe-

ciechów, a później przez Bliskowice do Popowa. Droga nabita artylerją, taborami, kolumnami piechoty — na wszystkim osiadł szary, ciężki pył. Wdali pod Józefowem huczą i grzmią działa.

W zabójczym upale, pół żywi, przez zgłiszcza i popioły dotarliśmy do Popowa, rozkładając się w cieniu drzew.

Dzień szybko przeleciał na odwiedzinach w II-gim bataljonie, a wieczorem rozłożyliśmy się na słomie, pod pogodnym rozgwieżdżonem niebem.



Dogorywające popioły Wyżnicy.

7 lipiec. Popów — Stefanówka — Dzierzkowice — Wyżnica. — Do południa przeleżeliśmy jeszcze w ogródku, lecz już w pogotowiu do marszu. O 12-ej w sam skwar, wśród palącego słońca — ruszyliśmy uciążliwym marszem na wschód. Pot nam zalewał skronie, tętna waliły jak młotem, tumany kurzu tamowały oddech, rzemienie paliły barki jak rozpalonem żelazem. Wiara skonana, spuchnięta — coraz to wściekle przekleństwo chłostało jak batem ten marsz i upał. O 4-ej po południu wyczerpani, bez tchu, stanęliśmy w Stefanówce, skąd po krótkim wypoczynku i obiedzie, ruszyliśmy dalej.

Maszerowaliśmy tak przez całe popołudnie, wieczór, przez całą noc, bez przerwy, bez ustanku. Marsz dał nam szkołę niesłychaną, gdyż początkowo gnaliśmy jak warjaci, a później co

kilka kroków stawaliśmy — djabli wiedzą dlaczego — by znów gnać bez opamiętania. Przez ogromną, dziewięć km. długą dziezrkowicką wieś, docna spaloną przelecieliśmy prawie biegiem i wreszcie o świcie dotarliśmy do wsi Wyżnicy.

8 lipiec. *Wyżnica*. — O 3-ej z rana, nieludzko wymęczeni, bez sił poprostu, stanęliśmy w Wyżnicy. Od Dzierzkowic — spalonych zupełnie — weszliśmy znów w długi sznur sterczących jeno kominów. Wszystkie chałupy Wyżnicy z obu stron drogi, wysadzonej gęsto drzewami — to kupa gruzów i popiołu. Gdzie przed tygodniem jeszcze śmiała się do życia złotem swych strzech wesola, bogata wieś — sterczą kominy i ekliwy zapach świeżych popielisk roznosi się wokół.

Wzdłuż rzeczki Wyżnicy, wzdłuż drogi i dawnej wsi — ryją się okopy. Użyto do nich płotów, desek, drzwi, okiennic, stolików i ławek.

Okopy te zaraz zajęły trzy kompanje naszego bataljonu, my zaś maszerujemy w tył, do niewielkiego lasku, na garb wyniosłego wzgórzka.

Dzień już był w pełni. Stałem na brzegu lasu i wzrokiem ogarnąłem szmat polskiej ziemi. Jak daleko oko sięgało, tak śmiesznie pokurezione, popalone sterczały nagie, szczerbiałe kominy. Gruz, spalenizna, ekliwy duszący swąd. Z bolesnych kikutów, sterczących samotnie kominów biła rozpacz rozdeptanego, skatowanego życia, bezsilność niebronionej, wydanej na łup żołądackiego ognia, polskiej wsi...

Poczułem wówczas, jak strasznie nienawidzę, jak nienawidzę krzywd niepomoszonych. I jak dobrze że jest tych kilka tysięcy mścicieli...

Nie rozumiem absolutnie jaka się wywiązała sytuacja. Byliśmy rezerwą korpusu, a w nocy w czasie marszu, oficerowie coś szeptać tajemniczo poczęli i rozpoczął się ów wściekły marsz dalej...

Tymczasem owijamy się celtami i dopiero koło południa budzi nas kawa. Nad wieczorem poszedłem do okopu Sława, narysować szkic sytuacyjny, gdzie wreszcie cośniccoś się dowiedziałem. Okopy, które zajmujemy nad Wyżnicą, zajmowała do wczorajszego dnia czeska dywizja. Została ona w nocy rozbita kompletnie i wyfasowana na Urzędówce, wobec czego ściągnięto nas nagwałt, abyśmy zajęli linję Wyżnicy i dziurę zatkali.

9 lipiec. *Okopy nad Wyżnicą*. — Wstałem z pod płótna rano, gdy Antek Gruszczyński jeszcze spał. Budziłem się ciągle w nocy,

gdyż gdzieś na lewo buzował nieustannie karabinowy ogień. Artylerja się przy tem wdała i łomoty takie szły, że trzęsła się ziemia.

Z Łodkiem Janowskim poszedłem do wsi, na kartofle. Ta część Wyżnicy, którą zajmujemy, stosunkowo mało zniszczona. W niewielkiem, kilkuwłókowym folwarczku, nabieramy wody. Wynoszą się stamtąd nagwał mieszkańcy. Jakiś młody mężczyzna krząta się gorączkowo, pakując na wóz ostatnie graty. Młoda, piętnastoletnia może panienka, pośpiesznie pomagając bratu, żywo coś o świszczących kulach opowiada przestraszonym głosem.

Zmęczonym wzrokiem patrzę na nich. Tak mi ich żal, tak serdecznie żal tych biednych ludzi, którym w godzinie jednej cały dobytek się niszczy. Czuję poprostu fizyczny ból, patrząc na te zwęglone domy, na te porozrzucane statki domowe. Kiedyż się skończy ta ich nędza.

Gdyśmy wracali, tłukli do nas z pod lasu, lecz nieszkodliwie.

Znów dzisiaj płonie wieś. Te ciągle pożary, te dymy, czarnemi słupami rozpacznie bijące w niebo, te krwawe łuny nocami gorejące — znaczą ciągle ślad cofających się Moskali. Palą i palą.

Przed nami, po drugiej stronie rzeczki rozłożył się biały, niewielki folwarczek, z dworkiem wspartym na kolumnkach. Jakiś trep zidjociały, pułkownik austriacki zameldował do artylerji, że w dworku tym — w którym byłem przed południem z Łodkiem po kartofle — stoi moskiewski karabin maszynowy. Nim wróciliśmy do okopów, rżnąć tam poczęły austriackie granaty. W kilka minut z białego dworku były już słupy dymu. Zanim wpadliśmy do bataljonu, zanim połączono się z baterją — dwór już płonął bezlitośnie.

Wieczorem zajmujemy okopy. Odcinek nasz przesuwają się w lewo, aż do Dzierzkowic. Wystawiam placówkę przed drutami po drugiej stronie rzeczki.

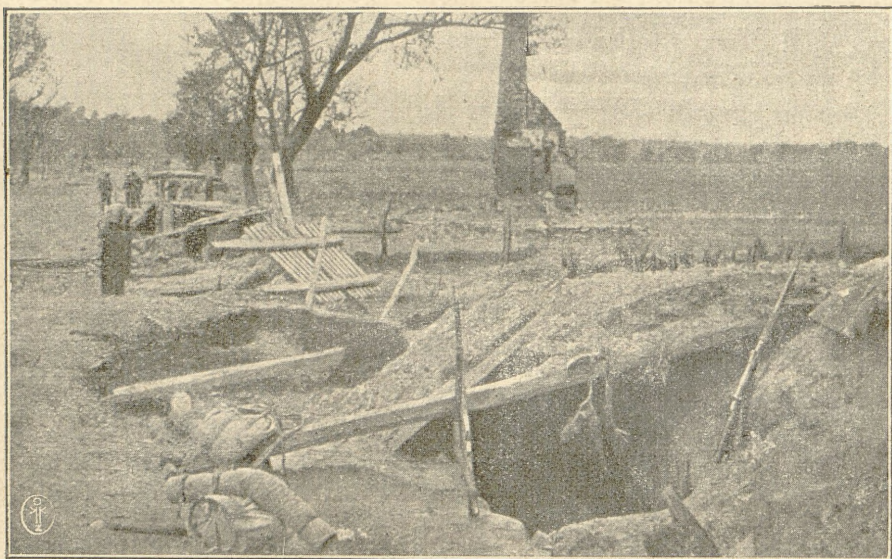
10 lipiec. Okopy w Dzierzkowicach. — Wyspałem się setnie po nocnej służbie. Dzień przeszedł szybko, mamy trochę gazet, poza tem pitrasimy.

Pod wieczór, gdyśmy siedzieli, gwarząc w okopach, wyszedł z za drogi jakiś tutejszy gospodarz, gdzieś w popieliskach siedzący na swej nędzy. Dowłókł się do okopu, pięknie wyłożonego jego stołkami i szafami, postał, popatrzył na swe to nowe gospodarstwo i międląc czapinę w ręką, przysłuchując się naszej pagwarce, zapytał się Władka Łęckiego, który na skraju drogi siedział.

— A jakże to tam panie będzie teraz z Polską, czy ona będzie sama w sobie, czy jak?...

Spojrzeliliśmy po sobie zdumieni, aż zachłyśnięci z tej nagłej radości, co nam objęła serca! Nie mogliśmy w pierwszej chwili pojąć, co, jak, dlaczego. Czemu nie pyta o swe stołki i piernaty, czemu ich nie wypłakuje, czemu nie skarży się na swą sobaczą dolę zrujnowanego, w nędzarza obróconego a — zasobnego wczoraj jeszcze — gospodarza! Skąd, dlaczego to dziwne pytanie, ta troska w Polsce o Polskę?!...

Otoczyliśmy go wkoło i, jak nam tylko pozwolił żar rozpłomienionych serc, tak długo w noc klarowaliśmy, jak to z tych dymów, pożarów i kurzów krwi — powstanie Polska „sama w sobie“...



Okopy w Dierzkowicach.

11 lipiec. Okopy w Dierzkowicach. — Moskale się cofnęli, umilkły działa, w okopach cisza. Wiara wyległa gęsto na drogę wysadzoną topolami, lipami, krwawiącymi opalonemi, spiekłymi bokami.

Pogotowie do marszu. Krążą najrozmaitsze pogłoski, lecz nikt nie wie, dokąd się mochy cofnęły. Czy tylko do Urzędowa, czy aż na linję Chodelu. Tymczasem czekamy na wymarsz...

Przyprowadzono nam dzisiaj świeżych rekrutów z Kiele. Nasz pluton wyfasował trzech: jednego gimnazystę, jednego

aptekarza oraz lekarza dr. Kwaśniewskiego¹⁾), który jeszcze kilka tygodni temu — bo w maju — był w Kielcach korpusowym lekarzem rosyjskim. Został w Kielcach, gdy Moskale stamtąd wydarli i dziś jest u nas. I choć go chciano gwałtem zarekwirować do sanitarjatu odmówił twardo. Chce się bić z karabinem w rękę, chce być protym, szarym żołnierzem. Ma szpakowatą bródkę, jasne, okropnie pocziwe oczy i lat chyba po czterdziestce. W naszym młodym, sztubackim plutonie będzie się czuł jak ojciec wśród dzieci.

Drugi aptekarz z Kielc. Tego musiała wypchnąć na front i na bohatera wyznaczyć pleć słabsza z tak bowiem niesamowitem przerażeniem oglądał nasze brudne gęby, okopy, broń, granaty. Nie zagrzał też ani jednej doby i wsiąkł na lekką służbę do sanitarjatu.

Ostatnie trzy dni, jak również i dzisiejszy — minęły w okopach bez zmian. Dopiero pod wieczór ruszyliśmy naprzód.

15 lipca. Las pod Urzędowem. — Dzień już się jasny robił, gdyśmy stanęli po ciężkim marszu w wysokim lesie. Po kawie raz dwa wypitej, walimy się na miękki mech, skręcamy celtami i zasypiamy kamiennym snem.

Obudziłem się o 12-ej, rykiem kucharza poderwany. Obiad. Rozbiliśmy później namioty, które giną w gęstym poszyciu lasu, tonąc w zieleni.

Wieczorem wysłano do Urzędowa kwatermistrzów, więc wiódłocześnie spać będziemy pod dachem — i wkrótce wymarsz. Na prawo znów krwawi niebo olbrzymia łuna. To palą się Popkowice.

Marsz krótki i wesoły. Pódkoniec zabroniono palić i rozmawiać. Natychmiast cisza głęboka objęła kolumnę.

Spoważniała, zmieniła się wiara. Pamiętam, jak to dawniej, zeszłego roku czy jeszcze nad Nidą, gdy był rozkaz, aby nie rozmawiać, to wiara gadała jak najęta. A teraz cisza aż głaszcze serce, najmniejszy szept nie przerywa milczenia.

Zajęliśmy w Urzędowie ogromną, pyszną stodołę.

16 lipiec. Bitwa pod Urzędowem. — O 1-ej w nocy słyszę przez sen szybki, zciszony głos dyżurnego, by Czachowski zaraz zebrał pluton. Zbieramy się ociężali, gdyż stodoła rozkoszna była nad miarę. Od dwu tygodni pierwszy raz nocowaliśmy pod dachem.

¹⁾ Obecnie wojewoda tarnopolski.

Zbiórka. Ojczulek wyznacza mię na patrol z całą sekcją, lecz nie wiem jeszcze dokąd. Tymczasem spijamy kawę.

Moskale biją i to gęsto. Kule ostro siepią po chałupach, czasem zabuczy jak bąk berdanka¹⁾. Łotry biją z nich nocami.

Wypiliśmy szybko kawę. Z patrolem nie idę, natomiast wyrusza Rybak¹⁾ z trzema ludźmi, by zbadać, czy po moście na Urzędówce może przejść bataljon w kolumnie czwórkowej. Ojczulek Czachowski rozdaje naboje i nożyce do przecinania drutów, ręczne granaty. Chłopcy w humorach świetnych, choć wszyscy ciekawi, kto się dzisiaj zgłosi do św. Piotra. Antek Gruszczyński wesoły jak szczygieł, kpi, dowcipkuje — wysyłając wszystkich po kolei na niebieską łączkę.

Ruszamy. Zadanie nasze polega na ubezpieczeniu bataljonu przy przeprawie. Sław, wyprawiając Długosza, ze swym miłym uśmiechem życzy nam powodzenia.

— Marsz wnet śpieszny, koci, przyciszony. Za mostkiem rozwijamy się w lewo wśród popalonych chałup i w głuchej ciszy nocnej okopujemy się na drodze, przed niewielkim, łagodnym wzgórkiem falującego zboża. Moskale są tuż, tuż — biją ciągle, lecz okopy ich giną w zbożu.

O 4-ej gdy już szarzał świt 16 lipca — wróciliśmy do niespalonej części Urzędowa.

Jesteśmy w rezerwie, jak również i kompanja pierwsza. Druga i trzecia rozwinęły się za chałupami i posuwają się naprzód, lecz w dość słabym ogniu.

Siedzimy wzdłuż drogi za chałupami, pod staremi, rosochatemi wierzbami, gdy naraz z ogłuszającym trzaskiem pękł tuż za nami szrapnel jeden i drugi...

Gdzieś tam któryś jęknął, gdzieś zerwał się bolesny krzyk...

Tunguz rozpędził natychmiast kompanję pod chałupy, popychał w ogrody. Jeszcześmy nie zdążyli tam skoczyć, gdy nowe dwa pękają i grad kul wściekłym miotem uderza w liście drzew...

Jakgdyby wyrznął piorun!... Tunguz się chwycił za pierś, Długosz zbladł, trzaśnięty w ramię, Łodek Janowski, gorączkowo obmacuje kolano... Na szczęście wszyscy trzej dostali ze wewnętrznym promieniem rozrzutu, więc tylko ich posiniaczyło.

¹⁾ Berdanka — jednostrzałowy karabin, starego typu, z kulami ołowianemi, bez stalowego płaszcza. Uderzenie takiej kuli miażdżyło kości, powodując przeważnie śmiertelne rany.

¹⁾ Rybak-Fordey zginął na froncie włoskim w r. 1918.

Rannych ciężiej natomiast dwu, a z 1-ej kompanji zabity sekcjny Sokół...

Lokujemy się szybko w ogródku, pod samemi ścianami domków zamożnych mieszczuchów, którzy nas z rozczuleniem częstują mlekiem, głównie na intencję wypędzenia Moskali. Antek zobaczywszy nieco ładnych dziewcząt rozdokazywał się jak małpa, Chabowski z Władkiem Łeckim nastawiają wyciągnięty z chałupy gramofon na jakąś skoczną nutę, tak że nowej serji szrapneli, ukryta już za chałupami wiara dośpiewuje cynicznie: do lampy, gadaj do lampy...

Wszystko się to działo do 8-ej rano. Wtedy dopiero poderwano nas i szybkim marszem poszliśmy do wąwozu na lewe skrzydło, gdzie walał się pod nogami wszelaki rynsztunek Austriaków, wybijanych tu przed tygodniem.

W wąwozie ogień piekielny. Ekrazytówki napęlniają powietrze jęklwym, ogłuszającym traskiem, jazgot kul nie ustaje ani na chwilę.

Dostaję rozkaz zajęcia z sekcją okopów na szczycie ściany wąwozu i ledwieśmy je zajęli i zapadli w piach, gdy nagle, niespodziewanie rozległ się bolesny, rozpaczliwy krzyk Antka Gruszczyńskiego: sanitariusz, sanita...

Nie skończył...

Skoczyłem do niego, a Antek zwiesił już głowę na krzak głogu i twarz mu zszarzała na popiół. Porwali go sanitariusze z doktorem Kwaśniewskim i znieśli w dół. Dostał w bok i za chwilę skonał.

Patrzyłem osłupiały, oniemiały, poprostu nie pojmując co się stało.

Po godzinie wycofaliśmy się z wąwozu i ruszyliśmy na skrzydło prawe, znów za te same chałupy. Przez resztę dnia padał ulówny deszcz, tak, że dopiero po południu, na drodze pod wierzbą, wykopaliśmy Antkowi grób.

17 lipiec. Okopy pod Urzędowem. — O 2-ej gdy już gwiazdy blakły na niebie, obudził nas Edek Pfeiffer. Zmarłem w namiocie porządnie, gdyż deszcz padał prawie przez noc całą. Szybko zbiórka i wśród zbóż mokrych od deszczu — idziemy śpiesznie na wzgórze do okopów.

Zmieniamy 2 kompanje. Okopy głębokie, ziemniaki już powyrzebywane. Do tego wzgórza najdalej doszła 24 dywizja austriacka. Teraz dopiero naprawiliśmy to, co ona straciła.

Rozlokowaliśmy się. Na lewem skrzydle dość gęsta strzelanina, lecz u nas cisza. Ociężałe mgły podnoszą się z pól, spowita

niemi sinieje blade dolina Urzędówki. Tymczasem pierwsza kompanja i nasza wysłały patrole wprzód do drutów moskiewskich. Patrole doszły i wróciły nieostrzelane.

Natychmiast gwar i ruch uczynił się na okopach. Ogólnie sądzono, że Moskale zwiali, Tunguz więc posyła Edka z Banaszczakiem, lecz już widocznie za jasno się zrobiło. Mgła opadła i w tej chwili poczęły świszczeć i trzepać kule, a ekrazytówki z ogłuszającym trzaskiem pękać za patrolami.

Za chwilę dowiadujemy się, że w 1 kompanji został ciężko ranny sierżant Górski.

Ano, Moskale nie zwiali...

Ranek chłodny, mnie febra trzęsie z zimna, lecz spać się nie kładę, czekając słońca. Przespałem wreszcie godzinę przed południem, gdy słońce się już wysoko wzbilo na jasnym, bez chmurki niebie.

W okopach znowu ruch. Moskale przez pewien czas utrzymywali je w ogniu, lecz gdyśmy zaczęli prażyć do nich — umilkli i zrzadka tylko odpowiadają. Celownik mamy 1400.

Po południu waliła nasza artylerja przez godzinę, poza tem spokój.

Nadeszły dwie urzędowe wiadomości, że Prusacy przełamali front moskiewski w Lubelskiem pod Tarnogorą, a w Radomskiem pod Sieniem. Wobec tego możliwe, że Moskale wycofają się i stąd.

Wieczorem kopaliśmy ganek. Pierwsza sekcja wystawia posterunek.

18 lipiec. Okopy pod Urzędowem. — Kopaliśmy się w rozprężonym słońcu do południa, aż nam plecy na raka poczerwieniały. Lecz już w południe ochłodziło się i począł mżyć deszczyk.

Dostaliśmy dzisiaj urzędową wiadomość, że Mackensen dotarł do linii Chełm — Lublin i Ciepiałów podobno zajęty. — Dziwię się, że wobec tego Moskale się jeszcze tutaj trzymają.

Wieczorem miałem służbę. Rozstawiłem posterunki przed okopami. Moskale walą gęsto, tak, że posterunki przez cały czas muszą leżeć w okopku. Kule ostro trzaskają, noc ciemna, bezgwiezdna, deszcz ani na chwilę nie przestaje sączyć...

Po północy zmieniła nas 2-ga kompanja.

19 lipiec. Urzędów — Ludwinów — Majdan. — Szary świt. W siwej mgłę leży dolina Urzędówki. Cikliwe opary zmieszane z monotonnym, nieprzerwanie szemrzącym deszczem wleczą się po polach.

Ciężkie kłosy pochyliły się pod srebrnymi kroplami. przepiórka jęklawie nawołuje w zbożu, gdzieś we wsi zapiał kogut, gdzieś na skrzydle ostro trajkocze karabin maszynowy...

Co chwilę przeszywa powietrze świst kuli, to smętny, mdlejący jęk, gdy już wyzbyta siły klapnie w rozmięktą ziemię, to ostre, wściekły świst i trzask pękającej ekrazytówki, to ordynarne buczenie berdanki.

Interesująca muzyka.

Kompanja 2 zajmuje okopy, a my szybko zdążamy do wsi, ciągle wśród deszczu. Rozbiliśmy namioty, wypiliśmy już gorącą kawę i układamy głowę na plecaki, gdy nagle zrywa się wołanie dyżurnego, by się pakować. Moskale zwiali, 2 kompanja jest już w ich okopach.

Klniemy jak sto djabłów. W taką załapaną, zdechłą pogodę mamy ich gonić, człapać po oślizgłym, lepkiem błocie...

Zwijamy namioty i marsz do Urzędowa, gdzie pakujemy się na kwaterę w stodole. Do południa jako tako podespaliśmy nasze okropne zaległości, a sen uleciał do reszty, gdy nam łącznik przeczytał rozkaz do kompanijnych. Brzmiał on: „Dywizja Piłsudskiego z 4 pułkiem w awangardzie maszeruje na Ludwinów“.

Radość wielka. O 4 pułku już od dwu dni słyszeliśmy, że maszeruje do nas, lecz niespodziewaliśmy się, że Komendant dostanie dywizję...

O 3-ej wymarsz szeroką drogą do Ludwinowa. Przed nami, za nami, obok nas ciągną się rozwlekłe tabory austriackie. Droga przeszła wesoło, od czasu do czasu mijali nas kawalerzyści 4 pułku w zielonych mundurach i takichże rogatywkach, zawałjacko na bok przekręconych. Wiara już ostrzyła sobie na nich języki, gdyż „szarże“ czwartaków noszą austriackie odznaki.

20 lipiec. Majdan — Zakęcie — Białowoda. — Jesteśmy w rezerwie armji, stoimy we wsi Majdanie.

Po deszczu powietrze się przeczyszcilo i głos się rozchodzi daleko, to też armaty bijące hen gdzieś, zdawały się nam tak bliskie... Z wylotu wsi widać błysk pękających szrapneli na horyzoncie i biało-czerwone dymki.

Około 4-ej ogień artyleryjski wzmógł się tak silnie, iż na horyzoncie, nad sinemi lasami widać było jedną nieprzerwaną linię pękających szrapneli i białą linię dymków. Ogień karabinowy bulgotał, niby woda w garnku, a maszynowe karabiny grały bezpamiętnie...

Po godzinie ogień ustał, zrzadka tylko bije artylerja.

Siedzimy w stodole, do której zaszedł Długosz i wśród szemrzącego na dworze deszczu potoczyła się pogawarka o tem co już jest, o tem co będzie, co być musi. Co do 4 pułku to Długosz wątpi, czy go Komendant dostanie pod swą komendę, gdyż Komenda Legjonów zbyt pono intryguje a poza tem Austriacy świadomi wpływów Brygady, nie zechcą z nią łączyć 4 pułku.



Por. Tunguz-Zawiślak, ś. p. ppor. Długosz-Tetera, ś. p. ppor. Styczyński.

Zmierzch już zapadał, gdy gruchnęła wieść, że Radom wzięty i że Austriacy przed nami, w południowym szturmie przełamali front moskiewski i że gnają Moskali przed sobą. Szturm rozpoczęła tam 40-ka rzeszowska.

Wnet też nadszedł rozkaz pakowania. W plutonie radosny nastrój.

Znów więc idziemy naprzód!

O 9-ej wymarsz. Noc ciemna, drżysta, błoto pod nogami rośnie jak ciasto na drożdżach. Marsz gwarny, wesoły wśród ciemności, w których się ciągle obijamy; błoto po kostki. Po wyjściu ze wsi droga się nieco polepszyła i poczęliśmy gnać jak szaleni. Sześć klm. przelecieliśmy jednym tchem i rozkwaterowaliśmy się we wsi Białowoda.

21 lipiec. Białowoda — Kłodnica. — Weszliśmy w strony, w których Moskale nie zdążyli popalić wsi. Ludwinów, Majdan i ostatnio Białowoda — ogromne, bogate wsie, pełne ludności i ciele. Moskale bądź dostali rozkaz zaprzestania tych strasznych gwałtów, bądź też nie zdążyli tych wsi podpalić. Sądzę, że dostali rozkaz, gdyż noce już przestały czerwienić się rozpaczliwymi łunami, a we dnie słupy dymów nie biją w niebo.

Jesteśmy od linii o 10 km w rezerwie armji. Wczorajszy atak był przeprowadzony na odcinku czterech dywizyj armji Ferdynanda. Moskale zostali przełamani — wzięto moc jeńców, dział i maszynek, a nawet jakiś sztab dywizji z całą kancelarją. Ponoć Moskale otrzymują tylko po 18 pocisków dziennie na jedno działo.

Po południu wieziono na setkach podwód rannych — przeważnie Moskali. Jest to „opoleczenie“, — po raz pierwszy wzięte w ogień. Oficerów brak, kompanje prowadzą „praporszczyki“...

Wieczorem odmaszerowaliśmy do Kłodnicy — 2 km od Borzechowa, 4 od linii.

22 lipiec. Kłodnica Dolna. — Stoimy w Kłodnicy Dolnej. Brygada rozkwaterowana po przyległych wsiach — Kazimierzowie, Marjanówku i Borzechowie.

Dzisiaj o 3-ej z rana Austriacy znów atakowali i posunęli front naprzód.

We wsi gra orkiestra... Z jakąś dziwną tęsknotą przysłuchuję się starym, znajomym dźwiękom, granym gdzieś w marszach po Szczawnicy, Poroninie, Sączu i Łowczówku... Hej, jakeśmy to wówczas szczęśliwi, radośni przemierzali wszecz i wzdłuż kochaną ziemię naszą gdy żył jeszcze i Zdzich Chabowski i Jur i Antek. Nie wrócą już te czasy, nie wrócą...

Wieczorem odmarsz. Orkiestra ciągle gra — to kawalerja nasza przyjmuje ułanów nadciągających z 4 pułkiem. Jakiś radosny nastrój łśni w powietrzu, jakieś rozradowanie gorące i szerokie... Wszyscy mówią o Lublinie, o spodziewanem wzięciu Warszawy, wiara pobożnie sobie oblicza, że jeżeli Moskale zwieją z ostatniej linii, to w niedzielę ujrzyć nas może Lublin w swych starych, trybunalskich murach.

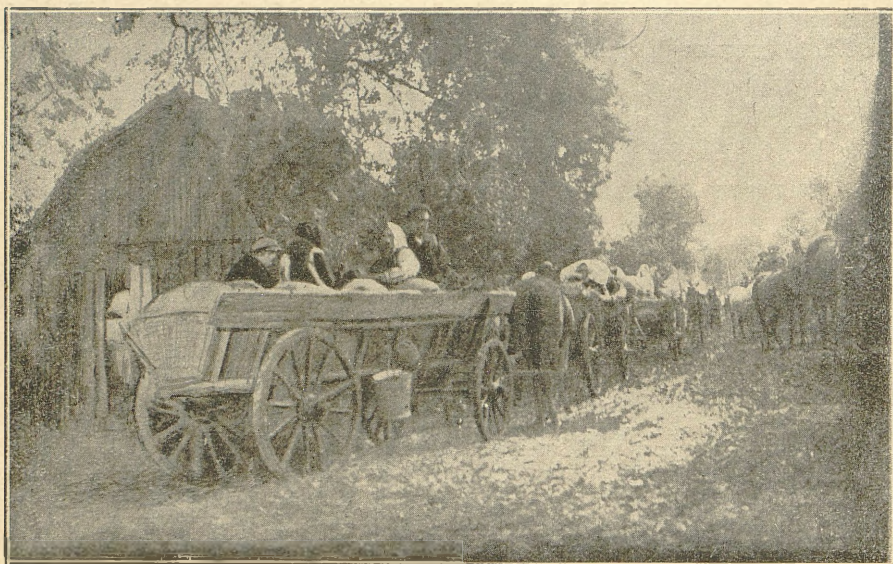
Maszerujemy wzdłuż linii, znaczonej łukami rakiet, oświetlającami zielonkawym, migotliwym blaskiem ciemną noc...

Koło północy stanęliśmy na leśnej polanie o jakieś 2 km od linii okopów.

23 lipiec. Las na drodze Borzechów — Łączki. — Zmarzłem nieco nad ranem pod celą i dopiero poranne słońce — przeświecające przez ciężki baldachim lasu — rozgrzało kości.

Las stary, gęsty, podszyty — jeszcze zeszłorocznemi zryty okopami. Gdyśmy przetarli oczy i gorąca kawa nieco przytomność nam wróciła, dowiadujemy się, że Moskale zwiali. Świadczy o tem długi korowód chłopskich wozów z Bełżyc i wsi okolicznych wygnanych przez Moskali, a wracających teraz do swych chałup.

O 9-ej rano odmarsz i przez Borzechów do Łączek, wśród wijących się okopów rosyjskich i austriackich — przez zadrzewioną drogę — ciągnie powoli kolumna. Musiały tu być walki gwałtowne i zacięte, musiało dochodzić do szturmów na bagnety.



Powrót uchodźców.

Tuż za Borzechowem natknęliśmy się na pierwsze, nieuprzątnięte jeszcze ślady walki. Wzdłuż piaszczystej, szerokiej polskiej drogi — gęsto leżały trupy moskiewskich żołnierzy. Śmierć ich znać chwyciła nagle, niespodziewanie, gdy ciasną kolumną marszową dźwigali się w znojmym pochodzie. Pod zalewem szrapnelowych kul rozbiegli się widać gdzie kto mógł. Ów skulił się w przydrożnym rowie i nim kurczowo ściśniętą łopatką pierwszą skibkę ziemi odrzucił — dostał w głowę i w tej pozycji pozostał. Dwóch innych skryło się za tęgą topolę i tam ich zaskoczyła śmierć przywartych, przyciśniętych dzikiem przerażeniem do drzewa. Inni legli wprost na drodze z rozwartymi ramionami, z białą śmiertelną na twarzy lub pokurczeni, poskręcani, ostatkiem

sił żywota czołgali się w bok, w pełne, rosłe żyto, by tam znaleźć ciszę i śmierć...

Zbite, stargane, potrzaskane gałęzie drzew świadczyły rozsypanym liściem o nagłym ogniu działowym, który przeszedł nad tą polską drogą...

Kolumna ścichła. Maszerujemy w milczeniu. Ciszę przerywa jeno chrzęst łopatek i szmer żołnierskich butów na piasku.

Stanęliśmy w południe w lesie pod Łączkami. Obok zaraz za polaną kawał starganego lasu, a w nim znów dziesiątki trupów rosyjskich i austriackich, w popłątanych, w powgryzanych w siebie okopach...

24 lipiec. Las pod Łączkami — Czołna — Wymysłówek. — Godzina 2-ga w nocy. Łagodnie, cicho szemrze las. Żołnierze śpią otuleni w koce i celty, od czasu do czasu dobiegnie głos rozmowy Tunguza z oficerami.

Nie śpię — przebudził mnie ostry, gwałtowny wiatr, który ustał po chwili i porusza zaledwie gałęziami drzew. Chwilami cisza staje się zupełna, a wówczas słychać tylko głęboki oddech żołnierskich piersi. Nagle tę nocną ciszę blednących gwiazd, bielejących łąk i siwych mgieł przerywa tępy turkot kuchni i tubalny, ordynarny krzyk kucharza: 4 kompanja kawa... kawa...

Wnet po kawie — zbiórka. Ruszamy na północny wschód i po godzinnym marszu rozbijamy biwak w lesie obok wsi Czołna. Staliśmy tam cały dzień, aż wieczorem nadeszła wiadomość o wzięciu Chełma. Maszerujemy więc na pozycję, kompanje w pogotowiu rynsztunkowem czekają na odmarsz, który nas rzucił do wsi Wymysłówek.

25 lipiec. Wymysłówek. — Rozkwaterowaliśmy się całą kompanją w stodole. Drugi bataljon na linii, nasz w rezerwie. W południe kompanja kopła dla rezerwy okopy, a mnie zawezwano do majora Berbeckiego, by narysować szkic wsi Babina, która leży na pozycji. Nadszedł w tym czasie fonogram do pułku, że Prusacy zajęli Różany i Ostrołękę, a później jeszcze nadszedł fonogram o wzięciu Grójca.

Noc cała w pełnym pogotowiu. Dopiero nad ranem pozwolono się rozebrać i legnąć spać.

26 lipiec. Wymysłówek — Babin. — Drugi dzień stoimy w Wymysłówku.

Chłopcy przemoczeni po wczorajszem noszeniu kozłów, spali do południa jak zabici. Dopiero obiad rozbudził stodołę i napełnił ją wrzaskliwym gwarem. Edek Pfeiffer ma dzisiaj służbę w kom-

panji i od Długosza, a pośrednio od Żymierskiego przyniósł wiadomość o wzięciu Błoń i Łomży i że Warszawa łada dzień ma paść...

Wieczorem dostaliśmy do plutonu dziesięciu rekrutów z Rawy, w tem i Władka Drymera, łodzianina. Pluton wobec tego został podzielony na cztery sekcje: Adka, moja, Edka i czwartą Rybaka i liczy 34 ludzi.

Mży drobny deszcz. Maszerujemy na pozycję, a nasz pluton na jakiś odosobniony odcinek bez związku z resztą kompanji.

Noc przeszła spokojnie. Wystawiłem placówkę na 600 kroków przed okopami w dużej wsi Babinie. Na lewo łączymy z Węgrami, na prawo z 3-cią kompanją.



W Babinie. Adek Burski-Goldenberg rozdaje chleb swej sekcji.

27 lipiec. Babin. — O 5-ej rano nadchodzi Długosz do placówki z całym plutonem. Ściągamy wedety i pakujemy się do wsi. Za dworem Długosz wystawił placówkę dzienną, a z pozostałymi trzema sekcjami zajmujemy wieś, pustą zupełnie, bez mieszkańców. Madziary polują z drągami na gdakające kury, do czego i my wnet się zabieramy, by nie pozwolić wszystkiego im wybić.

Dzień ten w Babinie przeszedł pod miłym znakiem pełnego żołądka. Moi rekruci — morowcy wielcy — wmg się zakrzętnęli koło zaprowjantowania sekcji i na śniadanie zajadaliśmy przepyszny rosół z bajeczną potrawką z kureząt.

Długosz siedzi we dworze. Za rzeczką ładny, stary park, nieduży staw, klomby, cienista aleja i biały murowany dworek. Wewnątrz, jak po tatarskim najeździe. Nagwałt stąd się wynoszą, gdyż pokoje zavalone gratami, książkami, papierami...

Na obiad znów delicje: rosółek, pieczone z kurcząt i młode kartofelki. Kapitan Sław z komendą bataljonu przeniósł się na dzień do dworku. Złośliwi twierdzili, że zapachy naszych potraw odegrały niemałą w tem rolę.

28 lipiec. Babin. — Nastaly chłodne już ranki. O 4-ej jak zwykle zbudzono nas wołaniem: — wstawać, kawa!... Chwytny za menażki i biegiem na odcinek 2 kompanji, gdzie stoi nasza kuchnia.

Wies otulona w siwe, niebieskawe mgły. Blady księżyc srebrzy się i coraz bardziej blednie by za chwilę zniknąć zupełnie. gdy złotawo-różowe blaski wschodzącego słońca zalewać poczęły niebo. Skowronki wydzwaniają już swą poranną pieśń i radosna, rzeźwa świeżość bije z pól niezżętych, jeszcze ciężkich od złotej lubelskiej pszenicy i zczerniałego, matowego już zboża...

O 9-ej zaczynamy łączyć nasze pojedyncze okopy w długi, żółty łańcuch. Chłopcy pracują ospale, gdyż „słońce“ praży nie-miłosiernie...

O 4-ej pogoda raptownie się zmieniła — zwały się z zachodu gęste, grzywiaste chmury i lunął deszcz jak z cebra, zmoczywszy nas do cna. Po trzech dopiero godzinach, pod wieczór już, porozganiał wiatr stada chmur i na czystym błękicie nieba zawisła półkolem wspaniała tęcza a rozedrgane kłosa zbóż mieniły się skrami w zachodzącem słońcu...

Okopy przed wsią mamy pojedyncze, nie połączone jeszcze, a wogóle odcinek cały jest podziurawiony przerwami. Przerwy między kompanjami wynoszą po kilkaset kroków, co wiarę peszy niepomrotnie, jako, że pierwszy raz się to nam zdarza. Ataków rosyjskich niema się co jednak obawiać, gdyż odwrót ich ogarnia już cały front...

29 lipiec. Babin. — W nocy miałem placówkę, lecz już we wsi. Noc przeleciała szybko tem bardziej, że mi Talarczyk conieco pomagał. Nad ranem dociągnął do nas pluton, a po chwili cała kompanja.

Moskale podobno znów zwiali a jak powiada Długosz gniecie ich flanki jakaś dywizja. Jakoż rzeczywiście przez całą noc lewe skrzydło gruchotało ogniem karabinowym...

Kompanja rozkłada się we wsi, lecz koło 9-ej ściągnięto nas do lasu za dworski park, gdzie już rozlegał się łomot i syczące

pać manlicherów. Moskale odpowiadają gęsto, kule trzaskają po wsi jak wściekle...

Nasza linja rozłożyła się na jakieś 1000 kroków za lasem, na wyniosłym pagórku i kropi gęsto. Przyduszony, głuchy ogień manlicherów przerywa od czasu do czasu ostry trzask rosyjskich karabinów. Szrapnele dość gęsto tłuką na linję, lecz wiara z 1, 2 i 3 kompanij (my stoimy w rezerwie) nic sobie z tego nie robi. Boczkiem się zwróci do mochów, plecakiem łeb nakryje i defiluje wzdłuż linji. Berbecki śmiał się radośnie, gdy młodzieńcy Nawrot-Maksymowicz pporucznik 3 kompanji szedł spokojnie wzdłuż linji, ani na chwilę nawet nie zatrzymując się, gdy nad głową pękały mu szrapnele.

Rozłożoną wzdłuż wału na brzegu lasu naszą kompanję zdejmował jakiś mocno wystraszony młodzieniec. Kręcił kinem ku wielkiej radości chłopców, którzy się wygłupiali jak mogli...

MARSZ NA LUBLIN.

30 lipiec. *Babin — Radawczyk — Konopnica — Dąbrowice — Baraki.* — Moskale zwiali — i jak zwykle wtedy, kiedy nasza 4 kompanja przechodzi do rezerwy. Lecz dzisiaj radośniej to przyjmujemy, gdyż spodziewamy się, że Moskale opuszczą Lublin.

O 9-ej zbiórka bataljonu przy krzyżu. Udało mi się plecak wpakować na wóz — więc idę lekko i swobodnie. Wszyscy mówią o Lublinie i o opuszczeniu go przez Moskali.

Zaraz na początku marszu Ojczulek-Czachowski zapowiedział, że marsz będzie bardzo długi i uciążliwy, gdyż Komentantowi chodzi koniecznie o wejście do Lublina, nim go dogoni dyspozycja dywizyjna. Maszeruje więc wiara rażno, choć upał srogi. Z Radawczyka weszliśmy na trakt do Lublina, w Konopnicy — na szosę Kraśnik — Lublin, skąd już widać białe wieże na horyzoncie...

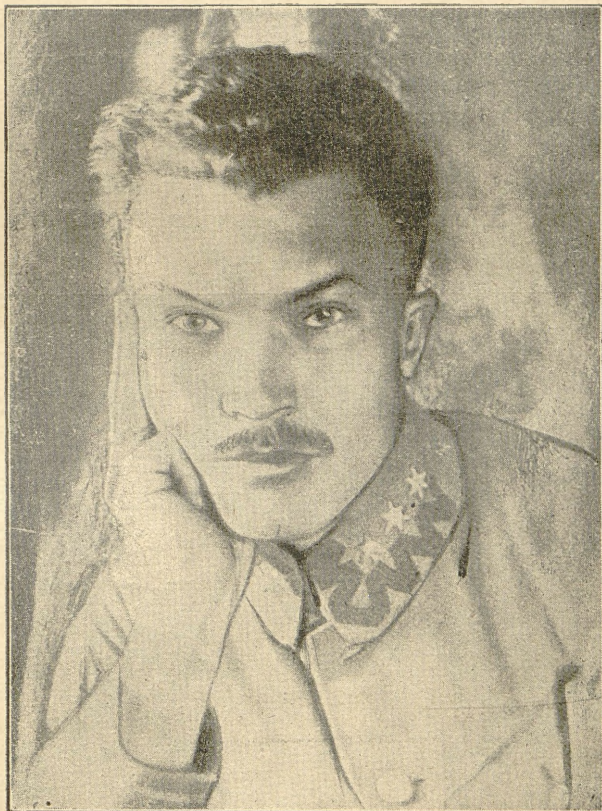
W Konopnicy postój i obiad. — Ludność nas wita przychylnie, radośnie oczekiwano nas już tutaj od dłuższego czasu. Podobno kawalerja nasza zajęła Lublin, witana z wielkim entuzjazmem.

Po dwugodzinnym postoju, po wyfasowaniu nowych spodni i kurtek, marsz... lecz w przeciwną stronę od Lublina. Psiakrew!!!

Zmrok już zapadał, gdyśmy doszli do wsi Dąbrowice, a stamtąd dalej do wsi Baraków pomaszerowała już tylko nasza kompanja. Mijają nas ułani, którzy już wymacali pozycję Rosjan. Podpalone wsi Baraki i Józefów krwawymi łunami znaczą ciem-

ny błękit nieba... Przechodziliśmy obok dogasających Baraków i wystawiamy placówki.

Ja z kilkoma ludźmi mojej sekcji zostałem, gdyż ostatnio dwa razy miałem placówkę. O 12-ej przyjechała na placówkę kuchnia z gorącą kawą i o 12-ej też objął służbę pluton II, a nasz położył się pokotem na wiązkach skoszonego zboża, pod małym laskiem.



Ś. p. Kapitan Satyr-Fleszar.

31 lipiec. Dąbrowice. — Bładła srebrna, księżycowa noc, gdyśmy ściągnęli placówki i rozłożyli się w lesie. O 8-ej rano mamy maszerować w tył, gdyż na pozycję idzie 3 i 4 pułk.

O 4-ej przemaszerowały zmęczone bataljony V i VI, z bładym, nerwowym Fleszarem, a o 5-ej zaczęły ściągać kompanje 4 pułku, najeżone i błyszczące bagnetami.

Strzelanina się już rozpoczęła... Pułk 4 rozwija się w linję od naszego lasku i rusza naprzód tyraljerami, wśród gęstego, bliskiego ognia Moskali. Obok nas stanęły czwartackie rezerwy i karabiny maszynowe.

Podeszliśmy bliżej, chcąc się przypatrzeć gościom. A no — porządki całkiem austriackie. Gwiazdek na kołnierzach mnogość wielka, naszywek srebrnych i złotych również, „obywatelskości” za grosz. „Ja nie mam kamienicy na rynku krakowskim” odpowiada szarża, gdy się ją tytułuje per obywatel...

Tymczasem bitwa na dobre już rozgorzała. Widocznie czwartacy ostro się posuwają, gdyż ogień staje się coraz gwałtowniejszy. Nasza artylerja milczy, widocznie jeszcze nie wybrała pozycji.

Nas tymczasem przesuwają wtył o jakieś 2 km i okopujemy się jako rezerwa Brygady. Do wsi nie idziemy, więc widocznie linja nasza będzie atakowała. Do 10-ej siedzieliśmy w okopach, a potem przesunęliśmy się na lewo do lasu, gdzie stanął również II bataljon.



Ranni.

Wieczorem idziemy na pozycję. Zdaje się, że przygotowuje się jakiś poważniejszy atak.

Zbiórka bataljonu w lesie. Żołnierze w świetnym humorze, rozchwytną amunicję, wyładowują plecaki i kieszenie — ciesząc się z oczekiwanej roboty. Migocze w oczach radość i ochota.

Ruszamy. Kompanje w dwuszerogach na jednej wysokości. Las minęliśmy szybko, wynurzyliśmy się na brzeg i szeregiem, wzdłuż leśnej ściany, ruszamy na prawo. Atak się już widocznie

rozpoczął, gdyż ogień od dołu, od Jastkowa rwał ostry, biczując las bezlitośnie. Przebiegamy trochę otwartej przestrzeni, niewielką polanę i wpadamy w gotowe okopy tuż pod lasem, zasłonięci małą wyniosłością.

Dzika muzyka kul nie ustaje ani na chwilę, sprawiając wrażenie, że Moskale są tuż, tuż...

Przez stukrokovą przerwę między okopami a lasem przelatują bezustanku z chrzęstem plutony czwartaków, przebiegają ordynansi z meldunkami. Sław wszędzie zagłada, wszystkiego pilnuje.

Tuż za nami, zamykając polanę werżniętą w las okopuje się 3 kompanja.

Ogień coraz to potężnieje. Czasem — wśród jazgotliwego, wysokiego głosu maszynek rosyjskich, słyhać spokojne gruchotanie, monotonne dudnienie czwartackich i głuche łopotanie manlicherów. Moskale walą tego, lecz ogień ich góruje i kule przenosząc, biją w nasz las.

Księżyc tymczasem wypłynął i oblał srebrnym światłem polanę, las, ciemne plamy okopów. Czas mija, a nas jakoś nie podrywają. Widocznie atak się nie udał.

1 sierpień. Las namprost Jastkowa. — Noc mieliśmy spokojną, zato dzień pełen wrażeń. Rano zbudził mię Siewicz¹⁾, skaut łódzki, który jest w 4 pułku i koniecznie chce stamtąd zwać do nas. We wczorajszym, nieudanym ataku czwartacy ponieśli kolosalne straty, to też maruderów pełno włóczy się po lesie.

W ciągu dnia zgłosiło się 11 czwartaków do naszej kompanji i wszyscy zostali przez Tunguza przyjęci. Są to ci, którzy złożyli deklarację w Radomsku z prośbą o przydział do I Brygady, a wcielono ich do pułku czwartego.

„Świże“ rekruty, nie ostrzelane, ze zgrozą opowiadają o swych wczorajszych stratach. Ponoć podbiegli tyraljerą pod same moskiewskie druty bez strzału — nie było rozkazu — i tam ich strasznie zsiekli maszynkami i ogniem piechoty. Dzisiaj dopiero znoszą rannych, którzy wczoraj zostali na przedpolu.

Niby jesteśmy w rezerwie Brygady, lecz siedzimy w okopach coś o 800 kroków od linii, gdyż czwartacy mają znów atakować. Od nas celownik jest 1200 a okopy czwartaków od moskiewskich o 400 zaledwie kroków. Podsunęli się więc całkiem pięknie.

Wieczorem, gdy pokładliśmy się już do snu w naszych okopach, rozległ się jakiś krzyk i zamieszanie na lewym skrzydle

¹⁾ Obecnie porucznik kawalerji.

i wreszcie gruchnęło przez okopy, że czwartacy wieją. Natychmiast też zerwał się ostry głos Gługosza:

— Ubierać się, bagnet na broń!!!

Wyskoczyliśmy z okopów wzburzeni, gotowi każdej chwili runąć naprzód jak rozżarte psy. Okazało się jednak, że to kilku tchórzliwych rekrutów czwartackich narobiło tak paskudnego alarmu.

2 sierpień. W okopach pod Jastkowem. — Spokojnie nam dzisiaj przeszedł dzień. Na linii cisza prawie zupełna, od czasu do czasu gwizdnie kula. Po okopach włóczą się żandarmi czwartego pułku, szukając swych żołnierzy.

Dzisiaj jeszcze czwartaków nie zmieniamy. Gdy rysowałem szkic sytuacyjny u Sława przysłał depesza telefoniczna, iż cztery zachodnie forty Dębłina wzięte.

Sław był w Lublinie i wiedząc, że piszę stale dziennik przywiózł mi z Lublina piękny duży notatnik. Bardzo mię wzruszył tym podarunkiem...

3 sierpień. Jastków — Majdan Krasieniński. — Moskale zwiali. Któryż to już raz?!...

O czwartej zbudzono nas tą wieścią, a cisza zupełna wokół świadczyła aż nadto dobrze, że zostaliśmy sami.

W dole nad pozycjami unosiła się lekka, sina mgła, dzień otrząsał się z resztek snu i rosą przemywał oczy. Poranek zapowiada się piękny.

O 6-ej marsz w kierunku na Jastków. Przechodzimy obok 1 pułku, który zajmował odcinek od nas na lewo. Pozycje miał wspaniałe, ostrzał znakomity. Moskale tak szybko wywiewali, że 1 pułk ogarnął swemi patrolami kilka zaledwie jaszczów z amunicją i nieco jeńca. Maszerujemy powoli, wśród potoków słońca, coraz wyżej się wznoszącego.

Za Piotrowcami weszliśmy w las, który już drżał od pocisków. Szrapnele tu i owdzie ciskały snopy kul.

Rozłożył się tu już sztab: Komendant, Sosnkowski, Belina. Ułani wpadają z meldunkami, z za lasu, z prawej i z lewej rwie pogłos strzelaniny. Przed nami cisza.

Po pewnym czasie zerwał się nagle nawprost przed nami ostry ogień. To Długosz, który z dwiema sekcjami naszego plutonu poszedł na Majdan Krasieniński — stał się przed wsią.

Siedzimy jeszcze pół godziny, gdy Tunguz otrzymuje wprost od Berbeckiego rozkaz zajęcia odcinka na lewo od wsi. Maszerujemy więc na brzeg lasu, a stamtąd na zadrzewioną drogę, równoległą do zabudowań Majdanu. Rozwinęliśmy się i już

w ostrych poświstach kul gnaliśmy do rowu i cichych olszynek, zapadając tuż przed wsią. Przed nami tłucze się jakaś kompanja i bije na wieś, aż powietrze się trzęsie.

Upał potężny. We wsi bezustanku syczą nasze manlichery.



Szef sztabu Sosnkowski i d-ca 5 p. p. Leg. Berbecki na biwaku.

W samo południe podsuwamy się jeszcze bardziej wprzód, między wieś a drogę, do głębokiego rowu, któremi tu porżnięto wokół łąki. Na lewo po żółtym ściernisku posuwa się tyraljera austriacka, w którą rzną szrapnele, jak w bęben. Za chwilę poczęli bić i na naszą łąkę, gdy II-gi pluton poderwał się od drogi i z chrzęstem rynsztunków biegł do naszego rowu. Z prawego podają, że Drózek z Adka Goldenberga sekcji zabity, a za chwilę, że z 5-ej podporucznik Jagmin-Sadowski¹⁾ ranny, a zabity Nawrot-Maksymowicz.

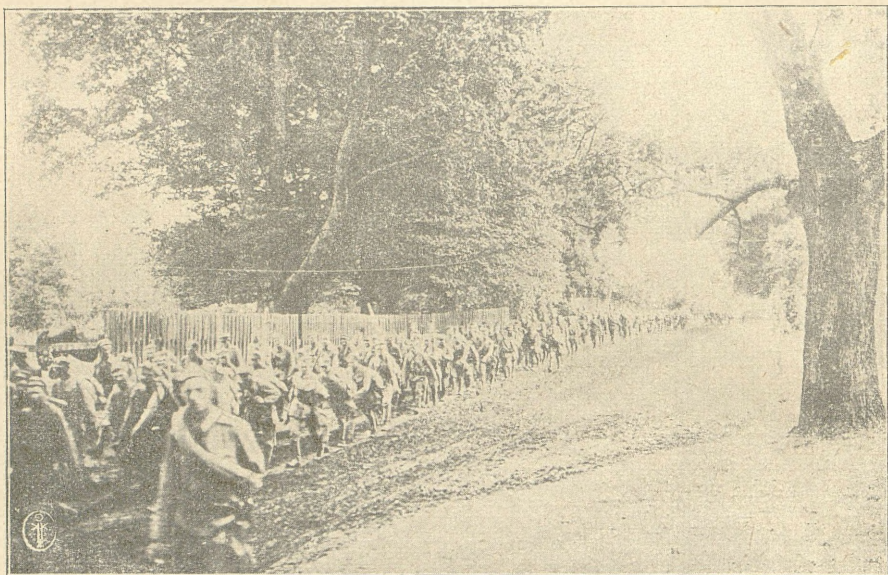
Siedziałem z półplutonem beczynnie przez kilka godzin w tym rowie, skracając czas pogwarką z Flojarem, prorokującym kogo z nas niedługo szlag trafi, aż dopiero gdzieś koło piątej ścichł ogień i zaczęliśmy się nieostrzeliwani wycofywać wzdluż wysadzanej ślicznymi czereśniami drogi.

W pół godziny byliśmy w lesie, gdzie czekał na nas już obiad. Kucharze z pieczołowitością rozlewają podwójne porcje, a wiara mówi tylko o 3 kompanji, która dziś srodze dostała po palcach. Nawrot dostał kulą prosto w serce, a Jagmin postrzał w rękę. Rokita po śmierci brata rozpacza strasznie...

¹⁾ Obecnie pułkownik Szef. Gen.

Las nawprost Majdanu obsadza 1 i 2 kompanja, zaś nasza i 3-cia w rezerwie. Ledwieśmy uspali nieco, już o trzeciej z rana poderwano nas na nogi. Maszerujemy na pozycję, by zmienić Austriaków.

4 sierpień. Majdan — Wola Krasienińska — Ożarów Lubelski. — O świcie zmieniamy Węgrów; nasz pluton rozbija biwak o sto kroków w tyle, drugi zaś i trzeci obsadza głębokie, przez Węgrów na wysokość chłopa wykopane okopy, łącząc na lewo z 1. a na prawo z 3 kompanją.



W marszu.

Nareszcie się wyśpimy — pociesza się wiara — gdyż po wczorajszych tarapatach chłopcy solidnie pomęczeni. Lecz przysłówie o nadziei sprawdziło się Bóg wie, który znowu raz. Moskale zwiali...

Klniemy jak sewcy. Wnet po kawie zbiórka i na brzegu lasu czekamy na cały bataljon.

Słońce już przeświecało mgły, które się powoli do góry wznosiły, siejąc subtelny pył. Wokół za lasem szerniały, niezżęte kłosa ciężko się chyliły w szarym cieniu, jaki szedł jeszcze od lasu.

Po jakiejś godzinie ruszamy. Marsz powolny, ociężały, gdyż maszerujemy w rezerwie, a przodem wyrwał bataljon drugi. Przez Wolę Krasienińską i przez wieś Kawkę przechodzimy mar-

szem ubezpieczonym, by znów później zapaść w lasy i krążyć po nich przez cały prawie dzień. O 5-ej dopiero stanęliśmy w Ożarowie.

Przed nami wielkie, dworskie stodoły, olbrzymie kartofliska, na których się szeroko rozwijamy, zostawiając z tyłu za sobą wielkie łńnienia stawów. Od folwarku w stronę Samokłesk prosto jak strzelił wyciągnięta szeroka droga, ujęta starami topolami. Droge tę obsadziły 1 i 2 kompanje i zaledwie zaczęliśmy się okopywać w lekkim piachu kartoflisk, gdy na drodze wyrznął w topole jeden i drugi szrapnel. Zegary, warcząc, przeleciały tuż nad linją, a jeden trzasnął wprost w okop Flojara. Łopatki rozpoczęły żywą pracę, gdyż nowe dwa szrapnele w tej chwili bluznęły prosto w nas. Jeszcze nie przebrzmiał warkot zegarów, gdy skoczyło kilku z wiary chwycić gorące, aluminiowe czopy...

5 sierpień. *Ożarów — Pozycja pod Kamionką.* — Siedzimy pokurczeni w małych wnękach wśród przedpiersi z żółtego piachu, błyszczących złotem na jednolitem tle zieleni dworskiego kartofliska.

Dzień jasny, pogodny. Chłopcy się myją, kąpią w pysznym stawie, warzą, gotują kartofle, mimo szrapneli, które błądzą po drodze, raz wraz warkotem zegarów drąc powietrze. Gdy nieco gęściej w pewnej chwili na drogę łupić poczęli, wgonił nas Długosz do okopów. Ledwieśmy skoczyli, wyrznął trzask piekielny. Jak mgnienie oka krótka chwila przeraźliwego gwizdu połówki i łysk płomienia nad głowami. Lecz myśmy już zdążyli nurknąć do okopów, by za moment ciekawe wysunąć nosy.

Nic — żadnej szkody, tylko namiot trzeciej sekcji, stojący przy okopie, porozdzierany na sirzępy, kamizelka Talarczyka i garnek Wójtowicza — pocharatane wszystko docna — świadczyły, jak świetnie temperowany był szrapnel.

Coś koło 5-ej po południu, gdy po krótkim deszczu rozkoszowaliśmy się świeżem, rzeźkiem powietrzem, gdzieś z lewa, zdaleka rozlega się krzyk przez zwiniętą w trąbkę dłoń: Warszawa wzięta!... a z drogi już szło przeciągłe, ogromne hura!...

Drgnęliśmy. Nadzieja i niedowierzanie przechodzą po twarzach, lecz krzyk Trapszy z drogi powtarza to samo. Wieść radosna niosła się z ust do ust, witana szalonymi okrzykami radości. Długosz podniecony niezwykle, boi się trochę wierzyć, lecz radość mu bije z oczu.

A Moskale jakgdyby w odwet za nasz krzyk radości zemścić się chcieli, bo oto w tej samej chwili doleciał daleki, przytłumiony huk — jakgdyby dech znagła wyrwany z piersi — i nad-

jeżdżać począł nielada ciężki kufer. Zbliżał się z cichem, lekkiem szurganiem powietrza, chwiał się i ważył, przysiadł jakby co chwila, powoli przechodził w groźniejszy, coraz zjadliwszy wizg i runął wreszcie chmurą dymu i słupem wyrzuconej ziemi pod stare, włoskie topole. Ciężki — co najmniej 15-ka.

Za chwilę drugi wizg, lecz bardziej złowrogi i ostrzejszy, bo bliższy. Wyrznął na lewo w łąki i trysnął do góry wysoką rakieta czarną darni. Po długiej dopiero chwili, jak grad poczęły pluskać w stawie odłamki i grule ziemi.

I macał nas tak, szukając żeru coś z pół godziny coraz to nowy kufer, lecz nikomu jakoś nosa nie urwał, ni oka nie zaprószył.

Pod wieczór zbiórka. Czekamy na Tunguza, porozkładani w kartoflisku, gwarząc o Warszawie, o losie naszym, o wielkich naszych nadziejach.

Już dobrze po 9-ej wieczór przychodzi Tunguz. Na linji tęgi ogień, to też szliśmy cicho, bez szmeru. Już w drodze dogania nas Władek Rusin, podając wieść usłyszaną od Sława, że Dęblin wzięty!

W okopach okrutna kasza. Zmieniamy Austrjaków, których napchało się tu jak do szturm, gdyż sekcja Adka i moja zmieniły aż dwa ogromne, austriackie plutony. Wysunięci jesteśmy mocno naprzód, a na prawo—skrzydło nasze zagina się ku VI bataljonowi. Przed nami majaczy w ciemności zarys lasu, o którym nas nie, jak i o pozycjach moskiewskich nie mogą Austriacy poinformować. Tyle tylko, że w dole pod nami Kamionka, i że celownik 600.

Ogień już ustał, po moskiewskiej stronie cisza zupełna. Zato linja nasza kropi z przerwami przez całą prawie noc. Posturunków przed okopami rzecz prosta niema, można se popukać, co z nudów, by nie zasnąć, wiara dość często czyni. Naogół jednak głupio się czujemy, nie wiedząc nic co za przedpole i co za nim się kryje. W dzień tu ponoć całkiem było inaczej, gdyż pod wieczór dopiero Austriacy zajęli tę linję, wrzucając Moskale do Kamionki.

W czuwaniu pilnem czekamy świtu, by się rozejrzeć nieco w sytuacji.

6 sierpień. — *Okopy pod Kamionką. — Śmierć Długosza.* — Strzelanina się wzmagala tem więcej, im więcej bladła noc i srebrny świt ogarniał ziemię. Nie wiedzieliśmy, czy Moskale są, gdyż strzały nasze głużyły tamte. Adek Goldenberg twierdził, że jednakowoż biją ekrazytówkami.

O 2.30 mam pójść z sekcją na patrol, rozejrzeć się w lasku na lewo, dotrzeć do okopów, które są ponoć o 30 — 40 kroków przed nami i stwierdzić, czy są w nich Moskale.

Bładła noc i dzień coraz jaśniejszy wstawał, gdy miałem wychodzić. W tej chwili kuchnia polowa podjechała do okopów i nagwałt, galopem musiała uciekać, gdyż trzaskać poczęły bliskie strzały moskiewskie. Są więc!

Na patrol wobec tego nie idę. Dziwnem mi się tylko wydaje, że oni jeszcze się tu trzymają i wiadomość o wzięciu Dębłina wygląda mi na nieprawdziwą.

Tymczasem mgły się szeroko rozciągnęły na łąkach przed nami i w ogrodach Kamionki, rozłożyły się na żółtych polach i leniwo się ku górze podnoszą. Dzień już się jasny uczynił, wnet też ustąpić musieliśmy przed Moskalami i głowy wtulić w piach. Bili celnie i dobrze z ogrodów Kamionki, z poza cmentarnego muru.

Owinałem się płaszczem i oparty plecami o żółtą ścianę okopu — usnąłem. Obudziłem się dopiero koło 2-ej po południu. Dzień był chmurny i groził deszczem. Za chwilę rzeczywiście spadł silny, ulewny deszcz i padał ze dwie godziny bez przerwy, przemoczywszy nas do nitki. Gdy ustał, zająłem się reperowaniem kurtki. Nie podnosiłem głowy, słysząc dość częste pukanie i trzask ekrazytówek, a szyjąc, dziwiłem się tylko, że tak blisko i uparcie trzaskają. Za chwilę słyszę głos: Długosz ranny...

Cóż u licha! Kiedy? — wołam, na co mi Drymer odpowiada, że w tej chwili dopiero Długosz przechodził wzdłuż okopów, że bili do niego przez całą drogę, aż przy wejściu do okopu — dostał...

Wychyłam głowę i widzę doktora Kwaśniewskiego pochylonego, biegnącego do Długoszowego okopu.

Za chwilę obija się o uszy ciężki, męczący, straszliwie bolesny jęk. Jakieś złe przeczucie targnęło mną. Ten jęk, ten jęk!... Taki jęk ciężki, śmiertelny jęk wydawał Jur i Antek. Czekam — i klnę na czem świat stoi.

Minęło kilka minut szarpiącego serce niepokoju. Pytam się wreszcie 3-ej sekcji coś z Długoszem?

— Już po nim, skonał — odpowiada Łodek Janowski.

Ciężka nawała żalu napłynęła mi do serca, lecz jeszcze więcej wezbrało wściekłości i bezsilnego gniewu. Boże, jak ja tej wojny nienawidzę! Jurek Szletyński, Antek Gruszczyński, teraz Długosz. Psiakrew! Czy to się nareszcie nie skończy!...

I to już drugi oficer naszego bataljonu w tym tygodniu. Nawrot, Długosz!

Milczenie ogarnęło okopy. Nawet pluton nie strzela, jak to bywa zwykle w takich razach. Ta krążąca ustawicznie śmierć, śmierć która zabrała Długosza, onieśmiela chłopców.

Wieczorem Ojczulek Czachowski prowadzi 2-ą sekcję na placówkę do lasu. Ja wysuwam na 50 m. przed okop czujkę. Moskale biją ciągle i to ekrazytówkami. Rano zmienia nas kompanja 5-cia.

7 sierpień. Okopy pod Kamionką. — Noc przeszła mi na czuwaniu i wysyłaniu czujek wprzód. O 3-ej rano wśród gęstej, ciężkiej mgły wysuwamy się sekcjami wtył, na brzeg lasku, by tam urządzić zbiórkę. We mgle nie widzą nas Moskale, lecz słyszą i w jednej chwili napelnił powietrze ogłuszający trzask ekrazytówek. Wycofaliśmy się jednak bez strat i dwójkami doszliśmy do wsi Samoklęski.

Długosza na zmianę nieśliśmy na noszach.

We wsi rozkwaterowaliśmy się i natychmiast trzeba się było zająć pogrzebem. — Stolarze kompanji, a znalazło się ich trzech, wzięli się do trumny, pluton zaś poszedł przygotować grób na rozstaju, pod krzyżem, przy skrzyżowaniu dwu dróg.

O 5-ej po południu pogrzeb. Dzień się zapowiada gorący, upalny. W ciszy stoją zasłuchane drzewa, lekko drgają i szemrzają, gdy wiatr ciepły, wiejący z pól i łąk lubelskich, pociągnie górą.

Kompanja poszła szeroką drogą, na barkach niosąc ukochanego podporucznika. Ja poprowadziłem księdza-kapelana obok ogromnych dworskich stawów.

W cichości i skupieniu odbył się pogrzeb. Kompanja wyprężona na „baczność“ salutowała zwłoki. Ksiądz przemówił kilka słów, pokropił zwłoki i ciężkie grudy z łomotem poczęły się sypać na białą, świeżą trumnę. „Baczność! Kompanja w prawo patrz!“: pogrzeb skończony.

Głęboki żal objął żołnierzy, oficerów, Tunguza, na którego twarzy mienił się żal i wzruszenie.

Takie młode, takie piękne do wczoraj życie polskiego oficera!

Jakieś dziwne przygnębienie nas ogarnęło, gdyśmy wracali z pogrzebu. Rozmawialiśmy o odpoczynku, który nam się należy, o tem zmęczeniu jakie nas ogarnia, o upadku ducha... A bo rzeczywiście wiara już solidnie zmęczona, szczególnie ci starzy, którzy rok temu na wojnę wyruszyli.

Wracamy na kwatery. Wiara, choć zmęczona, zajęła się gotowaniem, sen odkładając na później. I ja choć dwie noce nie spałem, nie kładę się. Mam zamiar popołudniu odespać zaległości.

Lecz na wojnie na nic nadziei mieć nie można. O 12-ej w południe, gdy wszyscy byli rozpakowani zupełnie, przychodzi nagle rozkaz zbiórki.

Pakujemy się gwałtownie. Marsz szybki do lasu, gdzieś rano po wyjściu z okopów mieli zbiórkę i skąd wynosiliśmy Długosza.

Szrapnele rosyjskie dość gęsto tam jeszcze trzaskają, lecz Moskale widocznie już zwiali. Z Kamionki dolatują karabinowe strzały, od czasu do czasu zatrajkuje karabin maszynowy.

Mijamy VI bataljon i z lasu wychodzimy na pole przez druty a stamtąd na cmentarz kościelny, gdzie mija nas jasna grupa rosyjskich jeńców.

Na cmentarzu siadamy i czekamy na rozkazy. Okopy rosyjskie, kryte szrapnelówkami, ciągną się przed samym murem cmentarnym. Zaraz tam kilku skoczyło, przynosząc z sobą całe bochenki rosyjskiego razowca. Moskale zwiali w biały dzień, co nam się widzieć przytrafiło dopiero pierwszy raz. Pod Lubartowem przełamano im nagle front.



Jeńcy.

Po krótkim postoju pod cmentarnym murem, szeroką drogą wśród palących się jeszcze kilku domów, idziemy na rynek Kamionki, radośnie witani prze ludność. Wiedzą tu już, że to legjoniści nie Austriacy. Jak wszędzie tak i tu Moskale musieli załżeć mieszkańcom za skórę.

Na rynku postój i to dłuższy. Ściągają zewsząd piesze patrole, a na ich miejsce wysuwają się ułani i konnica austriacka.

Spotykam Leona Asta¹⁾, który mi z ożywieniem opowiada o patrolu jaki miał do Kamionki: wpadł pierwszy do miasta, zagarniając po drodze ostrzeliwującą się placówkę jak tylko dostrzegł, że Moskale pojedynczo wieją z okopów. W mieście jeszcze zrobili z „kolana broń“ i tłukli do mochów wiejących na leb na szyję.

Ludność powitała ich nadzwyczajnie. Zaledwie rozległy się strzały na ulicach i patrol wpadł do miasta, z trzaskiem poczęły się okiennice i okna otwierać i głos: „legjoniści, legjoniści“ szedł z ust do ust. Kilku tęgich parobczaków wyleciało z karabinami w rękę i nuż kropić do mochów. Nastrój jednym słowem wspały. Nigdy się nie spodziewałem, że tak będzie dobrze.

W Kamionce na postoju zeszły coś ze 2 godziny. Wreszcie Tunguz nam mówi, że będziemy okrażali Moskali i „fasowali“.

Jakoż ruszamy za chwilę na północ i maszerujemy przeważnie lasami aż do wsi Ciemno. Strzały już mamy tylko z lewej, gdyż z kierunku na północ skręciliśmy nagle na zachód.

W Ciemnie beliniacy ściągają już z pola. Strzały trzaskają zupełnie blisko: rozróżniamy ostry trzask rosyjskich karabinów i pacyanie naszych manlicherów. Chłopi wynoszą nam wodę, słoninę, mleko, kielbasę, ciesząc się, żeśmy wypędzili Moskali i nie pozwolili spalić wsi. Przed 15-ma zaledwie minutami byli tu kozacy i oparli się teraz na skraju lasu.

Za chwilę nasza kompanja idzie w linję. Pierwsza już ruszyła i ściera się. Po krótkim oczekiwaniu, w czasie którego zapijaliśmy się mlekiem i zjadali kielbasę, ruszamy do wylotu wsi. Kule już tu trzaskają po chałupach i rozdierają gałęzie drzew. Tunguz daje dyspozycje Ojczulkowi-Czachowskiemu i tuż za wsią rozwijamy się plutonem w tyraljerę. II i III pluton zostają w rezerwie.

Przed nami rozciąga się duża łąka, przerżnięta dwoma zarosłami olszyną rowami. Mamy posunąć się za drugi rów, na mały pagórek tataraką porosły i stamtąd ostrzeliwać las. Kompanja 1-sza leży już na wysokości 1-go rowu i otworzyła ogień.

Ruszamy ze wsi i podrywamy się całym naraz plutonem. Wnet zaświergotały kule. Nim dobiegliśmy do 1-go rowu, zwinął się nagle Edek Pfeiffer i zwałił się na ziemię, a Łodek Janowski objął natychmiast komendę na sekcję 3-cią. Padliśmy w rowie i niespokojnie wypatrujemy, czy Edek leży, czy nie? Lecz on się podniósł i z rynsztunkiem na plecach spokojnie szedł do wsi. Chwała Bogu, widocznie nie ciężko ranny!

¹⁾ Obecnie kapitan piechoty.

Do tatarki posuwaliśmy się sekcjami lecz już słabo ostrzeliwani. Natomiast w tatarce, gdyśmy zajęli front prawie prostopadły do frontu 1 kompanji, poczęły sieć kule ostro z prawej naszej flanki. Okopujemy się więc, a ja nawiązuję łączność z 1 kompanją i zaraz zaczynamy ostrzeliwać las przed nami.

Dzień się tymczasem już kończył. Lekkie mgły podniosły się z pól, gdzieś z lewego skrzydła i prawie z tyłu trajkotały gorączkowo karabiny maszynowe, co nas nie peszy, gdyż front cały dziwnie połamany i pogięty.

Powoli zapadł wieczór. Nas zmieniają Austriacy, więc powracamy do olszynki i czekamy na kompanję. Z kompanją mamy iść na zbiórkę bataljonu i całym bataljonem atakować palącą się wieś Stasin.

Tymczasem czekamy, leżąc w rowie i momentalnie zasypiając. Tacyśmy pomęczeni ostatnimi wypadkami, trzema pod rząd bezsennymi nocami, że chłopcy w tyraljerce zasypiali. Ja prawie zupełnie w tatarce się nie okopywałem, gdyż nie miałem sił by władać łopatką. Na prawo pluton nasz łączył się z Austriakami i ciekawą widać było różnicę. Pepiczki — Czechy okopy po pas głębokie powykopywały, a u nas zaledwie małe wnęki. Trochę ziemi na głowy schronienie i okop gotów.

Walka tymczasem cichła. Noc rozpostarła swe skrzydła nad ziemią i jakby godziła walczące strony. Stało się to szybko boć to nie regularna bitwa, lecz walki patroli, które w nocy cichną.

Już późnym wieczorem kompanja nasza pomaszerowała w kierunku na Stasin. Pokładliśmy się jako rezerwa pierwszej linii rzędem i wnet pokotem wiara posnęła, aż dopiero zajeżdżająca kuchnia nas obudziła. Po obiedzie (o 1-ej w nocy) idziemy całym pułkiem na południe, gdzie mamy zaatakować wieś Aleksandrówkę, zachodząc Moskalom z tyłu.

Marsz uciążliwy piekielnie. Przy każdym zatrzymaniu kolumny, wiara kładzie się na ziemi i momentalnie zasypia. Maszerowaliśmy tak całą noc do Aleksandrówki w ciszy i ostrożności. Gdy gwiazdy błednać poczęły i rzeźki, chłodny wiatr pociągnął z pachnących pól, zbliżyliśmy się do wsi, z której jak się okazało, przed 2-ma godzinami zdążyli Moskale wywieść.

Rozkwaterowaliśmy się więc i śpimy nazabój, nie myśląc ani o Moskalach, ani o świecie całym — lecz tyle tylko by spać, za wszelką cenę spać...

8 sierpień. Aleksandrówka — Rudno — Chuda Wola — Elzbiecin. — W obszernej stodole, na wspaniałej słomie wypaliliśmy się solidnie. Kosior, nasz prowiantowy sierżant, nakupił przeróż-

nych wiktuałów w kantynie, więc najedliśmy się dobrych rzeczy coniemiarą. Około południa, gdy jakoś o wymarszu nie słysząc nie było, zaszedłem do komendy bataljonu narysować sytuację. Wesoło przyjął mnie Sław a jak zauważyłem i jego bardzo to ucieszyło, że Edek tylko ranny. Może los odwróci od naszego plutonu swą złowrogą twarz i przestanie prześladować samemi trupami...

Po południu odmarsz do Chudej Woli. Wyszliśmy koło 4-ej, lecz maszerowaliśmy powoli. Minęliśmy Rudno, przeważnie lasy, leśnemi ugorami i traktami idąc, doszliśmy do Chudej Woli.

Lecz tu nas spotkała przykra niespodzianka. Chuda Wola świeciła ogniami dogorywającego pożaru. Spalona do cna. Wobec tego musieliśmy pomaszerować dalej, do wsi Elżbiecin. Zmordowani jesteśmy strasznie, Flojar i ja wzajemnie się pocieszając, ledwie idziemy, marsz bowiem prowadzony mocno nieoglądać. Co chwila któryś odłącza się od kolumny i siada obok drogi, klnąc na czem świat stoi!!!

Tak siejąc maruderami, doszliśmy wśród deszczu, do Elżbiecina.

9 sierpień. Elżbiecin. — Kończy się już już Lubelski. Pyszne wzgórza, porozrzucane lasy, jary i wądoły przechodzą powoli w teren coraz to równiejszy, łagodniejszy.

W Elżbiecinie stoimy cały dzień. Około południa zrobił Sław zbiórkę bataljonu w pełnym rynsztunku, lecz tylko po to, by ogłosić kilka słów o maruderstwie i maruderach. „Jest źle, gdy bataljon ma dużo maruderów“ — zakończył. Poza tem kompanja nasza zdejmowała się plutonami, a przy naszym plutonie stanął Sław.

Komenda Brygady stoi obok. Rozmawiałem z Kubiakiem, pytając się o nowiny, lecz on nic nie wie. O wejściu do Warszawy nikt nie marzy, a Komendant ciągle się żre z c. k. Komendą Legjonów i całym jej sztabem, który ustawicznie Brygadę szykanuje.

Dzień nam upłynął spokojnie. Odmarszu niema, więc kładziemy się spać do stodoły.

10 sierpień. Lysobyki — Bystrzyce. — Niedługo trwało przepyszne wylegiwanie się na słomie. O godzinie 3-ej rano alarmowa zbiórka. Tunguz odjechał do Lublina, więc kompanję objął Ro-wecki.

Na drodze w Elżbiecinie ścisk: artylerja, tabory i piechota ledwie, ledwie postępują obok siebie. Dopiero u wylotu wsi, jak z ciasnego ucisku wypuszczone, ruszyły szparko kolumny naprzód.

Przez wieś Drewniki dochodzimy do Lysobyków nad Wieprz. stąd, przez pontonowy most na rzece, otulonej w misterne mgły.

Lysobyki — nędzna, żydowska miejscina, do połowy spalona. Północna jej część, to jedna ulica dymiących zgliszczy i sterczących kominów z przykrym, wstrętnym odorem spalenizny. Te zgliszcza, te ciągle pożary, duszące odory spalenizny palą mi duszę jak rozpalonem żelazem. Nie mogę poprostu patrzeć na tę straszną, bezgraniczną niemoc biednego, obdzieranego, palonego polskiego chłopca. Zmęczenie fizyczne, widok palonych wiosek i miast, ta ciągła niepewność jutra, ta grożąca ciągle, mściwa polityka Niemców — ogarniają nas coraz większem zwątpieniem. — Nie, źle mówię! Zwątpienia niema!! Jest tylko jakaś cisza w szeregach naszych, przewija się jakiś dziwny uśmiech gorzki i palący, z którego przebija się bolesne pytanie: czy to się wszystko na co zda?



Ochotnicy z Lublina.

Lecz jest jeszcze honor, ta nasza ostoja i dźwignia. Idziemy ciągle naprzód, gnamy Moskali bez przerwy, bijemy się bez zarzutu — a jednak... A jednak niema już tego szalonego rozpędu z zeszłego roku, niema tej porywającej wichrowatości i tych palących duszę słów i spojrzeń.

Zanurzyły się w sobie, zamknęły, skupiły duszę legunów, i gdyby tak powiedział nam Komendant: „chłopcy, wszystko strą-

cone, gińmy — by raz skończyć!!“ — to poszliby wszyscy z po-
bladłem czołem, ponurem, twardem spojrzeniem na śmierć, bez
szemrania, bez jednego słowa...

Tak czuję i tak myślę nie tylko ja...

Zrobiliśmy dziś około 25 klm. W południe stanęliśmy na krótko we wsi na obiad. Składał się on z olbrzymiego garnka białej kawy na sekcję i miski miodu. Wieczorem stanęliśmy w młodym lesie, gęsto podszytym. Moskale oparli się na rzeczce Bystrzycy, pułk 1-szy zajął tam odcinek.

Za każdym bataljonem naszej Brygady maszeruje kompanja rekrutów z Lublina. Chłopy na schwał. Lublin już pono dał 2000 ludzi.



Biwak.

11 sierpień. Las nad Bystrzycą — Hermanów — Stanisławów. — Z radosnem uczuciem wyspania obudziliśmy się rano o 8-ej, wypoczęci solidnie, zbudzeni okrzykami: „kawa, kawa!!“

Las zawrzał. Z namiotów powyłaziło porozbierane, zaspane bractwo i z menażkami w rękach, szeregami zdąża do kuchni. Do południa staliśmy w tym lasku. Słońce przedarło się już przez lekkie mgły i grać poczęło na ostrzach bagnietów, na zamkach

karabinów. Na biwakach gwar... Chłopcy zajęci smażeniem, gotowaniem. Na obiad dostaliśmy konserwy, więc wszyscy do nich gotują kartofle. Przed samym wymarszem, o 1-ej w południe, rozdano nam lwowskie upominki na 6-go sierpnia tamtejszej Ligi Kobiet. Trochę ciasteczek i papierosów.

Od dzisiaj jesteśmy rezerwą dywizji. Przeszliśmy kilkanaście klm., przeważnie lasami i doszliśmy do wsi Hermanów i Stanisławów. Zostajemy tutaj na noc. Przed nami wznoszą się słupy i pióropusze olbrzymie dymów z palących się wiosek, z zapadnięciem nocy zamieniając się na krwawe, ogromne łuny, połowę nieba zajmujące.

Śpimy w ogródku pod celami.

PRZEZ ZIEMIĘ ŁEZ I KRZYŻY

12 sierpień. Stanisławów — Skrzyszów — Kępki. — Do południa staliśmy w Stanisławowie, gdzie przydzielono do nas kilku lubliniaków. Ja wybrałem sobie do sekcji — skauta Ciechońskiego¹⁾.

Wymarsz ma lada chwila nastąpić, więc jesteśmy w pogotowiu marszowem. W południe spadł nam jak z nieba razem z upominkami od Sosnowca, Tunguz. Przywiózł nam czekoladę, trochę słodyczy, a od sosnowiczanki mniej łakoci, natomiast dużo więcej serca i uczucia w bilecikach.

Rowecki, który wrócił ze szpitala z zagojoną nogą, obejmuje nasz pluton. W Lublinie Prusacy. Ponoć bardzo porządnie się zachowują. Wogóle z tego frontu zupełnie się Austriacy wycofują, przenosząc się na front włoski. Mimo to, wskutek skrócenia linii, wojska jest moc. W tych dniach, wycofuje się 10-ty korpus, o nas nie wiadomo. O Warszawie bardzo mało wiadomości, właściwie niema żadnych.

O 2-ej po południu wymaszerowaliśmy. Przeszliśmy już granicę ongiś siedleckiej, do dziś dnia lubelskiej i chełmskiej gubernji, lecz znowu potem zawróciliśmy do siedleckiej i stanęliśmy w ogromnej wsi Kępki o 14 klm. od Międzyrzecza.

Jak beznadziejny musiał być tu odwrót Moskali, świadczy fakt, że chłopci nie chcą już przyjmować rosyjskich pieniędzy. Do tego stopnia, tu na rubieży Królestwa chłopci nie wierzą w powrót Moskali.

15 sierpień. Kępki — Zakowola. — Jesteśmy już na krańcach Królestwa. Dzisiaj pierwsze spotkane wieśniaczki przeciągać sło-

¹⁾ Obecnie porucznik piechoty.

wa poczęły i śpiewnym mówić akcentem. Jak zwykle od kilku dni, w Kępkach staliśmy do południa. Wczoraj, gdyśmy do wsi się zbliżali, grzechotał przed nami ogień karabinowy, lecz dzisiaj spokój letni i cisza. Moskale się cofnęli, idziemy do wsi Żakowola.



Na postoju we wsi Żakowola.

14 sierpień. Żakowola — Szóstka. — Słoneczny nas zbudził poranek. W ogródku znalazł się stół, więc prawie do południa pisałem dziennik.

Maszerujemy dzisiaj do wsi Szóstki o 6 klm. dalej. Ogromną, o szarych, brudnych strzechach, wieś z kopułą cerkiewną pośrodku, otulały białe mgły, które rozwlóczyły się po niskich tych stronach.

W Szóstce palą się jakieś dwa domy, zapalone granatem rosyjskim. Poza tem we wsi ogromny ruch. Rozkwaterowujemy się tu całą Brygadą, prócz tego stoją Austriacy. Wieś ogromna, bogata, doskonale zagospodarowana.

Zmierzch już zapadał, gdy wystraszone kobiety, z przeciągłem, jęklivem wołaniem napędzały krowiny do obór. We wsi, jak nas gospoia objaśniła było 40 katolików i 40 prawosławnych. Wszyscy prawosławni z popem uciekli, a katolicy zostali. Cieszą się ogromnie, że Moskali już niema i żalą się na prześladowania i uciemiężenie. Lecz przedewszystkiem, ponad wszelkie uczucia — gónuje u nich strach. Ten szeleszczący złowrogo pożar nie

daje im spokoju a tymczasem wiara już się dowiedziała od katolików, które chałupy do prawosławnych należą i wnet też wszystkie z tych chlewów świniaki i prosiaki poszły pospolicie pod nóż. Na pluton w całej wsi mniej więcej wypadła spory wieprz, a czasem i więcej.

Wieczorem, gdyśmy już legli w stodole, Moskale przysłali kilka ciężkich kuferków. Jeden z nich z głuchym trzaskiem prasał w pożar, drugi obok w chałupę i wnet ogień ogromnym blaskiem rozświetlił nocne cienie. Wyszliśmy przed stodołę. Paliło się kilka chałup, tuż obok naszej stodoły. Z szelestem obejmowały języki ognia suche belki i wysoko się wzbijał różowy słup ognia.

Kuferki po jakimś czasie przestały warkotać w powietrzu. Z oddali łuny gromadzą się coraz większe i dolatuje pogłos strzelaniny.

15 sierpień. — Szóstka — Żerocin. — Wrócił dziś Styk ze szpitala. W kompanji radość — serca się dzielą między Styka a Tunguza.

W południe, przed samym odmarszem wrócił Sław, Styk i Rowecki z zebrania oficerskiego — wszyscy byli poruszeni, a oburzony Styk rzekł do mnie i Gorzeckiego: „wiecie, wasi oficerowie są niegodni was, podoficerów i szeregowców“. Zdziwieni spojrzeliśmy na niego, lecz nic więcej nie powiedział. Dopiero w drodze do Żerocina dowiedziałem się od Roweckiego, że na zebraniu oficerskiem, niektórzy oficerowie żądali pełnych pensyj austriackich, co na szczęście zostało odrzucone¹⁾.

Maszerujemy do Żerocina, przeważnie lasami. Ogromne lasy młode i stare, sporo sosnowych, lecz przeważnie liściaste. Przepysznie wyglądają białe pęgi młodych brzoź. na ciemnem tle boru.

Stajemy w Żerocinie całą Brygadą.

Wieczorem przyniósł Sław od Berbeckiego zbiór pieśni II-ej Brygady. Jakże straszna tęsknota tam musi być do nas i jaka niedola tam panuje na obczyźnie, to widać z tych pieśni, nieraz wstrząsająco rozpaczliwych.

Późno już, około 1-ej nadjechał Trapszo. Wczoraj sobie skrzył nogę przy upadku z konia i jedzie na wozie. Spotkał on jadącego do Brygady Michała Sokolnickiego i dowiedział się co słychać w Warszawie. Otóż mosty wszystkie wysadzone, miasto

¹⁾ W 1-szej Brygadzie wszyscy oficerowie, bez względu na stopień pobierali po 100 koron gaży miesięcznej a wszyscy podoficerowie pobierali żołnierski żołd t. j. 5 kor. 60 hal. na dekadę. Nadwyżka stąd powstała szła do rozporządzenia Komendanta, na akcję polityczno-wojskową.

ocalało, zupełnie nie zniszczone. Prusacy się zachowują porządnie, na komendanta miasta naznaczyli Lubomirskiego. Poza tem w mieście moc umundurowanych strzelców.

Piszę to wszystko na kwaterze u Sława, gdzie mam służbę podoficera inspekcyjnego.

16 sierpień. Żerocin. — Sycyna — Worgule. — O 3-ej rano zbudził nas, inspekcyjny, ordynans pułkowy, który przyszedł z rozkazem. Wymarsz przed 7-mą. Ubrałem się zaraz (wyjątkowo, z powodu ciągłych marszów pozwolono mi zdjąć buty) i poszedłem do taboru, by dać rozkaz przygotowania przed 6-tą śniadania dla bataljonu. Wymarsz wczesny. Służbę skończyłem, więc wracam do plutonu.



Por. Styk-Stachiewicz, dowódca 4 komp. 5 p. p. Leg.

Styk obejmuje dzisiaj komendę nad naszą kompanją, a Tunguz nad 1-szą. Dzień chmurny, mglisty; od czasu do czasu spada krótki deszcz. Idziemy płaskimi polami, gęsto porzniętymi lasami. Na drogach pełno krzyży i to nie po jednym, lecz grupkami po pięć, po sześć. Pełno tych krzyży na chełmskiej ziemi.

Jesteśmy już od dwu dni w „chełmskiej gubernji“. Już miast strzelistych wież kościolków, pyszną się jaskrawe, cerkiewne kopuły. Marszu mamy przed sobą, około 20 klm.; dojść mamy do Witulicza. Przechodzimy przez błotnistą Krznę, przez szosę i kolej z Siedlec do Brześcia.

Przechodząc przez Krznię, byliśmy świadkami komicznej awantury podporucznika Iwanickiego, oficera broni naszego pułku, z oficerami austriackimi. Poszło im o tabory, gdyż austriacki tabor przy wymijaniu przerwał naszą kolumnę. Iwanicki zwymyślał austriackiego kapitana i dopiero Borek, adjutant Berbeckiego, przygłospował by ich zmitygować. Gdyby był Berbecki — awantura byłaby gorsza, gdyż „Burbaki“ nienawidzi „Awstrijców“ i zaraz ich płażuje, albo zgoła kijem obija. Późnym wieczorem doszliśmy do Worgul, gdzieśmy się rozłokowali.

17 sierpień. *Worgule — Konstantynów*. — O 9-ej wyruszamy z Worgul mglistym i dżdżystym porankiem. Znów ciche, zadumane lasy. Maszerujemy bez śpiewu, wąskimi, piaszczystymi drogami.

Doszliśmy tak po południu do Konstantynowa, lecz nie wchodzimy do miasta, a rozbijamy biwak obok. W miasteczku natomiast stanęła Komenda Legjonów, która od niedawna ciągnie z nami i 4 pułk.

Zapadł wieczór. Gwiazdziste niebo ogarnęło nas swym granatowem stropem, wokół biją fomy rozpalonych ogni, fantastyczne cienie kładąc na jasne ściany namiotów, na sylwetki strzelców. Przy ognisku śpiew ogarnął grupki żołnierzy i szedł w górę wraz z językami płomienia: to skoczny, radosny, jak wystrzela z trzaskiem płomień w górę, gdy się suchych a smolistych brew dotkną, to szedł smutny przeciągły, jak te mgły poranne po polach się włóczące.

Obok naszego plutonu rozbił namiot Sław ze Stykiem i Roweckim.

18 sierpień. *Konstantynów — Jakówki*. — Znowu chłodny i mglisty poranek. Dziwnie chłodne od kilku dni panują wieczory i ranki, a dnie jakieś ekliwe, mgliste. Jakaś dziwnie smętna ta chełmska ziemia, ziemia łez i krzyżów.

Wczoraj wieczorem, otuleni w płaszcze obsiedliśmy ognisko i oblani krwawem światłem, gwarzyć poczęliśmy o zimie, złej, srogiej, coraz to bliższej nas, a złowrogiej. Już chłodne oddechy biją w powietrzu, już dreszcz zimny przenika, a przecież to dopiero połowa sierpnia.

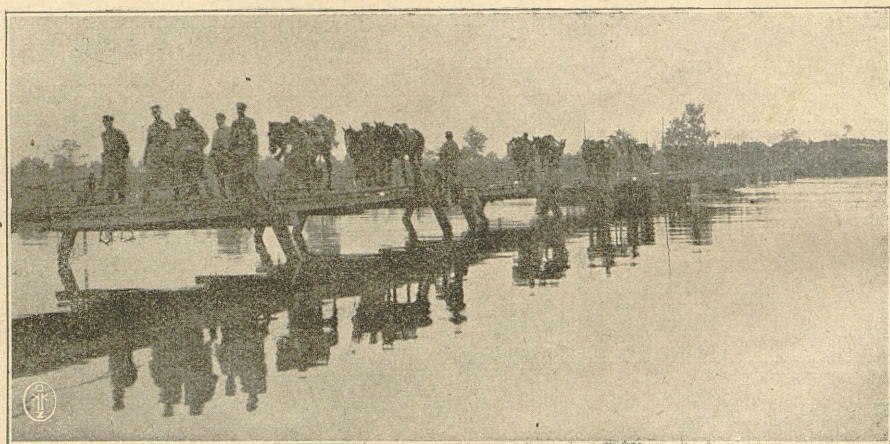
Z Konstantynowa po południu maszerujemy do wsi Peredyło. W gazetach, które dzisiaj dostaliśmy jest odezwa Jaworskiego¹⁾ wydana z powodu wzięcia Warszawy. Komentowaliśmy ją obszernie. Jaworski pisze, że Warszawa powinna wydać ze swego łona rząd narodowy.

¹⁾ Prezes Naczelnego Komitetu Narodowego.

Z A B U G!

19 sierpień. Jakówki — Niemirów. — Od rana stoimy w pogotowiu marszowem. Wyruszyliśmy wreszcie jakoś koło południa do Niemirowa i doszliśmy do Bugu. Obok mostów pontonowych zebrało się moc taborów i artylerji, przeważnie ciężkiej.

Po prawej stronie Bugu wznoszą się pagórki dość wysokie, natomiast po lewej stronie płaska równina, lasy i łąki. Przy dźwiękach orkiestry, wśród ciągłych krzyków „hura” — przechodzimy przez most pontonowy Bug. Już jakiś inny, jakiś odmienny od naszych wód Wieprzów i Pilic. Most dudni i chwieje się pod setkami nóg. Spoglądam na Bug. Wije się podobnie jak Niemien i ma w sobie już coś z dzikości, coś z surowego wschodu. Kręte brzegi, zieloną ścianą gęsto obstawione.



Przejście Brygady przez Bug.

Weszliśmy na wysoki, prawy brzeg i stanęliśmy w kolumnie bataljonowej. Sław na „baczność” postawił bataljon i z wysokości pagórka i konia, zabrzmiał jego donośny, jędrny głos: „Żołnierze! Królestwo mamy za sobą! Trzykrotnie wzniesmy hura! hura!”. Potężny okrzyk wzniósł się w górę, za nim drugi i trzeci. Tak zegnaliśmy Królestwo, tak przechodziliśmy drugą granicę. Lecz tylko do widzenia!

Któż cię ujrzy Królestwo nasze, wymęczone, krwią zlane — zadajemy sobie pytanie. Kto je ujrzy jeszcze. Jesteśmy już na ziemi kresowej, na ziemi Rusi Czarnej. Szmata kraju przemierzaliśmy nogami własnymi; od śnieżnych szczytów Tatr po cichą, chełmską ziemię, po polskie, senne równiny Podlasia.

Z nad rzeki podnoszą się leniwe opary; Królestwo niskie, zalane fioletowymi mgłami, ciemnieje i coraz bardziej ginie w zapadającym mroku.

Iluż na tamten brzeg nie wróci, iluż ostatnie rzuca tam spojrzenie. Podnieceni jesteśmy i śpiewem mocnym, silnym głuszymy złe, co jak pazurami wdzierają się w duszę, przecucia...

Obok Niemirowa, wśród pagórków gołych i piaszczystych — Brygada rozbija biwak.

20 sierpień. *Niemirów*. — Biwakowaliśmy pod Niemirowem cały dzień. Kompanje w kolumnach porozbijały jasne namioty. Jak zwykle na biwakach wiara zajęta gotowaniem.



Biwak pod Niemirowem.

Ranek... Żółte, łagodne światło wnętrza namiotu. Na dworze mży deszcz i monotonnie szurgocze po naciągniętych płachtach namiotu.

Po południu gruchnęła wiadomość, że Modlin wzięty. Psia-krew. Jak ci Prusacy szybko się uwijają z temi fortecami.

21 sierpień. *Niemirów — Kowaliki — Maczuly — Makarowo — Kowaliki*. — Rozpadana deszczem noc już się kończyła, gdy nas zbudzono na kawę. Odmarsz — lecz jakiś niepewny, nikt nie wie dokąd idziemy.

W pogotowiu przeczekaliśmy ze 2 godziny pod namiotami, wreszcie i te kazano zwinąć. Maszerujemy lasami. Pogoda chmurna. Skończyły się zaraz pagórki, które ni stąd ni zowąd powyskakiwały nad brzegiem Bugu i maszerujemy przeważnie lasami. Po południu doszliśmy do wsi Kowaliki.

Linja już blisko, w Wysokich Litewskich. Z miasteczka, z za zielonego płotu drzew kłębi się słup dymu.

Rozkwaterowaliśmy się narazie w Kowalikach. Ze wsi rozwijają się powoli rezerwy austriackie.

Mają nam przez 5 dni nie dać fasunku. Dzisiaj już nie dali i głodni jesteśmy porządnie. Tymczasem wiara myszkuje po wsi, szukając czegoś do zjedzenia. Wieś rosyjska, zdaje się niedawno spalona, bo zupełnie nowa.

22 sierpień. Kowaliki — Wysokie Litewskie. — Piłsudskiego niema w Brygadzie. Oficerowie z tajemniczemi minami mówią, że Komendant chory, wiara natomiast, fantazje na ten temat tworzy niemożliwe, a to że Komendant w Warszawie, to znówu, że w Berlinie. Bądź co bądź faktem jest, że Dziadka niema. Ja, zdaje się, że z zupełnie pewnych ust dowiedziałem się, iż jest w Warszawie.

Do południa siedzieliśmy w Kowalikach. Koło południa mieli ponoć Moskale wywiać, więc o 2-ej spakowaliśmy się i ciągniemy plutonami w odstępach 200 krokowych do Wysokich Litewskich. Artylerja dość mocno pierze. Drzewa starego, ogromnego parku rzucają wspańiały cień na szosę: w głębi parku wznosi się jasny pałac, podobno Radziwiłłowski. Gdy Moskale wywieją, nasz pułk ma ruszyć w awangardzie.

W Wysokich Litewskich — czekamy. Podwieźli nam obiad, zjedliśmy go, lecz jakoś Moskale nie wieją. Zajądając jabłka, czytam „Ludzi bezdomnych“. Czytam tę książkę od kilku dni. Dostałem ją do rąk, gdyśmy przeszli Bug i na wysokim pagórku ustawivszy w kozły broń — spoczywaliśmy. Na książkę poprostu się rzuciłem. Wzerałem się w zdania, w słowa, w cudne chwile spotkania Judyma w Wersalu z paniami Orszeńkiami. Jakże oddychałem inaczej. Jakieś fale nowej, nieznanej radości oblewały mię, gdy czytając, widziałem przed sobą uśmiechy panien Podhorskiej i Orszeńskich. Ta świadomość o istnieniu innego świata, gdzieś daleko za nami pozostawionego, poprostu zamroczyła mię... Wzerałem się w formę słów, których tak dawno się nie wypowiadało...

Wieczorem wróciliśmy do Kowalików. Moskale nie zwiali. Sekcja moja służbowa, wystawiam jeden posterunek.

23 sierpień. Kowaliki — Wysokie Litewskie. — Siedzimy cały dzień w Kowalikach. Gotujemy, pitrasimy, smażymy. Dzisiaj idziemy na pozycję, zmienić 1 pułk. O 4-ej już wyruszył Adek Goldenberg i Rybak ze swojemi sekcjami na placówkę, a połowa plutonu z kompanją odchodzi o 8-ej.

Wieczór już zapadł, gdyśmy ruszyli. Maszerowaliśmy szosą na północ od Wysokich Litewskich, później przeszliśmy rzeczkę Pulwę i skręciliśmy w prawo do toru kolejowego.

Okopy tuż pod torem, z drugiej strony wznosi się wysoki las. Okopy dziwne, zupełnie bez ostrzału. Za nami, między torem a szosą rozciągnęły się ogromne łąki, dymiące mgłami. Nasyp kolejowy wysoki, z podwójnym torem. Ze swoją sekcją zajmuje lewe skrzydło kompanji, a więc mam ciągłą służbę łączności. Na lewo łączę z II bataljonem, Adek Goldenberg ma placówkę na torze kolejowym.

Front bardzo dziwny, mocno połamany. Nasyp i tor przechodzi w pewnym miejscu w posiadanie Moskali, którzy wzdłuż niego piorą z karabina maszynowego. Wczoraj na placówce było 5-u rannych, wogóle pułk 1 ma kilku zabitych i sporo pocharatanych. Dzisiaj miał atakować od nas na lewo 14 pułk austriacki, a my mamy poprzec atak ogniem. Tak samo dzisiaj nad ranem, gdyśmy stali jeszcze w Kowalikach, atakował 1 pułk, wziął 200 jeńców oraz dwa karabiny maszynowe.



Marsz z Raśnej na Czepiele.

24 sierpień. Raśna — Czepiele. Moskale dość ostro bili przez całą noc, lecz gdy świtać zaczęło — przestali. Spałem w okopie, gdy mię o 5-ej obudził Ojczulek Czachowski, mówiąc, że Moskale zwiiali. Zbieramy się więc, czekając na rozkazy.

Za godzinę, gdy cały bataljon się zebrał, ruszyliśmy torem kolejowym ku Raśnej. W Raśnie spokój. Głodna wiara porzbiegała się zaraz do domów, szukając czegoś do zjedzenia, lecz prócz jabłek nie znaleziono nic.

Dość długo już tu stoimy, lecz jakoś się nie ruszamy. Kawalerja wysuwa się naprzód i zaraz też z poza wsi dobiegają strzały karabinowe, a nawet kule gwizdać poczęły między chałupami.

W pewnej chwili na lazurze nieba pojawił się ciemny punkt. Warcząc, posuwa się w stronę moskiewską, skręca na lewo i przerzyna powietrze wzdłuż frontu. Nie widzimy go już, tak się odsunął, lecz za chwilę z ciekawością poczęliśmy śledzić niebo. Bo oto naraz osiem białych, śnieżnych chmurerek wykwitło w górze i doleciał oddalony huk. To dwie baterje rosyjskie salwami trzepały do aeroplanu. Lecz on widocznie jedzie dalej, bo gdy pierwsze chmurki znieruchomiały w powietrzu — nowych osiem wykwitło, lecz więcej w lewo.

Zaczęła się gonitwa. Aeroplan posuwał się w lewo, a tuż za nim, na nim, w górze i w dole wykwitwały białe chmurki i tylko przygłuszony stamtąd dolatywał huk. Lotnik ciągle mimo to się posuwał, już prawie cały w chmurze dymów. Na niebie utworzył się białawy pas rozlanych dymków szrapnelowych. Już go dosięgnąć nie mogą — uciekł im.

Lecz za chwilę nowa sensacja. Bo oto zuchwały lotnik jakby kpił sobie z szrapneli — zawrócił i tą samą drogą pruje powietrze. Znow z tą samą regularnością poczęły pękać szrapnele, a białe chmurki bez przerwy tkwiły w przestworzu. Puścili już około 80 strzałów, lecz wszystko na nic. Czarny punkt posuwał się ciągle naprzód, aż skreślił wtył i powoli zniknął.

Za chwilę odmarsz. Maszerujemy kolumną na drodze do wsi Czepiele. Galopują obok beliniacy, artylerzyści, austriacy dragoni. Czepiele palą się. Czarny, gryzący dym bucha kłębami, ode wsi dolatuje ostry trzask rosyjskich karabinów.

Na lewo stoi rozrzucona w ławie, szeroką linią, konnica. Wprzód od niej zygzakami stoja jeźdźcy przy koniach. Akeja się ześrodkowała przed nią. Za chwilę minęliśmy patrole i już czoło kolumny dochodziło do wsi, gdy wtem poczęły ostro gwizdać kule przed kolumną, i naraz wykwitają kłębki kurzu na suchej roli. Spojrzałem w lewo i dostrzegłem na widnokręgu pagórka, o jakieś 1000 kroków posuwające się postacie. Sądziłem, że to Austriacy, lecz w tej chwili odezwała się komenda: „padnij“.

Padliśmy, lecz kule trzaskają wprost w kolumnę. Te sylwetki — to Moskale.

Za chwilę gwałtownie poderwano kolumnę i biegiem, z chrzęstem i krzykiem zdążamy do wsi, wśród ostrego, bliskie-

go gwizdu kul. Mineliśmy leżącego rannego oraz pochyłonego nad nim sanitariusza i dopadliśmy pod zbocze pagórka, gdzieśmy już byli bezpieczni. Strzały poczęły cichnąć, zrzadka odzywał się świst kul.

Stał się skandal, jakiego świadkiem byłem pierwszy raz. Kolumna czwórkowa dostaje się pod ogień karabinowy i to zupełnie bliski. Niesłychane! I to w oczach kawalerji, która nie przegnała tych patroli. Dobrze, że jakoś się szczęśliwie skończyło, bo tylko na jednym rannym. Gdyby to był patrol większy i miał karabin maszynowy, ładniebyśmy wyglądali...

Przed wsią stajemy i padamy. 3 i nasza 4 kompanja zostają w rezerwie, a 1 i 2 poszły naprzód. Artylerja już zatoczyła swe działa we wsi i praży do okopów. Biła bez przerwy aż nam dzwoniło w uszach.

Po południu, gdy zjedliśmy obiad, zrzadka już tylko dolatywały strzały karabinowe. Dwie kompanje naszego bataljonu podsuwają się dopiero i to bardzo powoli.

O 4-ej podrywają nas. Tyraljerką podchodzimy do pierwszej linii i powoli posuwamy się, wspomagani tyraljerskim ogniem. Gdy zapadniemy, Moskale cichną — lecz gdy zaczynamy posuwać się naprzód — świst kul drze natychmiast powietrze. Idziemy jednak równo, spokojnie, strat dotąd niema. O 200 kroków za pierwszą linią okopujemy się.

Powoli zapada wieczór, a z nim chłód staje się coraz większy. Okrywam się celtą i staram się usnąć. Kule od czasu do czasu pacają na rolę, lecz poza tem spokój. Tylko widnokrąg przed nami czerwieni się łunami pożarów.

Spałem do 12-ej. O północy przywieźli nam gorącej, pysznej herbaty i po połowce białej bułki chleba. Rozgrzaliśmy się cokolwiek i okrywając celtami, pakujemy się do okopów. O 5-ej Koper mię obudził, budząc zarazem całą sekcję. Rozkaz spakowania. Odrzuciłem mokrą, wilgotną od rosy celtę i poczytam wdziawać chlebak. Żęby mi kłapią z zimna, trzęsę się, jak w febrze.

W okopach widać sylwetki wiary, leniwo się poruszające. Skostniały jestem od zimna i zły jak sto djabłów, że nas obudzono. O 5-ej, t. j. za jakieś 10 minut ma być atak, by wykorzystać mgły. Lecz jakoś Moskale milczą. Siadam więc na okopie, podpieram brodę rękoma. Niewesołe myśli. Zziębnięty jestem, zmordowany, niewyspany, łeb mi dokucza solidnie. We mgle, w ciszy, w tym dziwnym spokojnym zbieraniu się żołnierzy do ataku, słyszę głos: „poczta“. Nadchodzi Banaszcak i wręcza mi

kilka listów. Jest trochę dla Edka Pfeiffera, kilka zwróconych, i dla mnie, z domu.

Ucieszył mnie list. W chwilach takich, kiedy zmęczenie przybija wzrok do ziemi i myśli ponure kłębią się pod czaszką, dobrze jest dostać list z domu. Z listu się dowiaduję, że i oni, tak jak my, gdy Warszawa została wzięta, sądzili, że nowa era szczęśnych wypadków się otwiera — a tymczasem nie... Warszawa mileży i nas tam niema. Zapytują w liście z tłumioną troską, czyżby krew Jurka i Antka na nie się zdała?...

25 sierpień. Czepiele — Miniewiczze. — Moskale zwiali. Szybko się cofnęli, gdyż jeszcze przed kilkunastu minutami gwizdały ich kule. Lecz potwierdzają nas w tem przekonaniu sylwetki żołnierzy z sąsiednich kompanij, spacerujących swobodnie po pierwszej linii okopów. Strzały zupełnie ścichły, tylko gdzieś daleko monotonnie terkocze karabin maszynowy.

Rozwidniło się zupełnie i z poza szarych mgieł wysuwać się powoli poczęło słońce. Styk zbiera kompanję i ciasną tyraljerą maszeruje jakie 100 kroków za pierwszą linię tyraljerską w kierunku na okopy moskiewskie. Za chwilę zajęliśmy je. Poskręcane kolczaste druty, mocne i potężne daszki szrapnelowe, głębokie rowy. Kompanja 2-ga została w okopach, my wysuwamy się naprzód.

Na polach cisza. Nie zakłóca jej warkot pocisków, przejasnego błękitu nieba nie mroczą czarne słupy dymów.

Posuwamy się powoli po mokrych koniczynach, po złotych rzyskach...

Doszliśmy wreszcie do wzgórza, które mieliśmy zająć i czekamy na rozkazy. Głodni jesteśmy potężnie i mocno osłabieni. Wiara pada na ziemię. Słońce wzbija się coraz wyżej i poczyną rozpędząć ciepłemi promieniami chłód poranka. Coraz to któryś z nas zrzuca plecak, wyjmuje płótno namiotowe, okręca się nim i za chwilę chrapie.

Przechodzimy do rezerwy. Tak mówi Styk. I rzeczywiście ukazały się w dali tyraljery austriackie, maszerujące jedna za drugą i do południa bez przerwy nas mijające.

O 12-ej Styk zebrał w kolumnę kompanję i pomaszerowaliśmy do Miniewicz. Biwakował tam już nasz II-gi bataljon.

A więc jesteśmy w rezerwie armji. Różne są z tego powodu przypuszczenia, nie wiadomo jednak zupełnie dokąd pójdziemy, jakie nas losy czekają.

W Marcelinie, malutkiej wsi o kilku chałupkach — stanęliśmy. W mig zniesiono słomę, rozbito namioty. Zapadł cichy wieczór, choć czasami podciągał dołem chłodny, szybki wiatr. Aż ziemię kresową okryła noc i zasnęliśmy.

Z CZARNEJ RUSI NA WOŁYŃ.

26 *sierpień. Marcelin — Wojsko — Robianka.* — Dzień nam dość miło przechodzi. To mówią o Lublinie, to o Warszawie i tak czas mija. W południe, gdy w wielkim, płóciennym namiocie komendy pułku odbywała się odprawa, Borek przyniósł wiadomość, że Brześć wzięty!!!. Oj dostają Moskaliki w skórę, dostają!!!.

Po południu — odmarsz. Maszerujemy obok długich kolumn austriackich, przez wieś Wojsko do Robianki, wszystkiego 16 km. W Robiance stajemy biwakiem. We wsi staje cała Brygada, artylerja i kawalerja.

Od dwu dni mamy błękitne, spokojne niebo i upalne słońce, to też wieczór zapada cichy i nęcący. Orkiestra naszego 5-go pułku, którą dopiero mamy od kilku dni, zaczęła grać. Wnet dziesiątki ognisk poczęły rzucać krwawe światło i długie cienie kłaść na polski obóz i wnet się wzbiła w górę żołnierska pieśń.

Śpiewaliśmy. Śpiewaliśmy stojąc i leżąc naokół ogromnego ogniska, trzaskającego wysokimi płomieniami w górę. Wzbija się pieśń, igra wespół z jasnymi językami ognia, kołysze się lekko z dymu podmuchem i echo głębokie budzi w drzemiących lasach.

Pieśń żołnierska, pieśń wieczorna, niezmienną dolę wojenną obejmująca, pieśń o ulanie co końmi stratowany leży na polu...

I długo wiła się pieśń z językami ognia — to górna i strojna, jak dziewczyna wiejska w świąteczny, niedzielny dzień, to szczytna, powłóczysta, to szumna jak halny wiatr w Tatrach...

Ukolysała nas do snu żołnierska, obozowa pieśń...

27 *sierpień. Robianka.* — Drugim naszym domem stał się teraz namiot. Rzadko sypiamy w stodółach, przeważnie biwakujemy. Lubimy ogromnie to żółtawe światło wewnątrz namiotu, które sprawia wrażenie jakby na dworze było ciągle słońce...

Fasunki teraz marnie dochodzą, więc wiara sobie radzi jak może. Dzisiaj w glinianym garnku, podobnym do urny — gotujemy na sekcję zupę kartoflaną. Wieś ogromna, dobrze zagospodarowana, lecz bez jednego człowieka. Warzywa wszelakiego zato moc.

Podobno mamy maszerować w tył. Cała 4-a armja Ferdynanda niema odcinka. Prawdopodobnie jest to kawał Prusaków. Dzi-

siaj na odprawie była o tem mowa. Styk nam zakomunikował, że sytuacja tak się przedstawia: Mackensen miał iść na południe od puszczy Białowieskiej i błot poleskich i od południa je oskrzydlić, Hindenburg na północy, Ferdynand zaś miał iść na wprost, na wschód. W ten sposób z oskrzydłonych błot mieli Moskale wywiać. Tymczasem Hindenburg i Mackensen wdarli się od swoich skrzydeł w głąb i zamęli klamrę, tak, że 4-ta armja znalazła się wtyle. Wobec tego mamy się przenieść gdzieś na południe, prawdopodobnie na Sokal, gdyż tam gromadzą się wielkie siły austriackie.

Wieczorem kładziemy się spać, lecz prawie cały pluton idzie do chałup piec chleb. Ziarno i żarna są, należy wymleć i upiec.



Pod namiotami.

28 sierpień. Robianka — Wojsko — Perkowicze — Szostakowo — Minkowicze — Kustycze — Łuszczycze. — O 5-ej rano zbudził mnie Zygmunt Chałowski, wręczając mi trzy małe chlebki razowe, w rodzaju placków. Na każdego wypadło po trzy. Ledwie że położyli się, już Rowecki budzi namioty...

Odmarsz! Maszerujemy gdzieś na tyły. Po drodze do wsi Wojska — wypiliśmy herbatę z kuchni. Maszerowaliśmy cały dzień dość morowo. Dopiero w Łuszczycach, koło folwarku stanęliśmy i rozbiliśmy namioty. Dzień cały maszerowaliśmy na głodnego.

29 sierpień. *Lyszczyce — Szyszki — Łęgi — Krotoszyn — Lechuty.* — Raniutko nas poderwano. Berbecki prowadzi marsz, więc gnamy jak cholera.

Dzień pogodny, gorący. Wśród rozległych, szerokich łąk dochodzimy do Bugu. Szosą ciągną pruskie tabory. Czyste, masywnie zbudowane wozy, taboryci pruscy w porządnym mundurach, doskonale wyglądają. Zazdrość bierze, gdy się porówna tych taborytów z naszym biednym, obdartym żołnierzem linjowym.

Nad Bugiem postój — czekamy na przeprawę. Bataljon prowadzi Kostek Aleksandrowicz, gdyż Sław z oficerami pojechał do Brześcia. Za chwilę przechodzimy Bug zalany potokami słońca. Przy mostach pracuje moc rosyjskich jeńców, tak samo i tabory pruskie mają ich mnóstwo! Ci Prusacy wszystko muszą wyzyskać!



W marszu na Wołyń.

Przeszliśmy Bug i maszerujemy obok zewnętrznego obrębu fortów Brześcia. Ogromne nasypy, betony, wspaniałe okopy, kryjówki, tworzą jeden potężny łańcuch. Obok nich leje od granatów pruskich. Brześć Moskale opuścili bez walki.

Lasami i łąkami obszernymi maszerując — nad wieczorem, zmęczeni okrutnie, doszliśmy do wsi Lechuty.

30 sierpień. *Lechuty — Kobyłany — Kopytów.* — Mokry dżdżysty dzień. Od 4-ej rano maszerujemy dalej na południe. Idziemy ponoć na Chełm, a jak fama głosi — stamtąd do Sokala. Tymczasem maszerujemy... Z zachmurzonego, szaremi chmurami zaciągniętego nieba pada ciągle, nieprzerwany kapuśniaczek. Dźwigamy się w znojmym marszu przez rozległe, kobiercowe łąki, przez ciemne bory i głośnie zagajniki.

Wieczorem rozbijamy biwak w lesie. Zmierzch szybko zapada, ciemną głębię boru rozświetlają płonące ogniska. Po kolacji rozbiega się wieść, że ciągnie do Brygady bataljon umundurowanych strzelców z Warszawy.

Na rozmokłej drodze wśród wysokiej ściany boru czeka Brygada na warszawiaków. Gwarzy wiara, spacerując po szosie, oficerowie rozmawiają z kilkoma kwatermistrzami warszawiaków, ubranymi w zielone, jasne mundury. Noc zapada, droga ciemnieje, a warszawiaków nie widać. Wracamy więc do namiotów i kładliśmy się już, gdy rozniosło się nagle olbrzymie „hura” i rozległ się huk grającej orkiestry. Kopnęliśmy się wnet do drogi, która zapelniona została biegnącymi zewsząd żołnierzami. Na rozstaju dróg stała orkiestra i rżnęła „Strzelca”, obok niej zbita masa wiary ze świeczkami w rękach do góry podniesionymi, oświetlała las. Kolumna już przeszła i jechały tylko tabory, przy których ujrzałem rozjaśnione radością twarze świeżych amatorów wojny.

51 sierpień. Kopytów — Sławatycze. — Pobudka nas zrywa o 5-ej rano z namiotów. Płótna przemoknięte do cna, w lesie szemrze deszcz. Niewyspani, zmęczeni jeszcze wczorajszym marszem, zbieramy się powoli. Składam ryszstunek na wozie kompanijnym i na drodze przyglądam się uważnie kompanii warszawskiej, czy nie znajdę jakiej znajomej twarzy. Właśnie pobierali kawę z wysokiej, rosyjskiej kuchni. Jest! Z pośród zielonych mundurów i dziarskich twarzy, rozróżniam twarz Jurka Wądołkowskiego ¹⁾. Jest pozatem skautów cała kupa: Pepcio Olewiński ²⁾, Ruszczyc ³⁾, Miłobędzki — jednym słowem cała granda znajomych.

Wracam do kompanii. Obok 4-ej — w kolumnie czwórkowej stoi inna kompanja warszawska, przydzielona do naszego bataljonu. Każdy bowiem bataljon Brygady dostał po jednej kompanii. Będą one poprzydzielane do pierwszej bitwy, a później złączone w bataljon i z II bataljonem stworzą pułk warszawski, pod komendą Żymierskiego. Pytam się w kompanii o Staśka Wolskiego ⁴⁾. Przy III-im plutonie — odpowiada. Za chwilę już serdecznie go ścisnąłem.

Cały dzień przesiedziałem w kompanii warszawskiej, a wła-

¹⁾ Obecnie major Szt. Gen.

²⁾ Obecnie kapitan rezerwy, poseł na sejm.

³⁾ Obecnie major piechoty.

⁴⁾ Poległ w r. 1919 przy zdobywaniu Dynaburga jako podchorąży.

ściwie podczas całego marszu do Sławatycz. Opowiadamy sobie ze Stachem wzajemne koleje losu.

Dzień chmurny, jesień zbliża się szybkimi krokami. Kwaterujemy dzisiaj w Sławatyczach, brudnej małej miejscinie nad Bugiem, docna spalonej. Kilkanaście domów zostało, które zajęliśmy na kwatery.

1 wrzesień. Sławatycze — Hanna — Włodawa — Orchówek. — Ze straszliwą niechęcią podnosimy rano głowy z naszych plecaków. Na dworze szumi wiatr gałęziami drzew i monotonny szmer deszczu, bijącego w płótno namiotowe, okręca poprostu zpowrotem w płaszc, by spać, spać jak najdłużej, by nie wychodzić na to mokre, zimne powietrze. A jednak trzeba, bo już Kosior krzyczy, by kawę brać z kuchni i wnet dolatuje rozkaz zwijania namiotów.

Maszerujemy szosą przez wieś Hannę do Włodawy. Tam mamy stanąć. Bataljon nasz maszeruje na przedzie z kompanją warszawską, z orkiestrą przed sobą.

Przechodzimy Włodawę przez błotnisty rynek, który jedynie ocalał od pożaru. W miasteczku pełno Niemców. Wylegli na rynek i przyglądają nam się z ciekawością.

Rozgwarzona, głośna przed chwilą kolumna w jednej chwili milknie. Orkiestra przestaje grać. Uciszył się zwykły w szeregach gwar... Przechodzimy obok nich spokojni, bez zwykłych krzyków i powitań, w zupełnej ciszy, bez słowa...

Zasępiają się twarze i na oczach osiadła ponury, chłodny mrok.

Na rynku zapanowała głucha cisza...

2 wrzesień. Orchówek. — Wstał chłodny, rzeźki poranek nad Bugiem. Dopiero koło 9-ej słońce przedarło siwy tuman chmur i skapało swe promienie w żywych jak skra, falach rzeki.

Stoimy w Orchówku 2 km od Włodawy. Naprzeciw naszych chałup, trochę na wzgórku, stoi pocharatany kulami biały kościół Boży.

Do przeprawy na Bugu Austriacy budują drogę wykładaną drzewem, posługując się przeważnie jeńcami rosyjskimi.

3 wrzesień. Mieliliśmy maszerować na Chełm razem z 17-ym korpusem, tymczasem kierunek zmieniono i maszerujemy na Kowel. Przeszliśmy dzisiaj Bug przez podły most, wybudowany przez naszych saperów. Mamy około 50 km marszu, do jeziora Świteż.

Droga prowadzi przez stare, iglaste bory o piaszczystym podłożu. Od czasu do czasu olbrzymie lasy przerzedzają pia-

szczyście wydmy, rzadka jałowcem i młodą sosniną porośnię. Koło południa ujrzelśmy na lewo burą, brudną taflę jeziora Pułemieckiego. Dzień był chmurny i posępny — więc jezioro wyglądało jak jedno olbrzymie, równe pole orne, tak, że nie wszyscy mogli poznać, iż to jezioro. Koło 5-ej doszliśmy do dużej cerkiewnej wsi Świtezi. — Mieszkańcy są. Ludzie jacyś dziwnie drobni, karłowaci. Kobiety niskie, brzydkie z czerwonymi zapaskami na głowie o jęczącym, białoruskim tonie mowy.

Gospodarstwa od biedy dość zaopatrzone, choć chaty niskie i nadzwyczaj brudne.

Głodni jesteście solidnie, fasunki niedbale przychodzą.

4 wrzesień. Świteż — Kuśniszcze. — Maszerujemy wprost na południe, w kierunku na Lubomlę. Po kilku kilometrach od Świtezi, doszliśmy do szosy, prowadzącej do Lubomli i szosą tą szliśmy już całą drogę. Dzień chłodny, od czasu do czasu zaczyna ostry deszcz, pędzony wiatrem. Przechodzimy koło jeziora Czarnego. Wiatr gna fale przed sobą, które pienia się białymi grzywami i z szumem obijają się o brzegi. Takie sobie małe, polskie morze!

W ogromnej wsi Kuśniszcze dostajemy na pluton stodołę i spiżarnię, w której jest moc owoców poskładanych w wysokie beczki. — Stary „did“ białoruski przyszedł nas prosić, byśmy się gdzieindziej zakwaterowali. Przeciagał po swojemu, tak, że z lewkością można go było zrozumieć.

We wsi cholera. Prawie połowa ludności na nią powymierała i to w niedawnym czasie. Naprzeciw leży chory na cholere. A więc ostrożność wielka, owoców jeść zupełnie nie wolno. Doktor Kwaśniewski poucza nas, jak mamy się zachowywać. Jabłka wbijamy na patyki i kładziemy o ogień, by się opaliły, gruszki zaś gotujemy w wodzie. Rzeczywiście coraz więcej daje nam się odczuć Rosja. A więc brud, niechlujstwo, choroby wszelkie, a z nią cholera, psy żrące ludzi i t. p. przyjemności. Na cmentarzu kuśnieszczowskim groby porozkopywane. To głodne bezdomne psy, których właściciele albo powymierali, albo puciekali, rozkopują groby i pożerają trupy. Ładne stosunki! Rosja, Rosja, ze wszystkimi swymi okropnościami!...

Styk kupił na kompanję dwie świnię, które po zakłuciu bagnetami zaraz Warszawski poczał oprawiać. Radzimy sobie jak tylko możemy. Zwykle, gdy przychodzimy teraz do wsi, pierwsza rzecz, to patrol wyszukujący świnię. Coprawda nie zawsze

rekwirujemy. Dzisiaj Styk zapłacił staremu „didłowi“ nawet dość sporo koron.

5 wrzesień. Kuśniszcze — Podgradno — Ruda — Maciejów — Bilicze. — Jadę dzisiaj rano w stronę Świtezi, by napotkać Grzędę z wózkiem kompanijnym, na którym zostawiłem swój plecak. Siadłem tedy na szkapę Styka i przez wieś jakoś z biedą — bo koń narowisty, a ze mnie jeździec nie tęgą — przekłusowałem, lecz przy szosie obok stawu, kobyła moja, zobaczywszy inne konie, nuż do nich się zwracać. Nie pomogło targanie uzdą i bicie ostrogami. Energicznem wierzganiem i przysiadami, zmusiła mię wreszcie do tego, że zsiadłem i mimo długich pertraktacyj, nie pozwoliła mi zpowrotem wsiąść. Zawsze czułem wrodzoną abominację do kawalerji...

Odprowadziłem ją tedy za uzdę na szosę, by odwrócić oczy od stawu i koni. Na szosie przejeżdżała szczęściem kawalerja, tabory i artylerja. Z kawaleryjskim zaś taborem jechał Hirek Pacholski i ten mi cośkolwiek dopomógł. Rozpytałem się, czy widział Grzędę. Nie widział go dzisiaj, a jedzie od Świtezi, więc 30 km. Wobec tego zawróciłem i jechałem już spokojnie kilka km w stronę Lubomli. Kobyła szła gładko, bo ją Hirek na kilka minut dosiadł, przegalopował i solidnie zmęczył. Pięć km przed Lubomlą rozstałem się z Hirkiem i wracam do Kuśniszczy. Upał solidny. Rozprażone słońce rzuca jaskrawe blaski; pola drzemia spokojnie, na wstędze szosy nie widzę zupełnie ruchu. Bez awantury dojechałem do wsi i zdałem sprawę Stykowi.

Po południu nagły wymarsz. Kozacy podobno dostali się przez pińskie błota i atakują Kowel. Jest ich cała brygada i prócz tego dywizja dragonów. Brygada nasza ma tedy wystawić ubezpieczenia od błot poleskich. Czeka więc nas dzisiaj nocy marsz, gdyż mamy około 30 km do zrobienia.

Na pierwszym postoju spadł nagle obfity deszcz i solidnie nas zmoczył. Szybko zapadł mrok. Drogi oślizgłe, ciężkie do marszów. Przechodzimy tor drogi kowelskiej, a później przez brudne, straszliwie błotniste miasteczko Maciejów do wsi Biliczy. Marsz solidnie męczący; coś jak marsz z Wymysłowa do Dzierzkowie lub styczniowy Lipnica — Zdonie.

W Biliczach na kwaterę mamy chałupę dość porządną. Styk staje z nami, III-ci pluton dał sporo maruderów, lecz nasz ani jednego. Już tak tradycyjnie nasz pluton skautowy nie daje nigdy ani jednego marudera. O 1-ej w nocy położyliśmy się spać.

6 wrzesień. Bilicze — Konary-Nowe — Moszczona. — O 6-ej zbudzono nas wołaniem na śniadanie. Jemy wieczorajszy obiad.

doskonały krupnik. Przypominają mi się zeszłoroczne jesienne głodowania podczas włóczęgi krzywopłockiej, kiedy to się jadło obiad w nocy i było to pożywieniem na 24 godziny. Zato dzisiaj rano fasunków moc, które przywiozł z Warszawy Orlński. A więc pysznej marmolady po manierce na „ryło“, kakao, cukru po 32 kawałki, papierosów kupa. Nagwałt trzeba było to rozdać, gdyż już wymarsz.



Czyszczenie broni.

Pierwsze 7 km szliśmy torem kolejowym z Chełma do Kowła. Nasz pułk jest osłoną boczną Brygady i maszeruje na północ od Kowła, zaś Brygada cała z 4-ym pułkiem w awangardzie maszeruje na Kowel. Ubezpiecza nas prócz tego kawalerja.

Po dwu godzinach marszu zeszliśmy z toru i maszerowaliśmy do wsi Moszczony, gdzieśmy się zakwaterowali. Marsz niby bojowy, a szło się z nienabitą bronią. Kozaków pono mamy naprzeciw siebie brygadę, a dragonów dywizję. W Moszczonej pluton nasz obejmuje służbę. Wystawiamy dwie placówki 2-ma sekcjami, prócz tego 2 sekcje nocują w chałupach jako osłona taboru. Noc zeszła nam na wypiekaniu chleba, dość morowo.

7 września. Moszczona — Kowel. — O 5-ej rano obudził mnie Zygmunt Chabowski, dając mi menażkę gorącego kakao. Wstaje już, bo spać mi się nie chce. Przez całą noc Kowalski i Aksamit piekli chleb. Zygmunt trochę im pomagał. Wiara śpi pomęczona w izbie, na ławach bieleje świeży chleb. Placówki jeszcze nie ściągnięte, od czasu do czasu przychodzi ktoś stamtąd z nowinkami.

O 9-ej ma być wymarsz do Kowla. Ubrałem się cokolwiek i pisząc pamiętnik, gadam z rudym Żydem, którego zatrzymała placówka. Żyd powoził furmanką pełną baranów, prawdopodobnie pozbieranych w opuszczonych wsiach. Przebiegłość i złodziejstwo patrzą mu z oczu. Barany zarekwirujemy dla bataljonu.

Na dworze chłodny wiatr wieje z mokrych pól. Po niebie włoczą się szare, kłębiaste, jesienne chmury, to w czarny, to w stalowy kolor wpadające. O 9-ej wymarsz. Na błotnistej drodze wsi zbierają się kompanje obładowane chlebem własnego wypieku i wszelakiego rodzaju pożywieniem. Maszerujemy wesoło do Kowla.

Kowel — dość duże miasto — z małemi, parterowemi domkami, brudne, żydowskie, nie przedstawia się zbyt sympatycznie. Przedewszystkiem moc Żydów. Rzadko się trafia jakiś porządniejszy sklep. W mieście wiary pełno. Brygada przemaszerowała tutaj już wczoraj wieczorem.

8 września. Kowel. — Mamy już odcinek, podobno 24 kilometry. Durski ma przydzielony jeszcze jeden pułk austriacki, tak, że ma w tej chwili naszą Brygadę, 4-ty i ten austriacki pułk. Będzie to osłona przed błotami poleskimi i siedzenie tutaj na tej garówce, zapowiada się dość długo.

Siedzimy dzisiaj w Kowlu. Dzień przeszedł nudnie, gdyż przez cały prawie czas padał przykry kapuściaczek. Gadają, że jutro rano mamy wymaszerować.

10 września. Kowel. — Cholera!!!... Przybyła do nas coprawda oczekiwana, lecz mimo to nagle i niespodziewanie. W nocy zachorował Drymer. Miał wymioty, lecz nikt na to nie zwracał uwagi. Raptem wracając od fotografa, słyszę dr. Kwaśniewskiego, rozmawiającego ze Stykiem o Drymerze, który się przedstawia zupełnie podejrzenie. I nagle wyszło na jaw, co dotąd trzymano w ukryciu. W bataljonie 7 zasłabnięć podejrzanych, w tem w kompanji 1-ej jeden śmiertelny (Ciesielski, umarł już), a w Brygadzie pono 4 do 5-ciu dziennie umiera.

Strach!!!... O niczem już innem niema mowy tylko o cholery. Wszyscy się zbiegają do dra Kwaśniewskiego, czy to a to można pić, to a to czy można jeść. Wnet się zakłopotano o czystość, bo groza wstrętnej śmierci wstrząsnęła wszystkimi. Brrr... Być na wojnie, nie umrzeć od kuli w polu, a zdechnąć na cholere i zostać zasypanym wapnem! Wstrętne!!!!...

Po południu byliśmy w łaźni i wykąpaliliśmy się solidnie. Wracając z kąpieli spotkaliśmy kondukt pogrzebowy, wiodący zabitego beliniaka, podporucznika Franka Gibalskiego. Szedł ulan, ro-

sły chłop w swym siwym mundurze z krzyżem w rękę i ikał... Broda mu się trzęsła, usta kurczowo ściśnięte drżały jak w febrze i szloch mu się zrywał w piersiach... Za krzyżem orkiestra 1-go pułku grała marsza. Cudne, czyste dźwięki... Za orkiestrą ksiądz w komży, za nim wóz z czarną trumną i wystraszoną, rozczochraną chłopem, za wozem koń w pełnym, bojowym rynsztunku, garść sztabowców i ułanów. Reszta na linji, pełni służbę. Przygnębiające na nas wrażenie zrobił ten pogrzeb. Nie dość na tem. Za chwilę przychodzi Trapszo z komendy bataljonu i prosi tych, którzy byli przy śmierci Długosza. Przyjechała jego żona i chce się dowiedzieć o szczegóły śmierci.

Zaszedłem do komendy bataljonu, gdzie ujrzałem żonę Długosza. Siedziała cokolwiek w cieniu, lecz twarz jej była zupełnie oświetlona. Rozmawiała z Romanem Starzyńskim¹⁾. Ciemne, gładko uczesane włosy, z jakąś czarną zarzutką na głowie, blada twarz o regularnych rysach, ciemne głębokie oczy i szalone cierpienie wyryte na twarzy. Była w Samoklęskach i w nocy rozkopywała grób. Wie najdokładniej o wszystkich szczegółach. Zebrała je we wsi. Rozpytywała się pilnie jak był Długosz ułożony, gdyż miała podejrzenie, że umarł dopiero w trumnie. Przypuszczenie to wywołała nienaturalna pozycja Długosza z powodu wąskiej, śpiesznie robionej trumny. Rozpytywała się o najdrobniejsze szczegóły, o pierścioneł, szablę, rewolwer, o wszystkie Długosza drobiazgi.

11 wrzesień. Kowel. — Pożyczyłem sobie wczoraj Orzeszkową w obawie przed piekielnymi nudami, lecz dzisiaj jakoś czas tak mi przeleciał, że nawet książki do ręki nie wziąłem. Przed południem doktor Kwaśniewski miał krótką pogadankę dla kompanji o cholerze, jej skutkach i jej zapobieganiu.

W południe poszedłem do Stawa narysować sytuację. Otóż z Kowla wysyła każdy pułk jeden bataljon, który operuje na linji wsi Mielnica, Powursk, Czeremoszno, Łyczyny, Sokoliszcze, Wyżwa. Bataljony kompanjami obsadzili te wsie, jako oparcie dla kawalerji, operującej przed piechotą. Poza tem każdy pułk zostawił jeden bataljon w Kowlu, a te bataljony wystawiły po jednej kompanji za miasto, gdzie mają służbę forpocztową.

Ojczulek Czachowski był na rekwizycji i przywiózł 3 olbrzymie prosiaki. Zostaną one oddane do masarza i gdy się doda mięsa wołowego — będącie moc wędlin.

12 wrzesień. Kowel — Kołodnia — Krzeczenicze. — Dzisiaj wymarsz z Kowla całego bataljonu i komendy pułku. O 9-ej zbie-

¹⁾ Obecnie major Szt. Gen.

ramy się na zalanej słońcem ulicy Foksalnej. Maszerujemy do Krzczewicz (na mapie: Kryczywicy), 20 km od Kowla. Stoi tam II bataljon, który posuwa się naprzód do Czeremoszna.

Dzień pogodny, słoneczny. Piaszczystymi drogami wśród lasów, lub młodych zagajników, wśród bagnistych łąk, maszerujemy przez Kołodnię i Bilin. W pierwszej dwójce maszeruje ze mną dr. Kwaśniewski, który zastępuje sekcyjnego Rybaka. O 6-ej zajmujemy kwatery w ogromnej wsi Krzczewicze. Domy dość czyste, porządne, stoją bokiem do drogi. Kwatery wygodne — chałupa na sekcję. Nasza izba względnie czysta, mamy lampę i naftę, tak, że postój zapowiada się przyjemnie. Ludności jest trochę lecz nie wszystka. „A tuteżki ludy nie słabowały?” pyta doktor Kwaśniewski „dida”. — Ni, ne słabowały — iden z waszych słabował i pomer — odpowiada „did”.

Jutro prawdopodobnie nie wymaszerujemy. Przyjechał wczoraj Komendant, lecz jeszcze nie wiadomo co przywiózł. Podobno Rumunja ma wypowiedzieć wojnę Rosji za cenę Bukowiny i kawałka Węgier.

15 września. Krzczewicze. — Mamy dzisiaj drugi Babin. 5-a sekcja zabiła wieprza i za pomoc Zygmunta dostała się nam spora część. Gotujemy więc gulasz z kartoflami na śniadanie, a na obiad rosół z dwóch kurczaków. Cały dzień ogromny, poleski piec bez otworów, z głęboką wnęką, bucha ogniem. Kompanja cała zajęta smażeniem i pieczeniem. Styk z manlicherem w ręku chodzi po wsi, polując na zdziczałe, bezdomne prosiaki. Dopiero co zabił ogromną maciorę wspaniałym strzałem w ucho, i już dla naszej sekcji sprzątnął małego prosiaka, którego Talarczyk ma zamiar upiec w całości.

Siedząc u Styka spisuję notatki. Doktor z Bussem i Flojarem rzną w preferka. Zresztą całe prawie popołudnie zajęci jesteśmy konsumowaniem potraw. Ostrożność przytem wielka, gdyż cholera we wsi.

Wieczorem wezwał mię Sław. Idę ciekaw wiadomości, bo ponoć Moskale scharatali solidnie 4 pułk. Sytuację rysujemy ogromną — tak zajmującej jeszcze nie mieliśmy. Na północ od nas operuje 16 brygada piechoty i korpus kawalerji Bissingena, na południe nawprost wsi Hulewicze operuje 4-ty pułk a dalej 1-sza dywizja kawalerji austriackiej.

Czwartaków strzepali porządnie. Roja pchnął jeden bataljon na prawą stronę Stochodu do wsi Hulewicze, choć cała linja jest po lewej i tam opadli ich czerkiesi. Zabrali dwa karabiny maszynowe, sporo ludzi nafasowali i również sporo natłukli. Roja wo-

bec tego meldował, że ma do czynienia z piechotą, która go nie-
spodziewanie opadła, lecz to zdaje się wykręt. V-y bataljon 3-go
p. p. poszedł go wesprzeć. Dzięki wyparciu czwartaków z nad
Stochodu, ogromnie błotnistej, wyparli Moskale oddziały kawa-
lerji solidnie na zachód. Wieczorem przymaszerowała z Kowla
3-a kompanja.

14 września. Krzeczewicze. — Stoimy jeszcze przez dzisiejszy
dzień w Krzeczewiczach, a jutro maszerujemy nad Stochód, przy-
czem zdaje się 4 i 2 kompanja pójść dalej, nad samą rzekę.

Godzina 10-a wieczór. Mam placówkę na końcu wsi, lecz słabą,
jeden posterunek.



Na postoju.

Dzień nam przeszedł na spokojnem spoczywaniu. Miała
przyjść poczta i kantyna, lecz ani jedno ani drugie nie nadeszło.
Chodziłem coś dwa razy do kompanji warszawskiej, by zobaczyć
się ze Staśkiem Wolskim, lecz nie mogłem go zdybać ani razu. Dzi-
siaj ma stawać u Sława do raportu, w sprawie przeniesienia do
naszej kompanji.

15 września. Krzeczewicze — Czeremoszno — Smolary. — Noc
spędziłem na placówce z sekcją na końcu wsi, przy taborze, wy-
stawiając jeden posterunek na drodze. Do północy — rozprowa-
dzając posterunki — pisałem dziennik.

Rano o 7-ej wymarsz do Smolar. Idziemy przez Czeremoszno, w którym krótki postój na obiad. Do Smolar miała pójść 2 kompanja a dwie gdzieś dalej — tymczasem rozkaz zmieniono. Podobno Smolary zaatakowali Moskale — wobec czego idziemy tam całym bataljonem.

Dzień pogodny, słoneczny, choć wiatr targa gałęziami drzew i szybko przesuwają lotne, białe chmurki po niebie. W Smolarach dostaliśmy stodołę na kwaterę. Mamy gęś w sekcji, więc biedy nie będzie.

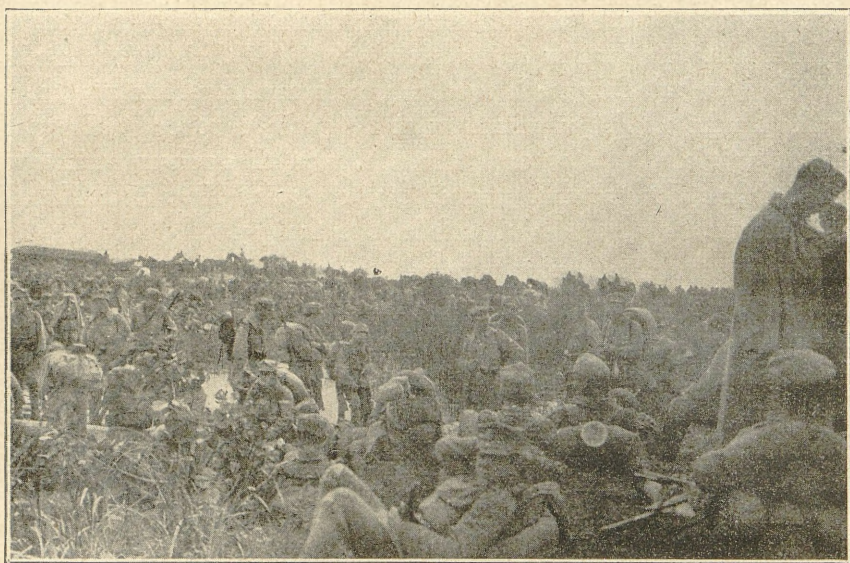
16 września. Smolary. — „Co się teraz dzieje w Brygadzie, o tem filozofom się nie śniło“ — powiedział dzisiaj Styk. Postarałem się dowiedzieć bliższych szczegółów i złapałem Ojczulka Czachowskiego, który mi co wiedział. — wygadał. A więc: podobno Komenda Legionów ma zamiar nas rozdzielić i pełnać po jednym bataljonie lub po dwa w różne strony świata. Wobec tego zrobiło się wielką wojnę. Przyszedł wczoraj meldunek, że Smolary zaatakowali Moskale. Natychmiast więc ściągnięto rezerwy Brygady w jedno miejsce i pułk nasz pomaszerował do rzekomo atakowanych Smolar. Sosnkowski ponoć leży chory w Kowlu, a Komendanta niema. Brygadę objął wobec tego Śmigły.

Dzisiaj przed południem zapalił się dom komendy bataljonu. Piorunem się chałupa zajęła i trzeba było ratować chałupę Styka, by też nie spłonęła. Wieczorem byłem u Styka, gdzie się zakwaterował Sław. Był Narbutt i Ojczulek, a Narbutt — jak zwykle — opowiadał. Rozgadał się o swych przygodach studenckich w Belgji, strzeleckich w Galicji a tak zajmująco, że czas zleciał piorunem.

17 września. Smolary. — Robi się wielką „wojnę“. Pokpiwamy trochę, lecz rzeczywiście o 7-ej maszerujemy do rzeki. Wiara w mig rozbiera płoty, bo mamy przechodzić w bród. 1 kompanja idzie na czele.

Stochód płynie kilkoma rękawami, wśród mokrych, obszer-nych łąk. Pierwszy rękaw przeszliśmy po deskach, lecz cztery następne w bród, po kolana w zimnej wodzie. Zaraz po przejściu biorę sekcję i idę na patrol. Mam maszerować na futor (H) na drodze, między wsiami Bereźnicą a Chruszczynem. Sław sądzi, że napotkam pikietę kozacką, więc mam ją wyfasować. Idę ostrożnie cały czas lasem, ubezpieczonym szykiem. Nasz bataljon ubezpiecza przeprawę 1 pułku, który atakuje Czersk. O 2-ej popołudniu wróciłem do Smolar, psa kulawego w całym lesie nie spotkawszy.

18 wrzesień. Smolary — Powursk. — Miał być wczesny wymarsz, piorunem kawę zaczęliśmy gotować, gdy tymczasem jakiś kawę się wypilo i z wolna rynsztunki spakowało, a o wymarszu nie słyhać. Okazało się, iż czekamy na 2-gą kompanję, która jest w leśniczówce i ruszamy dopiero wtedy, gdy 2-a przyjdzie i odpocznie. Gotujemy więc obiad i stanęło na grochu (fasoli). Do 2-ej — a więc kilka godzin — żeśmy gotowali i jedliśmy mimo to groch prawie twardy. Wspaniały ogień buzował z pod pękatego garnka, a groch był na to jakby nieczuły. Dopiero później ktoś „peritus” w kulinarnych sprawach objaśnił nas, że taki groch to trzeba moczyć przedtem w wodzie cały dzień. Skąd Drymer czy ja mogliśmy o tem wiedzieć?



Przejście przez Stochód.

Przed 5-ą wymarsz. Maszeruje tylko nasz pułk do Powurska, a wogóle marszem trzydniowym gdzieś nad Styr. 4 pułk już tam pomaszerował. Narazie bataljon I-szy i III-ci został w Smolarach nad Stochodem. A propos III bataljonu. Wczoraj zajął Czersk i został w nocy zaatakowany przez Moskali. Cofnął się odrazu nad Stochód, straciwszy karabin maszynowy i coś z 15-tu ludzi.

O 5-ej przymaszerowaliśmy do Powurska.

19 wrzesień. Powursk — Wielick — Janówka. — Chłodny wiatr uderzał w szyby okien, gdyśmy o 7-ej wstali, rozbudzeni

przez dyżurnego. Idziemy dobrze, choć wiatr bije nam w twarz i rozwiewa płaszcze. Posępne niebo grozi deszczem.

Przechodzimy przez Miryn do Wielicka. Wielick zajęty zupełnie przez Węgrów — kawalerzystów, więc na obiadowy postój stajemy za wsią. Kuchnia nie wydała nam mięsa, więc Styk kombinuje, co by tu urządzić. Stanęło na jednej świni na pluton.

Do Janówki zachodzimy jeszcze za dnia.

Do świni wziął się kawalerzysta — Węgier, widocznie z amatorstwa i wspaniale ją oprowił. Mięsa i tłuszczu w bród. Gospodyni po polsku rozumie, więc się nawet na ruski nie wysilamy. Posterunki wystawiam we wsi. Późno w noc położyliśmy się spać.

20 września. Woźnianka — Mylik — Pożarki — Kobcza. — Żmijewski i Talarczyk noc całą piekli i smażyli. O 6-ej rano zrobili nam pobudkę i wnet się gospośia zaczęła krzątać koło śniadania.

O 8-ej rano wymarsz. Drugi bataljon na przedzie. Maszerujemy wesoło, wiatru niema, lekkie tylko podmuchy z wilgotnych łąk otrząsają z liści lśniące krople rosy.

Po czystym niebie przesuwają się siwe, skłębione jak stado owiec jesienne chmury. Na lewo o kilka kilometrów wśród lasów widać olbrzymie kłęby siwego dymu, zlewającego się z tłem chmur. Od czasu do czasu zamruczy gdzieś zdala bateria, lub wystrzeli basem bliżej stojące, ciężkie działa.

Po czterech kilometrach — zawracamy. Drogę nam ostrzelują Moskale. Musimy ją okrążyć, więc o 15 km marsz solidnie się przedłuży. Maszerujemy teraz przez lasy, lecz dużo więcej przez płaskie pola. Im dalej na południe, tem ziemia suchsza i błota znikają. Do Swobodarki maszerowaliśmy prawie dwie godziny i stajemy tam na obiad.

O 4-ej wyszliśmy ze wsi. Po rozchłapanej i błotnistej drodze przejechało kilku jeźdźców. Nie spostrzegliśmy kto, lecz w tej chwili kompanja 1 i 2, stojące twarzą do jeźdźców, wydały ogromne „hura“ — Komendant!!

Dziadek przejechał na kasztance z Piskorem i kilkoma ordynansami.

Wieczorem weszliśmy do Koczki — pozycja tuż za wsią; od czasu do czasu gwizdnie daleka kula.

Zajmujemy ogromną kwaterę. Rybaka sekcja i moja w izbie. Łodek Janowski i Włodek Łęcki windują się na strych. Kwatera bogata. Garnków sporo, kaszy, jagły — co tylko trzeba. Widocznie mieszkańcy dopiero co zwiali, gdyż znalazłem nawet świeży ser.

21 września. Kocza. — Siedzimy dzisiaj we wsi, na tej samej kwaterze. Dzień cały smażenie, pieczenie, gotowanie. A więc w drugiej sekcji szynki, pieczone świńskie, kaszki, u nas Talarczyk z Chabowskim obrabiają sporego wieprzaka.

Piszę do domu, do Zochy o całej naszej ofensywie od Nidy. Obecnie całe Legjony mają następujące odcinki: grupa Sosnkowskiego (pułki 1 — 3¹) nad Stochodem, grupa Piłsudskiego (pułki 2 — 4) nad Styrem, gdzie również stanęła grupa Grzesickiego czy kogoś — złożona z pułku 6-go.

Szóstaki są już w Kowlu. Mają tu gdzieś blisko przymaszerować.

W izbie gorąco jak w łaźni, na dworze zimno przenikliwie, to też czuję, że się przeziębilem. Wieczorem już chciałem posłać Drymera po chininę, gdy wpadł dyżurny, że idziemy do okopów. Sacra!! Zupełnie nie w porę. Żli są wszyscy, jak sto djabłów.

Do okopów kilometr drogi. Okopy marne, ledwie zaczęte, ziemianek zupełnie niema. Jest kilka zaledwie kryjówek. Służba ciężka. 4-y wedety wprzód, 2-ch łączników do Austriaków w lewo; jeden posterunek alarmowy w okopach. Ojezulek Czachowski w ten sposób podzielił robotę, że każda sekcja ma 2 godziny służby.

Leb mię tak szalenie boli, że z ledwością mogę pełnić służbę. Jestem pewien, że jutro obudzę się chory.

22 września. Kocza. — Obudziłem się rzeczywiście chory. Mam spieczone usta od gorączki, głowa mi mało nie pęka od szalonego bólu. Leżę w malutkim okopiku okrytym dobrze słomą. Służbę pełni za mnie pocziwy Talarczyk, choć i on nietęgo się czuje. Na dworze wiatr i chłodno, więc nawet nosa nie wychyłam i tylko sobie pośpiewuję z bólu, gdy mi nogi zaczęły za bardzo dokuczać. Bo reumatyzm się w tej chwili odczuwać daje i łamie mi kości po kolana. Sanitarjusz nie ma ani chininy, ani aspiryny. Zmierzył mi gorączkę: 38!

¹) W I Brygadzie Legjonów składającej się z sześciu (I, II, III, IV, V i VI) bataljonów — podział wewnętrzny został przeprowadzony na trzy pułki piechoty, a mianowicie: pułk 1 Rydza-Śmigłego składał się z bataljonu I i III, pułk 2 Berbeckiego z bataljonu II i IV, pułk 3 Trojanowskiego z bataljonu V i VI. Był to podział wewnętrzny, niejako domowy, gdyż nie uznawała go Komenda Legjonów, ani austriackie władze wojskowe, dla których I Brygada składała się tylko z dwu pułków, a mianowicie 1-go (bataljony I, III i VI) i 5-go (bataljony II, IV, V). Z czasem oficjalna ta numeracja się przyjęła, tak, że pod koniec 1916 roku już i w I Brygadzie przyjęto podział na 1 i 5 pułk jak również i pozacierzały się powoli dawne numeracje bataljonów, a w każdym pułku przyjęła się kolejność trzybataljonowa.

Wieczorem mamy pójść do wsi. Dobrze by to było, bo obawiam się, że mogę się rzeczywiście rozchorować.

Wieczorem wracamy do wsi. Sekcja 2-a zajęła kwaterę a 3 pozostałe do stodoły. Ja zostałem w chałupie, w której jest 3-ch warszawiaków, moc słomy i wszelakiego brudu. Między warszawiakami znajduje się Stasiek Wolski i Filipowicz¹⁾. Przydzieleni zostali do naszego plutonu.

Na noc zażyłem aspiryny.

25 wrzesień. Kocza. — Czuję się po aspirynie o wiele lepiej. Wypocidłem się w nocy solidnie i jestem prawie zdrów.

Są gazety. W Warszawie praca prawie, że olbrzymia, lecz organiczna. Nie politykują, lecz pracują.

24 wrzesień. Kocza. — Zajęliśmy na starej kwaterze czystą komórkę i ułożyliśmy się całą sekcją. Przyszedł sanitariusz i zmierzył mi gorączkę. Mam 38,7, choć czuję się świetnie. Noc nam przeszła spokojnie, to też rano obudziliśmy się wypoczęci i rzeźcy.

Prosiłem Ojczulka-Czachowskiego by mi coś wykombinował ciepłego do okrycia, bo inaczej rychło zamaruduję. Nie czekałem długo. Po południu Ojczulek przyniósł mi wspaniały chłopski kożuch.

Ciepły mamy dzień, dzień polskiej jesieni. Wiara powynosiła się z chałup do ogrodów i tam lata się jak może. Wieczorem idziemy do okopów, to też trzeba się jako tako przygotować.

O zmierzchu opuszczamy wieś. Noc ciepłutka, spokojna, księżycowa. Zabieramy się do robienia ziemianek. Ziemianka na 3-ch ludzi. Przyszedł Styk i Sław i radzili byśmy robili na całą sekcję, bo prawdopodobnie będziemy tu dłużej siedzieli.

25 wrzesień. Kocza. — Pozycje nasze są defensywne. Zajęli je kawalerzyści austriacy, którzy przed kilku dniami wysunęli się daleko na wschód od Styru, dostali tam porządnie w skórę i cofnęli się aż tu nad rzekę. Dawno już nie mieliśmy takich pozycji, gdzie Moskale mogą atakować, to też ostrożność zachowujemy solidną. Na lewo mamy sakramenckich Czechów, którzy zdradzają wielką ochotę do posunięcia się jeszcze dalej na zachód.

Po południu był w okopach Komendant i Berbecki. Do nas ciągle walił jakiś „pukajło“, który się widocznie usadowił na sosnie i kropił bez przerwy dzień cały i to celnie. Próżno go Styk lornetką wyszukiwał i 2-ga sekcja salwami. Bił ciągle prawie że w same przedpiersia, aż do zmierzchu.

¹⁾ Zmarł w r. 1918.

Na noc objąłem służbę. Przeniosłem się z sekcją do niezajętych okopów, między naszą kompanją i austriaków i wystawiłem po dwie wedety wprzód. Noc cicha, jasna, księżycowa. Na obsianem gwiazdami niebie ani jednej ciemnej plamy, ani chmurki. Cisza... tylko od czasu do czasu z nad drugiego brzegu Styru z Wiszenki dobiegało szczekanie psów lub pianie kogutów. Spokój ten przerwie czasem nagły, ostry strzał moskiewski, i wrzyna się w ciszę nocną wściekłym świstem kuli...

Nad ranem wracamy do wsi.

26 *wrzesień. Kabcza.* — Zaczyna się robić coraz jaśniej. Z nad Styru podniosły się delikatne, zwiewne mgły, poprzez które lekko się rysują chałupy i błyszcząca kopuła cerkwi w Wiszence. Dzień już był pełny — gdyśmy wyszli z okopów. Dziw, że Moskale nie pukali do nas.

We wsi dostajemy chałupę, a moja sekcja wstrętną, zaśmiecconą izbę, która po uprzątnięciu zrobiła się jednak znośną. Gotujemy więc nagwałt kawę, bo chłód poranka jesiennego do kości nas przenika i głodni jesteśmy porządnie. Spróbowaliśmy spać, lecz nie można, bo w izbie gotują ciągle i smarzą. Przed południem byłem u Gorzeckiego a po południu Styk pozwolił zdjąć buty i przespać się, bo będzie duży, nocny marsz.

Leżę na ciemnym strychu, gdzie się rozłożyła 2 sekcja i gwarzę z drem Kwaśniewskim i Rybakiem. Na dole w izbie Adek Goldenberg, Drymer, Pacholski Maniek i Zygmunt Chabowski dokazują, śpiewają, jakby Bóg wie ile zdrowia fasowali.

O 9-ej wymarsz. Ja włożyłem na siebie swój barani, biały kozuch, a mimo to chłodny wiatr dokucza mi, co się zowie. Był to jeden z cięższych, uciążliwszych marszów. Mielśmy zrobić 17 km, a szliśmy całuteńką noc. Na jednym z postojów oglądał naszą kompanję Komendant.

Staliśmy bez tchu, bez ruchu, serce tylko waliło w piersiach. Nogi wrosły w ziemię, dwurząd kompanji znieruchomiał, zastygł.

27 *wrzesień.* — O świcie zaszliśmy do jakiejś wsi i ułokowaliśmy się w ogromnej stodole. Zmordowani jesteśmy szalenie. Rybak ledwo się dowlókl, a ja przez całą drogę jęczałem, tak mi piekielnie nogi dokuczały. Och, ten straszny reumatyzm, ile on mnie zdrowia kosztuje!...

Dzień cały przeleżeliśmy w stodole. O 5-ej jak usnęliśmy, to dopiero o 2-ej zbudziłem się. Wypiliśmy kawę, którą nam Stasiek zgotował i leżymy dalej. Czuję się trochę lepiej, lecz jeszcze jestem ogromnie osłabiony.

Czwarty pułk gdzieś odmaszerowuje, lecz gdzie niewiadomo. Krążą pogłoski, że na odpoczynek, lecz to bujda. Maszerujemy gdzieś na południe, na pozycje i mamy maszerować jeszcze 2 dni. Grupa Komendanta będzie miała tak samo jak i nad Styrem, swój odcinek.

28 wrzesień. *Kopyte*. — Przez Aronowicze, Hrusiatyn, Borowicze maszerujemy do Kopyl. Jeszczem nie zupełnie zdrow i czuję się porządnie osłabiony. Po obiedzie w Borowiczach dostałem znów wysokiej gorączki i pragnienie miałem szalone. Gdyśmy już dochodzili do Kopyli, marzyłem sobie przez drogę, że może we wsi będę mógł kupić trochę mleka. Lecz jak zwykle mam pecha... Przed samą wsią, gdyśmy spoczywali złożywszy broń w kozły, podjechał na koniu dr. Pieszczyński¹⁾ i zabronił absolutnie kupowania czego bądź we wsi. Cholera panuje ogromna — wołał — i kto chce, może zobaczyć trupy...

Mamy miłą stodołkę z wonnem sianem na noc. Ledwieśmy przyszli, ja natychmiast zająłem się ugotowaniem kawy. Ledwie kawę ugotowałem, zaraz potem spitrasilem herbatę i piłem, piłem ciągle. Wysoką musiałem mieć gorączkę...

2-ga i moja sekcja uradziły dzisiaj, by nieużywać więcej słowa „fasunek — celta — dekiel“, a: pobranie, płótno namiotowe, pokrywka. Dyskusje trwały do późna, gdyż nie wszyscy na „pobranie“ chcieli się zgodzić.

29 wrzesień. *Kopyle — Kolki*. — Wczesny wymarsz. We wsi zbiórka, czekamy na II bataljon. Słońce już wzeszło, oblewając złotem strzechy chat i czerwieniejące już liście drzew. Maszerujemy kilka kilometrów wzdłuż wysokiego brzegu Styru do wsi Kolki. Wszędzie moc kawalerji i koni. Mijamy spalone Kolki i stajemy kilometr za wsią, czekając na rozkazy. Obok rozłożyły się kolumnami ogromne tabory. Jesteśmy jakąś rezerwą, zdaje się, że korpusu.

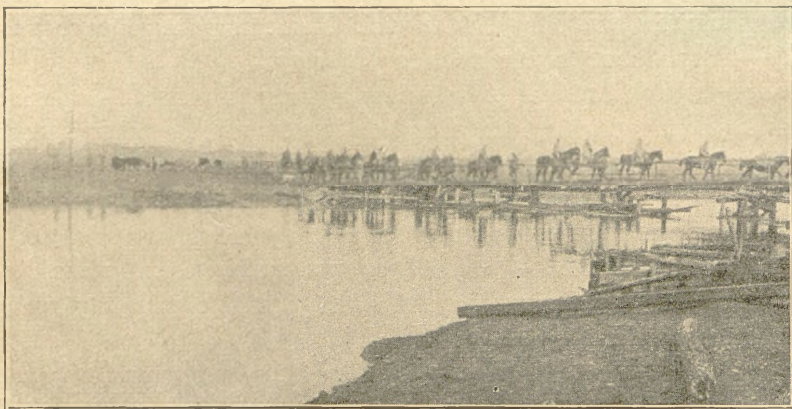
Gorący dzień. W małe dolince rozłożyła się kompanja. Kartoflisko obok — więc wnet się zabrano do gotowania. Cały dzień nam przeszedł na oczekiwaniu rozkazów, które jakoś nie nadeszły. Tymczasem znać bliskość taborów austriackich, gdyż wydano nam konserw i sucharków moc.

Linja tu jest stała już i zdaje się, że Austriacy nie mają zamiaru posuwać się naprzód. O jakieś 6 — 8 km grzmia działa i to mocno. Na linji widocznie ruch. Gdy zmierzch zaczął ogarniać ziemię, na wschodzie rozlała się szeroką wstęgą krwawa luna.

¹⁾ Obecnie pułkownik rez., szef departamentu zdrowia M. S. Wewn.

A do żołnierzy, wśród błyskających rażąco ogniem wojennych zesła pieśń... żołnierska pieśń. Oblani w krąg ogniem, zbici w gęstwę przy Narbucie, śpiewają żołnierze kompanji 1-ej.

50 wrzesień. Kolki. — Stowygoroż. — Kupami od rana prowadzą jeńców, więc wiara jak może, zaopatruje się w kociolki. Co pół godziny, czasem częściej, brunatna grupa jańców ukazuje się na drodze i wnet wysypują się chłopcy ze stodół. Dzień pogodny, słoneczny, choć przeciąga czasem chłodny wiatr. W stodole i obok ruch. Przywieziono dzisiaj trochę koców i płaszczy, więc gwałt przy dziedzińcu, poza tem czyszczą chłopcy karabiny. Rybak robi mi z tornistra austriackiego torebkę na papiery i notatki.



Przeście przez Styr pod Kolkami.

Mamy odmaszerować dziś wieczorem kilka kilometrów, by zmienić II bataljon, który siedzi gdzieś w lesie, w rezerwie. 4 pułk ponoć już jest na linji. O 5-ej zbiórka. Bataljon w kolumnie kompanjami. Lecz Sław zamiast „kolumna czwórkami w prawo — maszerować” — wydaje komendę na inną formację bataljonu i za chwilę znowu na inną. Po chwili bierze kompanijnych na odprawę. Okazuje się, iż odmarsz odwołany.

Przy zapadającym zmroku odchodzimy na kwatery, a pluton nasz na służbę do Komendy Brygady, która się mieści w prostej, zwykłej stodole. W Brygadzie ledwieśmy zdążyli zagotować trochę kawy — już wołają nas do stodoły. Odmarsz. Godzina 10 w nocy, błądy księżyc wypłynął na spokojne niebo. Po dwóch czy trzech kilometrach polnej drogi wchodzimy w las, który powoli zamienia się w puszcę. Ogromne kłody zwalonych, omsza-

łych drzew, wysokie paprocie, potężne dęby i buki wśród bladych, księżycowych promieni wspaniale sprawiają wrażenie. Jakbym patrzył na obraz Grottgera — „Puszcze”. Zda się lada chwila zbik wyskoczy z za ogromnego dębu lub buku...

Już świt błądy obejmował ziemię, gdyśmy na dużej polanie rozbili namioty.

1 października. Bitwa pod Stowogorozem. — Cicha przed chwilą polana zawrzała nagłym gwarem. Oto równo ze świtem, wdarł się atak rosyjski w śpiące okopy ułanów i „schützen” dywizji i parł ich ku naszej polanie, wśród ciągłego, gęstego ognia.

Nad polaną wznosiło się już słońce, przepajając mgły złotymi blaskami, gdy sam Sław zrobił nam alarm. Działa stojące tuż przy polanie waliły jak wściekle i ogień karabinowy zbliżał się z każdą sekundą coraz bardziej, rósł, wreszcie ostreimi świstami kul dotarł do polany.

Kompanja nasza piorunem rozwinęła się w linię, choć niektórzy chłopcy rozebrani byli „do rosołu”. Chwila przerwy. Czekamy na dalsze rozkazy. Z polany nagwałt wieją tabory, wózki amunicyjne, przodki od armat. Austriacy jak oszaleli siodłają konie i wyrrywają wtył.

Za chwilę z przeciwnego brzegu polany, z ciemnozielonej, z ceglastermi, krwawymi plamami leśnej ściany — poczęli się gęsto wysypywać wiejący niebiescy luzarzy i siwi ułani. Jakiś „zuckführer” podbiegł do Sława i zdyszany, rozpaczliwym głosem począł opowiadać jak wszyscy spali a Moskałe zaatakowali i cały szwadron do niewoli wzięli. I cisnął z rozpaczą karabin maszynowy, który trzymał w ręku...

Już 3 kompanja rozwinęła się w spokojną linię i zanurzyła się w szeleszczący skrwawiony jesiennymi barwami las, a nasza zajęła tyraljerą polanę i poczęła się powoli posuwać. Kule już ostro trzaskają po drzewach... Przesuwamy się w lewo i zaczynamy bić brawo jakiemuś oficerowi austriackiemu, który wśród ogólnego, szalonego popłochu, wśród świstu kul, spokojnie kończył poranne golenie...

Dochodzimy do przeciwległego brzegu polany. Strzały trzaskają dalej, a naraz na lewo w lesie, tam, gdzie rozwinęła się 3 kompanja, zrywa się ogromne, wściekle „hura”, potem szalony, piekielny ogień i znów „hura” i „hura”..., które grzmiało, przelewało się po lesie, przedzierało się przez karabinowy ogień i poprzez zapamiętałe trajkotanie karabina maszynowego, głusząc wszystko swym szaleńczym, warjackim brzmieniem...

To kontratakowała 3-a kompanja Kostka-Aleksandrowicza.

My zaś posuwamy się coraz szybciej, coraz żwawiej, łącząc się na prawo z niebieskimi huzarami, którym niesporo szła linja i leniwo...

Słońce już się wysoko na niebie podniosło i ozłociło las, polanki, ogromne dęby szeleszczące spadającymi liśćmi... Padliśmy przed jakimś płotkiem i czekamy. Sytuacja widocznie rażąco się rozwija, bo coraz to prowadzą Austriacy lub nasi grupki jeńców. Bądź co bądź atak rosyjski odparty i to przez nas, przez nasz bataljon. Styk czeka na dalsze rozkazy, a tymczasem popędzamy włóczących się Austriaków, którzy ciągle szukają regimentu...

Godzina za godziną mija... Słońce wysoko na niebie, grzeje solidnie, lecz nam w cieniu ogromnych dębów miło i rozkosznie. Na przedzie, przed nami słychać tylko ogień rosyjski i to bliski, bo kule rzną muzykę wściekłą po gałęziach drzew... Chłopcy obławiają się w rosyjskie kociołki i w rzeczy pogubione przez Austriaków. Ja zdobyłem kociołek, koc, płachtę namiotową i sporo drobiazgów. Pod płotkiem, o jakieś 500 kroków od okopów przesiadaliśmy kilka godzin, do 4-ej w południe. Raz już jedna linja austriacka zanurzyła się w las i poszła zająć okopy a wnet i my idziemy zapełnić jakąś lukę.

Jakoż za chwilę posuwamy się i po szybkim przejściu kilkuset kroków lasu — zajmujemy wygodne, głębokie okopy, idące wzdłuż szerokiej drogi, lecz zupełnie bez ostrzału. Trudna pozycja, lecz bądź co bądź można ją utrzymać. Na prawo od nas luka na jakie 500 kroków i tam ciągle grzmiały huragany strzałów. To Austriaków atakują Moskale. Po chwili ucho odróżnia przeciągłe „ura“, które teraz co minuta zrywa się i idzie lasem równo z poszumem drzew... Łodek Janowski i Włodek Łęcki są na skrzydle i gorączkowo nawiązują łączność na prawo z Austriakami. Są to ułani 1 pułku, których bez przerwy atakują Moskale. Jakoż ogień nie słabnie ani na chwilę i dziwne, bo czasem austriacki, manlicherowski cichnie i po ogromnym „hura“ — rozlega się ostry, szarpany ogień moskiewski...

I znowu przeciągłe, ogromne „hura“. Za chwilę kilku Austriaków prowadzi kupę jeńców. Dowiadujemy się, że Moskale zaatakowali i atakowali kilka razy, lecz ułani szturmowali odparli, zrobili kontratak i nabrali jeńca. Lecz amunicji ponoć nie mają i będą się musieli cofnąć.

I tak na tych atakach i kontratakach w sąsiedztwie przeszło całe popołudnie. Coś około 4-ej przypadł zdyszany Łodek Janowski i melduje, że Austriacy wieją na potęgę: że nie wytrzymali szturmów, że nie mają amunicji. Jakoż gwar ogromny i strzały

bezladne szły od prawego, a za chwilę z lasu poczęły się wynurzać grupy Austrjaków, zgnanych, zmęczonych, spoconych, wrzeszczących na wszystkie głosy.

Spokojnie zaginamy skrzydło, nasz pluton I zajmuje polankę na prawo i zaczynamy się okopywać. U Austrjaków ciągły gwar, kupą bezładną idą, wrzeszczą wszyscy razem... Jedni chcą iść naprzód, wygnać „Rusa“, drudzy się tchórzliwie cofają, a wszystko bezładnie jak żydowska banda, aż Styk ulamał kija i prać ich po grzbietach poczał, do porządku, do „schwarmlinji“ nawołując. Wreszcie się uporządkowali i rozwinęli w prawo od nas, a Styk zaraz puścił patrole wprzód, by sprawdziły jak daleko są Moskale i czy zajęli okopy austrjackie. My tymczasem okopujemy się. W lesie cisza, tylko od czasu do czasu gruchnie strzał z manlichera.

Wieczór zapada cichy i ciepły, wśród szumiących starych dębów. Już zmierchało, gdy wróciły patrole z meldunkami, że okopy austrjackie nie zajęte i, że dalej na prawo Austrjacy się nie cofnęli. Ledwie to zameldowali, na lewo w okopach 3 kompanji rozległ się gwałtowny ogień karabinowy i piorunem się przeniósł do naszej. Natychmiast zająć dawne okopy — zabrzmiał rozkaz Styka. Biegiem dopadła wiara do okopów i łupić poczęła straszliwie, bo im się zdawało, że Moskale tuż... Po chwili ostre gwizdki na „bezpiecznik“ przedarły się przez gruchotanie ognia i nagle cisza objęła okopy, choć artylerja austrjacka, snać sądząc z ognia naszego, że odpieramy atak — rznąć zaczęła w las szrapnelami tuż przed nasze okopy a czasami wprost nad nie. Biła tak nieszczęśliwie, że zraniła dwu z Władka Łęckiego sekcji: Kubackiego i Chabry.

Bajecznie silnie biją te ekrazytowe, austrjackie szrapnele. Kilka razy silniej od rosyjskich, choć hałasu o wiele mniej robią...

Noc przeszła spokojnie. Wystawiam po dwie czujki przed okopami, poza tem pogotowie jak najsurowsze. Spać pod żadnym pozorem nie wolno, przez noc część plutonu zakłada druty przed okopami.

2 października. Stowygoroż. — Świt. Polana przed nami białała coraz więcej, białał i szarzał coraz bardziej las, okopy, droga... Świt... Podniosły się zlekka opary i mgły z nad błot ekliwych i bajorów i mętniały w górze, tonąc w blasku coraz jaśniejszego dnia i jutrzeńki...

Nic nie przerywa ciszy... Posterunki cicho, jak duchy, schodzą do okopów, po których snują się żołnierze, nadśłuchujący, baczni, gotowi wlot do strzelnicy skoczyć i rznąć przed siebie z manlichera. Cisza... i nic jej nie przerywa i zda się spokojnie las

słońce powita, aż nagle gruchnął strzał jeden i drugi i wnet jakby za skinieniem różdżki czarodziejskiej huragan ognia z luf się zerwał i zaniebieszczyl polanę siwym, posurwistym dymem... Jak nagle się zerwał tak i nagle ucichł. Ni jeden strzał z gęstwiny leśnej mu nie odpowiedział...

A Moskale wywiali. W nocy Prusacy gdzieś na prawo zasłi im tak mocno, że musieli się cofnąć. Wnet zaroiły się okopy i ogniska buchnęły wesoło, bo poranny chłód dał się wszystkim we znaki. Bończa¹⁾ z plutonem zagłębia się w las. Idzie na patrol...

Do 10-ej rano spokojnie nam czas przeszedł na gotowaniu kawy, myciu, porządkowaniu. O 10-ej zbiórka bataljonu. Kompanje 1 i 2 rozwijają się w linję i zagłębiają w las a nasza, 4 i 5 w kolumnie jako rezerwowe, maszerują za nimi. Dzień ciepły, słoneczny, prawie, że upalny. Wspaniale po polach wyglądają pożółkłe dęby, zczerniałe rdzą jesieni i bajecznie grają kolorami ściany lasów...

Przeszliśmy kilka polan i zagłębiliśmy się znów w prawdziwą puszcę: ogromne zmurszałe kłody drzew, całe pnie powywalane, postręcane, poplątane krzaki wiklin, olszyn, paproci, błota, mokradła i bajory, przez które z ledwością przeszliśmy. Za lasem, na ogromnej polanie rozwinęły się dwie kompanje.

Wogóle sytuacja ogromnie powoli się rozwija. Austriacy bardzo leniwo się posuwają — zostali zupełnie wtyle. Sław dostał rozkaz by się też cofnąć, wracamy więc do dawnych okopów. Kompanja 5 i nasza za okopami w rezerwie, a 1 i 2 okopuje się o jakieś 500 kroków przed starymi okopami. Nie rozbijamy namiotów, tak tylko, na płaszcach i płótnach namiotowych się rozkładamy.

Gasną powoli ogniska jedno za drugim i sen ogarnia żołnierzy.

3 październik. Stomygoroż. — O 4-ej wydano nam kawę, a o 6-ej już bataljon był zebrany na drodze. Dzień jak wszystkie ostatnie — wspaniały. Moc słońca na polanach, które jasnymi, złotymi plamami przedziera się przez leśną gęstwę... Maszerujemy wszystkiego ze dwa kilometry i przyjmujemy front z zachodu na wschód. Kompanja okopuje się na obszernej polance a nasz pluton zagłębia się w mały zagajnik. Do nas ma dołączyć 1 pułk ułanów, po który poszedł Talarczyk z Mańkiem Pacholskim i Stańskim Wolskim. Ja z sekcją jestem na skrzydle i wystawiam ubezpieczenia boczne. Na prawo o kilkanaście kroków

¹⁾ Podporucznik Bończa-Karwacki zginął pod Kostjuchnowką.

kończy się zagajnik i wznosi się wysokopienny las z dwiema ogromnemi, wspaniałemi sosnami przy drodze. Około 2-ej wrócił Talarczyk. Ułani pozostali na starych pozycjach i nie mają żadnego rozkazu łączyć z nami. Wskutek tego powstała luka około 2 klm. zajęta przez 4 placówki.

W lesie przed nami ciągle rozlegają się strzały. To ścierają się obustronne patrole. O jakieś 1600 kroków od okopów naszych, ciągnie się duża droga równolegle do naszego frontu i za tą drogą rozpościera się już sfera panowania moskiewskiego.



Poranna toaleta pod Koszyszczami.

A teraz muszę coś niecoś wspomnieć o naszym ataku pod Stowgorożem, który naszemu bataljonowi ogromnej przyczynił sławy. Otóż poranka tego, 1-go października, wywiewały aż trzy pułki austriackie z okopów. Sław rzucił się na to z jednym bataljonem. Kompanje 3 i nasza miały odeprzeć atak, 1 i 2 w rezerwie. Myśmy już nic nie napotkali na drodze, gdyż 3 kompanja tuż za polaną natknęła się na Moskali i przepędziła ich atakiem na bagnety. Wzięła przytem do niewoli sztabs-kapitana, podporucznika i z górą 70-ciu jeńców. Reszta Moskali, a było ich bataljon — w poplochu wywiała. 2 kompanja idąc na lewo od nas, w rezerwie, natknęła się na Moskali zabierających już 4 działa austriackie. Z miejsca na nich uderzyła, odbijając armaty i biorąc 30 chłopów. Wszystko to odbyło się w ciągu kilku minut z minimalnemi stratami. 3 kompanja ma 2 zabitych i ciężko rannego komendanta swego, porucznika Kostka-Aleksandrowicza¹⁾.

¹⁾ Zmarł z ran, po półtorarocznem leczeniu w szpitalu.

4 październik. *Las na wschód od Stowygoroża.* — Mają nas dzisiaj zmienić Austriacy. Bataljon II podobno jest w Kołkach i my mamy tam pomaszerować, choć Gorzecki powiada, że idziemy do rezerwy na polanę Stowygoroża.

Do południa czyściliśmy pole ostrzału przed nami i zakładaliśmy druty. Na lewo od nas rozwinęła się kompanja 2. Po południu pluton III zmienili Austriacy. Nas jakoś nie zmieniają, lecz ma to nastąpić w nocy. Tymczasem wedety austriackie, które stały na odcinku III plutonu były bez przestanku i denerwowały nasze. Lecz mimo to ani jedna legjonowa wedeta nie wygarnęła.

Austriacy nas jakoś nie zmieniają, choć to już późna noc.

Sław podobno ma dostać żelazny krzyż, tak samo, kilku oficerów. Wogóle ten atak nasz narobił wielkiego krzyku.

5 październik. *Stowygoroż — Las pod Kołkami.* — Dopiero rano o 6-ej zmienili nas Austriacy. Maszerujemy wzdłuż linii do polanki Stowygoroża, a potem dobrą, wykładaną kłodami drzew drogą do pozycji „grupy Piłsudskiego“. Jesteśmy w kołkow-
skim lesie i o 12-ej stanęliśmy postojem na drodze obok taborów 4 pułku.

Sław pojechał przodem do pułku, a pluton zaopatrywał się tymczasem w prowiant w taborze czwartaków, którzy okazali się bardzo gościnni. O 2-ej przymaszerowaliśmy do okopów rezerwowych. Są tam dwie kompanje II bataljonu, karabiny maszynowe, komenda pułku. Witają nas wszyscy z aplauzem, a najserdeczniej Berbecki. Rozbijamy namioty, gdyż przez noc prawdopodobnie będziemy tu stali.

Pod wieczór przyszedł Komendant i długo rozmawiał ze Sławem i Berbeckim. Stojąc z boku przysłuchiwałem się trochę. (7 K. T. D.¹⁾), od której dzisiaj odeszliśmy wzywa nas zpowrotem i Komendant kombinuje jakby im się wykiwać. Narazie na noc maszerujemy kilkaset kroków wtył do rezerwy i tam rozbijamy namioty.

6 październik. *Las pod Kołkami.* — Maszerujemy wtył do rezerwy dywizji, lecz nie cały bataljon, a tylko trzy kompanje. Komenda bataljonu i 2 kompanja zostają, 1, 3, 4 maszeruje. Lecz podobno mamy zaraz wracać. Odmaszerowaliśmy jakieś 2 klm. wtył i rozbiliśmy biwak za drugą linią okopów, w sosnowym lesie.

7 październik. *Las pod Kołkami.* — Jakoś do pułkowej rezerwy nie wracamy. Żli jesteśmy, boć zawsze przecie milej być

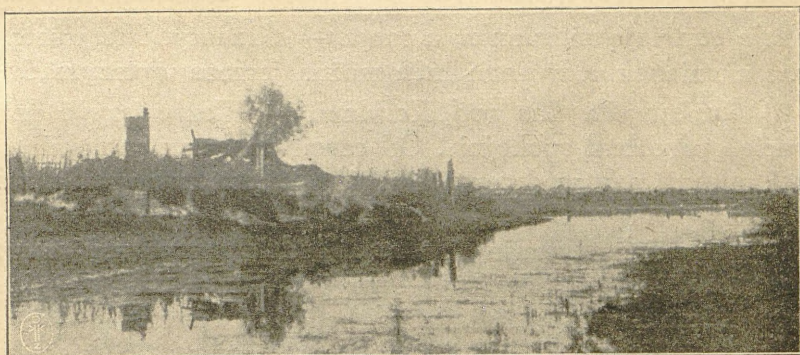
¹⁾ Kavallerie Truppen Division.

w rezerwie swego pułku, niż w rezerwie austriackiej dywizji. Z takiej rezerwy, mogą nas pełnić Bóg wie dokąd. Jakoż niepokoje sprawdziły się, bo zaraz po południu przygalopował leutnant austriacki i wręczył rozkaz Narbutowski, by bataljon był w pogotowiu marszowym. Żli jesteśmy jak cholera.

Do plutonu przyszedł Drożdż ze szpitala polowego i mówi, że słyszał od Berbeckiego, iż 11-go mamy pójść gdzieś 90 klm. lecz ja w to niebardzo wierzę.

Przywieźli dziś bardzo obfity „fasunek“. Na każdego para butów i po 17 płaszczy na pluton. Ja wziąłem sobie doskonały płaszczy. Śpimy dzisiaj w pogotowiu marszowym. Zupełnie się nawet nie rozpakowujemy, gdyż jesteśmy prawie pewni, że nas w nocy zaalarmują.

Linja ciągle bulgocze ogniem — Moskale atakują.



Kołki.

8 października. *Las pod Kolkami.* — Po śniadaniu przyjechał znowu leutnant i postawił na nogi naszą kompanję.

Maszerujemy na prawe skrzydło 4-go pułku, jako rezerwa. Dochodzimy do okopów obok rezerw austriackich i komendy brygady, tam zajmujemy okopy. Nie wolno składać rysztyunku — bałagan jakiś niepotrzebny. Porozbijali na bataljony, a teraz znowu rozbijają na kompanje! Szlag by trafił takie załapanie losu koleje.

W południe przesunęliśmy się w tył, tam, gdzie stoi Sław i 2 kompanja. Linja ciągle grzechocze. — Moskale podsuwają się nieprzerwanie.

O tym wymarszu na 11-go ciągle rajcują. Sław mówi, że prawdopodobnie 11-go odmaszerujemy do Kowla na 2-tygodniowy „wipoczynek“.

Podobno w 1 i 3 pułku Brygady nastrój okropny. Pod Rafałową, coś 30 klm. na północ stąd — dostali porządnie w skórę, V bataljon z Olszyną był prawie zupełnie otoczony i cudem się wykaraskał z tych sakramenckich błot. Zgłodniali są ponoć i schorowani strasznie, po 4 dni nie pobierali żywności. To też nastrój jest tam fatalny, gorszy niż roku zeszłego po Łowczówku.

Jesienne deszcze, chłody, głody, zmęczenie—rodzą zaraz ciężkie nastroje. Gwarzą żołnierze o tem, że Komendant rekrutację zupełnie wstrzymał i że miał się wyrazić, jakoby rola nasza miała być skończona...

9 październik. Las pod Kolkami. — Śpimy dzisiaj w okopach na prawo od Kołkowskiej drogi. Rano, gdy się przebudziłem dowiedziałem się, iż w nocy Chłopik, zafrontowiec III plutonu, nieostrożnie postrzelił się w rękę. Po południu przenieśliśmy się na lewo od drogi i obok 2 kompanji mamy rozłożyć biwak. 2, 3, 4 sekcje stawiają ziemianki, a moja — namioty. Nie warto budować ziemianek, a w namiotach można jeszcze wytrzymać.

10 październik. Las pod Kolkami. — Wczorajszy i dzisiejszy dzień przeszedł spokojnie. Od czasu do czasu gwizdnie ostro kula i uderzywszy w drzewo, z jękiem żalonym wypada z drugiej strony.

W nocy nadzwyczajny ruch. Spodziewamy się odwrotu Austrjaków. Na drodze stoją dwa posterunki, które mają natychmiast meldować, jeżeli drogą będą wywiewały tabory lub piechota austriacka. Na linii ciągła strzelanina — od czasu do czasu zagra karabin maszynowy. Za to na prawo o jakieś kilka kilometrów Moskałe otworzyli straszliwy ogień artyleryjski. Pierwszy raz słyszałem coś podobnego. — Widocznie mochy tam atakują...

Wczoraj gruchnęła wieść, że 11-go odchodzimy do Kowla na 2 tygodniowy odpoczynek.

RAMIĘ W RAMIĘ Z CZWARTAKAMI

12 październik. Okopy pod Koszyszczami.—Dzisiaj zmieniamy II bataljon, który siedzi w okopach. Rozmawiałem z kwatermistrzami o pozycji. Ponoć zupełnie spokojnie, strat nie mają prawie żadnych, kilku zaledwie rannych.

W południe zmieniamy ich. Pierwszy raz na wojnie zdarzyło nam się zmieniać podczas białego dnia. Okopy wygodne, wśród szumiących sosen, w okopach komenda pułku i bataljonu. Zajmujemy odcinek. Moja sekcja i Talarczyka jako ochrona kara-

bina maszynowego, który swą brzuchatą rurą wygląda przez strzelnicę.

W okopie jakiś kapral daje mi skrzynkę granatów i poucza jak się z nimi obchodzić. Są trzy rodzaje: uniwersalne — małutkie, żółte — rzuca się ręcznie lub na żelaznym pręcie wystrzeliwuje się z karabina i czarne, ciężkie również na karabin. Wyśzedł Wyrwa i począł próbować. Nie wszystkie coprawda wybuchają, lecz te, które pękały — wybuchły doskonale. Poza tem puszkowe, ręczne, ogromnie ciężkie granaty.

Na prawo od nas zajmuje okopy 4 legjonowy pułk, pułkownika Roji. Bataljon II nawiązał już z nimi kontakt i „sitwa“ stanęła szybko. Czwartacy do nas ponoć lgną, a wiara na nasze, brygadowe kopyto obrabia ich przy każdej sposobności.

15 października. Okopy pod Koszyszczami.— Mamy tu jeszcze coś tydzień siedzieć, więc postanowiłem budować ziemiankę na sekcję. Niezbyt się chętnie do roboty biorę, lecz przezwyciężyłem niechęć i od samego rana zabieramy się do roboty. Zrobimy porządną ziemiankę na całą sekcję i przestaniemy wreszcie marznąć.

Dzisiaj rok jak włożyliśmy w Łodzi siwe mundury. Pierwszy dzień. Ani mi przez głowę, rok temu, nie przeszło, że ja teraz mogę być gdzieś na krańcu Polski.

Do wieczora wykopaliśmy dół, wbili trzy ciężkie sosny i na nich wsparliśmy długi bal, dla podtrzymania dachu. W nocy obejmuję służbę. — Noc jasna, chłodna. Na ciemnem niebie migocą jaskrawo gwiazdy. Posterunki ciągle coś węższą podejrzanego, więc pozwalam strzelać. Z okopów wedet widać odbłaski ogni placówki rosyjskiej. Usadowiłem się wygodnie w okopku i biłem solidnie. Ze 50 naboí wygarnąłem w kierunku ognia tej placówki.

16 października. Okopy pod Koszyszczami.— Dzień cały mimo nieprzespanej nocy pracujemy nad ziemianką i to tak namiętnie, że dr. Kwaśniewski naderwał sobie coś w krzyżu i chodzi zgięty w precel. Co chwila trzeszcząc złowrogo, z szumem gałęzi wali się ogromna sosna. Boki robimy z dużych sosen, kładzionych jedna na drugą. Sosny potężne, to też osiem naszych ramion z całej sekcji, niezbyt masyśnych z ledwością sobie daje radę. — Ale jakoś pomaleńku idzie. Do południa ułożyliśmy ścianę boczną, a po południu nakrywamy dach. 40 małych sosen paść musiało pod siekierami. Okienko zdobyłem „na lewo“ w komendzie pułku, tak że ziemianka dość morowo się przedstawia.

W nocy śpimy spokojnie, jak zwykle w butach.

17 październik. Okopy pod Koszyszczami.—Kończę już dzisiaj ziemiankę. Do komendy bataljonu nazwozili cegiel, więc co raz to któryś z chłopców „nehmen“ robi i przynosi 2 cegły. Koło pieca najwięcej debatów i kłopotów. Chodzi o to, by go tak urządzić żeby i dostatecznie ogrzewał ziemiankę i żeby można, choć 3 kociołki gotować nad ogniem i jeszcze jeden ważny warunek, by piec nie dymił. Tymczasem rozkoszujemy się tem czem jest.

W nocy moja i Władka Łęckiego sekcje mają służbę. Chwała Bogu, dzięki ziemiance, chłopcy na pogotowiu nie będą marznąć. Noc cicha, księżycowa, przechodzi spokojnie. Zimno jest zato sakramenckie i chłopcy mimo koców na nogach djabło marzną. O 4-ej strzelanie. Nie wiemy poco i naco, dość, że punkt o 4-ej nad ranem kompanja 2 zaczyna walić na cały regulator.

Dopiero nad ranem dowiedzieliśmy się co to oznacza. Stałem przy telefonie pułkowym i słyszałem fonogram. Berbecki podaje, że o 4-ej rano odparł silny atak rosyjski. Chodzi o ściągnięcie rezerw od austriaków, ponieważ tutaj zupełnie ich niema.

18 październik. Okopy pod Koszyszczami.—Od dzisiaj obejmuję funkcję sierżanta linowego kompanji. Zaraz też objąłem ją od Rusina, który dostaje III pluton i o 3-ej po poł. idę z całym plutonem i ze Stykiem na artyleryjski patrol wprzód. Mamy pójść w las na 1000 kroków.

Pluton rozwija się w tyraljerkę, wysyłając silne ubezpieczenia na lewo. Na prawo mamy łączyć się z kompanją 2. Każda kompanja wysyła jeden pluton wprost na wschód od swych pozycyj. W ten sposób zbada się dokładnie przedpole czyli las przed nami.

Ruszamy. Stasiek Wolski z kompasem w ręku pilnuje kierunku, Maniuś Pacholski i ja „garując się“ — idziemy wtyle. Ja ze szkicownikiem by zdjąć teren — Maniek dla mojej obrony, gdyż ręce mam zajęte a sztucer na plecach.

Przez dwie polany przeciągnęliśmy w spokoju, na pierwszej już łącząc się z kompanją 2. Na przeciwległym, pysznie krwawiącym się jesienną czerwienią dębów, brzegu polany — stanęliśmy. Przed nami wąski pas lasu prześwietlony jasnym światłem polany następnej.

W tej chwili nadbiegł zdyszany Banaszcza z ubezpieczenia lewego z meldunkiem, iż Moskale tam są...

Wnet trzaskać poczęły strzały. Gwizdu kul nie słysząc gdyż ogień bliski, donośne trzaski biją prosto w twarz — wedety rosyjskie o 150 — 200 kroków...

Za chwilę rozgruchotały się manlichery — to odpowiada boczne ubezpieczenie.

Leżymy w tyraljerze w ciągłym ogniu moskiewskim. Jest mi lekko na duszy — o chłopców się nie boję, gdyż złych przeczuć nie mam, na Styka tylko oglądam się z niepokojem, gdyż defiluje sobie wśród linii jak na A — B w Krakowie. A moskiewskie czujki tłuką coraz gęściej i celniej, bo w tej chwili idący z meldunkiem żołnierz z 2-ej kompanji Tinc — przysiadł nagle gdy wyrzwał strzał z pod drzewa... Ma dość — dostał w brzuch.

Zadanie nasze spełnione, wycofujemy się więc a tymczasem patrzę ze zdumieniem jak z tyraljery 2-ej kompanji wyłazi kapitan Sław, major Berbecki i... ksiądz-kapucyn Lenczewski. Po prostu rozpacz!... Oni sobie chadzają na patrole o 150 kroków od Moskali a Sław naturalnie jeszcze się przed tyraljerą wyrывa!...

Wracamy. Tinc umierający, za chwilę na noszach skonał...

W okopach ruch i urwanie głowy, bo przywieźli fasunek intendencki. Na każdego para ciepłej i letniej bielizny, koce i płaszcze, które nagwałt trzeba rozdzielać, gdyż o 5-ej przyszedł rozkaz by się pakować do odwrotu...

Odwrót o 7-ej. Dość wesoło ruszamy, choć niejeden ma speszoną minę, myśląc że Moskale tuż a tymczasem to pepiki gdzieś koło Kulikowa się poddały, więc pozycję musimy opuszczać. Bataljon nasz zostawia 2-ą kompanję na osłonę odwrotu, poza tem nasza kompanja zostawia dwie sekcje. Pluton 1-y służbowy więc zostaje 1 i 4 sekcja z Ojczulkiem-Czachowskim.

Wycofujemy się. Na pozycji Ojczulek puszcza ciągle rakiety a wedety mają rozkaz walić bez przerwy. Odwrót prowadzi Narbutt, gdyż Sław zostaje z osłonową 2 kompanją.

Obawiam się trochę o chłopców, lecz Styk mię pociesza, że Moskale pojęcia nie mają o naszym odwrocie.

Zapadła tymczasem ciemna choć gwiazdzista noc. Maszerujemy powoli, a każdy nasłuchuje odgłosów z linii. Tam spokój. Prócz monotonnego pukania wedet i migotania rakiet żadnego żywszego ruchu nie słysząc. Cisza — tylko las poważnie szumi nad głowami. Z żalem myślę o naszych ciepłych ziemiankach, o tych krzyżach z rozłożonemi ramionami nad grobami czwartaków, których Moskale nie uszanują..

O trzy kilometry za pierwszą linią rozciąga się żółtym pasem druga linja niewykończonych jeszcze okopów. Za tą linią rozbijamy namioty i kładziemy się spać.

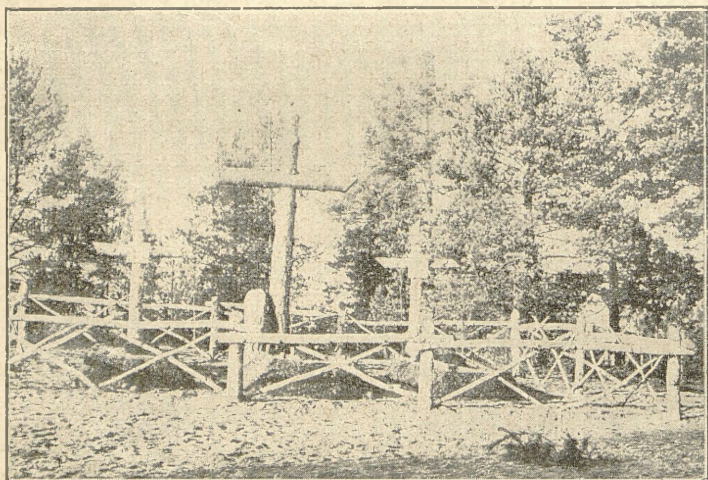
19 października. Powrót na pozycję I-ej linii. — Spałem z Adkiem Goldenbergiem w namiocie. O 6-ej rano budzę się i pierw-

szego lepszego głosu odzywającego się z zewnątrz pytam co słychać, czy nasze dwie sekcje i 2 kompanja wróciły? — Nie, jeszcze nie wróciły...

Jakoż rzeczywiście od strony dawnych okopów polatują ciągle strzały. Ciekawe...

Po śniadaniu sytuacja się wyjaśniła. W nocy połatano dziury powyrywane przez pepików, a więc i my wracamy na pozycję. „Komendant jest na pozycji tak znaczy i ja muszę być z pułkiem” — powiada Berbecki.

Wracamy więc. Na czele Narbutt, Styk i świeży nabytek bataljonu ppor. Ordon-Jędrzejewicz¹⁾, z bataljonu warszawskiego.



Groby czwartaków pod Koszyszczami.

Pozycje zajmujemy te same, choć przesunięte nieco w lewo. Nasz pluton przesunął się zaledwie o 30 kroków, lecz to wystarczyło by I-a sekcja straciła swą morową ziemiankę, którą z takim trudem wykończyła. Ledwieśmy doszli do okopów zdaleka już woła Czachowski: — Oddaj rückzug, oddaj rückzug!...

Wybaczamy im wspaniałomyślnie, gdyż orkę mieli w nocy szaloną a wygląd mają skonany okropnie. Dwie noce zrzędu służby: przedostatnia zwykła a ostatnio przez cały czas musieli pełnić służbę w pełnym rynsztunku, bez zmruczenia oka i po 4 godziny, stać na wedecie. Tak miała 1-a sekcja, a 4-a od odcinka plutonu do Austriaków — a więc przez długość odcinka całej

¹⁾ Obecnie pplk. Szt. Gen.

kompanji — musiała nawiązywać łączność z dragonami, bezustanku strzelać i puszczać rakiety. Prócz tego musieli palić ogniska, więc praca była rzeczywiście szalona. Sław ciągle Ojczulka Czachowskiego wizytował, bacząc by wszystko było w porządku. To też kapitanisko minę ma zmęczoną okrutnie...

Przez cały dzień i noc 1-a i 4-a sekcja spały. Dostaliśmy przydział amunicji i granatów — co drugi człowiek ma granat. No, niech teraz mochy atakują!...

20 październik. Okopy pod Koszyszczami.—Nie nie wskazywało, aby dzień miał być ruchliwy, a tymczasem stało się inaczej. Około 5-ej po południu przyszedł rozkaz o pełnem pogotowiu kompanji: pluton służbowy w strzelnicach, placówka przed drutami na swoim miejscu. A no — komenda spodziewa się snadź ataku. Styk mówi, iż czwartacy schwytali kilku jeńców, którzy zeznali ponoć o szykującym się na 6 wieczór ataku na odcinek nasz i 4 pułku. Więc pogotowie! Amunicji nasprawdzano huk, wiara się cieszy, spodziewając się porządnej roboty.

Niedługo pod zmierzch — gdy jasno jeszcze było w lesie — placówka nasza poczęła bić i to bić sakramencko. Stojąc, oparci o drzewa, tłuką aż się trzęsie las...

Wiara do strzelnic! Patrzę i widzę jak na tle jasnej przed nami polany przesuwają się pokurczeni, pochyleni do ziemi Moskale. Czarne, zgięte cienie przesuwają się szybko, zupełnie do nas bokiem.

„Celownik 300 — strzelać!“ — pada komenda. Walimy jak sto djabłów. Wali też i 1 i 3 kompanja i za chwilę cały las trzęsie się od ognia, a już jeden, nieprzerwany łomot szedł przez las, gdy zagrał Rokita-Maksymowicz na swych karabinach maszynowych.

Do zmierzchu z małemi przerwami łupiliśmy tak i to z porządnym skutkiem. Okazuje się, iż bijemy do Moskali flankowym ogniem z powodu zagięcia okopów i jak tylko zaczyna się strzelanina z prawego, z odcinka czwartaków — my w tej chwili łupimy na całego. I tak do wieczora w ciągłej strzelaninie i ogniu staliśmy w okopach.

2 kompanja złapała znów jeńca, który zeznaje, iż dziewięć rot (kompanji) ma nas znów w nocy atakować. Prócz tego, czwartacy przejęli jakiś rozkaz — tak że jesteśmy o wszystkich ruchach moskiewskich doskonale poinformowani.

O 6-ej wieczór, o 1-ej w nocy i o świcie kompanje mają być przy strzelnicach. Widocznie na te godziny spodziewają się ataku.

O 6-ej cisza, natomiast koło 8-ej od prawego zerwała się strzelanina, przeniosła się na 1 kompanję i na nas. Karabiny maszynowe poczęły wściekle grać i ogień karabinowy rwał w las, ogromnym, bezładnym trzaskiem. Za chwilę błyskać poczęły za nami baterje i z szumem granaty i szrapnele poczęły pracować w las, tak iż łoskot tysiącami ech powtarzany, potężniał jeszcze bardziej. Co chwila wspaniałym łukiem opadała w las rakietą...

W głuchej ciemności nocy okopy migocą wstęgą ognia, co chwila zielonawym, migotliwym blaskiem zrywają się rakiety, las ryją granaty, z piekielnym trzaskiem pękają szrapnele, a sosny cicho szumią, jakby zdziwione tem piekłem gromów...

Tak wyglądają w komunikacie słowa: „Nad Korminem odparliśmy nowe, silne ataki nieprzyjaciół”.

Z pół godziny trwało to szalone piekło. Na lewo od nas dragoni austriaccy zupełnie poprawnie się zachowują. Nie słyszą, nie widzą nic — więc siedzą cicho, nie zarażając się od nas ogniem. Reszta nocy przeszła w spokoju. Wedety czujne, ani jeden strzał nie zmąca ciszy nocnej.

21 październik. Wyprawa Wyrwy. — Zbudziła nas silna strzelanina z lewej i wołanie: „Do strzelnic”. Skoczyłem z ziemianki, a już siwe mundury wypatrywały celów przez wąskie strzelnice. Na lewo, na odcinku dragonów i II plutonu rwał w las silny ogień...

Szron pobilił okopy i sosny cicho, poważnie szumią. Świt osrebrzył las... Od strony Moskali różowa jutrzienka rzuca delikatne refleksy na srebrny szron... Ogień karabinowy grzmiał coraz potężniej, aż po jakichś 20 minutach zcichł.

Moskale się okopali na brzegu lasu o 200 kroków od naszych okopów, za wzgórzem, lecz jakoś nie atakują. Zamiast okopać się, by mieć pole ostrzału — położyli się za martwe pole.

Nagle — cóż u licha!... Okopy ucichły — a ponad przedpiersia zaczynają się wychylać ciekawe głowy. Za chwilę Sław i Berbecki stają na okopach i przez lornetki wypatrują. Lecz nie potrzeba lornetek, bo oto widzimy jak jeden, drugi, trzeci Moskal jasnymi plamami odbijają się od ciemnej zieleni lasu. Lecz co to ma znaczyć? — Albo oni nie wiedzą, że są tak blisko od nas, albo chcą się poddać, gdyż chodzą sobie nie skurczeni, nie chyłkiem, a całkiem przyzwoicie wyprostowani. Jakoż oficerowie doszli do tego samego wniosku, gdyż Rybak na rozkaz Sława zabiera 12 ludzi i z naszego odcinka idzie w las. Zajdzie im na tyły i postara się wyfasować co można. I rzeczywiście — w kilka minut widzimy u Moskali ruch. Przesuwają się grupkami, latają

w różne strony, zaniepokojeni, strwożeni. Za chwilę z lasu dołatały krótkie, jędrne, młode „hura!“ Kilka strzałów, między jasnymi szynelami gorączka i popłoch. Wyciągamy ciekawie szyje, stojąc na przedpiersiach i wołamy wesoło do Moskali, którzy całą bandą, kłusem, lecz bez broni biegną w stronę naszych okopów. Wpadło ich około 50-ciu. To patrol z 2-giej kompanji i Rybak zaszli im z boku, z bagnietem z punktu się na nich rzucili, co taki miało skutek, że część skroili w las do siebie, a część wpadła przerażona do naszych okopów.

Okolo godziny 10-ej rano dla dopełnienia triumfów nocy i dnia dzisiejszego Wyrwa wypadł z dwiema kompanjami. Wrócili ze śpiewem, rozradowani, gnając przed sobą bezładną kupę jeńca. — Kolumną czwórkową, jak na paradzie, ostrym krokiem i z porywającą pieśnią strzelecką — wynurzyli się z lasu. Na przedzie kolumny z rozwianą peleryną — Wyrwa.

II bataljon spisał się świetnie. Wyrwa wpadł z krzykiem, a bez strzału na okopy rosyjskie, w których zastał zmieniające się właśnie rotę moskiewskie, narobił tam wściekłego bigosu, stracił jeden palec, odstrzelony jakiemuś dłubnoskowi — a sam z dwiema kompanjami nakłuwszy i nafasowawszy coniemiarę Iwanów i Waniek, przyprowadził ich 150. — Jubel i fest w pułku ogromny!...

23 październik. Las pod Koszyszczami. — Dzisiaj bataljon nasz przechodzi do rezerwy. Czas na to już najwyższy, gdyż siedzimy 12 dni w okopach i wiara zmordowana solidnie.

O 2-ej po południu zmienił nas II bataljon i odmarsz do rezerwy. Ziemianki widocznie tam są, gdyż poszli kwatermistrze.

24 październik. Las pod Koszyszczami. — Wracamy dzisiaj do bataljonu i tam się okaże, co mamy robić — czy kopać nowe ziemianki, czy też stać przy Narbucie. Przy bataljonie staliśmy prawie cały dzień, czekając na decyzję Komendanta, czy nam pozwoli przy drodze odwrotu budować ziemianki.

Po zjedzeniu obiadu wziął mię Sław i poszliśmy we trójkę z Bończą-Karwackim obejrzeć miejsce na ziemianki. Sław mówił, że prawdopodobnie jeszcze raz tu wrócimy, gdyż Komendant chce nam dać odpoczynek na zimę i to dwumiesięczny. Bończa odszedł, a wrócił do kompanji Styk, który przez kilka dni był niezdrowy.

25 październik. Las pod Koszyszczami. — Pod wieczór zawezwano mię do pułku, do Berbeckiego, by rysować mu mapę. Okazało się jednak, że nie byłem potrzebny.

Na linji spokój, tylko od czasu do czasu na lewo, koło dragonów, zatrzeszczy karabin maszynowy, rosyjski. Podobno jest to automatyczny 25-strzałowy karabin.

26 październik. *Las pod Koszyszczami.* — Dzień przeszedł zupełnie spokojnie. Wieczorem w ziemiance rozpaliliśmy wesóły ogień ze szczap suchej brzozy. Ja czytam „Pana Tadeusza” — Zygmunt pisze list. — A potem, gdy już znikł płomień i jeno czerwone, żarzące węgle rzucały błady odbłask na ziemiankę, rozgadaliśmy się i gwarzyli do późna. Późno już wieczorem przyszedł Michał Pawelczyk¹⁾, dyżurny dzisiaj i przyniósł mi list z domu.

28 październik. *Las pod Koszyszczami.* — Spadł dzisiaj pierwszy śnieg... Rano gdyśmy wyszli z chłodnej ziemianki, las stał cały w osrebrzonym śnie. Na przedziwnie srebrne, oszroniałe gałązki padają pierwsze, różowe promienie słońca, chłodne już jak blask księżyca...

W południe nadciągnęły chmury ciemne i na szumiący las cicho zaczął opadać pierwszy śnieg... Z jakąż radością patrzyło się ongi na pierwsze, leciuchne płatki śniegu... A teraz już po raz drugi patrzymy z niepokojem na kręcące się w powietrzu białe płatki — zwiastuny zimy, ciężkiej i złej dla żołnierskiej doli...

Zeszłego roku spadł pierwszy śnieg w dzień bitwy pod Krzywopłotami, 16-go listopada...

Zygmuntowi Łojce²⁾, który jedzie na „hinterland“, dałem listy i notesy z dziennikiem, by oddał w domu. Zakląłem go na wszystkie świętości, by czego nie zgubił...

29 październik. *Las pod Koszyszczami.* — Dzisiaj zmienia nas kompanja 2, a my idziemy w tył dwa kilometry do rezerwy korpusu. Rezerwa bowiem pułku — którą jest nasz bataljon — wysyła jedną kompanję do rezerwy korpusu. Kompanja ta pracuje w drugiej linji okopów. Austriacy tu snadź chcą spędzić zimę, gdyż dwie drugie linje obronne są wspaniale umocnione, a druga jest nawet obsadzona.

Z północy od samego rana dudnią głucho działa i coraz bardziej pogłos ich zbliża się ku naszemu odcinkowi. Ani sekundy ciszy w powietrzu. Ciągłe, nieprzerwane dudnienie, a od czasu do czasu dolatuje rechot ognia karabinowego. Sądziłyśmy, że to Moskale atakują, lecz to podobno Austriacy i nasz 1 pułk ze

¹⁾ Zginął pod Kostjuchówką.

²⁾ Obecnie kpt. piechoty.

Śmigłym, Sosnkowskim oraz z V i VI bataljonami, gdzieś tam na północ od Kulikowicz ciężkie prowadzą walki.

Wieczór spędziliśmy przy płonącym ognisku na czytaniu. Zygmunt czyta regulaminy, a ja z rozkoszą zatapiam się w „Panu Tadeuszu“, przenosząc się do cudnego, litewskiego lata. — To lato tak nam szybko na ofensywie zbiegło, że prawie nie odczuliśmy jego rozkoszy. Tłukło się i tłukło, lato ciągle uciekało, a teraz już Boże Narodzenie blisko.

30 październik. *Las pod Koszyszczami.* — Mróz osrebrzył szronem las. Okopy zwały się w jeden biały ścieg z drobnym poszyciem, tak, że zupełnie ich nie widać. Z czystego błękitu wstało słońce i bór poweselał...

Kompanja pracuje, a ja poszedłem wzdłuż okopów, by je naszkicować. Dzień nam cicho zeszedł i spokojnie.

2 listopad. *Las pod Koszyszczami.* — Roboty dzisiaj huk! Od wczoraj została zaprowadzona gospodarka kompanijna, więc cały dzień latania. Rano zaprowadziłem pluton na nabożeństwo polowe, a potem po załatwieniu kilku jeszcze spraw — pojechałem furką do komendy bataljonu.

3 listopad. *Okopy pod Koszyszczami.* — Dzisiaj o 10-ej rano kompanja pomaszerowała na pozycję. Odcinek zajęliśmy ten sam, tylko przesunięty cokolwiek w lewo, o jakieś 30 kroków. Wogóle odcinek obsadzony bardzo gęsto.

4 listopad. *Okopy pod Koszyszczami.* — Gospodarka kompanijna odrazu zasmakowała wszystkim. Na obiad był doskonały gularz z kartoflami i kawą. Styk z Kosiorem przez cały wieczór obgadawali sprawę zaprowjantowania.

Wieczorem u Styka gadaliśmy o bitwach, o Swojkowie, Kamieńcu, Konarach. Styk powiada, że cudniejszego ataku, jak pod Kamieńcem, nie widział jeszcze. Polkowski, który patrzył z lasku na nasze posuwanie się, miał Stykowi mówić, że było to coś bajecznego. Linja śpiewając, rwała w chmurze dymu szrapnelowego i w chmurze kurzu, jaki wznosiły kule. A Swojków — to atak regulaminowy...

5 listopad. *Okopy pod Koszyszczami.* — Dostaliśmy dzisiaj nominacje: Rybak, Adek Goldenberg i ja na sierżantów, dr. Kwaśniewski. Władek Łęcki i Talarczyk na kaprali. Maniś Pacholski i Zygmunt Chabowski na starszych żołnierzach.

U nas w okopach spokój. Od ostatniego z 20 października ataku Moskali — na linji cisza zupełna. Wedety spokojnie stoją przed drutami, pogotowie w ziemiankach. Rano, po ściągnięciu

wedet udaje się zwykle patrol z kilku ludzi wprzód i zagłębia się w las na 1500 kroków. Dotąd jeszcze ani razu nie spotkali mochów, którzy bardzo wcześnie schodzą z posterunków. — Lecz na lewo, za Styrem, pod Siennem, Komorowem, Kulikowiczami tłuką się bez przerwy od kilku dni.

Ciemną płachtę nieba raz po raz rozrywają tam błyski armat i wybuchy pocisków. Są chwile, gdy obydwie strony naraz bić poczną ze wszystkich stron. Cisza, tylko w lekkim, delikatnym szmerze ognia karabinowego widać dziesiątki błysków, zlewających się w jeden ogromny błysk — a dopiero po chwili dochodzi do uszu długi, nieprzerwany pomruk dział i głośniejszy grzmot bliższych bateryj.

6 listopada. Okopy pod Koszyszcami. — Wieczorem przysłała poczta. Gazet sporo, najwcześniejsza z 1 listopada. Prusacy domagają się w Warszawie, by jak najprędzej otwarto polski uniwersytet, obiecują wszystkie koszty wziąć na siebie, chcą widocznie ludność Warszawy sobie zjednać. Poza tem pogłoski o opuszczeniu Warszawy przez Prusaków i zajęciu jej przez Austriaków mnożą się coraz więcej. Mówią poza tem o otwarciu urlopów...

7 listopada. Okopy pod Koszyszcami. — Noce są teraz ciemne djabelnie. Wieczory spędzam albo w ziemiance Styka, albo u Chabowskiego i Siewicza. Mam trochę gazet, więc czytujemy je wieczorem przy ognisku.

8 listopada. — Dzisiaj rano po półtorarocznym pobycie na froncie, po 14-u miesiącach walk losowały plutony urlop. Wylosował pluton 2-gi. Narazie bardzo skąpo, gdyż tylko jeden żołnierz na kompanję może wyjechać. Przy rozpatrywaniu, którzy żołnierze są najdłużej i najdawniej w linii okazało się, że najdłużej, bo bez przerwy, jest nasza piątka skautowa: Goldenberg, Chabowski, Pacholski, Łęcki i ja oraz Banaszczyk, Ostalski z Tomaszowa i Szczerbiec-Jaworski, który jest jeszcze dłużej od nas, bo bez przerwy od sierpnia 14-go roku.

9 listopada. — Maniek Pacholski ma służbę w bataljonie i przyniósł sporo wiadomości o grupie Śmigłego i drugiej brygadzie. Przyjechał stamtąd Borek i opowiadał, jaka tam bryndza. A więc pułk 1 ponoć liczy zaledwie 200 ludzi, reszta, t. j. większa część pochorowała się, pozostali — ranni. Bałagan tam okropny. Obok naszej kompanji walczy pruska, dalej rosyjska, bo linja coraz to się wygina, preży i ciągle stąd wynikające dziury, trzeba natychmiast łątać.

Januszajtis¹⁾ poniósł duże straty, gdyż na skrzydłach jego pułku poddały się pułki 95 i 15. Prusacy natomiast biją się wprost wspaniale, choć bryndza u nich jest większa niż u nas. Takie wiadomości przywiózł porucznik Borek.

10 listopad. Okopy pod Koszyszczami. — Dzień dzisiaj śliczny, wiatr z zachodniego zmienił się na wschodni, rozgonił precz ciężkie, smutne chmury i pozwolił wyjrzeć na świat jasnemu słońku.

Poweselały okopy w złotych blaskach... Las ponury, ciemny, tajemniczo szumiący zmienił swój tęskny szum — na rażny, wesoły gwar.

Przy drutach ruch. Styk ciągle piłuje plutony, by odcinek swój jak najlepiej drutowały i ubezpieczały. Druty zaciągamy w piłę, w ten sposób, że wzdłuż drutu flankować będą kule, z wycelowanych, specjalnie na ten cel przeznaczonych karabinów. W ten sposób dojście do drutów staje się poprostu niemożliwe.

Po południu poszedłem do 4-go pułku, do adjutanta Relidzyńskiego. Długo z nim rozmawiałem o sprawach naszych wewnętrznych, o sprawach, które dla nas, znających doskonale dusze swych pułków, są ciekawe i zajmujące. Dowiedziałem się, w jakim my świetle jesteśmy znani u nich, poznałem stosunki wzajemne...

Ciepły wieczór. Z okopów rozwłóczą się leniwie dymy ognisk i toną w siwych, mętnych mgłach, podnoszących się z błot i polan.

15 listopad. Okopy pod Koszyszczami. — Kończymy dzisiaj pracowicie ziemiankę. Oszalowaliśmy już wszystkie ściany — tylko narzucić dach i przekopać przejście. Zmartwieniem jedynym jest to, że niema okna i piecyka. Bez tego ziemianka ogromnie traci.

Przyjechał dzisiaj Rowecki od Śmigłego i przywiózł sporo wiadomości. Wczoraj odbył się atak całego korpusu pruskiego, który się udał i Moskale zostali odepchnięci na Styr, to jest na pozycje zimowe. Bataljon Bukackiego²⁾ i 6-ty pułk brały również w tym ataku udział³⁾.

Mnożą się pogłoski o przeniesieniu czwartaków i nas pięтакów do tamtych brygad, walczących obok siebie na jednym odcinku. C. K. Komenda chce nas koniecznie tam przenieść. Nie byłoby tam tak spokojnie, jak tutaj, ale i ruchu by wielkiego nie

¹⁾ Komendant 2 p. p. Legionów, obecnie generał brygady.

²⁾ Kapitan Burhardt-Bukacki, obecnie generał brygady.

³⁾ W tym czasie bataljony Brygady I, IV, V, i VI walczyły pod Jabłonką, Wielkim Miedwieżem, Kukłami, Kostjuchnowką i Kamieniuchą na północ od Korzyszcz (przyp. autora).

było, gdyż i tam się front ustala. Pozatem nowina paskudna, że c. k. Komenda djabli wiedzą z jakiego powodu wstrzymuje urlopy do miejscowości zajętych przez Prusaków. Lecz dopóki my jesteśmy w 7 K. T. D. (Kavallerie Truppen Division) nie jesteśmy pod jej rozkazami i dlatego rzecz prosta w interesie naszych urlopów, chcemy tu siedzieć jak najdłużej.

14 listopad. Okopy pod Koszyszczami. — Dzisiaj rano idziemy do rezerwy za polanę do wsi Dobra Wola. Kompanja 3 pobudowała już tam ziemianki, młodemi choinami wytyczyła ulicę i na tym bezludziu leśnem wybudowała wieś. Na skraju przed pierwszą ziemianką głosi napis na desce, iż jest to wieś Dobra Wola, mężczyzn 79, kobiet 1, dymów 18. Ta jedna—to Kazik, który wczoraj wyjechał na urlop. Ulice we wsi: Kostka Aleksandrowicza, Leona Berbeckiego i Sława-Zwierzyńskiego. Wieś należy do gminy Okopówek, a nad ziemianką Czernego-Szwarcenberga widnieje wielki napis: SOŁTYS.

Puścili dzisiaj plotkę gdzieś od kuchni, że pono co drugą dekadę ma jechać na urlop po czterech żołnierzy z kompanji.

Zakwaterowałem się w ziemiance telefonistów, wprost przemorowej. Bielutka, czysta, ze stolikiem, ławkami i piecykiem i to tylko na nas trzech, Sowę-Winiarskiego, Kaczmareńskiego i mnie.

Dzień chmurny, mży obrzydliwy, nudny, ekliwy kapuśniaczek. Kładziemy się spać dzisiaj dość wcześnie, gdyż niema świec.

15 listopad. Las pod Koszyszczami. — Czytam „Wierną rzeczkę” — „Ocknęło się znów zimno targające wnętrzości i cierpienie coraz wraz jak toporem rozrąbywało głowę”... Upojony jestem i raz jeszcze przejęty podziwem, żeby tak pisać, tak czuć, tak mieć w garści duszę, bijące serce, nerwy, mózg... Skąd on bierze tyle słów, jakże on czuje to czego nie przeżył. Rozumiem wibrować błyskotkami słów jak Kaden, mówić ciepło, porywająco do sere jak Sieroszewski, wspaniale roztaczać obrazy jak Sienkiewicz, lecz żeby tak wczuć się w cierpienie, w mózg, w jaźń człowieka... Aż mi dech zapierało, włosy jeżyły się na głowie, gdy czytałem śmierć Herburta Olbromskiego. Poco, poco! — Zrywało się we mnie, jak burza pytanie Miji, za co oni giną... — i w odpowiedzi stawała mi przed oczyma błada, spokojna twarz Grudzińskiego, jego stalowe oczy, wzniosłe, piękne oblicze Długosza, twarze Jurka i Antka...

16 listopad. Las pod Koszyszczami. — Dostałem dzisiaj list z domu, poza tem mamy kupę gazet i ilustrowanych tygodników polskich, Z nieszczęsną Serbją już się kończy. Mają jeszcze skrawek gór, lecz ponoć za dwa tygodnie będzie z nią koniec. Ciągłe

gadają, że jakiś korpus już jest w Kowlu, że ma nas zmienić, lecz ja w to nie wierzę. Zresztą nie zbieram plotek, jakoś mi wszystko jedno. Prędzej się spodziewam, że pójdziemy na północ, do tamtych brygad, pod Kulikowicze...

17 listopad. Las pod Koszyszczami. — Na dworze sypie śnieg. Siny blask ogarnął ogromny las, a pod stopami bieli się cudny, sypki miękki puch. Pokrył już ziemię na stopę.

18 listopad. Las pod Koszyszczami. — W nocy mieliśmy nadzwyczajne awantury. Śnieg grubą powłoką okrywając ziemiankę, w połowie nocy stał i wszystkim zaczęła skandalicznie kapać woda na głowy. Zmokłem tak, że nad ranem musiałem zmienić bieliznę.



Kpt. Sław-Zwierzyński z podporucznikami Roweckim i Trapszą w okopach pod Koszyszczami.

19 listopad. Las pod Koszyszczami. — I nagle z robionej, maskowanej obojętności, z lekkiej nadziei, tajonej głęboko na dnie duszyprzechodzę do najwyższej radości. Ręka mi się trzęsie, nie mogę więcej pisać...

Jadę na urlop!... Jadę na urlop!...

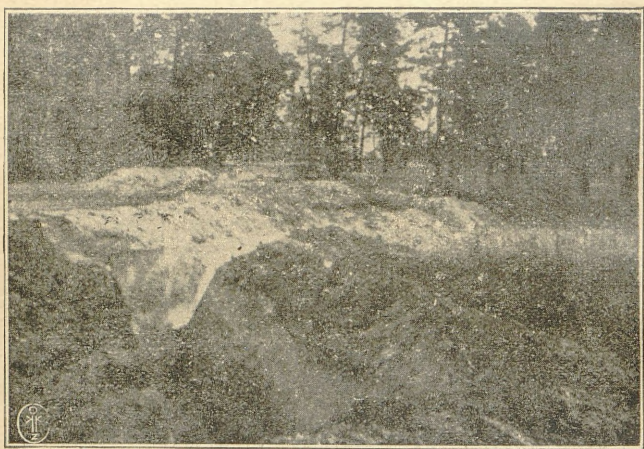
Następnego dnia. Wczoraj noc całą snił mi się urlop. A więc powitanie w domu, radość, odpoczynek, zapomnienie...

Wypiłem kawę w ziemiance 1-ej sekcji i zaszedłem do kompanji, chcąc się dowiedzieć co przywiózł Ostalski. Tam mi Styk mówi, że Ojczulek poszedł z losami. Szybko wpadłem do 3-ej sekcji, gdzie Wojtowicz trzymał pięć zapalek. Błyskawicznie nasuwają mi się myśli: „5 zapalek. Buch na środek“. Lu! I wyciągam pierwszą urwaną zapalkę. — Urlop!...

Wieczór cały przeszedł nam na opowiadaniu. Maniusz Pachot-ski i Zygmunt Chabowski są zadowoleni, że ja jadę, a nie kto in-iy, choć każdy by z nich wolał, by on był tym szczęśliwcem. Zupełnie naturalne.

Losowali: Zygmunt, Maniek, Adek, Ostalski i ja. Banaszczak i Władek Łęcki mają odłożone urlopy z powodu gry w karty.

21 listopad. Okopy pod Koszyszczami. — Dzień mroźny, suchy. Jakaś świeżość i raźna podnieta bije od oszroniałych drzew i my też raźno, równym krokiem po suchej grudzie maszerujemy wesolo przygwizdując, by zmienić w okopach 3-cią kompanję.



Ganki dobiegowe pod Koszyszczami.

Odcinek zajmujemy ten sam. Ziemianka nasza już ukończona, tylko niema okna i pieca. Po obiedzie wzięliśmy się do roboty. Z szylku fryzjera z Kolek ukręciliśmy solidną rurę, blachę na piec „gwizdnął“ z ziemianki Berbeckiego Zygmunt Chabowski. Piec stanął, lecz straszliwie kopcały i dymiały.

Badyl Ostalski znów jedzie po zakupy. W ostatniej chwili, gdy już położyłem się spać, przyszło mi na myśl, że mógłbym pojechać z nim do Kolek, dać do przerobienia płaszcz. Zerwałem się z pryczy i pogałem do Styka. Mogę pójść, tylko mam jeszcze dziś załatwić sprawę z drutami.

Bajeczna jest ta wojna. Tam, gdzieś daleko za linją, rezerwy gotowe są prawdopodobnie do natychmiastowego wymarszu. Nie wolno im butów zdejmować, spać, okrutne słowem pogotowie. A my dzisiaj w okopach robieramy się do koszuli, na

czystych pryzmach wygodnie się rozkładamy. Na pluton jedna sekcja w pogotowiu, dwa posterunki przed drutami.

Cisza na linii — nie słyhać ani jednego strzału — szumi sobie poważnie wysoki las, a przed drutami spokojnie chodzą posterunki, pewne, że noc przejdzie spokojnie.

25 listopad. Okopy pod Koszyszczami. — Cudowny dzisiaj dzień! Mgły nad ranem opadły i zmrożone ostrym powiewem wiatru sperliły się na gałęziach sosen cudnemi, białemi warkoczami. Gałęzie brzoź opuściły się lekko w dół, lśniąc jak sople siałaktytów w płomiennych blaskach słońca.

25 listopad. Okopy pod Koszyszczami. — „Jak kto ma pecha to i w łaźni parowej zamarznie“ — powiada Ojczulek Czachowski. Przyszły dzisiaj marszruty urlopowe dla wszystkich, oprócz mnie i Kaucza¹⁾ z 1 kompanji. Do Łodzi zajętej przez Niemców nie puszczają. Ano — trudno się mówi. Głupio mi trochę jest z tego powodu, żal tych moich marzeń o wypoczynku. Jednakowoż teraz, kiedy dom oddalił się odemnie, Bóg wie na jaki przeciąg czasu, a może na zawsze, odczuwam większą tęsknotę, większy, silniejszy jej przypływ.

Przeczytaliśmy dzisiaj w N. Reformie o śmierci Mietka Kalusińskiego pod Kuklami. Przy wzmiance o jego śmierci jest przytoczony krótki list Lucka Frakowskiego²⁾ do rodziców.

27 listopad. Koszyszcze — Stowygoroż — Czernysz. — Opuściliśmy dzisiaj naszą pozycję i przenosimy się do Stowygoroża. Żal nam naszej pozycji, srodze się do niej przyzwyczailiśmy. Dzisiaj mamy być w jakiejś rezerwie, następnie dwa dni na tymczasowych pozycjach, a później na stałych. O 9-ej rano — po zmianie Austriaków — wyruszyliśmy. Na rzadko przez nas obsadzony odcinek wpakowało się moc „awstrijców“, dwa razy tyle, co nas. Jest to 5-ci pułk ułanów. Klną jak sto djabłów, patrząc na nasze niskie, porozwalane, zaniedbane okopy. A wiara nabija się z Austriaków jak tylko może. „Russy daleko? pyta jakiś Czech — „O blisko bardzo, — odpowiada wiarus, — codzień chodzimy do nich i obrzucamy ich granatami, a jak my nie idziemy, to oni zaraz przychodzą“. Niesie jakiś wypasiony Czech czy Rusin kilka łopat i wdaje się w rozmowę z legunem. Idą sobie gwarząc, a legun ciągnie: „A wiecie wy, że teraz będzie „forikung“ nasz na całej linii“. — Austriak aż przysiadł, poczem położył łopaty i stanął. — No ja, panie, odpocznę trochę — mówi, przerażony.

¹⁾ Zginął w grudniu 1918 r. w walkach pod Lwowem.

²⁾ Obecnie kpt. artylerji.

Maszerujemy leśną drogą na Stowygoroż. Droga okropna — gołoledź. Zaczyna śniegiem ostry wiatr. Po drodze mijamy pełną wspomnień polanę stowygoroską, białą — jakby większą. Śnieg już zawiał okopki nasze, pracownicy łopatkami poryte.

Okopy zajęliśmy na prawem skrzydle słynnej drogi Stowygoroż — Czernysz. Odcinek marny — błota, okopy na wierzchu, budowane z darni. Również ziemianki podle — zimne, paśkudne.

Na lewo mamy bataljon II, dalej pułk 1, na prawo pułk dragonów, a jeszcze dalej 15 i Niemcy. O 400 kroków na prawo — wieś Czernysz. Okopy moskiewskie oddalone od nas o 600 — 800 kroków. Austriacy zupełnie nie strzelają, Moskale również. Odcinek spokojny.

28 listopad. Okopy pod Stowygorożem—Czernyszem. — Mróz na dworze siarczysty. Czysty błękit nieba zlewa się na widno kręgu z przedziwną białością śniegu, skrzącego się w promieniach słońca.

Ziemianka nasza ma trochę światła. Dwa małeńkie okienka zrobione z flaszek, dowcipnie skonstruowane. W ziemiance chłodno. Mamy piec coprawda nie dymiący, ale też zupełnie nie grzejący. Koniecznie muszą nam dać piecyki, bo inaczej będzie marnie. W południe, w jasne, rozkoszne, olśniewające południe mroźnego dnia, poszedłem ze Stykiem obejrzeć tyłową drogę, którą ma dojeżdżać fasunek i kuchnia na pozycję. Austriacka kuchnia tutaj nie dojeżdżała. Brali kotły na drągi i przynosili do okopów. Lecz nasza kuchnia będzie dojeżdżać do samych okopów.

30 listopad. Okopy pod Stowygorożem—Czernyszem. — W plutonie zachwycają się „Panną Kazią” Prévosta. Przechodzi z rąk do rąk, śpią z nią, nie rozstają się. Powodzenie ma szalone.

1 grudzień. Okopy pod Stowygorożem—Czernyszem. — W ziemiance dzisiaj gwaro nadzwyczajnie. Po obiedzie dano nam herbatę z rumem i ostatniego trochę za wiele, gdyż chłopcy co słabsi na takie fasunki — podchmielili sobie. Nastrój też jest nadzwyczaj wesoły.

W ziemiance jest „zugsführer” austriacki. Rumun z 9-go pułku. Dość morowy jest ten pułk 9-ty, sąsiadujący z nami. Składa się przeważnie z Rumunów, z małym procentem Polaków.

5 grudzień. Okopy pod Stowygorożem—Czernyszem. — Mamy na naszym odcinku pruską artylerję, która bije duszącemi gazami. Leci sobie taki „śrapnel” i jak trzepnie zielonawym dy-

mem to aż głuchnie las. Biją chlorem i to wówczas, gdy wiatr wieje w stronę Moskali.

4 grudzień. Okopy pod Stowygorożem—Czernyszem.—Jestem w komendzie bataljonu. Ziemianka duża, widna, czysta. W tej chwili kapitan Sław rozmawia przez telefon z majorem Berbeckim.

Korzystam z tego, że Flojara niema i spokojnie piszę. Obok, za przedziałem z desek, w drugim pokoju, siedzi Sław, Rowecki. Trapszo.

W ziemiance cisza. Napoleon — warszawianin — ordynans Sława dmie zapamiętałe w piecyk żelazny. Jest cicho, spokojnie, jak w domu. Obok Stebelski, telefonista, czyta Kadenowską „Bitwę pod Konarami”.

Wzięła w łeb nagle przepyszna, mroźna zima. Wiatr dotąd północno-wschodni zmienił się nagle na zachodni i czysty lazur nieba zakłębił rudemi, brudnemi, wilgotnemi chmurami. Wiew ciepły pożera w mig przepyszne śniegi i odsłania rdzawe, zrudziałe błotne rzeki—bajora.

Zakrółowała woda. Nachalnie poczęła się cisnąć najpierw do okopów, a potem do ziemianek, występując nad podłogi z prętów co grubszych i zuchwale zagłądając do prycz.

Niebezpieczeństwo z góry i z dołu. Bo oto wnet poczęły kąśliwe, zimne, wielkie jak groch krople sączyć z dachów i bić po nosie, po rękach, wpadać za kołnierz, cierpliwie a nieprzerwanie spadać na koce, celty. I wiatr, co jak zły, swawolny chłopak szastał się po bagnach, z hukiem po lesie latał, jęklwym szumem napełniał ziemianki — zajrzał do pieca. Zajrzał, dmuchnął mocno a złośliwie, wysoko zakręcił pękem ognia i dymem napełnił ziemiankę. I tak w ustawicznej walce o suchość i czyste powietrze przeszedł nam dzień...

Woda pozalewała okopy i rowy, powystępowała na wszystkie opadłości gruntu. Z przodu od strony Moskali okopy wyglądają jak mury twierdzy, jako że wszystkie są narzutowo budowane z drzewa i darni.

PIERWSZY URLOP.

11 grudzień. A więc stało się!!! Dostałem dzisiaj dokument podróży i jadę z Wackiem Kauczem z 1 kompanji na urlop. Uwierzyłem dopiero, gdy spakowany, pożegnawszy się z chłopcami, Stykiem, Flojarem i całą kompanją, ruszyłem ostrym krokiem do Kołek.

Dokument podróży musiałem zawieźć do Brygady, do podpisu. Zameldował mię jakiś kapral i wszedłem do czystej, wybielonej izby przed oblicze Szefa, trzasnąwszy obcasami. Sosnkowski jeszcze nieubrany, w koszuli, szelkach, ani spojrzał na mnie. Wziął papier, machnął podpis i z tą samą surową, zamkniętą twarzą oddał mi do rąk. Pierwszy raz dokładnie mu się przyjrzałem!...

12 grudzień. Z Maniewicz do Lublina jechaliśmy całą noc. Paskudny, zapchany „manszaftem“ wagon wydawał mi się salonką. Na każdej stacji wyglądałem ciekawie przez zapocone szyby, chcąc jak najprędzej zobaczyć jakąś „cywilną“ osobę, normalną, ludzką twarz — lecz napróżno. Wojsko, wojsko, wojsko — mundury, gwiazdki, komiśniaki.

Po lubelskim, nie nazbyt świetnym bruku chodzimy z uczuciem odświętnym, wzruszającym. Dwanaście miesięcy — od Sącza po Łowczówku — nie czuliśmy pod stopami twardego asfaltu. Po ciężkich, lepkich, błotnistych drogach wołyńskich, po piaszczystych żwirach Podlasia, po różnorakich grudach, wykrociach i bajorach — twardy asfalt kołł nasze stopy jak balsam...

W cukierni każdy z nas zjadł po piętnście coś ciastek...

15 grudzień. Łódź. — O 8-ej wieczór ostro targnąłem za dzwonek. Byłem spokojny, jakby trochę onieśmielony. Jurek, młodszy mój brat, otworzył mi drzwi, poczerwieniał jak burak i bez słowa buchnął w drzwi jadalni. Tam zaczął coś bełkotać bez związku i ładu, aż wszyscy przerażeni porwali się od stołu. „Sytuacja się wyjaśniła“ — gdy stanąłem w drzwiach.

Co było potem, tego nikt nie opíše.

R O K 1916.

4 styczeń. Lublin — Chelme. — Stacja w Chelmie. Brudna, zakopcona, odrażająca.

Wieczór. Wodzę trochę nieprzytomnym wzrokiem po sali, gdyż spałem cztery godziny w oczekiwaniu na pociąg, o którym dotąd ani słyhu. Wokół różnojęzyczny gwar, dialekty od Bałkańskich gór po kaszubską, ciężką gwarę. Przy bufecie, za którym mizdrzą się do feldfebli żydóweczki, stoją zwartą ciżbą butni, głośni Niemcy, za nimi nieśmiało, wstydliwie wypycha się biedny austriacki „manszaft“, który im bliższy frontu, tem bardziej nieszczęśliwy.

Pociągu nie widać — rozkładam nowy, pięknie w skórę oprawny notatnik i rozpoczynam swój codzienny dziennik...

Trzy tygodnie łódzkiego urlopu zleciały mi jak piorun. Trudno mi uwierzyć, że to już po wszystkim. że znów wracam do okopów, ognia, wojny, do marszów ze zgiętym od plecaka grzbietem, do codziennego szarego, a tak pysznego żywota polskiego żołnierza.

Pierwszego zaraz dnia w Łodzi o mało urlopu djabli nie wzięli.

Zameldowaliśmy się we dwójkę z Wackiem Kauczem w „Platzkommando“. Wysoki, opasły szwab przyjął nas grzecznie, lecz z niedowierzaniem począł oglądać nasze dokumenty podróży. Nie bardzo mógł skombinować co to za wojsko, a jeszcze mniej zrozumiał, gdyśmy mu straszliwą niemczyzną poczęli — co zacz jesteśmy — tłumaczyć. Zawezwał wreszcie Poznaniaka, z którym my jako tako dogadaliliśmy się i rzecz się wyjaśniła. „To zaś ale musicie jechać do Piotrkowa, do „Legionskommandy“ — nieprawda!“

Włosy nam powstały na głowie. Tłumaczyliśmy, dowodziliśmy, że urlopy mamy z frontu wprost do Łodzi, nie do Piotrkowa, że tutaj nasze rodziny i t. d. — „No ja, zaś ale do Piotrkowa zaraz jechać musicie“, — powtarzał tępo Poznaniak, a szwab mu skwapliwie przytakiwał, zniecierpliwiony tą przydługą pertrakcją...

Nie było rady. Tego samego dnia w południe byliśmy już w Piotrkowie, zameldowaliśmy się w legjonowej komendzie placu i czekamy na wynik, znów wątpliwy, bo bladawy porucznik z błyszczącymi gwiazdkami patrzył na nas, jak na ostatnie kanalje i długo coś konferował w osobnym pokoju z jakąś wyższą szarżą. Wrócił wreszcie i krótko, węzłowato kazał nam wprost wracać do pułku.

— ...I-a Brygada nie ma prawa wystawiania dokumentów, uczynić to może tylko Komenda Legjonów. Mieście panowie pretensje do pana Piłsudskiego.

Poczerwienieliśmy, słysząc o „panu Piłsudskim“, lecz wyprostowani na baczność, niewątpliwie karni i służbiści, z wyrazem jak największej lojalności na twarzach słuchaliśmy pana „nadporucznika“.

Trzasnąwszy obcasami, szybko wyszliśmy z gmachu, stamtąd wprost na dworzec i to co duchu, by nam nie dodano eskorty, wpadliśmy na pociąg, który właśnie stał pod parą. W półto-rej godziny — wracając do pułku — wstąpiliśmy po drodze do Łodzi, gdzie siedzieliśmy pełne nasze trzy tygodnie urlopowe, bez pretensji do „pana Piłsudskiego“.

Raz tylko coniebądź się speszyłem, gdy przed Grandem ujrzałem przed sobą opasłego „platzkomendanta”. Siarczyste jednak machnięcie dwoma palcami od daszka i zadzierzysta mina przekonały smacznego niemiaszka, że wszystkie moje papiery urlopowe były w idealnym porządku.

Jakoż i tak było. Urlop z Brygady był podpisany przez pułkownika Kazimierza Sosnkowskiego.

Trudno mi pisać o tem wszystkim, co się przez te trzy tygodnie działo. I za dużo byłoby do pisania i — za mało. Swojami szaremi mundurami ruch uczyniliśmy w Łodzi za cały pułk. Po tygodniu byłem już znużony potężnie, bo na wszystkich przyjęciach, kolacjach, wieczorkach i podwieczorkach — opowiadać trzeba było wkrótce ciągle to samo — a słuchacze ciągle mieli mało. Któraś babinka, słysząc o onych wodach, bagnach poleskich, wyobraziła sobie, że my tam stale po pępek stoimy w wodzie i strzelamy — i to tak całymi tygodniami. Inną znów gnębiła troska, czemu nam nie dają kaloszy. Jakiś nieśmiały młodzieniec dopytywał się pilnie, czy to prawda, że w czasie ataku na bagnety, trzeba bagnetem pełnać i zakręcić — i zieleniał na samą myśl o tej okropności.

A troska, ta serdeczna pamięć o nas w polu, którą na każdym kroku spotykaliśmy, jakżeż odmiennym dyktowana była nastrojem. Ta sama Łódź, która 14 miesięcy temu patrzyła na nas, jak na warjatów, szaleńców lub zgoła przekupną zgraję — dziś żyje echemi z nad Styru. Odsuwanie przeszłości, gdzieś jak najdalej za siebie, nowe jakieś pragnienia, tak niedawno niecenzuralne, zdrożne i potępione, nieśmiała myśl, a w końcu pogodzenie się z myślą o niepodległości, uznanie jej za konieczność i wreszcie praca dla niej — to wszystko zatacza coraz szersze, coraz potężniejsze kręgi. I to jest tak pocieszające, tak głęboko radosne. Śmierć Jurka czy Antka szlifuje nowe ostrza, zapala świeże, gorące serca, gotowe pójść walczyć i gimnąć, piękny bogaty wydaje posiew...

Niewolnik poczyną się już kryć po kątach, traci swą dawną pewność siebie — bowiem śmierć wolnych — nowych szeregi szynkuje.

Pisano mi o tych zmianach w listach często, dziś mogłem je stwierdzić naocznie. I jakikolwiek wypadnie nam, żołnierzom polskim, los, jakkolwiek los wojny wypadnie, jedno jest pewną wygraną, wielkiem zwycięstwem naszym: nad marazmami stęchłego bagna niewoli wykwiła w sercach kwiat wolności...

Piszę, piszę, a tu pociąg za chwilę będzie gotów.

5 stycznia. Chelm — Kowel. — Z Chelma wyjechaliśmy osobowym pociągiem i drzemiąc, zajechaliśmy na 12 do Kowla. Pociąg odchodzi do Maniewicz jutro o 10-ej rano, więc czekamy. W Kowlu zgłosiliśmy się do Komendy Placu i przechodząc przez ulicę, ujrzałem Aksamita. Radość ogromna. Jest on tutaj zawezwany do sądu w sprawie jakiegoś chłopca, który denuncjował legjonistę. Jutro jedziemy do Brygady, która stoi w Leszniewce o 20 km od Maniewicz w rezerwie korpusu. Ma tam ponoć dość długo stać, aż do odwołania.

W kompanji — jak powiada Aksamit — wszystko morowo. Styk już przed pięcioma dniami wspominał, że już powinniśmy wracać, a my prawdopodobnie będziemy dopiero 7-go w kompanji.

Wychodząc z cukierni, natknęliśmy się na Edka Pfeiffera. Znów radość! Prowadzi nas do kwatery chrześcijańskiej, gdzie mamy nocować. Na urlopie nie mógł być podczas świąt, bo został wysłany do Besarabji przez Rumunję. Był na tyłach rosyjskich 10 dni, w tajnej misji wywiadowczej. Patrząc na niego, dopiero widzę, jak się my nadzwyczajnie przywiązujemy do siebie, czuję się tak dobrze, tak radośnie w jego towarzystwie. Jak żywe stoją mi przed oczyma nasze dawne kawały, dawne sprawy. Edek, który dużo wie, mówi, że wszystko jest przygotowane do ofensywy. O ofensywie rosyjskiej ma wiadomości, że napewno wiosną się rozpocznie, o czem można się zresztą tu w Kowlu przekonać z kolosalnych przygotowań, jakie korpusy stojące na froncie, czynią w celach obronnych.

Cały wieczór spędziłem u Edka na długiej pogawędce.

6 stycznia. Kowel — Maniewice — Karasin. — Rankiem wyjechaliśmy z Kowla do Maniewicz. Tam na sacji spotkałem wracającego z urlopu kapitana Sława i porucznika Hajeca. Do Karasina wlekliśmy się całe popołudnie i wieczór, przez obrzydliwe błota i bajory. Późnym wieczorem stanęliśmy na kwaterze w Karasinie.

7 stycznia. Karasin. — Leszniewka. — Wstaliśmy o 8-ej. Dzień chmurny, dżdżysty, chłodny. Tuż za Karasinem, siedliśmy przy drodze, zając domowe pierniki i czekając na jakąkolwiek furmankę. Plecaki są tak wyładowane, iż mowy niema, abyśmy mogli zająć piechotę. Nadjechał wreszcie jakiś taboryta od trepów, wywindowaliśmy mu więc plecaki i sami gwarząc, cierpliwie nurzaliśmy się w błocie. Po jakichś dwu godzinach zaszliśmy do Leszniewki. Pluton I budował akurat chodnik z okragłaków, gdy mię ujrzał. Krzyk, radość, piekło i rwetes! Za chwilę

meklowałem się już w komendzie kompanji w ogromnej, ciemnej izbie chłopskiej.

Na obiad zafasował mię sztab. Był Sław, Styk, Rowecki, dr. Kwaśniewski, którym referowałem stosunki na linterlandzie.

Wieczór jeszcze morowszy, gdyż Styk dostał nominację na porucznika. Wnet I pluton zwałił się przed kwaterę z hukaniem i wiwatami i za chwilę „To zabawa jakich mało“, tylko trochę krwi się lało... Wódeczność — krwawe wiśniówki. Turski na skrzypcach, Kosior na gitarze, Adek Goldenberg na mandolinie, Drymer na mandoli, wszystko to razem i każde z osobna — na różną melodję ciągnęło.

10 styczeń. Leszniewka. — Rano o 7-ej Sław z Roweckim pojechali konno na północ, nad Wiesiołuchę do 3 kompanji. Sytuacja nasza w ten sposób się tutaj przedstawia: front biegnie tak samo, jak dawniej, t. j. przez Czernysz, Koszyszcze, Sienki, Nowosiołki, Miedwieżje, Kostjuchnowkę, Optowę, Jezierce. Do Jezierc ciągnie się linja stałych okopów, na północ od nich rozciągnęły się już błota, których pilnują tylko placówki i t. zw. „Jagdkommando“. Dalej na północ od Łobnoje znów ryje się stała linja.

Brygada nasza stoi w Leszniewce i Karasinie, za lewem skrzydłem stałej linji, tworząc jakby jej ochronę z flanki. Błota są ponoć tak paskudne, iż na niektórych odcinkach Austrjaków od Moskali dzieli przestrzeń 10 — 12 km, a gdzieniegdzie i woale kontaktu niema, to też Moskali tam nie można się doszukać. Każdy z naszych pułków wysyła poza tem przed front 11, 1 i 9 dywizji kawalerji, (Kavallerie Truppen Divisions), po jednej kompanji wprzód, dla nawiązania kontaktu z nieprzyjacielem. Są tam prócz tego „Jagdkommando“ (austrjackie oddziały wywiadowcze).

Tam to pojechał Sław, do 3 kompanji Czernejo, która odeszła na front 9 dywizji kawalerji, by patrolować nad rzeczką „Bezimiennaja“.

Czytam z Fłojarem poetów angielskich w przekładzie Kasprowieza i jak na pierwszy dzień po urlopie, jest mi całkiem dobrze.

11 styczeń. Leszniewka. — Wieczorem jesteśmy całą bandą u Styka na koncercie. Jest Sław, Bończa-Karwacki, Pandor-Furgalski, teraz adjutant u swego brata Wyrwy i trochę nas sierżantów. Wieczór przeszedł szybko, gdyż koncert był *prima sort*.

12 *styczeń. Leszniemka.* — O 10-ej mają być ćwiczenia bataljonowe, gdyż dzień mroźny, suchy, choć wietrzny. Wiatr szczypie policzki i od czasu do czasu smaga drobnym, kłującym śniegiem. Bataljon drobnusieńki — daleko mu do tej masy kolumnowej z przed roku z Lipnicy.

15 *styczeń. Leszniemka.* — Zimno w izbie. Huczący wiatr na dworze coraz to wpada do środka i hula po kątach, niebo ciężkie jak olów, od czasu do czasu prześwieca blady, omroczony księżyc. W powietrzu wisi jakby stalowa zasłona, odnosi się wrażenie, jakby powietrze stygło i dziwne, że nie widać wiatru szarpające te szare, osiwiłe mgły.

16 *styczeń. Leszniemka.* — Odbiegła od nas wojna i zda się skryła w mrocznych lasach przed srogą zimą. Pędzimy tryb życia, w którym niezwykłości nikt się nie doszuka. Każdy dzień układa się jednako, te same ciągle chłopskie izby, chłopskie przyźby, kwatery, sprawy kompanijne, fasunki, kuchnie, obiady — że innego życia barwy trudno mi się ryją w pamięci.

Takie to zwykłe, codzienne, takie normalne, jakby od dni dzieciństwa nic innego wokół się nie działo. Myślę, że gdyby przecież tej wojny nie miało być, gdyby nie owiał nas jej ciężki oddech, to dawne, to nasze cywilne życie byłoby dziwnie puste i jałowe. Wszak cała nasza praca skautowa, strzelecka, wszystkie nasze myśli i pragnienia zbiegły się do niej, jak do tego, co musi przyjść nieodwołalnie. Do wojny. I dlatego ona się taką naturalną wydaje i wydawała, gdyśmy ostatni raz opuszczali domowy próg.

17 *styczeń. Leszniemka.* — Zapelniam maczką stronicę notatnika, lecz tylko o sobie, o ludziach, o sprawach dalekich i bliższych. To mi zapelnia długie godziny — poza tem wszystko to samo, po staremu.

Dziś był ruch większy. Wieczorem przyszło uzupełnienie do kompanji — 16 ludzi. Wśród nich ranni z pod Konar: Bronek Grabałowski, Bolek Papierski i Pachowski Kazik. Radość wielka, bo wiara morowa, tak strasznie kochana.

Bronek nie zmienił się prawie zupełnie. W szpitalu przechodził ciężkie zapalenie płuc, z którego ledwie wylazł. Pachowski — o swych dziwnie dziecięcych oczach i andrus jak zwykle Bolek Papierski. Nagadaliśmy się dowoli przez cały wieczór.

W bataljonie biba. Przyjechał podporucznik Żegota-Minich¹⁾, naprzywoził smakołyków i wódki.

¹⁾ Obecnie major Szt. Gen.

18 styczeń. Lesznieвка. — Kompanja 3 naszego bataljonu wymaszerowała na północ w kierunku „Neuhofu“ i Kachowskiej Woli. Na wysokości tej wsi kończy się stała linja frontu i rozpoczynają się linje przerywanych ubezpieczeń, ciągnących się przez pas błot pińskich, nie nadających się zupełnie do jedolitego obsadzenia.

Linję ubezpieczeń zajmuje tutaj 9 dywizja kawalerji (Kaval. Truppen Divis.), a jedna z kompanij naszego pułku (w tym wypadku 3 komp. 5 p. p.), została detaszowana, by wespół z austriackimi „Jagdkommando“ obsadzać odcinki terenu, względnie suche, i ubezpieczać je. Oprócz naszych oddziałów i austriackich są tam również detaszowane oddziały pruskie. Oddziały te zajmują odpowiednie odcinki patrolami, stwarzając punkty oparcia. Jest to rodzaj małych fortów ubezpieczonych ze wszystkich stron — jakoby zameczki graniczne. Z tych punktów oparcia nadzwyczaj silnie umocnionych (spora ilość karabinów maszynowych), wysyłane zostają patrole wprzód dla nawiązania kontaktu z nieprzyjacielem. Patrole rzadko dochodzą do rzeczki Wiesiołuchy, gdyż dostęp ogromnie trudny. Kontaktu z Moskalami dotąd nie udało się nawiązać, gdyż oddaleni są o 10 — 12 km — jeżeli wogóle są. Błota nadzwyczajne — patrole po przebyciu 1½ kilometra wracają przeważnie z meldunkami, iż dalej posuwać się nie można.

Austrjakom sposób naszego patrolowania ogromnie się podoba i nie chcą od siebie puścić Czernego na zmianę.

19 styczeń. Lesznieвка. — Godzina 11 wieczór. W komendzie kompanji ruch. Kosior, nasz prowiantowy sierżant, przywiózł z Kowla sprawunki, więc kwatera wygląda jak odpustowy kramik. Same dobre i drogie rzeczy z pruskiej kantyny kowelskiej.

Dzień dzisiaj śliczny, jasny, słoneczny, mroźny, bez wiatru. Dzień wymarzony na sporty, przechadzki. Powietrze czyste, tak, że słyhać dalekie, dźwięczne huki armat.

Większą część czasu spędziłem w pierwszym plutonie. Zaczyna się już zjeżdżać z urlopów wiara. Odpoczywają, nabierają humoru i werwy — morowieją pod każdym względem. I tak, jak roku zeszłego, pluton nasz w kompanji przewodzi. Mamy orkiestrę, chór, kwartety, kwintety, sola i pełne, duże chóry, poza tem sport.

20 styczeń. Lesznieвка. — W tej chwili orkiestra naszej kompanji przestała grać. Miękkie tony gitary, zalotne, finezyjne dźwięki mandolin — skonały nagłą, raptowną śmiercią przerwanej gry...

Siedziałem zasluchany. Przed oczyma — na tle rozkołysanej muzyką sali — na barwnym tle kobiecych strojów i siwych, błyszczących odznakami oficerskich mundurów — widziałem rozbawione, młode twarze, ów lekki nastrój wieczornego rautu, drażniący zapach perfum. I nagle skroś balowy szum — ktoś głosem radosnym, głosem natchnionym krzyknął: Komendant!...

Jak rażeni gromem, szczękiem ostróg zmaciwszy ciszę, sprężeni stanęli oficerowie... Pochyliły się zagnała postacie niewiast w ukłonie głębokim...

Bo oto, wśród świetnych mundurów adjutanckich, zawadjackich min, pełnych życia skier oczu, pojawił się szary mundur i stalowe oczy Komendanta...

Piłsudski!... Cisza zaległa i stała Mu się pod nogi...

Taki polski, wieczór odrodzenia, polski śnił mi się bal...

Jutro idziemy na północ do 9 dywizji kawalerji do punktu oporu „K” lub „L”.

W kompanji ogromne zmiany. Zostali przydzieleni dwaj nowi podpułkownicy: Koc Wackaw¹⁾ i Żegota-Münnich Tadeusz, Koc I-y, Żegota II-gi objął pluton. Busse-Guzowski został przy swoim.

WSRÓD ROZLEWISK I BŁOT WIESIOŁUCHY.

22 styczeń. *Wymarsz z Leszniewki.* — Dzisiaj maszerujemy na punkt oporu nad Wiesiołuchą, gdzieś pod Jezierce. Mamy 36 km do zrobienia, a będziemy tam siedzieć 10 dni.

O 5-ej rano obudził mnie dyżurny. Na dworze jeszcze noc — blade księżyc oświeślał wieś, srebrzył martwe śniegi, długie sine cienie rzucał z za chałup i rozwianych, szemrzących drzew...

O 7-ej wymarsz.

Lekki mróz. Wczoraj była wilgoć, śniegi potajały, jednak niewiele. Na drodze gołoledź.

Z Leszniewki, obok długiej kolumny taborów 9 dywizji kawalerji, maszerujemy przez Griwę, dużą wieś, a potem drogą Hauera²⁾, z której Austriacy są niezwykle dumni, maszerowaliśmy do 9 dywizji kawalerji.

Droga Hauera rzeczywiście morowa. Na przestrzeni 17 km jeden wiszący most, solidny, mocny. Na stronach lasy, głębokie

¹⁾ Obecnie podpułkownik Szt. Gen.

²⁾ Obecnie major Szt. Gen.

³⁾ Droga Hauera — od nazwiska dowódcy korpusu austriackiego, generała Hauera (przyp. autora).

śniegi i jeziora — rozlewiska zamarzłe, gdzie nigdzie już przez ciepło rozpętane. Zawiodły słynne napoleońskie mrozy rosyjskie — ciepłe dnie, morskie, zachodnie wiatry targają lasami, hulają po polach rzadkich i samotnych, pożerają śniegi, kruszą lody.

Maszerujemy. Kompanja idzie dość wesoło i dobrym krokiem, choć chłopcy odzwyczajeni od marszów, męczą się szybko. Droga wije się wśród błot i kręci ciągle. Coraz to napotykamy oddziały saperskie. Bośniaków w czarnych mundurach, jak baby zakutanych i poowijanych w chusty, brudnych, obnoszących chłopów, zegnanych do robót — prawdziwie sienkiewiczowskie typy. „Nie znam pana“ odpowiadają na pytania, nie nie wiedzą, niczego nie pragną — oprócz końca tej przeklętej, okropnej dla nich wojny...

O 2-ej wchodzimy w pas wzgórz, niedużych co prawda, lecz suchych wysp, rozrzuconych na tych morzach błota i dochodzimy do zabudowań komendy 9 dywizji kawalerji.

Miejscowość ochrzczona mianem „Neues Palais“. Szereg ziemianek najrozmaitszych systemów, ogromne stajnie, wrota, bramy z ciętych brzoźowych pni, mosty, mostki, klomby. A wszędzie tabliczki z napisami oddziałów 9 K. T. D., wszędzie strzałki i strzałeczki; zasiadła se wojna wygodnie, z komfortem umeblowała dziką poleską puszcze.

Kompanja je obiad, a Styk zgłosił się do komendy dywizji po rozkazy.

Wrócił zły! Z tego, co słychać, wnosić można, że będziemy długo tu siedzieć, na żaden „Stitzpunkt“ nie pójdziemy i kto wie — może będziemy budować ziemianki lub zostaniemy ochroną dywizyjnej komendy.

25 styczeń. Nad Wiesioluchą. — Dzień nam przeszedł szybko. Rano po odprawie — poszliśmy obejrzeć pozycje.

Za lasem rozciąga się dolina rzeczki Wiesioluchy — przed nami wzgórza niższe cokolwiek, poryte okopami i ziemiankami — dalej ogromna tafla rozlanej szeroko Wiesioluchy, siniejące lasy i hen daleko wysokie wzgórza, od północnej strony błyszczące śniegami. Okopy zakręcają za Jeziercami, których kopuły cerkiewne majaczą zdala, przechodzą dalej w lewo, flankując ogromne bagno. Dalej od drogi „Trzińskiego“ w kierunku „Fröhlichsdorfu“ (od majora Fröhlicha) ciągnie się linja gęstych placówek w lesie mokrym, ciężkim, przesiąkniętym wilgocią. Po dokładnem zorjentowaniu się w terenie, zaszliśmy do „beobachtung“ — punktu obserwacyjnego artylerji i stamtąd przez

15-krotne lornety rozpatrywaliśmy teren. Artylerja bija na 6000—7000 x, mniej więcej tak daleko jest do Moskali.

Dawno już nie widzieliśmy rozległych widoków, to też z przyjemnością wpatrywaliśmy się w dalekie, siniejące wzgórza, stalowe wody Wiesiołuchy i jasne plamy śniegów.

Styk do tej pory rozkazów żadnych nie dostał, tak, że nie wiemy zupełnie, co będziemy mieć do roboty w onej 9 dywizji kawalerji.

24 styczeń. *Nad Wiesiołuchą.* — O 9-ej rano przyszedł ordynans kapitana, grafa Tyszkiewicza, szefa sztabu dywizji, z rozkazem do Styka.

O 10-ej odprawa. Mamy mieć takie zadanie, jak stojąca tutaj pruska „Jagdkommando“, to jest wywiady na całym froncie 9 dywizji kawalerji i zasięganie języka, o co próżno się stara od dwóch miesięcy austriacka i pruska „Jagdkommando“... Zaraz po odprawie oficerowie, sierżanci, plutonowi, kaprale z całej kompanji — pomaszerowaliśmy na obejrzenie północnej części odcinka 9 dywizji kawalerji, od lewego skrzydła stałych okopów do „Fröhlichsdorfu“. Następnego dnia mamy obejrzeć środkowy odcinek, a dalej — południowy.

Początkowo idziemy drogą „Trzcńskiego“ obok artylerji, a później minawszy okopy pierwszej linji, dochodzimy do placówki Nr. 1. By dojść do niej, musimy przejść kilometrowe zmarzniete bagno, grające wszystkimi kolorami stali. Gładki, bez skazy lód gdzieniegdzie urozmaicony czubami traw, ogromna sino-biała tafla, wpadająca w coraz to inne tony. Jakaś surowość i chłód bije z tej równej płaszczyzny, tak dziwnie podobnej do surowego chłodnego nieba. Tylko idą stalowe, płowe blaski od lodu, gdzieniegdzie wpadającego w perłowo śnieżne tony, gdzie niegdzie sinością stali aż przerażające.

Lód złowrogo trzeszczy pod nogami, lecz wyprawa bez szwanku dochodzi do ściany lasu.

Idziemy teraz drogą zarzuconą sianem, które Austriacy z bagien z przed pozycji zwożą do swych stanowisk i dochodzimy do placówki na przeciwnym brzegu lasu, nad drugim obszernym bagnem, również pokrytem lodem. Stąd do placówki Nr. 1 — skręcamy w lewo i kierując się na północno-zachód znowu przez lody, ledwie że zamarzniete bagna, ciągle zapadając się w wodę, gdyż lód nie wytrzymuje — dochodzimy do placówki Nr. 2 i następnie wzdłuż linji drutów do placówki Nr. 4, za linję drutów...

Równolegle do nich idzie kładka w lesie i tylko nią posuwać się można — gdyż las, dziewicza puszcza! Olbrzymie, pozwalane

wichrami jesiennemi sosny, gnijące od szeregu lat, całe zwałiska drzew, pni i krzaków, gęszcze nieprzebyte krzewów i to wszystko wśród rozlanych wód, trzęsawisk i błot. Wspaniała, dzika przyroda!

Co kilkadziesiąt kroków na drzewie, na wygodnym balkonie, wedeta. Wśród błotnistego lasu, długi, wąski na krok most z poręczą, otoczony zasiekami i koleczastymi drutami. To linja ochronna bagien. Posterunki tu w zupełności wystarczają, by się jakowyś patrol nie przedostał, gdyż o maszerowaniu tyraljerki mowy być nie może.

Po obejrzeniu linji placówek, doszliśmy do ślicznych ziemianek i domków leśnych „Fröhlichsdorfu“, a stamtąd drogą Trzińskiego z powrotem do „Neues Palais“. Przed wieczorem byliśmy u siebie.



Ruiny cerkwi w Jeziercach.

26 styczeń. *Nad Wiesiołuchą.* — Wczoraj obejrzelśmy odcinek środkowy, dziś przed południem obeszlśmy skrajny południowy, razem z austriackim i pruskim oddziałem.

Dzień chmurny, mokry, przenikliwy kapuśniaczek sący się brudnych chmur, na brudną, przygniłą ziemię. Maszerujemy dość szybko i po obejrzeniu reduty na południe od Jezierc — wzdłuż ogromnego rozlewiska, skutego czerniejącym, siwym lodem — dochodzimy do straszliwie pocharatanej granatami cerkwi w Jeziercach. Poczeliśmy tam udawać świst granatów i karabinowych kul, lecz to było zbędne, gdyż za chwilę w zamgłonej ciszy powietrza jędrnie zagrzmiął strzał i autentyczny świst targnął powietrzem. Za chwilę drugi, trzeci.

Maszerujemy szeregiem dość wesoło, ironicznie spoglądając na pruskich leutnantów, z których jeden przypadł gwałtownie do ziemi, gdy pierwszy świst kuli rozdarł mgłę.

Za chwilę zatrzepotała salwa — dobrze nas wzięli, bo kule prały w błoto pod same nogi. Pruski leutnant nawoływać począł do „szwarmu“ swoją bandę a i Styk rozrzucił nas w zgrabniutką linię.

W południe byliśmy już w ziemiankach. Póki nie nastaną mrozy roboty żadnej nie będzie.

28 styczeń. Nad Wiesiołuchą. — Pięć dni już minęło jak tu jesteśmy przy dywizji, bez żadnej narazie awantury. Ranek był dzisiaj mroźny i przejrzysty po wczorajszej burzliwej nocy, lecz w południe słońce spiło mróz ciepłymi promieniami — więc o patrolu mowy niema. Wdrapałem się na wysoki punkt obserwacyjny, umieszczony na sosnie, i oglądałem siniejące wokół, olbrzymie płaty borów, połyskliwe tafle jezior, szeroko rozlane bagna Wiesiołuchy. Wiatr marszczył stalowe fale, porozganiał lodowe tafle, topił je w jaskrawych promieniach słońca. Jest lekki mróz, lecz słońce zwycięża.



Tyraljera nad Wiesiołuchą.

Stoi tu w okolicy 6 i 4 pułk dragonów, którego komendantem jest Polak, pułkownik Serda¹⁾. Jeszcze z nim Styk kontaktu nie nawiązał — lecz ponoć mamy ćwiczyć pod jego okiem. Ciekawym jak się do nas odniesie?!

30 styczeń. Nad Wiesiołuchą. O 7-ej rano pobudka. Wnet zbiórka przy „Jagdkommando“, skąd maszerujemy z pruskim

¹⁾ General Serda-Teodorski, b. komendant Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie.

i austriackim oddziałem. Ochota wielka, humory wspaniałe, ambicja podrażniona by pokazać się trepom „ad oculos“... Maszerujemy na kępę na północ od „Birocksumpf“. Mamy ją spatrolować, nawiązawszy łączność z lewej z Austriakami, ciągnącymi na Tabalaberg.

Lód na bagnach mocny, to też suchą nogą doszliśmy do kępy Birok, którą dokładnie przez pięć godzin patrolowaliśmy. Mapa austriacka okazuje się do luftu, wyspa ma całkiem inną rzeźbę. Musimy ją dobrze poznać, jako że to nasz punkt wypadowy na drugą stronę Wiesioluchy, gdzie mochów będzie można z okopów za lby wyciągać.

Do Kępy przychodzą Moskale po siano. Dzisiaj ponoć ich było około 30, więc Styk projektuje, by któregoś pięknego dnia zacząć się tu na nich i zagnała z krzykiem wypaść.

Patrolowaliśmy w ciszy i spokoju, dopiero w południe zerwała się na Tabali ostra pukanina, która trwała dobre dwie godziny.

O 3-ej po dokładnem wygimnastykowaniu wszystkich członków, przeskakiwaniem z kępki na kępkę, wróciliśmy na placówkę Nr. 1.

31 styczeń. Nad Wiesioluchą. — W komendzie kompanji ruch, a i w naszej ziemiance-willi pod „Ośłą szczęką“ — szykowanie i pakowanie, gdyż jutro idziemy na Kępę z zamiarami niemiłymi dla naszych sąsiadów z przeciwka. Mieliśmy już iść na noc, aby przed świtem dojść na Wołchowską Kępę, lecz trep — Tyszkiewicz nie zgodził się, zarządzając wyprawę w dzień. Styk wściekły, gdyż plan jego w zastosowaniu dziennem. szans ma niewiele. Jednakowoż idziemy.

Mamy gościa. Przyjechał dr. Kwaśniewski, gdyż spodziewamy się na jutro strat. Zaczny doktor jest już od miesiąca w bataljonie lekarzem, rezygnując z żołnierskich przygód. Pod Koszyszczami przy budowie ziemianki gdyśmy turgali nieco ciężkąw sosenkę — doktorowi się oberwało coś w krzyżu i plecy mu przygięło w paskudny sposób. Jest już podporucznikiem, a w kompanji u nas dochrapał się szarży aż kaprała, więc, że to nasza szarża lepsza — duchem należy do nas.

1 luty. Wyprawa na Wołchowską wyspę. — O 5-ej rano pobudka. Poranek mroźny, jasny. Firmament lśni się gwiazdami, na wschodzie słabo zaledwie szarzeje.

O 6-ej zbiórka i marsz do „Stitzpunktu“ 1 pułku dragonów. Las stoi nieruchomy w ciszy budzącego się dnia — powoli szary brzask wypiera mroki, pełza wśród konarów sosen, przechodząc

na spowite we mgłach szerokie bagna i siniejące pasma borów. Lekki mróz — lecz Wiesiołucha nie wszędzie jeszcze zamarzła.

Maszerujemy po twardej grudzie w ciszy i skupieniu, bez zwykłego gwaru i wesolkowania. O 7-ej jesteśmy już na „Stizpunkcie“ i tam czekamy godzinę, aż Styk dostał przewodnika i zebrał wszystkie informacje od Austriaków. Przydzielają nam wreszcie 18 Prusaków i przez rozległe, zamrożone bagna maszerujemy do Wiesiołuchy, do wysuniętej placówki Nr. 1. Michalki w swych ciemnozielonych mundurach i szarych pikelhaubach ciągną szeregiem za nami.

Na białej powierzchni lodu rozciągnął się ciemny, jaśniejący co chwila sinemi barwami długi wąż żołnierzy. Ponieważ w ostatniej chwili plan został zmieniony, maszerujemy wprost na kępę Birok, gdzie czeka nas z półplutonom Busse-Guzowski, który uprzednio dokładnie wyspę miał spatrolować.

O 10-ej jesteśmy już na wyspie. Chłopcy zostają przy pierwszym, nagim pagórku, a Styk ze mną i z przewodnikiem idzie do Bussego. Południowy brzeg wyspy obsadzony. Busse melduje, że przed jakąś godziną na Kępie Wołchowskiej i bagnie obok było z 50 Moskali zbierających siano. Nie otwierał ognia, gdyż według planu myśmy na nich uderzyć mieli od „Stizpunktu“, a on miał zamknąć Moskałom ogniem drogę odwrotu. To też nie strzelał — wytrzymał — choć miał mochów najwyżej na 60 kroków, a najdalej na 300. Przed kilkoma dopiero minutami. Moskałe rozebrawszy dwie kopce siana — wynieśli się.

Styk zły, cały plan wziął w łeb. Zaczynamy się włóczyć jak najostrożniej po brzegu, wypatrując z natężeniem brzeg Wołchowskiej Kępy, którą dzieli od nas przestrzeń najwyżej 100 kroków, przestrzeń przecięta zmarzniętą Wiesiołuchą. Gdy tak się cheiwie tam wpatrujemy, przypada cichcem Wiktor, kapral III plutonu i zduszonym szeptem melduje, iż na Kępie Wołchowskiej są Moskale. Słysząc za zakrętem ciche gwizdy i nawoływania. Rzeczywiście — za moment usłyszeliśmy kilka przyciszonych gwizdów i za chwilę wyrwał się z ciszy zdenerwowany głos „w lewo, w lewo“...

Są więc. Zostawiamy ubezpieczenie na brzegu i gnamy do kolumny, czekającej na piaszczystej wydmie, porosłej jałowcami. Styk chce robić krótką odprawę, by wyjaśnić chłopcom kierunek uderzenia, lecz w tej chwili pada kilka strzałów moskiewskich. Widzą nas...

Wnet bić poczęli systematycznie, lecz nie z Wołchowskiej Kępy, a z prawego skraju lasu. Przelatujemy biegiem polanę.

lecz snać nas widzą przez rzadką ścianę lasu, gdyż biją ciągle. W pewnej chwili, bezpośrednio po strzale dojrzałem dwie ciemne sylwetki, wynurzające się na łód ze złożonymi karabinami.

Dopadamy co tchu do wysuniętego cypla Kępy i stąd szybko tyraljera. Pierwszy pluton na przędzie, drugi wtyle i żwawo. coraz żwawiej posuwamy się przez złowrogo trzeszczący łód sami, bez Prusaków, którzy zostali na ubezpieczeniu. Linja posuwa się podle, cienki łód co chwila załamuje się pod nogami. Gdy wleźliśmy w haszcze i zarośla Wiesiołuchy, łód złowrogo zaczął trzaskać i chłopcy jeden po drugim wałą w wodę po pas. Aksamita ledwieśmy wyciągnęli, bo już go woda zalewała.

Wściekli cofamy się z powrotem, klnąc eskapadę, w której nas mogli wybieć do nogi, gdyśmy telepali się w tym łodzie. Rzecz zdumiewająca tem bardziej, że denerwująca cisza panowała wokół — chyba, że Mochy zwały ujrzawszy taką grandę walącą na ich Kępę.

Porządkujemy w lesie tyraljerę, lecz w tej chwili Prusacy meldują i zaraz za nimi Flojar, że od lewego, łodem ku lasowi posuwa się tyraljera.

Skoczyliśmy na brzeg. Rzeczywiście szła szeroka tyraljera. Wpatrujemy się weń chciwie, lecz już Styk zbiera kompanję w kolumnę i rzucamy się w lewo, aby uprzedzić Moskali i z боку kępy wleźć im na skrzydło.

Gnamy co tchu, by dopaść ich jeszcze na łodzie. Pierwsze piaszczyste wzgórza przelecieliśmy tyraljerą, zachodząc frontem na prawo. Ledwieśmy zaszli i czołowe ubezpieczenia przesuwając się poczęły w lewo, na paskudnym terenie, wśród krzaków i cienkiego lodu bagna, na lewo, prawie z tyłu zerwał się wściekły, gwałtowny ogień. Chwycili nas ze skrzydła...

W jednej chwili wtył zwrot i krzyk komendy by na prawo zachodzić. Mentlik się niemały uczynił, gdyż pod gwałtownymi ruchami żołnierzy łód łamać się zaczął na hurra, lecz jakoś dopadliśmy do suchego piachu. Stąd przez żółtą polanę na łeb na szyję gnało do nas ubezpieczenie. Zamigotały za niem żółte plamy moskiewskich mundurów na ciemnem tle lasu. W jednej chwili 50 gardzieli wrzasnęło hura i wiara bez komendy, na warjata, jak rozjuszony, głodny psy rzuciła się z krzykiem przed siebie.

Straciłem poczucie szczegółów. Migają przede mną tylko żółte mundury, piekielny ogień rwał ze wszystkich stron, a nogi podjudzone wrzaskiem niosły przed siebie jak burza. Biegliśmy tak na Moskali ze dwieście kroków, wreszcie zziąjani dopadamy do brzegu lasu, w którym Moskale już zniknęli i bić poczęliśmy

w las ze wściekłością, bo już sił do biegu nie stało. Za chwilę wpadamy w las, przebiegamy go piorunem i na brzegu tafli lodowej padamy. Po niej, po sieniej powierzchni wieje rozrzuconą linją tyraljera raz po raz waląc się na twarz pod wściekłym ogniem naszych manlicherów.

Moskale wpadają za kopce siana, lecz w popłochu nie zająmują o rannych. Chwytają za głowy, ręce i ciągną za bezpieczne, ogromne stogi żółtego siana. Przetrzepaliśmy ich okrutnie, to też niewielu cało ukryło się przed ogniem.

Lecz już nadchodzi im odsiecz. Z pośród głuchego łopotania manlicherów wydarł się nagle od prawego szybki, gorączkowy trajkot karabina maszynowego i wnet świstami dopadł do naszej linii.

Po łodzie Moskale ścigać niema celu, więc się cofamy zpowrotem na polanę.

Wracamy. Zmęczeni, zziębnięci i wściekli, bo straty są (3-ch rannych, w tem Zygmunt Chabowski) a Moskale zwichli nie zostawiając jeńca. Lecz los okazał się jednak łaskawy. Przed wracającą tyraljerą wyrósł nagle Moskal jak z pod ziemi. Rzucili się ku niemu rozjuszeni chłopcy z bagnietami, że ledwie ich Styk krzykiem pohamował.

A więc po awanturze. Minęła wściekłość, humor wspaniały, bo Moskal z oddziału wywiadowczego („partizanckij otriad“). Polak — Józef Kliska — zeznaje poprostu nadzwyczajnie. Ma świetną pamięć, zupełne do nas zaufanie i gdy się przyjrzał nam dokładnie, gęba mu pojaśniała i rozkrochmalił się zupełnie. Poddał się sam powiada — usłyszawszy polską komendę — i gdy kamraci wywiewali, on nurknął w krzaki i przeczekał, aż wszystko przeleci, by zgłosić się do zawracających. Chłop jak dąb, warszawiak, z 17 czernichowskiego pułku huzarów.

Wracamy w pysznym nastroju. Zygmunt Chabowski jest ranny lekko w udo w pojedynku z Moskałem. Kula trzasnęła w scyzoryk i przebiła zaledwie mięsień. Mimo to Zygmunt jest wściekły i sobaczy na siebie, że nie trafił, bo jednocześnie z Moskałem złożyli się do siebie. Prowadzimy go pod rękę.

Drugi ranny ciężiej, Babiński z III plutonu. Kula przeszła oba uda, lecz i tu kości szczęśliwie nie naruszyła, lecz że zbliża, dziury jak pięści. Trzeci Łukaszek — trzy kule, wszystkie lekko.

Wracamy ze śpiewem, aż grzmi las, a Michałkom pikielhauby popprzekrzywiały się na łbach z podziwu. Pochód otwiera, ogromny rosły jeńiec, dalej ranni — wreszcie rozśpiewana kolumna. Twardą grudą maszerujemy obok placówek, gdzie „awstrijcy“

gęby porozdziawiali ze zdumienia, bowiem takiej wojny „na śpiewanego“ jeszcze nie widzieli. Ich Jagdkommando, wspólnie z Prusakami polowała dwa miesiące i choć dywizja się wściekała, nie mieli ani jednego jeńca. Przyszła „Polenjagdkommando“ i po drugim patrolu — naście trepy języka — i to nie było jakiego, bo z „Russischenjagdkommando“.

Ledwieśmy wrócili, wnet się pojawili austriaccy oficerowie z gratulacjami i ze starannie ukrywaną zawiścią. Rozgłos wielki, w dywizji radość i gwałt, gratulacje i zamieszanie.

I rzeczywiście możemy być z czego zadowoleni. Primo — byliśmy się z doskonałym żołnierzem, który wiejąc po gołym lodzie, będąc narażony na wybitcie (co właściwie się stało), wołał to, niż poddać się gdyśmy z wrzaskiem na niego wypadli. W dodatku jak się okazuje, z inicjatywy ich plutonowego uderzyli na nas. Morowcy!

Wszyscy mieli karabiny manlicherowskie i naszą amunicję, to też nie było słyhać tak zwykłych podczas każdej bitwy, przeraźliwych trzasków ekrazytówek.

Dzień nam przeleciał do końca na opowiadaniach najróżnorodniejszych epizodów, których była moc i to nieraz komiczno-tragiczne.

2 luty. Nad Wiesioluchą. — Przyjechał Sław z Roweckim. Kapitan z całej awantury ogromnie zadowolony. W Leszniewce z tego powodu były komiczne sceny. W nocy już przyszły gratulacje do Brygady od Gerocka, a z Brygady do pułku. Berbecki ucieszony chciał już robić zbiórkę i krzyczeć „hura“ na cześć 4 kompanji, ledwie, że go Cybulka powstrzymał. Dywizja do korpusu, a korpus do Gerocka podał, że „polski oddział wywiadowczy“ rozbił rosyjski zadając mu straty liczące 10-ciu zabitych, moc rannych i jeńców, sam mając kilku lekko rannych. Jednem słowem — lepiej być nie może.

Narbutt i Hajec, którzy przedtem nie mieli chęci złuzować nas — dzisiaj sami przyszli do Sława mówiąc, że czas, czas zmienić kompanję naszą...

Zygmunt Chabowski jest tak lekko ranny, że zostaje tutaj w szpitalu 9 dywizji kawalerji. Za dwa tygodnie będzie zdrow. Odwiedziliśmy go dzisiaj, był też u niego Sław z naszymi oficerami. Zygmunt czuje się doskonale.

9 luty. Nad Wiesioluchą. — O 10-ej rano zbiórka podoficerów i I plutonu i marsz na górę Tabala w celu dokładnego zorientowania się.

Po kilku dniach paskudnej pogody, w czasie której nie ruszaliśmy się z ziemianek, mamy przecudny czas. Jasne, słoneczne powietrze, lekki wiatr, ciągnący z obszarów leśnych, nabrzmiały tchnieniami wiosny, twarda, ścięta lekkim przymrozkiem rannym gruda. Maszerujemy w przepysznych humorach drogą „Trzcinińskiego” na placówkę Nr. 4 i stamtąd wprost na wschód, na górę Tabala.

Od placówki szykiem ubezpieczonym. Na szpicy Styk, Flojar, Adek Goldenberg, przewodnik austriacki i ja, na bokach Tur-ski, Wolski, na prawo Lodek Janowski i Siewicz. Maszerujemy w bezwzględnej ciszy. Boczne ubezpieczenie zakryte przez poszycie leśne, zdaje się płynąć, tak bezszelestnie, z baczным wzrokiem się posuwa. Kolumna o 100 kroków maszerująca za nami nie sprawia najmniejszego szelestu. Idziemy jak zakłęte duchy. Ciszę przerywa tylko delikatne kucie dzięcioła, radosne świergotanie ptactwa lub nagłe, ostre kwilenie jastrzębia.

Od zachodniego zbocza pierwszych wzgórz Tabala, maszerujemy bokiem ściany, to lasem, to ogromnymi polanami. Kolumna za nami raz w raz zmienia szyk, to rozprężając się w tyraljerę, to skupiając się w dwuszeregi, zależnie od terenu, a na bokach śmigają ubezpieczenia ciągle w niezmordowanej pracy nóg.

Coś koło 2-ej dochodzimy pod szczyt Tabali. Fantastyczne, piaszczyste wzgórze, porośłe jałowcami, nagłe, spadziste ściany, to łagodnie podnoszące się ubocza. Teren poszarpany, zrzadka zalesiony — pełen niespodzianek. Jakoż i wnet się niespodzianki zaczęły, bo patrol boczny melduje, że na szczycie Tabali są Moskale.

Kolumna ukryta w gąszczach i za pagórkami — my zaś obserwujemy. Rzeczywiście, jest ich czterech i sprawiają wrażenie, jakby nas również obserwowali.

Milcząca obserwacja trwała dość długo, lecz z bajecznym spokojem z obu stron. Mam wrażenie, że mochy chcą nas sprowokować. Przyznam się, że w żadnym razie niewdawałbym się w awanturę, mając ze sobą 50 ludzi, a przed sobą ostre zbocze, za którego zasłoną Bóg wie, ilu jest Moskali. Styk widocznie jest tego samego zdania, gdyż po zorientowaniu się w terenie, nie zdradzając się najzupełniej — wracamy.

Po 5-ej, o zmroku już, przyszedliśmy do Neues Palais, zmęczeni solidnie, zrobiwszy dziś przeszło 20 km, w tem połowa drogi marszem ubezpieczonym.

Wieczorem odwiedził Styka ppór. Myszkowski¹⁾, który z 4-ą kompanją II bataljonu wracał ze „Stitzpunktu“ „L“ do Karasina.

11 luty. Nad Wiesioluchą. — Dzień przeszedł w wielkiemżywieniu. Styk z Roweckim kombinowali, kombinowali, aż wykombinowali aby kompanję przenieść na drogę do Biroku, żeby była tuż przy komendzie bataljonu, który wczoraj przymaszerował. Zaraz więc po obiedzie przenosimy się. Wiara bierze cały majątek na plecy, słomę, siano, okna, piecyki, rury i tak obładowana w przepysznych humorach maszeruje o kilometr od Neues Palais.

Na miejscu roboty huk, ziemianki trzeba przerabiać. Styk wybrał ziemiankę, z której po kilkugodzinnej pracy zrobiliśmy we dwójkę cacko. Dwie prycze z kilimami, dwa stoliki, ściany obite na biało (z płócien śnieżnych koszul²⁾) — jednym słowem ziemianka wygląda jak paniński pokój, szkoda tylko, że bez panienki. Z piecykami zato mamy kłopot, gdyż wszystkie trzy kompanje i komenda bataljonu odbierają nam wypożyczone piecyki.

Jutro Leonhardi, komendant 9-ej dywizji kawalerji urządza przegląd bataljonu. Kręcą głowami nasi bidni oficerkowie, żeby jakoś wyglądać. Szable będą mieli tylko kompanijni i Sław, reszta bez szabel. Pożyczają nagwałt płaszczy, bo w kożuszkach nie można — i tak się biedzą...

Pierwszy pluton ma olbrzymią ziemiankę, w której urządza nawet scenę teatralną.

12 luty. Nad Wiesioluchą. — Sław zły! Zły jakby go osy pokąsały i trzeba mu przyznać, że ma o co. Wogóle jakiś dziwny bałagan panuje przez dzisiejszy dzień, bałagan, nie pozbawiony humoru. Do kwatery Leonhardiego, dowódcy dywizji, przyszedł jakiś dłubinosek z 1 kompanji pytając czy niema jakich „rul“ do piecyka! Wyobrażam sobie przerażenie i zdumienie, jakie musiało się odbić na twarzy ekscelencji, gdy z podobnem pytaniem reluton się do niego zwrócił... Szefowi sztabu dywizji, grafowi Tyszkiewiczowi w biały dzień strzelono w szkopek na głowie rakieta z pistoletu świetlnego, a kompanja 1 w kilkanaście min po swem przyjsciu rozebrała stóg siana austriackiemu „Jagdkommando“. Jednym słowem same skandale!...

A dzisiejsza defilada! Jenerał nie tylko musztrę formalną chciał zobaczyć ale i również ćwiczenia taktyczne. Zapoznał się

¹⁾ Obecnie pułkownik S. G.

²⁾ Na okres zimowy otrzymywaliśmy wówczas długie, białe koszule z rękawami, któremi okrywały się posterunki, by przystosować się do śnieżnej bieli. (*Przyp. aut.*)

nawet zbliżona z demokratyzacją naszych stosunków, bo na uwagę, zwróconą 1 kompanji, podporucznik Warski zaczął z ekscelencją dysputę!... Biedny ekscelencja, który z nas chce zrobić wojsko, z nas „ewige Bande“...

Żeby tak tych byków, całą komendę 9 dywizji kawalerji Moskale zafrasowali, żeby ich wyćwiczone regimenty powitały, a my żebyśmy ich odbili — dopiero by się nam klaniać zaczęli. A tymczasem sekują, sekują na każdym kroku.

5 pułk, który jest przy 11 dywizji kawalerji za bezowocne polowania jednej ze swych kompanij dostał kilka odznaczeń, a Stykowi, gdy poszedł się wymeldować z „Jagdkommando“ powiedział szef sztabu, ów graf Tyszkiewicz: Sehr gut, sehr gut!



Posterunek nad Wiesiołuchą.

14 luty. Nad Wiesiołuchą. — Austrjackie „Jagdkommando“ dostało wczoraj solidnie. Poszli w 50-ciu na Tabalę, zoczyli na górze Moskale (tak jak my swego czasu) zlakomili się i dostali potężnie. Dzięki ręcznym granatom zdołali się wydostać z objęć tyraljerek czerkieskich i wywiali, zostawiając 5-ch zabitych. Przyprowadzili 5-ch rannych, z których jeden dzisiaj zmarł.

Jeszcze ciekawsza rzecz. Oto na tyłach frontu, za Jeziercami schwytano uzbrojony patrol resyjski. Przekradł się on widocznie przez błota, tłukł się na tyłach dwa dni i błędząc — nie mogąc wrócić — poddał się.

Dywizja w pełnem przerażeniu — wszystkie rezerwy aż do Kowla i Brześcia śpią pewnie w pogotowiu. A Moskale ruszają się mocno. Dzisiaj znowu wypadli na dzienny, stały patrol placówki Nr. 1, poranili dwu.

Mróz jest dość silny, błota pomarzły, więc Moskaliki hulają. Jeżeli my im nie natrzemy skóry i nie odwiedzimy ich placówek, to oni gotowi zajrzeć tu do nas, do rezerwy dywizji.

16 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — W nocy spadł wspaniały śnieg i rano ujrzelśmy się wśród lasu jak z bajki zaczarowanej. Olbrzymie, grube okiście na sosnach, przecudna biel, wokół okiść sypka, w mig się rozsypująca, gdy kto potrąci ciężkimi gałęziami... Niebo wisi szarą, ciężką płachtą, zrzadka podartą niebieskimi skrawkami, a w lesie rozpostarła się majestatyczna cisza bieli... Jeno przejrzysta, śniada mgielka podnosi się z białych całunów, miękkich i puszystych.



Rada pułkowników; od lewej: rtm. Kochański, ppłk. Januszajtis, ppłk. Minkiewicz, mjr. Berbecki, mjr. Belina-Prażmowski, ppłk. Norwid Neugebauer, ppłk. Śmigły-Rydz, ppłk. Brzoza, mjr. Galica.

17 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — Czytam „Popioły” i zdumiewam się. Wiedziałem, że można być artystą, a intuicją duszy odczuwać ból, zło, piękno — ale nie myślałem, że w takim stopniu. Żeromski jest poprostu genialny. Co za nadzwyczajna psychologia żołnierskiej duszy, co za wspaniałe wczucie się w zwykłe fizyczne zjawiska, jakie nadzwyczajne, subtelne odmalowanie wrażeń...

Przemawia duszą wielką, duszą, która czuje, żyje, odczuwa fibry całego życia. Co za artysta!... Brak mi słów, zdań, okresów, zdolnych określić to co czuje, czytając tę epopeję legjonową, w któ-

rej tak wspaniale zdołał się Żeromski wczuć w psychikę nas, bezdomnych i bezpańskich żołnierzy.

19 luty. Nad Wiesiołuchą. — Przyjechał dzisiaj major Berbecki z nowinami o radzie pułkowników. Po odprawie bataljonowej, dowiedzieliśmy się szczegółów od Styka. Otóż sprawy najważniejsze narazie odroczone do następnego zjazdu, głównie omawiając sprawy ściśle wojskowe. Nasi pułkownicy interes Brygady i naszej ideologii prawie że przeprowadzili. Legjony uznano jako formę przejściową, a jako dalszy ich rozwój uznano konieczność armii polskiej i z tego tylko punktu, jako na kadrę armii narodowej należy według Rady patrzeć na Legjony. Zastrzegają się stanowczo przeciwko narzucaniu komendanta Legjonów z wojska austriackiego, komendanta, który nie wyszedł z Legjonów i nie z nimi nie ma wspólnego. Tezy naszych pułkowników podtrzymywał gorąco Roja¹⁾, który od czasu Koszyszcza jest zupełnie Komendantowi oddany i Galica²⁾. Radę reprezentowali: Śmigły, Januszajtis, Minkiewicz³⁾, Roja, Berbecki, Galica i Żymierski. Ostatecznie sprawy tej nie załatwiono, tyle tylko, że przyjęto projekt jednakich odznak, który ma przygotować Śmigły. Na kasę oficerską zgodzono się — choć nie obeszło się bez zarzutów zbyt znacznej demokratyzacji w Brygadzie, na co Berbecki zareplikował, że oni, t. j. II i III Brygada, mają system rosyjski i austriacki, a my japoński. Omawiano poza tem sprawy 6-go pułku, który przyłączony ma być do Brygady i uzupełniony naszymi szarżami. Według danych siły pułków przedstawiają się następująco⁴⁾:

	żołnierzy	bagnetów	k. m
1 p. p.	960	580	2
2 p. p.	1120	720	9
3 p. p.	1380	780	12
4 p. p.	1200	650	7
5 p. p.	1158	725	4
6 p. p.	940	600	4
7 p. p.	1020	640	2
	7778	4695	40

¹⁾ General dyw. w stan. spoczynku.

²⁾ Obecnie gen. bryg.

³⁾ Obecnie gen. dyw.

⁴⁾ Wykazany w tem zestawieniu 7 p. p. leg. składał się z V i VI bataljonów I Brygady i tę numerację — jak się o tem mówiło — miał tylko wewnątrz I Brygady, gdyż oficjalnie VI bataljon należał do 1 p. p. leg., a V bataljon do 5 pułku.

Kawalerji szwadronów 10 — szabel 960, artylerja dział 36 — żołnierzy 3.000. Razem w linji 11.738 żołnierzy.

Jednem słowem w polu mamy około 12.000 żołnierza. Następny zjazd ma się odbyć w najkrótszym czasie. Jest już i nowy komendant Legjonów, jakaś poczeiwina austriacka, generał Puchalski.

21 luty. Nad Wiesiołuchą. — Rano ćwiczenia. Po południu poczta, zaczytywanie się gazetami, a wieczorem w komendzie kompanji lekka popijawa. Zeszli się komendanci plutonów, Flójar, jest nieco wódeczności i dobrych rzeczy, więc bawimy się wspaniale. Szczególnie świetny był Styk, który wynalazł na Kossiorze Himalaje.

Moskale usadowili się na fest na górze Tabala. Był tam dzisiaj patrol austriacki z „Jagdkommando“ i nie wdając się w strzelaninę, doszedł do ubezpieczeń rosyjskich, gdzie ponoć napotkali kilku konnych oficerów. Pono i Orlicz¹⁾ od „Fröhlich-a“ miał się wdać ze szwadronem w awanturę na prawo, lecz szczegółów jeszcze nie mamy.

22 luty. Nad Wiesiołuchą. — Dzień suchy, mróz taki, jak w początkach listopada. Wiesiołucha całkiem zamrzła, lecz na Tabalę nie pójdziemy, bo ponoć 9 dywizja kawalerji ma naszej konkurencji dość. Wczoraj znowu poszła austriacka „Jagdkommando“, a od Fröhlich-a-Orlicz. Trepy ostrzelani — szybko wywiali, a Orlicz podlażł blisko, zrobił szturm i tak się naawanturował, że dzisiaj Hauer znowu gratulował Brygadzie. Szczegółów nie mamy, lecz beliniaki musieli się dobrze sipsać, gdyż Orlicz to morus niepośledniej miary. Trepom daje to po nosie — drugi raz idą z nami i po raz drugi nie im się nie udaje. Ale bo też oni nadzwyczajnie chodzą na te patrole. Idą jak krowy aż las grzmi, z kichaniem, trzaskiem, pyskowaniem, tak że Moskale o 3 km ich słyszą i zawsze odpowiednio przyjmą. A u nas — każdy patrol milczący, zasłuchany, skupiony, zebrany do skoku. Na ubezpieczeniach, na patrolach to chłopcy wyglądają jakby mszę świętą odprawiali, to też zawsze Moskale zajdziemy, gdy się najmniej tego spodziewają.

23 luty. Nad Wiesiołuchą. — Gruchnęła dzisiaj nagle pogłoska, że Rumunja wypowiedziała wojnę państwu centralnym. Okropnieśmy się zdumieli, bo te cenzurowane piśmidła głosiły, jako że całkiem się ma przeciwnie. Czekamy potwierdzenia.

¹⁾ Orlicz-Dreszer — obecnie gen. brygady.

a narazie wiara się cieszy. Ano Polska zyska, a leguny tracą, bo nam skórę spiorą.

Nazwaliśmy dzisiaj nasze ziemianki wsią „Garówka Barania“ w gminie Tabala, w powiecie rezerwowym, w województwie Sławskim.

24 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — Rano mieliśmy ćwiczenia taktyczne pod okiem pułkownika Serdy, komendanta 4 pułku dragonów. Dwoma kompanjami, 3 i 4, markowaliśmy atak na szaniec „Nirwany“. Po ćwiczeniach nastąpiły omówienia, pod koniec których zabrał głos pułkownik Serda. Mówił jako przedstawiciel Polaków, niemających szczęścia walczyć pod sztandarami legjonowemi, lecz czującymi tak samo jak i my. Zaczął od słów: Żołnierze obywatele — czem odrazu wiarę za serce chwycił. — Wogóle od czasu jak tu stoimy, bardzo serdecznie się nami zajął — a już dzisiejszem przemówieniem wkupił się do nas całkowicie. Morus musi być, boć gdyby takie przemówienie doszło do jego władzy, niebardzo by się dobrze mu działo.

25 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — Do południa byliśmy na strzelnicy, gdzie tłukliśmy na hura przy mroźnym, ostrym wietrze. Gdyśmy wrócili, przyszła wiadomość, że komendant „Jagdkommando“, Lieutenant Chattenfroid zginął wczoraj na patrolu. Ambitny leutnant chciał koniecznie się postawić i co nieco zafasować Moskali na Tabala, wlaźł naturalnie ze swoimi trepami pod same lufy czerkiesów, którzy ich stłukli w niemożliwy sposób.

27 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — Na dworze szarpanina wiatru i chłód bijący z lasu. Ćwiczeń dziś niema — snąc kapitańsko silnie wczoraj przemarzło. Przez cały dzień siedział u mnie Flojar z Kocem, więc obgadywaliśmy spraw coniemiarą. Pogłoski o utworzeniu korpusu polskiego mnożą się. Sazonow mówił w Dumie, iż ma wiadomości, jakoby Niemcy za cenę nowych ustępstw i urojonych obietnic chcieli ściągnąć z Królestwa 400—500 tysięcy żołnierza. Musi coś być w tem, bowiem coraz to słuchy przychodzą o owym korpusie. Będziem się więc targowali, a zdziebko więcej karabinów zawsze się Polsce przyda.

28 luty. *Nad Wiesiołuchą.* — Wstrzykiwali nam dzisiaj po podwójnej dozie tyfusu, więc wiarę cholera z tyfusem ciska, gdyż piersi napuchły jak kandelabry.

Wieczorem jako że kantyna przyszła — zapijanie tyfusu. Flojar został na placu, jako rex bibendi — reszta skończyła marne.

1 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Jutro lub pojutrze pójdziemy do Leszniewki. Dzisiaj przyszedł rozkaz o zniesieniu niemiec-

kich pieczętek i druków wysyłanych z Brygady. Papiery nasze ponoć idą w górę. Sazonow w mowie inauguracyjnej obawia się, by Polacy nie dali się wziąć na lep prusko-austriackich obietnic i nie utworzyli potężnej armji. Coś wisi w powietrzu, coś się robi. To nawet u nas daje się odczuwać. Dziś, na przykład, bataljon wysyła kilku oficerów na kursy artyleryjskie w związku z mającym nastąpić wzrostem artylerji.

7 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Dnie płyną bez zmiany. Trochę ćwiczeń, nieco gazet i oczekiwania na wiosnę. Pułkownik Serda miał dzisiaj odczyt — referat dla oficerów, w którym mówił o nas, o legunach, jako że jesteśmy romantykami, idealistami w zamiarach, a surowymi realistami w czynie. Przeprowadzał porównanie między nami a 63 rokiem, poza tem mówił o ogniu, o bitwie, o harcie żołnierskim dużo słusznych uwag. „Sztama“ między nim a legunami jest zupełna. W naszych tarapatkach z „awstrijcami“ bodaj, że pierwszy raz ktoś do nas głośno się przyznaje, za „ewigę Bande“ nie ma i z nami głośno trzyma, karierę austriacką, delikatnie mówiąc, mając w „pięcie“.

15 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Ziemiańska do południa trzęsła się od chrapania, gdyż wiara po nocnej placówce śpi jak zabita. W nocy mieliśmy niejaki bałagan. Sław, Styk i Rowiecki wpadali ustawicznie na rondy do placówek, przyczem II pluton, a i nasz coniebądź się wsypały. Poza tem posterunki alarmowe zdwojono i zmieniono hasło, bowiem wczoraj uciekł do Moskali „Zugsführer“ z sąsiedztwa. Naturalnie pepik. Skutki okazały się natychmiast, gdyż zaraz z wieczora Moskale capnęli całą placówkę austriacką, a dziś przez całe przedpołudnie bili do baterji Nr. 2 i to celnie.

14 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — O 5-ej po południu odprawa podoficerów, komendantów placówek u Koca, a potem marsz. Od tygodnia zamęczają nas placówkami, które w tych błotach nie należą do nazbyt przyjemnych, tem bardziej, że pilnuje się tylko kaczek i chmar wodnego ptactwa.

Objąłem placówkę Nr. D nad Wiesiołuchą. Ziemiańska mała, lecz wygodna, wziąłem więc szkice o „Odrodzeniu“ Gobineau i przez noc je przewertowałem. Na tak zwanym „froncie“ spokój zupełny, zrzadka padnie strzał. Wiatr dmie duży, ciepły — lód trzeszczy i łamie się pod nogami. Jeszcze z tydzień, a Wiesiołucha „puści się“...

18 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Znów dnie na ćwiczeniach, noc na placówkach. Przyjechał dzisiaj Berbecki i „trzymał“

bardzo długo odprawę w bataljonie. dla wszystkich oficerów. Ponoć „ni z tego, ni z owego ma być Polska na pierwszego“ i to już kwietnia. Z ważniejszych wiadomości są te, że Komendant i Puchalski zostali wezwani do Cieszyna¹⁾ a Rada Narodowa



Komendant.

w Warszawie już się ponoć zebrała i przedstawiła sąznisty memorandum mocarstwom centralnym. Poza tem wszystkie stronnictwa

¹⁾ Miejsce postoju Naczelnego Dowództwa wojsk austriacko-węgierskich.
(Przyp. aut.).

wybierają 10 członków, N. K. N. daje 5 i tych piętnastu, zatwierdzonych przez Niemców i Austrię, ma utworzyć Rząd Narodowy, od której to chwili życie polskie ma wejść w fazę państwowości. Niemiaszki podobno od kwietnia mają opuścić Królestwo — i stąd ta plotka o Polsce na pierwszego...

Bądź co bądź, jakkolwiek nieprawdopodobnie narazie wszystko wygląda, dzieją się rzeczy ważne.

19 marzec. Nad Wiesiołuchą. — Mamy dzisiaj imieniny Komendanta, dzień więc uroczysty i świąteczny.

Wieczorem cała nasza kompanja w kolumnie czwórkowej, z płonącymi pochodniami, z biało-czerwonemi lampionami i orkiestrą, z wielkim na przedzie prostokątnym lampionem i napisem: „Niech żyje Kommedant Pilsudski“ — przemaszerowała ze śpiewem i graniem obok baterji Nr. 2, oraz 2 i 3 kompanji. Później przed komendą kompanji w kole rozświetlonym pochodniami. „diadka“ Radwański, ordynans konny Sława, wydziwiał różne tańce ku wielkiej radości tłumnie zebranej wiary.

24 marzec. Nad Wiesiołuchą. — Bez zmiany. Tyle tylko, że rozpadały się deszcze. Przed 6-tą wieczór poszedłem na placówkę, gdzie skropił potężnie chłopców deszcz, który naniosły targane wichrem chmury dżdżyste, ciemne, co chwila bluzgające ulewą.

Po północy dopiero porozganiał wiatr chmurzyska i zaiskrzyło się niebo drgającymi gwiazdami i wzeszedł błady w czerwieni wschodu ogromny księżyc. O 4-ej świta. Trzepocą się w wodzie kaczki i raz wraz parami przelatują, kwacząc rozgłośnie, szepliwymi ruchami skrzydeł przelatując tuż, tuż...

Perłowy świt powstawał z nad rozlanych wód Wiesiołuchy, na wschodzie coraz silniej różowiło niebo. Bładły gwiazdy i w spokojny błękit zapatrzone tafle Wiesiołuchy szmerząc cicho odbijały drgający długi cień księżycy. Szarzała noc coraz bardziej i coraz mocniej błyszczała tafla wód. Ciszę poranka drą jeno chrapliwe wrzaski kaczek, aż w pewnej chwili rozgwarem ptactwa, pluskaniem wody, łopotaniem skrzydeł nappełnił się dzień.

Klangory zórawiane dźwięczały brzękliwie, tęsknie, niby dalekich dzwonów jęk w czystym i jasnym powietrzu i leciał radosny krzyk ciągnących górą gęsi.

Nie spałem przez całą noc ani chwili, zagłębiony w Berentowską „Oziminę“.

25 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Przed południem Pandor Furgalski wykladał o gazach trujących, których mają używać Moskale w ofensywie i objaśniał nam zabezpieczanie. Dwa modele masek — pruski i austriacki. Pruski bez porównania morowszy. Gaz przechodzi z powietrzem przez tubę i na laseczkach amonowych zatrzymuje się, wskutek czego przedostaje się czyste powietrze do płuc.

26 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Dzisiaj w nocy o 11-ej mieliśmy alarm urządzony przez dywizję. Pluton nasz i kompanja piorunem się zwinęła i w 10 minut staliśmy na placu alarmowym przy „reitende Artillerie 2“. Byli już tam austriaccy oficerowie i przytoczyła się ekscelencja Leonhardi. Nie brakło naturalnie i skandalu, bo Talarczyk, spuszczaając zamek, wypalił, czem niemało speszył ekscelencję, która kazała go surowo ukarać.

Z placu alarmowego ruszyliśmy, mając za zadanie zająć drugą linię okopów, przed „Stitzpunktem“ D 1. Koc ruszył jako szpica naszego przedniego patrolu — za nami w głuchej ciszy, dzwoniąc rymsztunkiem, posuwała się kompanja 5 i 4.

Ćwiczenia trwały do 2-ej.

27 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Skończyły się nasze placówki i rozpoczął się okres robót. O 5-ej rano pobudka, przed 7-mą zbiórka i marsz do lasu na budowanie drogi mostowej przez bagna. Robota sakramencko podła, bo przez cały czas w wodzie, to też wiara wściekła. Przenudziliśmy czas jakoś do 11-ej, a potem na kwatery, by za 2 godziny z powrotem przyjść.

Spadł deszcz i tumanami wilgotnych mgieł okrył las. Czepiały się wałęsające mgły gałęzi i świerków jak nuda, szara i monotonna.

28 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Zalany słońcem, z mokradel się podnoszących, z błyszczących taflí wód, młody las... Jeszcze brzoźek młode pędy nie pokryły, jeszcze nagimi gałązkami wyciągają swe roztracone główki ku słońcu... W zasłuchaniu i ciepłe słońca stoi las, ćwierkaniem i donośnym gwizdem ptaków rozbrzmiany... W górze, w czystym, bladym błękitcie rozlega się co chwila rozgłośny krzyk dzikich gęsi, ciągnących na północ.

Budujemy w lesie mostową drogę dla rezerwy. Robota idzie dość szybko i żwawo, choć ludzie brną po kostki w wodzie.

Na linii jakiś ruch... W czystym, cudnem powietrzu trzaskają charakterystycznie rosyjskie strzały. Zależnie od tempe-

ratury powietrza inny one mają ton. Dzisiejsze przypominają mi strzały wiosennej ofensywy i konarskich bitew.

29 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Na linji ruch. Dzisiaj w nocy 1 i 2 kompanja zostały zaalarmowane. Gdzieś tam na południu nawet porządnie się awanturowali. Jeżeli tu będziemy dłużej siedzieli, a ruch będzie, Austriacy nam dość często alarmy będą wyczyniali.

30 marzec. *Nad Wiesiołuchą.* — Mamy już dzisiaj trzeci dzień wiosny. Raniutko, gdy różowy brzask odświeży las i tysiącami skier zagra na kropelkach rosy, przed ziemianką zbiórka. Robota szła sporo, gdyż dzień się prawie zrobił upalny i wiara z przyjemnością brodziła po zalanej łące. Jednakowoż są wszyscy obuci, gdyż co chwila ktoś kijem zatłucze czarną, z jasną pręgą na grzbiecie, żmiję.

4 kwiecień. Dziś 3 kompanja miała wścieklą awanturę z oberleutnantem od trepów, który zwymyślał żołnierzy, pomiatając nimi srogo i ich narodowość. Gwałt okropny, oficerowie latają do Austrjaków i zpowrotem. Sław, Warski¹⁾ i Mazur wyzwali draniaszka na pojedynek. W dywizji i u nas wre z tego powodu nadzwyczajnie.

6 kwiecień. *Nad Wiesiołuchą.* — Nie mogę pisać. Dni przechodzą bezmyślnie i jałowo, zajęte tylko sprawami plutonu, tak, że niewiele czasu jest na zebranie myśli i na czytanie. Zresztą i tego mi się nie chce. Przyszedł okres paskudnego lenistwa myśli i woli.

7 kwiecień. *Nad Wiesiołuchą.* — Godzina 8 wieczór. W tej chwili skończyłem czytanie na głos „Złotowłosej dziewczyny” Makuszyńskiego i innych nowel, z czego wiara ryczała do nieprzytomności. Korzystając z ciepłych wieczorów, coraz częściej urządzam chłopakom taką frajdę przed ziemianką.

10 kwiecień. *Nad Wiesiołuchą.* — Rano objąłem służbę w bataljonie. Cały dzień prawie przeszedł na jakichś sprawach, związanych z warsztatem szewckim, o który Sław ni stąd ni zowąd wyczynił straszny kryminal. Lataliśmy z Flojarem po wszystkich kompanjach, żeby to gałgaństwo jakoś zebrać.

11 kwiecień. *Nad Wiesiołuchą.* — Godzina 9 wieczór. Przy stole Edek Pfeiffer, tak dawno niewidziany wśród naszego grona. Wrócił wczoraj i to wprost z Łodzi, obładowany paczkami i listami.

¹⁾ Podporucznik, poległ pod Kostjuchnowką.

Zapisujemy zamówienia do kantyny na święta, a zmordowani jesteśmy setnie, bo od 2-ej po południu do 9 wieczór mordował nas jakiś podpułkownik Lempruch, któremu paralityczne drgawki wykrzywiały głowę, aż mu szkopek na głowie podskakiwał. Żli srodze i zmęczeni wróciliśmy, gdyż durny trep zabierał się do nas jak do rekrutów.

W nocy z Edkiem i Adkiem włóczyliśmy się po placówkach i po sypkich wzgórkach, zalanych miesięczną poświatą, długo gwarząc.



Patrol nad bagnami Wiesioluchy.

Niech szlag trafi alarmy! W tej chwili ryczą, że znów alarm!... alarm!...

16 kwiecień. Nad Wiesioluchą. — Placówki, alarmy, ćwiczenia, łażenie po błotach, konkurencja z bocianami, płoszenie żab i wszelakiego tałająstwa błotnego — to nasze codzienne zajęcia. Kiedyż się od tych durnych trepów austriackich oderwiemy. Koniecznie chcą z nas zrobić wojsko, a co pułacz odezwie się w lesie po nocy — już robią alarm!

Dziś mamy wieczór spokojny. Przerwaliśmy dopiero co wspomnianie przemiłych czasów, awantur i patroli nad Nidą. Ileż wspomnień, ile czaru w tej naszej beztrosce, w tej wojnie traktowanej jak nieprzerwaną hecę, w tych hultajskich kawalach, wyprawianych Moskalom. Nasza wyprawa 3-go maja. Szalony łobuzerski humor, traktowanie wyprawy jak psiego figla. Dobrze to jeszcze były czasy!

18 kwiecień. Nad Wiesiołuchą. — Dzisiaj przegład rezerw przez dywizjonera — generała Leonhardi. O 8-ej marsz dwiema kompanjami na drogę „Trzcíńskiego“.

Ranek wstał pochmurny po dżdżystej nocy. Z pól nabrzmiałych wilgocią bije ekliwy, mocny zapach. W górze dzwonią skowronki na prześcigi — wiatr czasem przeciągnie duży i ciepły, lecz chmur nie rozpędza. Nie wypogadza się ani trochę.

Na szerokiej, piaszczystej, wyżłobionej koleinami wozów prowiantowych i amunicyjnych drodze — sfrontował w prawo półbataljon. Wnet przygalopował podpułkownik Lempruch z wieczną drgawką na suchej twarzy, jakgdyby komuś ciągle przytakiwał, za nim dzwoniąc i chrzęszcząc łopatkami, z jednakiemi, jasnobronzowemi chlebakami, nadciągnęły 3 szwadrony spieszzonej kawalerji. Przy spokojnej, równej komendzie Sława: „półbataljon — do nogi broń!“ — rozległ się krzykliwy, koguci głos rittmeistra: — „bei fuss!“ Wyrównali „awstrijcy“ i my na nich; czekamy na ekscelencję.

Jakoż po niedługim czasie rozległ się wrzask ich komendy: „Defielierung — rechts schau!“ i za chwilę Sław, stojący o 30 kroków przed środkiem bataljonu, zakomenderował równym głosem: „półbataljon w prawo patrz!“ Trzasnęły wraz ręce wyprężone o szyjki kolb karabinowych i drgnieniem jednym rzuciły się głowy w prawo.

Za chwilę zajaśniał złoty kołnierz generalski, wydęty brzuch, krótkie z szerokim, krasnym lampasem nogi i tłusta, w siwy wąs przybrana twarz poczęła się przesuwac wzdłuż frontu. Dwóch adjutantów, z których jeden miał wygląd sępa i kaprawe oczy, elegancko, posuwistym krokiem, sunęło za nim.

Siwe maciejówki, orzełki jasne — jak kwiaty do słońca równym ruchem odwracały się za odchodzącym mundurem generalskim.

Spokojne, obojętne były wejrzenia, nie sprzężona rozkochaniem postać żołnierza, nie wbite przysięgłe, wierne oczy. — Hej, żeby tak przed Dziadkiem, przed Komendantem!...

Z pół godziny ekscelencja mordował ćwiczeniami „awstrijców“; myśmy spoczywali, broń w kozły złożywszy. Po pewnej chwili kompanja nasza obsadziła okopy III linji w lasku, którą mają atakować „awstrijcy“. Ćwiczenia przeciągnęły się do 11-ej, aż spadł siarczysty, ulewny deszcz i pognął nas na kwatery. Objąłem zaraz służbę inspekcji w bataljonie i migiem odwaliłem wszystkie rozkazy, mając popołudnie spokojne już zupełnie.

20 *kwiecień. Nad Wiesiołuchą.* — Jestem niezdrów. Ta przekłeta poleska wiosna daje mi szkołę. Przeziębionym mocno, bóle mam pod łopatkami i podle się czuję. Jutro nie pójdę na ćwiczenia, jak będę się nadal tak marnie czuł!

21 *kwiecień. Nad Wiesiołuchą.* — Do południa mamy wolny czas. Dzień dość pogodny, ale wietrzny i niebo ogromnie ruchliwe. O 2-ej zbiórka i ćwiczenia dwiema kompanjami ze Sławem. Po kilkukilometrowym spacerze coś od „Lager D 1” przeszliśmy las jako oddziały wywiadowcze w kierunku za uchodzącym nieprzyjacielem. A więc linja plutonami, odległość wzrokowa, ubezpieczenia. Doszliśmy tak do polany strzelnicowej, na której rozrzuciliśmy się w tyraljery. Dość pogodne dotąd niebo zaczęło się od zachodu pokrywać gęstymi, ciemnymi zwałami chmur, które hucząc głuchymi gromami, szły ku nam. Wiatr dał szybki, nagle, raptownie się zrywający.



Patrol nad Wiesiołuchą.

Zajaśniał przed nami piaszczysty wzgórek, na którym miał się znajdować nieprzyjaciel na jakieś 700 kroków od nas. Gdyśmy się rozrzucili w tyraljerkę, chmury już bliżej podeszły i zerwał się szalony orkan. Załopotał, zaszumiał las, tumany piasku, żwiru oddzieliły nas momentalnie od wzgóрка. Jak furja z rozwianymi włosami gnał wiatr grzywy piasku, siekąc nielitościwie w twarz... Ciemny las naokoło, pochylony, darty wichrem szumiał głęboko, a chwilami szum przechodził w grzmot i trzask.

Gdyby tak na wzgórku wtenczas rzeczywiście siedzieli Moskale, to moglibyśmy pod osłoną wiatru i kurzu momentalnie się podsunąć.

Kropnął wreszcie deszcz, ale niedługo, a i myśmy wrócili na kwatery. Zaziębiony jestem solidnie. Chrypa, ból w piersiach i krzyżach nie opuszcza mię zupełnie, lecz pocieszam się, że gdy słońca trochę przyjdzie wszystkie bóle miną.

Na linji jest „Achtung mit den ganzem Linien“. Moskale biją teraz codziennie z dział i wstrzelani są zupełnie dobrze. Nawet w drugą linję okopów są wstrzelani doskonale. Kompanja 1 i 2 ma pogotowie, a i my ciągle się alarmu spodziewamy, lecz już prawdziwego. Możliwe, że Moskale będą nam chcieli popsuć święta!

25 kwiecień. Wielkanoc. — Nad Wiesioluchą. — Ożywiony dzień. Po smacznem śniadaniu, zajęliśmy się do południa same-mi fasunkami. — Obiad wspólny dla całej kompanji. Obok ziemianki komendy kompanji rozbito trzy rzędy długich stołów, pokryto je płótnami namiotowemi i wśród sympatycznego nastroju, po podzieleniu się jajkiem, zajął się każdy konsumowaniem potężnej porcji ryżu z cukrem i kluseczek z szynką.

Po południu mieliśmy „matsch“ z II i III plutonem. Gra była ogromnie ożywiona. Daliśmy im 6 : 3 nadspodziewanie, gdyż oni tam mają doskonałych graczy.

24 kwiecień. Wielkanoc. — Przyjechał przed południem Kosior z Lublina z zakupami świątecznemi. Obiad kompanja wydaje dopiero o 4-ej, więc o 1-ej rozpoczęliśmy „matsch“ z 3-ą kompanją. Zmęczeni, lecz rozradowani wygraną, wracamy na obiad, który się przeciągnął do 6-ej przy bardzo miłym nastroju. Wieczorem przy najrozmaitszych fasunkach — rozhulały się humory na dobre. Do późnej nocy kąt nasz w ziemiance rozbrzmiewał śmiechem i dowcipami.

25 kwiecień. Nad Wiesioluchą. — Dzisiaj mieliśmy jeszcze jeden obiad wspólny, kończący święta. Jutro maszerujemy do Leszniewki, czy też do Karasina, a stamtąd całą Brygadą do Wołczecka i zmieniamy na pozycji III Brygadę. Zaczęła się więc wiara pakować, wyrzucać niepotrzebne rzeczy, czyścić się i obchędażać — w staropolskiem tego słowa znaczeniu. 9 K. T. D. żegnamy z cynizmem, kradnąc i ładując na nasze wozy co się tylko da z polowego dobytku. Jeśli nas jeszcze i naszej konkurencji dosyć nie mieli — to po tem „pożegnaniu“ krew ich zaleje i raporty będą szły aż do Cieszyna. Już widzę, jak się poci

nad odpowiedzią Nałęcz-Korzeniowski w Brygadzie i jak sława „ewige Bande“ rośnie, rośnie coraz bardziej po wszystkich „am-tach“ austriackich...

26 kwiecień. *Wymarsz do Leszniewki.* — O 6-ej zbiórka, maszerujemy do Leszniewki. W „Neues Palais“ zbiórka całego bataljonu, który już trzy miesiące nie widział się w całości. A bas neunte! — wołamy, gdyż mamy już dość tej 9-ej dywizji.

O 7-ej marsz. Za „Neues Palais“ sosnowy las zaczął jaśnieć wiotkimi brzozami, a piaszczysta gleba przechodzi powoli w przepyszną, rzeźwą zielenią traw...

Brzoźki już się pokryły dziewiczym, leciuchnym listkowiem, a ogromne łąki zachwycają oko jedyną, przecudną barwą zieloności tak żywej i mocnej, że aż émi w oczach... Rozszepiane wokół młode trawy, najmłodsze pierworodne kaczeńce i mgławce, strzeliste, rozszumiane sitowia, u brzegów ciemnych, głębokich wód...

Maszerujemy bez zmęczenia, po drodze wywalonej w lesie, po wbitych palach, po mostach długich z białymi brzozowymi bramami, po wyrzniętym ręką ludzką szlaku, wśród rozbudzonej do życia puszczy. Znaęła gruchnie wesoły śpiew echem w lesie lub wesoły gwizd piosenki w zawody pójdzie z poświstem ptactwa, rozradowanego słońcem. Raz po razu rozcina las łąka zieloności przedziwnej, o rozemglonym, różowym brzegu przeciwnej lasu strony. To równo, mocno przerzyna ciemna linja boru zielonej łąki pas, to pajęczemi, jasnymi promieniami wystrzelają młodziuchne brzozy w różową osnute mgłę. Z rozmokłych bajorów, ekliwych grzęzawisk podnoszą się często gęsto piaszczyste wydmy. Na jednej z takich rozbijałych wydmy piaszczystych, z pośród gromady młodziuchnych sosenek wyrzuciła swe ramiona w górę trzema sępiemi rzutami, spękana stara brzoza. Porytym, spękanym odziomkiem krzywo się podniosła i trzy grube, mocne ramiona rozciągnawszy — rozpuściła wdół ku ziemi wiotkie smugi warkoczy, leciuchnym puchem okryte.

O 12.30 dochodziliśmy do Leszniewki witani przez orkiestrę przed wsią, a w samej wsi przez wszystkich oficerów II bataljonu z Wyrwą na czele, z butelkami w rękach, z wesołemi okrzykami, witających nasz sztab.

Zaraz rozkwaterowaliśmy się. W Leszniewce II bataljon najrozmaitsze zabawy powymyślał, djabelskie młyny, huśtawki pobudował. Rozdokazywani oficerowie kręcą się na djabelskim

młynie. Co chwila, na moment jeden — stanie w górze sylwetka majora Wyrwy i okrągłym ruchem spada wdół, a tuż za nim mknie Sław w powietrznej drodze, to Trapszo, to Bończa, to Pogoń...

28 *kwiecień. Leszniewka — Maniewicze.* — O 6-ej rano zbiórka bataljonu. Dźwignęła się kolumna i w takt marszu równo się poczęły kołysać tornistry.

Wkrótce deszcz spadł rzęsimy i trwał już z małemi przerwami do wieczora. W Maniewiczach, na wzgórku — obok cerkwi, po zjedzeniu obiadu, rozkwaterowaliśmy się w długich, ciemnych ziemiankach.

WIOSNA ROKU 1916 NAD STYREM

29 *kwiecień. Maniewicze — Legionowo — Wołczek.* — O 5-ej rano pobudka. Idziemy do Legionowa a stamtąd na pozycję.

Dzień chmurny, ciepły, lecz bez deszczu. Krajobrazy przepyszne! Las, nawspaniały las pod słońcem, ogromne świerki, dębina naga jeszcze, brzoźki — delikatną mgłą liści pokryte, buki i wiotkie graby... Co chwila przepyszne zielone polany, na których się ostro wznoszą wysepki, ciasne kępy drzewne. Na tle jasnej, przejrzystej zieleni brzoź, czernią się wyraziście kontury świerków, i znów na ciemnej głębi świerczyny przepyszniemi plamami odbijają się brzozy...

Muzyka gra... Grzmiącemi, radosnemi tonami burzy ciszę leśną, tysiące dźwięków, poszumnych tonów oddają drzewa. Czasem rozlewną melodją zaszumią, czasem zatrząsie z nagłą echo trąb, rozedrga powietrze, napelni grzmiącemi tonami i znów wróci z wędrówki dalekiej, młodzieńczy, rzeźki ton i cichą melodją do nóg się kładzie...

Okolo 12-ej przeszliśmy koło baraków Legionowa. Mnóstwo tam sztabowców, z gwiazdkami na kołnierzach, stało obok ziemianek przypatrując się z ciekawością naszej kolumnie. Ujrzałem Lucka Frakowskiego, Ostryharza i cały szereg łodzian z oddziału skautowego. Pod Legionowem — kolejka przez las prowadzi do Wołczeka. Kolejka dowożą prowiant, ruch na drodze ogromny...

Pod Wołczekiem staliśmy kilka godzin. Oficerowie pojechali na pozycję, wreszcie o 4-ej ruszyliśmy dalej. Za Wołczekiem, w „Lasku Polskim“ gdzie stały ziemianki rezerw. Sław ogłosił

z wysokości konia — że przez noc kwaterować będziemy razem z 3 pułkiem II-ej Brygady, więc nie dopuszczać mamy do żadnych klótni, ani scysyj.

Rozkwaterowaliśmy się. Pluton dostał dość wygodną ziemiankę, gdzie mieszka jeszcze 10 trzeciaków, bardzo morowej wiary. W niedalekich okopach cisza, tylko od czasu do czasu ostro trzaśnie strzał rosyjski. Według informacji, odcinki przedstawiają się następująco: celownik tu jest przeważnie normalny. Jedna z placówek stoi w silnej reducie na zboczu wąwozu, po drugiej jego stronie są Moskale, w linii powietrznej oddaleni o 100 kroków. Placówki ciągle tłuką się z sobą i straty są prawie zawsze. Podobno Moskale podkopują się pod tę placówkę. Wogóle ruch tu jest znaczny i z powodu małych odległości front jest podobny do zachodniego.

Wieczór spędziłem na pogwarce z wiarą z 3 pułku. Odznak austriackich szczerza wiara prawie zupełnie nie nosi, gwiazdki noszą przeważnie tyłowe i banda hinterlandzka.

Tak więc stanęliśmy w „Lasku Polskim“ obok „Polskiej Góry“. Taką oficjalną, wojskową nazwę nadali Austriacy niewielkiemu, sosnowemu laskowi i szerokim wzgórzom, górującym nad wsią Kostjuchnowką i doliną Styru. O lasek ten i o wzgórze jesienią ubiegłą staczał uporeczywie boje 2 i 3 pułk i zajął je wreszcie na stałe, górując nad rozległą doliną Styru. W Woleczeku, który minęliśmy dzisiaj, o 2 klm. w tyle na starym, wspaniałym cmentarzu białą się setki krzyżów nad grobami poległych jesienią, karpaciarzy. Leży tam również Czechna-Tarkowski¹⁾.

30 kwiecień. Lasek Polski. — Stoimy w ziemiankach rezerwy w „Lasku Polskim“, u podnóża „Polskiej Góry“, za którą sterczą ruiny wsi Kostjuchnowki. Tutaj w rezerwie będziemy stali 2 do 4 tygodni. Narazie nie mamy nic do roboty, lecz prawdopodobnie nocami będziemy poprawiać okopy drugiej i trzeciej linii i tylko nocami. Redutę, o której wczoraj nas informowała wiara z 3 pułku — zajął pułk 1, nazwawszy ją „Redutą Piłsudskiego“.

1 maj. Lasek Polski. — Bawili u nas do południa Ostryharz i Stasiek Wielkopolanin z oddziału skautowego przy Komendzie Legjonów i wrócili dopiero po obiedzie. Koniecznie chcą się do nas przenieść. Byłoby morowo — jest ich tam kilku chłopaków silnych i zdolnych do linii. Zamiast garować się przy komendach, wyrobiliby się u nas na solidnych żołnierzach. Trudno będzie co prawda wydestać ich stamtąd, lecz będzie się robiło, co tylko można.

¹⁾ Kapitan Czechna-Tarkowski, poległ jesienią 1915 r. pod Kostjuchnowką.

Dzisiaj przesunięto w centralnych państwach czas o godzinę wprzód. Bestje szwaby chcą nawet oszczędności na czasie zrobić.

Po południu na boisku grała w piłkę 1 i 2 kompanja. Moskale łupili trochę szrapnelami na drogę, niedaleko pułku.

Na pozycję przyjechał Dziadek. Komendant zdrow i dobrze się czuje. Poza tem jakoś nikt tu nie spodziewa się większego ruchu — sądzą ogólnie że my tu długi czas spędzimy, na pozycyjnych walkach.

Mamy już rozkłady zajęć na najbliższe dni. Wiezorami przy kolacji śpiewy przy stole, przed ziemianką.

2 maj. *Lasek Polski*. — O 5-ej rano 23 ludzi z plutonu poszło do okopów na roboty. Do południa czas nam przeszedł na porządkowaniu ziemianek, dużych i wygodnych.

Na linii dość gęste strzały karabinowe i ożywiona artyleryjska strzelanina. Kompanja schodząca w południe z robót, musiała się wycofywać pod ogniem szrapnelowym, który na szczęście strat nie przyczynił. Poraniły natomiast szrapnele 3-ch austriaków, przechodzących obok. Ci zawsze muszą dostać!

Po południu ożywiona gra w piłkę, przy wtórze pękających o 200 — 300 kroków szrapneli rosyjskich. Grała 1 i 2 kompanje, a potem nasz pluton z II i III-im.

Bataljon nasz stoi w rezerwie na zboczach pagórka, zalesionego wysokimi sosnami. Są tu ziemianki naszego bataljonu, rezerwy 3 pułku Żymierskiego i komenda pułku z Berbeckim. Poza tem cała masa węgierskich rezerw, przeważnie ladszturmu, trochę landwery.

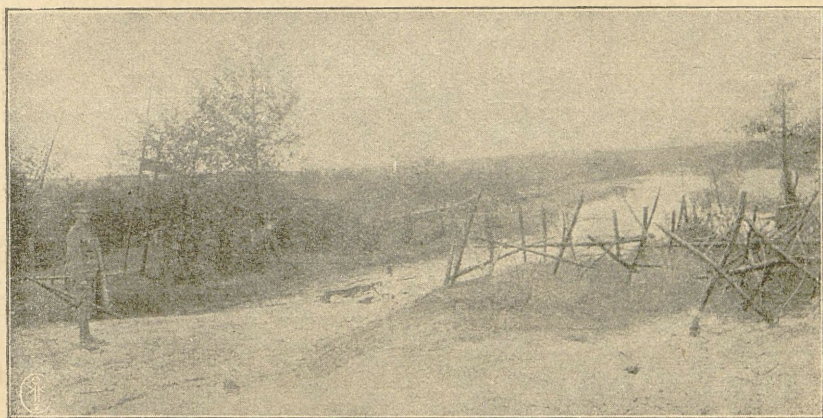
Wschodnie zbocze pagórka niezalesione, spada dość stromo, do jasnozielonej łączki i sporego bagna. Na zboczach tem, brzegiem Polskiego Łasku ciągnie się druga linja obronna. Ostrzał jest dość dobry i sama pozycja nieźle broniona przez bagienko, niedostateczny tylko dostęp do pierwszej linii, gdyż po jednym zaledwie mostku.

Wieczorem, gdy rozmigotana gwiazdami noc otuliła płaszczem las z szumem sosen mieszało się gwarliwe rechotanie żab, które w ciszy i cieple drą się w niebogłosy.

3 maj. *Lasek Polski*. — O 5-ej rano pobudka, o 6-ej wymarsz na roboty. Dzień pogodny, niebo bez chmurki, jasne, czyste, błękitne. W prostej linii przez bagno do pozycji mamy coś około 500 kroków, lecz musimy maszerować okólną, maskowaną drogą, co wynosi przeszło 2 km. Za ziemiankami, rozrzuconymi w lesie, przechodzimy przez drogę, wzniesioną mostem na łąkach i małych bajorach.

Droga zamaskowana z jednej strony niewielkimi sosnami. Stąd przechodzimy przez kręty, zygzakowaty, głęboki ganek do Polskiej Góry, którą to przestrzeń przebywamy dwójkami w odstępach 50 krokowych, dochodząc do ganku, gdzie przekopuje się go do drugiej linii okopów. Część pracujących zostaje przy ganku, pod moją opieką, druga z Kocem idzie kopać ogromne doły na granatniki, t. zw. „bombensichery“.

Wzgórze, owa Polska Góra — na której pracujemy — zryta jest cała gankami, okopami, dołami na granatniki. Z pośród jasnych, wywalonych kup piasku wyglądają małe zaledwie płaszczyny, jak okna, zielonej, glebnej roli.



Wyjście z Lasku Polskiego w kierunku Polskiej Góry.

Na wzgórzu ruch. Austriacy saperzy pracują obok granatników, które dźwięczą głośnie przy wbijaniu nitów. Są to półkoliste, ogromne żelazne nakrywki, przysypywane ziemią, którym i granat 15 cm jednym uderzeniem nie robi, a i wątpliwe czy dwoma. Granatnik taki pomieści około 20 — 30 ludzi. Tuż obok ciągnie się rezerwowa linja okopowa; wszystko to otoczone masą krwawych, pordzewiałych drutów kolezastych.

Poszedłem zwiedzić pierwszą linję. Przed okopami stała kiedyś przed kilkoma miesiącami, ogromna wieś Kostjuchnówka. Dziś z niej niema śladu. Zabudowania, stodoły, ploty, chałupy — wszystko poszło na użytek okopów. Ani jedna cegła nie pozostała z kominów, nawpół spalonej wsi. O istnieniu jej możnaby się domyśleć tylko z sadków owocowych, osypanych w tej chwili białym kwieciem, zaledwie wschodzącym i po dziesiąt-

kach gniazd, które uwiły sobie na drzewa bociany, nie chcąc opuszczać rodzinnej wsi.

Okopy zato, powstałe ze zniszczonego życia Kostjuchnowki — wspaniałe. Głębokie, ujęte ramami sztywnych linii bali i słupów ciosanych, z grubemi daszkami szrapnelowemi, z potężnemi, szkarpowatemi trawersami. Trawersy przysadziste, napężniałe workami z piaskiem, objęte gęstą drucianą siatką, zbite, twarde jak kamień. Gdzie niegdzie przy stanowiskach karabinów maszynowych — żelazo i beton.

Przedpole gęsto spowite zrudziałym drutem kończastym, dalej płytkie zagajniki, olszynki, łączki i mokradła ułatwiają ogromnie podejście Moskali pod same okopy.

Przeciwna, moskiewska strona żółci się okopami na brzegu wysokiego sośniaku — celownik do nich 1000 — 1200. Na 500 kroków przed okopami — lekko wijący się dymek wskazywał miejsce rosyjskiej placówki.

Obustronna strzelanina trwa stale, przyczem Moskale biją gęściej. Ostry brzęk rykoszetu lub świst kuli drze co chwila powietrze.

Gdy wróciłem do ganku, ze zdumieniem dowiedziałem się, iż Władek Łęcki ranny. Włóczył się przy robotach górą, dostał w łapę i to dość boleśnie.

Dzień cały oślepił słońcem, w cichem, rozedrganem powietrzu. Artylerja rosyjska milczy, natomiast nasze pietnastki szorują po niebie i z jęklwym hukiem ryją okopy rosyjskie.

Pod wieczór dwójkami schodzimy z ganków. Z rozgrzanych wód, łąk i bagien szedł gwar żabi, rozrehotany, swarłiwy.

Kładziemy się wcześnie spać, bo jutro pobudka o 5-ej. Władek odjechał do szpitala, dostaliśmy natomiast do plutonu obywatela Michała-Aleksandra Sułkiewicza — do dziś prowiantowego sierżanta, a od szeregu lat jednego z najbliższych przyjaciół Komendanta.

4 maj. *Lasek Polski*. — Okopy na Polskiej Górze zajął II bataljon. Na lewo odeń wzgórze opada w nieprzebyte bagno, tworząc tu lukę, za którą ciągnie się las. Las ten zajmuje Śmigły i Fleszar, dalej na lewo łącząc z 4 i 6 pułkiem. Najważniejszym punktem okopów od nas na lewo jest reduta, wysunięta wprzód, o 100 kroków oddalona od Moskali, o czem już pisałem. Na reducie tej, którą obsadza VI bataljon, saperzy ryją kontrminę, bowiem Fleszar, który ziemiankę ma na samej reducie, meldował, iż słyszy szmery moskiewskiego podkopywania.

Sulkiewicz odrazu przyjęty został przez pluton z wielką uciechą. Będziemy mieli przez niego najświeższe wiadomości z Brygady, poza tem przypadł strasznie plutonowi do serca, a chłopcy jemu. Dostał się do Brygady, bowiem w Warszawie capnęli go Prusacy i wysłali do Krakowa, gdzie go „awstryjcy“ mieli internować. Zwiął tedy od Brygady, był dwa miesiące w prowianturze, i na usilne nalegania przeniesiony został do linii. Sław go dał do naszego plutonu.

5 maj. *Lasek Polski*. — Ociężale wstajemy o świcie i marsz na roboty. Dzień taki sam pogodny, rozśłoneczniony jak wczoraj. Podzieleni na grupki po sześciu, wskakiwaliśmy do olbrzymich dwumetrowych dołów, które jeszcze trza było pogłębiać.

Popołudnie przeszło nam na pogwarce z Sulkiewiczem. Narzekał na stosunki tyłowe, kłął prowianturę i inne „amty“, a chcąc dzieciom czyste nazwisko zostawić — jak powiada — „wyrwał się“ do linii. De publicis naszych spraw, brygadowych, to jak powiada — Zagórski już poszedł, a miejsce jego zajął Kochański, poza tem idzie na zieloną trawkę Kittner, Grzesicki i wszystkie inne kreatury austriackie.

Wieczory mamy ciche, ciepłe, rozgwieżdżone niebo, rozrechetane melodyjnie łąki.

Na froncie spokój, tylko w nocy atakowali Moskale gdzieś na prawo, gdyż szedł stamtąd potężny ogień działowy. W najbliższym czasie spodziewamy się jakiegoś ruchu.

6 maj. *Lasek Polski*. — Roboty jak co dnia. Koc z połową plutonu siedział w granatnikach, ja z resztą przy ganku. Jest z nami Styk, który po jakimś czasie wziął wszystkich podoficerów do okopów, by zorientować się w pozycji, którą za kilka dni mamy zająć. Obejrzelismy tylko odcinek II bataljonu na Polskiej Górze, gdyż VI bataljon na lewo oddzielony jest bagnem bez przejścia. Tam to jest ów najważniejszy punkt naszego odcinka — reduta Piłsudskiego, która w kształcie klina, daleko wprzód wysunięta, od moskiewskich okopów zaledwie o 80 kroków jest oddalona. Poza tem front jest zachwaszczony, moskiewskie patrole buszują na przedpolach, które trzeba oczyścić jak najprędzej.

Wywiał dzisiaj z Komendy Legionów do naszego plutonu Zygmunt Rosiński¹⁾.

7 maj. *Lasek Polski*. — Był dzisiaj u nas Miatkowski²⁾ zgieznanin, z V bataljonu. Na ich odcinku — ciągły ruch. Uczone

¹⁾ Obecnie porucznik piechoty.

²⁾ Zginął na reducie Piłsudskiego.

inżynierzy austriackie stwierdziły, iż pono podkop rosyjski dochodzi do połowy reduty, aż po ziemiankę Fleszara. Spodziewano się nawet, że wczoraj Moskale robią fajerwerk i redutę skończą, lecz noc przeszła spokojnie — wobec czego dzisiaj wybuchnąć ma nasza kontrmina.

Wieczorem wymaszerowaliśmy na roboty nocne. Z niecierpliwością czekaliśmy godziny 10-ej, rychło rozerwie ciemności błysk ognia z kontrminy, lecz w lesie VI bataljonu cisza panowała zupełna.

9 maj. *Lasek Polski*. — O 2.30 w nocy awizowano znów wysadzenie reduty. Deszcz ustawicznie lał, mimo to wyszliśmy na górkę, na brzeg lasu. Ciemność nieprzenikniona. Od czasu do czasu trzasnął bliski strzał karabinowy, poza tem cisza zupełna. Czekaliśmy z pół godziny złani deszczem, a po chwili dopiero przychodzi zawiadomienie, że wybuch odłożony na godzinę. Wracamy wściekli do ziemianki, lecz po godzinie znów wyszliśmy.

Świt już bielil pola i las, wschodnia strona nieba jaśniała coraz bardziej. Ptactwo zlekka poświsztuje, trwóźnie, zeicha skowronek wydzwania swą poranną pieśń.

Ciszę przerywają częste strzały, a zielony blask rakiet rozświetla resztki nocy. Wreszcie na lewo, w zamglonym lesie łysnął snop ognia, runął grom i przeciągłe dudnienie padającej ziemi. Za chwilę drugi, trzeci.

10 maj. *Lasek Polski*. — Dziś Busse-Guzowski dostał nominację na podporucznika, co znów przerwało monotonię dni jednakowo słonecznych, z jednakowo nudnem grzebaniem się w piasku, przy saperskich robotach.

11 maj. *Lasek Polski*. — 9.30 wieczór. Przez długi korytarz ziemianki dopada grzmiący łoskot bębna orkiestrowego. Obchodzimy rocznicę przejścia Nidy, która się zbiegła jednocześnie z nominacjami oficerskimi. Robót, wykładów, apelu wobec tego niema — „*national fest*“ — w całej pełni.

Przed południem nadciągnęło uzupełnienie do pułku, coś ze 100 ludzi.

Wszystko stara wiara, pokieroszowana w różnych okazjach. Stanęli w długim dwurzędzie przed ziemianką pułku, a Berbecki — od wczoraj podpułkownik — sam oddziela każdego, po kompanjach. Obok, wiary zleciało się mnóstwo, wypatrując każdy przyjaciół i znajomych.

Po południu graliśmy w nożną z 1 kompanją, a przed chwilą nadesły alarmujące wiadomości, jakoby Sław, Narbutt, Jagmin i inni mieli być odkomenderowani do 6 pułku i tam poobejmować funkcje.

12 maj. *Lasek Polski*. — Dziś dzień uroczysty, bo na boisku sportowem ma się spotkać nasz bataljon z bataljonem II. Od godziny już zapelniać się począł Lasek Polski wszystką wolną od zajęć żołnierską wiarą. Są i szarże — Berbecki, Wyrwa, Sław, Narbutt — wszyscy komendanci plutonów i kompanij. Gra była zażarta, nie przerywano jej ani na chwilę, choć Moskale jakby się zwiedzieli co tu się rozgrywa — bić poczęli szrapnelami. Pękały wokół boiska, lecz rozentuzjasmowana wiara i rozżarci gracze ani myśleli ustępować.



W ziemiance w Lasku Polskim.

Ustąpili też Moskale, gdyż po kilku salwach przeniósł się ich ogień na VI bataljon.

14 maj. *Lasek Polski*. — Dziś z racji niedzieli porozlatywał się pluton po przepustki, aby udać się na wszystkie strony. Do Legjonowa, do czwartaków, do 1 pułku.

Wieczorem zebrawi się wszyscy chłopcy przy stole, przed ziemianką. Wieczór ciepły, księżyc wypłynął na jasne niebo i długie kładł blaski przez gałęzie sosen. Turski i Dolek Wojtarowicz koncertują na skrzypcach i gitarze. W cichem i ciepłym powietrzu delikatne dźwięki instrumentów, zda się, że rozpylają się — tak lekko drga melodia.

Długośmy się rozmarzali muzyką, aż nią zwabionych nadciągnęło kilku Węgrów z obok stojącej rezerwy. Nie posiadali się z radości i zachwytu i gwałtem wpychali srebrne dwukoronówki Turskiemu do ręki, aż rozsrożony przestał grać. Uprosiłszy go jednak i zagrał. Skoczne, porywiste, pełne gorącej krwi i waru „Oj kurizalo“ wraz uderzyło. Węgrzy wpadli w szal. Rozpoczęli taniec, początkowo lekki, drobny, z przebieganiem nóg, coś na kształt naszego zbójnickiego, lecz w miarę rozochocenia, jak uznały skrzypce czardasza — dusza się w nich zerwała niby z pęt i szaleć poczęli — a krąg widzów rósł wokół nich coraz bardziej.

15 maj. *Lasek Polski*. — Pluton III objął dzisiaj ppor. Paweł Stefański¹⁾, który jest w bataljonie od kilku miesięcy, służąc w 3 panji jako szeregowiec. Wyrwał z armji rosyjskiej, gdzie był kapitanem i dowódcą bataljonu i zgłosił się do Brygady, na prostego żołnierza. Teraz dostał Dziadkową, polską nominację i objął pluton.

Krążą pogłoski, że Komendant ma objąć również i II Brygadę.

16 maj. *Lasek Polski*. — Dziś po oddaniu służby inspekcyjnej wyrwałem się z Edkiem Pfeifferem i poszliśmy do 4 baterji legjonowej, aby się zobaczyć z Luckiem Frakowskim. Z Lasku Polskiego krętami gankami doszliśmy do ziemianek 1 kompanji, a później drogą przez las do małej łączki, za którą była baterja. Tam nas odesłano w lewo, gdyż 4 baterja stoi za 6 pułkiem.

Ogarnał nas surowy mrok lasu, który z sosnowego i jodłowego boru przechodził w coraz bardziej mieniącą się pyszną zielonością gęsto podszyty, rozszumiany las...

Dzień był gorący, słoneczny, wiatr przeganiał lotne, pierzaste chmurki i głębokie szумы budził na wierzchołkach drzew. Rozradowany ptaszęcy świegot bił z gęstwin, dziecięcy gorliwie pracowały w korze sosen, raz po raz ozwała się kukulka.

Las gwarzył, szumiał, radował się, oddychał pełną piersią.

Wąziutką, niewyjeżdżoną, cywilną jeszcze ścieżką, poprzez przedziwne ostępy, nagłe rozpadliny, poprzez podszyte młodą grabiną i leszczyną wzgórkę, szliśmy to w dół, to w górę, to na miękkie zielone łączki, czerniejące rozkiszłe bajory, o rażącej, jasnej barwie, to przez zmurzałe tysiącletnie kłady powalonych drzew, splecionych paprocią. Z godzinę przedzieraliśmy się przez ten pyszny las. Zewsząd bił mocny zapach, przedziwnie upajający, gdy ciemne gałęzie lasu zapadały się w mrok grząskich bagien lub odbijały się w kręgu przeczystej wody.

¹⁾ Zmarł w r. 1922.

Zwalone pnie, odziomki starczych sosen i buków w momencie pewnym spletały się rdzawymi nitkami drutów. Gdy przedarliśmy się wreszcie przez labirynt kołków, uwagę naszą zwrócił lekki pagórek, z niewielką czarną jamą pośrodku. Lisie lub wilecze legowisko.

Podchodzimy bliżej, ciekawie patrząc w głąb i naraz wydajemy okrzyk zdumienia. Ta lisia jama, czarne podłużne oko — to otwór dla karabina maszynowego. Pod świetnie zamaskowanym blindażem, ciągnie się równy, mocny okop, oszalowany sośniną. Rezerwowe pozycje...

Wracaliśmy inną drogą, okopami 5 i 1 pułku. Ciągną się one lasem, dobrze kryte, takie jak nasze pod Koszyszczami. Przecho-
dząc obok reduty ujrzelśmy Komendanta rozmawiającego ze sztabowcami austriackimi, objaśniającego im sytuację tego od-
cinka.

17 maj. *Lasek Polski*. — W tych dniach ma się odbyć zjazd stronnictw niepodległościowych w Lublinie, na którym ma być Biliński. Chce wymóc dalszą rekrutację do Legjonów, lecz zdaje się, że mu się to nie uda. Sprawa unifikacji brygad postępuje rażno naprzód. W sobotę ma się odbyć narada Komendanta z legjonowymi pułkownikami i ich zastępcami w sprawie uzupełnienia szarżami tamtych pułków.

21 maj. *Lasek Polski*. — Kompanja 1 urządza teatr, czy inny kabaret, na którym nie byłem, lecz rozbawieni chłopcy o niezem
innem wieczorem nie mówią. Grano „Nikt mnie nie zna“ — Fredry, a poza tem w części kabaretowej występowały leguny tak świetnie przebrane za niewiasty, że wiara się paliła w niemoralny sposób. Najbardziej bawili się ponoć Prusacy, z najbliższej baterji.

A propos ostatniej miny pod ziemianką Satyra — zreformo-
wano przysłowie: „Kto pod kim dolki kopie, musi mieć więcej ekrazytu“.

22 maj. *Lasek Polski*. — Przyjechał dzisiaj Adek Goldenberg, który z nad Wiesiołuchy pojechał na urlop. Obejmowałem wła-
śnie inspekcję w baonie i szykowałem się do wyjścia, gdy zamie-
szany gwar głosów doszedł do ziemianki. Chłop wypadł się nie-
przyzwolicie, wybawił jeszcze lepiej, a co najważniejsze przyje-
chał obładowany jak wielbłąd paczkami i listami.

Służba na inspekcji przeszła mi spokojnie, bez żadnych nad-
zwyczajnych rozkazów.

Po południu pomagałem Flojarowi przy korekcie szkicu sy-

tuacyjnego naszego odcinka i późnym wieczorem wyszliśmy na brzeg lasu, gwarząc o naszych sprawach brygadowych.

Noc była jasna, księżyc oświeślał w dole przed nami ciemną linję bagna, rzucony przezeń mostek i kładł sine blaski na poroju, skopanej granatnikami i gankami łysej górze naszych okopów.

Wpatrywaliśmy się w to grzaskie, zielone bagno, w ten jeden, jedyny most i w ciemny zarys Polskiej Góry. Tu będzie piekło kiedyś, gdy nastanie ruch, gdy atakować będą Moskale Polską Górę...

Gdzieś daleko, na prawo, dudnił huraganowy ogień...



Ks. biskup Bandurski
w okopach nad Styrem.

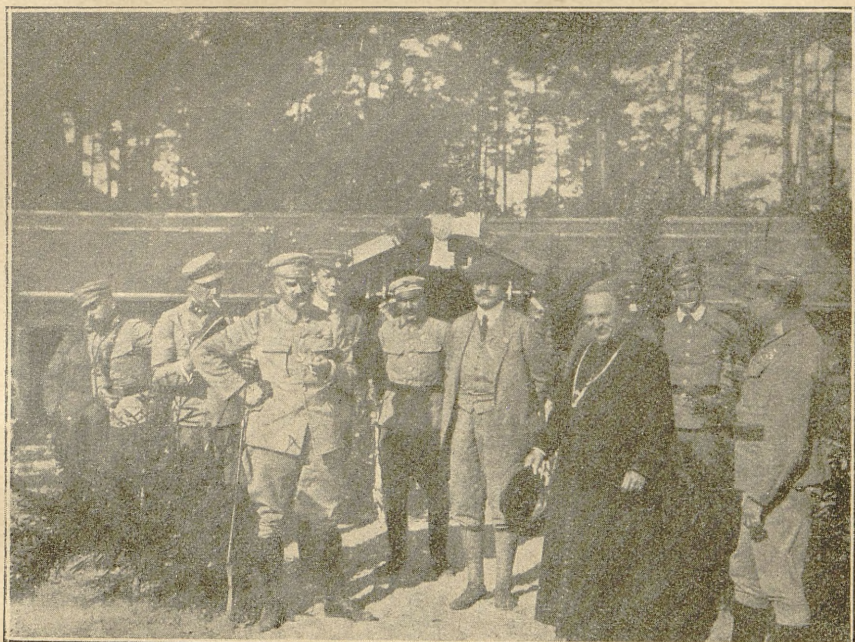
25 maj. *Lasek Polski*. — Wieczorem po robotach na Górze — zaszedłem do bataljonu dowiedzieć się o zdrowie Sława. Zapadł bowiem na piersi, od kilku dni leży i każą mu jechać koniecznie do Zakopanego. Rozgadałem się z Roweckim, który adjutantuje teraz Sławowi, a że miał do roboty olbrzymi szkic na stole, zacząłem mu pomagać.

Czas na pogwarce i pracy piorunem przeleciał i anim spostrzegł, jak świt coraz bardziej począł bieleć okna ziemianki. Noc szarzała, wsiąkała w ziemię spłoszona coraz bardziej natrętnym światłem dnia. Za chwilę odezwał się jeden ptak, krzyknęła wilga, kukułka.

Wstał jasny, perłowy ranek. Dzień zapowiada się prześliczny.

28 maj. *Lasek Polski*. — Dziś święto czwartaków, na którym nie mogłem być, gdyż miałem służbę. Wybrał się tam prawie cały pluton, który wieczorem naznosił wszelakich płoteczek. Był Ko-

mentant, biskup Bandurski, Puchalski, Grzesicki i tłumy legjonowych szarż. Dwu cywilów pozatem: ks. Lubomirski i jeszcze jeden z posłów Koła Polskiego. Nastrój był ponoć bardzo miły i serdeczny. Przemawiał biskup Bandurski, lecz Roja przewyższył wszelkie oczekiwania. Mówił tylko o Niepodległej Polsce i Komendancie. Wogóle trzymał się Komendanta a c. k. legjonistom czynił afronty. Ks. Bandurski przy stole siedział pośrodku, na prawo Puchalski, na lewo Komendant — po przeciwnej stronie połowa miejsc była przeznaczona na austriackich oficerów, a więc od góry Grzesicki, Kittner i t. d.



Komendant z biskupem Bandurskim w Lasku Polskim.

Podobno Grzesicki zieleniał, a po mowie Roji, podszedł do niego i zagroził mu, że pociągnie go do odpowiedzialności.

Nastrój był ogromnie serdeczny dla I Brygady. Gdziekolwiek ukazał się Komendant, czyto sam, czy z Puchalskim, grzmiały za nim okrzyki: „Niech żyje, niech żyje Piłsudski!”

30 maj. Lasek Polski. — Przyjechał do pułku biskup Bandurski i Komendant. Świadczy o tem głęboki ton orkiestry i głuchy łoskot bębna. Wiara wyległa przed komendę pułku, by się gościom przypatrzeć. Nie poszedłem, gdyż zaczytałem się w Chmie-

lowskim. Po pewnej chwili uderzył w powietrze trzykrotny, ogromny okrzyk: „Niech żyje!...” Wybiegłem!

Przed kwaterą pułku zastawiony stolik, obok niego Komendant, biskup w fioletowej myce, rubaszny Wyrwa, Berbecki, Ryszard Trojanowski, Świętopelk-Jaworowski i inni. Obok gęsta ciżba żołnierskich mundurów, do których Wieniawa-Długoszowski¹⁾ ogromny, dorodny ułan z nieustannemi zwraca się dowcipami.

Na cześć biskupa coraz to wznoszą okrzyki. Orkiestra gra mazurka, kurzy się z głów i z drogi... Na pożegnanie Berbecki wznosi okrzyk: „Niech żyje Komendant Główny, Józef Piłsudski, da Bóg wielki hetman koronny!...” Runął ogromny okrzyk!... a rozbawiony Komendant śmiał się na głos. Za chwilę zbierają się, powstają od stołu, podają konie.

Szkapy od ciągłych, rwących powietrze okrzyków, drepcą niespokojnie i szarpią się, wzbijając tumany kurzu. Podjeżdża bryczka, siada do niej biskup i ks. Lubomirski. Na rwące konie siada różnorodna, młoda, gołowąsa świta. Kurz przesłania ich tumanami, orkiestra jeszcze raz rżnie fanfarę, huragan okłasków bije w powietrze, kawalkada rusza z Komendantem na czele...

Przygotowania do odparcia ofensywy w toku. Przychodzą ułami i zmieniają II bataljon, my zmieniamy na prawo Węgrów na „Polenbergu”. Prowiantura wynosi się z Woleżecka, pułk wyfasował żywność na trzy dni i będzie pono nadal tak fasować.

51 maj, Lasek Polski. — O 5-ej pobudka. Wyszedłem przed ziemiankę do małego improwizowanego ogródka przed ziemianką, by zobaczyć jaka pogoda.

Niebo czyste, jasne i bez chmurki. Otocz światła rzuciła jasne plamy słoneczne poprzez gałęzie sosen, ptaki poświsływały weselo i w poranem, rzeźwem powietrzu donośnie rozlegało się kukanie kukulki. Nic nie przerywało ciszy i spokoju poranka, głosów natury nie mącił żaden ton dysharmonji.

Naraz w czystym jak lazur powietrzu rozległ się delikatny warkot niby brzęk komara, powoli w metaliczne drgania przechodzący, w dzwieczny furkot, potężniejący coraz bardziej.

Obejrzałem się po wierchołkach sosen, lecz plamki nijakiej nie było, wyszedłem więc na górę za ziemiankę.

Od strony pozycji, zawieszony w przestrzeni, z rozłożonemi skrzydłami, posuwał się z warkotem czarny punkt. Aeroplan... Przeleciał nad laskiem niskim lotem, drganiem silnika napelniając

¹⁾ Obecnie płk. Szt. Gen.

powietrze. Za chwilę, jeszcze nie zwiął austriacki „golab“, gdy rozległo się powtórne warczenie silnika i nad pozycją, cokolwiek wyżej — unosi się rosyjski lotnik.

W jednej chwili przysnęła cisza okopów. Huknął jeden strzał, drugi, za chwilę bezładna pukanina, grzechot karabinowy i zatrajkotał karabin maszynowy. Lotnik, nie zważając na ogień, szybował dalej, aż do naszego lasku. Zewsząd bił już węń ogień karabinowy, szarpany i gwałtowny...

„Golab“ rozczapierzył swe sztywne, nieruchome skrzydła i pruł powietrze dalej, z warkotem nieustannym, jak warczenie rozżalonego psa...

Jak krótkie odszczekiwanie drugiego — poczęły nań szczekać pieski stalowe, nasze „ósemki“...

Lecz były zdaleka, z boku, nie objęte jego ostrem, szpiegowiskiem okiem, te zaś, na które leciał — skuliły się twożnie i milcząc zezowały jeno ku górze przezornie.

Minęło kilkanaście minut... Ogień karabinowy już ucichł, wtem lotnik zatoczywszy ogromne koło — wraca.

Przeleciał nad milczącą drugą linją, nad zatajonemi baterjami i sunął terkocząc ku swoim, ku pozycji...

Trzasnęły wraz jedne za drugą baterje, podniosły w górę pyski rozżalone i szczekać ostro, zjadliwie poczęły ósemki, chrapliwie, nisko 10-ki i 12-ki...

Czerwono-białe dymki wykwitnęły wnet wokół czarnego punktu — linja okopów znowu zatrzęsała się z oburzenia i roztrajkotała się histerycznie.

Lecz warkot w powietrzu nie milknie, bo ze strony rosyjskiej pojawiają się jeszcze dwa aeroplany i wzmocniona eskadra zawraca. Natychmiast na jej spotkanie zaczerniły dwa nowe punkty i szybko rosnać poczęły w powietrzu.

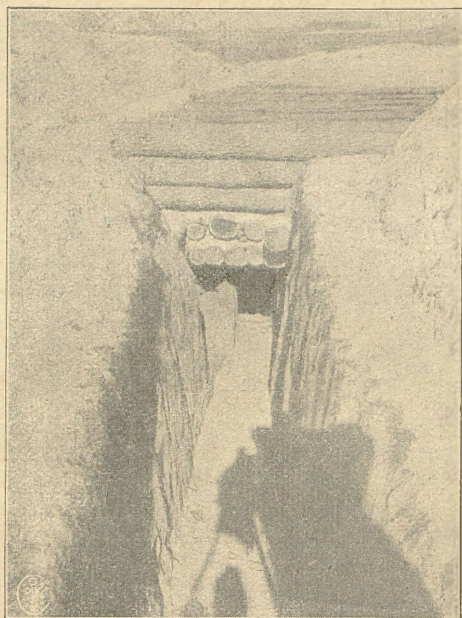
Tymczasem już zbiórka na roboty. Maszerujemy szeregiem po „Polenbrücke“ i wchodzimy do krytego ganku.

Po jasnym lazurze przewija się z pięć czy sześć aeroplanów. Baterje biją i nasze i rosyjskie, całe niebo pokryło się dziesiątkami białych i biało-czerwonych dymków szrapnelowych. Linja rozgorączkowała się na dobre i rozstrzelala się jeszcze lepiej.

Przesuwamy się szybko, a szyja aż boli od ciągłego patrzenia się w górę...

W pewnej chwili zaczął skośnie ku nam przecinać drogę wielki, szerokokrzydły aparat, otoczony nieustannymi bukietami dymków. Zatrajkotał ostro karabin maszynowy i ekrazytówki poczęły zjadliwie pękać obok...

To aparat na tle jasnej pręgi ganku dostrzegł nasz długi szereg... Przeciał ostro, pod kątem linje ganku i w lewo, obok rozwalonej łopatami góry, obok granatników i drugiej linji wzbił się tuman kurzu i huk ogromny runął echem w las...



Budowa „lisiej jamy” na Polskiej Górze.

Za chwilę drugi słup rozdartej ziemi, trzeci, czwarty, za chwilę potężne huki rwały wokół...

To „gołąb” rzucał pigułki. Lecz walka w powietrzu trwała tymczasem dalej. Aparaty wśród ciągłej, nieustannej strzelaniny uwijały się szparko, lecz żaden gorejącą żagwią nie spadł wdół.

Po półgodzinnej strzelaninie rozjechały się w stronę swych pozycji.

Dzień dzisiaj przepysznie gorący, prawdziwie letni. Wiatru niema zupełnie, w powietrzu rozedrganem upałem, rozlega się tylko gwar żabi z niskich łąk i roznosi się przedziwna, mocna woń wiosennych traw...

Na robotach jest z nami Flojar, na czas urlopu Busego, komendant III plutonu. Robota idzie ospale, upał bowiem jadowity. Przed 4-ą byliśmy już w „kinie”, zapełnionem wiarą po brzegi.

Przedstawienie się już kończyło. Na płótnie jakiś straszliwy rozgrywał się dramat, który wiara w najtragiczniejszych momen-

tach przyjmowała szelmowskimi, łajdackimi konceptami. Bawiliśmy się — trzeba przyznać — doskonale.

1 czerwiec. Lasek Polski. — Ranek wstał taki cudowny i świeży jak wczoraj, na wróżbę upalnego dnia. Na roboty idzie z nami Stefański, więc biorę książkę do czytania. Mamy poszerzać ganek, robota dobra do podziału, wyznaczyłem więc każdemu odcinek, a sam od słońca się osłoniwszy, zagłębiłem się w Chmielowskim. Dość często musiałem sobie przerywać, a o 10-ej przerwałem czytanie zupełnie.

Uwaga bowiem wszystkich skoncentrowała się na Lasku Polskim. Moskale zebrawszy widocznie wczoraj przez lotników dokładne wiadomości, ostrzeliwują intensywnie tyły, bezpośrednio za linią. A więc najpierw skierowali ogień na nasz lasek i bili szrapnelami gęsto i celnie od skrzydła prawego ku lewemu. Rozpoznawaliśmy dokładnie, gdzie który szrapnel pękl i wnioskowaliśmy, którą mógł teraz ziemiankę obsypać żelazem.

Po gruntownem ostrzeleniu rezerwy, przeniósł się ogień na obserwatorja artyleryjskie, na 1 kompanję i pruskie baterje.

Ledwieśmy skończyli roboty i utonęli w rezerwowej linii i gankach — biją szrapnele na roboty. Odezwała się milcząca dotąd nasza artylerja i walka artyleryjska rozgorzała na dobre, gdyż Moskale za szrapnelami puszczać poczęli granaty na „Polenberg“.

W rezerwie ożywienie wielkie. Wiara naznosiła palników szrapnelowych, garnków, kulek. Moskale bili świetnie, wprost przed wejścia do ziemianek. Na szczęście lasek o tej porze pusty — wszystko na robotach — więc ranny tylko jeden, Majewski, ordynans osobisty Sława.

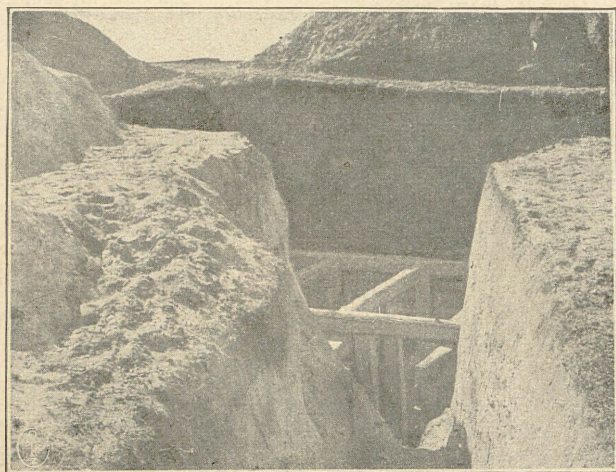
Wieczorem przed ziemianką Berbeckiego znów kino, pożyczone od czwartaków. Bawiliśmy się świetnie do późnej nocy.

2 czerwiec. Lasek Polski. — Odespałem dzisiaj ostatnie zaległości. Dzień upalny, rozżarzone powietrze aż dusi. Gdy chłopcy zjedzą w rezerwie obiad i rozejdą się do ziemianek, wszelki ruch w lasku zamiera. Słońce oślepiającym blaskiem zalewa odsłonięte miejsca, nasz placyk przed ziemianką z ławkami i stołem zeicha, rzadko się który znajdzie, by w rozprażonem powietrzu zabrał się do pisania listów i do czytania. A książek mamy moc. Biblioteka pułkowa dostarcza ich bez liku, wiara znosi Żeromskiego i Siemkiewicza, Weyssenhoffa i Struga — całą słowem literaturę.

5 czerwiec. Lasek Polski. — O 5-ej rano marsz na roboty. Idziemy w milczeniu, gdyż wiara niewyspana, jako że wczoraj bawiliśmy się kinem do północy.

Na żółtej pokrywie naszego wzgórza zaczynamy robotę, choć coraz to trzaśnie karabinowy strzał.

Olbrzymie dwa granatniki są już na wykończeniu. Na owalny, beczkowaty tunel z grubej blachy sypie się pokłady ziemi, przekładanej co pół metra potężnymi kłódami sosen. Dwa tuziny takich kłód mamy wwindować na wierzch granatników, a że upał bliski, a moskiewskie pukajła jeszcze śpią, wiara wzięła się szparko do pracy. Dźwigniami podważamy kłody, by je wciągnąć na nasyp, a stąd powoli, zsuwając po nasypie, zwałamy je wdół. Granatnik ten, przykryty jeszcze z wierzchu szynami, powinien wytrzymać uderzenie pocisku 18 cm.



Budowa granatnika na Polskiej Górze.

W półtorej godziny robota była skończona.

4 czerwiec. Lasek Polski. — Zanieniamy dzisiaj II baon. Od rana już krzątania, szykowanie rynsztunku, wyrzucanie rupieci. Przez miesiąc rezerwy w Lasku Polskim zadomowiliśmy się nieźle, nazbierało się mnóstwo drobiazgów, fatalaszków, książek, z którymi z żalem trzeba się rozstać.

A na całym froncie już ruch. Dzisiaj od 2-ej w nocy do 10-ej z rana gdzieś pod Czartoryskiem, od południa dudnił nieustanny łomot dział, jakgdyby tysiące ciężkich wozów po kamiennym przeprawiało się moście. Nieprzerwany ten grzmot przewala się monotonnie, jednostajnie równo, bez nagłych, bliskich wstrząśnień piorunów i trzasków wybuchu. Groźne dudnienie, niby oddech dalekiej śmierci, nie ustawało przez pół dnia.

Po południu mieliśmy już wiadomość że pod Czartoryskiem

zlamano wszystkie ataki rosyjskie. Jakoż po południu znów głu-
che dudnienie nadchodzi stamtąd i trwa bez przerwy do nocy.

Przed wieczorem zmieniono dyspozycje. Bataljon II zostaje
na pozycji jeszcze kilka dni, w tym czasie ma zrobić wypad na
placówkę rosyjską. Dobrze by to było, aby tak Moskalom zaświe-
cić bagnetami w ślepią, gdyż zbyt pewnie się czują.

Wieczorem czytałem plutonowi Makuszyńskiego, przy chóral-
nej wesołości chłopców.

5 czerwiec. *Lasek Polski.* — Wstrzymano urlopy. Maniuś ma
pecha, gdyż za kilka dni miał jechać. Pod Czartoryskiem i pod
Stowygórzem — ofensywa moskiewska w pełni. II Brygadę już
poderwano z Leszniewki i rzucono tam do akcji.

Ogień huraganowy dudni z obydwu stron, z północy i połu-
dnia, już bez przerwy.

6 czerwiec. *Lasek Polski.* — Wieczorem odmaszerowujemy na
roboty. Dzień się już kończył, nadchodził cichy, ciepły wieczór.
Na górze mamy przysypywać i wykańczać ostatecznie granatnik,
lecz wiara — że to komary niemożliwie cięły — rozsiadła się przy
robocie, kurząc „cienkie” i gwarząc o bliskiej ofensywie rosyjskiej.

W dole, nad zielonem bagnem i łąką, podnosiła się lekka mgła
zlewając się w podłużne pasy z sinemi dymkami ziemianek. Tu
bliżej — Góra poznaczona plamami żółtego piachu, poskręcana
rowami, porżnięta dołami — jakby zgaśnięta zastygła po wielkiem
trzęsieniu ziemi. Ogromne kretowisko, splecione drutami na spi-
ralnie skręconych, żelaznych palach. Nieco dalej, na prawo, długi
pas okopów, opartych plecami o wywieżyska piachu i skręty ro-
wów dobiegowych, groźne przedpiersia, czerniejące otworami
strzelnic, ciemny masyw pozwycyją.

Pod ich zasłoną — po zrudziałem zbocz poszarpanej zie-
mi — nieustanny ruch i wrzawa równo ze zmierzchem, napelnia
podejścia do okopów. Sznury wozów zajeżdżają z turkotem
i chrzęstem, brzękliwy łoskot zrzucanych szyn, cienki zgrzyt
zwalanego szutru, dudnienie staczanych beczek z cementem
i krzyki woźniców na wyciągnięte szyje końskie, toczące wiel-
kie kłody poleskich sosen.

Zgaśnięta, jakby kto cięciem noża przekroił Górę na dwie poło-
wy — po przeciwnej stronie: inny znów świat. Tu — odsłonięte
trzewia nagiej ziemi, zdarta zielona ruń, powywalane wnętrza —
tam pyszni się sinostalową zielonością szeroka połać owsa. Ruchli-
we drgające w lekkim powiewie płaty, tuż dalej przepyszna nie
ruszona sierpem łąka, po której jeno w nocy przechodzi cichy
szept i kocie stąpanie patroli. Rzędem stoją wyniosłe topole, gwa-

rząc nad zarosłym chwastami popieliskiem wsi. Dalej, za rozrzu-
tem topoli, sezmrażąca, półsenna ściana głębokiego parku. Przed
nią, jakgdyby świeże mogiły, dopiero co rozkopane w zacisznym
kącie cmentarza — jasne grudki okopów wedet. Przez owies szcze-
leszczący, przez szmaragd łąki raz jasnym, raz ciemnym węzłem
biegnie ku nim dobiegowy ganek.

Pracowaliśmy do północy przed okopami, ryjąc małe, głębo-
kie granatniki na sekcje. Z południa ciemną otchlań nocy raz
wraz rozdzierają błyski artyleryjskie.



Skauci 4 komp. 5 p. p. Leg. w Lasku Polskim.
Stoją od lewej: Rosiński, Kucharski, Socha-Lipiński, Chabowski,
Goldenberg, Kowalski, Siewicz, Pfeiffer. Siedzą od lewej: Wolski,
Drymer, Pacholski.

7 czerwiec. Lasek Polski. — Moskale w nocy atakowali. Pluton
cały popodnosił głowy i nadsluchiwał ciekawie w ciemności, a ner-
wowski poczęli się nawet pakować.

Baterje biły solidnie na całym odcinku. W przerwach słychać
było tłumiony grzechot karabinowy.

Ogień rosyjski rzadki, chwilami tylko gwałtowniał, lecz
wszystkie kule szły do nas, na rezerwę a i te jeszcze górowały.
Co chwila wnętrze ziemianki rozświetlał migotliwy blask rakiet,
co szyły powietrze i głęboką noc.

Rano z zadowoleniem dowiedzieliśmy się, że na roboty nie
idziemy. Moskale podsunęli się bowiem o 500 kroków przed okopy
II bataljonu, w pewnej nawet chwili placówka została wzięta przez
Moskali, lecz natychmiast ruszyła kompanja Myszkowskiego i pla-

cówkę odbiła. Ważna jest ona z tego względu, że chroni VI bataljon od flankowego ognia. II bataljon stracił w nocy 5 rannych i 1 zabitego.

Moskale grupują się w parku i przesuują w prawo z widocznym zamiarem atakowania luki, między naszym, a V i VI bataljonami Żymierskiego, który mogąc ich flankować nie robi tego, gdyż chce ich na spółkę z Berbeckim wciągnąć w to bagno i tam im dać dopiero po skórze. Poza tem 4 pułk i 6 odparły lekko wszystkie ataki, przyczem czwartacy wzięli 23 jeńców, czterech-sów.

Gorzej było na lewo od czwartaków. Tam 11 dywizja poczęła się już chwiać, lecz Roja posłał dwie kompanje i doprowadził sytuację do porządku.

Po południu cisza zupełna, tylko na prawo dudnił nieprzerwanie ogień artylerji. — Położyliśmy się spać dość późno i zupełnie spakowani.

O jakiejś 1-ej w nocy zbudził mnie Edek Pfeiffer i wyszliśmy na górę, do okopów II linji. Widok przepyszny. Dolinę Garbachu, rzeczki, wpadającej do Styru, łąki i bagna pokryła lekka mgła, z której wynurzały się wzgórza naszej pozycji. Na lewo las otulony mgłami. We mgle raz wraz jaskrawym błyskiem pękały szrapnele, gnał terkot i kotłowanina ognia karabinowego. artylerja pracowała solidnie a mgłę i noc rozświetlały migotliwe rakiety, aż chwilami jasno się czyniło, jak za dnia.

8 czerwiec. Lasek Polski. — Dzień słoneczny, gorący. Na linji spokój zupełny, dopiero po południu kilka razy zatrajkotał karabin maszynowy i zatrzaśkały strzały rosyjskie.

W kancelarji bataljonu przeglądałem meldunki telefoniczne Wyrwy do Berbeckiego i Berbeckiego do Wyrwy. Dokładnie się z tego orientuję, gdzie obecnie są Moskale. Berbecki melduje do Brygady, że dzisiaj urządza kontratak, albo bezpośrednio po ataku rosyjskim, albo gdy takiego nie będzie — nad ranem.

Działa wokół grzmia przez cały dzień. Z nad Putiłowki trepy się cofnęły na Łuck, coś o 50 km wtył. Wiadomość ta zrobiła na nas pewne wrażenie, gdyż nikt nie przypuszczał, że Moskale jeszcze potrafią łamać fronty.

O 8-ej przyszła wiadomość, że maszerujemy do okopów. 1 i 3 kompanje pójda na wypad, a my zajmujemy ich odcinek.

O 9-ej maszerujemy gankiem na pozycję. Noc dość pogodna, nie ciemna, ale i niezbyt jasna, dobra na wypad. — W okopach plutonami zajęliśmy odcinki. Adek Goldenberg z 1-ą i 2-ą sekcją

na jeden odcinek, ja z 3-cią i 4-tą na drugi. Wystawiliśmy zaraz posterunki, gdyż II bataljon za jakieś pół godziny rusza.

Siadłem z Dolkiem Wojtarowiczem na przedpiersiu okopu. Wokopach mały ruch. II bataljon ruszył już na wyprawę, zachowuje się tak cicho, że nic nie słyszymy. Ktoś gra skocznie na harmonji, wystawiony na okopie gramofon ucieszenie trąbi...

Wpewnym ułamku sekundy rozwściekł się naraz gwałtowny ogień rosyjski i ekrazytówki poczęły szaleć. Kompanje II bataljonu zaatakowały...

Ogień trwa potężny, trzaskają karabiny, donośnie zatrajkotał maszynowy. Za chwilę otrzymałem rozkaz ściągnięcia posterunków. Daję więc trzy przeraźliwe gwizdy i posterunki hyc z drutów do okopów. Po jakimś kwadransie dopiero ogień osłabł na chwilę, a już i II bataljon zaczyna wracać. Rannych sporo, wiara zdenerwowana, robi wrażenie, jakby się wyprawa nie udała. Ściągali jakieś 15 minut, gdyż przejść przez druty bardzo mało. Rannych huk, coś 12, w tem jeden został. Przelatuje Wyrwa z wiadomością, że mamy 5 jeńców i karabin maszynowy.

Byczo jest A więc mimo rannych, wzięcie karabina maszynowego to duży sukces.

Wiara z II bataljonu już pościagała i zaczyna gorączkowo opowiadać o przebiegu wyprawy. Jeńców mało, gdyż poszczególne plutony potraciły kierunki, wobec tego akcja była niejednolita, poza tem mochy się wściekle broniły i trzeba było ich wykiwać bagnetami. Chłopaki z entuzjazmem opowiadają o ppor. Styczyńskim i Kocu Adamie¹⁾ (bracie naszego), którzy runęli pod lipą na okopy moskiewskie, tak wściekle, że część Moskali ledwie zdołała wywiać, a resztę wiara wykluła.

W OKOPACH POLSKIEJ GÓRY.

9 czerwiec. Na pozycji. — O 2-ej w południe kwatermistrze maszerują na pozycję, a o 4-ej zbiórka całej kompanji w pełnym rynsztunku do przeglądu. Wwaliliśmy już tornistry na plecy, nie w ziemiance nie zostawiając. Po przeglądzie — wnet kolacja i odprawa podoficerska u Koca. Na okopach służba niezbyt ciężka, podzieliliśmy pluton na dwie połowy, tak że każdy z żołnierzy 24 godziny na dwie doby będzie miał zupełne wolne.

Pod wieczór przyjechał Hirek Pacholski, a z nim przyszedł Kazik Kowalski²⁾ z wiadomością, że dla nas są paczki, w tem dla

¹⁾ Obecnie plk. szt. gen., poseł na sejm.

²⁾ Obecnie por. piechoty.

mnie ponoć ogromna. Ucieszyłem się mocno, lecz zarazem i frasu- nek ciężki mnie obsiadł, co zrobić z paczką, gdy mi ją teraz dadzą. Maszerujemy na pozycję, a paczka prawdopodobnie ciężka. Idziemy więc do komendy pułku, aby przekonać się. Tam zaraz Łojko za pokwitowaniem oddał nam paczki — moja rzeczywiście ogrom- na. Przyturgalem ją więc do ziemianki Kazika Kowalskiego.

Poza tem wieczorem opadł nas nastrój jak najgorszy. Przy- szło to, czegośmy się zupełnie nie spodziewali, to co nam się niepo- dobnem wprost do wiary wydawało. Moskale przełamali front od Kolek po Galicję i poszli naprzód 40 km, tak że dziś, jutro mo- żemy robić odwrót.

Wczoraj jeszcze przyszła wiadomość, że pod Łuckiem trepy się cofnęły, właściwie z nad Putiłowki pod Łuck. Nie przejmowa- liśmy się jednak tem zbyt, sądząc, że wpływu na cały front jednakowoż to mieć nie będzie. Tymczasem Moskale Łuck zabrali i wdarli się pod Stowygorżem i Kolkami i walą w trepów jak w bęben.

Djabli nas biorą na tych dziadów. Gdy raz Austriakom tak umocniony front przełamali, to już z II i III linją raz dwa pój- dzie. Jedyna pociecha w tem, że korpus pruski gna tam na zła- manie karku by ofensywę rosyjską powstrzymać.

Jeżeli im się nie uda, to żegnaj bracie z Wołyniem. Nad Bug pomaszerujem! Br!!... nie chcę wprost o tem myśleć! Ziemię z ta- kim trudem zdobytą, tyle krwi kosztującą opuszczać!!!

Czy może być coś gorszego! Poprostu cierpię. Nie mogę znieść myśli, że my możemy im oddać taki szmat ziemi naszej. Czuję jak pod spalonymi Dzierzkowiczami, że ja tych drani rzeczy- wiście nienawidzę...

O 9-ej zbiórka. Maszerujemy zwykłą drogą, którą zawsze chodzimy na roboty. Gorąco nadzwyczajnie. Powietrze parne, du- szne, pot spływa z nas strumieniami. W okopach zajęliśmy dawny odcinek 5-ej kompanji Tunguza-Zawiślaka. Trzy ziemianki na pluton; nasza bardzo morowa, widna, sucha. Natomiast okopy gorsze, słabo obsadzone: przed frontem całej naszej i części 3 kompanji wznosi się martwe pole.

Na prawo mamy kompanję 3, na lewo 1 i 2.

Parno robiło się coraz bardziej. Wreszcie południowa strona nieba poczęła się zaciągać czarnymi płachtami chmur, zerwał się gwałtowny wichur, poczał tańczyć i wirować piaskiem po oko- pach, targać i giąć drzewa Kostjuchnowki. Głuchy pomruk szedł z czarnych chmur i rósł w miarę, jak coraz szybciej zbli- żała się burza. Za chwilę oślepiająca błyskawica rozdarła oponę

nocy i przeraźliwy trzask piorunu runął gromem. Całe już prawie niebo powlokło się nieprzeniknioną nocą i jasność błyskawic raz wraz oślepiła oczy.

Wreszcie zaszumił kroplami deszcz, zrazu powoli, (jakby z namysłem strącając krople, wreszcie raptownie spuścił na zeschniętą i spragnioną ziemię potoki wody.

Po pół godzinie burza ucichła. Niebo jasne, pogodne, księżyc skrzył się brylantami na kroplach deszczu, lśnił na okopach, wszędzie gdzie nie padał cień.

Na prawo gdzieś pod Kołkami — tłuką się sakramencko. Nieprzerwane dudnienie dział, głuche łoskoty idą stamtąd, groźnym, potężnym pomrukiem...

10 czerwiec. Na pozycji. — Dzień mamy przepyszny. Wiatr południowo wschodni gna lekkie chmury, ustawicznie skrapiając ziemię ciepłymi kroplami. W przejrzystym powietrzu nie słychać było dudnienia dział. Ustało ono nad ranem i cisza zupełna załegła front.

Wiadomości pocieszające. Pod Kołkami podobno Niemcy odegnali mochów i zepchnęli ich na stare pozycje, biorąc 7000 jeńców, działa i karabiny. O walkach pod Łuckiem i o korpusie pruskim, który tam pognął narazie nic nie słychać.

Dzień przeszedł nam na włóczeniu się po okopach, oglądaniu przedpola, orjentowaniu się w całej pozycji.

Wieczór ciepły, cichy, od czasu do czasu spada ciepły, rzęsy tępniący dużemi kroplami deszcz.

11 czerwiec. Na pozycji. — Po południu dostałem rozkaz zgłoszenia się u Styka. Mam z dwoma ludźmi podczołgać się zbożem do Kostjuchnowki, zbadać olszynkę na południowym skraju wsi i następnie zdjąć teren przed okopami, głównie pochyłości.

O 3-ej z Siewiczem i Talarczykiem zgłosiłem się i zaczęliśmy przeglądać teren. Wiary zważyło się moc, gdyż ciekawość ich przygnała, by widzieć nasze pełzanie. Przyszedł Sław i wszyscyśmy zaczęli przez lornety i lunety obserwować Moskali nawprost, na tle lasu. Przez lunetę każdego z nich doskonale widać. Jednak że artylerji biła na placówkę rosyjską, w młynie — Styk nas wstrzymał, aż do rozkazu wyjścia. W ziemiance zastałem Wojnę-Szczepanowskiego¹⁾ i Bronka Grabałowskiego, obu gości bardzo mile widzanych u nas. A że mam trochę dobrych rzeczy, ex re paczki — więc siedzieli na pogwarce tem chętniej.

O 6-ej wychodzimy wreszcie na patrol z miejsca wedety 3 kompanji. Przeczekaliśmy chwilę, gdyż postrunki nie zostały

¹⁾ Obecnie kpt. piechoty.

jeszcze zawiadomione, i aż przestanie bić szrapnelami artylerja rosyjska na obserwatora kompanji 3-ej.

Wychodzimy wreszcie, przeczolgujemy się przez splot drutów i wnet ogarnia nas jasnozielone, młode żytko.

Żytem tem pełzając, ze sztucerkami w rękę podsuwamy się do śladów Kostjuchnówki. Granice wsi oznaczają drzewa owocowe, po większej części zeschnięte i opalone od pożarów i czworokątne popieliska, z których nawet cegły powybierano do okopów. Między temi cegłami, półkiem żyta — nie z obsiania troskliwą ręką rolników, a z rozsypanych ziaren wyrosłem — posuwamy się w stronę placówek rosyjskich. Posuwanie idzie bardzo wolno, gdyż słońce operuje niesłychanie, a pokrzywy i zielska utrudniają pracę ogromnie.



Posterunek w okopie na Polskiej Górze.

Pełzniemy wsparci na łokciach, a z Kostjuchnówki już posuwamy się w lewo, wzdłuż wsi, ciągle pod osłoną żyta, by dojść do olszynki. Okopów naszych na odcinku kompanji 3 i naszej zupełnie nie widać, martwe pole sakramenckie, tylko występ karabina maszynowego groźnie wyziera na przedpole.

Do olszynki podpełzliśmy po półtorej godzinie, zaobserwowaliśmy co należało i wracamy. Moskale biją z trzech placówek gęsto, lecz nas w zbożu nie mogli dostrzec.

W drodze powrotnej, we znaki się dają komary i miliony owadów, które chmarami unoszą się nad nami. Pogoda przepyszna, wieczór zapada bajecznie cichy, pełen muzyki owadów. Słońce w cudownych, czerwonych barwach, za siną linią chmur na widnokręgu zachodziło już, gdyśmy się wycofali na nasz odcinek do karabina maszynowego, zgrzani i spoceni. Tu czekał na nas Styk i gromada ciekawców. Zdałem więc krótki raport i wróciłem do siebie, by napisać pisemny, wraz ze szkicem. Zmęczony jestem potężnie. Całe dwie i pół godziny pełzania — mam dość. Skórę na lokciach pościerałem, a twarz od pokąsań owadów i poparzeń od pokrzyw mam rozpaloną i piekącą, jakby mi zlano ukropem.

Prusacy ponoć nie mogą sobie dać rady pod Łuckiem, takie tam wały masy rosyjskie.

12 czerwiec. Na pozycji. — Pogoda przepyszna. Wstajemy dość wcześnie i po śniadaniu rozchodzą się sekcje, każda do swego zajęcia, Edek z kilkoma żołnierzami buduje za okopami oszalowanie, miejsce dla „grenadjera“, t. j. tego, który podczas szturmów moskiewskiego strzelać będzie granatami z karabina, ja zaś zająłem się zbudowaniem skrzyneczki do naboju.

Popołudnie zeszło mi na pisaniu dziennika. Sekcja poszła na robotę do placówki. Oczyszczają pole ostrzału, kosząc żyto.

Sław włóczy się po okopach i bada przedpole. Ma zamiar ofensywniej się postawić i pełnąć gdzieś placówkę. Przechodząc około ziemianki, zawołał mnie i poszliśmy na występ karabina maszynowego. Tam wypytywał mnie o patrol i o zdanie, gdzie podług mnie najlepiej postawić placówkę. Motywował pytanie tem, że ja będąc na patrolu powinienem najlepiej takie miejsce spostrzec. Wskazałem na starą, potężną a odosobnioną lipę, pod którą uważałem, że można wystawić placówkę. Jest tam największe pole widzenia, poza tem lipa góruje cokolwiek swem położeniem.

Powoli zapadał zmierzch. Na froncie cisza, tylko na lewo, gdzieś na odcinku 1 czy 6 pułku zrywa się od czasu do czasu żwawa strzelanina, jakby ścieranie się patroli.

Słońce już zaszło. Ciepłe powietrze ożywia brzęk owadów, od Kostjuchnowki zdołu, z łąk nad Styrem idzie rzeźwe, pełne zapachu technienie letniego wieczoru.

Zebrała się wiara na okopach, porozsiadała się na przedpierzch między trawersami, jakby na galerji. Dowcipy krążą, bu-

dząc wesoly, młody śmiech, a za chwilę zrywa się śpiew i rozbrzmiewa długo w noc.

Byłem dzisiaj na dwu patrolach. Przed wieczorem narysowałem Stykowi jeszcze jeden szkic. Styk mi zarzucał, że niemożliwe, żebym ja drogi nie dostrzegł, którą w nocy przecież widział i Jagmin i Koc. Poszedłem do Jagmina, który mi to samo powtórzył. A że zmrok właśnie zapadał, wzięliśmy karabiny i ładownice z 5-ej kompanji i ppor. Dunnin-Nehring¹⁾, Jagmin-Sadowski i ja przeszliśmy przez placówkę 3 i drogą z cmentarza doszliśmy, kryci zbożem, do Kostjuchnowki. Posunęliśmy się jakieś 400 kroków wprzód. Droga rzeczywiście jest i ja byłem poza nią, tylko absolutnie nie wiem czemu jej nie dostrzegłem.

O 12-ej w nocy idziemy na drugi patrol. Ludzi 18-stu z I plutonu, Adek Goldenberg, Janowski i ja. Idą z nami: podpułkownik Berbecki, kapitan Sław, pporucznik Koc, porucznik Styk — wszyscy w charakterze gości.

Zebrałiśmy się przed komendą kompanji. Jest tu lekarz, Flojar — humor panuje przepyszny. Po 12-ej wychodzimy, prowadzi Adek i Janowski. Ja z Mańkiem Pacholskim i Chabowskim Zygmuntem idę na szpicę, Berbecki w płaszczu, z obnazoną, jak zwykle na patrolach, szablą w rękę.

Noc przepyszna. Niebo czyste bez chmur, sierp księżyca rzuca lekki blask, wokół rozperlona jasność, jasność w której kontury giną o kilka kroków.

Maszerujemy cicho nawprost do lipy; do nas, do szpicy przyfączył się i Styk.

Spatrołowaliśmy teren około lipy, pełn głębokich wybojów, dolów i świeżych okopów i posunęliśmy się jeszcze wprzód pod olszynkę, gdy tymczasem patrol cały stanął na drodze.

Cisza zupełna. Za olszynką na bagnie podniósł się długi pas białej mgły i rozwlókl się szeroko. Derkacze grają na łąkach, żaby koncertują, od czasu do czasu cichym lotem przemknie nietoperz.

Staliśmy w życie, które stało jak nieruchoma sinozielona toń, bez drgnienia, bez połysku — równo i matowo.

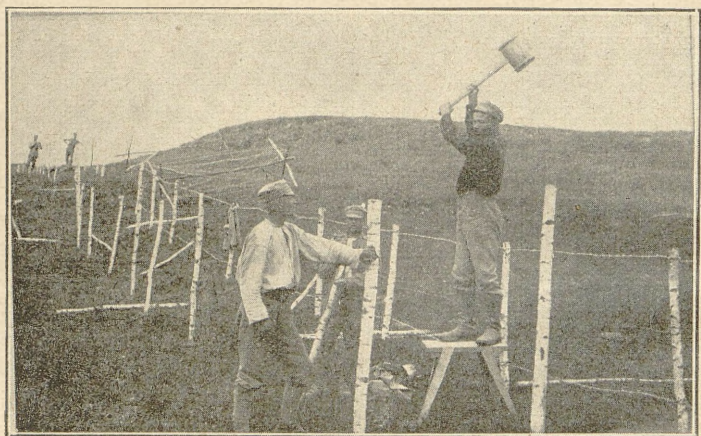
Skręcamy teraz w prawo. Patrol maszeruje drogą, ja z przedniego ubezpieczenia zamieniłem się w lewe. Przymaszerowaliśmy Kostjuchnowkę wzdłuż naszego odcinka i doszliśmy do placówki 3 kompanji. Pluton wszedł do okopów a Berbecki, Sław, Styk i ja zatrzymaliśmy się w Kostjuchnowce. Pokazałem drogę jeszcze jedną, prostopadłą do drogi Kostjuchnowki i wyjaśniłem Styko-

¹⁾ Zginął 4 lipca pod Kostjuchnowką.

wi nieporozumienie, przyznając się, iż byłem dzisiaj przekonać się jak droga biegnie. Nie mówiłem tylko o Jagminie, gdyż nie wolno absolutnie żadnemu patrolowi wychodzić bez meldowania w komendzie bataljonu.

Sław chce postawić placówkę pod lipą i drugą na drodze z cmentarza do Kostjuchnowki. Wogóle chce ubezpieczyć pozycję, by przedpole mieć w garści.

13 czerwiec. Na pozycji. — Chmurny dzisiaj mamy dzień i mokry. Przeszedł mi bez istotnego zużycia czasu. Po południu odwiedzili nas Kazik Kowalski i Bolek Ficner. Bolek dostał srebrny medal II kl. za walki jesienne. W jakichś ciężkich okolicznościach, gdy cały pluton telefoniczny Brygady rozleciał się, on z dwoma innymi zakładał linję, nie mając przed sobą stałego frontu.



Drutowanie pozycji.

14 czerwiec. Na pozycji. — Na linii spokój. Moskale Kolki mają i stanęli widocznie, bo odgłosów artylerji nie słyhać zupełnie.

Saperzy austriaccy w dwu miejscach budują „lisie jamy“, głębokie granatniki, taką samą lisią jamę budują nasi chłopcy pod kierunkiem Austriaka pod występem karabina maszynowego. Ruch tam panuje zawsze wielki. Występ jest łagodny, góruje nieco, to też wiara tam zbiera się ciągle, by obserwować punkt 311 — brzeg przeciwległy lasu i wydmy, gdzie ciągle się kręcą Moskale.

W tej chwili nadjechała tam kuchnia i ponoć sporo się zebrało mochów. Nadszedł też zaraz Styk, Rowecki, podporucznik artylerji — obserwator. Ściągnęli aparat i za chwilę pękać tam poczęły szrapnele i ryć granaty z łomotem. Kąt 5 więcej, skala 51, celownik 52 — granatem, pluton ognia — podawał obserwator i odkładając słuchawkę brał zaraz lornetę, a za chwilę szorowały pociski po gładkiem niebie.

15 czerwiec. Na pozycji. — Dzień się zapowiadał chmurny i dżdżysty, po niebie wędrowały chmurki o najróżnorodniejszych odcieniach granatu i coraz to krótszym lub dłuższym deszczem skrapiały ziemię.

Rano wyszedłem z Mańkiem Pacholskim wdół, na łąkę, by się umyć. Łąka po deszczu i rosie wilgotna, świeża, oddychała zapachem kwiatów mocno i bujnie. Przez cały czas ostrzeliwał nas moch jakiś, na drzewie siedzący i bestja celnie bił. Wartoby pluton zebrać i dać salw kilka na siniejące sosny, które wznoszą się nad młodym zagajnikiem niebieskim pasem. Tam bowiem, na jakimś rozgałęzieniu wygodnem, ulokował się „pukajło“ i puka nieustannie do naszych sylwetek.

Wiadomości o froncie na południu ciągle nadchodzą, lecz co jedna — to nieprawdopodobniejsza; faktem jednak jest, że Moskale posunęli się o 30 kilometrów na zachód od Łucka i niech się jeszcze cokolwiek zechcą posunąć, my gwałtownie będziemy musieli wyrwać na Stochód.

16 czerwiec. Na pozycji. — Przyjechał dzisiaj Romek Gertner. Całą masę listów, które wiozł ze sobą dla nas, Prusacy mu przy rewizji zabrali. Wiedzą już oni, że „awstrijcy“ prowadzą ofensywę wstecz, i sądzą, że i my to robimy.

W Łodzi endecy pracują jak mogą, rozpuszczając o nas jak najfantastyczniejsze wieści.

Wczoraj dowiedzieliśmy się od Ficnera, że zginął Miatkowski. Dostał w brzuch na patrolu i zmarł w szpitalu dywizyjnym. Szkoda chłopca!

Noc. Godzina dwunasta. Jestem sam w „lokalu“ inspekcyjnym. W bataljonie ruch — gdyż zakładają dzisiaj placówkę pod lipą. Popołudnie przeszło zupełnie spokojnie, bez żadnych awantur.

Telefonowano z pułku, że do Kowla przymaszerowały dwa pruskie korpusy i rzną na Kołki i Łuck. Podobno całe kierownictwo na froncie wołyńskim ma przejść w ręce Prusaków.

18 czerwiec. Na pozycji. — O świcie w kompanji kram jak sto djabłów. Wedeta — Wojtaszek z III plutonu znikł... Natych-

miast pognał Flojar z 4-ma ludźmi w stronę młyna, sądząc, że gdy Moskałe go chwycili — zdąży jeszcze go odbić. Podbiegł pod same okopy moskiewskie, w biały dzień aż za młyn i krzyż na drodze — lecz było już za późno. Ostrzelany salwami wrócił — i to szczęśliwie — boć mógł ani jeden z nich nie dostać się do kompanji...

19 czerwiec. Na pozycji. — Jak gloszą pisma — ofensywa rosyjska została wstrzymana. Zobaczmy co będzie dalej. Tymczasem wszyscy urlopnicy, zgodnie twierdzą, że wali się moc wojska niemieckiego.

Andrassy na sejmie węgierskim znowu obszernie mówił o Polsce. Dziwił się, dlaczego do tej chwili Austro-Węgry nie wypowiedziały jeszcze szczerze linji swych poglądów, wedle których mają zamiar załatwić kwestję polską. Mówił dalej, że Polacy niepewni swych losów nie mogą stanowczo opowiedzieć się przy państwach centralnych.

Sejm węgierski już drugi raz z rzędu omawia kwestję polską, w duchu nadzwyczaj dla nas przychylnym.

20 czerwiec. Na pozycji. — Armaty biją głucho na południu gdzieś pod Kołkami. Dudnią przeciągle, monotonicznie, nieustannie. Biciem tem łączą się odgłosy w jeden przeciągły, przygłuszony grzmot.

Wieczorem poszedł cały pluton na ubezpieczenie robót przy placówce. Od okopów do lipy rezerwa kopie ganek, gęsto poprzecinany trawersami, który jest zarazem łącznikowym do placówki, jak i okopem flankującym park. Moskałe mają bowiem bagno dochodzące do naszej olszynki i nie mogą się rozwijać nawprost, lecz tylko z parku. W parku się grupują i stamtąd dopiero rozwijają się w lewo, na lipę. Wskutek tego, okop łącznikowy, prowadzący z lipy do okopów głównych, będzie znakomicie flankował ich kierunek rozwijania.

Posterunki przed naszym plutonem objął pluton II. Objąłem placówkę środkową z 10 ludźmi, lewą Łodek Janowski, prawą Talarczyk.

Noc cicha, gwiazdzista, lecz chłodna. W jakimś starym, głębokim, jeszcze z jesiennych walk okopku, umieściła się placówka. Za nami wysokie żyto, przed nami ogród z drzewami owocowymi, dalej bagno. Derkacze chrapliwie grają w łąkach, w zbożu nawołuje się nieustannie przepiórka.

O 12 zaczął wschodzić rozżarzony księżyc i wznosił się do góry, błędąc coraz bardziej. Mroki nocy przesiewał lekki blask, rzucając długie, czarne cienie, od czasu do czasu wiatr powiał

po drzewach, które szumiały równo i spokojnie. W lewo czerni się starodrzewem park, otulony majestatem nocy.

Ciszę przerywały miarowe stuki młotów saperskich, wbijających pale do odrutowań. Okopy milczały, tylko od czasu do czasu odezwał się głos silniejszy, lub zabrzmiał śmiech. W pewnej chwili ktoś tam począł śpiewać swawolną piosenkę strzelecką, a potem wygrywać ją na organkach. Tony szły skoczne, nie dostrojone jednak do tej świętej ciszy nocy czerwcowej i do ciszy wyczekiwania, sunęły po rosie swawolne, lekkie, śmiejące się, uderzały, w ciszy stojące kłosa żytnie, leciały z podmuchem wiatru, sunęły wdał po łące mokrej i puszystej, po wilgotnych moczarach.

Usiadłem w okopku. Tony przebrzmiały, ucichły, nie budząc echa, przyszła natomiast tęsknota za tem, co już minęło, co nie wróci. Za tą ciszą wieczorów późnych, za księżycowym blaskiem, za tem bujnym, tak wspaniałem i tak strasznie ciężkiem żołnierskiem życiem, krótszem co chwila, co moment.

Przerwałem marzenia... Bo oto lekki poszum drzew stał się silniejszy, choć drzewa zda się stały znieruchomiałe. Był to poszum wewnętrzny, poszum głęboki, z duszy drzew płynący.

Stały drzewa w blasku księżycowym, szum jednak szedł, szedł ciągle, więc pochylił się, dłonie ścisnęły karabiny i słowo — szept, jak umówiony, tajemny znak wionął z rozchyłonych ust: „Idą“!...

Lecz to nie szum zboża deptanego linją tyraljerską, nie chrzęst kłosów targanych butami szedł... To tylko szum drzew wewnętrzny, gwar tajemniczy starego parku...

O 2-ej po północy niebo poczęło blednąć i różowieć coraz bardziej. Różany świt powoli rozjaśnia noc, rozperliły się cienie, poszarzały drzewa...

Przed 3-ą zeszliśmy z placówki...

21 czerwiec. Na pozycji. — Na dworze szaro, nudno, wietrznie. Pluton po służbie spał do 12-ej, a wiara wygnana wiatrem i zimnem z okopów, zgrupowała się w ziemiankach. Myśli leniwo się przesuwają po kartkach filozofji Jeruzalema, z trudnością toruje sobie drogę wśród hałasu i gwaru...

Edek Pfeiffer wieczorem przyniósł interesujące wiadomości. Niemcy obejmują cały front wołyński, aż do Łucka. W związku z tem zachodzi pytanie, czy my zostaniemy u Niemców, czy też pójdziemy na południe do trepów. Djabli to wiedzą — ponoć Linsingen chce koniecznie nas zatrzymać, lecz pepiki nie zgadzają się. „Uwidim“ — co będzie!

Pułk 2 bije się gdzieś na południe od Kolek. Zagarnęli kupę jeńców, oficerów, karabinów maszynowych — i musieli wszystko oddać i przebijać się, gdyż 14 austriacka zawiesiła ich prawe skrzydło w powietrzu i cofnęła się. — Bydło! pułk 2 ma przez nich 300 ludzi strat, w tem 40 zabitych.

A pod Kołkami tłuką się znów, aż ziemia jęczy. Grzmot artyleryjskiego ognia nie ustaje ani na chwilę.

22 czerwiec. *Na pozycji.* — W okopach, na przedpolu, stajemy się coraz zuchwalsi. Nietylko, że włóczy się wiara nieustannie po okopach górą, lecz już i kosi żyto przed drutami, a Styk pracuje nad placówką nietylko w nocy, lecz i we dnie. Wyznacza kierunki drutów, linje ganku, krząta się, uwija, a wszystko to prawie na oczach Moskali. Mogą oni coprawda targnąć kiedy salwą na powitanie, boć celownik jest zaledwie 800 — 1000 kroków, lecz do tej pory siedzą spokojnie. Biją tylko uparcie na VI bataljon, na przechodzących po wodę i ustawili nawet na nich karabin maszynowy.

1 i 2 kompanja wystawiają placówki przed parkiem a 3 i nasza 4 narazie osłania roboty pod lipą. Dzisiaj 1 zakłada w parku miny, gdyż Moskale zaczynają coraz częściej odwiedzać naszą lewą placówkę. Zakładają pod osłoną ognia artyleryjskiego.

23 czerwiec. *Na pozycji.* — Bajecznie krótkie, pięciogodzinne noce. Posterunki nocne przy drutach wystawiamy o 10-ej, a ściągamy o 3-ej.

Noc mi przeszła jak z bicia trzask. Ani się obejrzałem, jak świt począł bielić szyby. Bieli już... nasłuchuje: słyszę dzwonięcie skowronka, choć to dopiero 2¹/₂.

Wrócił wczoraj z Brygady Sulkiewicz. Są więc nowiny: Haue-ra korpus i Fhatta ma odejść w najbliższym czasie. Czy my pójdziemy, czy zostaniemy, to jeszcze kwestja nierozstrzygnięta. Faktem jest jednak, że Linsingen nie chce nas puścić i że Niemcy zatrzymawszy ofensywę rosyjską już pchają Moskali wolno, acz ciągle na stare pozycje. Centralnym państwowi chodzi ogromnie o zatarcie złego wrażenia, jakie wytwarza skuteczna ofensywa Brusilowska i sądzą, że głównie im chodzi o Rumunję.

Bądź co bądź — naprzód pójdziemy, tylko czy tu, czy gdzieś na południu, tego nie wiadomo.

Pułk 2 i ponoć 3 pod Gruziatynem miał poważne straty. W 2 pułku rannych oficerów 10, żołnierzy 120, zabitych oficerów 1, żołnierzy 40 — pozatem 100 przeszło wziętych do niewoli. Kittner pchał ludzi na śmierć i rzucał kompanjami jak pod Rokitną tak,

aż zrozpaczony Januszajtis zagroził mu rewolwerem. Teraz jest też źle, bo 2 pułk prowadzi jakiś młody komendant bataljonu.

„De publicis” różnie słyhać! Wpływ Komendanta rośnie coraz bardziej, coraz trwalej. Zjazd Ligi Kobiet w Piotrkowie życzenia nadesłał tylko Piłsudskiemu i komendantom pułków, wszystkie stronnictwa niepodległościowe opowiedziały się za ideologją Komendanta. Poza tem Szef niedługo wróci i przywiezie sporo nowin. Komendant mówi ponoć o różnych rzeczach przy obiedzie, więc tylko to, co powie — Brygada i świat wiedzą. Poza tem nic więcej, gdyż Komendant milczy uparcie.



Legjonista I Brygady.

Świt już zupełny. Ściągnąłem posterunki i stojąc na okopie patrzę w stronę reduty, którą ostrzeliwuje równo, z przerwami, ciężka artylerja rosyjska. Błysk ogromny i za chwilę huk aż ziemia drży. Pierwszy raz widzimy u Moskali taką artylerję. Chyba więcej niż 18-ki.

Poranek chłodny niezmiernie. Wąski sierp księżycy jeszcze się srebrzy, jasny strop nieba pozaciągany gdzie niegdzie chmurami, które na wschodniej stronie powydłużały się w zwały, pełne purpury i krwi. Jutrzienka przebija się poprzez lazur, lecz poczerwieniała, jakby ociekła krwią chmury — gromadzą się na horyzoncie. W lasku, na łąkach, już gwar — rozpoczął się dzień. Spływa jasny, w lazurze okien niebieskich i w skrwawionych kłębowiskach, groźnych i dziwnych chmur, w świergocie ptactwa.

A na reducie grom po gromie rozwała ciszę poranka, aż drży ziemia...

24 czerwiec. Na pozycji. — Upał na dworze prawdziwie czerwcowy. Powietrze spokojne, ciche, w olśniewającym blasku słońca, technie żarem. Po lazurze nieba przeciągają białe, leciuchne obłoczki i płyną sennie, leniwie. Powietrze rozgrzane drga na łodygach zboża, na chwiejnych, falujących lekko powierzchniach łąk. Skowronek jeno niezmordowanie nuci swą pieśń życia.

Dowiedzieliśmy się dzisiaj, że eksplozje ranne nad redutą, to nie ciężka artylerja, lecz rosyjskie miotacze min, które pękają bądź w powietrzu, bądź na ziemi. Szkody one wielkiej nie wyrządzają, lecz na psychikę żołnierza mają wpływ duży. To też tam huk były takie, że my, na kilometr oddaleni — uczuwaliśmy uderzenia powietrza.

Na lewem skrzydle podobno Madziarów już zmienili Prusacy, a i Węgrów z naszego prawego skrzydła też wkrótce zmieniają. Dzisiaj tam już widać było kręcących się pruskich oficerów.

O zmierzchu, po zachodzie słońca zebrani na okopach w górze, śpiewamy. Wieczór zapada cichy, bajecznie ciepły. Z parku, z Kostjuchnowki bije zapach jaśminów, kwitnących krzewów a opary nocne z łąk roznoszą przedziwną woń.

Przelatywał dzisiaj nad naszymi pozycjami lotnik rosyjski na ogromnym aparacie typu „Ilja Muromiec“. Ostrzeliwała go nasza artylerja i pierwszy raz widziałem takie precyzyjne bicie. Pociski wybuchały bardzo blisko, zupełnie na tej samej wysokości, a jeden tak wspaniale wybuchł, że aż wydaliśmy okrzyk. Aparat zachwiał się, skrzył gwałtownie — lecz nie spadł. Bestja lotnik-morus chłop. Nie speszył się i skierował się wprost na baterję, tak, że musiały zaprzestać ognia.

25 czerwiec. Na pozycji. — Upał jadowity... Chłopcy pozor-bierani z koszul wygrzewają się na słońcu, lecz rychło uciekają do ziemianek z poparzonemi, czerwonymi od słońca plecami. Upał wszystkiemi porami wciska się, wysysa siły i obezwładnia. Myśl staje się leniwa i nieruchoma jak klajster.

Mochy zraniły dzisiaj Talarczyka. Szedł z Lasku Polskiego po kładce. Moskal strzelił dwa razy i za drugim razem przeszył mu nogę tuż nad kostką. Rana lekka. Talarczyk bierze 55 koron i jazda na „hinterland“. Zbiegli się zaraz do niego oficerowie i wiara i chłop w jednej chwili stał się bohaterem dnia i przedmiotem zażdźdżenia. Bo też tak to każdy chciałby dostać by wypocząć trochę na tyłach.

Wieczorem pluton ze Stykiem maszeruje do lipy. Jako zadanie postawił Styk jak najbliższe podsuniecie się pod pozycje moskiewskie i podsłuchanie co Moskale tam robią. W dzień było słychać śpiewy, stukoty i orkiestrę.

Za drutami placówki pod lipą, rozrzucamy się w tyraljerę. Na szpicie idzie Styk, Adek Goldenberg, Banaszczak i ja. Na prawem ubezpieczeniu Edek Pfeiffer, na lewem Zygmunt Chabowski.

Noc dość jasna, pogodna. Łąki ciężkie, wilgotne, derkacze drą się wniebogłosy, żaby po bagienkach wiodą tłumne rozhovory.

Posuwamy się powoli, co chwila bacznie nadsłuchując, przez długą łączkę, miejscami mokrawą, porośłą olszynką. Dochodzimy do linii okopów rosyjskich, budowanych podczas ostatnich ataków. Pluton posuwa się wspaniale, tak cicho, że my na szpicie wysunięci o 15 kroków zupełnie go nie słyszymy.

Za okopkami przeszliśmy mokrą olszynę i weszliśmy na szerszą nieco łączkę z prawej strony ujętą krzakami, wysokości człowieka. Łączka lekko pokryta rzadką, krótką olszynką, na lewo jasny pas nieba, na którego tle widać posuwanie się lewego ubezpieczenia. Ztyłu tyraljera czernieje rzadkimi punkcikami, lecz o 15 kroków nic jej nie widać, a że słychać też jej nie było — sprawiała wrażenie czarnych duchów...

Za łączką natrafiliśmy na równoległy do linii rów, obrośnięty krótką leszczynką. O jakieś 200 kroków wznosi się raptownie rząd wysokich drzew. Popłynął cichy szept: „młyn...“

Wskazuję Stykowi na świeżą, równą ścieżkę, wydeptaną w wysokiej łące, czarną linią idącą do drzew. Prawdopodobnie ściągnięta wedeta. Pozostawiamy pluton wtyle i we czwórkę posuwamy się do onych drzew, powoli, zgięci w pół, co kilka minut przyklękając — bezszelestnie...

Wszystkie zmysły pracują w napięciu, oczy starają się przebić ciemności, ucho rozróżnić szczęk łopatk, lub zamku, szmer rozmowy od chrapliwego grania derkaczy i nieznośnego rozhovoru żab. Lecz nic. Posuwamy się jeszcze dalej i dochodzimy do wysokich olszyn i topoli. Droga...

Droga, jedyny raz widziana w życiu... Droga jak z bajki o śpiącej królewnie, droga duchów... Szpalerem olch, topoli ginie wdali, pokryta zieloną rumią — nie wyjeżdżona, nie tknięta ludzką stopą.

Jeździły tędy wozy, wesoly gwar i śmiechy szły tędy, gdy ludność z Optowej do Kołodji ściagała... Wesolo trajkotał młyn i rechotały żaby... Teraz bajeczna, boska cisza... Droga wygląda jak w zaklętym państwie, gdzie życie ludzkie posnęło i przyroda zapanowała niepodzielnie...

Rozglądamy się w lewo i w prawo. Naraz z lewej gruchnął strzał i kula z trzaskiem poszła po drzewach... Stoimy znieruchomiali. Drugi strzał rozwalil ciszę nocy... Czekamy rychło nam runie w ślepią błyskiem salwy... Lecz cisza trwa dalej, tylko derkacze drą się nieznośnie. Na prawo wznosi się ciemny zwał drzew, czarną masą. Tam młyn... Wpatrujemy się w jego mrok nieprzenikniony, lecz cisza stamtąd idzie niezakłócona...

Gdzieś tylko zdaleka, o jakieś 300 kroków w okopach, nucią Moskale „unytyja“ pieśni. Jakiś tenor wyśpiewuje górnio, a chór zgodnie podtrzymuje śpiew. Udają morowców!

Wracamy. Wtył zwrot i bezszelestnie posuwamy się w ciężkich, wilgocią przepojonych trawach. Poszeptnym ruchem warg popłynie znagła rozkaz i znagła linja przywrze do ziemi, przygarnie się do trawy mokrej, puszystej... Domyślamy się, że ścieżka, którąśmy przedtem spostrzegli to prawdopodobnie droga dziennego posterunku „siekrietu“, który tu do krzaków dochodzi. Gdyby to była wedeta nocna, napewno byłby okopek. — Wracamy o wiele szybciej. Wpewnej chwili, już w olszynie, zaczyna naraz linja szukać czegoś nosami, węchem. Z łąki bije okropny smród: przytalił się jak wróg wszędzie obecny i kręci straszliwie w nosach... Jakiś rozwalony granatem dół, wydaje tę woń. Widocznie trafił granacik na Moskalika i wszedł z nim w bliższą konfidencję. A łączka już tutaj całkiem morowo pocharatana czarnymi dołami od naszych granatów...

Wracając pakujemy się całą linją do okopów rosyjskich. Mimo, że był tu już na poszukiwaniach II bataljon i 3 kompanja — jeszcze sporo rzeczy pozostało. Obladowaliśmy się kociołkami, łopatkami i wracamy już dość głośno...

26 czerwiec. Na pozycji. — Wstaliśmy w południe wypoczęci morowo. Po patrolu zwykle śpimy nazabój. Dzień upalny jak i poprzednio. Wiatr wschodni, z nad łąk Styru, z pól Kołodji i Rafałówki przynosi rzeźkie, mocne zapachy... A Moskale Linsingen

tlucze. Ten worek, który Moskale wbili we front austriacki stara się Linsingen zamknąć. Już ponoć Niemcy podchodzą pod Luck.

27 czerwiec. Na pozycji. — Godzina 9.50 wieczór. Mrok już, bo dzień pod wieczór chmurny się uczynił i noc szybko zapada. II i III pluton poszedł na patrol, jak się zdaje na zasypywanie okopów moskiewskich z czasów ich szturm. Wskutek tego ubezpieczenie wystawia dla całej kompanji nasz pluton. Wieczór zapada cichy i ciepły. Z okopów tylko bije gwar; ruch się i życie na okopach zaczyna potęgować. Z turkotem zajeżdżają wozy prowiantowe, kuchnie niektórych kompanij, wozy amunicyjne. Jutro Ber-



Legjonista I Brygady.

beckiego imieniny. Zebraliśmy flotę na cel filantropijny i składamy na jego ręce. Poza tem posyłamy po jednym delegacie z kompanji. Z naszej kompanji idzie Wojtarowicz. Bajeczny jest ostatni numer „Konrefencji pokojowej” 1-go pułku. Wprost przepyszne. Artykuł „Nowa pozycja” — nadzwyczajny. Kończy się następująco: „I stoiliśmy tak w okopach, naprzeciwko siebie — ja i on brat mój, słowianin. Ja się boję i on się boi; ja chcę do mamy, — on chce do babki — a trwamy tak w blaskach pobłaźliwego słońca — pyszni, dumni i odważni, bo — stać nas na to“...

28 czerwiec. Na pozycji. — W lokalu inspekcyjnym, szumnie tak nazwanym, w rzeczywistości w mizernej, odrapanej, brudnej, koślawej ziemiance, przy dwu ciągle brzęczących aparatach i śpiącym telefoniście, mam przepędzić 24 godziny, do jutra do 10 rano. Inwentarz zdaje mi sierżant Doliński z 5 kompanji. Inspekcja nasza na pozycji ogranicza się do spraw natury gospodarczej. Od inspekcji bojowej na każdą kompanję jest dyżurny oficer, który trzy razy na dobę, w określonych godzinach przysyła meldunek sytuacyjny z odcinka swej kompanji. Pluton nasz dzisiaj jest służbowy w kompanji i wystawia placówkę pod lipą. — Od rana zaś 10 ludzi pomaszerowało na placówkę, by tam pod komendą Władka Rusina umacniać ją dalej. Dzień gorący, jednocześnie parny. Mimo letniej bluzy gorąco mi szalenie. Pas i ładownice pieką, że oddychać trudno. O 12-ej poszedłem do ziemianki na obiad. Zrzuciłem z ulgą pas by nieco odetchnąć. Za chwilę przylatuje Ciechoński i komunikuje, że Aksamit ranny. Gdzie? pytam. Na placówce — dostał w bok. Po obiedzie dowiaduję się szczegółów. Pracowali na górze — patrol moskiewski widocznie się blisko podsunął — pierwszy strzał — Aksamit leży.

Idę zaraz na występ karabina maszynowego. Pod lipą spokój. Rozżarzone słońce kładzie ciemno-fioletowe refleksy cieniów. Łan zboża lśni się jak stal. Za chwilę sanitariusze wynoszą Aksamita na noszach. Niosą go górą, gdyż ganek za ciasny i za kręty. Lecz Moskałe spostrzegli ich, bo oto pierwsza kula ze świstem trzepnęła w ziemię. Przycupnęli chwilę, przeczekali a potem już szybciej podążyli do okopów.

Aksamita złożono w ziemiance 4 sekcji. Jest zupełnie przytomny, tylko nieco przybladł. Za chwilę przybiegł dr. Kwaśniewski, wypytując troskliwie gdzie boli, jak kula uderzyła, co ranny czuł. — Aksamit odpowiadał spokojnie i pilnie, pilnie wpatrywał się w twarz lekarza. Lecz nie nie dojrzał.

Po wyjściu doktora Kwaśniewskiego zaczęliśmy mu prawie kawały o „hinterlandzie“, o 55 koronach, o wesołym życiu, o jego Marysi, tak, że chłop trochę poweselał. Lecz biedak widocznie nie bardzo wierzył w „dobroć“ rany, gdyż po chwili zaczął mnie przepraszać, za jakieś przykre słowo, które mi kiedyś ponoć powiedział. Przerwałem mu energicznie i śmiać się zacząłem, że on na taką nutę pogrzebową nastrojony — choć przyznam się — głupio mi było.

Popołudnie zeszło w bataljonie na ciągłej robocie. Rozkazów było huk, jedno dyspozycje goniły drugie. — Od d-ra Kwaśniewskiego dowiedziałem się, że rana Aksamita nie jest ciężka.

Dzisiaj imieniny Berbeckiego. Rano poszła do niego delegacja żołnierska z życzeniami, podpisami i flotą na cel dobroczynny. Wieczorem zwała się do okopów orkiestra, stanęła przed ziemianką i zaczęła grać. — A że w komendzie bataljonu nikogo już nie było, poszedłem ze sztuczerem na placówkę pod lipę, posłuchać jak tam u Moskali słyhać orkiestrę.

Wieczór był zupełnie cichy. — Olbrzymia, rozłożysta lipa stała spokojnie, bez szmeru. obok pozbiegały się niskie drobne krzewy jak dzieci wokół matki. Park czerniał zadumany, czasem lekko pogaworzył, poszumiał.



Śniadanie w Łasku Polskim.

Za olszynką nad łąkami rozciągały się długie, białe pasma mgieł i snuły się powoli, w rozgrzanem, pełnem zapachu powietrzu wznosiły się roje komarów z delikatnym pobrzękiem. Lipa otoczona kozłami drutów — rozłożyła swe potężne ramiona nad garstką żołnierzy, stojących przy strzelnicach. Głęboki okop zrył ziemię, zciosując skręcone korzenie drzew.

Oparłem się o koziół i słucham. Wokół łagodny szept traw, poza tem cisza, upajająca cisza letniego wieczoru. Nie razi jej, ani przerywa jednostajne granie derkacza, dolatujące z niskich łąk, ani kwilenie sennego ptactwa. W nagłym kontraście do tej słodczy wieczornej, do niewinnego oddechu natury — groźnie czernieją na horyzoncie surowe zarysy naszych strzelnic, wije się przedpiersny wał okopów i nieruchome sylwety posterunków ostro się odcinają na horyzoncie bladego nieba.

W głębi za okopami, po zakrytej stronie Góry gwar, śmiech i życie. Stukot, ruch, turkoty jak w ludnem miasteczku, gdy po jarmarku rozjeżdża się lud. Rozdarły naraz ciszę przedpoła, zgłuszyły gwar idący z okopów dźwięki orkiestry. Zachybotały się przez jedną mgnienie wierzchołki drzew, pochyliły się wysokie trawy i nadsłuchują tonów muzyki...

Rozgłośny wstrząs trąb i będnów, puzonów i piszczałek rwał naprzód wielkimi skokami, hulał tubalnym echem, że przerażone zerwało się i bez tchu biec poczęło po gajach, polach, olszynkach, odbijając się o nie i wracać — rozdzwieczone, pełne, radosne...

Tony płynęły wokół coraz dalej, za park, za Kostjuchnowkę, aż dotarły do zdumionych uszu słowian z nad młyna, z żółtych okopów Rafałówki, Kołodji, z pobrzeża Styru, z wieścią, z nowiną, że wesoło i rażno nam na duszy...

29 czerwiec. Na pozycji. — Dzień dzisiaj trochę chmurny, a pod wieczór zaczął nawet mżyć deszcz. Stłukłem szkła, więc pognałem zaraz do rezerwy po nowe do dr. Kaplickiego¹⁾, naszego pułkowego lekarza.

Najkrótsza droga z okopów, z Góry Polskiej spada wprost do łączki, a stamtąd przez mostek, na szerokiem bagnie rzucony, pod żółty piach Polskiego Lasku. W bok od mostku czernią się olbrzymie leje, okrągłe wyrwy o średnicy 10 — 12 metrów, napelnione czystą wodą. To ślady po wizycie lotnika rosyjskiego, który macał bombami most. Bił nieco pukajło po drodze, lecz bez skutku.

30 czerwiec. Na pozycji. — Dzień chmurny i dżdżysty. W ziemiance chłodno, na dworze mokro, więc do południa obijaliśmy się na pryczach, dosypiając po nocnej służbie. Deszcz przez cały dzień zalewał kołnierze posterunkom, a na dobitkę wieczorem zawiadania nas Koc, że na 10-tą pluton ma być gotowy do patrolu. Idziemy razem z III pod młyn, by chwycić rosyjską wedetę — bowiem wiadomości koniecznie są potrzebne. Pogoda ohydna, lecz właśnie dlatego wyprawa może się udać.

Przed 10-tą zbiórka u Styka, który dokładnie nas zapoznaje z zamierzoną akcją. Pluton I ma ruszyć tyraljerą z przednimi i bocznymi ubezpieczeniami, za nami — również w rozwiniętym — pluton III, z bocznymi i tylnymi ubezpieczeniami. Przed młynem równolegle do drogi Kołodja — Optowa pół plutonu pod moją komendą ma posunąć się naprzód, wejść na drogę i tam chwycić co się da. Drugie pół plutonu pod komendą Adka Goldenberga uderzyć ma z prawego wprost na płyn. Który z patroli przejdzie

¹⁾ Obecnie pułkownik rezerwy.

wpierw druty, ten uderza. Odwrót moich sekcij na lewe skrzydło, Adka na prawe trzeciego plutonu.

Deszcze nie przestaje padać, wiatr szumi po gałęziach drzew, gwar taki czyniąc w górze, że podsuniecie będzie nietrudne.

Ruszamy. Maszerujemy na szpicy całą bandą: Styk, Adek Goldenberg, Flojar i ja — Koc został przy plutonie. Posuwamy się dość głośno, gdyż teren nierówny i śliski, po godzinie podsunęliśmy się pod placówkę rosyjską, dochodząc do samej łączki tuż przed drogą Kołodja — Optowa.

Tam stanęliśmy. Szpica z Wojtarowiczem poszła naprzód — a za chwilę plan cały zmieniony. Koc i Adek Goldenberg z dwiema sekcjami mają się podkraść pod druty, ja natomiast stanąć mam w schodzie, za prawem skrzydłem. Ściągnąłem ubezpieczenia, przepuściłem wprzód III pluton i ciągnę zcicha z półplutonem na wyznaczone miejsce.

Rozwijamy się w niskich krzakach, w wysokiej mokrej trawie, w bagnistym grząskim terenie. Wystawiam ubezpieczenie i cierpliwie czekam rychło rozedrą ciszę gwałtowne trzaski ognia.

Lecz wokół żaden głos nie przerywa głuchej nocy. Jednostajnie tylko szemrze deszcz po olszynkach, od czasu do czasu zrywa się głośniejszy szum, gdy powieje wiatr. Za nami w tyle, nieco na prawo wskos, Madziary co chwila wypuszczają rakiety, które obrzucają zielonawem światłem przywartych na ten czas do ziemi żołnierzy i na moment krótki rysują przed nami strzeliste topole i ciemną masę szumiących drzew przy młynie. Czas wlecze się powoli. Nieustannie mżący deszcz przemoczył nas do nitki, a wiatra leżąc na mokrej łące zwilgotniała docna. Wreszcie z nieprzyjemnem uczuciem zimna i dreszczów, zaczął siąpić deszcz z przemokłych czapek za kołnierz. Przed nami cisza, nie przerywa jej absolutnie najłżejszy odgłos życia ludzkiego...

Leżeliśmy tak z godzinę o 150 kroków przed drutami rosyjskiej placówki, wreszcie przychodzi rozkaz ściągnięcia posterunków. Nie wykonawszy zadania — wracamy. Okazuje się z opowiadania Adka Goldenberga i Dolka Wojtarowicza, którzy byli pod samymi drutami, że napad niema najmniejszego sensu. Trzy podwójne posterunki w bardzo bliskiej odległości, druty solidne, szerokie, splątane — żadnego dostępu. Moskaliki poziewywali, szeptali do siebie, nudzili się sakramencko — i nic nie widzieli, nic nie słyszeli.

Po ściągnięciu ubezpieczeń, wracamy dwuszerem, wystawiając ubezpieczenia na boki i na tył. Teren zakrzaczony, nierówny, mokry — tak że lepiej jest wracać w kolumnie. O 1.50 w no-

cy jesteśmy już w ziemiankach i przebieramy się zupełnie, gdyż nawet koszule poprzemiekały. Kuchnia nam natychmiast wydała gorącą herbatę, która nas bajecznie pokrzepiła.

1 lipiec. Na pozycji. — Spaliśmy do południa. Po patrolu mam zawsze mocny, tęgi sen. Śniło mi się, że Prusacy utworzyli armję polską 200 tysięczną. A jest ten sen w ścisłym związku z przyjazdem Szefa, na którego Brygada chciwie czekała, jako że wiadomości worek pełen miał przywieźć. To też dzisiaj jedna nowinka prześciga drugą. A więc Kołomyja wzięta, Moskale już są w Kirlibabie, poza tem Sosnkowski przywiózł moc rzeczy nowych i ważnych, lecz jakich, tego nikt nie może się dowiedzieć. Zwróciliśmy dzisiaj uwagę, że niektórzy oficerowie nie mają wężyków. Mówią, że to w związku ze sprawą wężyków Narbutta i Karasiewicza ¹⁾, przeniesionych do 6 pułku. Niedawno kazał im pozdejmować te odznaki Grzesicki, czego oni nie wykonali, oddając sprawę w ręce Komendanta i Puchalskiego. Zrobił się krzyk i raban, gdyż za Narbuttem i Karasiewiczem ujęli się oficerowie III Brygady i zaczynają nagwałt nakładać nasze odznaki, prosząc oficerów naszej Brygady, żeby, póki sami sobie nie sprowadzą, ci im swoich tasemek popożyczali. Chodziło o natychmiastowe zamanifestowanie. Dlatego też nasi oficerowie, którzy nie mają zapasowych wężyków, poodejmowali je z kołnierzy i porozsyłali III Brygadzie.

Całą noc przegwarzyliśmy z Adkiem Goldenbergiem w pustej ziemiance, jako że chłopcy byli na służbie. Biały świt 2 lipca począł przeglądać przez okna, gdy przyszedł już na koniec rozmowy naszej Maniek Pacholski i przyniósł moc sensacyjnych wiadomości, a przede wszystkim rozkaz, że do jutra, do godziny 12 w południe mają być wszystkie odznaki zerwane. Wiadomości zaś następujące: Narbutt i Karasiewicz nie tylko, że nie usłuchali rozkazu Grzesickiego, by zdjąć odznaki, lecz w porozumieniu z Norwidem, komendantem 6 pułku, dali rozkaz w swych bataljonach pozakładania odznak I Brygady.

Od tego momentu zaczął się gwałtowny krok. Grzesicki zawiesił w funkcji Norwida i oddał go pod sąd polowy, natomiast pułk kazał objąć Galicy, który odrzekł, że w takich warunkach pułk objąć nie może i jeżeli jest zmuszony, w takim razie on, major Galica, odaje 6-ty pułk kapitanowi Karasiewiczowi. Tu już wyraźny bunt przeciw „awstryjcom“ i Grzesickiemu. Tego dnia, t. j. po południu 1 lipca, zjechali się komendanci pułków oraz Komendant i postanowili zrzucić natychmiast odznaki we

¹⁾ Kpt. Tokarzewski-Koraszewicz, obecnie gen. bryg.

wszystkich brygadach, a gdy za kilka dni nadejdą tasiemki, — jednocześnie we wszystkich brygadach założyć odznaki nowe. Co, gdy doszło do wiadomości Puchalskiego, wywołało natychmiastowe poślanie się jego do dymisji.

Wiadomości te nas zelektryzowały. Polityka ofensywna na całą parę. Co to znaczy Komendant, jego osobisty wpływ! Dwa miesiące wspólnego siedzenia i masz! Wszystkie trzy brygady za Piłsudskiego dadzą sobie głowę uciąć!...

2 lipiec. Na pozycji. — Głowa pęka od wieści, nowin, nowinek, plotek i ploteczek. Ruch, naprężenie umysłów niebywale. Rozblyszczone, roześmiane nieraz i zacięte oczy, a z pośród tego co chwila wyrrywający się okrzyk, okrzyk kończący każdą dysputę, każdą żywszą rozmowę, każde omawianie gorące tej chwili, okrzyk: „Niech żyje armja polska, niech żyje Komendant! Precz z Legjonami! Nie chcemy już Legjonów i Austrjaków! Chcemy większego czynu, większego rozmachu“...

Teraz powoli streścić muszę ten nawal wrażeń, jaki zwałił się na nas dzisiaj.

Otóż po awanturze z Grzesickim i Norwidem, pułkownicy zjechali się natychmiast. Był tam również Komendant i Haller. Uradzili — bez Piłsudskiego głosu, co następuje: wysłać natychmiast kurjera do AOK ¹⁾ z żadaniami tej treści: 1) Komendantem Legjonów — Piłsudski, 2) natychmiastowe usunięcie z Legjonów oficerów armji austriackiej, 3) dowolność zatwierdzenia odznak, byle nie austriackich.

Takie punkty wysłali wślad za pierwszym kurjerem Puchalskiego, w którym ten prosi o dymisję. Jak sądzę, do tego postanowienia i wzburzenia umysłów przyczyniły się relacje polityczne, jakie przywiózł z sobą Szef.

Mam wrażenie, że Komendant ma dość tego grania w ciuciubabkę z Austrjakami. Podobno Szef przywiózł wiadomości, że Prusacy są bardzo dobrze usposobieni względem nas, zaczynają podobno rozmawiać z Lubomirskim w Warszawie. Austrjaków i oni mają dosyć. Bądź co bądź, to co pułkownicy postanowili, dowodzi naszej dużej pewności siebie.

Po popołudniu zważyło się do nas huk gości. Przyszedł Lucek Frakowski, powitany z ogromną radością, jeszcze więcej zawadjacki w artyleryjskiej czapce bez daszka, Hirek Pacholski, Kazik Kowalski — jednym słowem przedstawiciele „ciuwajscy“ ze wszystkich rodzajów broni. Bawiliśmy się świetnie. Napisaaliśmy

¹⁾ Armee Oberkommando.

do skautek wspólną kartę i sfotografowaliśmy się, jednakowoż bez Adka Goldenberga, gdyż zawezwano go do bataljonu. Lucek Frakowski zaczął karierę artyleryjską od czyszczenia koni. Ciężką ma robotę, lecz w artylerji od czyszczenia koni tak, jak w piechocie od skrobania kartofli trzeba zaczynać służbę.

5 lipiec. Na pozycji. — Dzień przeszedł zupełnie spokojnie. Czytałem trochę filozofji Jeruzalema, robiłem trochę notatek. Upał coraz bardziej zjadliwy. Moskale siedzą zupełnie cicho, dopiero rano przyszła wiadomość, że wzięto trzech jeńców na placówce. Wczoraj wieczorem poddał się placówka Nr. 3 żołnierz moskiewski, Polak z Łomżyńskiego. Jak się tylko o jeńcu dowiedziałem, pierwszą myślą było: oho, będą mochy atakowali... Dzisiejsi trzej nowi utwierdzili mię w tem przypuszczeniu. Jeńcy zeznają, że Moskale mają tutaj atakować dużemi siłami. Nie udał im się raz atak — to teraz sprowadzą ciężką artylerję — tak mają mówić. Artylerji jest podobno bardzo dużo i to ciężkiej. Atak mają przypuścić koło 20-go, więc wedle naszego kalendarza jutro, pojutrze. No djabła zjedzą, byle tylko Madziary z „Polenbergu“ nie zwiały...

Dzisiejsi trzej jeńcy powtarzają mniej więcej to samo. Placówka w młynie, wedle ich zeznania obsadzona jest 60 ludźmi i 3-rzędnym karabinem maszynowym. Jest to ponoć najnowszy wynalazek. Karabin maszynowy mogący siec odrazu 3 linje.

O sprowadzeniu artylerji zeznania jeńców okazały się prawdziwe zaraz dzisiejszego dnia, przed wieczorem. Rano o świcie słychać było nieustanny turkot na pozycji rosyjskiej. Domyślaaliśmy się, że to zajeżdża gdzieś bardzo blisko artylerja. Jakoż nie myliliśmy się. Słońce zachodnie, oblewało czerwienią niebo, zaróżowiając przepysznie okopy, gdy dźwiękliwie trzasnął pierwszy szrapnel przed kompanją. Pękł zupełnie nieoczekiwanie, bez uprzedniego świstu, gdyż tak artylerja blisko stoi, prawdopodobnie w samych okopach. Przystrzeliliwali się następnie do placówki pod lipą, na granatniki, na komendę bataljonu i rezerwę w Łasku Polskim.

Wieczorem wrócił Sulkiwicz z Brygady. Pierwsze wiadomości okazały się zbytnio różowe. Ponoć II Brygada niezupełnie poznała odznaki i cała sprawa nie tak świetnie się przedstawia, jak opowiadano. Komendant mówił Sulkiwiczowi przy pożegnaniu, że w nocy lub jutro od rana będziemy mieli dużo ruchu. Są pewne wiadomości, że Moskale przygotowują atak na cały front legjonowy i to atak na wielką skalę. A więc jutro!...

WIELKA BITWA POD KOSTJUCHNÓWKĄ

4 lipiec. — Zaczęło się!

Zaczął się przewidziany ruch, rozpoczęła się bitwa. bitwa o jakiej dotąd pojęcia nie mieliśmy. bitwa najkrwawsza z krwawych! Bledną przy niej Łowczówek, Konary, Tarłów, Kukle, blednie ofensywa jesienna na też samą Kostjuchnowkę zeszłego roku, na też samą „Polską Górę“, na słynny „Polenberg“.

O 6.30 rano zaczęliśmy wstawać. Ziemiankę wstrząsał raz po raz ogromny łoskot, przeraźliwy grom, co chwila szarpiący potwórnym oddechem powietrze i łomotały lżejsze, gęste, wysokie huki.



Bije artylerja! Senni, przewracaliśmy się z boku na bok, chcąc usnąć, przespać ten łomot, lecz nie udawało się! Łoskot wstrząsał nie tylko ziemianką, ale i nami, sypiąc co moment piasek z dachu na posłania.

Zaciekawiony wyszedłem przed ziemiankę i aż osadziło mnie ze z dumienia. Ważył bo się właśnie w powietrzu lekko, delikatnie, posuwistym warkotem ciężki pocisk i naraz runął z „Polenbergu“ szalonym słupem ognia i dymu i wnet jakby trzask pękającej ziemi, rozwalonego świata, przestworza — tak wyróżzał straszliwym łoskotem. Gdyby z ognistego krateru wywalili się

w górę potężne kłębowiska dymu, ziemi, poszarpanej darni i zwi-
jały się za chwilę olbrzymie powolne potwory.

I tak raz po raz. Co kilka sekund rwał słup ognia i dymu
z jakiegoś 6 cal., 10 cal., 15 — 24 cm. 30 cm. granatu i wokół
były bez przerwy mniejsze, małe, bez liku...

Chwilami, gdy dymy pokładły się niżej, gdy rozwlekły się
dołem — Polska Góra znikala zupełnie. W ciężkiej kurzawie błę-
skały jeno raz wraz języki ognia, a dym włókł się ociężale szary,
siwy, ciągnąc za sobą olbrzymi cień przysłaniający słońce.

Zaczynamy się tedy szybko ubierać, gdyż ogień na Polską
Górę zwrócony, nie słabnie ani na chwilę.

Kawa — zawiadamia dyżurny, więc menażki w garście i do
kotła. Wracamy za chwilę do ziemianek.

Godzina 7.30 rano. Na nieszczęsny „Polenberg“ granaty rwą
z chybotliwym świstem raz po raz, a dwudziestki bezustanku
wstrząsają powietrzem. W pewnej chwili stojąc w ganku, za-
toczyliśmy się... Granat runął tuż obok ziemianki z takim stras-
zliwym trzaskiem, że zaparło nam dech, że rzuciło nami, jakby
kto w pierś potężną pięścią grzmotnął z całej siły. Za chwilę dru-
gi, trzeci, czwarty, więcej, coraz więcej!!! Łomot straszliwy wo-
kół, powietrze drga, tną, sieka, z przerażającym skowytom po-
ciski całych bateryj. Raz, dwa, trzy — kilka naraz w jeden prze-
wlekły wstrząsający zlewa się łoskot...

Powietrze staje się ciężkie, smrodliwe, dym wżera się w pier-
si gryzący, ostry, drażniący, oczy przestają widzieć, uszy sły-
szyć — wali się świat!

Gdy eksplozje na chwilę, na moment krótki milkną, powie-
trze napęlniają wówczas przedziwne, o różnorodnych tonach jęki,
skargi i rzewliwe lamenty, jakieś buczenia, syki, świegoty lub ci-
chy warkot spadających zewsząd odłamków stali. Jedne z nich,
zataczając olbrzymią parabolę z bekiem, jakgdyby błotnego he-
kasa — brzękliwie spadają wdół — inne, z furkotem drobnusień-
kim, jakby zabawka dziecięca prują powietrze — inne przecią-
gły wydają śpiew niby jęk zmęczonego długą drogą wiatru...

Ano wojna! Ogień trwał przez godzinę na odcinku naszego
plutonu, poczem przeniósł się na odcinek II i III oraz 1 kompanji.

Zaczynamy się pakować. Za chwilę przylatuje Koc. 1-sza
sekcja do szrapnelnika, 2-ga i 4-ta do lisiej jamy, 3-cia obsadza
okopy.

Do południa Koc. Adek Goldenberg i ja siedzieliśmy z 3-cią
sekcją w okopach. Zwały dymów powstające z ognia, snując się

zwierzchu leniwie, powlekając mrokiem grubym świat, gasiły promienie słońca.

Na „Polenberg“ biją nieustannie, bez chwili wytchnienia. Góra stoi cała, nienaruszona, drży jeno boleśnie od ciosów straszliwych, rozrywających jej żółtą, przysadziłą kopę. Dym i kurz przesłaniał ją już bez przerwy, gęstym, nieprzeniknionym тумanem. Najcięższe granaty wywalały z jej wnętrza najpierw ognisty słup, a potem chyżo biegnący klin dymu, który w górze rozwijał się na dwa pióropusze i potwornymi skrzydłami obejmował ją z dwu stron.

Ciężkimi również granatami tłuką w rezerwę, w Lasek Polski. Tam, gdy granat runie w łąkę, w bagno popod las, śmiga w górę cienką smugą, wysoka fontanna czarnej, wilgotnej ziemi. Te zaś, które biją w las, drą go olbrzymimi słupami szarej, matowej ziemi.

W południe samo, przez godzinę, rozszalał się ogień na placówkę. Wrócił stamtąd Edek Pfeiffer, zmieniony do niepoznania, pokrwawiony, rozgorączkowany. Piekło! — mówi — Flójar, Łodek Janowski, wszyscy, którzy tam są, pocharatani. Lipy prawie nie widać. Od czasu do czasu odsłaniał się tylko dym z nad miazgi okopów i drutów. Za chwilę olbrzymia, wspaniała lipa, podcięta granatem z rozdzierającym trzaskiem i szumem swych rozłożystych konarów — wali się na ziemię.

Na odcinku 2 kompanji i nawprost komendy bataljonu roznosi się teraz istny szal ognia. Nie widać tam okopów, nie widać drutów, nie widać ludzi, nie widać nic — jeden rozwlekły dym, gęsty, czarniawy, nieprzenikniony, a w dymie tym słupy, słupy, fontanny ognia!...

A patrzyły na to spokojnie, z poza mgieł i morza dymów zwijających się nad okopami, patrzyły spokojnie na to straszliwe dzieło zniszczenia — dwa balony obserwacyjne, dwa rosyjskie „captive“, kierując ogniem, bacznie, czujnie, uważnie...

Miedzy 12-ą a 2-gą nieco się upokoilo. Na „Polenberg“ biją tylko nieustannie ciężkie dwudziestki.

Ludwik Drozdowski, choć pod strachem, na surowy rozkaz przygotował obiad, po który chyłkiem, skrycie czaimy się pod gankami, zarzuconemi odłamkami granatów, blaszkami, sirzypami, wiórami najróżnorodniejszego formatu i kalibru.

Po godzinie drugiej — ogień wzmoął się. Zostałem z Adkiem Goldenbergiem przy posterunku, w okopach. Pluton już cały zebrany w lisiej jamie.

Zbieramy wiadomości. Jak dotąd — co jest nie do wiary — bataljon poniósł minimalne wprost straty. Coś 10 ludzi zaledwie kontuzjowanych, jeden tylko ciężiej ranny, bo mu rozcięło głowę. Sław — poznajemy go po tem — wśród największego ognia gra w preferka i dopytuje się, czy linje telefoniczne już naprawione. — A ogień pozrywał wszystkie, choć ośm połączeń rezerwowych prowadziło do pułku. Telefoniści Jurek¹⁾ Drymer, Stebelski — zziębnięci, zmordowani, nieprzytomni wprost przebiegają wśród największego ognia od drąga do drąga, od tyczki do tyczki i wiążą druty.

Siedzimy pod daszkiem szrapnelowym i spoglądamy na Górę, kłębiącą się bezustannie od dymów. Runął w pewnym momencie 20 cm. kufer w sam szczyt i bryznął potężny słup ognia. Wtem jakby na uragowisko, jak na drwinę, zjawia się w sinym dymie ciemna postać telefonisty, podnosi drąg i spokojnie zakłada drut. Widać jego powolne, ociężałe ruchy.

Atak piechoty będzie zapewne dopiero wieczorem. Prosimy Boga, aby atak szedł tylko na nas, gdyż obawiamy się strasznie, że landszturm na „Polenbergu“ puści. Sakramenckie tam dziady, jakieś obrośnięte trepy... Czerny-Szwarcenberg z 3 kompanji wystawił 10 ludzi, którzy mają ich tam pilnować i o wszystkim natychmiast meldować.

Miedzy 3-cią a 4-tą huraganowy ogień znów się rozszalał. Nie mogliśmy już rozmawiać w okopie, gdyż głowę nam zawracały raz po raz wstrząsy powietrza i loskot walił jak młotem. Biją na odcinek naszego plutonu kilkoma baterjami. Z daszku szrapnelowego sypie się piach i odpadają całe kawały darni za każdym wstrząsem powietrza. W dodatku zerwała się jeszcze do tego koncertu i nasza artylerja. Gwizd przeraźliwy grał w uszach zgrzytliwą, nienawistną, rozdzierającą nutą i łomotały bezustanku straszliwe gromy, tak, że Stasiak Wolski, który właśnie stał na posterunku zaczyna coś za szybko mrugać oczyma ze zdenerwowania i nerwowo zasłaniać uszy...

W chwilach przerwy, gdy granaty waliły gdzieś daleko, Adek Goldenberg krzyczy mi do ucha, że go bębenki rozboleły i głowę mu rozsada. Jesteśmy spokojni zupełnie, tylko każdy na swój sposób inaczej reaguje. Mnie zaczyna szumieć w głowie, mdlić i ból wściekły ściska skronie...

Coś w połowie między godziną 3 a 4, ogień doszedł do kulminacyjnego punktu. Walił się zewsząd jeden przepotężny huragan huku, oszalałając do cna.

¹⁾ Jurek-Jakubiak, obecnie mjr. wojsk łączności.

Wtej to chwili, gdy zdawało się, że koniec zupełny przychodzi, że lađa chwila zwali się nam na głowy jakaś strasznie krótka śmierć, — wyjęliśmy z Adkiem Goldenbergiem fotografie łódzkich skautek i poczęliśmy je oglądać. O ile nam łoskot pozwalał, staraliśmy zabawić się nawzajem kawałami — nieco rzecz prosta naciąganemi.

O 4-ej ogień trochę zelżał. Wypadł Koc i Wojtarowicz z lisiej jamy. Haber i Broszkiewicz dostali wstrząsu nerwowego — Broszkiewicz ogłuchł całkiem i bredzi, a Haber wygląda jakby miał dość, tak go obłąd chwycił. Chłopcy, mimo że siedzą w lisiej jamie, podenerwowani są straszliwie. Ponoć od rana zwało się już na nas 8 tysięcy pocisków z 200 dział.

O 4-ej przeniósł się znów ogień na „Polenberg“ i na odcinek 1-ej, następnie całą swą niesamowitą potęgą na rezerwy, na Laszek Polski. Między 5 — 6 wrócił znów do nas, a o 6-ej urwał się raptownie i bił już tylko w rezerwy.

Obsadzamy natychmiast strzelnice. Zaludniły się okopy. Moskale już są. Idą, podsuwają się, wyparli placówkę jedną i drugą...

Granaty ręczne w pogotowiu, karabiny w strzelnicach, czekamy, bo jeszcze w drutach nie widać nic, a na przedpolu widać się dymy.

Zatrząśł się nagle, zachłysł od gwałtownego ognia karabin maszynowy na lewo. Wytężamy wzrok, lecz nie jeszcze nie widać...

Biegnę na lewe skrzydło, gdzie już wiara bije zapamiętałe. Moskale rozwijają się tu o 200 kroków z olszynek Kostjuchnowki i to wprost z kolumn.

Okopy trzęsą się od ognia karabinowego. Już i kompanja 3 otwiera gwałtowny ogień, jak również i nasz pluton.

Bijemy w druty. Moskale mamy o 20 — 50 kroków przy kółkach, przy drutach, w trawie, w okopach wedet, jeden przy drugim, gęstą masą...

Nie już nie słyhać. Jeden nieustanny belkot karabinów wścieka się wokół, tylko na prawo, na „Polenbergu“, karabiny maszynowe zawzięcie, rozpaczliwie milczą...

Artylerja rosyjska umilkła zupełnie, natomiast nasza tłucze teraz straszliwie. Przedpole znika nam zupełnie z oczu. Drzewa, zarośla, gęszcze Kostjuchnowki ledwo, że mającą w kurzawie dymów. Wokół roznosi się pył, który osypuje wszystko jakgdyby po wybuchach wulkanu. Promienie słońca nie mogą go przenikać, ogarnia nas mdły, szary cień...

Zaczyna się piekło! Przedpole rozstrzaskują błyski szrapnelowe, płomienie granatów, dym i kurz coraz bardziej przesłaniają świat i łoskot, gruchot, poryw ognia karabinowego rozpętuje się z jakąś dziwną, nieprawdopodobną wprost furją.

Latam od trawersu do trawersu, ciskając w druty granatami, a coraz to niespokojnie oglądam się na Polską Górę.

W pewnej chwili przerażenie odebrało mi mowę. Zgroza zaparła oddech! Bo oto nawprost czarnego otworu strzelnicy, nawprost karabina maszynowego, który milczy ciągle, poniżej od drutów, grzbietem do góry — posuwa się grupa Moskali... Zgarbieni, pochyleni, powolnym podchodzą krokiem do okopów.

Patrzę znieruchomiały, oniemiały. Co to jest, co to znaczy!...

Odpowiada mi w tej chwili rozpaczliwy, mrozący w żyłach krew krzyk z 3 kompanji, z trudem przedzierający się przez trzask ognia: — Moskale na Polenbergu! Góra zajęta!!!

Ci zaś stanęli przed otworem. Wyczekiwali z jakąś bezmyślną biernością kilka chwil, aż ręczny granat rzucony w kupę, zawrócił ich z miejsca. Zaczęli szybko zbiegać zpowrotem do drutów...

Skoczyłem górą, nad okopami do Czernego. Krzyczę mu do ucha, by mi natychmiast dał znać o wszelkiej zmianie, jaka zajdzie na jego skrzydle.

— Posłałem na „Polenberg“ Jagmina z 10 ludźmi, by dał mi znać jak Góra będzie zajęta — krzyczy mi tak samo w trzasku ognia.

Za chwilę na „Polenberg“ dźwiga się znów ciemna grupa Moskali i jeden po drugim powoli zeskakują do okopów. Jasna cholera! gdzie ci Austriacy — toć oni wcale się nie bronią!

Naraz na prawo, obok ganku prowadzącego na górę — zrywa się krzyk i machanie czapką. To Jagmin!

Pobiegłem co sił: Słuchajcie — krzyczy mi — Moskale zajęli „Polenberg“ i ja tam idę — może się uda co zrobić, a wy zawiadomcie Sława by obsadzono rygiel, a Czernego, by dał mi jeszcze ludzi!

Skoczyłem do Czernego i powtarzając mu słowa Jagmina, stoję na wysokim zrębie obserwatorskim. Naraz o 20 kroków przed drutami, w okopku wedety widzę podnoszącą się jasną czapę i czerwoną twarz... Moskal w okopku! Granatem! — krzyczę w ucho pierwszemu z brzegu. Z chybotem poleciał tam granat i pękł w samym okopku.

Wracam do plutonu. Chłopcy biją, lecz że ze strzelnic nie pra-

wie nie widać, gdyż mamy lekkie martwe pole — stanęliśmy na przedpiersiach i klęcząc, bijemy aż mdleje ramię.

A ich jest jak mrowia. W krzakach Kostjuchnowki, pod drutami, w zbożu rzadkiem, gdzie tylko okiem sięgnąć — jasno zielone bluzy i czerwone, spocone twarze. Bijemy im wprost w pyski, celnie, niezawodnie, z chłodem okrucieństwa.

Oni zaś odpowiadają mało, rzucają natomiast granatami w okopy. I umierają — umierają bez słowa, z jakąś tępą, bezmyślną obojętnością.

Tymczasem Moskale wdarli się już zupełnie na Polską Górę, zajmują ganek, zajmują rygiel, który flankuje nasze okopy. Widać ich tam mnóstwo, zaczerniała od nich Góra, widać jak się kręcą w rozwianych płaszczach oficerowie. Za chwilę już biją stamtąd ekrazytówkami.

Czernego niema, bo skoczył do Sława, a tu 3 kompanja zaczyna się nagwałt wycofywać, krzycząc, że Moskale zachodzą im już na tyły.

Wracać, — ryczę, jak mogę — wracać — nie było rozkazu do cofania. II bataljon zaraz kontratakuję, my mamy bronić tylko frontu! wracać!...

Zawrócili do strzelnic, lecz nie na długo. Wpada zadyszany Czerny i podaje, by się cofać do ganku Nr. 5.

A więc koniec! Żołnierze z 3 cisną się już do nas, przepuszczamy ich a sami na końcu rwiemy okopem w lewo. Ledwie że przeciskamy się przez ciasną szyję coraz szybciej i gorączkowiej, gdyż ze wszystkich niemal stron wydiera się zwycięskie, tysięczne urra!...

Dopadamy do występu karabina maszynowego! Tam tłok, bo ludzie nie mogą się zmieścić wszyscy naraz w ganek. Podporucznik Stefański z podniesionym brauningiem wstrzymuje tu falę. Stać! stać! przez chwilę — woła ochryplym głosem — aż się wycofa karabin maszynowy.

Stanęliśmy na kilkanaście sekund, a tu już nad naszymi głowami na przedpiersiach wyrastają spoceni, zgrzani Moskale. Zerwał się dziki krzyk: bić do takich synów! i — zatrzaśkały karabiny, w mig oczyściwszy przedpiersie.

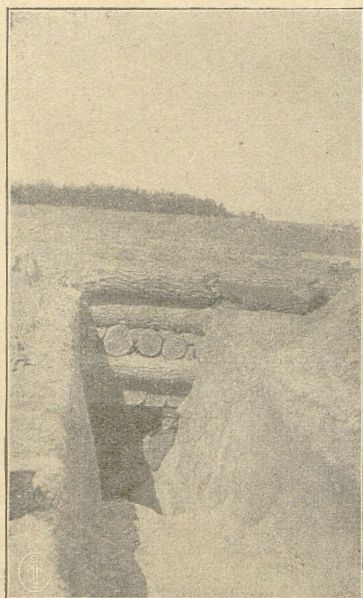
Piorunem wiara wpada w ganek. Skoczyłem na wierzch okopu, chcąc górą się wydostać. Przy skoku uczułem nagle tępe uderzenie w tył głowy i po tornistrze.

Jasny piorun! — a to co! I odwróciłem się, stojąc już nad okopem. Przede mną o dwa kroki, po drugiej stronie trawersu, stało trzech olbrzymich drabów w jasno zielonych mundurach.

W jednej chwili szarpnąłem za cyngiel sztucera. Pierwszy z nich skulił się nagle dziwnie i przysiadł, drugi podniósł broń do oka, wrzeszcząc coś białymi zębami. Płomień, trzask, szum w głowie i błyskawica myśli, ostrej niby nóż: Idjota — nie trafił!...

Rzucam się w ganek i biegnę wdół. Obok mnie wydziera Edek Pfeiffer co sił i Stasiak Wolski. Jeden rów, drugi — zwoje drutów, granatnik i wpadliśmy na zieloną, pyszną łączkę.

Boże, co za widok! Łączka cała, całe podnóże góry i bagno — pokryte sinemi, niebieskimi mundurami. Dobiegam do nich, mijając bokiem tuż, tuż walącą kupę Moskali.



Granatnik.

Rwie wszystko na mostek. Jedyna droga odwrotu, jedyny cel. Wokół zielone, grząskie bagno.

Na mostku krzyk straszliwy. Tam w mig, piorunem powybijano kolbami, porozdzierano bagnetami żołdatów, co już zaszedłszy z boku zastąpili drogę. Ciśnięto w bagno wielkich ruskich chłopów, zaślano nimi most.

Lecz cofać się dalej nie można. Zatrzymać trza tłum, co wali na nas w zbitej gromadzie, w oszłomieniu, żałośnie jęcząc w trzasku ognia swoje „urra“!...

Tyraljera od mostku! Podniesione w górę rewolwery. Wy-niosła postać Narbutta z błyszczącym niklowym brauningiem rzuca mi się w oczy, gdy dopadł linji. Zewsząd wołania, krzyk—stać, stać — do kontrataku!...

Kontratak! Na przedzie linja oficerów.

Ślepe na wszystko z odwagi oczy.

Z rozkrzyżowanemi rękoma, wołaniem ostatnim prowadząc do kontrataku — pada Sław, kulą ugodzony w serce.

Walka na śmierć i życie.

Chamska, zacięta pasja.

Tam Mazur-Sękara, podporucznik, nie strzela już, lecz kolbą tłucze, butami kopie z obłądnej, wścieklej pasji, że musi się cofać, uciekać!

Tam Hajec porucznik, szpicrutą na wołanie — zdajsia — siecze po twarzach chłopów.

Kolbami po łbach, po ramionach, strzałami, ogniem prosto w twarz.

Aż odepchnęliśmy tłum...

Trzy razy zrywał się nasz kontratak, trzy razy osadzaliśmy wraży tłum, że jeno z krzykiem i strzelaniem szedł ku nam, nie śmiejąc dopaść...

Zatupotał wreszcie dylami wyłożony most, przez bagno rzucony.

Cofamy się do Lasku Polskiego, odwracając się co chwila i bijąc wtył.

Powietrze napelnia teraz nieustanny, wysoki jazgot, trzask przeraźliwy pękających ekrazytówek. Wokół na bagnie, na trzęsawiskach zdradnych, wyciągnięte ramiona, ostatnie, ślepe wysiłki tonących...

Na mostku trup pada gęsto. Przeraźliwy trzask ognia miesza się z rozpaczliwym jękiem i wołaniem rannych.

Omdlewamy z wyczerpania. Moskale wloką się za nami w odległości 50 — 100 kroków, strzelają tylko gęsto. Co chwila też osuwa się ktoś na ziemię.

Spojrzałem w pewnej chwili wtył. Okopy na górze mrowiły się jak od robactwa. Od drutów szły kolumny czwórkowe i ciężko, niezgrabnie rozwijały się. Co za mrowie, co za mrowie!...

Stępiły się już zupełnie zmysły, lecz myśl z wysiłkiem jeszcze pracuje. Byłe do Lasku dojść, byłe do Lasku Polskiego.

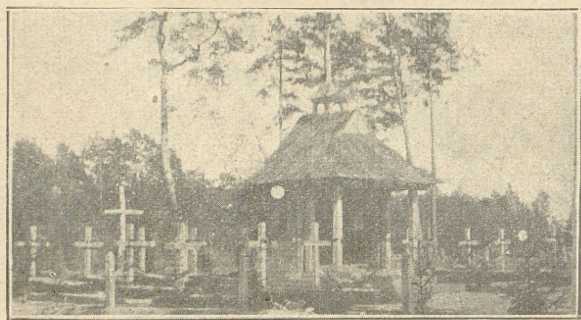
Gdyśmy wpadli na mostek, bezładną kupą go zapelniając, gdyśmy szli, nogami ledwie włócząc, sennie gdzieś z pod świadomości

mości wywlokła się jedna, jedyna myśl: tu nam dadzą szkołę. Wytluką nas na mostku do jednego!

A most dłuży się w nieskończoność! Obok mnie kilku z trzeciej kompanji niesie okrwawionego, bladego jak chusta ppor. Dunina-Nehringa. Za chwilę rzucają go, gdyż krwawi coraz bardziej, a im już sił brak zupełnie.

Skończył się wreszcie mostek. Mijam leżącego trupa z rozwaloną czaszką, szukając w twarzy pilnie, czy nie który z naszych chłopców.

Za mostkiem już twardy, rozkoszny grunt, łączka pokryta krzaczkami, na której instynktownie rozwijamy się w linję szeroką, włócząc ledwie nogami. Obok mnie idzie Edzio blady straszliwie, dalej Siewicz, żalosnym głosem zcicha postępując nad roztrąconą kulami nogą. Podaję mu ramię, lecz niewesoły musiałem mieć wygląd, gdyż za chwilę dziękuje mi za pomoc, że sam już dociągnie do Lasku, że blisko już. Obok Styk, Stefański, przy nich Moskał obojętny na wszystko.



Kapliczka w Lasku Polskim.

W pewnej chwili Stefański, idący przede mną, podskoczył dziwnie, podbiegł do Styka i otoczywszy mu szyję prawą ręką, wyrzuca z siebie szybki jęk: Oj Styk, ranny jestem! — I w tym samym momencie rzuca się nagle na Moskala, ogromnego chłopca i skacze mu jak kot na ramiona. Doskoczyliśmy obaj ze Stykiem: — ej żołdat! niesi, nie to umriosz!

— Oj pane, panoczku, ja dwa dnia nie jeł! — jęczy Moskał... Bez słowa przyłożyliśmy mu lufy do czoła. Nieś!...

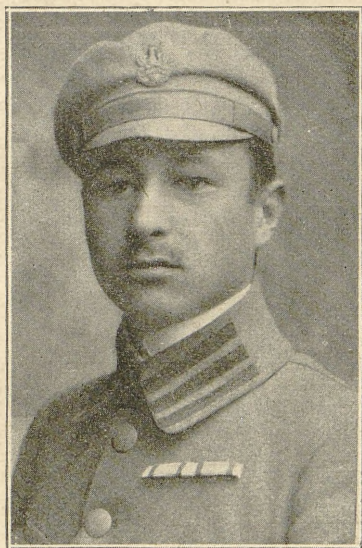
I tak dźwigamy się dalej, do lasku, który jest tuż, tuż...

Za chwilę słyszę krzyk, wołanie Zygmunta Rosińskiego. Na prawo wskos — pochylony stoi Wolski Stach i Zygmunt. Obok ktoś leży...

Podbiegamy z Edkiem ostatkiem sił. Leży Adek Goldenberg — ranny w brzuch... Po ziemi się wije, szczęki zaciśnięte, oczy w dołach przepastnych. Obok jakiś inny strzelec ostatni już wydaje dech.

Gorączkowo się sypnęły słowa ze spękanych warg: brać go! za nogi! za ramiona! Lecz Adek nie pozwala się ruszyć. — Zostawcie, zostawcie, nie ruszajcie! — harczy przez zaciśnięte zęby.

— Wyjąć mu papiery! Wyjmują je chłopcy szybko, bo Moskale już, już wyciągają po nas ręce. Ostatni raz jeszcze rzucam spojrzenie na straszliwie zmienioną twarz Adka i znikam mu z oczu.



Ś. p. Arkadiusz Burski-Goldenberg.

Przed nami krzaki, do lasku, do okopów drugiej linii jeszcze okropnych dwieście kroków.

Tę linię zapewne obsadzimy — myślę leniwo, z wysiłkiem pracując mózgiem.

Wchodzimy wreszcie na żółty splechocący okopów. Żołnierze ze wszystkich kompanij pomieszani ze sobą, ledwie że trzymający się na nogach. Lecz już Styk zwołuje 4-tą na lewe skrzydło.

Jako tako się rozwijamy. Z plutonu I jest nas 12-tu. Z naszej paki skautowej brak Kucharskiego, Zygmunta Chabowskiego, Maniś Pacholski został ranny szrapnelem, jakieś pół godziny przed odwrotem, więc zdążył prawdopodobnie wyrwać. O Zygmuncie, o Kucharskim nie wiemy nic.

Kilka zaledwie minut siedzieliśmy odurzeni, znękani, bez sił w drugiej linii, gdy nagle na prawem skrzydle, pod samym Laskiem Polskim zawyło przeciągle urra!...

Zatrzaśkały naraz karabiny i linja nasza poczęła się cofać. Wydzwignęliśmy się wtył o 100 kroków i natychmiast biegiem, z wrzaskiem okropnym zajęliśmy zpowrotem okopy.

To Moskale wdarli się niezastawionem przejściem na drogę od mostku do okopów, lecz Narbut i Hajec, ostatnim, rozpaczliwym kontratakem wyrzucili ich z lasu, gdy dochodzili już do ziemianki Berbeckiego.

Powoli zapada wieczór. Moskale tłuką z ciężkich baterij na drugą linję, lecz ogień przenosi. Z magazynu pułkowego ściągają nagwałt do okopów skrzynki i ręczne granaty. Sytuacja narazie nie wyjaśniona i ciężka. Drugi bataljon spóźnił się podobno z kontratakem i zajął „Polenberg”, gdy byliśmy już na bagnie przy mostku, wobec czego musiał się cofnąć. Na lewo V i VI bataljon trzymają się pomoć jeszcze na pozycji i reducie Piłsudskiego, zagiąwszy skrzydło.

Ściemniło się już zupełnie, gdy mnie Styk wysłał z patrolem wprzód na lewo, do nawiązania łączności z VI bataljonem, który zagiął do nas na skrzydło. Wziąłem Szczerbca-Jaworskiego, Stacha Wolskiego i Ciechońskiego i wyszliśmy cicho przed druty. W terenie się niebardzo orjentuję, lecz idę na los szczęścia. Posuwamy się ostrożnie, powoli, gdyż Moskale mogą być jeszcze przy drutach.

Po długich tarapatach w rozmiękłych, bagnistych łączkach dotarliśmy wreszcie na jakąś pozycję — kierując się tylko migotliwymi blaskami rakiet. Ogień karabinowy rwał tu w las jak burza. Rzuciliśmy się biegiem w tamtą stronę i trafiliśmy akurat na wycofującą się kompanję z V bataljonu. VI już się cofnął, a V się wycofuje.

Dobrze trafił. Gdybym nieco się spóźnił, albo w prawo się skierował — jużbym natrafił na Moskali w okopach.

Przyłączam się do chrząszczącej ryszunkiem kompanji. Idziemy śpiesznie wśród krwawego blasku i łuny palącej się reduuty na miejsce zbiórki V bataljonu, gdzie informuje mnie porucznik Młot-Fijakowski¹⁾, że obydwa bataljony wycofują się na drugą linję okopów i będą łączyć się z nami.

O jakiejs 1-ej po północy wróciłem do kompanji. Styka nie było gdyż wyszedł z kompanją patrolować teren mostku, Narbutt był u Berbeckiego — więc oddałem meldunek Hajecowi.

¹⁾ Obecnie plk. piechoty.

O świcie kontratakować ma Polską Górę II bataljon i jeden bataljon 6 pułku. Teraz dopiero, gdy kompanja wróciła z patrolu — zbieram nieco wiadomości o chłopcach i o szczegółach odwrotu.

Sław zabity przy kontrataku. Dostał kulę w serce. Chwycił go Busse-Guzowski ze Stefańskim, lecz w tej chwili Busse dostał w głowę i został też. Podporucznik Warski z 1-ej kompanji nie zdążył się wycofać i z garścią ludzi został w okopach. Bronił się widocznie z granatników przez całą noc, gdyż charatanina trwała tam do świtu. Aż ściechła.

Porucznicy Bończa-Karwacki, Dunin-Nehring i Busse-Guzowski — wszyscy zostali na miejscu jeszcze przed mostkiem. Stefańskiego szczęśliwie Moskał wyniósł.

Sierzantów padło pięciu: Adek, Iwbull, Doliński, Kruk i Rybak. Straty bolesne, nieodżałowane.

Rankiem wrócił Zygmunt Chabowski. Wpadł po szyję w bagno, kilka godzin się w nim grzebał trzymając się jakiegoś krzaczka, aż nocą się szczęśliwie wydostał. Pognął do taborów do Wołczecka przebrać się i dopiero co zameldował się w okopach.

Gwiazdy nie pobladły jeszcze, gdy chodząc od jednego do drugiego zbieram wiadomości o plutonie i nie mogę się doliczyć. Kucharski został w okopach ranny. Broszkiewiczowi jeszcze przed szturmem rozum się pomieszał. Rzucił się na Moskali z dzikim wrzaskiem, przez druty. Tam i został. Szmidt bez wieści, Badył-Ostalski został w okopie. Wojtowicz ranny — został na górze. Żmijewski wpadł w bagno i tam go śmierć pochłonęła.

Gwiazdy pobladły, noc przeszła...

Wstał szary świt 5-go lipca. Szept się przenosi przez okopy, że dwie kompanje Wyrwy i dwie 6-go pułku zaraz ruszą do kontrataku. Prowadzą z II bataljonu Tunguz i Konieczny — porucznicy.

Świt już pobielił pola i łąki — jak ruszył kontratak pod górę. Ruszył śmiało, mocno, nieustępliwie.

Ruszył, dopadł do okopów i nie wrócił.

Przyjęła tę garstkę — cztery kompanje — masa tłumu z urągliwym wołaniem. A gdy się z krzykiem wiara na nich rzuciła, otoczono ją i wybito omal że do nogi.

Mało kto wrócił, ale ci co poumierali bili się twardo. Po dieście moskiewskich trupów na jednego z nich wypadło.

Został na górze Tunguz, dowódca kompanji i porucznik Konieczny Włodzimierz, przez żołnierzy swych uwielbiany oficer, bagnietami wroga porozdzierani. Został Styczyński podporucznik. Zostali inni.

Rozjaśnił się dzień. Wysoko się słońce podniosło, gdy na miałkie, w piachu po pas zaledwie skopane okopy w Łasku Polskim — zwałąc się poczęły z gwizdem przeraźliwym 18-ki i ciężkie granaty. Razjuszyły się wizgiem przerażającym i masztowe, wielkie sosny ponad las wysoko wyrzucać poczęły. Oblekle las obłokami potężnymi, wydmuchami wielkimi piasku, ziemi i dymu, żelazem i ogniem go zarzuciły.

Rozjęczały się w powietrzu ostre odłamki.

Na krwawą miazgę rozdierały, nurzały się we krwi, bijąc w żywych, bijąc w umarłych, rozszarpując groby naszego cmentarzyka, gdzie chowano poległych.

Legł Hajec porucznik, poległo wielu innych, bitnych, starych żołnierzy. A najwięcej tam kości z 1 Narbutta kompanji i 2 Hajecowej...

Do 6-ej wieczór, drugi już dzień, w upale piekielnym i w ogniu — przetrwaliśmy niezłamani...

O tej godzinie zmienia nas 1 pułk. Nasz odcinek — kompanja porucznika Dęba-Biernackiego¹⁾.

W nieszczęsny Lasek Polski tłuką bez przerwy granaty. Ściągaliśmy już do ganku, gdy wracał stamtąd porucznik Niłski-Łapiński²⁾. Wyglądał strasznie. Miast twarzy — szara maska stwardniałą oblepioną warstwą kurzu, ziemi i potu. Spękane, czarne usta, oczy w niesamowitej gorączce, munduru na nim nie znać zupełnie...

Powoli dźwigamy się drugą linją do Łasku Saperskiego, gdzie stoi nasz tabor bojowy. W prostej linji jest to ze dwa kilometry, a okopami i gankami będzie pięć.

Żółty piach ganków obsadził już 1 pułk. Przechodzimy wśród nich milczący, spokojni, nieco dumni, a oni patrzą na nas z pełnym szacunkiem. Boć tyle, cośmy piątacy przeszli w tych dniach nikt jeszcze z Brygady nie przeżył.

Dłuży się droga w płytkich gankach. Gonią za nami w ślad dymki szrapnelowe, gdyż „captiv“ już spostrzegł nasze przesuwanie. Po 7-ej nad wieczorem zaszliśmy do Łasku Saperskiego. Ściągaliśmy grupkami zmordowani docna, wyczerpani bitwą, ogniem, spiekotą, bessennością. Coraz to w drodze mdlał któryś z żołnierzy, szczególnie z 1 i 2 kompanji, które siedziały w samym Łasku Polskim pod ciężkim ogniem, w płytkich okopach. W Saperskim Łasku jest już część bataljonu II. Spotykam Pannenkę i pytam

¹⁾ Obecnie generał brygady.

²⁾ Zmarł w 1925 r. jako podpułkownik.

jakie u nich straty! Chwyta się za głowę, wystękując: Tunguz, Koneczny, Styczyński!...

I mówić chciał dalej, lecz bez słowa odchodzę. Nie chcę słuchać, nie mogę!

Zbiórka. Składamy broń w kozły i przedewszystkiem zaczynamy się myć! Po jakim takim umyciu — zaraz obiad, lecz nawet nie skończyliśmy go jeść, gdy już w lasku roznosi się długi świst kul! Z Polskiego Lasku dochodzi zapamiętałe trajkotanie maszynek i porywisty gruchot karabinowego ognia. Co chwilę zrywa się ogromne, przeciągłe uurra, uurra!!!

II bataljon i 1 pułk cofają się — front drugiej linii przełamany; Austriacy znów na skrzydle zwiali.

Natychmiast piorunem rozwijamy się nad brzegiem lasku, wzdłuż ściany wysokich sosen. Powoli już ściągają pierwsi zwiastuni odwrotu. Spokojnie, podpierając się szablą, idzie Berbecki, otoczony swoimi sierżantami, za nim w pelerynie rozwianej — Wyrwa.

Jakaś kompanja II bataljonu rozwija się od nas na prawo. Słychać donośny, lecz chrapliwy i zmieniony do niepoznania głos Wyrwy, wydającego dyspozycje.

— Rozwinęliśmy się i padli. Prawdopodobnie będziemy osłaniać odwrót.

Od drugiej linii, jak paciorki rozsypane, zbliżają się tyraljerskie linje. Ciągły ogień i krzyki polatują od nich. W pewnej chwili, z pod Lasku Polskiego wyrznęły w górę wysoko dwa słupy ognia i w szarzącym już dniu widać, jak stamtąd galopem pędzą artylerzyści. Wyszadzili baterję i jaszczyki, gdy już waliła się na nich tyraljera moskiewska, a sami wieją na łeb na szyję ku nam przez pola.

Z lewej strony od ciemnego tła leśnego nieustanny dochodzi ogień i nieustanne wycie moskiewskich rot!

Tam 1 pułk i III Brygada osłaniała odwrót...

Za chwilę znów zbiórka — inne dyspozycje. Maszerujemy wtył kompanjami w odstępach 100 kroków, na most do Nowej Rarańczy. Początkowo kolumną, lecz gdy ostre świsty kul docierają gęściej, zjadliwiej — rozwijamy się w dwurząd.

Zapadła mrok. Maszerujemy pagórkowatym, piaszczystym terenem, porośłym rzadka jałowcem. Za nami goni ciągle, nieustannie rosyjskie urra!

Mrok coraz gęstniał, aż zapadła noc. Urwały się raptownie piaski, jałowce przeszły w krze wilgotne, w olszynki szelestne, pachnące rzeźwe łąki. Przez szeroką bagnistą łąkę prowadzi długi

most — grobla Garbachu. Głucho dudnią pod setkami stóp brunatne okrągłaki. Zewsząd wloką się maruderzy, pozapóźniami, ranni, wśród których ciągnie scharataną nogę, sierżant Ruszczyc. Świst kul już nie dochodzi, natomiast w tyle za nami krwawi i zalewa niebo purpura łuny, tłucze się nieustanny gruchot karabinów i rozlewne przeciągłe urra!!!

Noc jeszcze ciemniejsza zapadła, gdy ogarnął nas oddechem swym bór głęboki. Jakiś oddział 6 pułku obsadza za groblą świetnie maskowaną linję. Podoficerowie wyznaczają miejsca i strzelnice nieraz z groźbą na ustach, gdyż wiara odwrotem już zdemoralizowana.

Za tą ostatnią linją obronną, dźwigamy się ciągle przez piachy leśnej drogi. Pułk maszeruje w głuchem milczeniu i zmordowaniu docna, nad miarę ludzką utrudzony.

Miejscami, gdy droga leśna wbija się nagle w wilgotne bagna mostem wysokim, a po bokach czernią kałuże wody, wiara wypada z szeregu i rękoma, czapkami chłepce wstrętą, bagnistą wodę. Późno sanitariusze krzyczą, grożą, klną na czem świat stoi. Nikt nie słucha...

Przechodzimy obok jakichś zabudowań, willi leśnych, zagród żołnierskich. Kierunek mamy na Nową Rarańczę — tam nocleg.

Późno już w noc rozkwaterowaliśmy się w długiej, ogromnej szopie i jak kamienie walimy się na ziemię.

6 lipiec. Odwrót na Konskoje i Pieriekriestje. — Spaliśmy raptem dwie godziny. O 2-ej pobudka. Wstajemy ledwie żywi, chwiejący się na nogach.

Świt zaledwie bielił wierzchołki drzew, gdyśmy opuścili Nową Rarańczę, kierując się na Nowy Jastków, — siedzibę czwartaków. Tam stoi kilka pułków, jest i Komenda Brygady. Oglądamy ze zdumieniem wspaniałe zabudowania czwartego pułku. Olbrzymie okna, wysokie, sklepione sale, widne i szerokie.

Dziesięciu ludzi maszeruje z Kocem wtył dla nawiązania łączności z 1 pułkiem, reszta zwała się na bartogi. Skwapliwie się wiara zaopatruje w rynsztunek, którego stopy leżą w magazynach. W przebijaniu z Góry ku Polskiemu Laskowi chłopcy porzucali wszystkie swoje rzeczy. Ja swój tornister z notatkami przyturgąłem, porozdawałem tylko trochę bielizny i konserw. Papiery oddałem Zygmunutowi Chabowskiemu, który wczoraj został odesłany do sanitariatu, gdyż po owej kilkogodzinnej kąpieli w bagnie trzęsie nim ustawicznie febra.

W Nowym Jastkowie śpimy do 2-ej po południu. Natychmiast

po obiedzie zbiórka. Nie ruszamy jeszcze, lecz pułk w pełnem pogotowiu. O jakieś 2 — 3 km słychać ostrą strzelaninę.

Noc z 6 na 7 lipca. Marsz na Czerewachę. — Wydostałem Reformę z 4-go lipca. Ofensywa koalicji na wszystkich frontach, na flandryjskim szalona. Z drugiej strony Niemcy poszli naprzód pod Łuckiem i stoją o 4 km. od miasta. Walki tam ostre, zażarte.

Podobno nasz odcinek legjonowy atakował cały korpus rosyjski, a na odcinek naszego bataljonu, jedna dywizja. Zupełnie to możliwe. Wszak oni nas zalewali masą, liczbą, na Polską Górę i w okopy pchali się kolumnami. Co tam były za masy, co za masy!...

O 3-ej odmarsz na Legjonowo. Kawalerja rosyjska musi być tuż za nami, bo ułani nasi kręcą się jak w ukropie. Coraz to dopada jakiś z pokrwawioną łapą lub pobitemi końmi.

Do Legjonowa rwaliśmy gwałtownym marszem. Zawraca stamtąd pluton kawalerji prowadzony przez Bronka Wojciechowskiego¹⁾ i zanurza się w las drogą do Wołczka, na Nową Rarańczę. Nie upłynęło 10 minut a już posypały się stamtąd gęste strzały.

Moskale w Nowej Rarańczy już są.

Berbecki daje dyspozycje Narbutowi. Jeżeli się będziemy cofali na Komskoje — ubezpieczenie wystawia II bataljon, jeżeli na Pieriekriestje — I.

Za chwilę przypadają zgrzani, spoceni ułani, prowadząc za uzdy kilka rosyjskich, dragońskich koni.

Odwrót na Komskoje. Przepuszczamy obok tabory austriackie, galopem pędzące, sami zaś maszerujemy tą samą drogą, którąśmy przyszli z pod Jezierec do Kostjuchnowki.

Las pełen żywicznych tchnień, bujnych i mocnych. W Komskoje mijają nas 4 i 6 pułk, jakieś oddziały okopują się na brzegu lasu. Roja żywo rozmawia z Berbeckim, wiara z 4 pułku wesóło i ochoczo, rażąco się odbija od naszych zmęczonych i przygnębionych twarzy.

Do wieczora owego trzeciego dnia maszerowaliśmy bez przerwy. Na polanie Pieriekriestja zbiórki wszystkich niewalczących w tej chwili oddziałów. Jest Komendant ze sztabem, pułki przeciągają z różnym śpiewem. Zarazili nas swą beztroską, więc i my ryknęliśmy „Strzelca“, na co wiara z tamtych pułków z pod oka patrzyła, bo już sądzili, że piąty pułk jest całkiem do niczego.

O szarym zmroku, cichym, ciepłym wieczorem stajemy biwakiem na jakiejś polanie. Kompanja nasza służbowa, wystawia więc

¹⁾ Obecnie rotmistrz rezerwy, poseł na Sejm.

placówkę z 8 ludzi na drodze do Gałuzji. Tymczasem czekamy na kuchnię, po którą już pogalopował porucznik Borek.

Lecz nie zdążyliśmy nawet rozbić namiotów. I tej nocy spokój nie dla nas był przeznaczony. Coś o 10-ej krzyczy zdaleka, z pod dębu, Berbecki do Narbutta: kapitanie Narbutt, maszerujemy dalej!

Zwijamy się szybko, gdy zatrząśł się nagle las od bliskiej salwy karabinowej. Natychmiast rozwija się nasza kompanja w linję, a reszta pułku śpiesznie kieruje się na drogę.

Od strony Gałuzji, tuż, tuż dochodzi gwar głosów i gęsta strzelanina. Posuwamy się nieco naprzód, oczekując aż cały bataljon i pułk wejdzie na drogę, prowadzącą do młyna na Czerewasze.

Gwiazdy poczynają już błyskać na granacie nieba, górą przez las idzie głęboki poszum. Ciszę nocy zrzadka przerywają strzały manlicherowskie i od czasu do czasu donośne rzenie koni przebija się przez las.

Łącznik wysłany do Narbutta melduje, że bataljon odmaszerował. W tył zwrot — rozwiniętym do drogi — później dwurząd wtył, w prawo zwrot i dołączamy do kolumny, wystawiając tylne ubezpieczenia.

Na ubezpieczeniu jestem z sekcją Pachonńskiego Kazika, później przychodzi Styk.

Marsz w głuchej, dzwoniącej w uszach ciszy. Zda się, że słyszysz bijące tętno krwi, łomot serca tysiąca ludzi. Noc pełna, głęboka. Przed nami jednostajny chrzęst rynsztunku, głęboki oddech kolumny piechoty, za nami — cisza śmiertelna.

Chwilami kolumna tak się kołysze, tak rozpędza, że przechodzimy prawie w bieg, a przez kolumnę przechodzi wówczas coś jak jęk, jak stękanie rannego, śmiertelnie znużonego zwierzęcia. Postoje krótkie, jakby kradzione, po 5 — 8 minut, a ledwie osadzi się kolumna, zwala się na ziemię żołnierz bez tchu w piersiach i w moment usypia. Lecz ciche słowo, szept podawany z ust do ust o zbiórce — porywa na nogi wszystkich. I kilometry za kilometrami zapadały się za nami w mroczny las, chrzęścił jeno piasek chybki pod nogami, tak szalony, tak wściekły, tak nieludzki był ten marsz.

W pewnej chwili stajemy. Kolumna od czoła zawraca. Na przedzie Berbecki, Wyrwa, ordynansi, konie. „Otyż, obywatele — słyhać głos Berbeckiego — mapa się skończyła i poszliśmy za daleko. Musimy kilometr zawrócić“... Zawracamy — sztab idzie na przedzie.

Maszerujemy tak jeszcze z 10 minut. Zmordowanie już takie na żołnierza przyszło ostatnie, że śpi — idąc.

Świt. Bieleją szczyty drzew, szarzeje noc. Wstaje dzień 7 lipca.

W pewnej chwili przeleciał jakby wiew przez drogę, przez kolumny... Z przodu dochodzi jakiś głos.

Ocknął się nieco żołnierz.

Nagle z szarzyzny nocy, z głębi leśnej drogi, jak piorun nagły w twarz uderzyła salwa jedna, druga...

Rozniosły się błyski z łuf na wszystkie strony, zakotłowała, stłamsiła się kolumna...

Poczęły gnać naoslep konie sztabowe, w bok na polanę...

Iskrami tłuc po kamieniach poczęły kule.

Krzyk, wrzawa, wołanie...

Krótko, jak sen straszny trwało bezlitosne zamieszanie, lecz za moment już tyraljera jedna za drugą maszeruje wprzód.

Z krzykiem oficerowie gromadzą oddziały.

Z jęków, z krzyków — dochodził jakiś bolesny głos — wołanie:

Tam na przedzie... pułkownik ranny... major zabity...

Skoczył podporucznik Koc z Drożdżem i Papierskim. Pułkownika rannego dźwigali już żołnierze na celcie, a do majora Wyrwy dopadł Koc.

Zastał już trupa... Z wielkiej, otwartej rany na piersi waliła krew. Serce ucichło...

Zamknął podporucznik oczy majorowi, ziemią je przysypał, ostatnie szczątki — papiery zabrał ze sobą — i za kolumną ruszył.

Kolumna już w lewo się rozwinęła i linjami tyraljerskimi maszeruje przez polanę. Prowadzi kapitan Narbutt.

Dzień już pełny. Tyraljery szły ociężale, pochylone, zrezygnowane... Znikąd nie padło słowo, znikąd nawet przekleństwo...

Po chwili Koc wziął pluton do Berbeckiego. Podpułkownik zmieniony bardzo, z opadniętymi wąsami, przybladły. Zobaczywszy nas, słabym głosem podawać zaczął przebieg zasadzki: ot szliśmy na przedzie, widzimy 5 jeźdźców, pytam kto tam, a oni mówią — swoi... I salwę dali, pięciu ludzi, głupi patrol...

Staramy się rozerwać rannego siłąc się na słowa pociechy, lecz wzruszenie ściska gardziel, jak zębami.

Pułkownik mówi o Czerewasze. Żebyśmy tylko tam do młyna doszli. Czemuż ten Narbutt tak pędzi, pyta słabo dalej — bo tyraljery odsadziły się od nas i wsiąkły w las.

I wlekliśmy się tak noga za nogą ze dwie godziny. Znikąd nadziei, znikąd pomocy, sami wśród szumiącego lasu, z rannym pułkownikiem...

Ciężki, okrutny żal wpił się w piersi... Bez nadziei, z zupełną rezygnacją maszeruje orszak.

Odganiana żołnierz myśl natrętą.

Bo przecież został tam na polanie Wyrwa. Major Wyrwa, śmiech i radość żołnierskiego życia, pyszniąca się duma Brygady, chwała słoneczna pułku.



Mjr. Wyrwa-Furgalski
d-ca II baonu 5 p. p. Leg.

A tu na celcie, na płótnie namiotowym komendant „zuchowatych“, zbaczony krwią, podpułkownik Berbecki.

Nie myśleć, nie myśleć...

Nadleciał wreszcie, w tętnie rozgłośnym szwadron z Beliną na czele. Pognali w las po ciało majora.

Wstąpiła w serca nadzieja. Dojdziemy wreszcie dokądś.

Zajechał wreszcie wóz i dr. Kaplicki. Wiara głęboko odetchnęła.

I tak doszliśmy do młyna na Czerewasze. Łąki wielkie, aleja, chałupa nieco, grobla szeroka.

Stoi Komendant przed chałupą na drodze. Patrzy się, przygląda z pod wielkich brwi...

Ożyła znagła kolumna, jakby prąd przez nią przeszedł.

— Równać w czwórki, kryć — ciskają się zeicha komendy i kolumna hardo głowę podnosi, mocno znacząc krok, jak na paradzie, jak na mustrze... Nie zmęczona przecież...

Dziadek się smutnie uśmiecha. Objęły nas dobre, siwe oczy i płynnie pytanie — bardzoście chłopcy pomęczeni?...

— Ej, niebardzo! — pada odpowiedź z kolumny, i sprzeciw się zrywa, że nie, że nie!...

Na drodze otoczonej wokół ogromnemi łąkami, porośniętej ze stron obu olszynką i topolami — krótki, półgodzinny postój.

Zeczem znów marsz dalej, do Trojanówki.

Stanęliśmy tam o godzinie 8-ej rano. We wsi Austrjacy, Prusacy, tabory, artylerja.

Mamy maszerować na Wielki Obzyr i tam na Stochodzie zająć odcinek. Czeka nas jeszcze 25 kilometrów marszu. Za wsią rozłożyliśmy się. Mamy postój trzygodzinny, więc wiara się myje, odświeża, a potem spać, za wszelką cenę spać!!!...

W południe marsz dalej, lecz nie na Obzyr, a przez Czersk na Smolary. 1 pułk, bataljony V i VI zostają w tyle.

Tuż za Trojanówką, gdyśmy zaledwie kilometr uszli po szerokiej piaszczystej drodze — ni stąd ni zowąd rozpoczął się nagle szalony popłoch, wśród ciągnącej obok długiej kolumny taborów i artylerji austrjackiej. Gdzieś za Trojanówką pękł jeden i drugi szrapnel i naraz wszystkie tabory poczęły na łeb na szyję gnać przed siebie.

Bataljon II, który maszerował za nami w tyle, w jednej chwili przez „popłoch“ ten został roztracony. Dwa działa wpadły im pełnym galopem w kolumnę. Jak burza poczęli przelatywać na koniach oficerowie, wozy amunicyjne, armaty, wozy taborowe, oddziały karabinów maszynowych, przewracając się, gniotąc, tratując nawzajem.

Wnet ostra komenda Narbutta rozległa się w kolumnie: „Bagnet na broń“, wnet lufy karabinów zwrócone na oficerów austrjackich i pruskich zaczęły nieco hamować ucieczkę.

Odgrodziliśmy się murem bagnetów i kolb, by za nic w świecie nie pozwolić rozbić sobie kolumny. Bagnetem i kolbą walić drani!!!

A oficerowie nasi z kłatwami rzucili się ku Austrjakom. Porucznik Rokita-Maksymowicz, że mu ten popłoch roztratował poprostu całą kompanję, jak żbik rzucił się do pyska rozhukanego konia jakiegoś „rittmeistra“ od artylerji, a samemu przystawił lufę do łba.

Halt, halt — do budy dziady!...

Lecz popłoch jak na chwilę uspokoił się, tak za chwilę znów zerwał się dziki, niepowstrzymany.

Widziałeś całe szwadrony kawalerzystów, huzarów, ulanów, z rozwianymi kożuszkami pędzących na łeb, na szyję, bez pamięci. Rozszalałe konie z rozdętymi chrapami, wygwiazdkowani, świetni oficerowie, w bezmyślnym popłochu, rzucający szable, przepyszne lornety, broń ręczną, pistolety, teczki...

Z jaszczyków artyleryjskich wylały się skrzynki amunicji, granaty, szrapnele, które rośli artylerzyści, stojąc na wózkach rzucali z całym rozmachem, taboryci wywalali wózki z jęczmieniem, owsem, sucharami — a wszystko to w pełnym, rozhukanym pędzie.

Wreszcie fala roztrącając wszystko minęła — jak minie nagle wściekła burza i gdzieś pod lasem zaczęła się uspakajać. Za nią, znów nadbiegła druga, trzecia, czwarta fala...

Zaczęliśmy śpiewać.

Spokojna, zwarta kolumna, najeżona bagnetem, śpiew tęgi, rozgłosny — robi wreszcie swoje. Artylerzyści, kawalerja poczynają żdzierać, hamować konie — popłoch ustaje. Do jadącego na przedzie spokojnie Narbutta, sadząc krótkiego galopa, dopada jakiś pruski oficer. Coś mówi, coś gratuluje, salutuje, wreszcie wyciąga dłoń.

A Narbutt powoli kładzie rękę do kieszeni.

Na drodze pobojowisko. Tak popłoch chyba gnał ludzi z Pompei i Herkulanum. Tylko tam na drodze nie leżały stosami mapy sztabowe, z pozycjami oznaczonymi na Stochodzie, aparaty telefoniczne, Zeissy, lunety, konserwy, owies, ryż i granaty.

Doszlśmy wreszcie do Czerska. Słońce zaczęło już krwawić wierzchołki drzew, gdy wparliśmy nogi w piach leśnej drogi nad Stochodem. Gdy się roztoczył przed nami szeroki szmat zielonych łąk Stochodu — uczuliśmy głęboką ulgę.

Tu wreszcie staniemy.

Przyczółek mostowy, obsadzony przez pruską piechotę, okopany na drodze 78 regiment. Przechodzimy przez most.

Dziwię się tylko, że nie widać nigdzie na zielonym tle łąk czarnej linii okopów. Dopiero gdyśmy przeszli most okazało się, iż okopy są i to wspaniałe. Ryte jeszcze przed zimą, zarosłe trawą, tak że na 20 kroków niktby ich nie rozpoznał. Odrutowanie imponujące.

Smolary nie wiele się zmieniły od czasu ostatniego w nich naszego pobytu, t. j. od jesieni. Wśród białych chałup jaskrawo się odrzynają kiecki rusinek, dawno niewidzianych kobiet...

Stajemy biwakiem za wsią — a później długie obgadywanie mimo zmęczenia, przebytych wrażeń. Styk objął dziś bataljon.

Teraz dopiero dowiadujemy się o najrozmaitszych sprawach, które w tych dniach krwawych miały miejsce. II Brygada, która 5-go, była się pod Wołczkiem, ucierpiała ponoć okropnie, głównie z winy Kittnera, na którego wszyscy sobaczą, jak na ostatniego. Podobno mimo rozkazu Fhatta, przetrzymał on 3 pułk kilka godzin na pozycji, przez co pułk został otoczony. Kittner ma być za to oddany pod sąd, gdyż nie tylko bolesne straty poniósł 3-ci pułk, ale i mnóstwo ludzi wraz z Minkiewiczem dostało się do niewoli.

8 lipiec. *Smolary nad Stochodem*. — Nareszcie wypaliliśmy się. Po tylu trudach nocnych i dziennych, po tylu nocach nieprzespanych, minęła wreszcie jedna noc spokojnie.

Pierwsze, ogromne zmęczenie już przeszło. Zostało tylko wielkie osłabienie, lecz kilka dni odpoczynku, dobrego podkarmienia, a i to przejdzie. Pluton mój (Koc objął kompanję) liczy obecnie 19 ludzi, 17-tu nas zostało z ogólnej liczby 29-ciu z pod Kostjuchnówki. Wczoraj dostaliśmy dwu z oddziału wywiadowczego, w którym swego czasu był Edek: kaprała Zawartkę i szeregowca Lachura.

Kompanje nasze w bataljonie liczą przeciętnie po 50 — 60 ludzi, ubyło więc w ostatnich 3-ch dniach połowę stanu. Spora liczba jednak przypada na rozproszonych, których już dzisiaj do bataljonu, przybyło 26-ciu. Szczególnie dużo rozproszonych ma II-gi bataljon, któremu ogień huraganowy w Lasku Polskim dał dziwną szkołę. Granaty waliły tam w ziemianki, rozbijały na mięso całe plutony, a wiara nie miała gdzie uciec, gdyż schronów betonowych nie było. Wogóle straty tam są okropne i to szczególnie w oficerach. Z pułków legjonowych najcięższe straty poniósł 5, po nim 2 i 3, najlepiej stosunkowo wyszli czwartacy Roji, 1 i 6 pułk.

ZNÓW NAD STOCHODEM.

9 lipiec. *Las pod Smolarami*. — Wczoraj wieczorem zerwał się silny wiatr, burza i deszcz, więc kompanja nasza wypożyczywszy płótna namiotowe 5-ej — sama pomaszerowała do chałup, na drugi koniec wsi. Spaliśmy tam zaledwie 2 godziny, gdy o szarzejącym świetle zerwała nas pobudka. Maszerować mamy do Cerkiewki i zająć tam przed dniem, gdyż droga ze Smolar odkryta zupełnie.

Białe mgły i opary podnosiły się szerokimi tumanami z łąk i moczarów. Maszerujemy 3 kilometry do lasu na zachód od Smo-

lar i tam stajemy. Nikomu nie wolno wychodzić poza las, gdyż widoczny jest on dla obserwatorów moskiewskich. W gęstym, podzitym lesie staje cała Brygada.

Las wilgotny, przesycony surowym chłodem od wczorajszego jeszcze deszczu i od porannych mgieł. Żołnierze krzątają się koło posłań, zbierając gałęzie, gdyż ani celt, ani płaszców nikt prawie nie ma.

Spaliśmy do południa. Brygada jest w rezerwie i wieczorem mamy odmaszerować do Czeremoszna, wsi oddalonej o 10 kilometrów, gdzie stanąć mamy jako rezerwa armji.

Zmrok zapadał, lecz o wymarszu jakoś nie słyhać, choć spakowani jesteście zupełnie. Pozbijana w gromadki wiara gwarzy o ostatnich walkach. I pułk, oraz V i VI bataljon, skandalicznie ponoć stłukły jedenaście szwadronów kawalerji rosyjskiej, które ławą atakowały groble na Garbachu. Wysieczono ich karabinami maszynowymi do nogi. Beliniacy też trochę oberwali, ale nie bardzo.

Berbecki będzie żył. Wczoraj krążyły niepokojące wieści o stanie jego zdrowia, a nawet, że już skończył. Na szczęście okazało się to nieprawdą. Czuje się ponoć dobrze, gorączki niema, załatwia pułkowe sprawy, choć rany ma ciężkie. Płuco jedno scharatanie na fest. Dzisiaj odjeżdża do szpitala z dr. Kaplickim, który otrzymał rozkaz nieodstępowania pułkownika ani na chwilę.

10 lipiec. Las pod Smolarami — Czeremoszno. — Rankiem opuszczamy biwak i początkowo lasem, a później polną drogą — marsz do Cerkiewki a stąd do Czeremoszna. Tam mamy stać jako rezerwa. Okrutnie słaba jest ta nadzieja spokojnej rezerwy, gdyż Hauerowi już podobno przełamali na północy front. Poszły tam dwie brygady niemieckie, lecz czy dadzą radę — niewiadomo.

W 3 godziny powolnym marszem zrobiliśmy zaledwie 10 kilometrów dzielących nas od Czeremoszna, gdzie stanęliśmy biwakiem.

Jedno pragnienie ożywia nas wszystkich! Spoczynku, spoczynku i spokoju! Wyleżeć się kilka dni, odżywić, uspokoić nerwy!

W Czeremosznie będziemy mogli wypocząć. Rozkwaterowały się tu wszystkie brygady. Komenda Legjonów, artylerja i konnica. Po raz pierwszy jak istnieją Legjony, są wszystkie trzy brygady razem, na jednym miejscu.

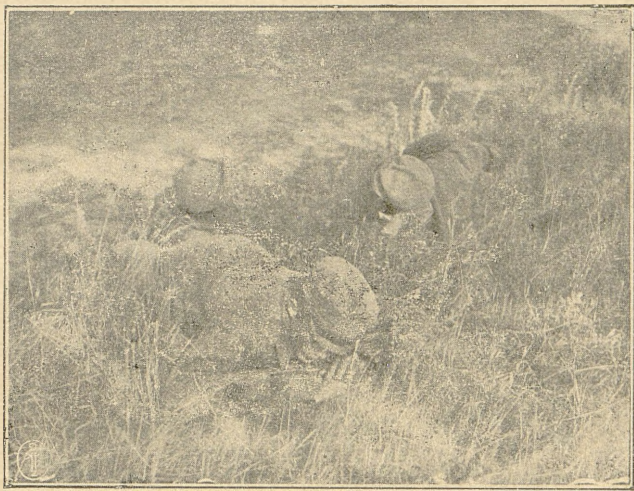
Dostaliśmy dzisiaj gazety z 9-go lipca. W komunikacie Hoefera napisano: Dzięki atakowi Niemców pod Kolkami i pełnemu ofiarności stanowisku Legjonów, ruch odwrotny wykonano w zupełnym porządku.

Jak ten porządek wśród austryjaków wyglądał, szczególnie na drodze z Trojanówki do Czerska, moglibyśmy coś o tem powiedzieć.

11 lipiec. Czeremoszno. — Wszystkie oddziały legionowe przydzielone są do korpusu bawarskiego. Postokroć lepiej jest być w linji, niż w rezerwie austriackiej a w dodatku głębokiej.

Haller objął Brygadę po Kittnerze. Lecz Kittner nie wyleciał wskutek żądań z 1-go lipca, lecz wskutek podania się do dymisji.

Jako powód podał brak celowości w kierownictwie i użyciu bojowem jego brygady. Widocznie musieli mu strasznie nasobaczyć i wymóc na nim tę dymisję. Grzesicki jest i prawdopodobnie zostanie.



Na krótkim postoju.

Ponoć w Kowlu i Lublinie jest sporo naszych łazików, którzy się w odwrocie rozpierzchli i zagarowali jako szpica do Lublina! Morowa kolumna — szpica w Lublinie, a ubezpieczenie tylne w Kijowie...

Dzień mamy pogodny, słoneczny, wesoły. Orkiestra przygrywa przez cały dzień i to koncertowo. Zmęczenie powoli mija, humor wraca, rozbrzmiewa już wesoły śmiech.

12 lipiec. Czeremoszno. — Dziś piszę, piszę, piszę — drobnym maczkiem zasnuwam stronicę pamiętnika. Ostatnie wrażenia mającą mi ciągle w duszy. Tych kilka dni przeżyć, walk Kostjuchnówki, odwrotu — widzę w oczach jakby na odbitce fotograficznej. Nie chcą mi te obrazy niknąć, żyję nimi, na nowo prze-

żywam. Choć na ostatnie dni poszło kilkanaście zapisanych stron. Jeszcze jednak brzmi to wszystko lakonicznie, krótko. Nie wyczerpałem ani połowy tego com widział, com przeżył. Jakże straszliwa, a jednak prosta była ta chwila, kiedy Moskał o dwa kroki z trawersu mierzył do mnie. Żadnego zdziwienia, przestachu, czy też padnięcia do ziemi... Nie — tylko gdy czarny otwór lufy ujrzałem przed oczyma, machnąłem ręką w duszy i przez świadomość przemknęło mi jedno, jedyne słowo, prawie w tej chwili bezmyślne: śmierć!

Jakże mechanicznie, bezdusznie znalazłem się przy mostku. Jedyne błysk uczucia, świadomości, to sekundowy błysk radości, gdy ujrzałem — tyraljerę...

Poza tem nic... Biłem w kupę Moskali o 20 kroków, biłem w żywą, ruchliwą masę z kompletną bezmyślnością. Jedyne przeblaski świadomości były chwile, gdy myślałem o ogólnej sytuacji. I tak, gdyśmy wycofali się na mostek, przebiegła szybko myśl: Tu nam dadzą łupnia!... I wytworzył się obraz stojących kilkunastu Moskali na mostku i wybijających nas salwami! Tymczasem stało się inaczej... Moskale szli za nami mostkiem taką samą bezmyślną bandą, jaką myśmy wyczerpani, wymordowani — przebijaniem — cofali się.

Albo to pierwsze wrażenie, gdy z okopów dopadłem do cofającego się bataljonu i gdy ujrzałem Narbutta z białym brauningiem w ręku, zmienionego do niepoznania, z dziko natchnioną twarzą, wołającego do kontrataku. To pierwsze zdziwienie, skąd się tu Narbut wziął, skoro miał być w 6 pułku i ten pierwszy odruch bezwzględного zaufania, który się odbił w słowach: „O Narbutt, dobrze jest!...“ I klęknąłem przy nim bijąc bez słowa w kupę Moskali...

Albo ten moment, gdy po zajęciu drugiej linii w Lasku Polskim wdarli się znów Moskale. Skok w tył, skok z powrotem do okopów — i ogień, ogień, ogień... Biłem magazynkę za magazynką. W pewnej chwili, gdy chciałem zarepetować, palce nagle chwycił skurecz. Ładujcie — krzyknąłem prawie z rozpaczą do Sulkiewicza, który zczerniał, bez tchu, z opadniętą twarzą, z zamkniętymi oczyma wsparł się o okop. Nie miał karabina, który gdzieś w bagnie zgubił — więc chwycił mój sztucer i trzasnął zamkiem. Tarłem palce z wściekłością, z pasją, aż życie do nich wróciło. Chwyciłem, dałem strzał — i znów skurecz. Jasna cholera! Bezsilna wściekłość! Prawa dłoń, czarna, nabrzmiała, nabita — bom bijąc na Górze przez te dwie godziny, nie chwycił gałki dłonią — jenom uderzał i rozbiłem łapę docna. I tak ta walka ze skureczem mięśni

po każdym strzale trwała przez cały czas, a ja myślałem, że w ziemię się wkopię z rozpaczy co będzie, gdy staną dżanie tuż, a ja mam krótki sztucerek, którym po strzale nie mogę zarepetować...

Te chwile były straszne i na nie najżywiej reagowałem. Moment rozbrojenia, moment poczucia, że ma się w ręku kawał kija, a nie karabin, był najcięższy...

Tyle wrażeń, taka moc ich, że dopiero teraz wyławiam je, rozkładałam w swej świadomości, porządkuję...

Na zbiórce odczytał Styk rozkaz dzienny Komendanta. Dziękował nam, 5-mu pułkowi za naszą obronę, I i II bataljonom, oficerom i żołnierzom. Walki te nazwał najcięższymi, jakie dotąd były w historii bojów naszej Brygady. Wiele słów poświęcił Wyrwie, natomiast o Sławie nic, co zrobiło na nas przykre, bolesne wrażenie.

Władek Rusin, jeden na cały bataljon, dostał dziś nominację na podporucznika. Słusznie mu się to należało.

13 lipiec. Czeremoszno. — Ruch dzisiaj w Czeremosznie spory. Przybył transport uzupełnienia, coś koło 1000 chłopów, a w najbliższych dniach ma nadejść drugi taki sam, czy nawet większy. Brygada nasza dostała tylko starych swoich żołnierzy, dwie kompanie rekrutów poszły do II Brygady. Pluton nasz jednak i tak jako tako się podreperował.

Mamy ponoć jutro wymaszerować do Karasina i do jakiejś wsi o 10 kilometrów na północ od Czeremoszna. Tam mamy stać jako rezerwa korpusu Hauera. Wiara zła, gdyż Hauerowi napewno mochy dziurę zrobią—pod Hulewiczami już durknieli Fhatta, lecz rezerwy pruskie podbiegły w sam czas, a Fhatt natychmiast poszedł w „duraki“. Wogóle rezerw niemieckich tu ściągają sporo. Młody żołnierz, który nie wahał jeszcze prochu, lecz Prusacy chcą za wszelką cenę zatrzymać linię Stochodu. I dla nas to ma ogromne znaczenie. Im dalej na zachód nas Moskale odeprą, tem sytuacja polityczna staje się gorsza, tem gra na „polskiego konia“ mniej aktualna...

Komendant niezmordowanie kontynuuje ofensywę. Wpływ jego wzrasta z każdym dniem. W najbliższym czasie udać się ma deputacja z Rady Narodowej do Wiednia i Berlina, a Komendant wielkim głosem woła do wszystkich stronnictw: Żądajcie, by się państwa centralne wypowiedziały w naszej sprawie! Żądajcie!

14 lipiec. Czeremoszno. — Głowy pracują. Po ostatniej bitwie, bitwie jedynej w swoim rodzaju, zbierają w pułku, bataljonach, kompaniach wszelkie dane, by na ich podstawie mieć nowe wzory

praktyczne, nowe punkty obrony. W kompanji Styk, który dużo pracuje nad wojskowością, wydał ankietę do podoficerów.

Pierwszy raz od początku wojny spotkały się wszystkie trzy brygady, i stoją w zgodzie w jednej wsi, w Czeremosznie, naówczas stolicy Polski wojującej. Stoi tu Komenda Legjonów, stoją dwa pułki kawalerji, pułk artylerji polnej i ciężkie haubice — jednym słowem wedle naczelnego hasła Konferencji Pokojowej „Legjoniści wszystkich krajów są złączeni“. I jak trzy brygady nie widząc się razem podczas wojny, zebrały się tutaj, tak i czterej łodzianie, bracia Plackowscy, od początku wojny pierwszy raz ujrzeli się w Czeremosznie.

15 lipiec. Czeremoszno. — O 5-ej rano pobudka. Wstajemy, ociężałe, powieki zawiera sen, niewyspanie srogie. O 6-ej zbiórka bataljonu w pełnym rynsztunku, przegląd przez Narbutta i dyspozycje dla oficerów. Mamy dzisiaj przegląd i defiladę przed niemieckim jenerałem Bernhardim. O 8-ej zbiera się cały pułk i marsz na wzgórze za Czeremoszno. Wśród sfalowanego, zielenią zbóż pokrytego pola, ciągną już siwe węże kolumn.

Dzień słoneczny. Lekkie chmurki żeglują po błękitie nieba, z pół dobiegają rzeźwe zapachy i chrzęstny szum maszerujących wojsk.

Wzdłuż drogi do Karasina wyciągnęły się trzy brygady, przy lewem skrzydle — kawalerja i artylerja. Linja prosta, równa, pod sznur. Na prawych skrzydłach brygad, brygadjerowie konno, przed naszą Komendant, przy II na gisawej szkapie — wyprostowany, sztywny Haller, na skrzydle III jenerał Grzesicki — czerwony, napuchnięty, z bielmem faworytów, jaskrawo odbijający swemi lampasami, gwiazdkami i świecidłem blaszek od Komendanta i Hallera, przybranych w proste, bez odznak żadnych mundur. Wzdłuż wyciągniętego, ginącego gdzieś w dali siwego muru żołnierskich piersi, ciemnymi plamami swych koni znaczą linję bataljonów na 30 kroków stojący przed swemi oddziałami — ich komendanci. Na prawych skrzydłach pułków — pułkownicy, adjutanci... Przed frontem raz po raz z tętentem, chrzęstem i parskaniem koni galopują oficerowie.

Wokół Komendanta kręci się na koniach rój świetnych adjutantów. Ogromny Wieniawa-Długoszowski z białemi akselbantami, w skórzanych sztywnych rękawicach, wielosłowny Kaden-Bandrowski i ściągły, wysmukły Stachiewicz ¹⁾, brat Styka. Jak wiatr na swym pysznym arabie rwie przez pole Belina.

1) Kpt. Julian Stachiewicz, obecnie gen. bryg., szef Wojskowego Biura Historycznego.

Lecz kawalerja nie cieszy dziś oczu pychą, linją wspaniałą swych barw. Wysokie czeka gdzieś w taborach, w rezerwie, purpura wyłogów opięta guzikiem pod szyję, na głowach skromne maciejówki.

Nadjechał Puchalski. Ostro sadził na swym świetnym gniodszu, za nim z chrzęstem i traskaniem szabel — rój sztabowców.

Czekamy na Prusaka. Słońce aż parzy, więc wiara porozluźniała zwarty front, obsiadła skraj szerokiej drogi. Czekaliśmy tak z godzinę, aż wreszcie wydarł się krzyk komendy od prawego. Niósł się ku nam w pośpiesznym szczęku broni, w łokocie przedkim sprawianego frontu.

Bataljon w prawo patrz — za ostrym głosem Narbutta, błysnęła nagle linja daszków urwanym, krótkim zwrotem.

Wyciągniętym cwałem przeleciał ogromny sztab. Na przedzie pochylony siwy starzec — za nim w tumanach kurzu, tętniąca, połyskliwa masa adjutantów. Galopadą przenieśli się przez front trzech brygad, objechali jazdę, artylerję i w tym samym pełnym galopie — wracają na prawe skrzydło.

Bidny był Bernhardt. Puchalski za ostro sadził, jak na sędziwe lata generalskie wypadło, więc Prusak czapkę zgubił, ledwie że trzymał się w siodle i wrzeszczał w trząsie galopu, żeby wolniej i spokojniej — bo on nie może...

Plutonowemi kolumnami zachodzimy na prawo. General, sztab, na zboczach drogi z wysokości pagórka świetny mają przegląd ciągnących równym, rytmicznym marszem siwych linii wojska.

Jutro maszerujemy na linję. Gerock przysłał z pod Verdun pozdrowienia dla legjonistów, a że dobry to żołnierz, żołnierz, który nie jedno wojsko widział w kurzu i ogniu walk — więc jesteśmy zadowoleni.

Cnota żołnierska jak sport — wzbudza szacunek u największego wroga.

16 lipiec. — Chmurnym, mglistym, wilgotnym porankiem opuściliśmy Czeremoszno. Maszerujemy na odcinek Sitowicze — Kaszówka; odcinek ponoć marny i błota na tyłach.

Marsz o 5-ej rano do południa, dość żwawy, z częstemi jednek odpoczynkami.

W Powursku pełno Prusaków. Piechota bawarska, szwoleżerowie z białemi lampasami na czapkach, rosłe, dorodne chłopcy, piechota, młody przeważnie lud — wylegli przed chałupy i w milczeniu, czasem z krótkimi uwagami z zajęciem się nam przypatrują. Maszerujemy raźnie i wesoło, niefrasobliwość bije z kolum-

ny, uleciał gdzieś i wsiąkł w Czeremosznie, ten tak niedawny, tępy zmilk utrudzenia.

Stanęliśmy w południe w lasku na polanie i wnet posnęliśmy przy kozłach, by o 5-ej zebrać się w dalszym marszu.

Przeszliśmy nieco wilgotnych olszynek i stajemy biwakiem na leśnej, niewielkiej polanie, gdzie rozbijamy namioty.

Odcinek nad Stochodem mamy obsadzony wspaniale. Legjonowa dywizja ma w rezerwie brygadę drugą, nasza brygada trzyma w rezerwie 5-ty pułk, a każdy z pułków obsadzających odcinek wystawia zaledwie po 2 kompanje w okopach. Na lewo łączymy z 42 dywizją pepików i dlatego też tak ciasno obsadzamy linję, by mieć botowe rezerwy dla łatania czeskich dziur. Na prawo Prusacy.

17 lipiec. Las pod Sitorowiczami. — Przyszedł dzisiaj list ze szpitala od podporucznika Stefańskiego z wiadomościami o śmierci Sława. Busse i on podnieśli Sława, gdy dostał w serce i nieśli go aż do kładki. Tam Busse dostał w głowę, więc Stefański sam już się tylko ratował.

Ja zaś o Sławie myśleć nie mogę. Teraz dopiero zrozumiałem jak można się przywiązać do człowieka napozór obcego. Co mię z nim łączyło — nie wiem, wiem tylko, że na ostatniej defiladzie, kiedy nie było przed frontem Sława, tłukła mną głucha rozpacz. Staralem się nie myśleć o tem, odwrócić do czego innego myśl, lecz drobna postć Sława uparcie stała przed frontem. Zdawało się, że usłyszę za chwilę jego spokojny, niski głos, komenderujący defiladą.

Któż miał tyle ojcowskiego spojrzenia, tej miłości głębokiej, tej łagodności i szacunku, ile on miał dla swych żołnierzy. Mówił mi Władek Drymer, że w dniu śmierci Sław był dziwnie łagodny, uśmiechnięty, jeszcze spokojniejszy niż zwykle, o wiele bardziej rwący za serce. Nie narażajcie życia — mówił łagodnym głosem do telefonistów, gdy chcieli iść naprawić linję — jeszcze sytuacja nie jest tak groźna!

I niema go, jak niema Grudzińskiego, Długosza, Wyrwy i tyłu, tyłu innych...

18 lipiec. Las pod Dubniakami. — Biwakiem stanął pułk na szaro-zielonych polach, otoczonych wokół białymi brzoźami, czerwienią rosochatych sosen, wąskolistnym bukiem i mokrą, lepką olszyną... Teren w lesie to zniża się, tworząc mokrą olszynkę, to podnosi się suchymi piaskami, zielonemi wrzosami, rzucając ciemne plamy jaśniejsze tło leśnego podścieliska.

Rozbiliśmy tutaj biwak rano o czwartej. Rozbiegły się zaraz leguny po chałupach wsi Dubniaki, osadzonej za lasem... Wnet ujrzałeś ich na chałupach, w piwnicach, na drzewach i strychach, przy studniach i stawach, goniących kury, zdzierających strzechy na posłania, kłócących się z Austriakami...

Rozstawiliśmy namioty, starannie je zamaskowawszy brzoźkami i zajął się każdy przyrządzeniem strawy, której najogólniejszym wyrazem były kartofle, do gulaszu obiadowego przyrządzane.

Dzień chmurny, posępny. Deszcz smaga drzewa, wiatr targa gałęziami dębów i białych brzoź.

Wyszedłem nieco w głąb lasu, poza rejon pułku. Las wilgotny, obmokły, strzepuje krople deszczu za każdym podmuchem wiatru, jakby się otrząsał z nieprzyjemnego, zimnego prysznicu.

19 lipiec. Las pod Dubniakami. — Napisałem dzisiaj list do matki. Prosiłem, by była spokojna, by jak matka-Polka ze spokojem mogła znieść najgorsze ewentualności... Boć to wojna przecie i każdej chwili trzeba być gotowym na wszystko...

Dla nas to nic. Trzeba i — koniec. Nad sformulowaniem tego obowiązku nikt się nie biedzi, nikt się nie zastanawia. Chwyciły nas wielkie tryby maszyny, która się zwie losem — ani jej powstrzymać, ani zapobiec. Śnił się ten los żołnierski kiedyś w godzinach złych więc teraz zgoda doń przystała, jak do rzeczy wiadomej, znanej i koniecznej. Czy z tego będzie Polska — tego na rozum nikt nie bierze, bo to nie jego rzecz a Komendanta. Żołnierza rzecz dać krew, trud, znój i karabina nie puścić z ręki. Śniłeś o wojnie — to ją masz! Śniesz o Polsce — to i ją pewnie swą krwią, a głową Komendanta wywojujesz. A śmierć? Już teraz dla niej został cynizem. I to nie ładajaki — a taki lepszy. Zaś w świadomości — to jedno, tegie uderzenie — i nie wiesz nic. Koniec.

Gorzej jest dla nich — tam w domu. Męka dłużących się dni i tygodni bez wieści, bez śladu, czekanie na znak, który może przyjść każdej chwili... Nadzieja, zwątpienia, zetłale w bólu matczyne serca, a potem gdy przyjdzie znak pewny, niezawodny — pytanie skrzywdzonego, wołającego w pustkę serca: dlaczego, dlaczego on?...

Na linji mały ruch karabinowy, natomiast ostre ostrzeliwanie okopów przez artylerję rosyjską. Biją ciężkimi.

20 lipiec. Las pod Dubniakami. — Stoję przy rozwartym, dużym oknie inspekcyjnej izby. Na słomie chrapią ordynansi, choć dzień już dawno pobieł świat — i telefonista sennym, monoton-

nym głosem wypowiada swoje: hallo, tu 5-ty — gdy zaczyna wybrzękiwać aparat.

Na dworze słońca. Deszcz mży drobny, nieustanny, nieprzerwanie szeleszczący. Wilgoć z powietrza wsysa się zewsząd wraz z melancholją idącą z pól. Droga z piaszczystej, o lotnym kurzu podczas pięknych pogodnych dni — stała się lepka, śliska, z długimi pasmami szklącej się wody w koleinach, wyżłobionych przez armatnie koła...

Przed białą chałupą chwieją się barwne, czerwone i białe maki, w kwadrat symetrycznego pólka ścięte. Trzęsą swemi krasnemi płatkami, strząsają perlące krople, gną się żałośnie przed wiatrem. Szklą się pulchne, tęgie grzedy, głębokie, czarne bruzdy, pełne lśniącej wody. Obmokły ogródek, obwisł pod ciężarem wilgoci; olbrzymie liście lopianu nazbierały deszczu na swe szerokie powierzchnie, krwiste buraki przylgnęły do wilgotnej ziemi, jeden żółtawy koper tylko dumnie swą parasolkowatą głowę wyprostował i mówi — kpię z deszczu...

Tuż za grzędami rozciąga się zielona łąka. Zdeptana już i zmięta, porozwalana czarnemi dolami, bolesnemi ranami granatnych razów — a dalej, do ściany szumiącego lasu, pod możną opieką dębów rosochatych, pod srebrnopienne brzozy płaczące — powtulały się żółte i siwe namioty. Rzędem stoją wózki amunicyjne, nakryte grubemi, ciężkimi płachtami, obok mokną na deszczu ze zwieszonemi łbami ogromne konie artyleryjskie, a między drzewami rozciąga się gdzie niegdzie niebieski dym kuchni polowych i rozłazi się po lesie jak stary włóczęga, nieznosny, naprzykrzony.

Gdzie niegdzie dmucha uparcie w ogień, z mokrego ułożony drzewa, płacze, kicha i wyciska łzy nad gryzącym dymem dłubinosek z I czy II bataljonu, pracowiecie gotujący kartofle dla siebie i swego „sitwesa“.

Mimo deszczu, szemrzącego nieustannie po gałęziach drzew, po płótnach namiotowych, w lesie ruch i gwar. Gwar nawołujących się żołnierzy, gwar sprzeczek o kartofle, gwar niezadowolenia z kopącego ogniska, z dymiącego wilgotnego drzewa, gwar złorzeczeń, śmiechu i klątw.

Taki sobie obóz polskiego żołnierza...

21 lipiec. Las pod Dubniakami. — Na naszym odcinku mamy ponoć 150 dział. Niemcy spodziewają się tutaj albo silnego uderzenia rosyjskiego (gromadząc taką masę artylerji), albo też mają zamiar uderzyć sami...

O front baranowski napróżno sobie rozwalają Moskale tępy

swój łeb. Dziesięć dni bez przerwy szturmowali i nie uzyskali nic. Teraz awanturują się pod Rygą.

Dziwne wrażenie rozwichrzenia sprawia ofensywa rosyjska. To tu uderzą, ówdzie popchną, tam znów staną, tu się cofną, tam pójdą naprzód. Ni składu, ni ładu. Niema tu uderzeń druzgocących, łamiących od jednego ciosu odporność przeciwnika. Niema tej ostrej myśli strategicznej, przenikającej wszystko. Ofensywa rosyjska sprawia wrażenie chaosu, jakiegoś ogromnego niezrozumienia i niedopatrzienia. Trwa ona już bezmała 2 miesiące a przecież tak znikomo mało przyniosła im efektów.

Niewspółmierność sił i zamiarów, niewspółmierność chęci zwyciężenia a woli wykonania — oto słabość rosyjska.



W rezerwie.

I prawdopodobnie jest to jej ostatni wysiłek. Możliwe, że wojna wobec tego w jesieni się skończy.

22 lipiec. *Las pod Dubniakami.* — 12-ta w nocy. Deszcz chłodzi namiot, w którym zaledwie jest nas kilku. Pluton ma dzisiaj służbę w kompanji, a kompanja w bataljonie, więc roboty moc. Pięć posterunków, służba kompanijna, inspekcja w bataljonie. Dopiero co mieliśmy alarm urządzone przez Dobrodzickiego¹⁾, który adjutantuje Narbuttowi. Alarm trwał 2 minuty — bajecznie krótko — więc Gad zadowolony poszedł szukać szczęścia gdzieindziej.

25 lipiec. *Las pod Dubniakami.* — Na linji wzmożona praca

¹⁾ Obecnie major piechoty.

wywiadowcza. Patrole rosyjskie przechodzą przez Stochód i to w sile od kompanji do bataljonu.

Są to wywiady wzmocnione z zaczepnym zwykłym charakterem, to też placówki nasze mają stale strzelaninę. Nasze zaś patrole, odwrotnie, chodzą w nadzwyczaj małej liczbie, maximum pluton. Ułatwia to bardzo bliższe podejście i dokładne rozpoznawanie pozycji i zamiarów przeciwnika. Przeważnie jednak patrole nasze chodzą w sile sekcji, a więc 8 — 10 ludzi. Na wysyłanie takich patroli (zachowujących się nadzwyczaj ostrożnie), my jedynie możemy sobie pozwolić. Przy utarczce straty nie będą nigdy większe niż przy liczniejszych patrolach, natomiast opadnięty patrol przebiję się zawsze bagnetem. A podkraść się niepostrzeżenie pod druty placówek rosyjskich, pod bagnety wedet — jest stokroć łatwiej w kilku niż całą kompanją. Dlatego też Moskale zwykle dostają się pod ogień placówek i nie nie wskórawszy — dają dęba, zostawiając straty. Znając natomiast nasz sposób patrolowania a nie ufając sobie w spotkaniu wręcz, urządzają zasadzki. I tak dzisiaj opadli z tyłu i z boków patrol, posuwający się po grobli. Jednego wzięli, jednego zatłukli — reszta przebiła się. Rannego naszego mochy zatłukły na rozkaz oficera.

26 lipiec. Kolonja Dubniaki. — Siedzimy w rezerwie już tyle dni i Bóg wie, ile jeszcze będziemy siedzieli. Mamy się tutaj zabudowywać, więc pobyt zapowiada się na dłużej.

Spokoju, monotoni płynących dni nie przerywa żadna awantura. W nocy biła nieco nasza artylerja. Tłucze dość często, wogóle okazuje dużą ruchliwość. W dyspozycjach Brygady powiedziano, by artylerja nasza natychmiast odpowiadała na ogień rosyjskiej i by nie dopuszczała do przewagi ogniowej ze strony Moskali. Widocznie prawdą jest, że mamy tutaj taką jej ilość. Zresztą sami widzimy. Jak zaczną bić czasami, ale to tak na wyścigi — jedna baterja przed drugą — to uszy puchną, gdyż baterje stoją tuż za nami. Mamy również jak i Moskale — captivy. Wogóle ruch na linji jest spory.

28 lipiec. Las pod Dubniakami. — Słońce już chyli się ku zachodowi, złoci wierzcholki sosen, krwawemi smugami przeplata zielen lasu. Wokół gwar... Nad głowami warkot aeroplanu, z tyłu co chwila łajdacka salwa ósemek, od której uszy puchną — a na pozycji nierówny łomot rosyjskiego ognia.

Ogromny szum, grzmiąca muzyka echa, rwie lasem raz po raz, za każdym wystrzałem. W dziesiątkach odskoków powraca, chybotałiwie, nierówno, obijając się o każdą polanę i każdą ścianę lasu — grzmiąca muzyka leśnego echa.

Chwilami cisza zupełna. Zakwili ptak, zatrzepocze i wnet ogłuszony trzaskiem, gromem niezwykłym—wtuła przerażoną głowę pod skrzydła.

Mieliśmy dzisiaj dzień wesoly. Od samego rana z pozycji szedł łomot huraganowy ognia rosyjskiego. Biją na Bawarczyków i na lewe skrzydło 1 pułku. Od czasu do czasu zrywają się szczekacze—pieski nasze i tną w las zajadłe... Za ósemkami w lot odzywają się haubice i jak stare podwórzowe brytany pyski do góry uniósłszy, grubym głosem, wolniej, z namysłem poszczekują...

Zaczęto też zaraz macać nasze baterje. Ważąc się lekko, posuwicie, cichym lotem granaty haubic wżerały się z piekielnym łoskotem w las. Co chwila cichy szum pocisków i dwa przeraźliwe trzaski granatów.

Lecz były ciągle w lewo. Dopiero w południe, gdyśmy brali obiad — szukać poczęły ósemek, stojących za nami. Wysokie słupy czarnej ziemi szybowały z łąk do góry i z głuchym łoskotem, jak-by tętentem tabunu koni opadały wdół kawały czarnej, ciężkiej ziemi.

Bierzemy herbatę. Przy kuchni długi wąż wesolej wiary, sierżanci dyżurni, inspekcyjni i cała zgraja szarż — by legun na porcję nie kiwnął. Żartujemy, że granat nam do kotła wleci, gdy naraz lekki, delikatny świst, rozszalał się z przeraźliwą szybkością w gwizdł, ścinający w żyłach krew i rypnął w kuchnię. Zakotłowało się, runęło wszystko na dół. Gdy odpadł od jakiejś sosny, na którą mię rzuciło — ujrzałem tylko setki migających, bosych pięt. Obok mnie jęczał legun, trzymając się za głowę, a w nierozwianym jeszcze dymie przy kuchni jęk się wyrwał bolesny. Jeszcze nie zdążyłem zebrać myśli, gdy drugi wizg pocisku jeszcze wścieklejszy i straszliwy łomot. Wyrwałem więc do namiotu co sił, z krzykiem by się pakować. Wiara tymczasem już wywiała w las, bo granaty rwały na polanę jeden za drugim. Mignęła mi tylko wysoka postać Narbutta, który zasłoniwszy sobie „Nową Reformą“ głowę, z cynowym talerzem w ręku dymał w las, za nim reszta oficerów z wieprzowiną w garści, gdyż i oni siedzieli przy obiedzie.

Zbieramy się w lesie i w prawo od biwaku — okopujemy się. W lesie łoskot nieustanny, trzask łamanych szrapnelami gałęzi, błyski i leniwo włóczące się dymy.

Paskudnie działa na żołnierzy ogień artyleryjski, o którym on wie, że mu się jako rezerwie nie „gebiruje“ — nie należy. Co innego w okopach, tam mu się to należy, więc siedzi spokojnie i bez rozkazu się nie rusza.

Wieczorem odmarsz z lasu do kolonji Dubniaki.

29 lipiec. Las na drodze Sylwestrówka — Dubniaki. O świcie kawa. Nie ruszono nas jednak z miejsca, choć na linji od czasu do czasu gwałt taki powstaje, jakby tam masy moskiewskie atakowały. U nas stosunkowo ogień słaby, gdyż atak rosyjski uderzał na nas tylko swem lewem skrzydłem; główny atak skierowany był na Gruszewno — Hulewicze, t. j. na odcinek przy kolei Kowel — Sarny. Atak ten został zupełnie odparty, gdyż odcinek obsadzają tam sami Bawarczycy.

Do 3-ej po południu staliśmy na miejscu, o 3-ej odmarsz. Maszerujemy na lewe skrzydło Brygady jako rezerwa 1 pułku. Marsz trwał do 8-ej wieczór, mocno uciążliwy. Upał piekielny, prócz tego nie mogąc maszerować terenem odkrytym, robimy ogromne koło, idąc ciągle lasami, w dużych dystansach. Ciężka artylerja macała las na wszystkie strony, lecz o nas jakoś nie zawadziła.

O 8-ej jesteśmy na miejscu. Śliczna polana, świeża jeszcze i nie tknięta, las wokół suchy, moc leszczyn, podszycia. Rozbijamy biwak, maskując go pięknie i po kawie kładziemy się spać.

Z komunikatu „Reformy“ dowiadujemy się, iż pod Beresteczkiem Austriacy cofnęli się, tak że linja tam jest prawie na Bugu. Teraz Moskale będą się starali uderzyć na północny Wołyń, na Stochód i przy równoczesnym nacisku od Rygi zepchnąć front litewsko-kurlandzki odrazu na Niemen. Jeżeli im się uda tutaj zrobić duży „durchbruch“, to może im się to bardzo ładnie skleić. A my wtenczas nogi za pas i na Bug. Brr...

Jakoś sobie tutaj Niemcy nie mogą dać rady. Inna rzecz, że austriackie trepy są już do niczego.

Pół godziny zaledwie leżeliśmy, gdy nas poderwano. Maszerujemy z kolei na prawe, zagrożone skrzydło Brygady. Czwarta dywizja na prawo od nas, t. j. od czwartego pułku cofnęła się na drugą linję, gdyż dalej na południe, gdzieś koło Janówki czy Sokula — przełamano front. 4 pułk zajął rygiel, a II Brygada pomaszerowała na Mielnicę, łątać tam dziurę. Sytuacja krytyczna. Jeżeli tam Moskale się głęboko wdarli i natychmiast kontratakiem nie zostali wyparci, to my dęba będziemy chyba na Turję kroić. Wiara wściekła na trepów jak sto djabłów.

Maszerujemy drogą Powursk — Miryn i na skrzyżowaniu dróg do Dubniak mamy stanąć.

Na linji cisza, tylko migocą rakiety. Drogą powoli wycofują się kolumny amunicyjne i artylerji. Możliwe, że będziemy mieli jeszcze o świcie conieco roboty, a gdy się będziemy cofali, to prawdopodobnie pułk nasz będzie osłaniał odwrót.

Stajemy w lesie i kładziemy się spać. Leczą, że to wojna, a my w rezerwie, więc za godzinę podrywają nas znowu i przenoszą na inne miejsce. Świt już tymczasem pobilił las, zbladły gwiazdy, tylko pożar, prawdopodobnie Sitowiec, rzucił różowy blask na niebo. Ogromny słup nieruchomego dymu wzniósł się w potwornych kłębach do góry i nieporuszony napozór włókł ciężkie, siwe swe cielsko.

30 lipiec. Las na drodze Powursk — Miryn — Dubniaki. —

Sytuacja bajkowo ciężka. Tak ciężka, jak dawno już nie bywała. Tutaj na całym froncie Stochodu Moskale lada chwila mogą zrobić dziurę, wpakować w nią masy piechoty i przegnać nas nie tylko na Turję, ale i na Bug... A lewe skrzydło natenczas, od Pińska po Rygę musi wiać sakramencko ile sił w nogach...

Tak potracić możemy bardzo szybko nasze „kraje zabrane“, które już w marzeniach do Niepodległej Polski przyłączaliśmy. Jednej się rzeczy tylko obawiam. Byłoby nie na Bug! Nie wiem czybym miał siły znów patrzeć na płonące w Królestwie wsi... Nie wiem i wątpię czybym je znalazł.

Stoimy na skrzyżowaniu dróg Powursk — Miryn — Dubniaki. Stoi tu również 5 szwadron Beliny „fussreiterów“ bezkonných przydzielonych narazie do narazie do naszego pułku. Belina ma obecnie brygadę, 1 i 2 pułk ułanów, a w nocy osłaniał odwrót pod Wielickiem. Również na południu jest II Brygada.

My jakoś nie zmieniamy ani 1 pułku ani V bataljonu. Czyżby Komendant czekał, aż się nieco front uciszy?

31 lipiec. Las pod Sitowiczami. — Mamy dzisiaj całym plutonem placówkę na drodze Powursk — Miryn, tuż przed Mirynem. O 7-ej wieczór wyszliśmy z biwaku i oko z przyjemnością spoczęło na dawno niewidzianych uprawnych polach, pokrytych zbożem rozmaitem, na milej polskiej drodze, wysadzonej z obu stron topolami. Folwark w Mirynie, duże bogate gospodarstwo, wcale nie zniszczony. Stoi tam komenda III Brygady.

Przepyszna, usiana blaskami noc, co chwila srebrny łuk spadającej gwiazdy przerywa firmament. Po północy zaczęły ciągnąć sennie kolumny taborów II Brygady, maszerując z Wielicka, a po nich piechota. II Brygada wścięła. Wyszła na rezerwie jak Zabłocki na mydle, bo wodzona ją z miejsca na miejsce. Noc i dzień maszerowali ze wsi do wsi.

2 sierpień. Las pod Sitowiczami. — Zmarzliśmy setnie pod namiotem. Noce przeraźliwie chłodne, a koc jeden na trzech i to leciutki, podszyty wiatrem. Trzeba już będzie kombinować, by wytrzasnąć coś ciepłego pod kurtkę.

O 4-ej popołudniu odmarsz bataljonu. Maszerujemy ciągle lasem i stajemy trzema kompanjami w rezerwie za kompanją Bawarczyków, (250 bagnetów) rozdzielającą II bataljon od 6 pułku. 2 kompanja Jagmina Sadowskiego staje w rezerwie za II bataljonem.

Rozkładamy biwak na brzegu równej, czworokątnej polany. Las wokół szemrzący, rozgadany; dęby, buki, graby — od czasu do czasu bielą się jasne łysiny, porośłe masztowemi, prostemi sosnami. Na prawo rozrzuconych kilka linii okopów, morowo oszaloneym sosnami. Tam się pakuja plutony, a do jednego z nich komenda pułku.

Wiara odrazu zarządza gruntowny wywiad co się dzieje naokół. Za chwilę już przychodzą pierwsze wiadomości, że o 300 kroków wprzód jest już pierwsza linja obsadzona przez Bawarczyków. Okopy tam marne, z wodą, narzutowe, ciągną się wzdłuż lasu, z drutami w pilę. Ostrzał doskonały na 800 kroków, dalej niskie krzaczki, strumyk, stawki. Zdala ciemniejsze bór po wschodniej stronie Stochodu.

3 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — Wojnę mamy rzetelną! Straty idą, straty w najlepszych żołnierzach. Dzisiaj granat pocharała straszliwie Pachońskiego Kazika.

Dzień zaczął się cichy i spokojny. Nic nie wskazywało na jakiekolwiek zamiary moskiewskie. Dopiero koło godziny 9-ej poczęły pękać pierwsze szrapnele nad lasem, a za chwilę huraganowy ogień rozhulał się, rozłętnił na prawo od 6-go pułku, na odcinku 99 i 49 p. p. austriackiej. Za małą chwilę przeniósł się na 6 i na 4, tak że nas dotykał swemprawem skrzydłem. Zaczęły też coraz częściej pękać i coraz bliżej ciężkie szrapnele, a po chwili przerażający łoskot oznajmił nam, że i granaty rosyjskie rozpoczęły swą robotę blisko nas.

Pluton nasz od rana począł pracować przy okopach, na lewo od drogi, prowadzącej na pozycję. Okopy nieregularne, poryte w lesie, należało pogłębić i oszalać od szrapneli.

Posłałem tam 1 sekcję, sam zaś z plutonem za pierwszym szrapnelem, wymierzonym w biwak, mam się przenosić do okopów.

Leżałem z Pachońskim w namiocie i czytaliśmy rozłożoną przed nami wielką płachtę „Nowej Reformy“. Choć szrapnele trzaskały jak z ogromnego bicia po lesie i raz po raz dolatywał gruchot siekanych w pobliżu gałęzi drzew — nie przerywaliśmy czytania, zobojętniali na łoskot, który od dwu godzin nieprzerwanie rwał po lesie.

W pewnej chwili bez słowa wstałem. Uczułem się w namiocie głupio, źle, nieswojo. A już szrapnele tłukły po polanie i na skraju przy kuchni wyrznął pierwszy granat.

Pakować się — odmarsz do okopów! Nie skończyłem krzyku komendy do śpiesznie zbierających się żołnierzy, nie odszedłem piętnastu kroków, gdy zachwiałem się od pędu powietrza. Łomot straszliwy i trzask gałęzi... Zanim się odwróciłem, by skoczyć do namiotu po sztucer, dym się jeszcze nie rozwiął. Rozwlekał się z pod namiotu, powoli opadał w dół... Skoczyłem jakby mię drugi granat podsadził...

Na miejscu namiotu kupa szmat z tornistrów, płótna, kocy, menażek. Wśród tego, błądy jak kreda, leżał Kazik Pachoński. Strzaskana ręka od łokcia pod ramię, rozdarte jelita...

Przytomności już nie odzyskał. Zanim nadleciały „łapiduchy“, zanim go zanieśli do opatrunkowego punktu — skończył...

Zaszedłem do okopów, gdy wiara już tam siedziała z tornistrami na plecach. Wszystko klnie, wścieka się, siepie. Bo i tu spokoju nie było. Co chwila trzepotały się drzewa i trzask szedł po gałęziach. Ani gdzie wleźć, ani co!... Do cholery z taką rezerwą!...

Wojna tymczasem szła na całego. W okopach pierwszej linii piekło. Artylerja, piechota, granaty, szrapnele, ekrazytówki — co kto chciał. Atak moskiewski walił na cały regulator...

I omal że im się nie udał. Gdy tylko ogień zaporowy przerzucił się na rezerwy i tłuc bezlitośnie po nich a i po nas poczał i gdy tylko masy moskiewskie (jak pod Kostjuchnowką) podsunęły się pod druty, 99 i 49 p. p. pospolicie mówiąc — skroiliły dęba.

Mochom w to graj. Wdarli się w dziury, poganiiali, poganiiali i dalejże coraz głębiej w las. Ani godzina nie minęła, gdy już siedzieli w Rudce Miryńskiej.

Tam gwałt, jak pod Stowygorozem. Ciśnięto do kontrataku 30-kę, ciśnięto Prusaków. Nic nie pomogło — waliła masa...

Wówczas z prawego uderzył Belina brygadą ułanów: 1 i 2 pułkiem. Ułany wzięły na ambit i choć ze strachem — natłukłszy przedtem sporo swoich i Moskali — wleźli do Rudki.

Gorzej było na lewo, na północy. Tam się Moskale tak ostro wdarli, że zajęli drogę Miryn — Powursk, aż na tyły legjonowej artylerji. Wgnietli się tak głęboko, że sami zbaranieli, ujrzawszy nie przodki, a zadki dział przed sobą. Lecz wsiakli morowo. Nasi chłopcy jeszcze prędzej się zorientowawszy, odwrócili działa — i bryzg, bryzg... kartaczami.

Magiel okropny. Krzyk, rwetes, jęk — bo tłukli w kolumny.

W kilka sekund śladu z kolumn nie było, a kanonierzy jazda, pojeńca...

A już Haller poderwał 3 pułk. Karpatniki ostro ruszyły, wydusiły tulające się po drodze moskiewskie oddziały, pozganiały je w tył taborytom na strach, skoczyły na odcinek 99-ki i pozycję odebrały. Tymczasem wszystkimi drogami waliły rezerwy. Z Powurska przygnała brygada niemiecka, zluźowała okrutnie sfatygowanych ułanów Beliny w Rudce i uderzyła na resztę dziur. O 6-ej po południu ten odcinek był już czysty na glanc...

Dłużej trwał smród na odcinku legjonowym. Jak tylko 99-ka skroila dęba, tak bidne szóstaki, które z nią łączyły, zagięły front prawego skrzydła. Łączność była paskudna, okopy płytkie, rzadko obsadzone, docna prawie zmiecione granatami, więc czwartacy, którzy stali na lewo od 6-go, wiedząc, że z prawego idzie bieda — zagięły również skrzydło. To samo zrobił i 2 pułk...

I tak przez paskudną łączność, wyczynił się kryminal niezgorszy. Moskaliki bowiem te dziury powywachiwały — i dalejże jazda je zatykać. Ciężko coraz bardziej, bo nic nie wiadomo. Każdy pułk już ma nietylko z prawej strony, ale i zlewej monterów od dziur. Już, już miało wszystko pęknąć, bo gwałt był ogromny, harmider, strzelanina ze wszystkich stron, pułki już zerkwały wtył — ale Norwid nie puścił. Chycił za pyski, kazał czekać, aż przyjdą rezerwy. No i całe szczęście że przyszły, bo byłoby chłopakom ciepło. Wieczorem już i tu było spokojnie...

Do 8-ej wieczór tłukła się jeszcze ożywiona strzelanina, lecz atak został w całości odparty, linja załatana.

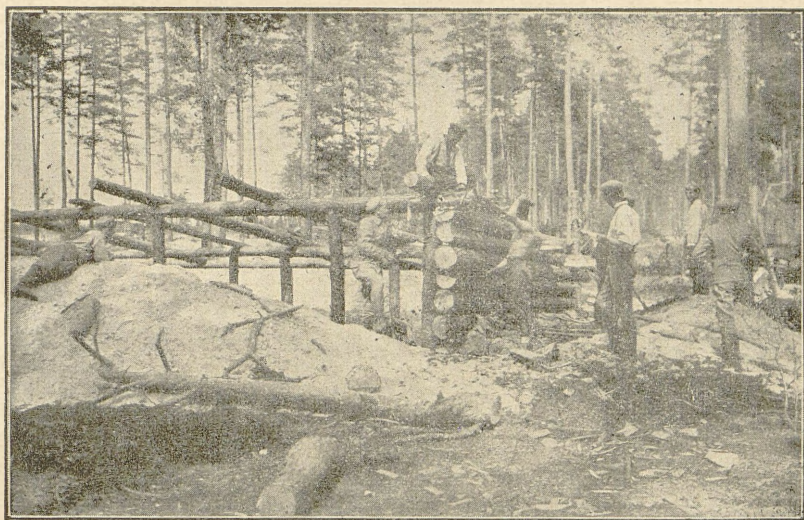
Kawalerja nasza nareszcie pokazała, że bez konia też potrafi strzelać, a już najbardziej cieszą się kanoniery. Wzięły kupę jeńców i nakładli Moskali po polu coniemiarą. Jak tak dalej pójdzie, to i tabor główny będzie fasował Moskali.

A wogóle taborom ofensywa rosyjska daje piekielne cięgi. Dzisiaj granaty pocharatały coś 15, prócz tego poraniły 6 telefoniistów Brygady. Sama komenda Brygady w takiej była przez chwilę opresji, że omal nie została zafasowana. Nagwałt ściągnięto z naszego pułku dwie kompanje dla ochrony. W nocy mamy pełne pogotowie, bez snu, pięć posterunków.

4 sierpień. Las pod Sitowiczami. — Ohydna mieliśmy noc... Wiatr gwał z szumem gałęzie, gwał ogromne chmury po niebie i wkrótce lunął deszcz... Nieprzeniknione ciemności ogarnęły las. Z szumem drzew łączył się szum przelatujących pocisków a chwilami, gdy baterje milczały, zdawało się nam, że one grają ciągle,

że szum, chichot pocisków otacza nas wokół. Lecz to grał las, szumiał żałośnie i jęczał...

Spać nie można, więc zbici w gromadkę gwarzymy o sprawach, byle czas przeszedł jak najprędzej. Lecz mimo deszczu i przekłętą zimną optymizm nakazuje nam wierzyć, że jak każda, tak i ta noc koniec swój będzie miała... Około północy uciszył się wiatr, nastała cisza zupełna, ciemność jeszcze większa, tylko drobny kapuśniaczek szemrze po gałęziach. Posterunek kolbą rozpoznaje drogę, by nie wpaść do jakiego okopu i coraz to budzi swą zmianę.



Budowa ziemianek pod Sitowiczami.

Chłopcy leżąc na słomie mokną z rezygnacją i klnąc, pogrążają się w dziwny półsen, który przynosi wypoczynek, a baczny jest na każdy ruch. Od czasu do czasu zrywa się gruchotanina ognia na linii i wówczas podnoszą się głowy, pochylają ciekawie uszy i tak trwają bez ruchu — gotowi — póki ogień nie ustanie...

Świt już białł las, gdy się ocknął. Zimno trzęsło mną przeraźliwe, przemokłem doszczętnie.

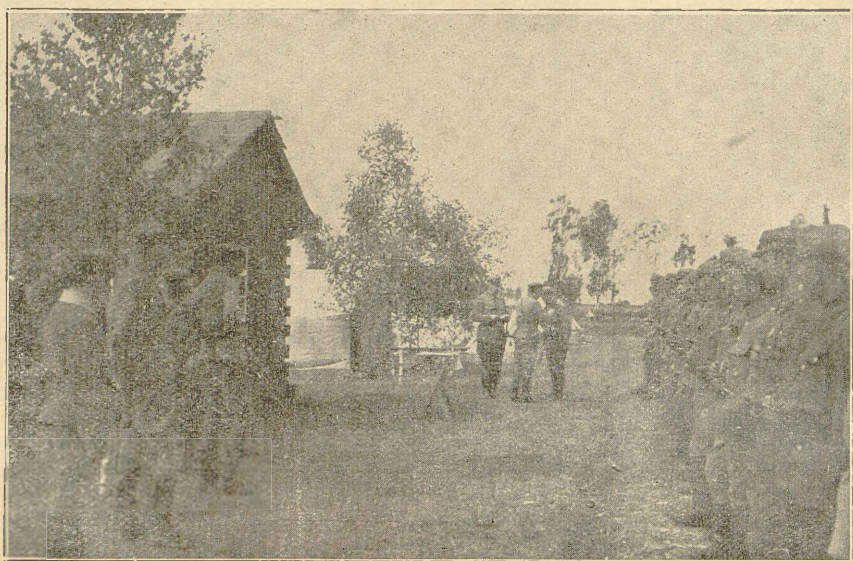
Dzień nam natomiast szybko przeleciał. Na froncie spokój zupełny, na północy jednak „trommelfeuery“ tłukę nieustannie. Moskale co prawda już od miesiąca atakują front Stochodu, lecz jakoś mu nie mogą poradzić. Porzucają się jeszcze z miesiąc i jeżeli wszędzie na czas będą rezerwy pruskie, to Stochód będzie utrzymany.

5 sierpień. Las pod Sitowiczami. — Spokój na linii zupełny.

Na północy lekka charatanina artyleryjska, lecz u nas niczem niezamącona cisza. Zato gwałtowne wiadomości z polityki. „Reforma“ dzisiejsza (z 4-go) donosi, że 20 sierpnia znajdą nadzwyczajne zmiany w Polsce. Tego dnia ma być ogłoszone ważne zarządzenie mocarstw centralnych, powołujące państwowość polską do życia. Pozatem drogą uboczną z Brygady dowiadujemy się, iż rokowania austriacko-niemieckie w sprawie polskiej zakończone.

Wieczorem o 8-ej maszerujemy na odcinek II bataljonu, gdzie umacniamy okopy.

6 sierpień. Las pod Sitowiczami. — W „Reformie“ z 5-go jest komunikat urzędowy, głoszący, że dzięki kontratakom: niemiec-



Dekoracja odznaką „Za wierną służbę”.

Niemcy zaczynają coraz częściej o nas mówić. Obecnie jednak, austro-węgierskiemu i części oddziałów Legjonów Polskich atak między Sitowiczami a Wielickim został w całości odparty. Głosił to nie tylko komunikat austriacki lecz i niemiecki. Jesteśmy u Hindenburga, który ponoć jest zaciekle naszym wrogiem i w ogóle polskości, więc poważne względy, nie tylko wojskowe, musiały się przyczynić do ogłoszenia takiego komunikatu.

Jak plotka — fama mająca posłuch, bo miła — głosi, to miał powiedzieć Bernhardt, że gdy tylko tutaj spokój zapanuje, zostaniemy wycofani w tył, celem organizacji. Inni zaś wierzą we wkrótce mające nastąpić, wmaszerowanie nasze do Warszawy, ja-

ko kadry armji polskiej. Ma to być konsekwencją ogłoszenia państwa polskiego.

Sulkiewicz twierdzi, że to załatwianie na gwałt sprawy polskiej, wypływa z jednej z dwu przyczyn — albo Niemcy już, w tej chwili potrzebują armji polskiej, albo mają zamiar wycofać się z Królestwa i zostawić nas samych. Macie Polskę, brońcie jej!...

Dzisiaj rocznica wymarszu, w Brygadzie święto. Przedstawicielom po czterech z kompanji po mszy rozdano krzyże „za wierną służbę“. Gdy przyjdzie reszta krzyży — dostaną wszyscy, t. j. ci, którzy mają więcej niż rok służby bez zarzutu w Brygadzie, w linji...

Z mojego plutonu posłany został na dekorację Zygmunt Chabowski.

7 sierpień. Las pod Sitowiczami. — Ohydna, tępa nuda. Książki niema ani jednej w kompanji, gdyż wszystkie zostały dla Moskali na Polskiej Górze, na gazety czekamy jak na zbawienie — pozatem wstrętna, bezmyślna nuda. Nie warto sobie nawet książki z taboru sprowadzać, boć lada chwila złowroga cisza zamieni się może w piekielny taniec huraganowego ognia... Dziwna tępota, rezygnacja bezmyślna ogarnęła nas wszystkich. Gdy nadlatuje kuferek żołnierz czuje się jak ptak, gdy nań spada jastrząb. Czuje się bezbronną jego ofiarą, kawalkiem żywego ściernia, rzuconego na pastwę. Każdy wie, każdy to już dawno zrozumiał i dawno się z tem pogodził, że gdy leci taki garnek, wyrznie gdzie obok, to go żadna siła ludzka, żaden okop od śmierci nie wyrwie.

I dlatego też na twarzach naszych od pewnego czasu znaczy się owa martwa cisza, bezmyślna prawie maska, czasem, bolesny uśmiech rezygnacji, gdy las zaczął macać ciężkie granaty. Słychać najpierw gdzieś w sinych lasach daleki, przytłumiony huk. Z tym przytłumionym, niskim hukiem, zrywa się, sunie, leci — złowrogie tchnienie pocisku... Jest coraz bliżej, bliżej, już niedaleko... Z początku miły, delikatny, subtelny szmer, jakgdyby pocisk wazył się lekko w powietrzu, później szum, poszum głęboki, niby boru czarnego oddech, poczem groźniejszy, twardszy, żelazny ton, a na ostatku wściekły szalony, mrozący krew w żyłach, dziki wizg — i... już! Najszybsza myśl, jaka tylko ostnieć może w ludzkim mózgu — stawia diagnozę. Jeszcze nie!...

I znów się czeka. To głuche oczekiwanie, te chwile między oddalonym odgłosem wystrzału działowego — cichym, potem zaś coraz wścieklejszym tonem lotu a piekłem wybuchu — to są te chwile, które najwięcej szarpia żołnierskie nerwy. Niema nic straszniejszego, nie bardziej działającego na nerwy, na psychikę żoł-

nierza, jak ten zbliżający się piorunowym lotem wizg, wrzask, wżeranie się pociskowi...

Jest teraz cisza zupełna. Deszcz co chwila wpada ulewą, to wiatr rozgania chmury, to rozbłyskuje jasne słońce, więc siedzimy w namiotach. Myśl leniwa, ogłuszona, tępą — błądzi po plamach, kwadracikach, szwach płótna; ogarnia nas jakieś wewnętrzne, duchowe ziewanie. Byle się raz już to skończyło, ta głupia rezerwa, ta defensywa, ta niemoc... Swobody, swobody, ruchu, pędu!...

Możliwe, że ten ruch wreszcie będziemy mieli, że się skończy wreszcie to wyczekiwanie pełne niemocy, że gdzieś na prawo lub na lewo przerwą Austriakom front i trzeba się będzie cofać. Na Turję!... Bug... Myśl, pełna jęku... Do tego stopnia mam myśl pustą, że zmuszam się do pisania pamiętnika, co mi się zdarza po raz pierwszy.

Leżymy w namiotach, trzęsąc się pod płaszcami z zimna. Deszcz na dworze, w namiocie wilgoć wsiąkliwa, łamiąca kości...

8 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — Przeraźliwie zimno! Jeszcze zimno tak nam nigdy nie dokuczało, chyba w lasku pod Krzywopłotami. I to sierpień! Zeszłego roku o tej porze uważalibyśmy się za szczęśliwych z takim ekwipunkiem jaki teraz mamy. A obecnie marzniemy w skandaliczny sposób.

OKOPY A POLITYKA.

9 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — Gruchnęła dzisiaj pogłoska i krąży uporczywie, że maszerujemy na odpoczynek do Zamościa. Ponoć tak mówił Sulikiewicz. My starzy, na temat „gadać zdrów“ przyjmujemy takie nowiny, lecz młodsza wiara rozmarzyła się tą wieścią po pensjonarsku.

Te majaczące od czasu do czasu plotki o spoczynku, organizacji, Warszawie czy Zamościu, dowodzą tylko jak wiara okrutnie jest zmęczona. W II bataljonie tak się chłopaki pochorowały, że bataljon topnieje w oczach. Służba na linii potwornie ciężka, a ekwipunek jak na te paskudne deszcze ohydny.

Leżę w namiocie cały dzień, czytając Kukiela „Dzieje oręża“. Nie wychodzę zupełnie z pod koca, aż dopiero wieczorem. O 8-ej zbiórka, maszerujemy do okopów, do redutki przy kolumnie II bataljonu. Wystawiamy tam posterunek i z Kocem pociągaliśmy na placówkę Nr. 2, by ją drutować. Z okopów do drutów ciągnie się długi most, szeroką drogą rzucony przez łąki Stawoku, niewielkiego dopływu Stochodu. Przy drutach most porozwalany zupełnie a już dalej przez Stawok i łąki sterczą tylko powbijane

słupy. Obok, na czarnych, powydeptywanych mokradłach porozrzucone belki i deski zdzieranego na gwałt mostu. Przeskakujemy przez wykroty czarne jak piekło, ze stukotem biegniemy przez deski rzucone na strumieniu i ścieżką wśród belek, desek, dragów dostajemy się na placówkę. Obsadza ją dziewięciu ludzi, przed okopami niskie krzaczki, na pięćdziesiąt kroków za krzakami dwa podwójne posterunki, strzegące szerokiej, dużej polany.

Noc pogodna, jasna, księżycowa. Gwiazdy migocą i bledną co chwila, gdy rakiety, chyżo biegnącemi, jaskrawemi ogonami szu-



Placówka nad Stawokiem.

kają wroga. Jak okiem sięgnąć na północ, południe, rozmigotanemi blaskami rakiet znaczy swą linię front. Na północy nieustanne, nieprzerwane dudnienie armat. Ostatniej nocy ogień artyleryjski dochodził tam do niebywałej wprost siły. Nigdyśmy jeszcze nie słyszeli tak gwałtownego łomotu dział, to też z zapartym oddechem natężaliśmy słuch.

Ogień nie ustawał ani na sekundę. Biła zeń potworna, dzika wprost siła — wszystko burząca. Jakgdyby wszystkie złe moce, pradawne instynkty siły i gwałtu ludzkiego wzięły się ze sobą za bary...

10 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — Nie ruszam się przez cały dzień z namiotu. Na odmianę — upał nie do wytrzymania. Z przeczystego nieba leje się olśniewający żar. Pod cieniem sosen porozkładali się żołnierze i jak mogą odsypiają zaległości.

Rano i wieczorem, gdy słońce wstaje lub gdy się lekko ku zachodowi chylić poczyną — powietrze napelnia deliktny warkot silników. Codziennie dziesiątki aparatów prują przestworza, a od czasu do czasu przelatuje hucząca eskadra. Jasnożółte aparaty sprawiają natenczas wrażenie, jakby się gdzieś wysoko w powietrzu roznosił brzęk tysiąca olbrzymich komarów.

To wspañiale zorganizowana niemiecka służba lotnicza.

Naszego odcinka jakoś Moskale nie ruszają. Z północy ciągle jeszcze dochodzi odgłos „trommelfeuerów“ — lecz coraz krótszy. Na Rudkę Miryńską próbowały mochy znów szczęścia i nagle, bez przygotowania artyleryjskiego, wdarli się do okopów. Zostali jednak szybko wyparci.

12 sierpień. *Las pod Sitowiczami.* — Pogłoski o mającym nastąpić w najbliższym czasie wymarszu na „hinterland“ — mnożą się z dnia na dzień. Krążą już nazwy miast, gdzie która brygada ma stanąć, kucharze oznaczają nawet termin odmarszu.

U nas w Brygadzie mówi się o tem mało, lecz pogłoski nabierają coraz większego prawdopodobieństwa. Ponoć artylerja i prowiantura otrzymały już rozkaz przygotowania się do odmarszu, mówią o tem głośno w innych brygadach; u nas tłumi się te wieści, by nie demoralizować żołnierzy nadziejami.

Wkroczyły jednak sprawy nasze na tor, którego kres już wiadać. Socjaliści polscy wystąpili z Koła Polskiego, zaznaczając swe jak najostrzejsze stanowisko i żądając nie słów, a faktów. Moraczewski jest w Brygadzie, a Komendant pono przez cały dzień odbiera przez gońców pliki papierów i ustawicznie myśli, ustawicznie knuje coś w milczeniu.

A wśród okopów rodzi się podświadoma wiara, wiara ogólna z trudów i znoju i krwi zrodzona, że jeśli wyjedziemy do Królestwa, to ujrzą nas znów okopy — albo jako wojsko polskie, albo nie ujrzą nas wcale.

Umysły wrą, palą się dusze. Serca czują, że dochodzimy do kresu, że cel już bliski, rozprężają się szeroko ramiona.

Jeszcze o tem głośno się nie mówi, jeszcze się nikt nie chce z tem zdradzać. Ale w tonie, w nastroju nieuchwytnym, często w słówku jednym lub spojrzeniu nagle — wyczuwa się głębię radosnego przeświadczenia, że jednak nie zginęła, że nie zostanie po nas jeno „krótki płacz kobiecy i długie nocne rodaków rozmowy“...

Z posiewu naszej krwi zrodzona przybliża się chwila radosnych
żniw...

13 sierpień. Las pod Sitowiczami. — Gruchnął wrzask radosnych krzyków, gdy Koc po apelu zawołał — rozejść się! Pod koniec bowiem apelu oznajmił nam, kręcąc z uśmiechem bródkę, że mimo wszelkich niedowierzeń, jednakowoż zdaje się być faktem bliskie nasze wymaszerowanie. Jak rozkaz wydany do komendy pułku głosi, 15-go mają nas zmienić Bawary.

Rozhulała się też wiara jak sto biesów!

Wokół huczała i trzęsła się pijana, gwarna, śmiejąca się radość! Najweselszy z wesółych Papierski Bolek fantazjował na głos. Pysk mu się nie zamykał ani na moment. Wiara się zanosila z byle głupstwa, z byle kawału, a Pepcio tworzył obrazy, jak to się wiara w Kielcach będzie bawiła (jakby to tylko jedne Kielce w całej Polsce były) jak to z panienkami uch!... zarajcuje. I jak to potem obywatele kaprale i sierżanci w podporuczników zagnała się przedzierzgną, jak to szabelkami trzaskać będą, chmurzyć się, a nosić godnie i górnio!

A żołnierz, a plutony! Nie dłubinoski nasze, nie mikrussy zbiedzone, chuderlawe, ekliwe a płacziwe, ale plutony z rekrutów, kompanje z chłopów jak dęby, karki bycze, piersi jak kaplice, ramiona jak kłody!

Śmieje się myśl, ponosi serce rozedrgane do tych marzeń, nadziei radosnych, wymarzonych...

A las tymczasem przeoblekł się już w szary mrok, pełznący powoli do rozpadlin ziemi, coraz bardziej gęstniejąc, aż póki srebrna poświata księżycy nie wypłynęła z za sosen, cicha i świetlista. Stał tak las niemy, szumiący, przesiany zimnemi smugami światła.

Nie mieliśmy jednak spokojnej nocy. Coś o 2-ej zerwała się nagle ostra i bliska strzelanina. Kule tak darły las, żeśmy z namiotów dęba skroili do okopów — póki nie ścięło.

14 sierpień. Las pod Sitowiczami. — Jakoś nic nie wskazuje, żebyśmy mieli jutro odmaszerować. Mówią nawet, że mamy zmienić II bataljon.

Moskale podsunęli się w nocy pod placówkę w dość dużej sile. Na starej linii okopów wystawili redutkę nawprost 1 pułku. Poszedł na nią z dwoma plutonami porucznik Dechou¹⁾ i podporucznik Gaładyk²⁾, lecz nie dali rady. Sam Gaładyk ranny, prócz tego czterech żołnierzy.

¹⁾ Obecnie pułkownik piechoty. ²⁾ Obecnie major S. G.

Po południu zaczęły tłuc na redutkę niemieckie haubice. Bija cicho, a pociski szorują z delikatnym szumem.

15 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Czytam przez cały dzień, gdyż książki wiara znosi z dworskiej biblioteki, z Rudki Miryńskiej. Dwór zburzony, część jednak jakaś została.

O zmierzchu obsadzamy okopy.

Wieczór chłodny, chmurny, lecz noc zapowiada się ładna. Obsadzamy odcinek 5 i 8 kompanji, gdyż 5 i jedna kompanja 1 pułku atakować ma redutkę rosyjską. Atak poprzedzi huraganowy ogień szesnastu bateryj.

Koc z jedną sekcją zostaje przy 6 kompanji, ja z dwiema — ściagam do okopów. Przed 10-tą pierwsze błyski targać poczęły ciemne bezgwiazdne niebo. Za chwilę krwawe ognie raz po raz wybuchają za i przed redutką, z szumem i warkotem przebiegały pociski swą drogę, z tępym trzaskiem padając nad okopami. Gorączkowy huk dział i trzępianie eksplozji zlały się w jeden różnobarwny łomot. Granaty wytryskiwały w ciemności słupami ognia i krwawych iskier, szrapnele w bajecznie krótkich momentach rozprysku — jaskrawym światłem rozjaśniały noc.

Z łajdacką satysfakcją przypatrywaliśmy się temu widowisku.

Trzymali tak redutkę rosyjską ze 20 minut pod wściekłym ogniem. Gdy łomot ustał, chcieliśmy nadsluchujemy, by pochwycić pierwszy ogień karabinowy. Jakoż trzasnął przeraźliwie strzał rosyjski i rozgruchotały się natychmiast manlichery. Po pięciu minutach zaległa cisza. Redutka w naszych rękach.

18 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Nic się przez dwa dni ostatecznie nie zmieniło. Służba i lekka charatanina. Stoimy przy II bataljonie. Przy kozłach ustawionych wzdłuż drogi — śpi pluton.

Upał sakramencki. Las dyszy ciężko, duszący zapach żywicy bije z rdzawych sosen, na szerokich łąkach drga w słońcu rozgrzane powietrze.

O 2-ej po południu zmieniamy II bataljon. Zajmujemy odcinek lewoskrzydłowy w sąsiedztwie z 1 pułkiem. Okopy podłe, częściowo narzutowe, a że Moskale się do nich nie przystrelali, świadczą dwa potworne leje. Jeden dołeczek rozcharatał druty, drugi za okopem wywalil potężną studnię.

Służba narazie niezbyt ciężka. Dwie placówki, dzienna i nocna, trochę posterunków.

W nocy mieliśmy niejaką awanturę, gdyż placówka z II bataljonu zaczęła wiać na alarm wszczęty przez świeżego rekruta. Wrzeszczał, że Moskale tuż, a że wogóle żołnierz naszego pułku od

czasu Kostjuchnowki wyjątkowo jest zdemoralizowany, placówka zaczęła kroić dęba. Zahamowali jednak kaprale, że skończyło się tylko na wstydzie. Swoją drogą jest to fakt, który się u nas pierwszy raz dopiero zdarzył i świadczy jak z żołnierzem jest źle. Niesłychane zmęczenie, spowodowane dwuletnią służbą, wyczerpanie ostatnimi tak ciężkimi walkami, trudna sytuacja polityczna, te ciągle przeskoki od nadziei do wątpliwości — wszystko to męczy i osłabia. W dodatku w naszych warunkach, gdy kompanje to rodziny, gdzie śmierć oficerów, tak wielkie wywiera wrażenie, gdzie spustoszenie po ciężkiej bitwie odczuwa się w plutonach jak śmierć najbliższych — wszystko to podnosi jeszcze ciężar ostatnich dni.

Komendant o tem wie i niepokoi się. Dlatego też w swym rozkazie na 6 sierpnia z widoczną troską powołuje się na niezawodny dotąd honor polskiego żołnierza.

19 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Napisałem po południu długi list do domu, lecz czułem, że się przymuszam. Jakiś dziwny nastrój mną ogarnął; fatalizm czy też zniechęcenie i niewiara, bo mówię na wszystko „naser mater“. Jeszcze tylko zajmuje i absorbuje służba. Byłe honoru naszego nie stracić, byłe honoru — powtarzam sobie i żołnierzom.

Dzisiaj całym plutonem maszerujemy na placówkę. Chcę koniecznie, by noc spokojnie przeszła, by ani jeden strzał nie został niepotrzebnie dany. Chłopcy też chcą pokazać, że morowość ich nie opuściła — i wierzę, że przekonają o tem każdego.

O 8-ej wychodzimy na placówkę. Dwieście naboju w chlebaku, ręczne granaty przy pasie. Prócz tego na placówce mamy 15 rakiet i kilkanaście granatów karabinowych. Odechodzimy sekcjami. Na placówce jest kapral 3 kompanji Baczyński — od niego odbieramy służbę.

Placówka rosyjska wedle obserwacji poczynionych przez II bataljon ma się znajdować na prawo wskos od naszej lewoskrzydłowej wedety w odległości 300 kroków, t. j. w starych okopach, zaś posterunek rosyjski o 200 kroków. Zostałem na pewien czas przy Staśku Wolskim i Rosińskim, którzy tu pierwsi stanęli na wedecie.

Na placówce ruch. Dwudziestu ludzi z II bataljonu wkopuje drugi rząd drutów i kopie drugi okop. Nasz pluton liczy 18 karabinów, tak że gdyby Moskałom zachciało się na nas zrobić wyprawę, byłoby w nich 38 luf. Mieliby się z pyszna.

Noc widna, cicha zupełnie. Na północnej stronie nieba przevalają się ciężkie chmury. Dochodzi stamtąd oddalony grzmot

i raz wraz migają błyskawice. Wiatr południowy, gorący, suchy od czasu do czasu ciepłym oddechem muska twarze i szelestem napelnia zarośla, trzciny, oczerety Stawoku, gdzie wrzaskliwie trzepocze się wodne ptactwo.

Obszedłem obydwie placówki, Nr. 1 i 3. Trzeci numer obsadza 1 pułk — 18 ludźmi. Poza tem noc przeszła zupełnie spokojnie. Tylko między 12-ą a 1-ą Moskale rozzłoszczeni granatami, które im posyłał z karabinów 1 pułk — otworzyli wściekły ogień z Rudki Sitowickiej na ich placówkę. Łomot się zrobił piekielny, bo każdy strzał wpadał do naszych lasów, za bagienko i tam wrzaskliwie, kilkakrotnie się echem odbijał. Z powodu szybkiego ognia, jaki Moskale otworzyli, las grzmiał, huczał wielkim, potężnym echem.

O północy, z łąk i bagien Stawoku, z nskich wadołów — podniosły się smugi białych mgieł i otoczyły placówkę nieprzeniknionym tumanem. Wedoty jednak widziały doskonale, gdyż mgły wznosiły się tylko z miejsc niskich, z łąk bagien i moczarów. Po godzinie jednak tumany powściąkały w blask księżyca, który zpowrotem począł rzucać ostre cienie.

Chłopcy nieco drzemia, gdyż spokój na odcinku trwał aż do świtu. Rozmawiałem przez cały czas z Kocem, który ma trochę świeżych wiadomości od Sulkiewicza. Dwie mianowicie wersje pochodzą ponoć z dobrego źródła. Wedle jednej z nich w najbliższym czasie utworzone ma zostać prowizorium rządu, składające się z trzech członków: 1-go z ramienia Niemiec, drugiego — Austrii, trzeciego — Polski. Rząd ten ogłosić ma front polityki polskiej jako antyrosyjski i zorganizować 2 polskie korpusy. A że rząd ten powołać ma natychmiast i urządzić cały polski organizm państwowy, więc jest nadzieja, że ochotnik sypnie się gęsto, tłumnie. Prócz tego Austrija do tych dwu korpusów polskich daje dwa ostatnie, najmłodsze roczniki galicyjskie i wciela je do wojska polskiego. Będzie więc to przyznawanie Galicji onemu państwu.

20 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Niema teraz numeru „Reformy“, by nie było w niej coraz to nowych wiadomości o sprawie polskiej, poruszanej już w całej Europie. Ostatnio pisze wiedeńska „N. Fr. Presse“ o bliskim rozstrzygnięciu sprawy polskiej, akcentując, że Polska już nigdy do Rosji nie wróci.

Moskale szykują się ponoć na koniec sierpnia do decydującego uderzenia na Kowel. Gromadzą trzy korpusy wyłącznie na ten atak. Byle Austriacy nie puścili, nie obawiamy się zbytnio tego szturm. Rezerwy mamy głębokie, artylerja morowa, okopy

trochę marne, lecz zaczniemy je naprawiać. Ataków gazowych również się nie obawiamy, gdyż przed kilkoma dniami wyfasowaliśmy wszyscy doskonale pruskie maski ochronne.

21 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Sprowadziłem z taboru „Prądyńskiego“, lecz mało mam czasu do czytania. Dzisiaj z Zygmuntem Chabowskim robilem ziemiankę i jako tako ją urządziliśmy, choć i tam marzniemy srodze. A Zygmunt coraz gorzej się czuje, kurza ślepotą nie ustępuje mu zupełnie. Wczoraj na nocnej służbie kompanijnej musiał go Banaszczak zmienić, gdyż Zygmunt nie widząc wpakował się do wody i zmoczył się solidnie. Biedny chłopak! Czuje się upokorzony, że pożytku z niego niema, bo na posterunkach nie może stać, a nie chce linij opuścić i wyjechać do szpitala.

23 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Pluton ma dzisiaj służbę w kompanji, w tem — patrol. O 1-ej w nocy zawezwano mnie do kompanji. Wziąłem Edka Pfeiffera, Banaszczaka, Ciechońskiego. W kompanji dostałem piętnastu beliniaków z wachmistrzem Napiórkowskim¹⁾. Mam zbadać, czy w małej redutce są Moskale. Podsunąłem się w dwu skokach na 100 kroków od placówki rosyjskiej, lecz że ułany zachowywały się dość hałaśliwie, oświecili nas Moskale rakietą, która wpadła wprost na nas... Uczucie złapanego na gorącym uczynku złodzieja. Nie trza było więcej stwierdzać ich obecności — wobec czego w ciszy zawróciłem. A ułany chodzą na patrole jak krowy. Widać, że koń za nich wszystko musi robić.

24 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Pod Rudką — Czerwische Moskale Hauerowi przerwali front, lecz wdarcie ich zostało przez niemieckie kontrataki natychmiast odparte i umiejscowione. Atak udał się podobno dzięki gazom. Na koniec sierpnia przygotowują się Moskale do decydującego uderzenia na Kowel i Lwów. Mam wrażenie, że będziemy mieli robotę, tem bardziej, że krążą wiadomości, jakoby należało się spodziewać ataków na 25 — 26-y sierpnia...

25 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — Wieczorem o 8-ej odmarsz na placówkę. Z powodu braku ludzi kaprale i sierżanci stoją na wedetach po półtorej godziny. Ja stanąłem odrazu na prawoskrzydłowej wedecie pojedynczej.

Zmrok już ogarniał ziemię. Przede mną czyste pole, rzadka porosłe wysokimi badyłami traw i krzaczkami. Krzaczki coraz

¹⁾ Poległ w wojnie polsko - rosyjskiej w r. 1920, jako porucznik i poseł na Sejm.

więcej zacierają swe kontury, wsiąkając w mrok nocy. Gdzieś daleko pierwsza rakietą poderwała się chyżo do góry i powoli świetlista, migotliwa opada... Za nią druga, trzecia — za chwilę na południe od Bawarów już migotały jedna za drugą.

Denerwują się ci Austriacy fatalnie. U Bawarów, u nas i dalej na północ — również u Bawarów — cisza zupełna. Ani tam strzał nie gruchnie w ciszy wieczora, ni rakietą nie wystrzeli. Posterunki nic nie widząc, ani też słysząc — nie meldują fałszywie, nie alarmują niepotrzebnie.

26 sierpień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Wieczór gwarny ogromnie. Przelatywały trzy eskadry lotnicze, ogółem 28 aparatów. Za każdym razem okopy rosyjskie wściekały się wprost od ognia ręcznego i karabinów maszynowych. Z dołu bił w nie nieustanny, zjadły terkot, ostra szarpanina ognia ręcznego, a w powietrzu wnet je otoczyły wiązanki ognia i białych dymków. Szrapnele jęklawie poczęły pękać i gwizdem spadających czopów napęniały powietrze. A wielkie, warczące owady sunęły zwolna, w szyku patrolowym, spokojnie, pewnie, w określonym celu, ani na chwilę nie zbaczając z raz obranego kierunku.

27 sierpień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Flojar dzisiaj wrócił z urlopu, który miał po zranieniu w Kostjuchnowce. A więc są wiadomości de publicis. Warszawa — według Flojara — poruszona ostatnimi naszymi sukcesami nadzwyczajnie, dumna jest z nich i szykuje się do mobilizacji. Oczekują tam z dnia na dzień ogłoszenia jakiegoś doniosłego aktu, rozwiązującego naszą sprawę.

Rozruszał nas nieco Flojar. Zmęczenie i apatia tak nas już ogarnęły, że ani pisać się nie chce, ani czytać, ni myśleć, to też gdy Flojar przyjechał, na pewną chwilę przeniósł myśl naszą gdzie indziej, rozruszał nowinami, nawiązał kontakt z tem co się w kraju dzieje... Objął też zaraz III pluton.

28 sierpień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Ogólne zadowolenie i poruszenie wywołało dzisiaj oficjalne zawiadomienie o wojnie rumuńsko-austriackiej. Nareszcie gadzinowata Austrija przycisnięta do muru będzie musiała naszą sprawę załatwić.

Nikt się absolutnie tem nie martwi i każdy jest najlepszego ducha, tylko że przypuszczenia o rozpadnięciu się Austrii stają się coraz możliwe a Rosja się jeszcze trzyma. Taka kolejność byłaby gorsza...

Dowiedzieliśmy się tylko jednej, nieprzyjemnej nowiny, że dając się odczuwać brak amunicji. Kończą się nieprzebrane dotąd

zapasy, pułk ma zaledwie po 350 naboju na karabin. Wszystko już przemawia za tem, że wojna chyli się ku końcowi.

Wieczór zapadł chmurny, ciemny. Na linii bezwzględna cisza, najmniejszy głos jej nie przerywa. Nie słychać ani oddalonego dudnienia dział, ani gruchotu ognia ręcznego — cisza zupełna. Wiatr tylko głębokie poszumy zrywa z lasu. Zebrani w okopie zaczynamy śpiewać, z myślą, że na przeciwko Polak jakich z „turkiestańców“, na wiecie stojący, usłyszy nas. Wzbudzi może pieśń tęsknotę w nim gwałtowną za krajem, za swoimi i może przyjdzie, może się uratuje jedno istnienie ludzkie, jedno nie-szczęsne życie polskie.

29 sierpień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Mam w ręku list rady pułkowników do N. K. N. List mocny, wyjaśniający wreszcie wszystkie ciemne nasze sprawy. Naturalnie na bieg wypadków w naszym legjonowym życiu wpłynie on bardzo mało, lecz rozjedzie się szeroko w kraju i otworzy ludziom oczy, czem jest w istocie N. K. N., jaką dla nas wartość posiada, a czem mógłby być i powinien.

Sytuacja polityczna jest tego rodzaju, że Austria chce koniecznie Królestwo dla siebie, motywując to tem, że Polacy aspiracyj niepodległościowych nie mają, że politykę swą opierają na gruncie austriackim (N. K. N., Liga Państw. Polskiej). Niemcy zaś twierdzą, że przeciwnie, prądy austriackie są w Królestwie bardzo słabe. Otóż list ten ma głównie na celu otwarcie oczu Królestwu na istotę N. K. N. i jego polityki wskutek czego, gdy zajdą pewne zmiany w przekonaniach politycznych, to wówczas Austriacy i Niemcy upewnią się, że my tylko i wyłącznie za istotną walczyć będziemy niepodległość.

30 sierpień. *Okopy pod Sitowiczami.* — Po południu, gdyśmy za okopami przy stole siedzieli, przeszedł obok nas Śmigły i Kaden Bandrowski z czterema oficerami pruskimi. Odprowadzili ich do drogi, poczem Śmigły wrócił. Przechodząc obok nas rzucił: — No chłopcy cieszą się, jutro — zmieniają nas Prusacy. Zasypaliśmy go pytaniami. A więc zmieniają całą Brygadę, lecz dokąd idziemy — nie wie. Gdy uśmiechnięty pułkownik odszedł, do Sulikiewicza, który nadszedł właśnie, skoczyliśmy wnet z krzykiem i hałasem, by potwierdził tę wiadomość. Sulikiewicz rozłożył ramiona — nie wiem, jak Boga kocham — bronił się Michał...

Nie daliśmy się jednak przekonać, gdyż Śmigły absolutnie nie żartował. Sulikiewicz natomiast dał nam sporo innych wiadomości, mianowicie, że Puchalski wrócił, że rozkaz o utworzeniu

korpusu pomocniczego już poszedł do Franz-Józefa do podpisania i że na hinterland wyciągną nas napewno. Poza tem, że na naszym odcinku spodziewają się ogromnego ataku, dlatego też sam Bernhardt oglądał przedpola, okopy, i t. d.

Dzisiaj do pułku przyszła jeszcze jedna świetna satyra na powrót Puchalskiego. Ruch teraz jak nigdy, trzęsie się cała Brygada od naprężenia.

A wiara po przeczytaniu memorjału pułkowników, w którym pułkownicy żądali stanowczo naszego wycofania, motywując przemęceniem żołnierza — nie, tylko się nań powołują. Dać rozkaz przy robocie — nie mogą — powiada jedna mała za drugą — szczątki ze mnie by zostały, ostatecznie jestem przemęczony...

31 sierpień. Okopy pod Sitowiczami. — W komendzie pułku ruch. Za chwilę zmieniają Prusacy 1 pułk, lecz o naszej zmianie nie jeszcze nie wiadomo. Spodziewają się jednak, że dzisiaj to nastąpi. Wszyscy mówią o wyjeździe na „hinterland“, snują śmiałe plany, najjaśniejsze marzenia...

Możliwe, że ta zmiana jest w związku z tworzeniem korpusu, choć Sulikiewicz mówi, że to są czysto wojskowe zmiany, aby przygotować odparcie rosyjskich ataków. Lecz nikt wierzyć w to nie chce — wszyscy mówią o „hinterlandzie“.

Pod wieczór zawezwano mnie do kompanii. Wystawiam z plutonem placówkę, gdyż 2 i 3 kompanie zmienił 1 dywizjon kawalerji. Styk tedy specjalnie nasz pluton posyła, gdyż jak odprawa dzisiejsza głosi, na odcinku naszym gromadzą się siły rosyjskie. W korpusie, który mamy naprzeciw — stwierdzono obecność polskiej brygady.

O 8-ej maszeruję na placówkę. Duszo tak, że pot nam zalewa oczw. Lecz po godzinie zaczęły występować już pierwsze symptomy zbliżającej się burzy. Wiatr podniósł się ciężki i szeleścić począł w krzakach nad Stawokiem, na południu gromadzą się ciemne zwały chmur, powietrze staje się nie do zniesienia. Wkrótce rozpętała się burza szalona i deszcz, który nas zlał do nitki.

OSTATNIE DNI I BRYGADY.

1 wrzesień. Okopy pod Sitowiczami. — Spałem do 4-ej po południu. Dzień ponury, chmurny. Jeszcze się nie mogę otrząsnąć z przygnębiającego wrażenia, jakie sprawiły na mnie wieści przyniesione w nocy na placówkę, przez Flojara.

Komendant podał się do dymisji. Jest to ostatni atut jakim bije w Austrjaków. Jeszcze nie wiadomo, czy Austriacy dymisję przyjęli, czy nie.

Sądziłem, że w ostatniej chwili się cofną, lecz gorzej widocznie poszło, bo nas rozdzielają, 1 pułk już pono wycofali, a nasz 5 mają przyłączyć do III-ej Brygady.

2 września. Szarpią nami na zmianę to wieści złe, to dobre. Teraz znów nastał dla nas okres ciężki i zły, tak samo ciężki, jak rok temu nad tym samym Stochodem, gdy rozdzielono Brygadę. Poszedł wówczas jeden pułk i bataljony V i VI z Powurska na Polesie północne pod Kamieniuchę, Wielkie Miedwieże, Kukle, Czartoryjsk i tam wilgotną ziemię Polesia krwią zraszał. Wówczas to my, piętacy, razem z czwartakami, czekaliśmy pod Koszyszczami markotni, niespokojni o losy tamtych pułków, co nam się częstą rodziną w Brygadzie stały. Przeminięło zło. Przyszły pułki schorowane, zbite, zdziesiątkowane, kompanje po 50 bagnietów liczące — lecz Komendant dopiął swego. Brygadę złączył, na odpoczynek wyprowadził, ożywił, duchem swym przemocnym ogrzał.

Poczęły się wówczas dalsze dni naszego życia legjonowego z ciągłą myślą, że chwila wreszcie przyjdzie...

I zdało nam się, że teraz chwila ta nadeszła. Moment jeszcze a rozbłyśniemy, mocą ducha, krwi potęgą zajaśniemy...

Przeliczyliśmy się jednak. Chwila nie nadeszła, a krwawy trud żłobi głębokie bruzdy, szczerbi nasze szeregi. Mimo to mocniejsi jesteśmy niż rok temu, więcej spojeni, bardziej jednaki: duchem złączeni.

I znów teraz, jak wtedy przed rokiem, przyszły chwile ciężkie, złe, „przyszła kreska na 5 pułk“ jak mówimy. I nie tylko nasz pułk jest zdziesiątkowany liczbowo, skapcaniały, w takim stanie wszystkie prawie pułki się znajdują.

Więc tem bardziej nas boli, tem bardziej mściwa myśl knuje zemstę, gdy teraz w takiej chwili ta gadzinowa Austrija jeszcze nami rzuca, jeszcze gra w ciuciubabkę, mami, grozi...

Dochodzi godzina 5 rano. Przy lampie, prawdziwej lampie z kloszem, piszę... Obok mnie dyżurny telefonista smaruje listy, a ziemiankę napelniają głębokie oddechy śpiących. Mam dyżur w kompanji, bowiem gdy pluton obejmuje służbę — komendant plutonu ma służbę oficera dyżurnego. Siedzieć więc trzeba kamieniem w kompanji.

Przed półgodziną wróciłem z patrolu. Wziąłem 7 ludzi i poszedłem zbadać czy okopy wybudowane przez Moskali zeszłej nocy, a przechodzące przez drogę do Sitowicz są obsadzone. Wyszedłem

z placówki Nr. 1. Na szpicy Szczerbiec i ja, w tyle Bolek Papierski z drugą sekcją. Posuwaliśmy się około 300 kroków wzdłuż drogi na prawo, mając z boków pas czarnych zarośli, a na lewo reduty. Szliśmy równolegle do redut polaną, która się wbija klinem między pas krzaków a reduty. Posuwaliśmy się dość wolno, często nasłuchując. Nawprost Moskale nie strzelali, to też nie mogłem skombinować jak są daleko. W pewnej chwili rakiety, puszczone z redutki, którą już mieliśmy w tyle — oświetliły okop, przecinający drogę. Odległość 150 kroków. Idę jednakże dalej. Gdy doszedłem do punktu, w którym się pole kończyło a zaczynała się obszerna, wysoka, szumiąca trawa — zatrzymałem ludzi, a sam ze Szczerbcem posuwamy się naprzód. Naraz nas wstrzymał silny kaszel, idący wprost od drogi, z małej odległości. Nasłuchujemy. Mimo, że wiatr wieje w stronę moskiewską, słychać co chwila wyraźny kaszel dwu ludzi. Odległość może być 50 — 70 kroków. A więc są w okopie. Za chwilę Bolek melduje, że Łapiński i Drożdż spostrzegli światło papierosa w krzakach w tyle. A więc jesteśmy już z tyłu za moskiewskimi ubezpieczeniami. Stwierdziłem co należało i cofam się. Zadanie spełnione, Moskale okop ten obsadzają. Dopiero przy placówce, gdyśmy z hałasem poczęli przechodzić druty, usłyszeli nas mochy i poczęli gęsto strzelać.

Wogóle, mimo nieprzyjaznego wiatru — podsuwania się naszego, Moskale absolutnie nie słyszeli. Chłopcy szli bajecznie cicho.

Jutro, a właściwie dzisiaj ma nastąpić reorganizacja kompanij na dwa plutony. Pluton III zostaje rozwiązany, gdyż ma tylko 12 ludzi. Mój pluton ma 19 i niedługo będzie największym w bataljonie, gdyż ludzie ogromnie marudują. Kompanja 1 liczy 34 karabiny. Coś niesłychanego.

3 wrzesień. Okopy pod Sitowiczami. — Dziadek został wezwany do AOK. Sądzą wszyscy, że dymisja zostanie tam udzielona. Już mamy dyspozycje jak należy ten fakt ogłaszać, by nie powodować upadku ducha. Odjeżdżając Komendant mówił, że Brygadą tak czy owak zawsze będzie kierował. Ostatecznie teraz Komendanta przy sobie trzymać nie możemy, należy on już do Narodu nie tylko do I Brygady.

Bądź co bądź upadek ducha jest duży. Wywołało go to męczące wyczekiwanie, ten dwuletni nasz trud, który oprócz ofiar, krwi przelanej — pozytywnych wyników jeszcze nie dał. A już największy czas, czas największy, by położono koniec Legjonom, by wreszcie je rozszerzono, gdyż takie życie jak obecnie — stało się już niemożliwe.

Flojar wątpi o wygranej mocarstw centralnych. Sądzi, że prze-

liczyły się one w zupełności mówiąc, że „das Krieg ist vorbei”. Aż do wiosny tego roku przez całą wojskowość państw centralnych wygłaszane to przekonanie zgubiło je, wojna się nie skończyła, nie prędko się skończy, bo coraz to nowe elementy sił biorą w niej udział.

Ciężki kamień troski o najbliższą przyszłość przywała myśl. Niepokój co będzie z nami, jaki koniec wojna przybierze. Tem bardziej, że Moskale zdradzają coraz więcej siły. Nowe ataki idą na Włodzimierz Wołyński i na Lwów. A z chwilą gdy na Bug się cofniemy — źle z nami będzie, zupełnie źle. ,

4 wrzesień. *Okopy pod Sitowiczami.* — O 8-mej odchodzę na placówkę. Kilkanaście minut zaledwie minęło po wystawieniu wedet, gdy przybiegł Zygmunt Rosiński z meldunkiem z lewo-skrzydłowej wedety, iż wyraźnie słychać z ganku podsuwających się Moskali. Biorę wobec tego Szczerbca-Jaworskiego, dwa karabinowe granaty i idę do lewej wedety. Tam Stasiek Wolski melduje, że słyszał wyraźnie szept rozmowy i szmer w ganku. Noc zupełnie cicha, najmniejszy nawet wiatr nie gaworzy po krzakach, więc wierzę mu zupełnie. Pod wysokim kątem puszczam zaraz do ganku granat karabinowy. Zaledwie wyrznął, gdy Szczerbiec skoczył w stronę kozła. Tam, w ganku... powiada, widziałem, jak wyskoczył Moskal...

Dajemy we czwórkę trzy salwy karabinowe w tym kierunku, potem jeszcze jeden granat karabinowy. Nadsluchujemy. Cisza zupełna. Wracam więc, nakazując wedetom natychmiast meldować o każdym ruchu moskiewskim. Jakoż za chwilę, gdy zmianę wystawił Władek Łęcki, zaczęły meldować każda wedeta z osobna, co słyszały. Wynika z tego, że Moskale dalej stawiają kozły przed redutami i że wystawili ubezpieczenia, które się włączają prawie pod naszym nosem. Telefonuję o tem do kompanji i otrzymuję rozkaz przeszkadzania. Biorę więc Banaszcza, trzy ręczne granaty i podsuwamy się wzdłuż ganku, w którym ciągle słychać szmery.

Tam ciskamy granaty, które bajecznie pękają.

Lecz Moskale to zbytnio nie peszy. Ucichają na chwilę — potem znowu zaczynają swą pracę. Koło 12-ej, gdy już było słychać nawet ich rozmowy, ściągnąłem wedety i dałem z placówki 10 morowych salw w kierunku robót.

Tak cała noc przeszła. Artylerja tłukła granatami, patrole wychodziły co chwila ciskać granaty, placówka bije bez przerwy. Na moją placówkę po daniu salw — puścili mochy 4 pociski z miotacza min. Ognistą smugą cicho padchodzą i pękają z potworym hukiem, nie wyrządzając jednak najmniejszej szko-

dy. Porównać nawet nie można do tego moralnego działania, jakie wywierają ciężkie granaty.

5 wrzesień. Okopy pod Sitowiczami. — W południe był Haller w okopach. Omawiał kwestję ich wzmacniania.

Obecnie pułk nasz jest pod jego komendą.

Nareszcie mamy pierwszą wiadomość od jeńców z naszego plutonu. Rodzice Wójtowicza, który na Polskiej Górze przy przebijaniu został — piszą do Bolka Papierskiego, że Wojtuś leży ranny w Kijowie. Pisał stamtąd, ranny jest w nogę. Chwała Bogu! Żeby jeszcze nadeszła wiadomość o Adku Goldenbergu i Kucharskim...¹⁾.

8 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — Przyszliśmy dzisiaj do rezerwy. Do południa pisałem listy, które ma zawieźć Lodek Janowski, który jedzie na urlop. Poza tem marzłem, gdyż dzień chłodny, chmurny. Po południu, o 3-ej, maszeruję z plutonem do okopów, na nasz dawny odcinek, na roboty. Robota podzielona jest w ten sposób, że drugi pluton przygotowuje materiał, a ja z plutonem szaluję okopy. Bardzo szybko zrobiliśmy co do nas należało. Robimy na akord. Okopy są układane z darniny, szalujemy przednią ich część.

Wieczorem przyszedł z wiadomościami Sulkiewicz. 14-go przyjeżdża podpułkownik, który się w Krakowie widział z Komendantem. Komendant dzisiaj jest w AOK., a więc Berbecki przywiezie już konkretne wiadomości co Komendant w AOK. uzyskał. Spodziewamy się, że uzyska korpus, lecz również należy się spodziewać, że „awstrijcy“ dadzą korpus, ale za cenę ustąpienia Komendanta. Żeby nie dali — to jest mało prawdopodobne, gdyż wówczas Komendant zgłosiłby zwolnienie od przysięgi, a na rozwiązanie Legjonów nie mogłaby się Austrija zdecydować. Za wielkim atutem politycznym jesteśmy w jej ręku.

Poza tem Prusacy chcą zalegalizować P. O. W., lecz się Komendant na to nie godzi. Prusacy bardziej się będą obawiali niewiadomego.

9 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — Styk zwołał dzisiaj wszystkich podoficerów kompanji na omówienie spraw politycznych w związku z dymisją Komendanta. Wyjaśnił stosunek Komendanta jako jedyne go rzeczni ka sprawy niepodległości Polski, stosunek Jego do c. k. Komendy, do N. K. N. i do Departamentu Wojskowego. W długiej pogawędce mówiliśmy o Komendancie

¹⁾ Kucharski wrócił z niewoli w połowie r. 1918-go. Ranny został ciężko na Polskiej Górze i leżał bez opieki trzy doby, nim go podnieśli sanitariusze rosyjscy (przyp. autora).

z tem ukochaniem, z jakim może najmłodsza, żołnierska dusza polska mówić o Tym, który jej wskazuje drogę, jaką powinna ona iść. I każdy w duszy przysięgał, że temu człowiekowi, sprawie, którą on prowadzi, będzie służyć do ostatniej kropli krwi.

Aby pokazać Komendantowi, że czy to w powodzeniu, czy w czas klęski jesteśmy zawsze z Nim nierozdzielni — zbieramy fundusz na P. O. W. (mianowicie na wydział prasowy) i fundusz ten składamy na Jego ręce.

10 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — Słoneczny dzień... Po surowym, zasnutym mgłami poranku, nastał dzień pogodny, rozkosznie ciepły. Słońce ostatnimi blaskami letniami grzeje i rozświeca świat. Na polanie, przerżniętej „rygłem“ białych okopów, pod ciężkimi gałęziami ogromnych świerków — ołtarzyk polowy. Kapelan pułkowy odprawia cichą mszę. Garstka nas — każdy na swój sposób się modli. Czuję się lekko, swobodnie i dziwnie dobrze. Ta niedzielna świąteczna cisza, ta polana zalana blaskiem słonecznym, stukanie dzięcioła na świerku przy ołtarzu i świergot wesóły ptactwa — napawa duszę dziwnym spokojem. Biała postać księdza Żytkiewicza, na ciemnym tle ołtarza i siwej grupy żołnierzy dziwnie spokojnie się odbija. Cisza świąteczna... W powietrzu płyną bezszelestnie pasma, smugi siwe babiego lata, zapowiedzi surowej zimy... Nie przerywa nic ciszy... Ni trzask karabinów, ni rozgłosny, wiercący szum pocisków.

Po południu roboty w okopach. Robota szła żwawo i szybko, wracamy z hałasem i ze śpiewem. Wieczór cały, że to piwo było wyfasowane, więc wiara humory podreperowała nienajgorzej.

11 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — Wczoraj pod Smolarami atakowali Moskale gazami trującymi, jednak atak się nie udał. Możliwość tych ataków u nas bardzo wzrosła, więc poczyniono wszelkie zarządzenia, mające na celu na czas zaalarmowanie okopów. Alarm odbywa się przez bicie w tam-tam i dzwonienie (dzwonki już wprowadzono).

W ataku pod Smolarami ostrzeliwano bombami gazowymi głównie stanowisko rezerw, rowy łącznikowe i artylerję.

12 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — O Komendancie przyszła wiadomość, że dymisji nie otrzymał i że w tej sprawie Wiedeń z Berlinem ma się porozumieć. A więc znów zwłoka, najgorsza rzecz i najgorsza broń jaką walczą z Komendantem „awstryjcy“.

15 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — Wieczorem po odprawie, na której oprócz dyspozycji służbowych, nic ciekawego poza tem nie było, czytał Styk Flojarowi i mnie, przejęte tajne depesze

rosyjskie, wyjaśniające szczegóły przeprowadzenia ataku z dokładnym szkicem polowego placu broni („place d'arme'u“) przed atakiem. Schemat ten został wykończony po doświadczeniach wojska francuskiego na zachodnim froncie i przez nie podany.

Późnym już wieczorem przyszła do pułku wiadomość, że Rybak-Fordey, cały i nieranny jest w niewoli. Pisał do domu. Jak zwykle wszyscy jeńcy — pisał tylko o sobie.



Ks. Żytkiewicz, kapelan

5 p. p. Leg.

14 września. Las pod Sitowiczami. — Krzątania koło zabezpieczenia przed atakiem gazowym trwa. Kapitan sąsiadujących z nami Badeńczyków miał dla oficerów i sierżantów ścisły wykład o istocie ataków gazowych i o zabezpieczeniu się od nich. Będą prawdopodobnie czynione próby. Każdy mianowicie żołnierz w swojej masce będzie siedział w granatniku, wypełnionym gazem, przez przeciąg 10 minut.

15 września. Las pod Sitowiczami. — Nastaly znów prawie mroźne noce i przeraźliwie chłodne poranki. W nocy marzniemy, a rankami kostniejemy z zimna. W dodatku jeszcze nie wszyscy mają płaszcze. Po południu przeszedłem się na spacer do okopów na odcinek 6 i 2 pułku. Na odcinku 6 porządek wzorowy, o wiele lepszy, niż na odcinku 2 pułku. Okopy budowane według ostatnich doświadczeń. A więc potężne, mocne przedpiersia z wnękami dla poszczególnych strzelców. Również szerokie, grube poprzecznice. Za poprzecznicami równolegle idzie drugi rów dla ruchu, a za nim znowu ściana.

16 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — Dzisiaj już drugi artykuł wstępny Srokowskiego w „Reformie“ — replikuje na uchwały wiecu w Filharmonji. W artykułach swych Srokowski dowodzi, że niepodległość jest to „szczyt świętyny i złuda“, że tylko w oparciu się o potężne mocarstwo, przy utrzymaniu tych warunków bytu jakie posiadamy, możemy dojść w obecnej wojnie do pewnych rezultatów. Za podstawę swych dowodzeń bierze Grecję, która mimo pozornej niepodległości i suwerenności jest pachotką koalicji, która rządzi się w niej jak chce.

Zgrzytamy zębami, czytając te artykuły, a pluton wrze, kląć na czem świat stoi.

Przy okopach już nie pracujemy, kompanja nasza będzie dostarczała teraz tylko drzewnego materiału.

17 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — Dzisiejszy wieczór po otrzymaniu poczty znów przeszedł w zburzeniu. Kilka stronnictw politycznych, nie wyjaśniając zupełnie przyczyny, nie odsłaniając oblicza, zaprotestowało przeciw uchwale wiecu w Filharmonji. Skandal!...

Odwiedził nas dzisiaj Sulkiewicz! Długośmy gwarzyli przy ognisku. Michał ma twarz zmęczoną i wygląda na chorego...

18 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — Paskudny dzisiaj dzień! Ohydny wprost!... Od samego rana tłukła nasza artylerja, chwilami ogniem huraganowym. Jakaś dewersja, czy coś takiego.

W południe, jedząc obiad, usłyszeliśmy niezwykle hałas koło komendy pułku. Skoczył tam Szczerbiec i za chwilę wpada z drgającą, zmienioną twarzą i od progu ziemianki ryknął z rozpaczą: Socha — Sulkiewicz zabity!...

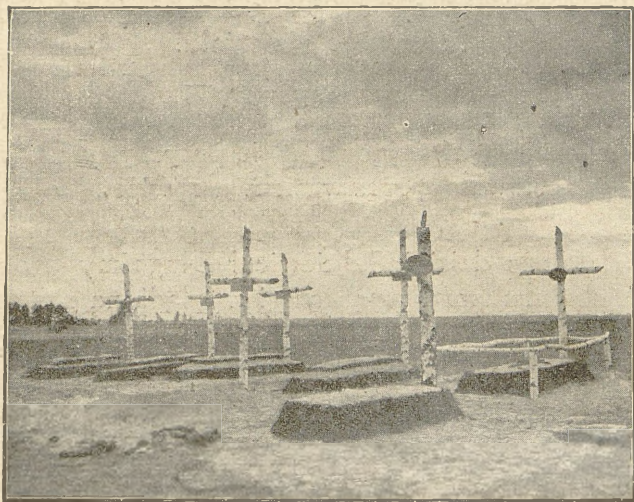
Wlepiłem w niego zdumione, znieruchomiałe oczy... Nie może być, nie może być — powtarzam zdumiony, w oszołomieniu...

Ciężki, serdeczny żal opadł na pluton. Nie mogło nam się w głowie pomieścić, żeby zacnego, kochanego Sulkiewicza, nie było! Taki niezwykle człowiek, taki przeznacny, kryształowy, czysty charakter.

Pod wieczór dopiero dowiedzieliśmy się jak zginął. Po ostrzeliwaniu artyleryjskiem patrol ułański wszedł do okopów rosyjskich i do redutek, stwierdzając, że Moskali tam niema. Zaraz też poszedł pluton ułanów i 10-ciu ludzi z ppor. Robakiem z II bataljonu. Tymczasem gdy ostrzeliwanie ustalo, Moskale zajęli zpowrotem okopy i zbliżającą się śmiało tyraljerę przyjęli ogniem. Ranny ciężko został Koc Adam, ppor. II bataljonu, zabitych 2 ułanów, 3 rannych, no i Michał, który stał nad okopami, przy obserwatorjum...

Jutro maszerujemy do szpitala Brygady na pogrzeb Sulkie-
wicza.

19 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — O 7 rano pobudka. Prze-
rażliwie zimno. Las spowity we mgły, z głębi lasu bije ostry chłód.
O 8-ej po przeciwiczeniu kilkakrotnem salwy honorowej — ma-
szerujemy. Pluton prowadzi sam Styk. O 9-ej byliśmy już w zakła-
dzie sanitarnym Brygady. Zjechał sztab naszej Brygady, z drugiej
Haller, moc poza tem oficerów. Gdy orkiestra 1 pułku zaczęła grać
szopenowskiego marsza, żal taki okrutny ścisnął nam serca, że
sprężone na baczność nogi drżeć, uginać się poczęły...



Cmentarz poległych pod Sitowiczami.
Na pierwszym planie grób Aleksandra Sulkiewicza.

Stał jednak pluton jak mur, surowy, spokojny, skamieniały.
Gdy orkiestra grać przestała, trębacz zatrąbił pobudkę — gruchnę-
ła salwa, ostatnia, pożegnalna salwa dla Michała...

20 wrzesień. Las pod Sitowiczami. — Piszę dziś o Sulkiewiczu.
Chcę zebrać w pamięć wszystkie o Michale szczegóły, oświetlić tę
niezapomnianą postać, tak jak ona się młodym naszym oczom
przedstawiała.

Króregoś jasnego, złotego popołudnia majowego, gdyśmy
w rezerwie stali w „Lasku Polskim“, do kompanji naszej przydzie-
lony został dotychczasowy sierżant prowiantowy, Aleksander
Sulkiewicz. Zameldowanego już w komendzie pułku, przydzielił
Berbecki do I bataljonu, a kapitan Sław odesłał go z rozkazem za-
meldowania się u Styka.

Tak tedy kolejnym porządkiem rozkazów przydzielony — stanął przedemną mały, tęgą, brunatny prawie człowiek i salutując, melduje o swoim przydziale do plutonu.

Ano dobrze!... podałem mu rękę, poprosiłem o kartę woj-skową i stwierdziwszy nazwisko, szarżę, i inne właściwości żoł-nierskie, przeznaczyłem go do sekcji Polonusa. W plutonie przy-jęliśmy Sulkiwicza odrazu z życzliwością serdeczną, gdyż już słyszeliśmy o nim jako o osobistym przyjacielu Komendanta i wogóle jako o człowieku wielkich zasług politycznych i bryga-dowych. W przewidywaniu więc, że będziemy mieli przez niego



Aleksander Sulkiwicz.

wprost z Brygady, od Komendanta wiadomości — których tak czujnie zawsze nasłuchiwaaliśmy — przyjął go pluton przyjaźnie wielce, z punktu „sitwesem“ Dziadka nazwawszy...

Sulkiwicz wszedł odrazu w zażyłe stosunki z plutonem. Znaleźli się wnet „sitwesi“ troskliwi, kapral Polonus Kazik dumny był z posiadania w sekcji swej „Michała“, którego w zienuan-ce i majorowie odwiedzali, a pluton rósł w wiadomości, cieszył się coraz bardziej z Dziadkowego „sitwesa“, rozszerzał dzięki czę-stym z nim gawędom swe horyzonty narodowe i polityczne.

Na robotach, przy granatnikach, gdy nieraz w skwarze sło-necznym, pod jasnym roztopionym zda się od żaru niebem, go-

dzinami przychodziło śmigać łopatami piach ku górze, nie pozwalali Michałowi chłopcy pracować, wyręczając jak kto mógł... Protestował wówczas, z zakłopotaniem odpowiadał, że przecież nie może być pasożytem plutonu, że „pańszczyznę” swoją żołnierską musi odrobić i imał się pracować łopaty, aż do zdrętwienia krzyża wyrzucając ziemię z dołów ogromnych...

Lecz chłopcy podstępem go brali, chwytając na chwilę odłożoną łopatę i nie oddawali mu, broniąc się śmiechem, gdy protestował. Mir i szacunek między plutonem rósł z każdym dniem dla Michała, gdy on wieczorami siadłszy w kole młodej wiary przed ziemianką opowiadać poczynął o ludziach, wypadkach, chwilach wielkich.

A były wówczas wieczory dziwnie piękne. „Lasek Polski” stawał cały w srebrnym, zimnym blasku księżyca... Wielkie konary sosen rzuciły ciemne plamy na jasną biel księżycowego światła, kładły się cieniami wielkimi na spływającą z lasu łękę, a z dali, z rozlewisk wielkich i bagien Styru dochodziły rozgwarry żab, ptactwa błotnego żalosne kwilenia i brzęki melodyjne tysiąca owadów...

Zasłuchiwali się chłopcy losami tego człowieka, chciwie chwytali przebogata, bujną, płodną ich treść...

— Jak łódką motorową przez Bałtyk burzliwy gnał ku dalekiej ojczyźnie, jak z Komendantem na prostym, chłopskim wozie, w przebraniu bylejakim przez granicę pruską się przedstawiał, jak transporty przewoził przez Aleksandrów pograniczny w radosnej ochocie czynu dla Polski...

Nie chciało chłopcom przez myśl przejść, że ten poczciwy, o przezacznie jasnych oczach człowieczek przez tyle lat mógł bezkarnie wywodzić w pole żandarmerję aleksandrowską, nie chciało im się wierzyć, że w oczach tych, które zdawały się zwierciadłem prostoty i dobroduszości, mogły pojawiać się harde błyski zaciętości i tatarski łicie spryt.

I przechodziły tak te gawędy wieczorami ciepłemi, podziw i uwielbienie budząc w młodych duszach dla tego człowieka i dumę, że takich ludzi posiada Brygada, między swą zakamieniałą w wierności sprawie, uporną liczbą tysiąca...

Z początkiem czerwca, po „gramofonowych” wypadach Wytwy, po kontrataku na Garbach — ruszył bataljon na pozycję, długim ciągnąc się sznurem przez mostek rzucony na bagna...

W okopach tych przesiedzieć mieliśmy do końca, do kostuchnowskiej batalji... W czasie tym chadzaliśmy często gęsto na patrole pod młyn na Garbachu, fortyfikowaliśmy łipę na pla-

cówce i wysuwaliśmy czujne podsluchy daleko za szturmowe okopki...

W patrolach tych, choćby co noc prowadzonych, brał zawsze udział Sulkiwicz... Napierał się być na każdym i siedł z karabinem w garści, wśród zroszonych zbóż i białych kominów Kostjuchnowki, radosny — jak nam opowiadał — że był na najdalej na wschód wysuniętej granicy zbrojnej Polski.

Wysechł przez ten miesiąc, zczerniał jeszcze bardziej i do plutonu młodego coraz goręcej się przywiązywał.

Tu mi jest dobrze między wami — mawiał z uśmiechem zrenie pocziwym — i tu już będę chciał zostać do końca...

A gdy go pytano nieraz, czemu wygodną prowjanturę opuszczał, gdy służby tamtejszej z racji jego wieku niktyby mu za złe nie mógł wziąć — odpowiadał żartobliwie, patrząc czy aby gdzie prowjantowca nie widać, że nazwisko czyste chce dzieciom zostawić...

Nadszedł 4 lipiec; pamiętam Sulkiwicza, jak stał samotny w długim okopie, między dwoma trawersami, bo dwóch już obrońców, Maniusia Pacholskiego i Wójtowicza, zabrakło i jak niezmordowanie strzelał, nie przenosząc się za inny trawers, więcej ludny, choć dziwnie obco i źle musiał się czuć sam, oko w oko z Moskalami, walącymi w druty, tuż, tuż... o 20 kroków.

W ogniu huraganowym, w południowej godzinie, gdy nasz odcinek wzbijał się słupami rozdieranej ziemi ku górze, stał obok nas, Adka Goldenberga i mnie — i wysunawszy głowę nad okop obserwował uważnie, bez przerwy, choć jęczały naokół ostre żelaziwa i tumany kurzu i ognia raz wraz przesłaniały widok...

Aż go ofuknąć musiałem, żeby chwilami tylko wypatrywał, bo głowę mu urwie niepotrzebnie, a Moskali przecież jeszcze niema.

Pod wieczór nastąpił odwrót, nasz kontratak i bezlitosne mordowanie chłopów, zastępujących drogę do mostku... Przebiliśmy się Lasku Polskiego i w okopach dopiero co zajętych pierwszą osobą, na którą mój wzrok padł był Sulkiwicz.

Usiadł w okopie zmordowany docna, oddychając ciężko, zda się żadną siłą nie dający się z tej pozycji ruszyć, zmęczony okrutnie.

Lecz gdy za moment od ściany lasu runęło, ostatnie rozpaczliwe „hura“ przy wyrzucaniu Moskali z lasu i gdy ogień wnet błyskami luf się rozniósł — porwał się Sulkiwicz i bić począł ostatniemi nabojami

W nocy odesłał go Styk do taboru — przedstawił mu, że jutro czekają nas sroższe walki, odwrót może na kilkadziesiąt km., którego on absolutnie nie przeniesie...

Uśluchał... Karność jednak uparta w nim trwała, bo w chwili gdy pluton nie mógł się doliczyć, zjawia się Michał i z zakłopotaniem ogromnem melduje, że ma rozkaz odejść...

Uściskałem go serdecznie!... Idźcież, idźcież — powiadam — bo tu faktycznie ciężko będzie — a patrzcie co się z chłopcami silniejszymi i młodszymi od was porobiło — i ukazałem na okop...

Sulkiewicz popatrzył... Leżeli chłopcy oparci głowami o sypką ścianę okopu, bezwładem pozwalani ostatnim i wyczerpaniem bez granic... W zimmem, białem księżycowym świetle zdali się już maskami, z których dusze poulatały na wieki...

Zmęczenie okrutne i trud nad siły poniesiony przebiegał z twarzy, z opuszczonych powiek żołnierzy, których jeszcze czekały dwa dni pracy bolesnej i krwawej...

Uśluchał Michał i z okrutnie ciężkiem sercem opuścił Lasek Polski.

Po tygodniu rozłożyliśmy się już nad Stochodem. Sulkiewicza nie puszczono z pułku, zatrzymano go przy komendzie jako podoficera broni.

Rozdzielony z plutonem, przychodził mimo to doń codziennie i przynosił ciągle wiadomości a i ja zachodziłem często do Michała, gdyśmy już nad Stawokiem stanęli. On przyjmował mię zawsze serdecznie, pogwarkom końca nie było i zawsze powstawał u niego głos żalu za plutonem, który kazali mu opuścić.

Pamiętam, gdy Pachonńskiego porwał granat, bladeść i dziecinne prawie przerażenie Sulkiewicza, że on Kazkowi winien był kilkanaście centów za dług z kantyny i oddać mu już teraz nie może... I obracał w palcach halerze, z zakłopotaniem wielkiem, że on przecież był winien i nie oddał...

Przywiązały się też do niego serca chłopców jak do matki. Najmilsze uśmiechy z uśmiechów żołnierskich miano dla niego, gdy się zbliżył do ogniska najlepsze miejsce wybierano i płaszczem okrywano, gdy jesienne technienia szły chłodem wilgotnym z nad rzeki sturamiennej.

Wczoraj jeszcze do grzejącej się przy ognisku gromadki podszedł Sulkiewicz. Był cichy, jesienny wieczór... przygasły już zorze na niebie, górą po sosnach szły szумы głębokie i na potężne pnie rzucało krwawy blask wielkie ognisko.

Michał zbliżył się do ogniska. Twarz miał dziwnie zmęczoną, smutną i jakby chorą. Powitaliśmy go radośnie, jak gościa

starego, a milego wszystkim w domu — a on zaczął do chłopców, jak to tu, przy ognisku, między jego chłopakami jest mu naj-
lepiej, jak czuje on te dusze młode i jak pokochał je głęboko...

Słuchaliśmy z dziwnem wzruszeniem tego niskiego, tak łagodnego w tym bezmiarze lasów jak szum tych sosen, głosu Michała. Takim głosem przemawia człowiek, któremu chwila ciężarem nieznośnym na duszę opadła, który chciałby się otrząsnąć z bezmiernego ciężaru i odnaleźć się wśród młodych, a wier-
nych serc, jak serca dzieci miłych...

Przysiadł się Michał do ogniska i snuć się poczęła gawęda żołnierska o Komendancie, ludziach, rzeczach i wypadkach w tej Polsce naszej, do której dróg szukamy po bezdrożnych lasach wo-
łyńskich, wśród ognia i krwi.

Aż wczoraj ta straszna nowina. Niema już Sulkiewicza, nie-
ma Michała...

21 wrzesień. *Las pod Sitowiczami.* — Wieczorem u mnie w „gabiniecie“ wesoło i gwarno. Jest Koc, Chabowski, którzy po południu przyjechali z urlopu, Flojar. I pluton prawie cały. Po-
lityka, aż nie może się zmieścić w ciasnej ziemiance. Przed nami numer „Reformy“ a w niej grubemi literami wydrukowany te-
legram o zmianie Legjonów na „Polski Korpus Posiłkowy“.

A więc wreszcie są koncesje. Czy Austriacy tworząc korpus zwróćą się przeciw Komendantowi i wysuwając na czoło kre-
atury, postarają się zgnieść Brygadę, czy też po utworzeniu kor-
pusu pójdą również po drodze ustępstw politycznych i w ten spo-
sób wreszcie dojdą do jakiejś zasadniczej zmiany położenia? Nad
tem się zastanawiamy. Nic dotąd jednak niewiadomo, niewiado-
mo co Komendant dotąd powiedział.

22 wrzesień. *Las pod Sitowiczami.* — Styk jest nieco nie-
zdrowszy, zastępuje go Koc, więc ja nadal się garuję. Wprowadził
się do „gabinetu“ mego Sierosławski z kancelarją, który zastę-
puje teraz Łódka Janowskiego i przemieniliśmy nieco urządze-
nie ziemianki.

Wieczorem w „Reformie“ i „Naprzódzie“ czytamy oświetle-
nie sprawy utworzenia korpusu. „Reforma“ pisze, iż jest to dzie-
łem N. K. N. i Departamentu Wojskowego, jednak cofa się nie-
co ze swojej polityki austriackiej i pisze już o niepodległości.
A wogóle od ostatnich swych słynnych artykułów Srokowski
mleczy zupełnie. „Naprzód“ zaś oświeśla tę sprawę jako jedyną
i wyłączną zasługę Piłsudskiego i rady pułkowników.

Bajecznie się sprawdziła piosnka Wieniawy: „Bando, bando—
czego ty jeszcze chcesz“. Prorocza wprost piosenka! I pan „gie-

nerał będzie w maciejówkę lub ubierał i sztandary dostaniemy i „więcej nie możemy, nie...”

Naturalnie w c. k. Komendzie i w II Brygadzie radość z powodu korpusu ogromna. A u nas... Kpi sobie wiara już na potęgę i z tych sztandarów i maciejówek i z widoków awansu. Psiekrwie Austriacy myślą, że nas wezmą na lep błyskotek narodowych — głupia hołota.

25 września. *Las pod Sitowiczami.* — Przeznaczył mię Styk do wypowiedzenia oracji w imieniu I bataljonu przed Berbeckim, który dziś, jutro ma przyjechać.



W mojej ziemiance.

26 września. *Las pod Sitowiczami.* — Nareszcie przyjechał podpułkownik. Przez dzień cały układałem moją orację, którą mam powiedzieć Berbeckiemu. O 2-cj już zatelefonowano, że pułkownik jest w Piasecznie. Zatrzymał się w Brygadzie na obiad i o 5-ej zajechał. Przywitały go godnie kompanje 1 i 4 przed komendą pułku. Ustawił się szpaler, półbataljon sprezentował broń a ja z delegatami od poszczególnych kompanij wyszedłem naprzeciw z trzaskiem i hukiem zajeżdżającej bryczki i tłumy konnych oficerów. Schodzącego z bryczki rozradowanego, rozjaśnionego pułkownika przywitał major Burhardt-Bukacki, który na czas nieobecności Berbeckiego miał nasz pułk — poczem nasza czwórka delegatów zasalutowała i ja dość pewnie zacząłem swoje przywitanie. Berbecki stał przede mną w rozwianym płaszczu, jasnymi, radosnymi oczyma się wpatrując. Skończyłem — Berbecki wycelowawszy się z nami, odpowiedział, że mu wielką radość

sprawia nasze przywitanie, lecz życzyłby sobie, byśmy na drugi raz po takich stratach witać się nie potrzebowali.

Przed prezentującym broń półbataljonem przywitał go Narbutt „Wita Cię podpułkowniku pierwszy bataljon uszczuplony w liczbie, lecz zawsze ten sam, pełen przywiązania do swego pułkownika“.

Berbecki był wzruszony do głębi. Do skamieniałego na baczność półbataljonu się zwrócił i przywitał go „nie nowina, że Polskę wiezie, bo Austriacy obiecują nam na 15-go, lecz wiemy, że po tym 15-ym inny znów nadejdzie — lecz my choćby do 2000-go roku czekać mieli, musimy Polskę mieć. Nową sławę znów zyskamy, kończył, lecz prosimy Boga by jej nie uzyskać za cenę takich ofiar, jakie ponieśliśmy“...

Głębokie wzruszenie ogarnęło żołnierzy. Z prawdziwem przywiązaniem patrzyli mu w oczy. A podpułkownik wyściskał wszystkich oficerów, a potem zwracając się do żołnierzy, rzekł, że radby z każdym się uściskać, lecz rady nie da, poprzestając więc na prawoskrzydłowych — i wycałował sierżanta Miłosza i Edka Pfeiffera, którzy stali na skrzydłach.

Zaraz po przywitaniu — odmaszerowaliśmy do okopów. Zmieniamy II bataljon. Odcinek ten, ulepszony nieco, zabudowany. Są dwie ziemianki, jedna skończona, druga niezupełnie. Ja mam malutką ziemiankę, którą zajmuję ze Szerbceem-Jaworskim i Zygmuntem Chabowskim.

27 wrzesień. Okopy pod Sitowiczami. — O północy pluton maszeruje z Kocem na placówkę. Ja zostaję na dyżurze oficerskim. Noc paskudnie ciemna. Wychodził właśnie pluton na placówkę, gdy nadeszło uzupełnienie. Ze starej wiary wrócili ze szpitala ranni pod Kostjuchnowką: Maniek Pacholski i Siewicz, a wogóle do kompanji wróciło dziesięciu chłopców.

Nie zdążyli się nawet przywitać, gdy zaraz musieli pójść na placówkę. O 2-ej w nocy poszedłem na rond pacówek. Zimno potężne, przez mostek na Stawoku ledwo można przejść, taki oślizgły i oszroniały. Noc tak cicha, że słyhać doskonale każdą zmianę moskiewskich wedet.

28 wrzesień. Okopy pod Sitowiczami. — Po nadejściu uzupełnienia nasza kompanja jest teraz najsilniejsza w pułku. Po południu próbowaliśmy maski. Siedzieliśmy 10 minut w granatniku napelnionym gazem. Dzisiaj imieniny Styka, Koca i moje — więc było trochę popijawy

29 wrzesień. Okopy pod Sitowiczami. — A więc stało się.

Stało się to, o czym baliśmy się myśleć! Dymisja Komendanta przyjęta, I Brygada rozwiązana...

Okolo 2-ej Styk po powrocie z oficerskiego zebrania zawezwał Flojara, mnie, Władka Łęckiego i Edka Pfeiffera, ogłaszając nam oficjalnie iż I Brygada nie istnieje. Została rozbita, 1 pułk z 2 włączono do brygady Januszajtisa, 3 z 4 brygadą Zielińskiego, nasz 5 z 6 — brygada Hallera. Ze zgrozą słuchaliśmy co nam dalej mówił. Rozkaz Komendanta jest następujący:

Od dzisiaj wszyscy królcwiacy podadzą się o zwolnienie z Legjonów, wszyscy galicjanie o przeniesienie do c. k. armji. Motyw: ponieważ w związku z dymisją Józefa Piłsudskiego i podziałem I Brygady — Legjony przestały być formacją skierowaną w celu utworzenia armji i państwa polskiego, a zamieniają się w c. k. armję — służbę moją w Legjonach uznaję za nieużyteczną dla dobra Ojczyzny.

Oprócz tych kroków wszyscy galicjanie, aby uchronić się od c. k. armji mają się zgłaszać jako chorzy. Wszyscy oficerowie podają się do dymisji. Niestety — mówił dalej Styk — ja wyjeżdżam jeden z pierwszych: idźcie ogłoście to w plutonach. Pamiętacie jednak, że nie jest to czyn rozpaczny, jest to tylko jeden z etapów walki Komendanta z zaborcami...

Wyszliśmy. Zebrałem pluton w ziemiance. Ledwie mogłem mówić. Chłopcom mieniły się twarze jak w gorączce.

A więc koniec! Rozpierzchnął się pluton, każdy chodzi napół obłąkany. Pustka przeraźliwa wieje zewsząd.

30 września. Okopy pod Sitowiczami. — Noc całą biłem się z myślami, które opadły mi jak kruki. Marudować! Po 24 miesiącach nieprzerwanej służby w polu iść na tyły nie ranny — lecz jako chory, jako maruder obijać się po szpitalach. Jak tu pogodzić rozkaz z tem paskudnem, złodziejskiem uczuciem ucieczki z linji.

A jednak trzeba coś poradzić. Wątpię ażeby sześć bataljonów mogło przestać istnieć. Będzie to stan wiecznie zapalny, wiecznie rozjątrzony, a wogóle nie wydaje mi się ten sposób odpowiedni.

A tymczasem wypadki rozwijają się szybko. Styk z Pandorem-Furgalskim już odjechał. Po południu nadeszła wiadomość, że beliniacy chcą się przedrzeć do Królestwa, że 1 pułk chce złożyć broń.

Wieczorem przyszły jeszcze gorętsze wiadomości. Komendant i Sosnkowski ponoć internowani. Roja chce uderzyć na Komendę Legjonów. Tam ponoć popłoch, nieopisany zamęt.

Pod wieczór zgadzałem się z Malskim¹⁾, sierżantem II bataljonu i Fokiem z 3 kompanji. Również im te stawania do raportów i te wstrętne marudowania nie wystarczają. Trzeba wystąpić radykalniej i ostrzej. Narazie jednak lepiej się musimy zorjentować w wypadkach, więc idziemy do Narbutta. Prosimy go o szczegółowsze informacje, następnie zakomunikowaliśmy mu nasz sąd o dotychczasowych metodach działania. Uważamy je za mało stanowcze, za niewystarczające i wyrażamy pragnienie zastosowania środków bardziej radykalnych. Narbutt się zgodził z nami, wyjaśniając, że wczorajsze postępowanie obliczone było na metę dzisiejszego dnia. Chodziło o demonstrację, która się w zupełności udała. W najbliższym czasie przyjdą świeże dyspozycje od Komendanta — dowiemy się we właściwym czasie. Zresztą ufajcie nam — ja was nie opuszczę póki choć jeden żołnierz z bataljonu będzie na froncie. Tem nas pożegnał...

Poszliśmy jeszcze do Berbeckiego, lecz w pulku go nie było. W II bataljonie ani jeden prawie oficer nie zostaje, gdyż sami tam galileusze. Postanowiliśmy na jutro zwołać zebranie delegatów poszczególnych kompanij w celu omówienia ostatnich wypadków.

W 6 pulku podobno straszne bezhołowie. Kilku szóstaków przeszło do Moskali, tak, że wiedzą tam co się u nas dzieje. Nie daj Boże, aby teraz miał nastąpić atak rosyjski.

1 października. Okopy pod Sitorowiczami. — Przed południem w II bataljonie zebranie przedstawicieli wszystkich kompanij 5 pulku: odczytano memoriał zaproponowany przez 1 pulk. Żądają w nim zwolnienia Legjonów i odpowiedzi w ciągu 48 godzin, inaczej składają broń. O 6 wieczór ma się odbyć zebranie delegatów wszystkich pulków piechoty, dwóch pulków kawalerji i pulku artylerji. Na zebraniu stawiamy wniosek, aby delegaci żądali użycia jak najradykalniejszych środków, a mianowicie złożenia broni. Za złożeniem broni przemawiał Flojar i ja. Ja szczególnie ostro odpierałem zarzuty skierowane przeciwko użyciu takiego kroku i wniosek przeprowadzono. Grunt nam się pod nogami pali. Wczoraj wywieźli Sosnkowskiego i Roję, dziś mogą wywieźć Berbeckiego i Śmigłego, a natenczas wszelkie stawanie do raportu, wszelkie wojskowe, żołnierskie przeprowadzenie naszej decyzji nie da się pomyśleć, gdyż raporty nasze powrzucają do kosza. Na delegatów w pulku wybrano Hempla²⁾ z 1 kompanji, Wierzbickiego³⁾ z 8, Fłojara i mnie, więc udaliśmy się na-

¹⁾ Obecnie kpt. rez.

²⁾ Obecnie kpt. rezerwy.

³⁾ Obecnie kpt. piechoty.

tychmiast do Berbeckiego. Przeciw użyciu jak najradykałniejszych środków niema on nic. Jutro przy raportach kompanje mogą zameldować, że w razie niewysłuchania, żądań zwolnienia, składają broń.

Tego nam tylko było trzeba. Wieczór już zapadał, gdy siedliśmy na furę z przedstawicielami V bataljonu, z którymi pojechaliśmy do rezerwy 1 pułku. Tam niewiele żeśmy się dowiedzieli. Tyle tylko, że generalne zebranie jutro o 2-ej. Zebranie



Oficerowie 1 bataljonu 5 p. p. Legionów. Licząc od lewej strony ku górze: ppor. Podolski, por. Dumin, ppor. Mazur-Sekara, por. Rokita-Maksymowicz, ppor. Wasilk, kpt. Narbutt-Luczyński, ppor. Śmiłowski, kpt. Ludwik Piskor, kpt. Sław-Zwienzyński, ppor. Świeraszcz, por. Borek, ppor. Trapszo, ppor. lekarz Paczesny, kpt. Berbecki, ppor. Styczyński, por. Tunguz-Zawiślak, ppor. Wienzbiński, por. Toporezyk-Bleszyński, ppor. Mirski. Siedzą na stopniach, licząc od dołu: por. Hojec, ppor. Jagmin-Sadowski, ppor. Długosz, ppor. Czerny-Szwarcenberg.

przedstawiceli wszej broni legionowej. Jak nas tu poinformowano pułk 4 i 6, 1 dywizjon artylerji i pułk kawalerji w zupełności się z nami solidaryzują. Poza tem jutro przyjeżdża Stachiewicz z rozkazami od Komendanta.

W nocy byłem na placówce. 1 kompanja straszyła, że ponoć Moskale usadowili się w ganku tuż za naszym kozłem. Poszedłem tam ze Szczerbcem, lecz na przedpolu za 10.000 koron ani jednego Moskala nie znajdzie.

2 października. *Okopy pod Sitomiczami.* — Przyjechał Żymierski, ponoć ze wspianiałemi wieściami. Brać je jednak trzeba

z zastrzeżeniami, gdyż jego pierwszego c. k. Komenda już kupiła. Wogóle tamta strona w walce z Komendantem chce kupować naszych ludzi gwiazdkami.

Do I bataljonu wrócił Ulrych, Młodkowski¹⁾, Tytus Filipowicz²⁾ i cały szereg oficerów I Brygady, którzy podali się do dymisji u Sikorskiego w Piotrkowie.

3 październik. Okopy pod Sitomiczami. — Zdaje się, że koniec już bliski. Z głosów prasy, z najróżnorodniejszych malutkich oznak, z dyplomatycznych grzeczności, ze sprytnej mowy Bethmana — coraz bardziej jasne, coraz bardziej pewne się staje, iż między centralnymi państwami a Rosją targ o naszą skórę został ubity. I milczenie Bethmana i ustąpienie Stuermera i powrót Kokowcewa — wszystko przemawia za tem.

Więc to już koniec. Błąka się uparta myśl, i rzuca się jak ptak w więzi, szukając ratunku. A może w ostatniej chwili Niemcy rozrzuca karty i zwróca się w inną stronę, gdy Rosja za twarde postawi warunki?...

Jakiś dziwny smutek i cisza ogarnęły pozycje. Leguny zmiłkły, o „hinterlandzie“ przestały mówić, nie psioczą nawet na służbę. Śpiew umilkł, nie wtórzy już szumom drzew.

Chodzę po lesie i pogwizduję. Przyglądam się białym brzo-zowym krzyżom, okopom czarnym na niskim grząskim gruncie budowanym, schronom potężnym, rytym na wydmach piaszczystych, przyglądam się najdrobniejszym szczegółom — żegnając okopy, front, pozycję.

4 październik. Okopy pod Sitomiczami. — Jesień. Chłodne surowe wiatry targają lasem, sypią krwawymi liśćmi.

Niewesoło na duszy. Jakoś stanęło wszystko. Mówią nieco o zmianie, o wyjeździe na tyły, ale ot tak mimochodem, od niechcienia.

Pod wieczór nieco się rozruszałem. Wicz przywiózł nowe wiadomości. O 6 po południu odbędzie się wobec tego zebranie rady żołnierskiej.

W ziemiance 6 kompani aż ciemno od dymu papierosów. Rozsiadła się wiara po kątach, na pryczach i kurząc „cienkie“ gwarzy przed oficjalnem otwarciem zebrania.

Zagaja Lewin³⁾, na przewodniczącego wybieramy Plachtę⁴⁾ Malskiego na sekretarza. Hempel zdaje sprawozdanie z obrad delegatów pułków. Na zebraniu tem byli przedstawiciele wszystkich

¹⁾ Obecnie kpt. piechoty.

²⁾ Sierżant 5 p. p. Leg. Obecnie poseł i minister pełnomocny Rzeczypospolitej Polskiej w Belgji.

³⁾ Obecnie mjr. piechoty.

⁴⁾ Obecnie mjr. piechoty.

pulków z wyjątkiem 3. piechoty. Komenda Legjonów, podając za przyczynę akcji naszej zmęczenie żołnierza — osiągnęła wycofanie Legjonów na tyły. Tam mają nas porozdzielać, przemundurować, odkarmić, gwiazdkami kupić słabszych, opornych pozamykać. I wrócą Legjony po tygodniach na front, uszczuplone w liczbie, ale zawsze jako Legjony. A o to ponoć Austrii chodzi ogromnie. Postanowiliśmy wobec tego akcję stawania do raportów przyspieszyć, by skończyć ją do jutra wieczorem. Wszystko to na podstawie instrukcji przywiezionej przez Stachiewicza od Komendanta.

Ze smutkiem jednak stwierdzamy brak przedstawicieli 3 pułku. Postanowiono koniecznie z nimi nawiązać kontakt, co polecono mnie, jako że sąsiaduję z karpaciarzami.

O 9-ej szybko wracamy — gdyż na linii ruch. Bije artylerja rosyjska, nawet nam nieco granaty zagradzały drogę, lecz jakoś szczęśliwie dotarliśmy do kompanji. Moskale atakują 6 i 2 pułk.

Za chwilę dyżurny z kompanji melduje o pogotowiu. Spodziewany jest atak na 5 pułk — tak meldują sąsiedzi, gdyż na lewem skrzydle Sitowicz zauważono ruchy Moskali.

Noc jednak przeszła spokojnie.

Moskale wdarli się tylko do okopów 2 pułku, lecz natychmiast kontratak wyrzucił ich zpowrotem.

5 październik. Okopy pod Sitowiczami. — Nawiązałem łączność z 3 pułkiem. Pogadałem z pierwszym lepszym sierżantem z brzegu, wyjaśniając o co chodzi i już dzisiaj zjawili się delegaci ich kompanij u mnie w ziemiance, która zaroila się od karpaciarzy.

Chłopcy zielonego pojęcia nie mieli o sytuacji. Po scharakteryzowaniu całej działalności Komendanta od roku 1914, po przeczytaniu sierpniowej uchwały rady pułkowników — wyjaśniłem im szczegółowo obecną sytuację. Nie brakło naiwnych pytań — jednak w wyniku ostatecznym z akcją naszą w zupełności się zsolidaryzowali i obiecali przeprowadzić stawanie do raportu.

Komendant podał się do dymisji i kazał nam rozpocząć obecną akcję ponoć w tem przekonaniu, że między państwami centralnemi a Rosją stanął już układ, którego mocą nasza sprawa została już ubita. Ponoć Anglja zawarła już z Japonją traktat, w którym zawarowała sobie uderzenie Japonji na tyły Rosji, gdyby ta jeszcze przed zimą opuściła koalicję.

W nocy poszedłem z plutonem na placówkę. Noc chmurna, wilgotna, lecz niezbyt chłodna. Ostatni raz na placówce, gdyż jutro nas zmieniają Austriacy. Kto wie czy to nie ostatni raz

wogóle na froncie, wobec czego całą noc przesiedziałem z plutonem właściwie pod okopami Moskali. Do świtu wystrzelaliśmy prawie wszystkie naboje, obrzuciliśmy okopy rosyjskie wszystkimi granatami jakie mieliśmy. Na zapas...

6 październik. Okopy pod Sitowiczami. — Dzisiaj wieczorem zmienia nas 11 pułk austriaków. Jutro siadamy do wagonów i jazda ale dokąd, tego nawet Cybulka nie wie.

A mówią różnie. Kazamaty modlińskie. Warszawa, front włoski, Dobrudża, cylinder, laseczka. Porządek wyjazdu: kawalerja, artylerja, piechota.

Przez cały dzień pluton był zajęty porządkowaniem odcinka, który o 3-ej oddaliśmy Austriakom. Celem zorjentowania ich w pozycji zostawiamy im trzech ludzi z Mauzagenem.

O 7-ej zbiórka. Wiara trochę podśpiewuje, lecz humor jest wyraźnie sztuczny.

O 10-ej stanęliśmy w Piasecznie, gdzie nocleg.

7 październik. Piaseczno — Stebli — Brześć nad Bugiem. Maszerujemy przez Grywiątkę do Stebli. O 5-ej odjazd. Konserwy nam wydają na 3 dni i mówią o Baranowiczach. Późnym wieczorem odjazd.

Leguny mimo wszystko poczynają śpiewać i przez drogę ze wszystkich wagonów z sykiem wylatywały świetlne rakiety, znacząc wśród czarnej nocy odjazd legunów z frontu. Wyobrażamy sobie wściekłość Austriaków i zdumienie Moskali, którzy musieli widzieć ów transport z iluminacją.

8 październik. Brześć nad Bugiem — Baranowicze. — Rano znaleźliśmy się w Brześciu. Po śniadaniu jedziemy — już napewno w kierunku Baranowicz.

Pociąg mknie przez kraj płaski z rzadko rozsianymi laskami. Łąki zczerwieniałe, pożółkłe trawy, szerokie, jasne przestrzenie. Od czasu do czasu wpadamy z hukiem w gardziele lasu, w złote warkocze brzoź, czerwone dęby, w brązowe pościeliska paproci.

Zostawiamy stację jedną po drugiej za sobą. Grzmotem kół przewalił się pociąg przez most na Szczarze i gnamy coraz dalej i dalej bez chwili przestanku. Stanęliśmy wreszcie w Baranowiczach. Tu maszerujemy do koszar rosyjskich saperów kolejowych.

10 październik. Baranowicze. — Rozpoczęliśmy normalne, koszarowe życie. Plutony w obszernych salach, bardzo porządnie urządzonych. Flojar, Kragosz-Gorzkowski¹⁾ i ja mamy bardzo ładny pokoik od ulicy.

¹⁾ Obecnie mjr. piechoty.

Mieliśmy dzisiaj kapitalny dzień. W południe została zapowiedziana wizytacja kwater przez chwilowego komendanta Legjonów pułkownika Szeptyckiego. (Puchalski wyjechał do AOK). Ruch więc w koszarach, o 12 przed wejściem stanął Narbutt, sierżant Nowina- Joniak i ja jako oficer inspekcyjny. Dość długo czekaliśmy a tymczasem zanim nadszedł Szeptycki — przybiegł do nas zadyszany dlubinosek z 1 pułku z wiadomością, że oni wiwatowali Komendanta, co mamy uczynić i my. Dobra jest!...

Za chwilę nadchodzi Szeptycki. Pokolei mu się meldujemy i wchodzimy do pierwszej sali, gdzie staje na baczność przed Szeptyckim Wąsik. Naraz z głębi sali ostro, donośnie, zapalczywie rozległ się głos: „Niech żyje Komendant Józef Piłsudski“! Po trzykroć runęło ogromne, wściekle hura, hura, hura!...

W Szeptyckiego jakby uderzył piorun. Poczerwieniał po białka i począł trząść Narbuttem, coś mu tam w czasie krzyku hura gwałtownie mówiąc, czego Narbutt nawet nie rozumiał.

Umilkł tymczasem wrzask wiwatów. Szeptycki sztywny, wyprostowany nie mówiąc już słowa — przeglądał wszystkie sale. Po lustracji zwrócił się do Narbutta: — Pan każe zwołać wszystkich żołnierzy tu, do środkowej sali.

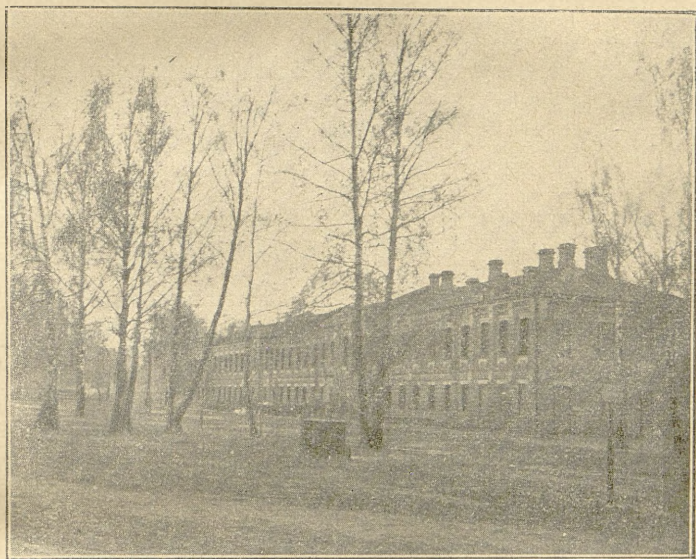
Zebrałiśmy się. Ścisnęło się tak zwarte koło, że ja stałem tuż pod lokiem Szeptyckiego. Pułkownik, górujący nad wszystkimi swym ogromnym wzrostem, przyglądał się żołnierzom, wreszcie kazał Narbuttowi postawić wszystkich na baczność i powolnym głosem, z dużymi przestankami, począł mówić:

— Gdy tuż wchodziłem — mówił Szeptycki — powitały mnie okrzyki na cześć byłego waszego brygadiera, pana Józefa Piłsudskiego. Chcieliście w ten sposób zaznaczyć, że uważacie mnie za wroga waszego i za wroga pana Piłsudskiego. Zrobiliście tę demonstrację. boście sobie w waszych mądrych głowach umyślili, że mię w ten sposób obrażacie. Czyż nie tak?... Była to demonstracja przeciwko mnie, tak, czy nie? Powiódł oczyma po żołnierzach. Odpowiedziało mu gluche milczenie. Po chwili zaczął dalej.

— Otóż wy myślicie, że ja jestem nieprzyjacielem pana Piłsudskiego. A czyż wiecie że ja, gdyście wy jeszcze nie znali pana Piłsudskiego ja już go swoją osobą osłaniałem. Nie wiecie, że ja jestem najlepszym przyjacielem pana Piłsudskiego i gdy on podawał się do dymisji, ja go przez dziesięć godzin prosiłem by tego nie czynił. Ale pan Piłsudski uparł się i do dymisji się podał. Nie będę tu roztrząsał czy dobrze zrobił, bo choć pan Piłsudski dla Polski wiele uczynił... tu machnął ręką i powiódł,

okiem po bladych, zneruchomiałych z wściekłości twarzach żołnierskich... Zaczem mówił dalej:

— I wy, adherenci pana Piłsudskiego, nawet nie wiecie, ile ja głupstw, które ta pierwsza brygada — wyraźnie to podkreślił — ciągle nad Nidą robiła, musiałem własną osobą i własną karierą osłaniać jako szef sztabu II korpusu. I wy teraz myślicie, że przez podawanie się o zwolnienie z Legjonów, tak jak wasz Komentant — robicie dobrze? Nie wiecie, nie przypuszczacie, że te wasze dymisje, to rozbijanie dzieła, które przez dwa lata setki i ty-



Baranowicze.

siące krwią swą utrwalalo, że te wasze dymisje to radość dla tych wszystkich wrogów Polski, których jest więcej niż wy macie włosów na głowie. A wy w swoich mądrych, politycznych głowach myślicie, że to wszystko zrobiliście, gdyście się podali do dymisji. Nie, to jeszcze koniec nie będzie. A ja żeby was przekonać, że wrogiem pana Piłsudskiego nie jestem, a naodwrot jego przyjacielem, rozkazuję wam nie trzy a sześć razy wznieść zdrowie pana Piłsudskiego. I zwróciwszy się do Narbutta rzekł: Każ pan żołnierzom wznieść sześciokrotny okrzyk.

Narbutt powiódłszy jasnym, promiennym wzrokiem po nas, zawołał: Chłopcy, niech żyje nasz Komendant, Józef Piłsudski!... Siedem razy runęło potężne hura.

Szeptyczny stał przez cały czas wyprostowany z dłonią na daszku. Gdy okrzyki zmiłkły — zwrócił się znów do kapitana.

— Pańscy żołnierze nie wiedzą, że jak się chce kogo uczyć przez okrzyk — cały czas należy salutować¹⁾.

Narbutt zbladł jak ściana. Po żołnierzach przeszedł wstrząs. Oczy się rozpały.

Wzniesliśmy jeszcze sześciokrotny okrzyk i na tem inspekcja została zakończona.

Przez dzień cały o niczem innem nie było mowy. Poza tem Januszajtis podobno zrzekł się I Brygady, a Sikorski 3 pułku. Pułk 3 ma objąć wobec tego Norwid, a 6 Galica.

11 października. Baranowicze. — Ćwiczymy na placu cały dzień razem z czwartakami.

Z bizantyjskiej, wysokiej „kołokolni“ rozlegają się od dzisiaj dźwięki hejnału, który wygrywają trębacze naszej orkiestry, o 7 rano, 12 w południe i 7 wieczór.

12 października. Baranowicze. — Pisałem najspokojniej listy do domu, gdy wpadł nagle inspekcyjny z zawiadomieniem, że o 10 zbiórka. Był przed chwilą Szeptycki w koszarach i kazał zebrać pułki 5, 1 i 4 na placu. Bez broni, tak jak stoją...

Nie posiadam się ze zdumienia. A gdzie oficerowie?

— Niema ani jednego. Wszyscy na odprawie pułku i prawdopodobnie zostali zatrzymani — odpowiada Bolek Binder²⁾.

Genię więc za delegatami kompanijnymi z rady żołnierskiej, uradzamy naprędce jak się zachować, zastanawiając się, co znaczy cała ta awantura.

Brygadjer przyjeżdżający do koszar i sierżantowi nakazujący zebrać trzy pułki — coś niesłychanego.

Przypuszczamy, że Szeptycki będzie się pytał poszczególnych żołnierzy o powody podania się o zwolnienie. Albo chce przekonać naszych oficerów, że akcja ta jest nakazana, albo też chce nas zastraszyć.

O 10 zbiórka. Prowadzimy kompanje, nadchodzą już i kompanje 1 i 4 pułku — wszystkie prowadzone przez sierżantów. Za chwilę jednak nadchodzą i oficerowie. Jest Śmigły, Berbecki, Olszyna, Narbutt — cały korpus oficerski trzech pułków. Zaraz też bataljony ustawiają się w wielki czworobok. Krzyki komendy, rumor żołnierskich kroków. Pośrodku czworoboku zdala widnieje ogromna postać Szeptyckiego.

¹⁾ Była to wyraźna szykana, gdyż ówczesny regulamin nie nakazywał salutować podczas okrzyków „hurra“, i bodajże takiej sytuacji nie przewidywał (przyp. autora).

²⁾ Poległ jako kapitan w r. 1920.

Szeptycki rozpoczyna przemówienie, lecz silny wiatr wgniata mu zpowrotem słowa do piersi. Nie słyszymy nic. Dał więc rozkaz, aby się zbliżyć doń zupełnie, tak, że otoczyły go trzy pułki, zbita masa żołnierska, ogromnem, ciasnem kołem.

Zaczął mówić. Nie słyszałem całego przemówienia, niektóre tylko ustępy mogłem zanotować. Zaczął od tego, że zebrał nas tutaj, aby wybić nam z głowy podawanie się o zwolnienie, że musimy do ostatka wytrwać w budowaniu tego dzieła, któreśmy rozpoczęli przed dwoma laty. Nasza legjonowa sprawa — mówił — jest jak owa łódź na wzburzonych falach, gdzie wokół lądu nie masz, a wy, którzy wiosła trzymacie, miast walczyć do ostatka chcecie z łodzi wyskakiwać.

— A bo sternika niema! — krzyknął ktoś z tłumu.

— My i tak wylądujemy, leguny sprytne — poczęli pokpiwać czwartacy.

Szeptycki dalej coś klarował, na co już nie zwracała wiara uwagi, a gdy zakończył, czy nie ma racji — wiara jednym zawyla głosem — nie, nie!...

Nastrój poczyną się robić wesoly. Jakiś doktor filozofji wyśkakuje na ramiona innym i poczyną mówić, innego znów Szeptycki przywołuje do siebie, zrywa się gwar głosów, dowcipy sypią się jak z rękawa, karność — nie ujęta w twardą ścianę czworoboku — pękła w jednej chwili.

Bóg wie na czem by się skończyło, gdyby nie było naszych oficerów, którzy widząc niesłychane rozdrażnienie żołnierzy, jednym słowem „bacznosc” — zwolali kompanje. A za chwilę wróciliśmy do koszar.

Przyjechał dziś Moraczewski z dobrymi nowinami. Ponoć Biliński miał przemówienie w Kole Polskiem, w którym przyznał się do zupełnego bankructwa jego polityki i polityki N. K. N. Ponoć u Komendanta był rektor Brudziński z delegacją z Warszawy, prosząc Go o przyjęcie dowództwa nad przyszłą armją polską.

A Szeptycki robi co może. Podobno jego akcja została mu nakazana przez Austriaków i to wczoraj przez specjalnego kurjera z AOK. Podobno Austria za wszelką cenę chce utrzymać Legjony przy sobie i dlatego Szeptycki otrzymawszy „befehl”, robi jak może i jak umie. Wczoraj ponoć w II Brygadzie wyraził się przed żołnierzami, że Piłsudski to obecnie najtęższa głowa polityczna, wobec czego nie II Brygadzie nie pozostało, jak zaufać najzupełniej owej najtęższej politycznej głowie. Skutek tego przemówienia był taki, że z II brygady przedstawiono 10 próśb oficerskich

o dymisję. Przemówienie Szeptyckiego o Komendancie przekonało ich najzupełniej.

15 październik. *Baranowicze*. — Wypisałem dzisiaj w notatniku cały referat polityczny na temat obecnej sytuacji politycznej i legjonowej¹⁾. Na „radzie żołnierskiej” postanowiliśmy nie podawać żadnych dobrych wiadomości żołnierzom, gdyż sytuacja zmienia się z dnia na dzień, a szarpać nerwów żołnierskich już nie można.

14 październik. *Baranowicze*. — Dzisiaj przez cały dzień dyskusje nad ostatnią mową Bilińskiego.

15 październik. *Baranowicze*. — Dowiedziałem się nieco szczegółów, które Kocowi wyjaśnił Moraczewski. Burjan stopniowo musiał zgadzać się na żądania Bethmana z powodu nieustannego skórobicia, jakie dostaje Austria.

Myślałem dzisiaj dość długo, snulem horoskopy na przyszłość, zadając sobie pytania co będzie, gdyby rzeczywiście państwa centralne poszły na utworzenie armji polskiej i front wschodni oddały jej do obrony. Z jakąż rozkoszą, z jaką niesłychaną dumą będzie się wówczas trzymało swój odcinek okopów, wiedząc, że za nami stoi wreszcie wolne państwo, Polska Niepodległa; Wokół własne, naprawdę własne okopy, a przed nami wróg, na którego czekamy z bronią w ręku! Przyjdź i weź!

17 październik. *Baranowicze*. — Przyjechał Puchalski z AOK. Ponoć mamy jechać do Królestwa.

18 październik. *Baranowicze*. — Nigdy jeszcze tak nie szarpały nami najróżnorodniejsze wrażenia, jak w ostatnich tygodniach. Wiadomości nadchodzą tak różnorodne, tak często przeczące jedne drugim, że głowę można stracić. Najgorsze to, że nie można sobie na ich podstawie wysnuć żadnej, zbliżonej do prawdy, oceny sytuacji.

21 październik. *Baranowicze*. — W ciągu ostatnich dwu dni ruch był nadzwyczajny. Przysłano nam formularze, na których poddani austriaccy mają wyrazić swe motywy prośby o zwolnienie i własnoręcznie je podpisać. Przyszły później inne, bowiem tych nie chcieli chłopcy podpisywać gdyż motywy wydrukowała

¹⁾ Dziennik mój z tego okresu aż do kryzysu przysięgowego w Legionach (lipiec 1917) — przepelniony jest przede wszystkim oświeceniem polityczno-ideowych momentów ówczesnego życia polskiego wojska. Rozważań tych jest tak wiele, że niechcąc przeciążać niemi żołnierskiego dziennika — część ich tylko włączyłem do rękopisu, przeznaczonego do druku (przyp. autora).

Komenda Legjonów gotowe. Jednem słowem urwanie głowy, bo albo chodziło w nich o przestraszenie poddanych austriackich, albo potrzebne one są Austrii w jej walce z Niemcami. Nie bardzo się jeszcze w tem orjentujemy, w każdym razie galileusze chodzą jak struci, gdyż motywując podanie o zwolnienie, tem, że Legjony nie podlegają rządowi polskiemu — jednocześnie wypisywać musieli na nich do jakich komend uzupełniających należą.

W polityce cisza. Jednokowoż coś się robi, gdyż coraz to przychodzą różne pisma, podania, formularze, z których jasno wynika pytanie, na jak wielką armję mogą się zdobyć kadry legjonowego żołnierza.

25 październik. *Baranowicze*. — Minęło tych kilka dni bez zmian. W naszym pokoiku sierżanckim całemi dniami odchodzi pokier i preferek, wraz z polityką. Tytus Filipowicz, Hempel, Flojar, Stępiński — kartografjstwo i rum.

Po za tem czekanie, czekanie z dnia na dzień.

27 październik. *Baranowicze*. — Coś się robi, coś się kroi. Rozkazem Komendy Legjonów powołano do życia rozmaite komisje, w związku z mającą nastąpić organizacją armji polskiej. Ponoć ma ona wynosić 100 tysięcy, ponoć w grudniu już ruszymy do kraju jako kadra tej armji. Poza tem dziś Tytus Filipowicz przyniósł wiadomość — jak powiada zupełnie pewną — że fakt ogłoszenia Państwa Polskiego ma nastąpić bezwzględnie przed końcem listopada, że ma być ustanowiona regencja, zlikwidowane cywilne władze okupacyjne i gwałtownie organizowana armja.

4 listopad. *Baranowicze*. — Mój notes stał się teraz jednym referatem politycznym. Notuję w nim wszystkie pogłoski, wszystkie wiadomości, plany, projekty, decyzje i wątpliwości. Jedno z nich jasno wynika, jedno jest prawdą niewątpliwą — jak nie slychane szczęście ma Polska, mając Komendanta. Jakżeż śmiesznie, jakżeż naiwnie wyglądają te wszystkie deklaracje, programy stronnictw, partyjek i partyj, ludzi może nawet mądrych, może nawet doświadczonych, uczonych i erudyków, lecz tak niesłychanie pozbawionych tego, co zawsze wybija jednostkę ponad poziom, ponad naród, to co stanowi istotę indywidualności — zdolność do syntezy i niezłomna, żelazna wola, nakierowana na jeden, jedyny cel.

Nie minęły jeszcze dwa miesiące od podania się do dymisji Komendanta, miesiąca jeszcze niema, jak opuściliśmy okopy pod Sitowiczami wskutek akcji Komendanta — a już rezultaty są widoczne

Dziś przed 10-tą rano pułkownicy dostali rozkaz natychmiastowego wyjazdu — jedni do Lublina, drudzy do Warszawy. Jutro ma być ogłoszony akt restytucji Państwa Polskiego.

Podnieceni jesteście dziwnie i wzruszeni. Przez cały dzień nie mogliśmy sobie wprost miejsca znaleźć, wieczorem zebraliśmy się naszą paką, by zapijać niepokój, który nas dławiał jak zmora.

5 listopada. Baranowicze. — Dzisiaj o 3-ej popołudniu, wśród wietrznego, chmurnego dnia listopadowego wzniosł się przepotężny z tysiąca żołnierskich piersi wyrwany okrzyk: „Niech żyje Niepodległe Państwo Polskie“!...

I zanosły go litewskie wichry hen, daleko na krańce Polski... Zanosły go szumne bory litewskie hen, gdzie w step się świata krąg zamienia, gdzie łopocą na wietrze burzany i gdzie siny Dniepr granice Rzeczypospolitej wyznacza. Na wieczną chwałę, na radość i życie — okrzyk poszedł i niósł się szeroko, szeroko...

Zaczął się popołudniu. Kaplicę, gdzie przed dwoma laty pop się żegnał i moskiewska skąd pieśń płynęła — zdobią świerkową zielenią. Pod szczytem łagodny amarant ze złocistym wizerunkiem Częstochowskiej, stopnie przybrane szkarłatem, by królewski tron...

Zebrały się pułki. Wachlarzem się rozwinęły bataljonowe kolumny, czołem do kaplicy. Długo trwały krzyki komendy. Wkoło kaplicy rojno i strojno. Sztaby, złociste szwy, srebrzyste rapcie, szlify błyszczące. To dźwięknie ostroga, to szcęknie broń.

Wreszcie — bacność! Zwarła szyk komenda i do niespokojnych piersi, tętniących serc przypadła cisza... Aż wzniosł się nagle donośny, ostry głos — głos z męki pokoleń i krwi tysiąca powstały...

„Odbudowujemy Polskę Niepodległą, z własnym monarchą i ustrojem konstytucyjnym...“

Poruszyły się kości dziadów i ojców naszych w grobach, jakby jęk radości przez ziemię polską przeszedł, boć jeszcze nie na strojną radość ją stać... Od stu lat pierwsze słowa...

Aż wreszcie gdy skończył swe słowa brygadjer Haller i okrzyk wzniosł: — „Niech żyje Polska Niepodległa“ — jakby burza się rozpętała. Krzyk taki się podniósł potężny, taką radością, szaleństwem nabrzmiały — jakby to nie kilka tysięcy piersi go wyrzuciło — lecz naród cały...

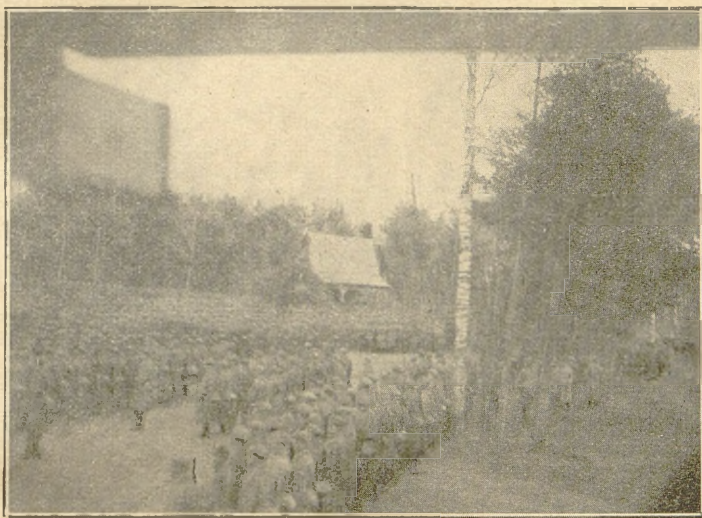
Sprężyły się kolumny. Jakoby je ktoś za pierś przemocną ręką chwycił i ścisnął — tak je przygniotła radość wielka...

Więc nie na darmo, nie na darmo krwią pola broczyliście...

Orkiestry zagrały pieśń Legjonów włoskich, a potem hymny narodowe niemieckie i austriackie. Pierwszy raz słuchaliśmy tych hymnów z uczuciem zadowolenia.

Po defiladzie — odmarsz do kwater. Dopiero radość!

Akurat zbiegł się ten dzień z dwuletnią rocznicą wymaszerowania naszego bataljonu w pole z Częstochowy. Z kompanji Narbutta, liczącej 180 natenczas ludzi, zebrało się nas zaledwie 30-tu. Reszta częściowo w ziemi, częścią poranieni, pochorowani. Był Narbutt, Podolski, Ulrych. Napojów moc, wstawa więc morowa, mówek przytem poszło coniemiarą.



Ogłoszenie aktu 5-go listopada w Baranowiczach.

6 listopad. Baranowicze. — Uf... Paskudny katzenjammer przechodzą dzisiaj Legjony. Jak sięgnąć mogę pamięcią — nigdy podobnego pijaństwa nie było, jak wczoraj. Ale też chłopcy mieli powód by się wstawić. Wreszcie cel osiągnięty, po przeszło dwuletniej ciężkiej pracy — można się więc rozradować.

już mówią szeroko o naszym piorunującym wyjeździe z Baranowicz. Wymieniają nawet dla 5 pułku Skierniewice, Płock i Zamość — czekamy teraz na wiadomości od Komendanta.

2 listopad. Baranowicze. — Mamy już dzisiaj gazety! W Warszawie szalony entuzjazm. W Lublinie mniejszy, gdyż chciano tam zaakcentować nieprzychylność dla Austriaków.

9 listopad. Baranowicze. — Wreszcie wiemy jakie jest stanowisko Komendanta! Podwójna więc radość, że On ją z nami dzieli.

Przeczytał dzisiaj Berbecki list od Komendanta do pułkowników i do nas wszystkich. Cofnąć mamy dymisję, rzucić precz politykę. Nareszcie, nareszcie — stajemy się znów żołnierzami, mamy swoją wolną ojczyznę.

A Komendanta już naród wziął w swoje wyłączne posiadanie. Co za szalone owacje Kraków mu sprawił! Wyprzągnięto konie z powozu, zaciągnięto Go do teatru. Podczas obchodu 5-go niesiono Go na rękach.

10 listopad. Baranowicze. — Czekamy z niecierpliwością powrotu Szeptyckiego. Mówią o jakiejś generalnej defiladzie przed Woyszem i królem bawarskim. Zresztą wszystko po staremu, tyle tylko, że Rosja ma przystąpić do ogłoszenia szerokiej autonomji. Rychło wczas...

14-go mamy generalną defiladę, więc od dzisiaj tłuką pulki „eincyki“ po placach, aż ziemia dudni, a oficerowie chrypną na wilgotnem powietrzu od ciągłego krzyku komend.

14 listopad. Baranowicze. — Defilada!... Takiej defilady tośmy jeszcze nie mieli i zachowaj nas Boże od podobnej.

Rano budzimy się — na dworze deszcz, plucha. Monotonnie szemrze po szybach, aż zamienił się wreszcie w gęsty, ciężki śnieg. O 12-ej jesteśmy już na błoni. Pola białe wokół, lecz na szerokiej drodze, po której mamy defilować błoto po kostki.

Ustawiamy się. Od prawego wszystkie sześć pułków, po drugiej stronie drogi kawalerja i bataljon Niemców.

Wiatr silny, ostry, siepie śniegiem, zacinając niekiedy kawałkami lodu. O 12-ej wreszcie krzyki „baczość“ znieruchomiły front. Warkot aut urwał się nagle i orkiestra 1 pułku zaczyna grać.

Stoimy. Wiatr nam siepie prosto w twarz ostrym śniegiem. Twarze czerwone, obmokłe, ręce zgrabiałe. Broń nam się chwieje w ręku i ledwie, ledwie możemy ją utrzymać. Zagrała wreszcie nasza orkiestra...

„Baczość, bataljon w prawo patrz!“ — wyprężyły się jeszcze więcej ramiona i wraz machnął głowami bataljon. Ogromna świta. Na czele zgrzybiała, okolona siwą brodą twarz — ręka przy daszku, wzrok badawczy, uważny. Za Leopoldem ogromny Szeptycki, ruchem głowy daje znać, by jeszcze więcej się prężyć. Za nim Woysz, helmy, czapy huzarskie, brzęk szabel. Przeszli...

Schodzimy czwórkami na drogę i czekamy jeszcze z 15 minut na rozpoczęcie defilady. Ruszamy wreszcie. Morowo wiara szła i zdaje się defilada poszła dobrze, bidni tylko byli sztabowcy Leo-

polda, którzy wyznaczali linię defilady. Gdy przeszło koło nich sześć pułków, bijąc nogami w rozchlapaną maź na drodze, z nieśczęsnych adjutantów błoto lało się strugą od czaków po kostki...

Aleśmy później wyrwali!... Rawicz¹⁾ objął bataljon i prawie biegiem naprzelaj poprowadził do koszar. Minęliśmy 4-ty, 5-ci pułk i w pół godziny byliśmy na miejscu.

16 listopad. Baranowicze. — Utworzono więc Radę Stanu. Ograniczone to, poobcinane nadzwyczajnie. Bessler — Repnin niemiecki — on prócz wybieranych członków Rady Stanu mianuje innych, on jako komisarz rządzić i trząść będzie chciał Radą. Zobaczymy, jak mu się polityki warszawskie postawią?...

P. O. W. ogłasza werbunek i ujawnia się. Poza tem prasa, wszystkie prawie stronnictwa żądają rekrutacji. P. O. W., Piechur — zbierają spisy ochotników i pokazując Besslerowi, będą nęciły: Dasz regenta, damy my żołnierzy...

O Komendancie słychać tyle, że w ostatnim biuletynie C. K. N-owym jest wiadomość: Jesteśmy uprawnieni do zakomunikowania, że do tworzenia się armji polskiej będzie przypuszczony Józef Piłsudski.

24 listopad. Baranowicze. — Napewno jedziemy już do Pułtusza. Dzisiaj pojechał ppor. Trapszo z sierżantem Nowiną na kwatermistrzów. Pułk 5-ci do Warszawy, 4-ty do Modlina, 1-szy do Łomży, 2-gi do Rożan, my do Pułtusza, 6-ty do Nałęczowa.

Cały dzień dzisiaj urwanie głowy w koszarach, porządkowanie na całą parę.

25 listopad. Baranowicze — Brześć n/B. — Mińsk Mazowiecki. — O 5-ej w nocy pobudka, śniadanie i zbiórka na placu ćwiczeń. Koszary zostawiamy w idealnym porządku.

Wyjeżdżamy kolejno bataljonami, co 2 godziny, zaczynając od 1-go. Zbiórka o 5-ej. Noc jeszcze zupełna, wiatr hula po ulicach. Wiara w boskim humorze, wyśpiewuje — wie już napewno, że na ten raz hinterland to nie bujda, a fakt, granitowy fakt. Więc radość zupełna...

Ruszamy. Runęły w ulicę dźwięki orkiestry. Gdyśmy na stację zaszli — poczęło świtać.

Drgnął, szarpnął wagonami pociąg i ruszyliśmy. Wlekliśmy się jak żółwie, to też wiara klnie, bo w głuchą noc prawdopodobnie zajedziemy do Warszawy.

Tymczasem w wagonach odgrywają się szopy, piecyków na-
znosiła wiara Bóg wie skąd, więc palenie i ogrzewanie wagonów

¹⁾ Rawicz-Mysłowski, obecnie plk. piechoty.

na całą parę. Po wygodzie — należało pomyśleć o reprezentacji i estetyce. Znalazły się odrazu chorągiewki biało-czerwone, co do których trwał spór przez cały czas jazdy jaki kolor ma być u góry, znalazła się i zieleń do przystrajania wagonów, bo wiara na jakiejś stacji cały las świerków przyturgala.

Jazda wesola, dzień przeszedł szybko. Do Brześcia zajechaliśmy zaledwie na 8-ą wieczór, skąd jazda dalej do Nasielska.

28 listopad. Mińsk Mazowiecki — Zegrze — Pultusk. — Rano byliśmy w Mińsku. Szybko minęliśmy Warszawę przez Pragę i o 9-ej stanęliśmy już w Zegrzu, skąd marszem po przepysnej szosie fortecznej do Pultuska. Ludność wszędzie ciekawie się nam przygląda, w Serocku tłumy żydostwa i grupki rosłych, barczystych chłopaków w maciejówkach, na których z łakomstwem patrząc, oceniamy ich karki, ramiona, ubierając już ich w mundur. Będzie z nich kiedyś armja!...

Gdy mijamy dworki, witają nas okrzyki na cześć Legjonów i Komendanta, na które radośnie kolumna odpowiada.

Wieczorem stanęliśmy we wsi Gzowie. W czyściutkiej, milej izbie sołtysa długo w noc toczyła się pogawędka z gospodarzem, który choć w głuchej wsi sołtysuje, świetnie jest jednak poinformowany o wszystkim, co się w Polsce dzieje. Ani już śladu nie zostało z oczekiwań na Moskali, pełna świadomość narodowa bije z każdego zdania. Sołtys jest przeciwny werbunkowi, jest za poborem — jako że Polski wszyscy bronić muszą.

27 listopad. Gzowo — Pultusk. — O 10-ej zamajaczyły już przed nami wieże Pultuska. Przed miastem zatrzymuje nas delegacja ze sztandarem, chlebem i solą. Kolumna staje, z przodu dolatuje tylko odgłos mów, powitań, okrzyków.

Prowadzi do miasta muzyka strażacka. Na wieczną rzecz pamiątkę wygrywa tak straszliwą trzęsionkę, jakiegoś przedpotopowego walca pultuskiego, że musimy jak najbardziej skombinowane wykonywać ruchy, by jako tako rytm marszu utrzymać.

Na rynku znów brama triumfalna, zieleń nad głowami i pod nogami, ciasno, gwaro, lecz miło i sympatycznie. Poważny, stary ratusz, sędziwa przysadzista wieża, pstrokate domy.

Po defiladzie: punkt kulminacyjny przyjęcia — bigos dla całego pułku.

Ale co za bigos! O nim chyba pisał Mickiewicz w Panu Tadeuszu. A więc istnieje jeszcze rozkosz na tym padole pęczaku i kukurydzy — myślałem zajadając ów bigos, który niechybnie przejdzie do historii Pultuska po wsze czasy.

Po fecie — zbiórka przy kozłach, trochę śpiewu, rota, naturalnie z krzyżakiem — i odmarsz do koszar.

4 grudzień. Pultusk. — Zabrano się od razu ostro do legunów w garnizonowej służbie. Ćwiczymy po całych dniach aż ziemia jęczy na boisku, wieczory tylko zostają dla nas, które spędzamy w jedynej cukierce, najskrupulatnie ją objadając.

Poza tem zawiązujemy jakie takie stosunki towarzyskie, broniąc się przed plotkami, jakie tu szerokotorowo się rozprzestrzeniły. Ponoć nie jesteśmy wcale legunami, tylko Austriakami, przebranymi w maciejówki, ponoć dawno zostaliśmy wzięci już wszyscy do niewoli.

Z niemiaszkami stosunki ułożyły się nie bardzo. Były przyjęcia dla oficerów po kasynach, mowy i toasty, lecz wiara pilnie patrzy Niemcom na paluszki. Wiedzieliśmy, że oni sobie tutaj w kraju dużo pozwalają, lecz to cośmy zobaczyli, przeszło granice cierpliwości leguna. Codzień więc jest jakaś awantura. Dzisiaj na przykład pociął legun Prusaka, poszatkował go okrutnie. Zaczęło się od tego, że Prusak wyrznął chłopca w pysk, który mu niezbyt szybko zeszedł z drogi. Zoczył to legun i choć był mały i chuderlawy, skoczył jak żbik — nabił rosłego Prusaka, a w końcu, gdy Prusak zaczął się bronić — sięgnął dłubinosek po swój nieodłączny nóż — które fasowaliśmy nad Stochodem do walk na bagnety i skłut miękkie szęści pruskiego ciała w złośliwy sposób. Leguny rozżarte na Prusaków nie tylko za ich stosunek do ludności, lecz za straszliwą głodówkę, jaką tu nam urządzają. Dzień w dzień śledzie, brukiew i inne tego rodzaju delikatesy.

W polityce zaś niby coś się robi, lecz z okropnem stękanem Ogłoszenia o ukonstytuowaniu Rady Stanu już wyszły, lecz targi idą zażarte. Widać z tego, że Niemcy ustąpiwszy pod naciskiem naszego stanowiska — odwlec chcą jak najdalej polityczne decyzje.

ZŁAMANA SZPADA.

14 styczeń r. 1917. Ostrów Komorowo. — Miesiąc cały nie miałem pióra w ręku. Przez cały grudzień ćwiczyliśmy zapamiętane. tłukąc „eincyki“, aż wreszcie przedświąteczny czas porozganiał nas na urlopy. Wiara się porozjeżdżała na rozmaite przepustki, jam dostał czterotygodniowy urlop na zęby, podczas którego wygarowałem się za wszystkie czasy.

12-go w południe przyjechałem do Ostrówia. Koszary o wiele lepsze niż w Pultusku, poza tem zmian niewiele. Berbeckiego nie ma, gdyż został szefem sztabu Legjonów — pułk objął major Burhardt, broń już mamy pruską, musztrę również, poza tem 15-go rozpoczynają się szkoły oficerskie wyższe i niższe.

18 luty. *Ostrów Komorowo.* — I znów dnie płyną niezmien- nie, jednak, szaro i nudno. Przez cały dzień ćwiczenia, wieczorem wykłady w szkole oficerskiej i do późnej nocy spijanie niezliczo- nej ilości herbat u Rebeki.

W polityce ciężko i duszno. Rada Stanu wydała manifest do Narodu, lecz prócz powinszowań, gratulacyj, składania przysięg na wierność i posłuszeństwo — nie robi się prawie nic. Wojskowe sprawy stoją źle, bo Karol ciągle się upiera przy nas, nie chce nas oddać Radzie Stanu i organizacja armji stanęła na martwym punk- cie. Codziennie omal że nie mobilizowano P. O. W. i codziennie odwoływano. Rzecz prosta, że póki prawne położenie Legjonów się nie zmieni, nie można myśleć o armji. Chwilami ogarnia rozpacz, opadają ręce. To ciągle zwlekane i niezdecydowanie wypija z nas wszystką krew i energję.

9 marzec. *Ostrów Komorowo.* — Nuda wałęsa się po kosza- rach. Pierwszy, tak zaciekły impet ćwiczeń, pracy, przygotowań, by jak najświetniejszą stworzyć kadrę armji — już opadł, roz- wiał się w beznadziei położenia. To też każdy wieje jak może z pułku, obja się po urlopach, by zagłuszyć w sobie udrękę nie- pewności, by zapomnieć, by nie myśleć.

Sytuacja zaś jest potworna. Austrija zębami i pazurami trzy- ma się swego tryjalistycznego planu, jeśli nie zgoda jakiegoś in- nego. Coraz więcej mówią o tem, że nie wyjdzie ona cało z tej za- wieruchy, mówią, że pono Karol sam już uznaje niemożliwość ist- nienia Austrii jako dotychczasowego zleпка i za cenę oddania Rze- szy swych krajów niemieckich, chce stanąć na czele państwa wę- giersko-polskiego, złączonego ze wszystkich trzech dzielnic. Wpła- tani jesteśmy w ten wielki przewrót dziejowy, sami tak mało ma- jąc wpływu na jego bieg, tak rozpaczliwie rzucani od klęsk do zwycięstw i nadziei...

14 marzec. *Ostrów Komorowo.* — Wpadł dzisiaj do Rebeki sierżant Dobrowolski, że dzisiaj rozstrzygają się nasze losy. Py- tamy się, czy może nas bierze pod swe rozkazy Liga Kobiet, lecz nie, ponoć napewno oddaje nas Karol Radzie Stanu.

19 marzec. *Ostrów Komorowo.* — Dzień dzisiaj świąteczny. Umajone, udekorowane koszary, świąteczny nastrój. Przed połu-

dniem msza polowa i defilada, wspólny obiad, a wieczorem coś niby raut, coś niby wieczór uroczysty. W dzień taki — optymizm wlewa się w duszę bujną, pełną falą, bo choć tak źle i ciężko jest wokół, ratuje myśl, że przecież czuwa nad nami i Polską — Komendant...

20 marzec. *Ostrów Komorowo*. — Rada Stanu zagroziła podaniem się do dymisji, jeżeli Austriacy nie zmieniają swych zamiarów co do nas. Armee Oberkommando wydała bowiem rozkaz, żebyśmy byli gotowi do odmarszu — popłoch więc wielki i mowy o tem niema, ażebyśmy po tem co zaszło mogli tak bez żadnych rezultatów zpowrotem iść gdzieś nad Stochód. A sytuację zmieniła już zasadniczo rewolucja rosyjska. Niemcy i Austrija znów prą do odrębnego pokoju, znów stoimy im na przeszkodzie.

27 marzec. *Ostrów Komorowo*. — Gruchnęła dziś wiadomość, że ponoć 9-ta armja rosyjska Radki Dmitrjewa w całości się poddała, tworząc 100 km lukę.

Poza tem — cóż poza tem? Zmordowani są wszyscy, podenerwowani tak okrutnie, iż pulki sprawiają wrażenie domu warjatorów.

31 marzec. *Ostrów Komorowo*. — I nadeszły znów czasy, o jakich się filozofom nie śniło. Przez szare mundury przechodzą jakieś mocne drgnienia sere, pod młodemi czołami wicherzą się burze myśli. Sytuacja stała się ostatnio tak beznajdziejna, stanowisko Niemiec tak aż nadto widoczne, że zkolei obrócenie na nich frontu zdało się już koniecznością zupełną. Z Rosją już koniec, burzy się tam wszystko i wali w ogień rewolucji — czas na drugiego zaborcę.

1-szy, 2-gi, 3-ci pulki zbuntowały się. Taka nadeszła telefonem wiadomość z Warszawy, z zapytaniem od Szeptyckiego, czy 5-ty pułk spokojny?

Narazie tak — odpowiedział Burhardt.

Unas podniecenie niezwykle. Niemcy w nocy wywieźli z magazynów wszystką amunicję, kompanja landszturmu w Komorowie otrzymała po 200 ostrych naboí, przymaszerowała jeszcze jedna kompanja z dwoma karabinami maszynowemi. Pogotowie u nich pełne.

Do nas nadeszły rozkazy o oddanie wszystkiej ostrej amunicji. Pulki oddały co miały — dla własnych, osobistych potrzeb za chowując 500 sztuk na twarz. Sytuacja się w jednej chwili wyjaśniła. Opuścił nas cały niepokój, „weltszmerz“, apatja i niezdecydowanie. Jeżeli Niemcy zwlekają tylko, to pod grozą tych na-

strojów w pułkach — pójdą na ugodę. Jeżeli zaś mają zawrzeć pokój z Rosją i przekreślić 5-ty listopada — to idziemy wtedy na nich na całego. Niech się stanie co się ma stać, choćbyśmy mieli być ofiarą całopalenia!...

1 kwiecień. *Ostrów Komorowo*. — Wiosna już w pełni, przeciągają górą z krzykiem klucze żórawi, pryskają w górę zielone pędy drzew.

Przygotowani jesteśmy wszyscy na ostateczny koniec. Jasne już dzisiaj jest, że Niemcy szukają nagwałt drogi porozumienia z Rosją, a na drodze tej stoimy im my. Nie chcą więc nie ryzykować, w związku z nie dającymi się przewidzieć warunkami pokojowymi i nie tylko, że przekreślają akt 5-go listopada, ale co więcej, chcąc mieć zupełnie wolną rękę — idą na nasze rozwiązanie.

Lecz pociągną niedługo. Zaczynamy wierzyć, że jak przeczekaliśmy Rosję, przeczekamy Niemców. Zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić. Naród się dawno już ocknął — krew nasza nie poszła na darmo, nad Państwem Polskim nie można już przejść dziś do porządku dziennego. Trzech lat nieomal trza było, by wpoić w społeczeństwo pragnienie niepodległości, pragnienie własnego państwa. Ta wielka rzecz, tak jeszcze nie do pomyślenia w 14-ym czy 15-ym roku — jest już dziś poza nami. Z Rosją rachunek skończony, nie ulega wątpliwości, że wkrótce na froncie zachodnim wystawią rachunek i Niemcom. Austrija już leży i nie pomoże jej nic, a niemiaszki same nie dadzą rady. I trzasną, jak trzasnęła Rosja, a wówczas przyjdzie dzień, w którym my zabierzemy głos.

Przegadaliśmy cały dzień, włócząc się z Fłojarem i Hemplem po wsi, wdychając rzeźwe, wiosenne powiewy, chcąc przeniknąć to, co nas czeka, co przyjsć musi.

2 kwiecień. *Ostrów Komorowo*. — Nie mamy do tej pory kontaktu z innymi pułkami, ani nawet i z 1-ym, który stoi w Zambrowie. Były tam awantury, choć najsilniejsze w 4-tym, w których czwartacy paskudnie pobili pluton niemiecki. Są tam straty, jak również i w 1-ym.

U nas spokój, Mimo oficjalnego wydania Niemcom amunicji, kordegarda nasza i wszystkie posterunki mają broń ładowaną — Niemcy w Komorowie również się pilnują, nie wychodzą z koszar mniej niż po czterech.

Po południu wymaszerowaliśmy na ćwiczenia. Idzie cały bataljon — ale jakież drobny, jakżeż mały? Gdzież ten dawny nasz bataljon, ta długa kolumna tak mocna, tak pewna siebie, tak niezłomna. Dziś ledwie stu ludzi.

Idę z Flojarem za tym bataljonem, za bataljonem 5-go pułku, który ma tyle sławy, tyle bitew, tyle krwi serdecznej za sobą, tyle krzyży porozrzucanych po całej Polsce. Patrzymy na tę starą wiarę, samych prawie podoficerów i czujemy, jak nas zalewa fala miłości do tej szarej kolumny, do tych szarych mundurów. Zdrobniały, malutki bataljon, a jakaż w nim tkwi jeszcze siła! Tacy się czujemy stwardniali w tej wiecznej walce, tak się w nas dusze zapiekły, że choćbyśmy jeszcze z tą garstką pójść mieli gdzieś na koniec świata, by do ostatka, jak te kamienie rzucone na szaniec, polec na drodze do Polski — to pójdziemy wszyscy do jednego. Czujemy się jak ten legjon, ginący na reducie polskiej — da Bóg nie darmo!

12 kwiecień. Ostrów Komorowo. — Wczoraj przeszliśmy na etat niemiecki. Oddał nas Karol z czułym pożegnaniem, nie Radzie Stanu coprawda, a do rozporządzenia Besselera. Jest to znów jeden z tych idjotyzmów niemieckich, które bynajmniej stosunku naszego do nich nie zmieniają a odwrotnie — bardziej jeszcze zagniają.

13 kwiecień. Ostrów Komorowo — Rożany. — Przymaszerowaliśmy dzisiaj do Rożan. Koszary paskudne, wilgotne, nad samą Narwią, ani się nie umywają do ostrowskich.

17 kwiecień. Rożany. — Niedługo już, niedługo, patrzeć tylko, aż się ta cała potęga niemiecka rozwali ostatecznie. Taka porządna wojna i już się kończy — mówi bolesnym głosem Ojczulek-Czachowski, kiwając wiecznie rozczochraną głową.

Francuzi i Anglicy piorą na zachodnim froncie aż wióry lecą, wewnątrz u Niemców kotłuje się coraz bardziej, a choć rewolucyjna Rosja wyciąga ręce do pokoju, to odwlecze się tylko ostateczny koniec. Austrija ma już dość, ledwie dyszy. szuka już sama pokoju na własną rękę — lecz koalicja już nie puści...

A z tego całego bałaganu będziemy mieli Polskę. Daje nam ją już i Rosja, daje Francja, daje Wilson, Niemcy coraz bardziej trwożnie oglądają się na swój hinterland nad Wisłą — aż doczekamy się, że zatraskają któregoś dnia strzały jak na froncie i z wrzaskiem leguny wypadną w jasny dzień na ulice...

19 kwiecień. Rożany. — Wiara całymi dniami włóczy się nad Narwią. Z Niemcami już dawno przestaliśmy zachowywać nawet pozory, bo coraz to któregoś opuchniętego wyławiają gdzieś przy Modlinie. Postawili podwójne posterunki na moście, więc wiara wilkiem tylko na nich patrzy, czekając kiedy nadejdzie koniec.

*

*

*

24 lipiec. Kraków. — Przez trzy miesiące nie miałem pamiętnika w ręku. Co się stało nie wiem, dość żem pióra nie tknął.

Przez maj, czerwiec, lipiec — do ostatnich dni — stały pułki w swych koszarach, wyczekując, czając się — rychło padnie znak. komenda.

Lecz rozkaz nie przychodził. Niemcy i Austria prąc do odrębnego pokoju z Rosją, zawiedzione na próbach tworzenia z nas armji — którą chciały mieć, nie dając wzamian żadnych gwarancyj politycznych — coraz jaskrawiej, coraz dobitniej zaznaczały swe wrogie dla nas stanowisko. Po kraju burzył się duch



Legjonista (rzeźba dłuta ś. p. por. Włodzimierza Koniecznego ofiarowana Komendantowi).

protestu, buntu — lecz palił się jeno gdzieś głęboko, nie wybuchając jeszcze krwawym płomieniem. Czekał kraj na nas — a my na rozkaz Komendanta.

Rozkaz nie przychodził. Choć gorzały serca, choć wiara nie mogła już dłużej cierpieć w udręce — Komendant nie pozwalał. Przeczekać mieliśmy Niemców...

Rozkaz został spełniony. Przeczekać mamy wynik tych zmagaiń potężnych, jakie tam gdzieś nad Sommą, pod Soissons, pod

Ypres się rozgrywają, przeczekać mamy aż młot koalicji rozwali pruski garnek potylekroć dziurawy i ciekący...

Nad miarę było to naszej cierpliwości, nad miarę wysiłku woli — lecz zacisnęliśmy zęby.

Od kilku tygodni siedzę na urlopie w Krakowie, zagrzebany w książkach. W mieście roi się od pilsudczyków, od legjonowych oficerów. Jest Śmigły, Stachiewicz, Roja, Dobrodzicki, Ścieżyński, Kaden-Bandrowski, z czwartaków Bończa-Uzdowski, Więckowski, Krzysik — cały świat legjonowy — poddanych austriackich.

* *

*

W ostatnich dniach zażądano przysięgi. Przysięgi na wierność austriacko-niemieckim towarzyszom broni, przysięgi, która by nam skuła i związała ręce...

Spełnił się ostatni akt. Pulki przysięgi nie złożyły, w rezultacie wszystkich królewiazków internowano w Szczypiornie, galicjan odsyłać mają do armji austriackiej. A dwa dni temu — 22 lipca — wywieziono Komendanta i Sosnkowskiego do Niemiec.

Tak się legjonowa kończy epopeja. Po trzech latach walki, trudów i przelanej krwi, po trzech latach pracy — twardej i ciężkiej.

Lecz kończy się tylko pieśń Legjonów. Kończy się tylko pierwsza faza naszych walk, pewna forma, kształt. To co motorem naszych dążeń było, co popchnęło nas przed laty by wbrew wszystkim, wbrew Polsce, wbrew całemu światu — pójść w pole i na ostrzach bagnatów nieść nowe światy — to pozostało, tak samo niezłomne, twarde i uparte.

Kto mógł — starał się dostać do Krakowa czy Lublina. Przy Śmigłym, teraz zastępcy Komendanta, skupiły się zewsząd leguny. Idzie rozkaz — by ramion nie opuszczać, by sił nie marnować, by kto mógł pozostał w kraju, by dalej naszej pracy ciężki gład się toczył, by dalej — w zmienionej formie — to samo czynić co przez ostatnie lata...

Tamci, część — poszli za druty. Poszli, cisnawszy broń, której nie wzięli do oka, nie ścisnęli w garści i z krzykiem nią nie uderzyli tylko dlatego, że tak chciał Komendant, że nie pozwolił...

Poszli więc za druty, z pieśnią Brygady na ustach, tak samo niezłomni, tak samo niepodlegli depresji, jak wtenczas pod Kostjuchnowką, gdy gonił za nami huraganowy ogień a chłopcy w Konskoje na polanie huknęli „Strzelca“ Komendantowi, by okazać, że dla nich to nic, że niejedno jeszcze przetrzymają...

Poszli za druty — lecz tu w kraju zostało nas coniemiaro... Zadekował się legun. Przywarł gdzieś na uboczu, przyczaił się —

i swoje robi uparcie, twardo, ścisnąwszy zęby. Przecierpiał tyle, tyle ogni przeszedł i burz, zwątpień i nadziei, zwycięstw i klęsk — że stwardniała w nim dusza jeszcze bardziej, zwarły się jeszcze mocniej ramiona. I nie znajdzie w nas nikt beznadziei, nie znajdzie opuszczenia rąk, ni gościu rozpaczliwego. Przeczekaliśmy wszak polski bezwład, trójlojalizm, tępotę i strach, przeoraliśmy ugory polskie, przeczekaliśmy Rosję — przeczekamy Austrię i Niemcy...

A wówczas, jak w pieśni naszej, strzeleckiej pieśni, po tyle-kroć nuconej w okopach, w siwych mgłach wieczornych, wśród mogił, krzyży i unoszącej się ciągle śmierci — jak w pieśni naszej — ziści się sen: z trudu naszego i znoju Polska powstaje by żyć...

SKOROWIDZ IMIENNY.

- Adam — 20.
 Aksamit — 144, 185, 196, 252.
 Aleksandrowicz-Kostek — 74, 159, 157, 161, 176.
 Andrassy — 244.
 Ast — 120.
- Babiński — 197.
 Baczyński — 307.
 Banaszczyk — 64, 65, 68, 100, 156, 174, 249, 309, 315.
 Bandrowski-Kaden — 8, 176, 286, 311, 351.
 Bandurski, ks. biskup — 226, 227, 228.
 Berbecki — 29, 30, 38, 49, 54, 58, 59, 57, 66, 74, 77, 105, 112, 127, 129, 159, 152, 153, 162, 165, 166, 167, 168, 170, 171, 176, 178, 181, 198, 202, 205, 206, 218, 222, 223, 228, 235, 241, 253, 270, 275, 275, 276, 277, 278, 282, 320, 326, 327, 329, 330, 336, 342.
 Berlach — 2, 30, 32, 39, 49, 57, 59, 60, 66.
 Bernhardt — 286, 287, 300, 312.
 Beseler — 351, 343, 349.
 Bethman-Hollweg — 327, 328, 340.
 Biernacki-Dab — 272.
 Biliński — 225, 357.
 Binder — 356.
 Bissingen — 147.
 Bleszyński-Toporeczyk 77, 74.
 Boerner — 8.
 Branicki — 18.
 Broszkiewicz — 263, 271.
 Brudzyński — 337.
- Brzoza-Brzezina — 17, 21, 62, 202, 230.
 Burhardt-Bukacki — 175, 326, 347.
 Burjan — 315.
 Busse-Guzowski — 69, 73, 74, 147, 195, 222, 230, 271, 288.
- Chabowski Zygmunt — 10, 13, 20, 26, 43, 59, 65, 66, 67, 82, 90, 158, 144, 147, 152, 154, 172, 173, 174, 178, 197, 198, 234, 241, 249, 269, 271, 274, 301, 309, 325, 327.
 Chabowski Zdzisław — 10, 24, 103.
 Chaber — 159, 263.
 Chatenroid — 205.
 Chłopik — 164.
 Chrzaszcz — 61, 68.
 Ciechoński — 124, 247, 270, 309.
 Ciesielski — 145.
 Czachowski-Ojczulek — 69, 72, 73, 98, 118, 120, 133, 146, 149, 152, 153, 167, 168, 169, 179, 349.
 Czerny-Szwarcenberg — 176, 186, 262, 264, 265.
 Cybulka-Cybulski — 148, 353.
- Daniłowski — 6, 8.
 Dankl — 86.
 Dechou — 305.
 Długoszowski-Wieniawa — 228, 286, 325.
 Długosz-Tetera — 69, 72, 73, 84, 85, 98, 102, 106, 107, 112, 115, 177, 118, 146, 176, 288.
 Długoszowa — 158.
 Dobrodziecki-Gad — 291, 351.
 Dobrowolski — 346.

Doliński — 252, 271.
 Dreszer-Orlicz — 204.
 Drozdowski — 261.
 Drożek — 115.
 Drożdż — 169, 277, 314.
 Drymer-Dobosz — 106, 117, 145.
 150, 152, 154, 186, 254, 262, 288.
 Dudzieniec-Krak — 78.
 Durski-Trzaska — 145.
 Dunin — 350.
 Durski — 45.

 Fatt — 246, 281, 285.
 Ferdynand — 157, 158.
 Ficner — 242, 245.
 Fijałkowski-Młot — 252.
 Fichna — 17.
 Filipowicz Leon — 153.
 Filipowicz Tytus — 351, 359.
 Fleszar-Satyr — 15, 17, 18, 26, 27,
 109, 110, 220, 222, 225.
 Fok — 507.
 Fordey-Rybak — 98, 106, 152, 147,
 156, 174, 318.
 Frakowski — 129, 216, 224, 257.
 Franciszek-Józef — 315.
 Fröhlich — 204.
 Furgalski-Pandor — 42, 186, 209,
 328.
 Furgalski-Wydra — 16, 17, 25, 40,
 54, 155, 165, 171, 186, 216, 225, 228,
 235, 236, 271, 275, 277, 278, 285,
 288.

 Galica — 202, 203, 256, 356.
 Galadyk — 505.
 Gerock — 198.
 Geriner — 10, 245.
 Gibalski — 145.
 Goldenberg-Burski — 9, 10, 52, 45,
 47, 48, 49, 50, 68, 75, 75, 82, 86,
 106, 115, 116, 132, 155, 154, 167,
 174, 178, 186, 199, 211, 225, 234,
 235, 241, 249, 254, 255, 256, 258,
 260, 261, 262, 263, 269, 271, 316,
 325.
 Gorzecki — 70, 75, 81, 82, 91, 154,
 162.
 Gotlib — 70.

Górski — 100.
 Grabałowski — 39, 44, 62, 65, 75,
 75, 187, 258.
 Grabowski — 6.
 Gruszczyński — 10, 55, 56, 72, 75,
 81, 85, 94, 98, 99, 103, 117, 156,
 176, 184.
 Grzesicki — 221, 227, 256, 257, 283,
 286.
 Grzęda — 143.

 Hajec — 71, 185, 198, 267, 270, 272.
 Haller — 257, 283, 286, 298, 316,
 320, 328, 340.
 Hauer — 204, 246, 282, 285.
 Helczyński — 60.
 Hempel — 329, 351, 359, 348.
 Hersztal-Borek — 41, 70, 71, 75,
 129, 157, 174, 175.
 Hindenburg — 54, 158, 500.
 Höeffler — 265.
 Hofman — 65.

 Iwanicki — 49, 129.
 Iwbul — 271.

 Jakubiak-Jurek — 262.
 Janowski-Lodek — 95, 98, 117, 120,
 158, 199, 241, 244, 261, 325.
 Januszajtis — 175, 202, 205, 247,
 328, 356.
 Jaroński — 4.
 Jaworski Leopold — 129.
 Jaworski-Szczerbiec — 174, 270, 314,
 315, 319, 327, 350.
 Jaworowski-Świętopelk — 49, 228.
 Jędrzejewicz-Ordon — 168.
 Joniak-Nowina — 354, 345.

 Kaczmarowski — 176.
 Kalusiński — 179.
 Kaplicki — 254, 278, 282.
 Kapuściak — 26.
 Karwacki-Bończa — 159, 171, 186,
 216, 271.
 Kasprzak — 10.
 Karol — 546, 549.
 Kaucz — 179, 181, 183.
 Kittner — 221, 227, 281, 283.

Kmicie — 15.
 Kochański — 202, 221.
 Koc Wacław — 189, 205, 206, 209,
 219, 256, 241, 254, 255, 260, 265,
 274, 277, 281, 302, 305, 308, 319,
 325, 327.
 Kac Adam — 189, 256.
 Kokowcew — 331.
 Konieczny — 271, 275.
 Koper — 155.
 Korzeniowski-Nałęcz — 8, 215.
 Kosior — 62, 127, 141, 173, 186, 188,
 204.
 Kostroń — 67.
 Kowalski — 144, 176, 254, 256, 257,
 242, 257.
 Kozaczyński — 39.
 Kragosz-Gorzkowski — 333.
 Kruk — 271.
 Krzysik — 351.
 Kwaśniewski — 97, 99, 116, 142, 145,
 146, 147, 154, 165, 173, 186, 194,
 252.
 Kubacki — 159.
 Kubik — 26.
 Kubiak — 10, 116.
 Kucharski — 254, 269, 271, 316.
 Kikiel — 502.
 Kukliński-Ruszczyk — 153.

 Lachur — 281.
 Lempruch — 211, 212.
 Lenczewski-Kosma — 167.
 Leopold — 342.
 Leonhardi — 200, 209, 212.
 Lewin — 331.
 Linsingen — 245, 246.
 Lipiński-Socha — 60, 234.
 Lipiński Wiktor — 184.
 Lubomirski — 228, 257.

 Łapiński-Nilski — 272.
 Łecki — 6, 10, 43, 68, 95, 99, 151,
 158, 159, 166, 173, 174, 178, 220,
 315, 328.
 Łojko — 172, 257.
 Łuczyński-Narbutt — 9, 15, 16, 20,
 22, 25, 27, 28, 57, 58, 40, 41,
 56, 57, 58, 65, 68, 72, 149, 156, 165,

167, 168, 171, 198, 222, 225, 256,
 267, 270, 272, 276, 277, 279, 280,
 284, 286, 287, 291, 293, 327, 329,
 334, 335, 336, 341.
 Łukaszek — 197.

 Mackensen — 58, 101, 158.
 Majewski — 231.
 Maksymowicz-Nawrot — 102, 107,
 108, 111.
 Maksymowicz-Rokita — 25, 41, 42,
 57, 64, 72, 108, 115, 279.
 Malski — 329, 331.
 Manzagen — 310.
 Medyński — 68.
 Miatkowski — 221, 245.
 Michalkiewicz — 66.
 Miłobędzki — 5, 140.
 Miłosz — 327.
 Minkiewicz — 202, 281.
 Mirski-Przyjałkowski — 66.
 Młodkowski — 331.
 Moraczewski — 337.
 Münnich-Żegota — 187, 189.
 Myszkowski — 200, 254.
 Mysłowski-Rawicz — 343.

 Napiórkowski — 309.
 Neugebauer-Norwid — 25, 202, 256,
 257, 268, 298, 336.
 Nehring-Dunin — 241, 271.
 Nowosielski — 16.

 Olewiński — 140.
 Orliński — 144.
 Ostalski-Badył — 53, 62, 65, 174,
 77, 178, 271.
 Ostoja — 49, 54, 57.
 Ostrycharz — 216, 217.

 Paczesny — 66.
 Pacholski Hieronim — 10, 43, 47,
 48, 49, 50, 145, 256.
 Pacholski Marjan — 10, 42, 43, 66,
 154, 159, 166, 173, 174, 178, 234,
 241, 245, 256, 257, 269, 323, 327.
 Pachoński-Polonus — 187, 276, 296,
 297, 324.
 Pannenko — 8, 272.

- Papierski — 43, 59, 66, 187, 190, 277, 305, 314.
- Pasierbowicz — 38.
- Paweleczyk — 172.
- Pekaszyc-Grudziński — 25, 26, 28, 69, 176, 288.
- Piestrzyński — 155.
- Pilsudski — 7, 10, 14, 16, 17, 18, 19, 22, 31, 32, 45, 48, 57, 58, 69, 78, 90, 92, 102, 112, 122, 132, 147, 149, 151, 152, 155, 154, 155, 162, 164, 168, 171, 183, 189, 207, 208, 212, 217, 218, 221, 224, 225, 227, 228, 247, 256, 257, 258, 275, 278, 285, 286, 289, 295, 304, 307, 313, 314, 316, 317, 321, 322, 325, 328, 330, 332, 334, 335, 337, 338, 339, 341, 342, 350, 351.
- Pfeiffer — 10, 35, 36, 37, 38, 39, 68, 69, 105, 106, 120, 122, 136, 185, 210, 211, 224, 234, 235, 240, 245, 249, 261, 266, 268, 269, 281, 309, 327, 328.
- Piskor — 66, 143, 330.
- Plackowski — 10.
- Plewińska (Pomianowski) — 32.
- Plachta-Plachecki — 331.
- Pogoń — 216, 330.
- Podolski — 14, 71, 330, 341.
- Prażmowski-Belina — 112, 202, 286, 295, 297, 298.
- Poincaré — 1.
- Polkowski — 49, 50, 164.
- Pstrokoński-Poraj — 39.
- Puchalski — 204, 207, 227, 256, 257, 287, 311, 312, 334, 338.
- Radko-Dmitrjew — 54, 347.
- Radwański — 208.
- Rajchman-Flojar — 42, 75, 81, 89, 103, 115, 122, 147, 181, 186, 196, 199, 204, 205, 210, 230, 244, 245, 261, 310, 314, 317, 325, 328, 329, 333, 339, 348, 349.
- Relidzyński — 175.
- Rembilas — 65.
- Robak — 319.
- Roja — 147, 148, 165, 205, 227, 235, 275, 328, 329, 331.
- Rosiński — 221, 254, 268, 307, 315.
- Rowecki — 32, 39, 40, 42, 49, 52, 54, 59, 62, 64, 138, 175, 181, 186, 200, 206, 226, 245.
- Rożen — 15.
- Rusin-Kmicie — 42, 74, 116, 166, 252, 265.
- Rybarski — 39, 41, 50, 59.
- Rydz-Śmigły — 24, 27, 78, 87, 89, 92, 152, 175, 175, 202, 203, 220, 311, 329, 336, 331.
- Sadowski-Jagmin — 70, 113, 216, 222, 241, 242, 246, 264.
- Sazonow — 206.
- Sekara-Mazur — 72, 210, 267, 330.
- Siewicz — 174, 199, 234, 238, 268, 327.
- Sierosławski — 64, 66, 68, 325.
- Sieroszewski — 6, 90, 176.
- Sikorski — 331, 336.
- Serda — 193, 205, 206.
- Ślodka — 15, 16.
- Szmitt — 271.
- Sosnkowski — 57, 58, 112, 149, 152, 173, 182, 184, 247, 256, 257, 328, 329, 331.
- Stefański — 224, 231, 265, 268, 271, 288.
- Sokolnicki — 127.
- Sokół — 100.
- Szletyński-Młocki — 2, 8, 10, 32, 35, 37, 39, 45, 50, 55, 54, 55, 65, 67, 68, 71, 72, 75, 105, 136, 167, 176, 184.
- Szletyński Stefan — 71.
- Strug — 216.
- Stachiewicz-Styk Wacław — 40, 42, 52, 53, 60, 64, 65, 68, 127, 128, 129, 136, 138, 143, 147, 149, 155, 154, 158, 159, 167, 168, 169, 171, 175, 174, 175, 177, 178, 180, 181, 185, 186, 190, 191, 195, 194, 195, 196, 199, 200, 201, 203, 204, 206, 221, 238, 241, 243, 249, 254, 255, 268, 269, 270, 275, 281, 285, 286, 312, 317, 320, 324, 325, 326, 327, 328.
- Stachiewicz-Wicz Julian — 286, 331.
- Stuermer — 331.

Starzyński — 146.
Stebelski — 181, 262.
Stępiński — 339.
Styczyński — 74, 102, 236, 271, 273.
Srokowski — 319.
Sulkiwicz — 220, 221, 246, 258, 284,
301, 302, 308, 311, 312, 316, 319,
320, 321, 322, 323, 324, 325.
Szczepanowski-Wojno — 258.
Szeptycki — 334, 335, 336, 337, 338,
342, 347.

Ścieżyński — 331.
Śmilowski — 66.
Świerszcz — 66.

Talarczyk — 107, 115, 152, 159, 160,
164, 173, 209, 238, 244, 249.
Tarkowski-Czechna — 217.
Tetmajer — 7.
Tinc — 167.
Tokarzewski-Karaszewicz — 256.
Tokarz — 8.
Trapszo — 41, 42, 70, 81, 115, 127,
146, 181, 216, 343.
Trojanowski — 8, 11, 58, 123, 228.
Trzaska-Durski — 42, 137.
Trzeciński — 199, 212.
Turski — 186, 199, 223.
Tyszkiewicz — 191, 200, 201.

Ulrych — 16, 329, 331, 341.
Uzdowski-Bończa — 331.

Warszawski — 142.
Warski — 201, 210, 271.
Wąsik — 63, 74, 334.
Wądołkowski — 140.
Wilczyński-Olszyna — 51, 164, 336.
Winiarski-Sowa — 176.
Weze — 27.

Wilhelm — 1.
Wilson — 349.
Witeczak — 2.
Wierzbicki — 329.
Więckowski — 331.
Wielkopolanin-Nowakowski — 217.
Wolski — 140, 141, 148, 153, 154,
159, 166, 199, 234, 262, 266, 268,
270, 307, 315.
Wójtowicz — 115, 177, 271, 316, 325.
Wojtarowicz — 66, 223, 256, 254,
255, 263.
Wojechowski — 275.
Wojtaszek — 243.
Woyrsz — 342.
Wysznacki-Brzeski — 26.

Zagórski — 221.
Zawartko — 281.
Zawiślak-Tunguz — 67, 79, 85, 102,
111, 112, 116, 118, 120, 123, 127,
237, 271, 273.
Zieliński — 328.
Zwierzyński-Sław — 30, 38, 39, 40,
41, 42, 49, 54, 58, 60, 67, 68, 71,
72, 74, 77, 78, 79, 81, 82, 8, 88, 89,
98, 99, 107, 111, 112, 116, 122, 127,
128, 129, 130, 139, 146, 147, 148,
153, 156, 157, 158, 160, 161, 162,
167, 169, 170, 171, 176, 181, 185,
186, 198, 200, 206, 208, 210, 212,
213, 216, 222, 223, 226, 231, 238,
240, 241, 242, 262, 264, 265, 267,
271, 285, 288, 320.

Żmijewski — 152, 271.
Żuławski — 6, 8.
Żymierski — 106, 140, 203, 218, 233,
330.
Żytkiewicz — 318.

TEGOŻ AUTORA.

WŚRÓD LWOWSKICH ORLĄT (wspomnienia z obrony Lwowa) Warszawa, 1927.

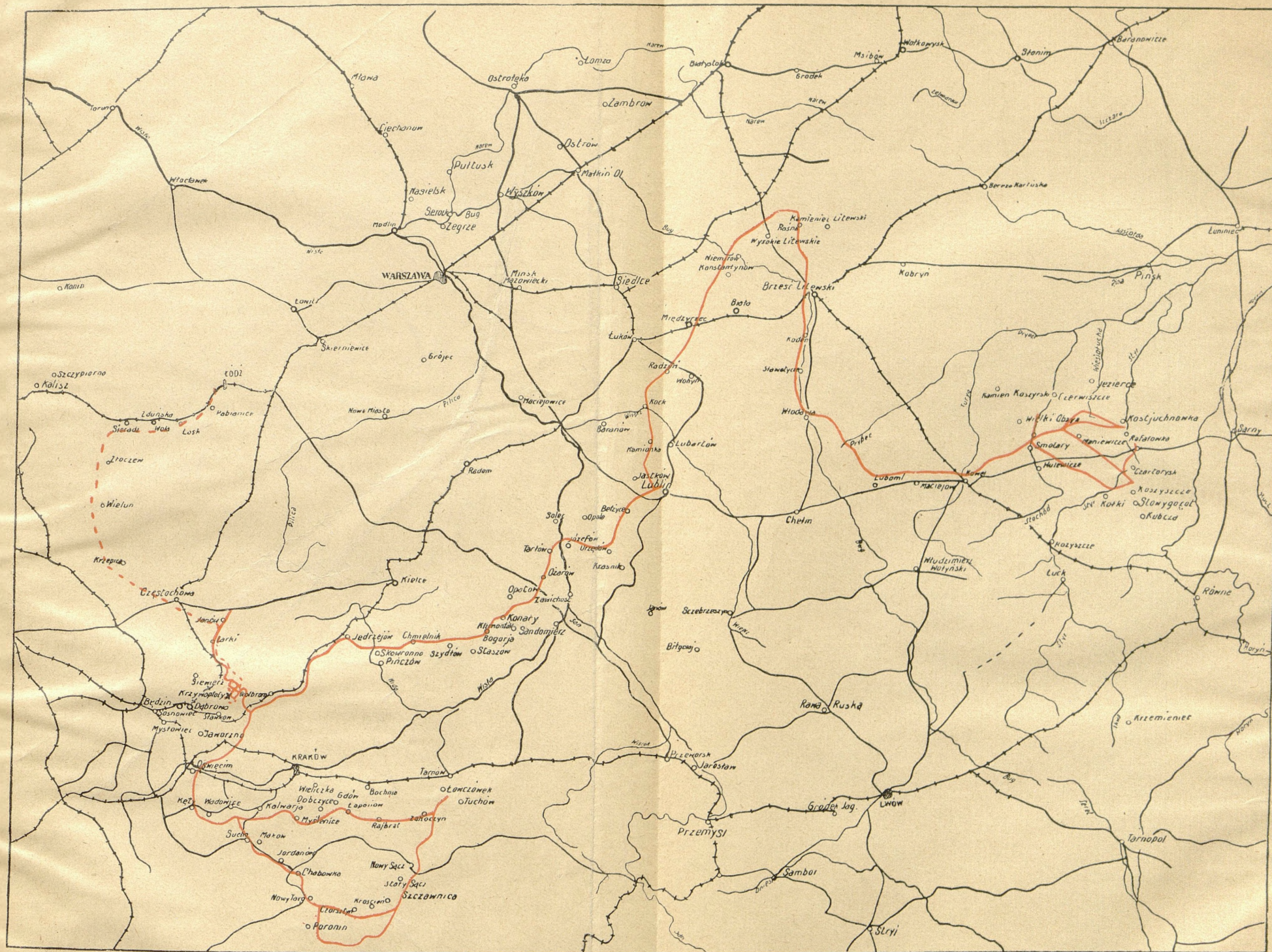
OD WILNA PO DYNABURG (wspomnienia z ofensywy 5 p. p. Leg.) Warszawa, 1920.

ŹRÓDŁA DO HISTORJI NAJNOWSZEJ WOJSKOWOŚCI POLSKIEJ (1908 — 1918). Wydanie II. Warszawa, 1928.

WOJSKOWE FORMACJE POLSKIE W WOJNIE ŚWIATOWEJ (część II, wydawnictwa „Dziesięciolecie odrodzenia polskiej siły zbrojnej). Warszawa 1928.



Szkic marszów I Brygady Legionów Polskich.

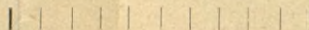


OBJAŚNIENIE:

- szlak marszu I Brygady Legionów Polskich
- - - szlak marszu grupy Trojanowskiego z Łodzi do
- o miejsca połączenia się z pułkiem

Podziałka

0 10 20 30 40 50 60 70 80 90 100 km.





Biblioteka

33089/

Naukowa